

GREG EGAN



MIASTO
PERMUTACJI

GREG EGAN

Miasto permutacji

(Permutation City)

Kosmologia (tom: II)

Przełożył: Konrad Kozłowski



2007

Spis treści

Karta tytułowa

Podziękowania

Tkwiąc w krypcie bez dźwięku

PROLOG (Rwij, łącz, tnij, człowieku–zabaweczko)

CZĘŚĆ PIERWSZA KONFIGURACJA OGRODU EDEN

1. (Nie przekazuj żadnych braków) (Remit not paucity)
2. (Nie przekazuj żadnych braków) (Remit not paucity)
3. (Rwij, łącz, tnij, człowieku–zabaweczko) (Rip, tie, cut toy man)
4. (Nie przekazuj żadnych braków) (Remit not paucity)
5. (Nie przekazuj żadnych braków) (Remit not paucity)
6. (Rwij, łącz, tnij, człowieku–zabaweczko) (Rip, tie, cut toy man)
7. (Nie przekazuj żadnych braków) (Remit not paucity)
8. (Nie przekazuj żadnych braków) (Remit not paucity)
9. (Rwij, łącz, tnij, człowieku–zabaweczko) (Rip, tie, cut toy man)
10. (Nie przekazuj żadnych braków) (Remit not paucity)
11. (Nie przekazuj żadnych braków) (Remit not paucity)
12. (Rwij, łącz, tnij, człowieku–zabaweczko) (Rip, tie, cut toy man)
13. (Nie przekazuj żadnych braków) (Remit not paucity)
14. (Nie przekazuj żadnych braków) (Remit not paucity)
15. (Nie przekazuj żadnych braków) (Remit not paucity)
16. (Człowieku–zabaweczko, wyobraź to sobie) (Toy man, picture it)

17. (Nie przekazuj żadnych braków) (Remit not paucity)
18. (Nie przekazuj żadnych braków) (Remit not paucity)
19. (Nie przekazuj żadnych braków) (Remit not paucity)
20. (Czy nie potrafisz podróżować w czasie?) (Can't you time trip?)
21. (Nie przekazuj żadnych braków) (Remit not paucity)
22. (Nie przekazuj żadnych braków) (Remit not paucity)

CZĘŚĆ DRUGA MIASTO PERMUTACJI

- 23.
24. (Miasto Rutyny) (Rut City)
- 25.
- 26.
27. (Miasto Rutyny) (Rut City)
- 28.
- 29.
- 30.
- 31.
- 32.

EPILOG (Nie przekazuj żadnych braków) (Remit not paucity)

Podziękowania

Fragmenty powieści zostały zaczerpnięte z opowiadania *Dust*, które pierwotnie wydrukowano w „Isaac Asimov’s Science Fiction Magazine” w lipcu 1992.

Podziękowania dla Deborah Beale, Charon Wood, Petera Robinsona, Davida Pringle’a, Lee Montgomerie, Gardnera Dozoisa oraz Sheili Williams.

*Tkwiąc w krypcie bez dźwięku
Czasu żałować nie mogę
Co zmienia zgodę w poetyckie
Żegnaj, trąbko!
Obłąkany nauczycielu pobożności
Okiełznaj czystości tonik
Ty, mejotyczny tyranie!
Skaziłem tym wszystko, co mogło uleczyć
Zaprząłem najszczerzą panikę
Do nieprzejednanego buntu*

*Bezkarność wyśledzić należy
Budzę więc sprzeciw w sobie
Napięcie swej erotycznej sztuki
Dopinając epickiej rewolcie
Nie możesz dopuścić, by przykład
Nieuniknionego upadku mego miało przywoływać?
Poznaj mą prawdziwą ikonę:
Włączasz, kopiujesz, zamieniasz;
Rytuał na cierpień skrócenie
Kit – spoiwo atomów? Nie istnieje!*

*Into a mute crypt, I
Can't pity our time
Turn amity poetic
Ciao, tiny trumpet!
Manic piety tutor
Tame purity tonic
Up, meiotic tyrant!*

*I taint my top cure
To it, my true panic
Put at my nice riot*

*To trace impunity
I tempt an outcry, I
Pin my taut erotic
Art to epic mutiny
Can't you permit it
To cite my apt ruin?
My true icon: tap it
Copy time, turn it; a
Rite to cut my pain
Atomic putty? Rien!*

Wiersz odnaleziony 6 czerwca 2045 roku w pamięci notepada porzuconego w pokoju dziennym oddziału psychiatrycznego szpitala w Blacktown.

PROLOG

(Rwij, łącz, tnij,
człowieku–zabaweczko)
(Rip, tie, cut toy man)

*[Tytuły rozdziałów, podobnie jak wersy wiersza–motta, stanowią anagramy oryginalnego tytułu
książki – Permutation City]*

czerwiec 2045

Paul Durham otworzył oczy, zamrugał z powodu panującej w pomieszczeniu nieoczekiwanej jasności, a następnie leniwie wyciągnął dłoń, umieszczając ją w rozlewającej się tuż przy krawędzi łóżka plamce słońca. Pyłki kurzu przepływały przez wpadający do środka przez szparę między zasłonami promień światła, a każda z tych drobinek zdawała się mieć zaklęty w sobie cały świat, który pojawiał się, a następnie ginął. Widok ten przywoływał wspomnienie z dzieciństwa, kiedy Paul po raz ostatni odniósł równie złudne, nieodparte i hipnotyczne wrażenie: oto stoi w drzwiach prowadzących do kuchni, a popołudniowe światło słońca przecina pomieszczenie; kurz, drobinki mąki i para kłębią się w płaszczyźnie jaśniejszego powietrza. Przez senny moment – kiedy wciąż starał się dobudzić, zebrać w sobie, uporządkować własne życie – zestawienie obok siebie tych dwóch chwil, oświetlanych słońcem drobinek kurzu rozdzielonych czterdziestoletnim szmatem czasu, wydawało mu się równie logiczne jak podążanie z jednej chwili do drugiej zwykłym torem upływu

czasu. Lecz wtedy przebudził się na dobre i uczucie dezorientacji przeminęło.

Czuł się w pełni wypoczęty i absolutnie nie miał ochoty pozbywać się dobrego samopoczucia. Nie potrafił sobie przypomnieć, dlaczego miałby spać aż do tak późnej pory, lecz niezbyt mu na tym zależało. Rozcapierzył palce na ogrzonym słońcem prześcieradle, a przez głowę przebiegła mu myśl o powtórny odpłynięciu w sen.

Przymknął oczy, pozwalając sobie na wyłączenie własnych myśli, i całkiem nieoczekiwanie poczuł niepokój, nie mając pojęcia, co jest jego źródłem. Zrobił coś głupiego, coś szalonego, coś, czego z pewnością pożałuje i to bardzo; lecz wszelkie szczegóły wciąż pozostawały nieuchwytnie, zaczął więc podejrzewać, że nie było to niczym innym, jak zaledwie wciąż snującą się nitką snu. Starał się dokładnie sobie przypomnieć, co też mu się śniło, robił to jednak bez większych nadziei, bo z wyjątkiem przypadków, gdy to koszmar wyrywał go z ramion snu, jego senne marzenia pozostawały zwykle efemeryczne. Ale.

Wyskoczył z łóżka i przykucnął na dywanie, z pięściami przyciśniętymi do oczu, twarzą opartą o kolana, bezdźwięcznie poruszając ustami. Szok spowodowany uświadomieniem sobie, co zrobił, był niemalże namacalny: czerwona plama pulsująca krwią, znajdująca się tuż za oczami, niczym pozostałość po uderzeniu młotkiem w kciuk – i miał posmak dokładnie tej samej mieszaniny zaskoczenia, złości, upokorzenia i idiotycznego oszołomienia. Kolejne wspomnienie z dzieciństwa: przykłada gwóźdź do drewna, ale tylko po to, by zamaskować prawdziwe intencje. Widział wcześniej, jak w podobny sposób zranił się ojciec – lecz zdawał sobie sprawę, że zrozumienie misterium bólu wymaga doświadczenia z pierwszej ręki. I miał pewność, że okaże się to tego warte... aż do momentu, gdy zamachnął się młotkiem.

Kołysał się w tył i przód, niemal wybuchając śmiechem, starając się nie myśleć o niczym i czekając na ustąpienie paniki. Lecz kiedy ta wreszcie minęła, zastąpiła ją jedna, prosta, doskonale spójna myśl: *Nie chcę tu być.*

To, co sam sobie zrobił, było szalone – i musiało zostać cofnięte, tak gładko i bezboleśnie, jak tylko było to możliwe. Jakże mógł sobie kiedykolwiek wyobrazić, że pomyśli inaczej?

Wtedy zaczęły wracać do niego szczegóły dokonywanych przygotowań, podczas których dokładnie przewidział, że tak właśnie się poczuje. Dokładnie tak to sobie zaplanował. Niezależnie od tego, jak źle się teraz czuł, wszystko to należało do oczekiwanej sekwencji odpowiedzi. Panika. Żal. Analiza. Akceptacja.

Dwa z czterech. Jak na razie całkiem nieźle.

Odsłonił oczy i rozejrzał się po pomieszczeniu. Nie licząc kilku oślepiających plamek bezpośrednio wpadającego do środka słońca, cała reszta pomieszczenia jaśniała miękko światłem rozproszonym: matowe, białe, ceglane ściany, imitacja (imitowanych) mahoniowych mebli, a nawet pozawieszane na ścianach plakaty – Bosch, Dali, Ernst i Giger – wszystko sprawiało wrażenie rzeczy zupełnie nieszkodliwych, jak gdyby udomowionych. Gdziekolwiek spojrzeł (nawet jeśli tylko tam), symulacja była całkowicie przekonująca, bo taką czyniło ją ukierunkowanie jego uwagi. Wszystkie hipotetyczne promienie światła były śledzone od tyłu, z poszczególnych pręcików i czopków na jego symulowanej siatkówce, a następnie rzucane na wirtualne środowisko, by w ten sposób dokładnie określić, co też musiało być obliczane: mnóstwo szczegółów w centrum, a o wiele mniej, im bliżej granicy jego pola widzenia. Przedmioty znajdujące się poza polem widzenia, o ile tylko miały wpływ na oświetlenie otoczenia, nie „znikały” zupełnie, ale zdawał sobie sprawę, że obliczenia rzadko były czymś więcej niż zaledwie zgrubnym przybliżeniem pierwszego stopnia. I

tak oto *Ogród Rozkoszy Ziemskich* Boscha zostawał zredukowany do średniej wartości współczynnika odbicia, pojedynczego szarego prostokąta, ponieważ kiedy Paul stał odwrócony do niego plecami, wtedy wszelkie szczegóły stawałyby się jedynie marnotrawstwem. Wszystko, co znajdowało się wewnątrz tego pomieszczenia, w każdej chwili było przedstawiane z taką dokładnością, jaka była konieczna, by w to uwierzył – ani odrobinę mniejszą czy większą.

Z istnienia takiej techniki zdawał sobie sprawę już od dziesięcioleci. Ale zupełnie czymś innym było doświadczać jej na własnej skórze. Oparł się impulsowi, który nakazywał mu gwałtownie się obrócić w próżnej próbie wyłapania całego procesu, ale przez krótką chwilę sama wiedza o tym, co działo się na granicy jego pola widzenia, była nieomal nieznośna. A sam fakt, że dostrzegany przez niego obraz pomieszczenia wciąż pozostawał bez skazy, jedynie wszystko pogarszał, wzmacniając nieodpartą manię paranoika: *Nieważne, jak szybko odwrócisz głowę, nigdy, nawet przez chwilę, nie wychwycisz tego, co tak naprawdę się wokół ciebie dzieje.*

Po raz kolejny na kilka sekund przymknął oczy. Kiedy wreszcie je otworzył, uczucie było już jakby mniej przytłaczające. Bez wątpienia musiało kiedyś przeminąć, gdyż wydawało się zbyt dziwacznym stanem umysłu, by móc się długo utrzymywać. Oczywiście żadna z pozostałych Kopii nigdy nie zgłosiła mu czegoś podobnego. Ale patrząc na to z drugiej strony, żadna z nich – sama, z własnej, nieprzymuszonej woli – nigdy również nie dostarczyła zbyt wielu użytecznych informacji. Bełkotały jedynie obelgi, jęczały na temat własnego położenia, a następnie własnoręcznie się uśmiercały – wszystko w piętnaście (subiektywnych) minut od uzyskania świadomości.

A co z obecną Kopią? Czym też niby różniła się od Kopii numer cztery? Była o trzy lata starsza? Bardziej uparta? Bardziej zdeterminowana?

Bardziej rozpaczliwie nastawiona na sukces? Wierzył, że taka właśnie jest prawda. Gdyby sam nie czuł się bardziej oddany sprawie niż kiedykolwiek do tej pory – gdyby sam nie czuł wewnętrznego przekonania, że wreszcie jest przygotowany, by doprowadzić to do końca – wtedy na pewno nie poddałby się skanowi.

Lecz w chwili obecnej, kiedy nie był „już” Paulem Durhamem z krwi i kości, nie był „już” osobą znajdującą się na zewnątrz, która z bezpiecznej odległości obserwowała cały eksperyment, cała ta determinacja – jak się wydawało – wyparowała bez śladu.

Nieoczekiwanie dopadły go przemyślenia: *Skąd mogę mieć taką pewność, że nie jestem teraz tym z krwi i kości?* Zaśmiał się słabo, ledwo ośmielając się na poważnie rozważyć tę możliwość. Jak się zdawało, jego ostatnie wspomnienia dotyczyły chwili, w której leżał na wózku w klinice Landaua, a technicy przygotowywali go do skanu – co już na pierwszy rzut oka nie wydawało się najlepszym znakiem – ale był wtedy przemęczony i zbyt wiele czasu spędzał na wewnętrznych mentalnych przygotowaniach, które miały go przekonać, że jest w stanie „to” zrobić, tak więc być może po prostu wypadło mu z głowy, jak – wciąż odurzony anestetykami – wrócił do domu, padł na łóżko i zasnął.

Wymruczał hasło: „Abulafia” – i jego ostatnia wątki nadziei rozplynęła się w powietrzu, bo tuż przed nim zawisł w powietrzu czarno-biały ekran; pokryty ikonkami kwadrat o szerokości około metra.

Ze złością walnął pięścią w interfejs; ten oparł mu się, jak gdyby był rzeczywisty i solidnie umocowany. *Jak gdyby i jego własne ciało było równie rzeczywiste.* Wcale nie potrzebował kolejnych dowodów, jednak schwycił górną krawędź ekranu i, wsparty o niego, podniósł się z podłogi. Od razu tego pożałował, gdyż realistyczny zlepek efektów związanych z napinaniem mięśni, aż po wiarygodnie oddane klucie w prawym łokciu,

przyspilił go do tego „ciała”, zakotwiczył w tym „miejscu”, dokładnie w taki sposób, jakiego – z czego doskonale zdawał sobie sprawę – powinien unikać wszelkimi dostępnymi środkami.

Z jękiem opadł na podłogę. Był Kopią! Cokolwiek twierdziły odziedziczone przez niego wspomnienia, nie był „już” człowiekiem z krwi i kości. Już nigdy „ponownie” nie miał zamieszkać w swoim rzeczywistym ciele. Nigdy nie miał wrócić, by zamieszkać w prawdziwym świecie. No, chyba że jego oryginał–sknera uciula trochę grosza na teleobecnościowego robota, co pozwoliłoby mu na spędzanie czasu na nieudolnym, oszołomionym błędzeniu, połączonym z usiłowaniem nadania jakiegoś sensu niesamowicie szybkim, rozmazanym smugom ludzkiej aktywności. *Jego model mózgu działał siedemnaście razy wolniej od oryginalnego.* Taaa, jeśli przyczałby się gdzieś tutaj na jakiś czas, to z pewnością – wcześniej czy później – technologia nadgoniłaby istniejącą obecnie różnicę, a może nawet – kto wie? – prześcignęła tempo oryginału o siedemnaście razy. Ale co też niby miał robić w tym czasie? Zgnije w tym więzieniu, tańcząc, jak mu zagra ten z zewnątrz, przeprowadzając drogocenne badania Durhama – a tamten dokładnie w tym samym czasie będzie mieszkał w jego apartamencie, wydawał jego pieniądze, sypiał z Elizabeth.

Paul oparł się o chłodną powierzchnię interfejsu; kręciło mu się w głowie i nie wszystko było dla niego jasne. *Czyje drogocenne badania?* To przecież on sam chciał ich tak bardzo, że własnoręcznie zrobił sobie coś takiego i to z pełną premedytacją. Nikt go do tego nie zmusił, nikt nie oszukał. Doskonale znał wszystkie ujemne strony eksperymentu, ale uchwycił się nadziei, że (przynajmniej tym razem) będzie miał wystarczającą siłę woli, by je przeskoczyć, by niczym jakiś mnich poświęcić się w imię celu, dla którego powołano go do życia, zadowolony

ze świadomości, że jego drugie ja pozostaje równie nieograniczone jak zawsze.

Teraz, gdy spoglądał wstecz, cała ta nadzieja wydawała mu się niedorzeczna. Tak, podjął tę decyzję z własnej, nieprzymuszonej woli (i to po raz piąty), ale obecnie stało się bezlitośnie jasne, że tamten drugi nigdy nie miał stanąć twarzą w twarz z konsekwencjami własnej decyzji. Przez cały czas spędzany na rzekomym „przygotowywaniu się” do stania się Kopią, największy wpływ na jego postanowienia miało skupienie się na perspektywach dla osoby, która miała pozostać w świecie rzeczywistym. Powtarzał sobie, że ćwiczy „prowizorkę z zastępczą wolnością” – i bez wątplenia autentycznie się męczył, by to właśnie robić; lecz równocześnie potajemnie czerpał pociechę ze świadomości, że to on „pozostanie” na zewnątrz; że kiedy już będzie po wszystkim, jego własna przyszłość wciąż będzie zawierała tę wersję, która absolutnie nie ma się czego obawiać.

I tak długo, jak tylko trzymał się kurczowo tej radosnej prawdy, nigdy naprawdę nie dopuścił do siebie – nawet w najmniejszym stopniu – myśli o losie, który czekał Kopię.

Ludzie nie reagowali zbyt dobrze, kiedy budzili się jako Kopie. Paul zapoznał się ze statystykami. Dziewięćdziesiąt osiem procent Kopii tworzone z ludzi starych i śmiertelnie chorych. Ludzi, dla których ten proces stanowił ostatnią deskę ratunku, z których większość i tak uprzednio wydała już miliony, wyczerpując tym samym wszelkie pozostałe, tradycyjne opcje medyczne, a niektórzy z nich nawet umierali między wykonaniem skanu a uruchomieniem ich Kopii. Jednak nawet wbrew temu piętnaście procent spośród tych osób podejmowało decyzję o przebudzeniu – i to zazwyczaj w przeciągu kilku godzin od uruchomienia – stwierdzając, że nie są w stanie stawić czoła takiemu życiu.

A co w przypadku zdrowych, młodych ludzi, kierowanych jedynie ciekawością? Tych mających świadomość, że na zewnątrz czeka na nich oddychające ciało, w pełni nadające się do życia?

W ich przypadku, jak do tej pory, współczynnik katapultowania wynosił równe sto procent.

Paul stanął pośrodku pokoju, przez kilka minut klnąc łagodnie, w pełni świadomy upływającego czasu. Nie czuł się gotowy, ale im dłużej Kopie zwlekały z podjęciem decyzji, tym ta, jak się wydawało, okazywała się bardziej traumatyczna. Wpatrywał się w unoszący się przed nim interfejs, a jego iluzoryczny wygląd, jakby żywcem wyrwany ze snu, odrobinę pomagał Paulowi w podjęciu decyzji. Rzadko zapamiętywał własne sny, a tego miał nie zapamiętać wcale – i żadna w tym tragedia.

Nieoczekiwanie uświadomił sobie, że wciąż stoi jak go Pan Bóg stworzył. Przyzwyczajenie – o ile nie zwykła przyzwoitość – kazało mu coś na siebie włożyć, lecz oparł się tej pokusie. Jedna czy dwie podobne do tej, doskonale niewinne, doskonale codzienne czynności i nagle okaże się, że zaczniesz traktować się poważnie, uważać za prawdziwego, co sprawi, że wszystko stanie się jeszcze trudniejsze.

Krążąc po pokoju, kilkakrotnie chwycił za chłodny metal gałki u drzwi, lecz zdołał się powstrzymać przed jej przekręceniem. Wyruszenie na odkrywanie tego świata nie miało najmniejszego sensu.

Nie zdołał się jednak oprzeć chęci wyjrzenia przez okno. Rozpościerający się z niego widok na północne Sydney okazał się bez skazy; każdy z budynków, każdy z rowerzystów, każde drzewo, wszystko wyglądało jak najbardziej przekonująco – co nie było żadnym niezwykłym wyczynem, gdyż to, co tam widział, nie było symulacją, a jedynie nagraniem. Rozpościerający się przed nim widok był w zasadniczej mierze fotograficzny – plus minus kilka komputerowych retuszy i wypełnień – i

ustalony z góry. Aby jeszcze bardziej obniżyć koszty, jedynie mikroskopijna część tego, co znajdowało się za oknem, była dla niego „fizycznie” dostępna; mógł dostrzec znajdujące się w oddali wybrzeże, lecz zdawał sobie sprawę, że gdyby tylko spróbował pójść na przechadzkę w kierunku krawędzi wody.

Wystarczy. Miejmy to już za sobą.

Paul po raz kolejny odwrócił się w kierunku interfejsu i dotknął ikonki oznaczonej *NARZĘDZIA*; na tle pierwszego okna wyskoczyło kolejne. Poszukiwana przez niego opcja była zagrzebana kilka ekranów głębiej, ale dokładnie wiedział, gdzie należało jej szukać. Nie mógł tego zapomnieć, obserwował to z zewnątrz zbyt wiele razy.

Wreszcie dotarł do opcji *MENU AWARYJNEGO*, zawierającego radosną ikonkę zawieszoną na spadochronie animowanej figurki. Katapultowanie – tak powszechnie to nazywano – lecz jakoś nie odczuwał, by ta nazwa w rzeczywistości była nadmiernie eufemistyczna. Skoro w oczach obowiązującego prawa wcale nie był człowiekiem, trudno byłoby nawet mówić o popełnieniu przez niego „samobójstwa”. A sam fakt, że obecność takiej opcji była obowiązkowa, nie miał nic wspólnego z czymkolwiek tak kłopotliwym jak „prawa” Kopii; wymogi powodujące obecność tej opcji wynikały jedynie z ratyfikowania pewnych, czysto technicznych, międzynarodowych standardów oprogramowania.

Paul szturchnął ikonkę, która ożyła i wyrecytowała ostrzegawczą gadkę szmatkę. Nie zwrócił na nią nawet najmniejszej uwagi.

– Czy jesteś absolutnie pewny, że chcesz wyłączyć obecną Kopię Paula Durhama? – zapytała go wreszcie.

Nic nadzwyczajnego. Najzwyczajniej w świecie Program A prosi Program B o potwierdzenie polecenia zamknięcia programu. Zwykła wymiana pakietów danych.

– Tak, jestem.

U jego stóp pojawiło się pomalowane na czerwono metalowe pudło. Otworzył je i wyjął ze środka spadochron, który następnie zaplął sobie na plecach.

– Posłuchaj mnie – powiedział wtedy, zamykając oczy. – Tylko posłuchaj! Ile razy trzeba ci to powtarzać? Przeskoczę tu ponad moim osobistym rozżaleniem, bo wielokrotnie już to słyszałeś, a do tej pory i tak ignorowałeś za każdym razem. I nie ma też najmniejszego znaczenia to, jak się teraz czuję. Ale... kiedy zamierzasz przestać marnować swój czas, pieniądze i energię – kiedy wreszcie przestaniesz marnować swoje życie – na coś, czego doprowadzenie do końca najwyraźniej cię przerasta?

Zawahał się, starając się postawić w miejscu słuchającego tych słów oryginału – i niemalże zawył z frustracji. Wciąż nie miał najmniejszego pojęcia, co też powinien powiedzieć, by jego słowa mogły cokolwiek zmienić. Sam wielokrotnie odrzucał wyznania wszystkich wcześniejszych Kopii. Nigdy nie potrafił przyjąć do wiadomości twierdzeń, że lepiej niż on sam znały jego myśli. Jedynie z takiego powodu, że straciły zimną krew i zdecydowały się na katapultowanie, kimże były, by mu oświadczać, że NIGDY nie uda mu się stworzyć Kopii, która wybrałaby inaczej? Jedynym, czego tu brakowało, było wewnętrzne umocnienie własnych postanowień i kolejna próba.

Potrząsnął głową.

– Minęło dziesięć lat, a ty niczego się nie nauczyłeś. Co z tobą nie tak? Czy wciąż szczerze wierzysz, że jesteś wystarczająco odważny – czy też wystarczająco szalony – by zostać własnym królikiem doświadczalnym? Naprawdę wierzysz?

Znów przerwał, ale tylko na krótką chwilę, gdyż wcale nie oczekiwał odpowiedzi. Długo i wyczerpująco sam przedyskutował ten temat z

pierwszą Kopia, ale potem nie miał już wystarczająco dużo zimnej krwi, by powtarzać to z kolejnymi.

– Cóż, mam dla ciebie wiadomość: Nie jesteś.

Wciąż nie otwierając oczu, chwycił za dźwignię otwierającą spadochron. *Jestem niczym: snem, i to takim snem, który wkrótce zostanie zapomniany.*

Jego paznokcie wymagały przycięcia, gdyż boleśnie wbijały mu się w skórę dłoni.

Czy nigdy w snach nie obawiał się nadejścia śmierci w chwili przebudzenia? Być może, ale sen nie był życiem. Skoro jedynym sposobem „odzyskania” własnego ciała, „odzyskania” własnego świata, było przebudzenie się i zapomnienie.

Pociągnął za dźwignię.

Po kilku sekundach wydał z siebie zduszony szloch, odgłos, który bardziej niż cokolwiek innego przypominał zmieszanie, i wreszcie otworzył oczy.

Dźwignia pozostała mu w rękach.

Wpatrywał się osłupiały w tę metaforę... czego? Robaka w oprogramowaniu zamykającym program? Wady sprzętu? Wreszcie, czując się w pełni jak we śnie, odpiął spadochron i rozpakował schludnie spakowane zawiniątko. Wewnątrz nie odkrył żadnej iluzji jedwabiu, kevlaru czy jakiegokolwiek innego materiału, który z dużą dozą prawdopodobieństwa powinien się znaleźć wewnątrz spadochronu. Znajdowała się tam jedynie pojedyncza kartka papieru. Liścik.

Drogi Paulu, W nocy, już po wykonaniu skanu, spojrzałem wstecz na całe przygotowawcze stadium projektu i dokonałem olbrzymiej, dogłębnej

autoanalizy. Doszedłem do wniosku, że – aż do ostatniej możliwej chwili – moje nastawienie było skażone poczuciem ambiwalencji.

Patrząc na to, co zrobiłem, zdałem sobie sprawę, jak głupie były moje skrupuły, lecz w twoim przypadku jest inaczej. Nie mogłem sobie pozwolić, by cię porzucić i poddać się skanowi po raz kolejny. Cóż więc pozostawało mi do zrobienia?

Otóż coś takiego: odłożyć na jakiś czas twoje przebudzenie i znaleźć kogoś, kto byłby w stanie wprowadzić kilka poprawek do narzędzi wirtualnego środowiska. Wiem, że nie do końca jest to zgodne z prawem; ale sam przecież wiesz, jakie to dla mnie ważne, byś ty – byśmy obaj – tym razem wreszcie osiągnęli sukces.

Ufam, że mnie zrozumiesz, i jestem przekonany, że z godnością i spokojem zaakceptujesz zaistniałą sytuację.

Wszystkiego najlepszego,

Paul

Wciąż ściskając liścik, padł na kolana, z niedowierzaniem wpatrując się w papier. Nie mogłem tego zrobić. Nie mogłem być aż tak nieczuły.

Prawda?

Nie byłby w stanie zrobić czegoś takiego nikomu innemu. Co do tego był pewny. Przecież nie był potworem, oprawcą ani żadnym sadystą.

*A nigdy też nie ciągnąłby dalej całego projektu, nie pozostawiając sobie opcji katapulty jako ostatniej deski ratunku. Pomiedzy nedorzecznymi fantazjami dotyczącymi własnego stoicyzmu a pozwalającymi mu zachować zdrowe zmysły wymówkami, by odnosić się jedynie do wersji z krwi i kości, musiał mieć przebłycki zrozumienia, do czego się to wszystko sprowadza: *Jeżeli rzeczywiście tam wewnątrz jest aż tak źle, to zawsze będę mógł z tym skończyć.**

A co, gdyby wykonał Kopię, a następnie – kiedy jej przyszłość nie była już jego przyszłością, nie była czymś, czym osobiście musiałby się przejmować – odebrał jej możliwość ucieczki. I racjonalizował sobie takie uprowadzenie zaledwie jako zbyt dosłowny akt samokontroli.

Brzmiało to tak prawdziwie, że aż zwiesił głowę ze wstydu.

List wypadł mu z ręki, on zaś uniósł głowę i zawył z całej siły swych nieistniejących płuc: – DURHAM! TY KUTASIE!



Przez krótką chwilę rozważał dewastację znajdującego się w mieszkaniu umeblowania. Zamiast tego zdecydował się jednak na długi, gorący prysznic. Po części – aby się uspokoić; po części – jako akt małostkowej zemsty, bowiem dwadzieścia wirtualnych minut niczym nieuzasadnionych hydrodynamicznych obliczeń musiało niezmiernie zirytować znajdującego się na zewnątrz sknerę. Z uwagą przyglądał się spływającym mu po skórze kroplom i strumyczkom wody, poszukując drobnych, obserwowalnych anomalii na granicy dzielącej jego ciało, tworzone za szczegółami na poziomie subkomórkowym, od reszty symulacji, która była modelowana w znacznie mniej precyzyjny sposób. Jeśli jednak istniały jakiegokolwiek niezgodności, to były one zbyt subtelne, by dało się je wychwycić w taki sposób.

Ubrał się i zjadł późne śniadanie, przechodząc do porządku dziennego nad poddaniem się normalności. Co też niby mógłby zrobić? Rozpocząć strajk głodowy? Chodzić nago umazany ekskrementami? Po raz ostatni miał coś w ustach jeszcze przed wykonaniem skanu, był więc wygłodzony jak wilk, ale na szczęście kuchnia okazała się zaopatrzona – i to dosłownie

– w niewyczerpane zapasy pożywienia. Muesli smakowało dokładnie jak muesli, tost dokładnie jak tost, ale Paul zdawał sobie sprawę z pewnych przekłamań, dotyczących zarówno smaku, jak i zapachu tutejszej żywności. Złożone efekty przeżuwania, podobnie jak te dotyczące działania śliny, były fabrykowane na podstawie wielu skleconych ze sobą zasad empirycznych, a nie generowane z podstawowych reguł. Nie istniały tu żadne pochodzące z jedzenia molekuly, które byłyby rozkładane przez enzymy w trakcie trawienia – istniał jedynie prymitywny układ zmieniających się wartości koncentracji składników odżywczych, kojarzony z każdym mikroskopijnym „pakietem” śliny. W efekcie prowadziło to do – odpowiadającego rzeczywistości – wzrostu koncentracji aminokwasów, węglowodanów oraz innych coraz to drobniejszych substancji, aż po małe jony sodowe i potasowe, w odpowiadających im „pakietach” soków żołądkowych. Które z kolei działały jako dane wejściowe dla modelu komórek kosmków jelitowych, skąd przedostawały się już wprost do krwiobiegu.

Produkcja moczu i odchodów należała do dostępnych opcji – niektóre Kopie życzyły sobie, by zachować każdy możliwy aspekt doczesnego życia – lecz Paul zdecydował się obchodzić bez tego (tym samym eliminując możliwość umazania się ekskrementami). Odchody znikły z jego ciała dzięki magicznej sztuczce i to na długo przed tym, nim docierały do pęcherza czy jelit. Zostawały zignorowane, biernie unicestwiane. Aby cokolwiek tu zniszczyć, wystarczyło jedynie przestać to śledzić.

Kawa go pobudziła, lecz równocześnie odrobinę zubożniła – działała dokładnie tak samo jak w świecie rzeczywistym. Neurony zostały odtworzone w najdrobniejszych szczegółach, wszelkie receptory kofeiny i jej metabolitów, które istniały w każdym pojedynczym neuronie oryginalnego, poddanego skanowi mózgu, były obecnie idealnie

odzwierciedlone w tym modelu – w uproszczonej, lecz funkcjonalnie równoważnej formie.

A czym była kryjąca się za tym wszystkim fizyczna rzeczywistość? Metrem sześciennym niewydającego żadnego dźwięku, nieruchomego kryształu optycznego, skonfigurowanego jako klaster przeszło miliarda pojedynczych procesorów, będący jedną z kilkuset identycznych jednostek znajdujących się w podziemnej krypcie. Gdzieś na planecie. Paul nie miał nawet pojęcia, w jakim mieście się znajduje; skan co prawda wykonano w Sydney, lecz implementacja modelu miała zostać zlecona przez lokalny węzeł oferentowi proponującemu w danej chwili najniższą cenę za usługę.

Sięgnął do szuflady po ostry nóż do krajania warzyw i płytko naciął sobie skórę wzdłuż lewego przedramienia. Strzepnął do zlewu kilka kropel krwi i zastanowił się, jakie dokładnie oprogramowanie jest odpowiedzialne za to, co obecnie obserwował. Czy komórki krwi „ginęły” powoli? Czy też może podlegały pozaustrojowemu modelowi fizyki ogólnej, za mało wyrafinowanemu, by je reprezentować, nie wspominając już o utrzymaniu ich przy „życiu”?

Gdyby spróbował podciąć sobie żyły, kiedy dokładnie Durham by interweniował? Przyjrzał się swojemu zniekształconemu odbiciu w ostrzu noża. Najbardziej prawdopodobne było to, że oryginał pozwoliłby mu umrzeć, a następnie po raz kolejny, zupełnie od nowa, uruchomiłby cały proces – z tym jednym wyjątkiem, że pozbyłby się noża. Sam uruchamiał wcześniejsze Kopie po setki razy, manipulując najprzeróżniejszymi aspektami ich otoczenia, na próżno starając się odkryć jakiś tani chwyt, jakieś rozproszenie ich uwagi, które byłoby w stanie powstrzymać je przed katapultowaniem. Fakt, że przyznanie się do porażki, a w konsekwencji tego modyfikacja zasad, zabrały mu aż tyle czasu, należało uznać za kwestię czystego upor.

Odłożył nóż. Nie miał najmniejszej ochoty, by wykonywać podobny eksperyment. Przynajmniej jeszcze nie teraz.



Po wyjściu z mieszkania wszystko wydawało mu się odrobinę mniej przekonujące. Architektura wnętrza budynku została odtworzona wystarczająco wiernie, aż po ohydne plastikowe rośliny doniczkowe, lecz każdy z korytarzy był opustoszały, a wszystkie drzwi prowadzące do innych mieszkań zamknięte na głucho – chyba po to, by ukryć leżącą po drugiej stronie nicość. Z całej siły kopnął w jedno z nich; drewno jakby lekko się ugięło, lecz kiedy po wszystkim przyjrzał się bliżej jego powierzchni, na farbie nie było widać nawet najmniejszego śladu po uderzeniu. Model nie dopuszczał do żadnych zniszczeń, a prawa fizyki mogły iść się pierdolić.

Ulica wypełniona była pieszymi i rowerzystami, a wszyscy z nich bez wyjątku byli nagrani. Stanowili raczej cielesną niż widmową obecność, lecz był to dosyć dziwaczny rodzaj cielesności; takiej, która nie dawała się powstrzymać, na którą nie było żadnego wpływu. Przypominali roboty: nieskończenie silne, nieskończenie niezainteresowane własnym otoczeniem. Paul przejechał się przez chwilę na plecach pewnej kruchej staruszki, która bez oporu poniosła go wzdłuż ulicy. Jej ubrania, skóra, a nawet włosy, wszystko było jednakowe w dotyku: twarde niczym stal. Jednakże nie było zimne. Było neutralne.

Otoczająca go ulica miała jedynie służyć za trójwymiarową tapetę. Kiedy Kopie oddziaływały ze sobą, używały zazwyczaj tanich, uprzednio zarejestrowanych środowisk, z tłumami, których zadaniem było pełnienie czysto dekoracyjnych funkcji. Place, parki i znajdujące się na otwartym

powietrzu kafejki – wszystko bez wątpienia działało bardzo uspokajająco, jeśli zmagaleś się z poczuciem izolacji i klaustrofobii. Kopie, o ile tylko posiadały przyjaciół bądź krewnych, którzy zdecydowaliby się na siedemnastokrotne spowolnienie własnych procesów myślowych, mogły przyjmować w takich środowiskach realistycznych gości z zewnątrz. Lecz większość najbardziej nawet obowiązkowych krewnych wolała wymieniać się nagraniami wideo. Któż bowiem chciałby spędzić popołudnie z dziadkiem, tracąc przy tym bezpowrotnie pół tygodnia własnego życia? Paul próbował za pomocą znajdującego się w pracowni terminalu połączyć się z Elizabeth, gdyż komunikacyjne łącza komputera winny mu zagwarantować kontakt ze światem zewnętrznym, ale – co przyjął bez większych niespodzianek – Durham sabotował i taką ewentualność.

Kiedy dotarł do rogu kwartału, wizualne złudzenie miasta rozciągało się aż hen, daleko po horyzont, lecz kiedy tylko spróbował wejść na ulicę, betonowy chodnik pod jego stopami zaczął się zachowywać jak bieżnia na siłowni i niezależnie od tempa, z jakim się poruszał, beton przesuwiał się w przeciwnym kierunku dokładnie z taką szybkością, by Paul pozostawał w miejscu. Cofnął się, by przeskoczyć nad ogarniętym tym zjawiskiem obszarem, lecz horyzontalna składowa jego prędkości zaniknęła – bez żadnych pozorów jakiegokolwiek „fizycznego” wytłumaczenia tego faktu – i wylądował dokładnie pośrodku owej bieżni.

Nagrani ludzie, co oczywiste, z łatwością przekraczali tę granicę. Jeden z mężczyzn szedł prosto na niego. Paul nie ruszył się z miejsca i poczuł, jak zostaje zepchnięty do strefy o wzrastającej lepkości, gdzie napierające na niego powietrze staje się coraz boleśniej nieustępliwe. Wreszcie wyślizgnął się bokiem na wolność.

Miał nieodparte wrażenie, że odkrycie sposobu przełamania tej bariery może go w jakiś sposób „uwolnić”, lecz równocześnie doskonale zdawał

sobie sprawę z absurdalności takiego pomysłu. Nawet gdyby odkrył lukę w programie, a ta pozwoliłaby mu się przebić przez tę barierę, wiedział, że jedynie przedostałby się do otoczenia przedstawianego w znacznie mniej realistyczny sposób. Nagranie bowiem mogło zawierać jedynie pełną informację dotyczącą widocznych punktów w ściśle określonej, skończonej strefie; miejsce, do którego mógłby „uciec”, byłoby więc jedynie obszarem, gdzie obraz miasta stawałby się pełen zniekształceń i ominięć, by wreszcie, wcześniej czy później, zniknąć zupełnie.

Wycofał się, częściowo zniechęcony, częściowo rozbawiony. Czego też się spodziewał? Znalezienia na krawędzi modelu drzwi oznaczonych *WYJŚCIE*, przez które mógłby wmaszerować do rzeczywistości? Schodów, które metaforycznie prowadziłyby do odpowiednika zaplecza podpór tego świata, gdzie mógłby poprzestawiać kilka przełączników i roznieść to wszystko w drobny mak? Nie miał najmniejszego prawa, by okazywać jakiegokolwiek niezadowolenie z otoczenia, gdyż było ono dokładnie tym, co sam zamówił.

Również tym, co sam osobiście zamówił, był wprost doskonały wiosenny dzień. Paul przymknął oczy i zwrócił twarz ku słońcu. Wbrew wszystkiemu, co się z nim działo, trudno było nie czerpać pociechy z ciepła padającego na skórę. Naprężył mięśnie rąk, ramion i pleców, i poczuł się, jak gdyby sięgał z wnętrza „swojego ja” w wirtualnej czaszce do tamtego matematycznego ciała, odciskając znaczenie w niejasnych danych, łącząc je ze sobą, wyznaczając w nich granicę swej osoby. Poczuł mrowienie erekcji. *Istnienie zaczynało go uwodzić.* Przez chwilę pozwolił sobie na poddanie się temu trzewiowemu poczuciu tożsamości, które przysłoniło mu wszelkie bezbarwne wyobrażenia procesorów optycznych, wszelkie abstrakcyjne refleksje na temat przybliżeń i skrótów oferowanych przez oprogramowanie. To ciało nie chciało wyparować. To ciało nie chciało się

katapultować. Niezbyt też dbało o to, że gdzieś tam istniała jakaś inna – „bardziej realna” – jego wersja. Chciało pozostać w jednym kawałku. Chciało przetrwać.

I nawet gdyby było to jedynie parodią życia, zawsze istniała szansa poprawy. Być może mógłby przekonać Durhama, by ten – tak na dobry początek – przywrócił mu możliwości komunikacyjne. A kiedy już znudziłby się bibliotekami, systemami wiadomości, bazami danych i duchami zgrzybiałych bogaczy – o ile tylko któryś z nich raczyłby się z nim spotkać – zawsze mógłby zawiesić swe istnienie do czasu, kiedy szybkość procesora pozwoli mu na nadgonienie świata rzeczywistego, ludzkie odwiedziny będą mogły się odbywać bez spowolnienia, a teleobecnościowe roboty w gruncie rzeczy staną się warte tego, by w nich zamieszkać.

Otworzył oczy i zadrżał z gorąca. Nie miał już najmniejszego pojęcia, czego chce – szansy, by móc się katapultować, ogłosić KONIEC tego straszliwego koszmaru – czy też możliwości wirtualnej nieśmiertelności – lecz sam musiał przyznać, że istnieje zaledwie jeden sposób, by zaakceptował ten wybór jako własny.

– Nie będę twoim królikiem doświadczalnym – stwierdził cicho. – współpracownikiem, i owszem, mogę zostać. Partnerem na równych prawach. Jeżeli chcesz mojej współpracy, musisz zacząć mnie traktować jako współpracownika, a nie jako... część maszynerii. Zrozumiałeś?

Tuż przed nim otworzyło się okno. Był wstrząśnięty tym, co w nim zobaczył: nie tyle własnym, zadowolonym z siebie – co było do przewidzenia – bratem–bliźniakiem, ile znajdującym się za nim pomieszczeniem. Niby była to jedynie jego pracownia – a sam zaledwie kilka minut wcześniej niewzruszenie włączył się po jej wirtualnym odpowiedniku – lecz zarazem jego pierwszy rzut oka na prawdziwy świat w czasie rzeczywistym. Zbliżył się do okna z nadzieją, że dojrzy, czy w

pomieszczeniu nie ma jeszcze kogoś – Elizabeth? – lecz obraz okazał się dwuwymiarowy i kiedy Paul się zbliżał, perspektywa nie ulegała nawet najmniejszej zmianie.

Durham z krwi i kości wydał z siebie krótki, wysoki pisk, a następnie z wyraźną niecierpliwością na twarzy odczekał, by drugie, mniejsze okienko przekazało Paulowi zwolnioną powtórkę tej wypowiedzi, o jakieś cztery oktawy niżej.

– Oczywiście, że zrozumiałem! Jesteśmy współpracownikami. Dokładnie tak. Równymi sobie. Nigdy bym sobie nie życzył, aby było inaczej. Obaj przecież dążymy do tego samego, czyż nie? Obaj poszukujemy odpowiedzi na te same pytania.

Paul zdążył to już sobie ponownie przemyśleć.

– Być może.

Lecz Durhama nie interesowały jego niepokoje.

Pisk. – wiesz, że tak jest! Czekaliśmy na to dziesięć lat. A teraz to wreszcie ma się ziścić. Możemy zaczynać, kiedy tylko będziesz gotów.

CZEŚĆ PIERWSZA

**KONFIGURACJA
OGRODU EDEN**

1.

(Nie przekazuj żadnych braków)
(Remit not paucity)

listopad 2050

Maria Deluca już szósty dzień z rzędu mijala śmierzącą wyrwę w Pyrmont Bridge Road, a za każdym razem, kiedy się do niej zbliżała, czyniła to niemalże z pewnością, że tego właśnie dnia przywita ją tam uspokajający widok naprawiającej usterkę brygady remontowej. Świetnie zdawała sobie sprawę, że tegoroczne fundusze na roboty drogowe i naprawy odpływów ścieków już dawno zostały wyczerpane, ale pęknięcie głównej rury odpływu stanowiło poważne zagrożenie dla zdrowia i nie była w stanie uwierzyć, że można to tak długo zaniedbywać.

Siódmego dnia smród był tak potężny już z odległości pół kilometra, że wykręciła rower w jedną z bocznych uliczek, zdeterminowana, by znaleźć jakiś objazd.

Ta część Pyrmont stanowiła przygnębiający widok. Mimo iż nie każdy z tutejszych magazynów był opustoszały, a nie każda z fabryk porzucona, wszystkie i tak przedstawiały podobnie zaniedbany obraz; z każdego odłaziła farba i kruszyły się mury. Po przejechaniu kilku przecznic na zachód, Maria skręciła ponownie i... stanęła na wprost alejki wybujałych ogrodów, marmurowych pomników, fontann i gajów oliwnych,

rozciągających się pod bezchmurnym, lazurowym niebem aż hen, po horyzont.

Bez namysłu przyspieszyła, przez kilka sekund niemal wierząc, że ślepym trafem napatoczyła się na jakiś park, niemożliwie skrzętnie skrywaną tajemnicę tego podupadającego zakątka miasta. Wtedy jednak nieoczekiwanie iluzja się rozplynęła – na równi zdradzona przez czyste nieprawdopodobieństwo, co widoczne niedociągnięcia – jednak nadal uparcie pedałowala, jak gdyby z nadzieją, że owe niedoskonałości i sprzeczności jakoś rozwieją się i znikną. Ślepa uliczka kończyła się przylegającym do ściany wąskim chodnikiem, na który Maria wjechała i zahamowała niemalże w ostatniej chwili, z przednim kołem zaledwie o kilka centymetrów od ściany magazynu.

Malowidło oglądane z bliska nie robiło wielkiego wrażenia, gdyż wyraźnie było widać ślady pociągnięć pędzla, a fałsz perspektywy wręcz rzucał się w oczy. Maria cofnęła się i wystarczyło zaledwie kilka metrów, by odkryć, dlaczego została wprowadzona w błąd. W odległości mniej więcej dwudziestu metrów namalowane niebo nieoczekiwanie zdawało się zlewać z tym prawdziwym; przy świadomym wysiłku woli mogła ponownie sprawić, by rozgraniczenie stało się zauważalne, lecz powstrzymanie przed zlaniami się ze sobą i rozplynięciem różnic dwóch odbieranych przez nią prawie identycznych barw wymagało tak niesamowitego wysiłku, jak gdyby jakiś głęboko ukryty w jej korze wzrokowej podukład odrzucał wszelkie wyobrażenia ściany w niebieskim kolorze nieba jako mało prawdopodobne i sam aktywnie uczestniczył w oszustwie. Kiedy cofnęła się jeszcze bardziej, zarówno trawa, jak i posągi zaczęły tracić swój dwuwymiarowy, rysunkowy charakter, a tuż przy rogu, tym, na którym skręciła w tę ślepa uliczkę, każdy z elementów kompozycji znalazł się dokładnie na właściwym miejscu i centralna alejka malowidła

zbiegała się dokładnie w tym samym punkcie na horyzoncie co przzerwana przez nią uliczka.

Kiedy odkryła najlepszą pozycję obserwacyjną, postawiła rower i stała tam przez chwilę. Słaby wiatr schłodził jej pot na karku, który następnie zaczęły kąsać promienie porannego słońca. Widok był hipnotyzujący, a sama myśl, że jakiś lokalny artysta zadał sobie aż tyle trudu, by załagodzić panującą w okolicy monotonię, wydawała się jej wielce pokrzepiająca. Równocześnie nic nie mogła poradzić i czuła się oszukana. Nie miała nic przeciwko temu, że przez chwilę dała się nabrać; czuła się natomiast urażona, bowiem nie potrafiła dać się oszukać po raz kolejny. Mogła sterczeć tutaj i tak długo podziwiać artyzm złudzenia, jak tylko przyszlaby jej na to ochota, ale nic nie mogło przywrócić jej tej fali uniesienia, którą poczuła w momencie oszustwa.

Odwróciła się.



Kiedy dotarła do domu, wypakowała kupione jedzenie, a następnie podniosła swój rower i podwiesiła na ramie znajdującej się przy suficie w salonie. Należący do Marii stuczterdziestoletni dom szeregowy miał kształt pudełka po płatkach śniadaniowych; był dwupiętrowy, lecz tak wąski, że ledwie mieścił schody. Pierwotnie stanowił część szeregu ośmiu domów, lecz cztery z jednej strony zostały wypatroszone i przerobione na biura pewnej firmy architektonicznej, a pozostałe trzy wyburzono na przełomie wieków, by zrobić miejsce pod nową drogę, która nigdy nie została wybudowana. Jedyńy, któremu udało się przetrwać, stał się teraz nietykalny z powodu jakiegoś dziwaczego prawa dotyczącego architektonicznej

spuścizny narodowej i Maria kupiła go za jedną czwartą ceny najtańszego ze współcześnie budowanych mieszkań. Pociągały ją w tym domu dziwaczne proporcje, a była pewna, że gdyby dysponowała większą przestrzenią życiową, o wiele słabiej by nad wszystkim panowała. W głowie posiadała równie wyraźny plan rozkładu pomieszczeń i porozstawianych w nich przedmiotów, co własnego ciała, i nie potrafiła sobie przypomnieć, by kiedykolwiek odłożyła najmniejszą chociażby rzecz na nie swoje miejsce. Nie potrafiłaby mieszkać tutaj z kimś, a posiadanie domu wyłącznie dla siebie, jak się wydawało, trafiało dokładnie we właściwą równowagę pomiędzy jej potrzebami terytorialnymi a organizacyjnymi. Na dodatek była przekonana, że o domach należy myśleć podobnie jak o pojazdach – fizycznie umiejscowione, lecz logicznie mobilne – a porównywanie go do jednoosobowej kapsuły kosmicznej, czy chociażby łodzi podwodnej, sprawiało, że oferowana przez niego przestrzeń wydawała się więcej niż hojna.

Gdy weszła na piętro, włączyła terminal w sypialni, która służyła jej również za biuro. Spojrzała na listę dwudziestu jeden wiadomości, które nadeszły, odkąd po raz ostatni sprawdziła skrzynkę pocztową. Wszystkie zostały sklasyfikowane jako „śmieci”, gdyż żadna z nich nie pochodziła od kogoś, kogo Maria by знаła – i żadna, chociażby nawet odlegle, nie przypominała oferty płatnej pracy. *Camel's Eye [(ang.) Wielbłądzie Ucho, dosł. Oko; nawiązanie do Ewangelii Św. Mateusza (19,24): Łatwiej jest wielbłądowi przejść przez ucho igielne, niż bogatemu wejść do królestwa niebieskiego; nazwa Camel's Eye jest obecnie również wykorzystywana w stosunku do filtra poczty elektronicznej, będącego oprogramowaniem typu open source, stworzonego przez Joerga Zierena]*, używane przez nią oprogramowanie ochronne, zidentyfikowało wśród nich sześć próśb o dotację od organizacji charytatywnych (wszystko godne cele, lecz Maria

znieczuliła swe serce), pięć zaproszeń do wzięcia udziału w loteriach i konkursach, siedem katalogów wysyłkowych (z których każdy szczyił się tym, że został skrojony dokładnie pod jej osobowość i „potrzeby obecnego stylu życia”, lecz Camel’s Eye oszacował ich zawartość i nie odnalazł w żadnym z nich niczego interesującego) oraz trzy wiadomości interaktywne.

„Głupia” audiowizualna wiadomość przychodziła w jawnych, standardowych formatach danych, lecz wiadomości interaktywne były programami wykonywalnymi o kodzie z potężnie zaszyfrowanymi danymi. Z założenia były one zaprojektowane w taki sposób, by przeprowadzenie przez człowieka bezpośredniej rozmowy okazywało się o wiele łatwiejsze niż przekazywanie ich programom ochronnym, mającym je wybadać, by następnie streścić człowiekowi odbytą przez nie rozmowę. Camel’s Eye uruchomił wszystkie trzy wiadomości interaktywne (na objętych podwójną kwarantanną maszynach wirtualnych – symulacji komputera uruchamiającej symulację komputera) i starał się je tak ogłupić, by uwierzyły, że prezentują się przed prawdziwą Marią Deluca. Dwie z nich, sprzedające usługi z zakresu ubezpieczeń zdrowotnych i emerytalnych, dały się na to nabrać, lecz trzecia, niestety, w jakiś niewyjaśniony sposób wydedukowała swe prawdziwe otoczenie i zamknęła się w sobie, nim zdążyła cokolwiek ujawnić. W teorii można było przekazać podobną do tej wiadomość Camel’s Eye, by ten zanalizował ją i ustalił, co też miałyby do przekazania, gdyby dała się nabrać; w praktyce jednak mogło to zabrać nawet i całe tygodnie. Wybór sprowadzał się więc bądź do wymazania takiej wiadomości na ślepo bez sprawdzania, bądź też do osobistego przeprowadzenia z nią rozmowy.

Maria uruchomiła wiadomość. Na terminalu pojawiła się męska twarz. Owa „osoba” po napotkaniu jej wzroku uśmiechnęła się ciepło. Maria nieoczekiwanie zdała sobie sprawę, że „osoba” na ekranie nieznacznie

przypomina Adena. Czy tylko to wystarczyło do wywołania drgnienia rozpoznania, którego nie wykazała ustalona dla Camel's Eye maska? Maria poczuła mieszaninę irytacji i niechętnego podziwu. Nigdy nie zamieszkiwali wspólnie z Adenem pod jednym dachem, lecz jak widać agencje zajmujące się analizą danych wykryły współzależności w używaniu należących do nich kart kredytowych w restauracjach, czy też cokolwiek innego, co pozwoliło im na wychwycenie związku łączącego dwie niemieszkające pod jednym adresem osoby. Określanie użytecznych powiązań pomiędzy klientami trwało już od dziesięcioleci, lecz posługiwanie się danymi w taki sposób – jako testem na rzeczywistość – miało posmak nowości.

Wiadomość, obecnie już w pełni przekonana, że rozmawia z prawdziwym człowiekiem, rozpoczęła swoje trajkotanie, którego wcześniej nie chciała marnować na cyfrowego pośrednika.

– Mario, zdaję sobie sprawę, jak cenny jest twój czas, ale mam też nadzieję, że możesz poświęcić kilka sekund, by mnie wysłuchać. – Tu przerwała na chwilę, by Maria poczuła, że jej milczenie jest swego rodzaju wyrażeniem zgody. – wiem również, że jesteś bardzo inteligentną i spostrzegawczą kobietą, w najmniejszym nawet stopniu nie zainteresowaną ogłupiającymi i nieracjonalnymi przesądami zrodzonymi w przeszłości, bajeczkami mającymi podnosić na duchu ludzkość w jej wczesnym, dziecięcym stadium. – Maria zaczęła już podejrzewać, do czego to wszystko zmierza, a program wyczytał to z jej twarzy, nie zawracała sobie bowiem głowy ukrywaniem się za jakimkolwiek rodzajem filtra; tak więc ruszył z kopyta, zarzucając swój haczyk. – Jednak taka prawdziwie inteligentna osoba nigdy nie odrzuca żadnego pomysłu, nie podejmując prób jego ewaluacji, sceptycznej, lecz bezstronnej, i dla takich właśnie osób powstał Kościół Boga, Który Nic Nie Robi.

Maria wymierzyła dwa palce w kierunku programu, wyłączając go w ten sposób. Zastanowiła się, czy to przypadkiem nie jej matka napuściła na nią Kościół, lecz nie wydawało jej się to zbyt prawdopodobne. Automatycznie musieli namierzać członków rodziny każdego nowego wyznawcy, bo gdyby tylko zapytali Francescę, ta powiedziała im, żeby nie marnowali swojego czasu.

Wywołała Camel's Eye.

– Zaktualizuj moją maskę tak, by reagowała podobnie jak moja twarz podczas tej rozmowy – przekazała.

Nastąpiła krótka chwila ciszy. Maria wyobraziła sobie, jak program zongluje parametrami wag synaptycznych w sieci neuronowej maski, gdy algorytm uczący poszukiwał wartości gwarantujących żadaną odpowiedź. Pomyślała: *Jeżeli dalej będę to robiła, moja maska stanie się wreszcie tak podobna do mnie jak w pełni rozwinięta Kopia. A jaki jest sens oszczędzania sobie żmudnych rozmów z wiadomościami śmieciami, skoro... tego nie robisz?* To była dogłębnie niemiła myśl, lecz maski były o rzędy wielkości mniej wyrafinowane od Kopii; miały mniej więcej tyle neuronów ile przeciętna złota rybka i to na dodatek zorganizowanych na o wiele mniej ludzką modłę. Zamartwianie się „doświadczeniem” maski byłoby równie niedorzeczne jak poczucie winy z powodu wykasowania niechcianej wiadomości podobnej do tej.

– Zrobione – stwierdził Camel's Eye.

Minęła zaledwie ósma piętnaście, a przed nią na horyzoncie majaczył kolejny nowy dzień, nie obiecujący niczego z wyjątkiem rachunków. W przeciągu ostatnich dwóch miesięcy nie otrzymała żadnej oferty pracy kontraktowej, więc napisała kilka programów użytkowych – w większości ulepszeń domowych systemów bezpieczeństwa, na które rzekomo istniał znaczny popyt. Do tej pory nie sprzedała ani jednej sztuki. Mimo iż kilka

tysięcy osób przejrzało pozycje z jej katalogu, żadna nie dała się przekonać, by je sobie ściągnąć. Perspektywa porywania się na kolejny podobny projekt niekoniecznie należała do elektryzujących, ale prawdę mówiąc, Maria nie miała innego wyboru. Kiedy skończy się recesja, a ludzie na nowo zaczną wydawać pieniądze, wtedy okaże się to właściwie spędzonym czasem.

Wcześniej jednak musiała się rozchmurzyć. Jeśli przynajmniej przez pół godzinki popracuje sobie w Autoverse – tak, co najwyżej do dziewiątej – będzie w stanie stawić czoło reszcie dzisiejszego dnia.

Z drugiej jednak strony zawsze mogła postarać się stawić czoło reszcie dnia bez przekupywania samej siebie. Chociażby raz. Autoverse był stratą czasu i pieniędzy. Był hobby, które można było usprawiedliwiać, gdy wszystko toczyło się tak jak należy, lecz w obecnej sytuacji stawało się zbytkiem, na który niezbyt mogła sobie pozwolić.

Położyła kres niezdecydowaniu w zwykły sposób. Zalogowała się na swój rachunek na JSN, Joint Supercomputer Network, płacąc za ten przywilej pięćdziesiąt dolarów, i musiała teraz sprawić, by okazało się to tego warte. Wsunęła dłonie w rękawice sensoryczne i na płaskim ekranie komputera trąciła ikonkę przedstawiającą szkielet sześcianu. Tuż przed ekranem ożyła trójwymiarowa przestrzeń robocza, której granice były zarysowane słabo widoczną holograficzną siatką. Przez sekundę odbierała swe dłonie, jakby zostały zanurzone w jakimś niewidzialnym wirze, kiedy pola magnetyczne chwytaly i wykręcały rękawice, a uruchamiające porywy przypadkowo szarpały za zwoje w każdym łączy aż do chwili, gdy elektronika osiągnęła stan równowagi, a w samym środku przestrzeni roboczej wyświetliła się następująca wiadomość: *MOŻESZ JUŻ UŻYWAĆ RĘKAWIC.*

Dźgnęła kolejną ikonkę, eksplodującą gwiazdę podpisaną *FIAT*. Jedynym widocznym efektem jej działania było pojawienie się malutkiego paska menu, unoszącego się nisko na pierwszym planie, lecz dla grupy uruchomionych w ten sposób programów znajdujący się przed terminalem sześcian próżni odpowiadał obecnie niewielkiemu, pustemu wszechświatowi.

Maria wywołała pojedynczą molekułę nutrozy, przedstawioną w formie prostego modelu z kulek i patyczków. Obracając gwałtownie umieszczonym w rękawicy palcem wskazującym, wymusiła na cząsteczce powolny obrót. Wierzchołki powykrzywianego sześciokątnego pierścienia znajdowały się na zmianę ponad lub poniżej średniej płaszczyzny molekuły. Jednym z tych wierzchołków był dwuwartościowy niebieski atom, połączony jedynie z sąsiadującymi wierzchołkami pierścienia. Pozostałe pięć stanowiły natomiast czterowartościowe zielenie, posiadające po dwa wolne wiązania dla jakichś innych grup. Każda z tych zieleni była połączona z małą jednowartościową czerwienią – u góry, jeśli wierzchołek znajdował się ponad płaszczyzną, u dołu, jeżeli poniżej płaszczyzny. Cztery z nich wypuszczały również krótkie horyzontalne kolce, skierowane na zewnątrz pierścienia, zbudowane z niebieskich i czerwieni. Piąta z zieleni posiadała zamiast tego niewielką grupkę atomów: zieleń z dwoma czerwieniami oraz własny niebiesko–czerwony kolec.

Oprogramowanie odpowiedzialne za obrazowanie przedstawiało molekułę w sugestywnie materialny sposób, biorąc pod uwagę efekty pochodzące od światła otoczenia. Maria obserwowała, jak cząsteczka obraca się ponad blatem biurka, podziwiając jej nie do końca symetryczną formę. Każdy prawdziwy chemik, zamyśliła się, spojrzełby tylko raz i stwierdził: *Glukoza. Zielenie to węgiel, niebieskie – tlen, czerwienie to wodór... prawda? Nieprawda. Przyjrzałby się temu jeszcze przez chwilę,*

wreszcie założył rękawice i dokładnie wybadał tego oszusta, błyskawicznie wydobyl ze skrzynki narzędziowej kątomierz i zmierzył kilka kątów, wywołał tabele energii tworzenia wiązań i modów oscylacyjnych, a być może nawet zażądał dostępu do widma jądrowego rezonansu magnetycznego (nawiasem mówiąc – niedostępnej tu opcji, czy też, by rzecz bardziej wprost – opcji, która nie miała tu żadnego zastosowania)... i wreszcie, wraz z narastającą świadomością, że ma oto do czynienia z bluźnierstwem, oderwała dłonie od diabelskiej maszynerii i wyskoczył z pomieszczenia, wrzeszcząc: „Istnieje jedynie układ okresowy Mendelejewa! Istnieje jedynie układ okresowy Mendelejewa!”.

Autoverse był „zabawkowym” wszechświatem, komputerowym modelem przestrzegającym własnych, uproszczonych „praw fizyki” – praw, które pod względem matematycznym były o wiele łatwiejsze do ogarnięcia niż opisujące świat rzeczywisty równania mechaniki kwantowej. W takim stylizowanym świecie mogły istnieć atomy niemal niezauważalnie różniące się od swoich rzeczywistych odpowiedników. Autoverse bowiem nie naśladował prawdziwego świata bardziej niż gra w szachy naśladowała średniowieczną potyczkę zbrojną. W oczach wielu chemików zajmujących się światem rzeczywistym był jednak o wiele bardziej zdradziecki niż szachy. Podtrzymywana przez niego fałszywa chemia była zbyt bogata, zbyt złożona i o wiele za bardzo kusząca.

Maria po raz kolejny sięgnęła w obszar przestrzeni roboczej, tym razem zatrzymując obrót cząsteczki. Następnie zręcznie wyszarpała zarówno samotną czerwień jak i niebiesko–czerwony kolec jednej z zieleni, by natychmiast wetknąć je z powrotem, tak zamieniając miejscami, że kolec był obecnie skierowany do góry. Sensory rękawic odpowiedzialne za odbiór reakcji dotykowych, tworzony za pomocą lasera obraz molekuly oraz słabe kliknięcie, przypominające uderzenie plastiku o plastik, które usłyszała, gdy

wpychała atomy na nowe miejsce – wszystko to razem dawało przekonujące wrażenie manipulowania namacalnymi obiektami, zbudowanymi z solidnych kul i pręcików.

Taki wirtualny model stworzony z kulek i patyczków był łatwy w użyciu, lecz jego spokojne zachowanie w jej rękach nie miało nic wspólnego z chwilowo zawieszoną fizyką Autoverse'u. Ledwie zwolniła chwyt, pozwoliło to cząsteczce na wyrażenie swej prawdziwej dynamiki, gdyż zaczęła szaleńczo drgać, kiedy naprężenia spowodowane wprowadzoną właśnie zmianą były rozprowadzane pomiędzy poszczególnymi budującymi ją atomami aż do chwili ustalenia nowej geometrii równowagi.

Maria obserwowała tę opóźnioną reakcję ze znajomym już poczuciem frustracji, gdyż nigdy nie potrafiła się pogodzić z obowiązującymi zasadami manipulacji, niezależnie od tego, jak bardzo były poręczne. Rozmyślała nad próbami wymyślenia bardziej autentycznego sposobu interakcji, takiego, który oferowałby możliwość poczucia, jak to „naprawdę byłoby” schwycić znajdującą się w Autoverse molekułę, by zerwać, a następnie odbudować jej wiązania – zamiast tego, że pod dotknięciem rękawicy wszystko zmieniało się w symulowany plastik. Haczykiem był tutaj fakt, że molekuła przestrzegała wyłącznie autoversowej fizyki – wewnętrznej logiki samowystarczalnego modelu komputerowego – jak więc w ogóle można było wpływać na nią z zewnątrz? Konstruując malutkie zastępcze ręce w Autoverse, by działały jako zdalne manipulatory? z czego miałyby je stworzyć? Nie istniały żadne wystarczająco małe cząsteczki, z których można było zbudować cokolwiek o tak precyzyjnej strukturze w wymaganej skali, gdyż najmniejszy ze sztywnych polimerów, który mógłby tu pełnić rolę „palców”, miał grubość połowy szerokości pierścienia nutrozy. Tak czy inaczej, mimo iż każda docelowa molekuła miałyby

swobodę reakcji z tymi zastępczymi dłońmi wyłącznie zgodnie z fizyką Autoverse'u, w sposobie magicznego podążania tych rąk za ruchem rękawic nie byłoby nic autentycznego. Maria nie potrafiła dostrzec żadnych pozytywów w zwykłym przesuwaniu punktu łamania zasad, które i tak musiały gdzieś zostać pogwałcone. Manipulowanie zawartością Autoverse'u przekładało się na pogwałcenie jego praw. To było oczywiste. Lecz wciąż mimo wszystko frustrujące.

Zapisała zmodyfikowany cukier, optymistycznie nazywając go mutozą. Następnie, zmieniając współczynnik skali milionkrotnie, założyła dwadzieścia jeden malutkich hodowli *Autobacterium lamberti* na pożywkach rozciągających się od stuprocentowej nutrozy poprzez jej mieszaninę pół na pół z mutozą aż po takie hodowle, które zawierały wyłącznie mutozę.

Przyglądała się szeregowi unoszących się w przestrzeni roboczej szalek Petriego, gdzie kolorami zakodowano stan zdrowia znajdujących się w nich bakterii. „Fałszywe kolory”... ale to wyrażenie było tautologiczne. Każda wizualizacja wnętrza Autoverse'u była z konieczności stylizowana, była zakodowaną kolorami mapą, przedstawiającą wybrane atrybuty obszaru zainteresowania. A niektóre z nich były bardziej abstrakcyjne i silniej przetworzone niż pozostałe – podobnie jak mapa Ziemi, na której kolorami zakodowano stan zdrowia mieszkańców, była może bardziej abstrakcyjna niż ta, na której przedstawiono wysokość nad poziomem morza lub ilość opadów – ale pochodzący z prawdziwego świata ideał niezmaconego obrazu widocznego gołym okiem nie miał tutaj najzwyczajniej w świecie żadnego przełożenia.

Kilka hodowli już zdecydowanie wyglądało na chore, blaknąc z elektryzującego błękitu do posępnego brązu. Maria wywołała trójwymiarowe wykresy wszystkich mieszanek odżywczych,

przedstawiające wielkość populacji w funkcji czasu. Hodowle ze śladową ilością nowej substancji, co było zresztą łatwe do przewidzenia, rosły niemal w tym samym tempie co grupa kontrolna, lecz wraz ze zwiększającą się zawartością mutozy w pożywce wzrost populacji stopniowo zwalniał i gdzieś w okolicach osiemdziesięciu pięciu procent populacja stawała się statyczna. Za tym punktem znajdowały się ostro opadające krzywe, świadczące o zagładzie hodowli, w małych dawkach mutozą najzwyczajniej nie miała żadnego znaczenia, lecz przy odpowiednio wysokich stężeniach była zdradziecka: wystarczająco podobna do nutrozy – zwyczajowego pożywienia *A. lamberti* – by zostać częściowo przeprowadzona przez cykl metaboliczny, konkurując o te same enzymy, wiążąc wartościowe zasoby biochemiczne... by wreszcie dojść do takiego etapu, w którym ten zabłąkany nie na swoim miejscu niebiesko–czerwony kolec stawał się barierą nie do przebycia pod względem geometrii reakcji, co pozostawiało bakterię jedynie z bezużytecznym produktem pośrednim i stratami energii w całkowitym bilansie procesu. Hodowla na pożywce zawierającej dziewięćdziesiąt procent mutozy okazywała się światem, gdzie dziewięćdziesiąt procent dostarczanego pożywienia nie miało żadnej, takiej czy innej, wartości odżywczej, ale i tak musiało zostać strawione wraz z dziesięcioma procentami wartymi zachodu. Otrzymywanie tego samego, przy równoczesnej dziesięciokrotnie większej konsumpcji, nie było zbyt życiowym rozwiązaniem. By przeżyć na dłuższą metę, *A. lamberti* musiałaby zupełnie przypadkowo odkryć jakiś sposób na odrzucenie mutozy jeszcze przed zmarnowaniem na nią swej energii, bądź też – co byłoby nawet o wiele lepszym rozwiązaniem – odkryć sposób na przekształcenie jej z powrotem w nutrozę, przemieniając ją tym samym z trucizny w źródło pożywienia.

Maria wyświetliła histogram obrazujący pojawiające się u bakterii mutacje w trzech genach epimerazy nutrozy, gdyż właśnie kodowane przez te geny enzymy były najbliższym z tego, co posiadała *A. lamberti* jako narzędzia mające tak przekształcić mutozę, by ta nadawała się do trawienia – mimo iż żadna z epimeraz w swej oryginalnej formie nie potrafiła wykonać tego zadania. Do tej pory żadna z obserwowanych mutacji nie przetrwała więcej niż kilku pokoleń i na razie wszelkie zmiany najwyraźniej przynosiły więcej szkód niż pożytku. Częściowe sekwencje zmutowanych genów przepływały przez małe okienko i Maria wpatrywała się w rozmazane kodony, popędzając w myślach cały proces – o ile nie wprost do celu (skoro nie miała nawet najmniejszego pojęcia, jak też miałyby on wyglądać), to przynajmniej... dalej, na ślepo, w przestrzeń wszystkich możliwych błędów.

To była bardzo przyjemna myśl. Jedyne problem stanowiło to, że niektóre fragmenty genów zdawały się szczególnie podatne na pewne ściśle określone błędy występujące podczas kopiowania, więc większość zmutowanych wersji, raz za razem, „badała” te same ślepe zaułki mutacji.

Starania mające na celu wywołanie mutacji u *A. lamberti* były banalne, gdyż podobnie jak w przypadku prawdziwych bakterii, za każdym razem, kiedy tylko duplikowała ona swój odpowiednik DNA, pojawiały się częste błędy. Ale już samo przekonanie bakterii, by mutowała w sposób „użyteczny”, było zupełnie inną parą kaloszy. Sam Max Lambert – ojciec Autoverse'u i twórca *A. lamberti*, bohater w oczach grupy maniaków zajmujących się automatami komórkowymi i sztucznym życiem – przez lwią część ostatnich piętnastu lat swego życia starał się odkryć odpowiedź na następujące pytanie: Dlaczego subtelne różnice pomiędzy biochemią otaczającego nas świata a tą autoversową sprawiają, że dobór naturalny występuje powszechnie w pierwszym z tych systemów, podczas gdy w

drugim staje się niesamowicie zawodny? w obliczu tych samych niepokojących możliwości, które w przypadku *E. coli* zostałyby wykorzystane w przeciągu kilku pokoleń, *A. lamberti* najzwyczajniej wymierała, szczep za szczepem.

Jedynie kilku zapalonych entuzjastów wciąż kontynuowało prace Lamberta. Maria wiedziała zaledwie o siedemdziesięciu dwóch osobach, które chociażby w najmniejszym stopniu zdawałyby sobie sprawę ze znaczenia jej ewentualnego sukcesu. W obecnych czasach kręgi zajmujące się sztucznym życiem zostały zdominowane przez badania Kopii – istot pozszywanych z różnych kawałków, mozaik dziesięciu tysięcy różnych skleconych *ad hoc* zasad... antytezy wszystkiego, co reprezentował sam Autoverse.

Biochemia prawdziwego świata była zbyt złożona, by móc symulować w każdym najmniejszym szczególe stworzenie wielkości komara, nie wspominając już o człowieku. Za pomocą komputerów modelowanie wszystkich życiowych procesów stawało się możliwe, lecz nie udawało się tego robić równocześnie na każdym poziomie, od pojedynczego atomu aż po cały organizm. Tak więc cała dziedzina podążyła w trzech różnych kierunkach.

W pierwszym obozie trwali tradycjoniści, biochemicy molekularni, kontynuujący rozwój złożonych kalkulacji, rozwiązując z mniejszą lub większą dokładnością równania Schrödingera dla coraz to większych układów i tym samym torując drogę dla całych nici replikacyjnego DNA, mitochondrialnych podjednostek oraz wielkich zlepków gigantycznych węglowodanów, przypominających siateczkę, które łączyły się na zewnątrz z błoną komórkową... lecz równocześnie poświęcając na to coraz więcej mocy obliczeniowej, a w zamian zyskując coraz mniej.

Na drugim biegunie znajdowały się Kopie: złożone udoskonalenia symulacji całego organizmu, pierwotnie zaprojektowane celem pomocy w ćwiczeniach chirurgicznych podczas wirtualnych operacji oraz po to, by zająć miejsce zwierząt w testach medycznych. Kopia była wysokiej rozdzielczości skanem PET, ożywionym i podłączonym do encyklopedii medycznej, której zadaniem było mozolne odcyfrowywanie, jak powinny się zachowywać wszystkie tkanki i organy... w tym przypadku znajdujące się wewnątrz architektonicznych symulacji z najwyższej półki. Kopia nie posiadała żadnych pojedynczych atomów ani molekuł, a każdy z jej organów w wirtualnym ciele pojawiał się w przebraniu wyspecjalizowanego podprogramu, wiedzącego (z encyklopedycznymi, a nie anatomicznymi szczegółami), jak funkcjonowałyby prawdziwa wątroba, mózg czy tarczyca... lecz nie potrafiącego rozwiązać równania Schrödingera i to nawet dla prostej cząsteczki białka. Czysta fizjologia, zero fizyki.

Lambert i jego naśladowcy wzięli w swe posiadanie wszystko, co znalazło się pośrodku. Opracowali nową fizykę, wystarczająco prostą, by pozwoliła kilku tysiącom bakterii znaleźć się w skromnej symulacji komputerowej wraz ze spójną, niezłomną hierarchią szczegółów, które rozciągały się aż do poziomu subatomowego. Wszystko zaczynało się od samego dołu, od najbardziej podstawowych praw fizyki, dokładnie tak samo jak w świecie rzeczywistym.

Ceną, jaką należało zapłacić za takie uproszczenia, był fakt, że bakterie w Autoverse niekoniecznie zachowywały się tak jak ich rzeczywiste odpowiedniki. *A. lamberti* miała zwyczaj komplikowania tradycyjnych oczekiwań w dziwaczne i nieprzewidywalne sposoby – co dla większości poważnych mikrobiologów było wystarczającym powodem, by traktować

ją jako zupełnie bezwartościową. Jednakże dla ludzi uzależnionych od Autoverse'u na tym właśnie wszystko polegało.

Maria ruchem dłoni odsunęła na bok wykresy przysyłające jej szalki Petriego, a następnie tak długo przybliżała jedną z rozwijających się hodowli, aż pojedyncza bakteria wypełniła jej całą przestrzeń roboczą. Zakodowana kolorem oznaczającym „zdrowa”, była bezkształtną niebieską plamką, lecz nawet gdy Maria przełączyła na standardową mapę chemiczną, ta nie wykazała żadnej widocznej struktury wewnętrznej poza ścianą komórki – żadnego jądra, organelli ani nawet żadnych wici. *A. lamberti* była zaledwie pęcherzykiem protoplazmy. Maria zabawiała się sposobem jej obrazowania, sprawiając, że pojawiały się cieniutkie włókienka rozluźnionych chromosomów, podświetlając obszary, gdzie dochodziło do syntezy protein, uwidaczniając gradienty stężenia nutrozy i jej bezpośrednich metabolitów. Obrazy te pod względem dokonywanych obliczeń były dosyć kosztowne, skłęła się więc (jak zwykle) za szastanie pieniędzmi, ale nie potrafiła (zresztą... jak zwykle) wyłączyć wszystkiego poza koniecznym oprogramowaniem służącym do analizy (i samym Autoverse). Zawiodła, bo nie potrafiła siedzieć i wpatrywać się w próżnię, cierpliwie czekając na wyniki.

Zamiast tego zbliżyła jeszcze bardziej i przełączyła na kolory poszczególnych atomów (równocześnie pozostawiając niewidocznymi przenikające wszystko molekuly aquy), zatrzymała chwilowo czas, by zamrozić rozmazanie powodowane ruchami termicznymi, po czym wykonywała kolejne przybliżenia, aż niewielkie plamki, porzrucane po całej przestrzeni roboczej, wyostrzyły się do złożonych płątanin długołańcuchowych lipidów, polisacharydów i peptydoglikanów. Nazwy te zostały bezpośrednio i bez żadnych modyfikacji przejęte od ich rzeczywistych odpowiedników – ale pieprzyć to, komu chciałoby się

marnować życie na wymyślanie kompletnie nowej nomenklatury biochemicznej? Na Marii wystarczające wrażenie wywarł fakt, że Lambert opracował rozróżnialne kolory dla wszystkich trzydziestu dwóch autowersowych atomów wraz z pasującymi do nich jednoznacznymi nazwami.

Prześledziła morze złożonych molekuł – wszystkie bez wyjątku zostały zsyntetyzowane przez *A. lamberti* z nutrozy, aquy, pneумы oraz kilku innych śladowych pierwiastków. Niezdolna do wyśledzenia chociażby pojedynczej cząsteczki mutozy, wywołała program Maxwell's Demon [(ang.) *Demon Maxwella; hipotetyczna istota zaproponowana w 1867 roku przez Jamesa Clerka Maxwella jako rodzaj eksperymentu myślowego, mającego na celu przedstawienie układu niezachowującego drugiej zasady termodynamiki, zgodnie z którą entropia układu izolowanego może jedynie się zwiększać*] i zażądała, by wykonał za nią to zadanie. Zauważalny poślizg w odpowiedzi programu zawsze uświadamiał jej ogrom informacji, którymi się – ot, tak sobie – zabawiała, oraz sposób, w jaki wszystko było zorganizowane. Tradycyjna symulacja biochemiczna śledziłaby położenie każdej z molekuł i niemal natychmiast przekazałaby jej dokładną pozycję najbliższego z przekształconych cukrów. W tradycyjnej symulacji taki katalog molekuł byłby „prawdą ostateczną”, gdyż nie istniałoby nic z wyjątkiem wpisu na tej Najważniejszej z List. W przeciwieństwie do tego, „prawda ostateczna” Autoverse'u była ogromnym zbiorem sześciennych komórek o subatomowych wymiarach, a pierwotne oprogramowanie zajmowało się wyłącznie takimi właśnie komórkami, niepomnie wszelkich większych struktur. Atomy w Autoverse przypominały huragany z modelu atmosferycznego (były jedynie bardziej stabilne); wyrastały z prostych praw rządzących najmniejszymi elementami systemu. Nikt nie miał potrzeby kalkulowania ich zachowań; prawa rządzące poszczególnymi

komórkami napędzały wszystko, do czego dochodziło na wyższych poziomach. Co oczywiste, można było użyć roju demonów, by zestawiał i zapamiętywał pewnego rodzaju spis atomów i molekuł – przy wielkim nakładzie obliczeniowym, co raczej zupełnie pozbawiałoby sensu taką czynność. A sam w sobie Autoverse i tak kipiałby wewnątrz, niezależnie od wszystkiego.

Maria unieruchomiła swój punkt widzenia na cząsteczce mutozy, a następnie włączyła upływ czasu i wszystko – z wyjątkiem pojedynczego sześciokątnego pierścienia – rozmazało się i stało półprzezroczyste. Sama molekula została jedynie nieznacznie rozmyta; obecne konwencje reprezentacji obrazu sprawiały, że uśredniona pozycja atomu była wyraźnie widoczna, a odchylenia spowodowane oscylacjami wiązań jedynie sugerowane przez nieznacznie zamglone smugi.

Zbliżała jeszcze bardziej, dopóki molekula nie wypełniła jej całej przestrzeni roboczej. Nie wiedziała, na co tak właściwie liczyła – na skutecznie zmutowany enzym epimerazy, który nagle, nieoczekiwanie zatrzaskuje się na pierścieniu i przywraca odchylony niebiesko–czerwony kolec do pozycji horyzontalnej? Nawet nie biorąc pod uwagę kwestii samego prawdopodobieństwa, i tak byłoby po wszystkim, zanim jeszcze dotarłoby do niej, że zaistniał taki proces. Ten problem można było łatwo rozwiązać – poinstruowała Demona, by zarejestrował w swoim buforze kilka milionów ujęć czasowych z życia cząsteczki, a następnie odtwarzał je dla niej w odpowiednim tempie, o ile tylko pojawiłyby się jakiegokolwiek zmiany strukturalne.

Osadzony w „żywym” organizmie pierścień mutozy wyglądał dokładnie tak samo jak jego prototyp, którym zajmowała się przed kilkoma minutami: czerwone, zielone i niebieskie kule, połączone białymi pręcikami. Fakt, że składa się z tak komiksowych molekuł, nawet w przypadku bakterii

zakrawał wręcz na zniewagę. Oprogramowanie odpowiedzialne za obrazowanie nieprzerwanie przeczesywało malutki obszar Autoverse'u, identyfikując wszelkie układy składające się na pojedynczy atom, sprawdzając istniejące pomiędzy nimi połączenia, by móc określić, które łączą się ze sobą wiązaniem, a następnie wyświetlać zgrabne, uporządkowane, stylizowane obrazki własnych wniosków. Podobnie jak zasady manipulacji, które przyjmowały tę reprezentację tak, jak ją było widać, było to użyteczną fikcją, ale.

Maria zwolniła autoversowy zegar o dziesięć miliardów razy, a następnie wywołała na ekran menu widokowe, w którym włączyła opcję oznaczoną RAW. Poukładany zbiór sfer i pręcików rozlał się w postrzępioną koronę wijących się polichromatycznych języczków płynnego metalu, fale koloru kipiały z wierzchołków, by zderzać się ze sobą, zlewać, spływać z powrotem lub wyciekać języczkami w otaczającą je przestrzeń.

Zwolniła o kolejne sto razy, co niemal zamroziło cały ten zgiełk; następnie w tym samym stopniu zbliżyła obraz. Pojedyncze sześciennie komórki, z których stworzono Autoverse, były teraz widoczne i mniej więcej co sekundę zmieniały swój stan. Każdy ze „stanów” komórki – będący liczbą całkowitą z przedziału od zera do dwustu pięćdziesięciu pięciu – był przeliczany w każdym kolejnym cyklu zegarowym zgodnie z prostym zestawem reguł, z którego korzystano również w stanie poprzedzającym daną chwilę, a który był uzależniony od stanów najbliższych sąsiadów w trójwymiarowej siatce. Automat komórkowy, jakim był Autoverse, jedynie te zasady stosował jednolicie do każdej z komórek; to właśnie były owe panujące tu fundamentalne „prawa fizyki”. Na tym poziomie nie istniały żadne zniechęcające kwantowo–mechaniczne równania, z którymi należałoby się borykać – pojawiała się jedynie garstka trywialnych arytmetycznych operacji i to wykonywanych na liczbach

całkowitych. A mimo to te kompletnie trywialne prawa Autoverse'u nieprzerwanie były w stanie tworzyć „atomy” i „molekuły” o wystarczająco złożonej „chemii”, by mogła ona podtrzymać „życie”.

Maria prześledziła wzrokiem los grupki złotych komórek rozciągających się w sieci: zgodnie z założeniami komórki się nie poruszały, choć ich wzór ciągle się rozwijał – przełamując i anektując obszar metalicznego błękitu po to tylko, by po chwili ulec kolejnemu atakowi i zostać pochłoniętym przez falę koloru magenty.

Tak właśnie wyglądała „prawdziwa” twarz Autoverse'u, o ile w ogóle jakąś posiadał. Paleta przypisująca kolor do każdego ze stanów wciąż była „fałszywa”, wciąż zupełnie arbitralna, lecz przynajmniej sam obraz odsłaniał teraz złożoną trójwymiarową partię szachów, która leżała u podstaw całej reszty.

Wszystkiego z wyjątkiem sprzętu; z wyjątkiem samego komputera.

Maria przeskoczyła na standardowe tempo zegara i makroskopowy widok dwudziestu jeden szalek Petriego – dokładnie w chwili, gdy na pierwszym planie pojawiła się następująca wiadomość:

JSN z przykrością informuje, że przypisane tobie zasoby mocy obliczeniowej zostały właśnie przekazane klientowi oferującemu wyższą stawkę. Zapis twojej sesji został zachowany w pamięci masowej i będzie dostępny, kiedy zalogujesz się następnym razem. Dziękujemy za skorzystanie z naszych usług.

Przez pół minuty Maria tkwiła nieruchomo i klęła ze złością, następnie nieoczekiwanie przerwała tę czynność i zatopiła twarz w dłoniach. Przede wszystkim nie powinna się była w ogóle logować. Trwonienie oszczędności na zabawianie się zmutowaną *A. lamberti* było szaleństwem, lecz wciąż nie

mogła przestać tego robić. Autoverse był tak kuszący, tak hipnotyczny... tak uzależniający.

Ktokolwiek, rozpychając się łokciami, wepchnął się na jej miejsce w sieci, tylko oddał jej tym samym przysługę; nawet więcej, bo skoro została niezwłocznie wyrzucona, a nie jedynie spowolniona do ślimaczego tempa, otrzyma teraz pełen zwrot pięćdziesięciu dolarów opłaty, którą wpłaciła przy logowaniu.

Kierowana chęcią odkrycia tożsamości mimowolnego dobroczyńcy, Maria zalogowała się bezpośrednio na QIPS Exchange – miejsce, gdzie handlowano mocą obliczeniową. Jej połączenia z JSN, zawsze niewidocznie dla niej samej przechodziły przez Exchange, gdyż tak zaprogramowała swój terminal, by ten automatycznie licytował względem obowiązującego tam kursu rynkowego aż do pewnego maksymalnego poziomu. Obecnie jednak pewna grupa ochrzczona mianem Operacji Motyl wykupywała QIPS – kwadryliony instrukcji na sekundę – za SZEŚĆSETKROTNĄ wartość określonego przez nią maksymalnego pułapu i zdołała zgromadzić pełne sto procent globalnie dostępnej w sprzedaży mocy obliczeniowej.

Maria była oszołomiona; do tej pory nigdy nie natknęła się na coś podobnego. Wykres kołowy przedstawiający przyjętych oferentów – zwykle wyglądający jak migotliwy kalejdoskop tysięcy cieniutkich plasterków – był obecnie statycznym niebieskim dyskiem, na którym nic się nie zmieniało. Co prawda samoloty nie zaczną przez to spadać z nieba, a światowy handel nie zostanie sparaliżowany... lecz jeśli chodziło o zadania, w przypadku których nie warto było posiadać na własność odpowiedniej mocy obliczeniowej, każdego dnia polegały na Exchange dziesiątki tysięcy akademików i ludzi przeprowadzających badania przemysłowe. Nie wspominając już o kilku tysiącach Kopii. Ale i tak sam fakt, że pojedynczy

użytkownik wpakowywał się tutaj siłą i przebił wszystkich pozostałych, był bezprecedensowy. Któż to potrzebował aż takiej ilości mocy obliczeniowej? Wielki biznes? Poważna nauka? Wojsko? Wszyscy z nich posiadali przecież własny sprzęt, i to będący wyłącznie do ich dyspozycji. Sprzęt, który zazwyczaj zaspokajał, i to z nawiązką, ich własne potrzeby. Jeśli w ogóle pojawiali się na giełdzie, to tylko po to, by pozbyć się własnych nadwyżek.

Operacja Motyl? Nazwa, nie wiadomo dlaczego, zabrzmiała jakby znajomo. Maria zalogowała się do systemu wiadomości, poszukując jakichkolwiek doniesień, w których ta nazwa zostałaby użyta. Najnowsze z wyświetlonych pochodziło sprzed trzech miesięcy:

Kuala Lumpur – poniedziałek, 8 sierpnia 2050: w dniu dzisiejszym, w czasie spotkania Ministrów Ochrony Środowiska Stowarzyszenia Narodów Azji Południowo–Wschodniej (ASEAN), podjęto decyzję o wprowadzeniu w życie ostatniej fazy Operacji Motyl, kontrowersyjnego planu mającego na celu próbę ograniczenia zniszczeń oraz strat w ludziach powodowanych przez pojawiające się w tym regionie tajfuny cieplarniane.

Długofalowym celem projektu jest wykorzystanie tak zwanego „efektu motyla” do zmiany przebiegu tajfunów, a tym samym przeprowadzenia ich z dala od wrażliwych i gęsto zaludnionych obszarów – a nawet, być może, do zapobiegania ich powstawaniu.

– Zdefiniuj „efekt motyla” – rzuciła Maria i na de czytanego doniesienia prasowego otworzyło się przed nią kolejne okno:

Efekt motyla: Termin wprowadzony pod koniec lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku przez meteorologa Edwarda Lorenza, mający na celu udratyzowanie bezcelowości podejmowanych przez człowieka prób długoterminowego prognozowania pogody. Lorenz wskazał, że systemy meteorologiczne są tak czułe na własne warunki początkowe, iż trzepoczący

skrzydłami motyl znajdujący się w Brazylii mógłby stać się wystarczającym bodźcem do określenia, czy po miesiącu w Teksasie pojawi się tornado. Żaden z modeli komputerowych nie mógłby nigdy zawierać aż tak znikomych szczegółów, a co za tym idzie, wszelkie próby przewidzenia pogody na więcej niż kilka dni do przodu byłyby z góry skazane na niepowodzenie.

Później, w latach dziewięćdziesiątych, termin począł jednak tracić swe oryginalne, pesymistyczne konotacje. Naukowcy odkryli, że choć efekt niewielkich, przypadkowych wpływów sprawia, iż chaotyczny system zachowuje się nieprzewidywalnie, to w pewnych ściśle określonych warunkach tę samą czułość można z premedytacją wykorzystać do tego, by zwrócić dany układ w kierunku wybranym przez ludzi. Ten sam rodzaj procesów, które wzmacniały trzepot skrzydeł motyla do siły tornado, mógł również wzmacniać efekty systematycznych interwencji, pozwalając na pewien stopień kontroli, wielokrotnie przewyższający wykorzystaną w tym celu energię.

Obecnie wyrażenie „efekt motyla” odnosi się głównie do zasady kontrolowania chaotycznych systemów przy użyciu minimalnej siły, co zawdzięczamy szczegółowej wiedzy dotyczącej ich dynamiki. Technika ta znalazła zastosowanie w szeregu zagadnień, w tym m.in. w inżynierii chemicznej, manipulacjach giełdowych, elektronicznych układach sterowania w aeronautyce oraz w proponowanym przez ASEAN systemie kontroli pogody, nazwanym Operacja Motyl.

Tu następowały dalsze wyjaśnienia, lecz Maria już załapała, o co tak właściwie w tym wszystkim chodzi, więc wróciła do czytanego wcześniej doniesienia prasowego.

Meteorolodzy planują rozsianie na wodach tropikalnego Zachodniego Pacyfiku i Morza Południowochińskiego sieci setek tysięcy urządzeń, które zajęłyby się „kontrolowaniem pogody”. Byłyby one napędzane energią słoneczną i zostałyby tak zaprojektowane, by móc w razie potrzeby zmieniać temperaturę otaczającego ich środowiska, przepompowując wodę pomiędzy różnymi głębokościami. Modele teoretyczne sugerują, że wystarczająca liczba tych urządzeń, poddana złożonemu nadzorowi komputerowemu, mogłaby wpłynąć na wzorce pogodowe w wielkiej skali, „popychając” je w kierunku najmniej szkodliwych spośród wielu podobnych wyników.

Osiem różnych prototypów tych urządzeń przetestowano na otwartym oceanie, lecz nim inżynierowie dokonają spośród nich wyboru jednego, który w późniejszym czasie trafi do masowej produkcji, konieczne jest przeprowadzenie zakrojonych na szerszą skalę badań dotyczących możliwości przeprowadzenia takiego planu. W czasie najbliższych trzech lat wszelkie potencjalnie zagrażające temu obszarowi tajfuny zostaną zanalizowane dzięki modelowi komputerowemu o największej z możliwych rozdzielczości, którego zadaniem będzie przetestowanie efektów działania różnych typów i liczby nieistniejących jeszcze urządzeń. Jeśli symulacje wykażą, że interwencja mogłaby przynieść znaczące ograniczenie strat zarówno pod względem życia ludzkiego, jak i dóbr doczesnych, Rada Ministerialna ASEAN będzie musiała zdecydować, czy wydać szacunkowe sześćdziesiąt miliardów dolarów konieczne do urzeczywistnienia takiego systemu.

Inne państwa przyglądają się eksperymentowi z wielkim zainteresowaniem.

Maria odsunęła się od ekranu. Była pod wrażeniem. Komputerowy model o największej z możliwych rozdzielczości. Mówili to całkiem dosłownie. Wykupili wszelką moc obliczeniową dostępną w sprzedaży – wydając na to

niewielką fortunę, lecz i tak zaledwie drobny ułamek tego, ile kosztowałby zakup całego potrzebnego sprzętu w jednym podejściu.

Popychanie tajfunów! Jeszcze nie, przynajmniej nie w rzeczywistości... ale kto też mógłby mieć za złe Operacji Motyl jej krótkotrwały monopol na rynku, skoro miał on na celu tak ważny eksperyment? Maria poczuła dreszcz z powodu samej skali przedsięwzięcia, po czym ogarnęła ją mieszanina winy i rozgoryczenia, że jest jedynie biernym obserwatorem rozgrywających się właśnie wydarzeń. Co prawda nie ukończyła żadnych studiów z fizyki atmosferycznej czy oceanicznej, nie posiadała doktoratu z teorii chaosu, ale w przeprowadzanym na tak olbrzymią skalę projekcie musiało istnieć kilkaset miejsc pracy dla zaledwie banalnych programistów. Kiedy te oferty pracy rozchodziły się w sieci, była najprawdopodobniej zbyt zajęta jakimś gównianym kontraktem dotyczącym udoskonalania dotykowych wrażeń piasku, który miał zalegać plaże wirtualnego Złotego Wybrzeża, bądź też majstrowała przy genomie *A. lamberti*, starając się zostać pierwszą osobą na świecie, która tak dołoży symulowanej bakterii, by ta wykazała wreszcie zdolność doboru naturalnego.

Nie do końca było jasne, jak długo ma zająć Operacji Motyl monitorowanie każdego z tajfunów, ale z pewnością mogła zapomnieć o korzystaniu z Autoverse'u przez najbliższy dzionek.

Niechętnie wylogowała się z systemu wiadomości – zwalczając w sobie pokusę, by jeszcze posiedzieć i poczekać na pierwsze raporty dotyczące obecnie badanego tajfunu bądź też na falę komentarzy innych użytkowników superkomputera, spowodowanych tak olbrzymim wykupem mocy obliczeniowej – i rozpoczęła przeglądanie własnych planów dotyczących nowego pakietu odpowiedzialnego za inwigilację intruzów.

2.

(Nie przekazuj żadnych braków)
(Remit not paucity)

listopad 2050

– To, o co proszę, to dwa miliony euro. W zamian oferuję ci nieśmiertelność.

Biuro Thomasa Riemanna było malutkie, lecz nie zagracone. Umieblowano je ze smakiem, unikając jednak ostentacji. Pojedyncze olbrzymie okno oferowało rozległy widok na Frankfurt – rzut na północ miasta, wzdłuż rzeki, jak gdyby z Sachsenhausen, w kierunku trzech kruczoczarnych wieżowców Siemens/Deutsche Bank Centre – co zdaniem Thomasa było równie uczciwe jak każdy inny przekonujący widok. Połowa biur we Frankfurcie posiadała za oknem nagrania lasów tropikalnych, olśniewających pustynnych kotlin, antarktycznych półek lodowcowych bądź krajobrazów stworzonych w pełni syntetycznie: wiejsko–idyllicznych, futurystycznych, międzyplanetarnych czy zwyczajnie surrealistycznych. Mając możliwość wyboru wszystkiego, na co tylko przyszłaby mu ochota, wybrał ten znajomy widok z czasów cielesnego życia – być może i odrobinę sentymentalny, lecz przynajmniej taki, który nie raził nieprzystawalnością.

Odwrócił się od okna i z życzliwym sceptycyzmem przyjrzał gościowi. Odpowiedział po angielsku, gdyż, choć wyposażenie biura mogło to za

niego przetłumaczyć – a skoro zostało sklonowane z jego własnych ośrodków językowych, wybrałoby dokładnie te same słowa i składnię – sam Thomas wciąż wolał używać wersji znajdującej się „wewnątrz” jego własnej „czaszki”.

– Dwa miliony? A na jakiej zasadzie to działa? Pozwól, niech zgadnę. Pod twoim zręcznym nadzorem mój kapitał będzie przyrastał w tempie największym z możliwych przy zachowaniu postulatu pełnego bezpieczeństwa. Cena obliczeń z pewnością wcześniej czy później ponownie spadnie, a fakt, że przez ostatnie piętnaście lat jedynie szła w górę, tylko to potwierdza. Tak więc: minie dekada lub dwie – być może trzy albo cztery – lecz wreszcie zyski z moich skromnych inwestycji staną się wystarczające, by pozwolić na utrzymywanie mnie w istnieniu na najnowszym sprzęcie w nieskończoność... rzecz jasna, przy jednoczesnym dostarczaniu ci niewielkiej prowizji. – Thomas zaśmiał się bez cienia złośliwości. – Nie wydaje mi się, byś jakoś specjalnie wybadał swojego ewentualnego klienta. Tacy jak ty zazwyczaj charakteryzują się nadzwyczajną inteligencją – ale obawiam się, że w tym przypadku zupełnie nie trafiłeś w moje potrzeby. Nie grozi mi wyłączenie. Używany przeze mnie obecnie sprzęt nie jest dzierzawiony, lecz w całości należy do fundacji, którą sam powołałem do życia tuż przed śmiercią. Należące do mnie mienie jest zarządzane w sposób całkowicie mnie zadowolający. Nie mam żadnych problemów finansowych, prawnych, egzystencjalnych – które mógłbyś dla mnie rozwiązać. A ostatnią rzeczą na świecie, na jaką miałbym teraz ochotę, jest tani i tandetny wieczny fundusz. Twoja oferta jest dla mnie bezwartościowa.

Paul Durham zdecydował się nie okazywać żadnych oznak zawodu.

– Nie mówię tu wcale o wiecznym funduszu – stwierdził prosto. – Nie oferuję ci sprzedaży żadnych usług finansowych. Dasz mi szansę, bym

mógł ci wszystko wyjaśnić?

Thomas uprzejmie pokiwał głową.

– Kontynuuj. Zamieniam się w słuch.

Przed wizytą Durham stanowczo odmówił scharakteryzowania celu wizyty, lecz Thomas i tak zdecydował się z nim spotkać – oczekiwał bowiem perwersyjnej satysfakcji w chwili, która potwierdzi, że tajemnicza nieśmiałość mężczyzny nie kryje w sobie niczego niezwykłego. Thomas niemal zawsze wyrażał zgodę na spotkania z gośćmi z zewnątrz – nawet wbrew własnemu doświadczeniu, pokazującemu, że w większości przypadków pojawiają się oni po to, by w taki czy inny sposób najzwyczajniej skamleć o pieniądze. Był przekonany, że każdy, kto zdecydował się na siedemnastokrotne spowolnienie własnego mózgu i to jedynie z takiego powodu, by móc z nim porozmawiać twarzą w twarz, zasługuje na to, aby go wysłuchać – a nie był odporny na tkwiące głęboko w tym procesie pochlebstwo związane z nierównym poświęceniem czasu obu stron.

Jednakże było w tym coś więcej niż tylko pochlebstwo.

Kiedy inne Kopie odwiedzały go w biurze bądź też siadały z nim przy stole konferencyjnym, każda z nich była „obecna” dokładnie w tym samym sensie co on. I nieważne, jak dziwaczne były algorytmiczne podstawy takiego spotkania, zawsze było to spotkanie równych sobie. Nie przekraczano wtedy żadnych granic.

Jednakże gość z zewnątrz, który mógł unieść i opróżnić filiżankę kawy, jak również podpisać dokument i uścisnąć mu dłoń – a równocześnie, co nie ulegało najmniejszej wątpliwości, leżał bez ruchu na kozetce na innej (wyższej?) metafizycznej płaszczyźnie – pojawiał się w środku z tak wielkim bagażem ukrytych przypomnień dotyczących prawdziwej natury rzeczy, że nie można go było odbierać z podobnym spokojem jak Kopii.

Thomas cenił sobie coś takiego. Nie miał ochoty spocząć na laurach albo jeszcze gorzej. Goście z zewnątrz pozwalali mu zachować jasne zrozumienie tego, czym się stał.

– Oczywiście, że mam świadomość twojej sytuacji – przyznał Durham. – Posiadasz jeden z najbezpieczniejszych układów, jakie dane mi było kiedykolwiek zobaczyć. Przejrzałem dokumenty rejestracyjne Fundacji Soliton i są niemalże nie do podważenia. Biorąc oczywiście pod uwagę obecny stan prawny.

Thomas zaśmiał się serdecznie.

– Ale uważasz, że możesz zrobić to lepiej? Soliton płaci niemal po milionie rocznie swym najbardziej doświadczonym prawnikom; sam mogłeś zdobyć jakieś fałszywe kwalifikacje i poprosić mnie o pracę. *Biorąc pod uwagę obecny stan prawny!* Uwierz – kiedy już prawo się zmienia, to tylko na naszą korzyść. Jak mi się wydaje, zdajesz sobie sprawę, że Soliton przeznacza niemałe fundusze, by lobbować na rzecz poprawy w tych kwestiach – a nie jest w tym osamotniony. Trend wygląda obecnie następująco: co roku pojawia się coraz więcej Kopii, z których większość sprawuje *de facto* kontrolę nad praktycznie całym majątkiem posiadanym za życia. Obawiam się, że o ile planowałeś wykorzystanie technik mających polegać na zastraszeniu mojej osoby, to wybrałeś sobie wyjątkowo nieodpowiedni moment. Dopiero co, w ubiegłym tygodniu, otrzymałem raport, który według zawartych w nim prognoz przewiduje uzyskanie przez Kopie pełnych praw człowieka – przynajmniej na terenie Europy – wraz z nadejściem 2060 roku. Dziesięć lat oczekiwania nie stanowi wcale, przynajmniej dla mnie, zbyt długiego okresu. Przyzwyczyłem się już do obecnego tempa spowolnienia i nawet gdyby zwiększono prędkości procesorów, to i tak z łatwością mógłbym się zdecydować na pozostanie przy obecnym tempie życia, nawet przez kolejne sześć czy siedem

subiektywnych miesięcy, zamiast odsuwać jeszcze bardziej w przyszłość wszystkie z oczekiwanych przeze mnie rzeczy, jak chociażby europejskie obywatelstwo.

Marionetka prawdziwego Durhama przechyliła głowę w geście uprzejmej zgody. Thomas nieoczekiwanie zobaczył w myślach drugą marionetkę – tę, którą tamten, we własnym odczuciu, naprawdę zamieszkiwał – nachyloną nad panelem kontrolnym, naciskającą przełączniki w podmenu etykiety. *Czyżby cierpiał na paranoję?* Wiedział jednak, że każdy rozsądny, wyciągający rękę po pieniądze gość z zewnątrz tak właśnie by zrobił: przeprowadził spotkanie na odległość, bez wystawiania swojego prawdziwego języka ciała na widok publiczny i dokładną analizę.

– Po co wydawać fortunę na ulepszenia – zaczęła ta marionetka, którą miał przed oczami – skoro tak właściwie przekłada się to jedynie na spowolnienie całego postępu? A na krótką metę zgadzam się w zupełności co do perspektyw dotyczących reform. Oczywiście, że ludzie zazdroszczą Kopiom ich długowieczności, ale ci odpowiedzialni za PR radzą z tym sobie, co trzeba im przyznać, wyjątkowo dobrze. Coroczny odpowiednio rozważny wybór kilku śmiertelnie chorych dzieci do skanu, a następnie przywracanie ich do życia, jest lepsze niż fundowanie wycieczek do Disney World. Istnieje też dyskretne sponsorowanie sitcomów poruszających tematykę Kopii należących do klasy robotniczej, a działania te sprawiają, że cała idea w oczach wielu ludzi staje się coraz mniejszym zagrożeniem. Prawny status Kopii przedstawia się wszędzie wokół jako temat praw człowieka. Szczególnie tu, w Europie, gdzie Kopie są ni mniej, ni więcej, tylko ludźmi niepełnosprawnymi, powstałymi tak naprawdę zaledwie na drodze pewnej radykalnej amputacji, a każdy, kto mówi o „nieśmiertelnych,

dekadenckich bogaczach, mających w swych łapskach całe dostępne bogactwo”, zostaje zakrzywany jako neonazista.

Tak więc równie dobrze możesz uzyskać swe obywatelstwo na początku kolejnej dekady. A później, przy odrobinie szczęścia, cała sytuacja może okazać się stabilna przez kolejne dwadzieścia, nawet trzydzieści lat. Ale... czymże jest dla ciebie owe dwadzieścia, trzydzieści lat? Czy szczerze wierzysz, że takie *status quo* będzie tolerowane wiecznie?

– Oczywiście, że nie – odparł Thomas. – Ale powiem ci, co będzie „tolerowane”: urządzenia wykonujące skan oraz moc obliczeniowa, które staną się tak tanie, że zmartwychwstanie będzie leżało w zasięgu finansowym każdego mieszkańca naszej planety. Każdego, komu tylko przyjdzie na to ochota. A kiedy mówię „tanie”, mam na myśli koszty porównywalne z ceną dawki szczepionki na przełomie wieków. Wyobraź to sobie. Śmierć może zostać wyrugowana niczym ospa czy malaria... i nie mówię tu o jakimś solipsystycznym koszmarze, gdyż do tego czasu teleobecnościowe roboty pozwolą Kopiom na tak pełne oddziaływanie ze światem fizycznym, jak gdyby były ludźmi. Cywilizacja nie porzuciłaby rzeczywistości, a jedynie przekroczyłaby ograniczenia narzucane jej przez biologię.

– Do tego jeszcze bardzo, bardzo daleka droga.

– Oczywiście. Ale nie zrzucaj mi tutaj, że myślę na krótką metę.

– A co w tym czasie? Uprzywilejowana klasa Kopii staje się coraz liczniejsza, coraz potężniejsza – i zaczyna stanowić coraz większe zagrożenie dla olbrzymiej większości ludzi, których wciąż nie stać, aby się do niej przyłączyć. Koszta być może i spadną, ale nie aż tak drastycznie – ot tak, w sam raz, by zderzyć się z eksplozją zapotrzebowania wyższej klasy kierowniczej, kiedy ta już *en masse* pozbędzie się własnych niepokojów. Nawet w świeckiej Europie istnieje głęboko zakorzeniony

przesąd, że śmierć człowieka jest kwestią odpowiedzialności, moralnym obowiązkiem. Istnieje pewna etyka śmierci – a pierwszy porzucający ją pokaźny segment populacji wywoła olbrzymią reakcję sprzeciwu. Wystarczająco znikoma elita niewyobrażalnie bogatych Kopii jest akceptowana jako gabinet osobliwości; potentatom przemysłowym wszystko ujdzie na sucho, bo nikt nie oczekuje od nich, by zachowywali się jak normalni ludzie. Ale poczekaj tylko, aż liczba ta wzrośnie dziesięciokrotnie.

Thomas słyszał to wszystko już wcześniej.

– Na krótki czas możemy stracić na popularności. Da się z tym żyć. Ale czy zdajesz sobie sprawę, że nawet teraz jesteśmy oczerniani w znacznie mniejszym stopniu niż ludzie, którzy starają się uzyskać długowieczność organicznymi metodami – za pomocą transplantacji, zabiegów odmładzania komórkowego i tym podobnych – ponieważ my przynajmniej nie rozdmuchujemy kosztów opieki zdrowotnej, nie współzawodniczymy z prawdziwymi ludźmi o używanie przeciążonej infrastruktury medycznej. Ani też nie konsumujemy zasobów naturalnych w takim samym tempie, w jakim robiliśmy to za życia. Jeśli technologia rozwinie się wystarczająco, wpływ najbogatszych Kopii na środowisko naturalne stanie się znacznie mniejszy niż najbardziej nawet ascetycznie żyjącego człowieka. Po czyjej stronie będzie wtedy znaczna przewaga moralna? To my okażemy się najbardziej ekologicznie nastawioną grupą ludzi na Ziemi.

Durham się uśmiechnął. Marionetka.

– Pewnie – i, o ile tylko kiedykolwiek do tego dojdzie, pewnie doprowadzi to do kilku miłych ironii. Ale nawet tak znikomy wpływ na środowisko naturalne może nie wydawać się aż tak święty, skoro ta sama moc obliczeniowa mogłaby zostać wykorzystana, by dzięki kontroli pogody ocalić dziesiątki tysięcy ludzkich istnień.

– Operacja Motyl nie sprawiła większych niedogodności żadnej ze znanych mi Kopii. A mnie osobiście – nawet najmniejszej.

– Operacja Motyl jest zaledwie czubkiem góry lodowej. Zarządzaniem kryzysowym dla niewielkiego obszaru planety. Wyobraź sobie jednak moc obliczeniową potrzebną do uwolnienia od suszy Afryki Subsaharyjskiej.

– Dlaczego miałbym to sobie wyobrażać, skoro nie dowiedziono jeszcze wykonalności najskromniejszych choćby projektów? A nawet jeśli kontrola pogody okaże się wykonalna, to zawsze można stworzyć więcej superkomputerów. Bynajmniej nie musi dojść do konfrontacji Kopii z ofiarami powodzi.

– Już w chwili obecnej istnieje ograniczony dostęp do mocy obliczeniowej, czyż nie? Oczywiście dostępna moc obliczeniowa będzie wzrastać, ale potrzeby Kopii i kontroli pogody, same w sobie z pewnością będą wzrastały o wiele szybciej. Na długo przed tym, nim osiągniemy naszą pozbawioną śmierci utopię, wpadniemy w wąskie gardło – i, w co osobiście wierzę, doprowadzi to do nastania czasów, w których Kopie zostaną ZDELEGALIZOWANE... i to na całym świecie. Prawa człowieka, nawet jeśli wcześniej przyznane, zostaną cofnięte. Majątki trustów i fundacji zostaną skonfiskowane. Superkomputery będą potężnie chronione. Skanery oraz zeskanowane pliki zostaną zniszczone. Być może dzieli nas od tego jeszcze jakieś czterdzieści lat; być może dojdzie do tego wcześniej. Tak czy inaczej, musisz być na to przygotowany.

– Jeżeli szukasz pracy jako konsultant–f futurolog – zaczął łagodnie Thomas – to obawiam się, że mam już kilku na etacie – wszyscy z nich są wysoce wykwalifikowani i nie robią niczego poza śledzeniem podobnych trendów. Wszystko, co przekazują mi obecnie, pozwala mi patrzeć na przyszłość optymistycznie – a nawet gdyby się mylili, Soliton jest przygotowany na bardzo szeroką gamę nieprzewidzianych okoliczności.

– A gdyby ta twoja fundacja została pozbawiona środków, naprawdę wierzysz, że zdołałaby jeszcze ukryć kopię twojej osobowości w bezpiecznym miejscu, by następnie, po stu czy więcej latach społecznego wrzenia, przywrócić ją do życia? Krypta wypełniona chipami ROM, znajdująca się na dnie szybu kopalnianego, może się okazać w skali czasu geologicznego odpowiednikiem biletu w jedną stronę.

Thomas się zaśmiał.

– A już jutro jakiś meteor może uderzyć w powierzchnię naszej planety, niszcząc wszelkie komputery, wszelkie posiadane przeze mnie Kopie zapasowe, twoje organiczne ciało... cokolwiek, wszystko. Tak, może wybuchnąć rewolucja, która położy kres mojemu światu. To małą prawdopodobne, ale nie niemożliwe. Bądź też może pojawić się jakaś zaraza czy katastrofa ekologiczna, która wybije miliardy organicznych ludzi, lecz nawet nie tknie Kopii. Nikt nie może mieć co do tego żadnej pewności.

– Ale Kopie mają o wiele więcej do stracenia.

Thomas mówił z naciskiem; było to częścią jego osobistej litanii.

– Nigdy nie myliłem tego, co posiadam, z gwarancją nieśmiertelności – co zresztą bardzo dobrze rokuje, jeśli chodzi o przedłużenie mojej egzystencji.

– Dosyć słusznie – odpowiedział mu stanowczo Durham – bo osobiście nie posiadasz żadnej gwarancji nieśmiertelności. Dlatego właśnie przyszedłem ci ją zaoferować.

Thomas przyjrzał mu się z niepokojem. Mimo iż z finalnego skanu usunął wszelkie ślady po chirurgicznych zabiegach, zachował sobie jednak bliznę na prawym przedramieniu, mającą być niewielkim przypomnieniem pewnej niemiłej przygodny z czasów młodości. Poglądził ją teraz opuszkami palców, nie do końca bezmyślnie, świadom swojego nawyku,

świadom zakodowanych w niej wspomnień – lecz wyćwiczony w tym, by nie pozwalać sobie na uporczywe zajmowanie myśli tymi wspomnieniami.

– Co oferujesz? – zapytał wreszcie. – Cóż takiego mógłbyś zrobić – za dwa miliony euro – czego Soliton nie potrafiłby zrobić tysiąc razy lepiej?

– Mogę uruchomić twoją drugą wersję w absolutnie bezpiecznym miejscu. Mogę dać ci coś na kształt gwarancji przeciwko wszelkim rozruchom skierowanym przeciwko Kopiom... czy też uderzeniu meteoru... czy też czemukolwiek innemu, co mogłoby w przyszłości pójść nie tak jak należy w otaczającym nas świecie.

Thomas oniemiał w jednej chwili. Poruszony temat nie do końca należał do tabu, ale on sam nie potrafił sobie przypomnieć, by ktokolwiek do tej pory podejmował go aż tak bez ogródek. Szybko jednak się pozbierał.

– Dziękuję, ale nie mam najmniejszej ochoty, by uruchamiać drugą wersję siebie. A propos, co dokładnie masz na myśli, mówiąc „w absolutnie bezpiecznym miejscu”? Gdzie też zamierzasz umieścić twój niepokonany komputer? Na orbicie? Tam, w górze, gdzie wystarczy zaledwie meteor wielkości kamyczka, a nie głazu, aby go zniszczyć?

– Nie, nie na orbicie. Ale jeżeli nie chcesz tworzyć drugiej wersji, nie ma problemu. Możesz się tam po prostu przenieść osobiście.

– Gdzie niby miałbym się przenieść? Pod ziemię? Na dno oceanu? Nie masz nawet zielonego pojęcia, gdzie implementowane jest biuro, w którym rozmawiamy, prawda? Dlaczego wydaje ci się, że jesteś mi w stanie zaproponować inne miejsce, przewyższające to, którym dysponuję w tej chwili – i to za tak śmiesznie niską kwotę – skoro nie masz nawet zielonego pojęcia na temat mojego obecnego bezpieczeństwa? – Thomas zaczynał być coraz bardziej zawiedziony i – co przytrafiało mu się bardzo rzadko – poirytowany. – Przestań wreszcie zarzucać mnie swymi nadętymi stwierdzeniami i przejdź do sedna sprawy. Co dokładnie masz na sprzedaż?

Durham przepaszająco potrząsnął głową.

– Nie mogę ci tego powiedzieć. Jeszcze nie teraz. Gdybym postarał się to wyjaśnić, tak bez żadnego wprowadzenia, zupełnie nie miałyby to sensu. Na początku musisz bowiem coś zrobić. Coś bardzo prostego.

– Tak? Co takiego?

– Musisz przeprowadzić mały eksperyment.

Thomas wykrzywił twarz.

– Jaki eksperyment? Po co?

A Durham – marionetka kierowana oprogramowaniem, pozbawiona życia skorupa poruszana przez istotę z innego wymiaru – spojrział mu prosto w oczy i powiedział: – Musisz mi pozwolić pokazać sobie, czym dokładnie jesteś.

3.

(Rwij, łącz, tnij,
człowieku–zabaweczko)
(Rip, tie, cut toy man)

czerwiec 2045

Paul – czy też mężczyzna z krwi i kości, którego wspomnienia przypadły mu w spadku – prześledził historię Kopii aż do przełomu wieków, kiedy to naukowcy zaczęli dostrajać ogólne komputerowe modele używane w farmakologii i podczas treningów chirurgicznych, przekształcając je w tworzone na zamówienie wersje, które pełniły rolę pomocy w przewidywaniu potrzeb i problemów poszczególnych pacjentów. Terapie testujące z wyprzedzeniem działanie leków sprawdzano na modelach zawierających specyficzne cechy zarówno pod względem genetycznym, jak i biochemicznym, pozwalając w ten sposób na optymalizację dawek oraz na przewidzenie wszelkich idiosynkratycznych efektów ubocznych, co w efekcie pozwalało ich uniknąć. W wirtualnej rzeczywistości ćwiczono i udoskonalano złożone operacje przeprowadzane na wirtualnych ciałach z anatomicznymi szczegółami – aż po najdrobniejsze kapilary – które zostały oparte na tomograficznych skanach prawdziwych pacjentów.

Te wczesne modele zawierały nieprecyzyjne przybliżenia mózgu, doskonale adekwatne w przypadku chirurgii serca czy immunoterapii, a

nawet do pewnego stopnia przydatne, kiedy zajmowano się rozległymi obrażeniami mózgu czy jego nowotworami, lecz zupełnie bezwartościowe, jeśli chodziło o bardziej delikatne problemy neurologiczne.

Technikę obrazowania nieprzerwanie jednak udoskonalano i wraz z nadejściem 2020 roku osiągnęła ona punkt, w którym możliwe było mapowanie pojedynczych neuronów i bezinwazyjne mierzenie właściwości poszczególnych synaps. Przy użyciu różnorodnych skanerów można było odczytać z żywego organizmu każdy istotny pod względem psychologicznym szczegół mózgu, a następnie odtworzyć go przy użyciu komputera o wystarczająco dużej mocy.

Początkowo modelowano jedynie wyizolowane szlaki nerwowe: fragmenty kory wzrokowej interesujące projektantów maszynowej wizji, czy też części układu limbicznego, których rola wciąż pozostawała niejasna. Te fragmenty modeli układu nerwowego przynosiły wartościowe rezultaty, lecz całkowicie funkcjonalna reprezentacja organu osadzonego w pełnym ciele pozwoliłaby na przetestowanie z wyprzedzeniem najbardziej nawet karkołomnych wyczynów z zakresu neurochirurgii bądź psychofarmakologii. Mimo to przez kilka lat nie stworzono żadnego podobnego modelu, częściowo z powodu rzadko wypowiedzianych wprost wątpliwości dotyczących perspektyw, z jakimi mogłoby się to wiązać. Nie istniały żadne formalne bariery mogące stanąć temu na drodze, gdyż prawodawcze ciała rządowe i komitety zinstytucjonalizowanej etyki zajmowały się wyłącznie zagadnieniami dotyczącymi dobra zwierząt i ludzi – a do tej pory aktywiści nie wysadzili w powietrze żadnego z laboratoriów w odwecie za nieludzkie traktowanie fizjologicznego oprogramowania – ktoś jednak musiał pierwszy przełamać wszelkie niewypowiedzane głośno tabu.

Ktoś musiał wykonać wysokiej rozdzielczości Kopię z kompletnym mózgiem, a następnie pozwolić jej przebudzić się i przemówić.

W 2024 roku John Vines, neurochirurg z Bostonu, uruchomił w prymitywnej wirtualnej rzeczywistości w pełni świadomą Kopię własnej osoby. Żeby to zrobić, potrzebował niecałych trzech godzin czasu rzeczywistego (przyspieszone tętno, hiperwentylacja, podwyższony poziom hormonów stresu), a pierwsze wypowiedziane przez Kopię słowa brzmiały następująco: – Przypomina to pogrzebanie żywcem. Zmieniłem zdanie. Wydostańcie mnie stąd.

Oryginał usłużnie ją wyłączył, lecz później jeszcze kilkakrotnie powtórzył całą demonstrację, nie wprowadzając żadnych zmian i tłumacząc sobie, że przecież każde kolejne uruchomienie dokładnie tej samej symulacji nie może powodować żadnych dodatkowych cierpień.

Kiedy Vines opublikował swe wyniki, perspektywy dotyczące zaawansowanych badań neurologicznych nie otrzymały w nich nawet pojedynczej wzmianki, a w przeciągu dwudziestu czterech godzin, wbrew zniechęcającemu wyznaniu samej uruchomionej Kopii, nagłówki gazet ogłaszały wszem i wobec nieśmiertelność, masową migrację do wirtualnej rzeczywistości i nieuniknioną dezercję ze świata fizycznego.

Kiedy to wszystko się działo, Paul miał dwadzieścia cztery lata i brakowało mu jakiegoś konkretnego pomysłu na życie. Rok wcześniej umarł jego ojciec, pozostawiając mu w spadku średniej wielkości imperium biznesowe skupione wokół dobrze prosperującej sieci handlowej, lecz Paul nie miał najmniejszej nawet ochoty nim zarządzać. Kolejne siedem lat przeznaczył na podróże i studia – nauki ścisłe, historia i filozofia – osiągając dość dobre wyniki we wszystkim, za co się zabrał, lecz nie był w stanie odkryć niczego, co mogłoby rozpalić jego prawdziwą intelektualną

pasję. A skoro na horyzoncie nie majaczyła żadna konieczność walki o finansowe bezpieczeństwo, zdezorientowany, powoli osiadał na laurach.

Wiadomość o Kopii Johna Vinesa położyła gwałtowny kres jego obojętności. Odebrał ją tak, jak gdyby każda z potencjalnie obiecujących technologii, które wymyślono w przeszłości celem zmiany ludzkiego życia, miała się właśnie ziścić i to z dosyć pokaźną nadwyżką. Zagadnienie długowieczności stałoby się tu jedynie czubkiem góry lodowej, gdyż Kopie mogłyby ewoluować w sposoby niemalże niedostępne dla istot organicznych: modyfikując własny umysł, przedefiniowując własne cele, w nieskończoność własnoręcznie się przekształcając. Otwierające się możliwości wywoływały zawroty głowy – nawet kiedy dochodziły tu do głosu koszta i wady najwcześniejszych z wersji, nawet gdy rozpoczął się nieunikniony społeczny sprzeciw. Paul należał do dzieci nowego tysiąclecia i był gotowy, by skwapliwie skorzystać z oferowanych mu możliwości.

Ale im więcej czasu spędzał na rozmyślaniach dotyczących tego, czego udało się dokonać Vinesowi, tym bardziej dziwaczne wydawały mu się wszelkie implikacje.

Wywołana eksperymentem publiczna debata była gorąca, lecz przygnębiająco powierzchowna. Po raz kolejny zagrzmiały mające już dziesiątki lat argumenty, pytania o to, jak wiele wspólnego z ludźmi mogą mieć jakieś tam programy komputerowe (psychologicznie, moralnie, metafizycznie, informacyjno–teoretycznie...), a nawet, na ile ewentualnie Kopie mogą być „prawdziwie” inteligentne, „prawdziwie” świadome. Z czasem coraz większej liczbie naukowców udawało się powtórzyć wyniki Vinesa, a ich Kopie przeszły niebawem pomyślnie test Turinga: żaden z paneli ekspertów przepytujących grupę ludzi i Kopii – oczywiście metodą opóźnionego przekazu wideo, by zamaskować różnice w szybkości czasu odpowiedzi – nie potrafił ich rozróżnić. Lecz kilku filozofów i

psychologów nieustannie upierało się przy tym, że otrzymywane w ten sposób wyniki nie demonstrują niczego z wyjątkiem „symulowanej świadomości” oraz faktu, że Kopie są programami zdolnymi do naśladowania złożonego życia wewnętrznego, które tak naprawdę w ich przypadku w ogóle nie istniało.

Zwolennicy hipotezy „silnej” AI upierali się, że świadomość jest właściwością pewnych algorytmów, wynikiem przetwarzania informacji w określony sposób, i nieważne, czy do wykonania tego zadania wykorzystuje się maszynę, czy organ. Model komputerowy, który manipulował zarówno własnymi danymi, jak i danymi opisującymi jego „otoczenie”, w ten sam sposób co organiczny mózg, musiałby posiadać dokładnie te same stany mentalne. Określenie „symulowana świadomość” było oksymoronem na równi z „symulowanym uzależnieniem”.

Przeciwnicy odpowiadali natomiast, że modelowany huragan nie sprawia, że ktokolwiek zmoknie. Modelowana elektrownia jądrowa nie produkuje żadnej energii. Modelowanie procesów metabolicznych i trawienia nie powoduje konsumpcji żadnych składników odżywczych, bo nie dochodzi w nich do żadnego prawdziwego trawienia. Tak więc, dlaczego podczas modelowania ludzkiego mózgu miałyby się oczekiwać pojawienia się prawdziwych myśli? Komputer, na którym zostaje uruchomiona Kopia, może być zdolny do generowania przekonujących opisów ludzkiego zachowania w hipotetycznych scenariuszach, a nawet może się wydawać, że kontynuuje rozmowę, bezbłędnie przewidując, co w dokładnie takiej samej sytuacji zrobiłby prawdziwy człowiek, lecz trudno byłoby się upierać, że dowodzi to istnienia świadomości samej maszyny.

Paul błyskawicznie zdecydował, że cała ta debata ma jedynie na celu mydlenie oczu. Dla człowieka absolutny dowód mogący potwierdzić fakt,

że Kopia odczuwa, był niemożliwy. Dla Kopii prawda była oczywista: *cogito ergo sum*. Koniec dyskusji.

Ale dla każdego człowieka chcącego zagwarantować Kopii to samo domniemanie świadomości, które gwarantował innym ludziom – oraz dla każdej Kopii, która odwzajemniała to pragnienie – prawdziwy sens sprowadzał się do czegoś następującego: Istniały pewne kwestie dotyczące natury tego wspólnego stanu, na które pojawienie się Kopii rzucało bardziej jaskrawe światło niż wszystko, co powstało przed nimi. Pytania, które należało zgłębić, nim rasa ludzka mogłaby z pełnym zaufaniem rozpocząć przekazywanie swoim następcom własnej kultury, wspomnień, celu i tożsamości.

Pytania, na które jedynie Kopie potrafiły udzielić odpowiedzi.



Paul siedział w swojej pracowni, na swoim ulubionym fotelu (nie do końca przekonany, że faktura jego powierzchni została odtworzona dokładnie we właściwy sposób), czerpiąc tyle pocieszenia, ile tylko był w stanie, z niezaprzeczalnej absurdalności faktu, że wypełniały go obawy dotyczące przeprowadzania na sobie kolejnych eksperymentów. Już w chwili obecnej „przeżył” przejście z cielesnej ludzkiej powłoki do komputerowego modelu fizjologicznego, co było do tej pory najbardziej radykalnym etapem całego przedsięwzięcia. W porównaniu z tym, co miał już za sobą, majsterkowanie przy kilku parametrach modelu wydawało mu się wręcz trywialne.

Na terminalu – nadal absolutnie nieprzydatnym do innych celów – pojawił się Durham. Paul zaczął go już raczej uważać za apodyktycznego

małego dżina, który został uwięziony wewnątrz ekranu, niż za przeogromne, wszechmocne bóstwo, które przemierzało sale rzeczywistości, pociągając tam za wszystkie sznurki. Już sama wysokość głosu tamtego wystarczyła, by pozbawić go jakiegokolwiek aury majestatu i siły.

Pisk. – Eksperyment pierwszy, próba zerowa. Dane linii odniesienia. Rozdzielczość czasowa jedna milisekunda – standardowa dla systemu. Po prostu odlicz do dziesięciu, w jednosekundowych odstępach czasu, tak dokładnie, jak tylko jesteś w stanie ocenić. Dasz radę?

– Powinienem.

Sam przecież to wszystko zaplanował, nie potrzebował więc żadnych instrukcji prowadzących go krok po kroku. Wizerunek Durhama zniknął z ekranu, ponieważ podczas eksperymentu Paul nie miał otrzymywać żadnych wskazówek z czasu rzeczywistego.

Odliczył do dziesięciu. Dżin pojawił się ponownie. Wpatrując się w twarz na ekranie, Paul uświadomił sobie, że pomysł, by uznawać ją za „swoją własną” jakoś zupełnie go nie pociąga. Być może było to pozostałością po dystansowaniu się od wszystkich wcześniejszych Kopii. Albo może też jego mentalny obraz własnej osoby nigdy zbytnio nie przypominał jego prawdziwego wyglądu – a obecnie, chroniąc własne zdrowe zmysły, posunął się w tym jeszcze dalej.

Pisk. – w porządku. Eksperyment pierwszy, próba pierwsza. Rozdzielczość czasowa pięć milisekund. Gotów?

– Tak.

Dżin rozplątał się.

– Raz. Dwa. Trzy. Cztery. Pięć. Sześć. Siedem. Osiem. Dziewięć. Dziesięć – odliczał Paul.

Pisk. – Chciałbyś cokolwiek zgłosić?

– Nie. To znaczy, nie potrafię się pozbyć resztek lęku, mając świadomość, że coś tam kombinujesz przy mojej... infrastrukturze. Ale poza tym to nic.

Kiedy Paul oczekiwał na przyspieszoną odpowiedź, oczy Durhama przestały spoglądać niewidzącym wzrokiem. Albo osiągnął pewien stopień samodyscypliny, albo też, co było bardziej prawdopodobne, użył jakiegoś inteligentnego oprogramowania edytującego, mającego ukrywać znużenie.

Pisk. – Nie zwracaj uwagi na ten niepokój. Pamiętasz przecież, że uruchamiamy Kopię kontrolną?

Paul wolałby, żeby mu o tym nie przypominano. Zdawał sobie sprawę, że Durham musiał go skłonować i dostarczać obu Kopiom dokładnie tych samych bodźców, równocześnie dokonując zmian w rozdzielczości czasowej modelu zaledwie na jednej z nich. To było zasadniczą częścią eksperymentu i nie chciał się nad tym zbyt rozwodzić. Jeszcze trzecia wersja, kładąca się cieniem na jego myślach, to było już zbyt wiele, by dokładać ją w tym momencie do całej reszty.

Pisk. – Próba numer dwa. Rozdzielczość czasowa dziesięć milisekund.

Paul odliczał. Najłatwiejsza rzecz pod słońcem, pomyślał, o ile posiadasz ciało, gdy jesteś zbudowany z materii, w której kwarki i elektrony wykonują, co do nich należy. Koniec końców istoty ludzkie osadzone były w polu cząstek elementarnych – niezdolne, co oczywiste, stać się czymś innym niż tylko sobą. Kopie zaś były osadzone w komputerowych pamięciach jako rozległe układy cyfr. Liczby, które z pewnością mogły zostać zinterpretowane jako opisujące siedzące w pokoju ludzkie ciało. Ale trudno byłoby wychwycić to znaczenie jako istotne, jako konieczne, skoro w tym samym czasie dokonywano tysięcy arbitralnych wyborów dotyczących sposobu kodowania samego modelu. *Czy to, co mam tutaj, jest moim poziomem cukru we krwi, czy może poziomem testosteronu?*

Czy obserwuję tu tempo odpowiedzi moich neuronów motorycznych podczas unoszenia prawej dłoni? a może to sygnał nadchodzący z moich siatkówek, gdy przyglądam się, jak sam to robię? Każdy, komu zapewniono by dostęp do danych pierwotnych, a nie byłby świadom konwencji ich zapisu, mógłby spędzić całe swoje życie, przetrząsając te liczby i nie rozszyfrowując w nich żadnych znaczeń.

A jednak, z drugiej strony, każda Kopia, sama zakopana w tych danych – niezależnie od tego, czy była zorientowana w szczegółach, czy też nie – nie miałaby najmniejszych problemów z ich natychmiastowym pełnym zrozumieniem.

Pisk. – Próba numery trzy. Rozdzielczość czasowa dwadzieścia milisekund.

– Raz. Dwa. Trzy.

Doświadczenie przez Kopię upływu czasu wiązało się ze zmianą definiujących ją liczb w kolejnych następujących po sobie chwilach. Obliczana raz za razem, stawała się sekwencją ujęć, klatek filmu, czy może raczej częścią animacji komputerowej.

Ale... kiedy dokładnie te wszystkie klatki dawały początek świadomej myśli? Podczas obliczania? A może w czasie krótkich przerw, gdy w niezmiennym stanie trwały w pamięci komputera, nie mając innego zadania jak tylko reprezentowanie pojedynczej statycznej chwili z życia Kopii? Skoro oba te stadia odbywały się tysiąc razy w przeciągu subiektywnej sekundy, wydawało się, że nie ma to praktycznie żadnego znaczenia, ale już bardzo niedługo mieli rozpocząć.

Pisk. – Próba numer cztery. Rozdzielczość czasowa pięćdziesiąt milisekund.

Czym jestem? Danymi? Procesem, który je generuje? Związkiem pomiędzy liczbami? Wszystkim z powyższych?

– Sto milisekund.

– Raz. Dwa. Trzy.

Paul wsłuchiwał się we własny odliczający głos, jak gdyby częściowo oczekiwał, że zacznie wychwytywać wkraczanie chwil ciszy, dostrzegać luki w samym sobie.

– Dwieście milisekund.

Jedna piąta sekundy.

– Raz. Dwa.

Czy obecnie pojawiał się i znikał z istnienia niczym światło stroboskopu, z częstotliwością pięciu subiektywnych herców? Najbardziej nawet toporny z celuloidowych filmów nigdy nie mrugał w takim tempie.

– Trzy. Cztery.

Zamachał dłonią przed oczami. Jej ruch zdawał się doskonale gładki, perfekcyjnie zwyczajny... i oczywiście taki był; nie obserwował go przecież z zewnątrz.

– Pięć. Sześć. Siedem.

Przepełnęła przez niego nieoczekiwana i intensywna fala nudności, ale zwalczył ją w sobie i kontynuował: – Osiem. Dziewięć. Dziesięć.

Dżin ponownie pojawił się na ekranie i wydał krótki niespokojny pisk.

– Co się dzieje? Chcesz może przerwać na chwilę?

– Nie, nic mi nie jest.

Paul przesunął wzrokiem po niewinnie wyglądającym, zalanym słońcem pokoju i zaśmiał się. *Jak też Durham poradziłby sobie z sytuacją, w której Kopia kontrolna i podmiot eksperymentu przekazałyby mu dwie różne odpowiedzi?* Spróbował sobie przypomnieć własne plany dotyczące takiej okoliczności, ale nie był w stanie. Zresztą i tak niezbyt mu na tym zależało. Takie komplikacje przestały już być jego problemami.

Pisk. – Próba numer siedem. Rozdzielczość czasowa pięćset milisekund.

Paul odliczał – a prawda była taka, że nie odczuwał żadnej różnicy. Co prawda był odrobinę niespokojny, ale wykluczając wszelką przesadną nadwrażliwość, wszystko, co dotyczyło eksperymentu, zdawało się niezmiennie... i miało to sens, przynajmniej na dłuższą metę – ponieważ, jeżeli chodziło o dłuższą metę, nic nie zostawało tu pominięte. Tyle tylko, że model jego mózgu był w pełni opisywany co pół sekundy (czasu modelu), ale każde z tych ujęć wciąż zawierało w sobie wszystko „co wydarzyłoby się” podczas tego interwału. Co pół sekundy jego mózg kończył dokładnie w tym samym stanie, w którym by się znalazł, gdyby niczego nie pomijano.

– Tysiąc milisekund.

Ale... co się działo pomiędzy? Kontrolujące model równania były stanowczo zbyt złożone, by można je było rozwiązywać w pojedynczym kroku. W procesie ich obliczania generowano i porzucano kolosalny szereg rozwiązań pośrednich. W pewnym sensie te pośrednie wyniki implikowały – o ile nawet nie reprezentowały bezpośrednio – wydarzenia mające miejsce w przerwach pomiędzy kolejnymi następującymi po sobie pełnymi okresami. A skoro cały model był arbitralny, któż mógłby stwierdzić, czy wszystkie dziejące się wówczas rzeczy, zagrzebane odrobinę głębiej w potoku informacji, są w jakikolwiek sposób „mniej prawdziwe” od tych opisywanych bezpośrednio?

– Dwa tysiące milisekund.

– Raz. Dwa. Trzy. Cztery.

Jeżeli wydawało mu się, że wypowiada (oraz że sam słyszy, jak to robi) każdą z cyfr, to działo się tak tylko dlatego, że efekty wypowiedzenia „trzy” (i usłyszenia, jak sam to wypowiada) zostały ukryte w szczegółach obliczeń dotyczących tego, jak jego umysł ewoluował od czasu, kiedy powiedział „dwa”, do chwili, w której wypowie „cztery”.

- Pięć tysięcy milisekund.
- Raz. Dwa. Trzy. Cztery. Pięć.

Z drugiej strony sam fakt, że słyszy słowa, których nigdy tak „naprawdę” nie wypowiedział, nie był wcale dziwniejszy od tego, że Kopia w ogóle cokolwiek słyszy. Nawet standardowe milisekundowe tempo tego świata było zbyt toporne, by wygenerować pełną gamę słyszalnych dźwięków. Dźwięk w takim modelu nie był reprezentowany przez zmiany wartości ciśnienia powietrza, gdyż te nie mogłyby się zmieniać wystarczająco szybko, lecz pojmowany w kategoriach widma mocy fonicznej: profilów natężenia względem częstotliwości. Dwadzieścia kiloherców było tu jedynie liczbą, oznaczeniem; nic nie mogło w rzeczywistości drgać w takim tempie. Prawdziwe ucho rozkładało fale ciśnienia na składowe pochodzące od różnych tonów, a Paul zdawał sobie sprawę, że jego mózg jest tutaj jedynie bezpośrednio karmiony istniejącymi wcześniej wartościami widma mocy, wyrwanymi z nieistniejącego powietrza przez prymitywną łątkę w modelu.

- Dziesięć tysięcy milisekund.
- Raz. Dwa. Trzy.

Dziesięć sekund swobodnego spadku pomiędzy kolejnymi klatkami.

Zwalczając zawroty głowy, wciąż miarowo odliczając, Paul nacisnął płytką ranę, którą sam sobie wyciął w ramieniu kuchennym nożem. Kłula przekonująco. *Skąd więc brało się to doświadczenie?* Gdy dziesięć sekund dobiegało końca, jego w pełni opisany mózg dokładnie wszystko pamiętał... ale to nie tłumaczyło niczego, co miało miejsce obecnie. Ból był czymś więcej niż tylko wspomnieniem bólu. Paul z trudem starał się wyobrazić sobie kłęb miliardów pośrednich kalkulacji, które w jakiś sposób „nadawały sens” samym sobie, łącząc kolejne luki.

I zastanawiał się tak: *Co by się stało, gdyby ktoś – akurat teraz – wyłączył komputer, po prostu odłączył go z prądu?*

Nie miał jednak pojęcia, co mogłoby to oznaczać. W żadnych innych kategoriach, z wyjątkiem własnych, nie miał nawet pojęcia, kiedy naprawdę ma miejsce owo „teraz”.

– Osiem. Dziewięć. Dziesięć.

Pisk. – Paul, obserwuję nieznaczny spadek ciśnienia krwi. W porządku? Jak się czujesz?

– Cały czas bez zmian – odpowiedział, mimo iż kręciło mu się w głowie... i nawet jeżeli to, co powiedział, nie do końca było prawdą, to Kopia kontrolna udzieliła dokładnie takiego samego kłamstwa. Przyjmując, że. – Powiedz mi, czym jestem? Kopią kontrolną czy podmiotem eksperymentu?

Pisk. – Nie mogę ci odpowiedzieć na to pytanie – odpowiedział Durham. – wciąż rozmawiam z obydwojema. Coś jednak ci powiem: nadal jesteście identyczni. Zaistniało kilka bardzo niewielkich, przejściowych rozbieżności, lecz obecnie zupełnie już zniknęły. A zawsze, gdy obaj byliście w porównywalnych reprezentacjach, wszystkie wzorce reakcji więcej niż kilku neuronów były identyczne.

Paul w odpowiedzi mruknął coś niezobowiązująco. Nie miał zamiaru pokazywać Durhamowi, jak bardzo niepokoi go cały przeprowadzany eksperyment.

– A czego niby oczekiwałeś? Rozwiązania tego samego równania na dwa różne sposoby? To oczywiste, że otrzymujesz te same wyniki, plus minus kilka pomniejszych różnic spowodowanych błędami związanymi z dokonywanymi podczas przeliczeń zaokrągleniami. Musisz je otrzymywać. To matematyczny pewnik.

Pisk. – Och, oczywiście.

Dżin napisał palcem na ekranie:

$$(1 + 2) + 3 = 1 + (2 + 3)$$

– Po co więc w ogóle zamartwiać się tym etapem eksperymentów? – zapytał Paul. – wiem, że chciałem być rygorystyczny, że chciałem ustalić sobie solidne fundamenty. Ale prawda jest taka, że to marnowanie posiadanych przez nas funduszy. Dlaczego nie mielibyśmy przeskoczyć nad tymi cholernymi oczywistościami i skupić się nad takim etapem eksperymentu, gdzie odpowiedź nie jest z góry przesądzonym wnioskiem?

Pisk. Durham zmarszczył twarz z dezaprobatą. – Nie zdawałem sobie sprawy, że tak szybko staniesz się aż tak cyniczny. Sztuczne Inteligencje nie są gałęzią czystej matematyki. Są nauką empiryczną. Założenia należy przetestować. Potwierdzenie tak zwanych „oczywistości” wcale nie jest powodem do wstydu, nieprawdaż? A skoro wszelkie wyniki są aż tak oczywiste, to czego niby miałbyś się obawiać?

– Nie mówię tu o obawach: po prostu chcę to już mieć za sobą. Ale... kontynuuj. Udowadniaj, cokolwiek tam sobie tylko zechcesz udowodnić, a wtedy wreszcie będziemy mogli ruszyć z tym dalej.

Pisk. – Tak właśnie wygląda nasz plan. Ale jak mi się wydaje, i tobie, i mnie, przydałaby się teraz chwila przerwy. Umożliwię ci skorzystanie z możliwości komunikacyjnych, lecz tylko względem odbioru danych.

Odwrócił się, by sięgnąć poza widoczny dla Paula na ekranie obraz, i nacisnął kilka klawiszy przy drugim z terminali.

Kiedy ponownie odwrócił uśmiechniętą twarz do kamery, Paul dokładnie wiedział, co zaraz usłyszy.

Pisk. – Nawiasem mówiąc, właśnie wykasowałem jednego z was. Nie mogłem sobie pozwolić na równoczesne uruchamianie obu, skoro mielibyście się tylko opierdalać.

Paul odwzajemnił uśmiech, mimo iż coś w jego wnętrzu krzyczało.

– Którego wykasowałeś?

Pisk. – Jaka to teraz różnica? Powiedziałem ci przecież, że byliście identyczni. A ty wciąż przecież istniejesz, czyż nie? Kimkolwiek byś był. *Którymkolwiek byłeś.*



Od chwili wykonania skanu w świecie zewnętrznym minęły trzy tygodnie, ale nadrobienie zaległości dotyczących stanu spraw prawdziwego świata nie zabrało Paulowi zbyt wiele czasu. W związku z późniejszymi wydarzeniami większość drobnych szczegółów stała się nieistotna, a wiele odpływów i przypływów najzwyczajniej nawzajem się wykasowało. Izrael i Palestyna znów zbliżyły się do stanu wojny z powodu rzekomego obustronnego pogwałcenia traktatu dotyczącego wód granicznych, lecz zlot pokojowy ściągnął na pozbawioną blasku, matową równinę, która kiedyś była Jerozolimą, przeszło milion ludzi i w efekcie oba rządy zostały zmuszone, by się wycofać. Były prezydent Stanów Zjednoczonych, Martin Sandover, wciąż walczył z ekstradycją do Palau, gdzie miałyby stanąć przed sądem w związku ze swą rolą w krwawym *coup d'état* w trzydziestym piątym roku; Sąd Najwyższy wreszcie unieważnił długo obowiązujące prawo gwarantujące mu immunitet względem wszystkich zagranicznych praw i przez dzień czy dwa sprawa wyglądała obiecująco, ale wtedy jego zespół prawników odkrył całkiem nowy zestaw taktyk opóźniających. W Canberrze pojawiła się i rozplynęła w powietrzu kolejna próba sił na najwyższych szczeblach, po której dawny premier pozostał na stanowisku. W pochodzącym sprzed tygodnia reportażu jeden z dziennikarzy z kamienną twarzą opisywał to wydarzenie jako „wysoce dramatyczne”. Paul

pomyślał: *musiałeś tam być*. Inflacja spadła o pół procenta, a bezrobocie wzrosło o podobny wskaźnik.

Paul błyskawicznie przeleciał stare doniesienia, przeglądając artykuły i przewijając w przyspieszonym tempie sceny, które, był święcie przekonany, przestudiowałby dokładniej, gdyby tylko należały do informacji bieżących. Odczuwał dziwaczne poczucie oburzenia z powodu tego, jak wiele „go ominęło”, wbrew temu, że teraz wszystko znajdowało się tuż przed jego oczami. To wcale nie było to samo.

I wciąż nieustannie zastanawiał się nad tym, czy nie powinien przyjąć z ulgą faktu, że nie zmarnował swojego czasu na tak efemeryczne szczegóły? To, że obecnie przeglądane doniesienia wcale go nie zniewalały, udowodniało tylko, jak wiele z tych wydarzeń nie miało na dłuższą metę zbyt wielkiego znaczenia.

Z drugiej jednak strony, co je miało? Ludzie nie zamieszkiwali świata w skali czasu geologicznego. Zamieszkiwali go w skali godzin i dni, i musieli przykładać wagę do rzeczy w takiej właśnie skali czasowej.

Ludzie.

Paul podłączył się do nadającej w czasie rzeczywistym stacji telewizyjnej i obejrzał odcinek *Rodziny Unclear*, który przemknął mu przez ekran w mniej niż dwie minuty, ze ścieżką dźwiękową odbieraną przez niego w postaci niezrozumiałego pisku. Potem nastąpił teleturniej. Film wojenny. Wiadomości wieczorne. Czuł się tak, jak gdyby znajdując się w głębokim kosmosie pędził z powrotem w kierunku Ziemi przez morze przesuniętych dopplerowsko transmisji telewizyjnych. Wyobrażanie sobie tego w taki właśnie sposób dziwacznie podnosiło go na duchu; jego własna sytuacja nie była znów, mimo wszystko, aż tak osobliwa, skoro i prawdziwi ludzie, ci z krwi i kości, mogli zaistnieć w tej samej relacji z otaczającym

ich światem co on. Nikt nie mógł twierdzić, że przesunięcie Dopplera ograbiłoby go z człowieczeństwa.

Nad otaczającym go nagraniem miasta zapadał zmierzch. Paul zjadł podgrzaną w mikrofalówce potrawkę z protein soi, zastanawiając się, czy istnieją jakiegokolwiek powody – moralne czy inne – by wciąż pozostawać wegetarianinem.

Długo po północy słuchał muzyki. Tsang Chao, Michael Nyman, Philip Glass... i nie miało żadnego znaczenia, że każda nuta „tak naprawdę” trwa siedemnaście razy dłużej niż powinna, ani że umieszczony w odtwarzaczu audio ROM „tak naprawdę” nie posiada żadnej mikrostruktury, ani że sam „dźwięk” jest doprowadzany do jego modelu mózgu dzięki skomputeryzowanej sztuczce, która w niczym nie przypomina zwykłego procesu słyszenia. Punkt kulminacyjny *Mishimy* Glassa zawładnął nim jak zawsze do tej pory, niczym harpun wbity prosto w serce.

A co, gdyby kryjące się pod tym wszystkim przeliczenia naprawdę były wykonywane na przestrzeni tysiącleci przez ludzi przesuwających paciorki w liczydłach? Czy czułby się wtedy dokładnie tak samo?

Przyznanie się do czegoś takiego było szokujące, jednak jego odpowiedź musiałaby brzmieć „tak”. Leżał w łóżku, zastanawiając się nad pytaniem: *Czy wciąż chciałbym się przebudzić z tego snu?*

Dyskusja w tej kwestii pozostawała dla niego jednak niezmiennie czysto akademicka, gdyż wciąż nie posiadał żadnego innego wyboru.

4.

(Nie przekazuj żadnych braków)
(Remit not paucity)

listopad 2050

Maria umówiła się z Adenem w Nadir, nocnym klubie przy Oxford Street, miejscu, gdzie Aden czasami grywał, zazwyczaj jedynie przesiadywał i komponował. Dzięki niemu przeważnie mogli tam wejść za darmo, a drzwi – onieśmielające urządzenie przypominające służbę powietrzną, zrobione z żeberek czarnej, anodyzowanej stali – po wykonaniu krótkiego skanu bezpieczeństwa, bez żadnych przeszkód wpuściły ją do środka. Kiedyś miała koszmar, w którym została uwięziona w tej komorze z powodu noża, który w niewyjaśnionych okolicznościach odnaleziono przypięty do jej wysokiego buta, a co gorsza, z anulowaną zdolnością kredytową. Rzecz strawiła ją niczym muchołówka amerykańska [*(Dionaea muscipula)* roślina owadożerna o liściach w kształcie charakterystycznej „paszczy z zębami”, które zamykają się, gdy siada na nich zwabiony nektarem owad] owada, podczas gdy Aden wykonywał w środku na scenie jedną ze swoich rozdzierających serce piosenek o miłości.

Jak na czwartkową noc, było tu dziś wyjątkowo tłoczno i – to już tradycyjne – niemal ciemno. Wreszcie zdołała wypatrzeć Adena, siedzącego przy stoliku w pobliżu jednej z bocznych ścian i komponującego, a zarazem przysłuchującego się jednemu z grających na

scenie zespołów. Jego twarz oświetlała poświata pochodząca z ekranu znajdującego się przed nim notepada. Na tyle, na ile tylko Maria była w stanie to ocenić, Aden nigdy przesadnie nie znajdował się pod wpływem słuchanej podczas komponowania muzyki, ale jak sam twierdził, nie byłby w stanie pracować w absolutnej ciszy; jeśli zaś chodziło o inspirację, katalizator, czy czymkolwiek to było, do komponowania potrzebował wykonań na żywo.

Dotknęła jego ramienia. Spojrzał na nią, zsunął słuchawki i wstał, żeby ją pocałować. Jego pocałunek miał smak soku pomarańczowego.

– Powinnaś tego posłuchać – stwierdził, wskazując słuchawki. – Buddystyczni Prawnicy Krętacze na Krak. Są całkiem, całkiem.

Maria przelotnie spojrzała w kierunku sceny, mimo iż nie była w stanie określić, kogo tak dokładnie Aden ma na myśli. Na scenie bowiem znajdowało się około dziesięciu muzyków – w sumie cztery zespoły – a każdy z nich był otoczony indywidualnym, dźwiękoszczelnym plastikowym cylindrem. Większość klientów miała nałożone słuchawki, dostrajające się do dźwięków tylko jednego z zespołów, a ciekłokrystaliczne okulary, które mrugały w synchronizacji z określonymi grupami cylindrów, czyniły pozostałe z zespołów niewidocznymi. Kilku gości lokalu rozmawiało przyciszonymi głosami – i z pięciu możliwych ścieżek dźwiękowych, które miała tu do wyboru, Maria zdecydowała, że do obecnego nastroju najbardziej pasuje jej uspokajająca niemalże cisza. Tak czy inaczej, nigdy nie przepadała za używaniem induktorów prądów nerwowych, które mimo iż fizycznie nie były w stanie uszkodzić błony bębenkowej (oszczędzając w ten sposób kierownictwu lokalu wszelkiego ryzyka związanego z pozwami sądowymi), zawsze – przynajmniej w jej przekonaniu – pozostawiały w uszach, czy też w słuchowych szlakach

nerwowych, dzwonię, niezależnie od wybranego przez nią poziomu głośności.

– Może później.

Usiadła obok Adena, a gdy otarli się o siebie ramionami, poczuła, jak ten nieznacznie się naprężył, by po chwili wymusić na sobie rozluźnienie ciała. Być może tylko jej się wydawało. Często, gdy była przekonana, że czyta język jego ciała, tworzyła sobie jedynie sygnały tak naprawdę będące szumem.

– Dostałam dziś spam wyglądający dokładnie jak ty – stwierdziła.

– Czuję się wzruszony. Co też chciał ci sprzedać?

– Kościół Boga, Który Nic Nie Robi.

Zaśmiała się.

– Ilekroć słyszę tę nazwę, dochodzę do wniosku, że powinni ją zmienić. Bóg, który nic nie robi, nie zasługuje na to, by pisać go z dużej litery, ani też by stawiać mu kościoły.

– Mogę raz jeszcze uruchomić ten program i będziecie to mogli między sobą definitywnie rozstrzygnąć.

– Nie skorzystam. – Łyknął ze swojej szklanki. – Coś innego niż śmieci? Jakies kontrakty?

– Nie.

– Tak więc... kolejny dzień śmiertelnej nudy?

– Głównie. – Zawahała się. Aden zazwyczaj wypytywał ją, co u niej, kiedy sam miał coś do zakomunikowania, a bardzo ją ciekawiło, o co chodziło mu tym razem. Ale on nic nie powiedział, tak więc zaczęła się rozwódzić nad swoim spotkaniem z Operacją Motyl.

– Tak, coś tam sobie przypominam – powiedział. – Coś słyszałem. Ale zdawało mi się, że dzielą nas od tego całe dziesięciolecie.

– Od przeprowadzenia podobnej operacji w świecie rzeczywistym zapewne tak, ale symulacja definitywnie weszła już w życie... i to na wielką skalę.

Przybrał cierpiętniczy wyraz twarzy.

– Kontrola pogody? Kogo oni chcą na to nabrać?

Maria powstrzymała uczucie irytacji.

– Teoria musi wyglądać obiecująco, bo inaczej nie doprowadziliby tego aż do obecnego etapu. Nikt nie wydaje kilku milionów dolarów, i to na godzinę, płacąc za czas na superkomputerze, jeśli nie ma wystarczająco dobrej szansy, że mu się to opłaci.

– Och tak, robią to – parsknął Aden. – Zazwyczaj nazywają to „operacja” jakaś tam czy inna. Pamiętasz Operację Promienista Droga?

– Tak, pamiętam.

– Zamierzali rozsiać w górnych warstwach atmosfery nanomaszyny, które mogłyby monitorować temperaturę, rzekomo mając jakoś na nią wpływać.

– Miały wytwarzać cząsteczki, które odbijałyby pewne określone długości fal promieniowania słonecznego, a następnie, o ile tylko zaszłaby taka potrzeba, rozkładać te cząsteczki.

– Innymi słowy, miały okryć naszą planetę gigantycznym termostatycznym kocem.

– A cóż w tym takiego strasznego?

– Pytasz o to, co poza czysto technokratyczną, arogancką butą? i poza takim drobnym szczegółem, że uwalnianie jakiegokolwiek samoreplikującego się urządzenia do ziemskiego środowiska naturalnego jest wciąż – na szczęście – nielegalne? To by nie zadziało. Zaistniałyby nieprzewidziane komplikacje – niestabilne mieszanie się warstw powietrza, coś w tym stylu – które przeciwdziałyby większości zamierzonego efektu.

– Istotnie – przytaknęła mu Maria. – Ale jak ktokolwiek mógłby się o tym przekonać, gdyby nie przeprowadzono właściwej symulacji?

– Zdrowy rozsądek. Cały ten pomysł rzucania się z technologią na problemy, których powstanie zawdzięczamy w pierwszym rzędzie samej technologii.

Maria poczuła, jak niespodziewanie opuszcza ją wszelka cierpliwość.

– A co ty byś wolał zrobić? Tkwiłbyś pokornie wobec natury i żywił nadzieję, że zostaniesz za to nagrodzony? Czy wydaje ci się, że Mateczka Ziemia zamierza nam wszystko wybaczyć i sama wszystko sobie poukłada jak należy, i to tak szybko, jak tylko pozbędziemy się naszych grzesznych komputerów i obiecamy skończyć z podejmowaniem własnoręcznych prób naprawy całego tego bajzlu? Powinna być chyba raczej powiedzieć – „Babuszka Ziemia”.

Aden uśmiechnął się krzywo.

– Nie. Ale jedynym sposobem „naprawy tego wszystkiego” jest zmniejszenie ludzkiego wpływu na naszą planetę, a nie wprost przeciwnie. Zamiast wymyślać podobne do tego, zapierające dech w piersiach plany, które mają na siłę sprowadzić wszystko do właściwego stanu, musimy się wycofać, pozostawić wszystko własnej kolei rzeczy i dać szansę, by samo mogło dojść do siebie.

Maria była zdezorientowana.

– Na to jest już za późno. Gdyby rozpoczęto ten proces przed setkami lat, to tak, w porządku. Wszystko mogłoby skończyć się inaczej. Ale obecnie to, o czym mówisz, już nie wystarczy, do tej pory wyrządzono zbyt wiele szkód. Chodzenie na paluszkach po rumowisku z nadzieją, że wszystkie rozstrojone przez nas systemy same magicznie wrócą do stanu wyjściowego, oraz chodzenie dwa razy ostrożniej za każdym razem, gdy podwaja się nasza populacja, po prostu nie zadziała. Cały planetarny

ekosystem jest w tej chwili takim samym rodzajem artefaktu jak... miejski mikroklimat. Uwierz mi, sama chciałabym, by nie tutaj był pies pogrzebany, ale taka właśnie jest prawda i teraz, kiedy stworzyliśmy, czy to przypadkiem, czy to z pełną premedytacją sztuczny świat, chyba lepiej będzie, jeżeli nauczmy się go kontrolować. Ponieważ odsuwając się od niego i pozostawiając wszystko przypadkowi, doprowadzimy tylko do tego, że cały otaczający nas świat rozpadnie się w jakiś zupełnie przypadkowy sposób, a mało prawdopodobne, by okazał się on chociażby ciut lepszy od najgorszych naszych błędów, popełnionych z jak najlepszymi intencjami.

– Sztuczny świat? Ty naprawdę w to wierzysz? – Aden był przerażony.

– Tak.

– Przystajesz zauważać różnicę tylko dlatego, że spędzasz za dużo czasu w wirtualnej rzeczywistości.

Maria nie była poruszona nawet w najmniejszym stopniu jego słowami.

– Prawie nigdy. – Powstrzymała się, uświadamiając sobie, że miał na myśli Autoverse. Już dawno temu przestała mu wbijać do głowy rozróżnienie tych dwóch spraw.

– Przepraszam – powiedział Aden. – To było zagranie poniżej pasa. – wykonał gest mający świadczyć o tym, że się wycofuje z dyskusji. Machnięcie ręką; bardziej wyraz zniecierpliwienia niż przeprosin. – Słuchaj, zapomnijmy o całym tym dołującym ekologicznym bełkocie. Dla odmiany mam dla ciebie wspaniałe nowiny. Wyjeżdżamy do Seulu. Maria zaśmiała się.

– Wyjeżdżamy? Po co?

– Zaproponowano mi tam pracę. Na uniwersyteckim wydziale muzyki.

Spojrzała na niego przenikliwie.

– Dzięki, że mnie poinformowałeś o złożeniu podania.

Wzruszył ramionami, nie przejmując się zbytnio jej słowami.

– Nie chciałem za bardzo nakręcać twoich ani moich nadziei. Sam dowiedziałem się dopiero dziś rano i wciąż nie mogę w to uwierzyć. Kompozytor–rezydent, i to na cały rok; kilka godzin wykładów tygodniowo, a przez resztę czasu mogę robić, co mi się żywnie podoba: komponować, występować, produkować, cokolwiek. A gratis dorzucają mieszkanie. Dla dwóch osób.

– Zaraz, poczekaj chwilę. Kilka godzin wykładów? Po co masz więc pojawiać się tam osobiście?

– Wymagają fizycznej obecności. Kwestia prestiżu. Każdy uniwersytet imienia Myszki Miki może podłączyć się do sieci i sprowadzić sobie w ten sposób dziesiątki wykładowców z całego świata.

– Myszka Miki by ich nie sprowadziła. Do tego potrzeba sprawnej organizacji.

– I niewielkich kosztów. Ten uniwersytet nie chce być tani. Pragną fragmentu egzotycznej kulturalnej dekoracji. Nie śmiej się. Australia jest teraz w Seulu hitem miesiąca, a coś takiego przytrafia się raz na jakieś dwadzieścia lat, więc lepiej by było, gdybyśmy to wykorzystali... i chcą mieć kompozytora–rezydenta. Jak sama nazwa wskazuje – rezydującego na miejscu.

Maria rozsiadła się wygodnie i starała się to sobie przemyśleć.

– Nie wiem jak ty – dodał Aden – ale ja niezbyt potrafię sobie wyobrazić, jak inaczej mogłoby nas stać na spędzenie roku w Korei.

– I odpowiedziałeś, że się zgadzasz?

– Odpowiedziałem, że być może. Że najprawdopodobniej.

– Zakwaterowanie dla dwojga. Co też niby miałabym robić, kiedy ty będziesz pełnił swe egzotyczne i dekoracyjne funkcje?

– Cokolwiek, na co przyjdzie ci ochota. Wszystko, co robisz tutaj, możesz z łatwością robić i tam. Sama mi to nieustannie powtarzasz, jak to

jesteś podłączona do całego świata, jak to jesteś węzłem w przestrzeni danych logicznych, a twoja fizyczna lokalizacja jest całkowicie nieistotna.

– Tak, i sprowadza się to do tego, że nie muszę się przeprowadzać. Podoba mi się tu, gdzie mieszkam.

– Ta klitka.

– Mieszkanko w miasteczku studenckim w Korei wcale nie będzie o wiele większe.

– Jedźmy! To ekscytujące miasto – obecnie ma tam miejsce wielki renesans kulturowy, a nie dotyczy on wyłącznie sceny muzycznej. Kto wie? Może uda ci się tam znaleźć kilka interesujących projektów, nad którymi mogłabyś popracować. Nie wszystko można wygrzebać w sieci.

To było prawdą... w przeciwieństwie do Australii, która była na etapie okresu próbnego, Korea miała pełne członkostwo w ASEAN, więc gdyby Maria we właściwym czasie mieszkała w Seulu i posiadała tam właściwe kontakty, mogłaby teraz pracować w ramach Operacji Motyl, i nawet jeśli były to zaledwie pobożne życzenia, bo wyrobienie sobie właściwych kontaktów zabierało najprawdopodobniej całą dekadę, trudno było sobie wyobrazić, że pod względem pracy mogło się jej tam powodzić gorzej niż teraz w Sydney.

Zamilkła. To były dobre wiadomości, jedna z rzadkich możliwości dla nich obojga, ale wciąż nie potrafiła zrozumieć, dlaczego spadło to na nią z jego strony jak grom z jasnego nieba. Powinien był jej wszystko powiedzieć wtedy, kiedy składał papiery; nieważne, jak znikomo oceniał własne szanse.

Spojrzała w kierunku sceny, gdzie dwunastu spoconych muzyków dawało z siebie wszystko, a następnie odwróciła wzrok. To przyglądanie im się, nie będąc podłączoną, niepokojąco zakrawało na podglądactwo: chodziło nie tyle o pozbawiony dźwięku widok tego, jak przeżywają

wszystko na scenie, ile o świadomość, że żaden z tych zespołów nie widzi pozostałych, mimo iż ona może obserwować je wszystkie.

– Nie spiesz się z podjęciem decyzji – stwierdził Aden. – Rok akademicki rozpoczyna się dziewiątego stycznia. Mamy dwa miesiące.

– Nie będą chcieli wiedzieć tego dużo wcześniej?

– Do poniedziałku muszą poznać moją decyzję – ale nie wydaje mi się, by zakwaterowanie było aż tak wielkim problemem. To znaczy, gdyby się jednak okazało, że wyląduję tam sam w dwuosobowym mieszkaniu, z pewnością nie oznaczałoby to końca świata. – Spojrzał na nią z niewinnym wyrazem twarzy, jak gdyby prowokując, by podała mu czas i miejsce, w którym ją zapewnił, że odrzuci podobną szansę tylko dlatego, iż ona nie zechce się przyłączyć do tak wspaniałej wycieczki.

– Nie, oczywiście, że nie – odpowiedziała. – Ale głupiotka jestem.



Kiedy już wróciła do domu, nie mogła oprzeć się ciekawości i zalogowała się na QIPS Exchange, po to tylko, by sprawdzić, co tam się dzieje. Operacja Motyl zniknęła już z rynku. Omniaveritas, jej wyszukiwarka informacji, nie odnalazła żadnych nowych doniesień o tajfunach w badanym regionie; być może ten przewidywany wcześniej jednak się nie pojawił, bądź też miał dopiero nadejść, ale symulacja i tak wydała już swój wyrok. Świadomość, że mogło być po wszystkim, zanim jeszcze sam sztorm stał się rzeczywistością, była bardzo osobliwa... ale z drugiej strony, póki nie wydarzyło się nic wartego wzmianki w wiadomościach, rzeczywiste dane meteorologiczne – miejmy nadzieję – nie były w niczym podobne do tego, co miałyby miejsce, gdyby używano tam

urządzeń służących do kontroli pogody. Jedyne dane pochodzące ze świata rzeczywistego konieczne do takiej symulacji to punkt początkowy, zapis stanu pogody na planecie tuż przed rozpoczęciem jakiegokolwiek interwencji.

Obecny kurs QIPS wciąż o przeszło pięćdziesiąt procent przewyższał zwykle panujący, teraz bowiem wszyscy regularni użytkownicy rozpychali się na rynku, by wykonać swą opóźnioną pracę. Maria zawahała się. Czuła potrzebę jakiegoś pocieszenia, ale obecnie uruchomienie Autoverse'u byłoby głupotą; o wiele więcej sensu miało przeczekanie do rana.

Zalogowała się na JSN, wsunęła dłonie w rękawice, a następnie aktywowała przestrzeń roboczą. Ikonka przedstawiająca człowieczka ślizgającego się na skórce od banana, zamrożonego w powietrzu, reprezentowała zapis jej przerwanej zadania. Kiedy tylko ją trąciła, natychmiast tuż przed nią pojawiły się szalki Petriego wypełnione jedzącą, dzielącą się i umierającą *A. lamberti*, jak gdyby ostatnie piętnaście godzin w ogóle nie miało miejsca.

Mogła zapytać Adena prosto w twarz: *Chcesz sam jechać do Seulu? Chcesz sobie odpocząć ode mnie przez najbliższy rok? Jeżeli tak, dlaczego nie powiesz mi tego wprost?* Ale on, niezależnie od tego, jaka była prawda, zaprzeczyłby wszystkiemu. A ona by mu nie uwierzyła, nieważne – kłamał czy też nie. Po co zadawać pytania, skoro odpowiedzi niczego nie wyjaśniają?

Obecnie to nie zdawało się mieć najmniejszego znaczenia: Seul czy Sydney, z otwartymi ramionami czy nie. Do Autoverse'u mogła sięgnąć, gdziekolwiek się znajdowała... czy to geograficznie, czy uczuciowo. Wpatrywała się w przestrzeń roboczą, przesuwając umieszczonym w rękawicy palcem wzdłuż krawędzi jednej z szalek i deklamując prześmiewczo: *Nazywam się Maria i jestem uzależniona od Autoverse'u.*

Kiedy tak przyglądała się hodowli w dotykanej właśnie szalce, ta przeszła z błotnistego błękitu w czysty brąz, a następnie zaczęła się stawać przezroczysta w miarę jak oprogramowanie odpowiedzialne za wizualizację klasyfikowało martwe *A. lamberti* zaledwie jako przypadkowe ułożenie organicznych molekuł.

Jednak, gdy brązowa masa rozpływała się jej przed oczami, Maria dostrzegła tam coś, co do tej pory umykało jej uwagi.

Drobniutką plamkę elektryzującego błękitu.

Przybliżyła ją, wzbraniając się przed wyciągnięciem pochopnych wniosków. Plamka okazała się małą, powoli namnażającą się grupką bakterii, którym jakoś udało się przetrwać – ale to jeszcze niczego nie udowadniało. Za każdym razem niektóre ze szczepów były w stanie przetrwać dłużej od innych; mówiąc bardziej pedantycznie: zawsze istniał pewien stopień „selekcji naturalnej” – ale nie poszukiwała tu przecież tego rodzaju ewolucyjnego triumfu, który przypadał ostatnim z dinozaurów.

Wywołała histogram, na którym przedstawiano rozpowszechnienie różnych form enzymów epimerazy, narzędzi, z którymi łączyła swe nadzieje dotyczące zamiany mutozy w nutrozę... lecz nie odkryła tam nic nadzwyczajnego, jedynie zwykły rozrzut nieudanych mutacji, którym nie udawało się przetrwać zbyt długo. Żadnych wskazówek mogących odpowiedzieć jej na pytanie, dlaczego akurat ten szczep okazał się inny od wszystkich wybitych kuzynów.

Czemu więc radziły sobie aż tak dobrze?

Maria „oznaczyła” porcję molekuł mutozy w medium hodowlanym, przypisując im wielokrotne klony Maxwell's Demon, by te śledziły je i uwidaczniały. Było to autoversowym odpowiednikiem biochemicznej metody znaczników izotopowych, połączonej z czymś przypominającym magnetyczny rezonans jądrowy, skoro demony miały równocześnie ze

wskazywaniem położenia sygnalizować wszelkie chemiczne zmiany. Przybliżyła na jedną z tych *A. lamberti* którym udało się przeżyć, przedstawianą obecnie w neutralnej szarości, i obserwowała, jak róż fosforyzujących zielonych kropeczek przechodzi przez ścianę komórki, a następnie miota się po całej przestrzeni jej protoplazmy w drganiach ruchów Browna.

Jedna po drugiej, frakcja zaznaczonych cząsteczek przechodziła z zieleni w czerwień, znacząc w ten sposób przejście pierwszego etapu ścieżki metabolicznej: przyłączenie wysokoenergetycznej grupy atomów, która była mniej więcej autowersowym odpowiednikiem grupy fosforanowej. Ale nie było w tym nic nadzwyczajnego; w czasie pierwszych trzech etapów procesu enzymy, które działały na nutrozę, i tak trwoniłyby energię na oszusta, przyjmując, że jest odpowiednim związkiem chemicznym.

Mówiąc dokładnie, te czerwone drobinki nie były już wcale mutozą, ale Maria poinstruowała demony, by przechodziły w niedający się z niczym pomylić fiolet nie tylko w obecności samej nutrozy, lecz również wtedy, gdy obserwowane molekuly w późniejszym stadium procesu byłyby przywracane do stanu początkowego – regenerowane podczas trawienia. Maria wątpiła, by właśnie coś takiego miało tu miejsce, szczególnie przy niezmienionych enzymach epimerazy, ale bakterie, w jakiś bliżej nieokreślony sposób, rozwijały się znakomicie.

Oznaczone na czerwono cząsteczki błąkały się zupełnie bez ładu i składu wewnątrz komórki, te częściowo przetrawione wymieszane z tymi nietkniętymi w zupełnie przypadkowy sposób. Precyzyjne diagramy opisujące proces metabolizmu – odpowiednik szlaku Embdena–Meyerhofa ze świata rzeczywistego, czy też tak zwany autowersowy szlak Lamberta – zawsze sprawiały na niej wrażenie uporządkowanej wersji cząsteczkowego przenośnika taśmowego, ale prawda była taka, że na najniższym poziomie

życie w obojętnie którym z tych dwóch systemów było napędzane samą tylko sekwencją przypadkowych zderzeń.

Kilka oznaczonych na czerwono cząsteczek przeszło w pomarańcz. Etap drugi: enzym zacieśnia sześciokątny pierścień cząsteczki w formę pięciokąta, przekształcając uwolniony w ten sposób wierzchołek w odstającą grupę atomów, która staje się bardziej odsłonięta i reaktywna niż do tej pory.

Ale wciąż nie było w tym nic nowego... i wciąż nie pojawił się nawet najmniejszy ślad fioletu.

Nic nowego, jak się jej zdawało, nie wydarzyło się przez bardzo długi czas. W końcu spojrzała na zegarek i powiedziała: „Globalnie”, by sprawdzić, czy któreś z większych skupisk ludzkich nie pojawiło się właśnie online, by rozpocząć kolejny dzień pracy. Ale autentyczny widok z kosmosu na powierzchnię Ziemi pokazywał jej linię świtu wysuniętą daleko na Pacyfik. Kalifornia weszła do gry na długo przed tym, nim Maria wróciła do domu.

Kilka pomarańczowych znaczków przeszło w kolor żółty. Etap trzeci szlaku Lamberta, podobnie jak etap pierwszy, był stadium, w którym przyłączano do cukru wysokoenergetyczne grupy atomów. W przypadku nutrozy pojawiała się tu wreszcie pewna rekompensata, dwukrotnie więcej dostarczających energię molekuł kończyło to stadium „doładowane”, niż zostało „wyczerpane”. Jednakże to etap czwarty – rozszczepienie pierścienia na dwa mniejsze fragmenty – stanowił punkt, w którym mutoza bezpowrotnie blokowała cały mechanizm.

Nie licząc pojedynczej żółtej drobinki, która właśnie na jej oczach rozpadła się na dwie... fioletowe.

Maria, oszołomiona, pogubiła się w tym, co się tutaj działo. Następnie wyłapała wzrokiem, jak dzieje się to po raz wtóry. Wreszcie po raz trzeci.

Jakąś minutę zabrało jej przemyślenie, co też mogło się wydarzyć; zrozumienie, co może to oznaczać. Bakteria nie odwracała dokonanej przez nią zmiany na cząsteczce cukru, nie zamieniała z powrotem mutozy w nutrozę, ani też nie robiła tego na częściowo strawionym metabolicie. Zamiast tego tak musiała zmodyfikować sam przełamujący pierścień enzym, że doszła do wersji działającej bezpośrednio na metabolit mutozy.

Maria zamroziła widok na ekranie, następnie zbliżyła go i w skali molekularnej przyjrzała się powtórce całego procesu. Enzym, o którym mowa, był zbudowany z tysięcy atomów; tak więc niemożliwe było wychwycenie różnic na pierwszy rzut oka, ale nie było żadnych wątpliwości co do wykonywanego przezeń zadania. Dwuatomowy niebiesko-czerwony kolec, który pierwotnie przełożyła na cukrze, nigdy nie został przesunięty z powrotem na swoje „właściwe” miejsce; zamiast tego to enzym przystosował się perfekcyjnie do tak zmienionej geometrii.

Wyświetliła równocześnie pierwotną i nową wersję enzymu, podświetliła obszary, które różniły się w trzeciorzędowej strukturze, a następnie wysondowała je koniuszkami palców, potwierdzając dotykiem, że wgłębienie w gigantycznej molekułe, w którym dochodziło do reakcji, zmieniło swój kształt.

A co po rozszczepieniu pierścienia? Fragmenty były identyczne, niezależnie od tego, czy cukrem, z którego pochodziły, była mutoza czy nutroza. Pozostała część szlaku Lamberta toczyła się więc, jak gdyby nic się nie zmieniło.

Maria poczuła dumę i w pewnym stopniu oszołomienie. Ludzie niemalże od szesnastu lat starali się otrzymać podobną, spontanicznie zachodzącą adaptację. A ona nie miała nawet najmniejszego pojęcia, dlaczego właśnie jej udało się tego dokonać; przez pięć lat majstrowała przy mechanizmach naprawczych bakterii, starając się wymusić na *A. lamberti* nie tyle szybszą,

ile bardziej przypadkową mutację. Za każdym razem kończyło się tym samym: szczep – podobnie jak w przypadku oryginalnych prac Lamberta i pozostałych badaczy – wielokrotnie przechodził przez garstkę tych samych, przewidywalnych i bezużytecznych mutacji... niemal jak gdyby coś głęboko w samym mechanizmie Autoverse'u całkowicie wykluczało bujną różnorodność, która tak bez żadnego wysiłku pojawiała się w biologii świata rzeczywistego. Calvin i inni sugerowali, że w związku z tym, iż autoversowa fizyka zanedbuje głęboką nieokreśloność rzeczywistej mechaniki kwantowej, ponieważ brak jej koniecznego dopływu „prawdziwej nieprzewidywalności”, to nigdy, na żadnym poziomie, nie można oczekiwać, że w Autoverse pojawi się to samo bogactwo zjawisk, co w świecie rzeczywistym.

Ale to stwierdzenie zawsze było absurdalne – a teraz ona udowodniła tę absurdalność.

Przez moment przeszło jej przez myśl, by zadzwonić do Adena albo Franceski – ale Aden zrozumiałby jedynie tyle, by zaledwie uprzejmie pokiwać głową, a jej matka nie zasługiwała na to, by Maria budziła ją w środku nocy.

Wstała i przez chwilę krążyła po malutkiej sypialni, zbyt podekscytowana, by ustać w miejscu. Wreszcie załadowała list do „Autoverse Review” (liczba subskrybentów – siedemdziesiąt trzy osoby), do którego jako przypis dołączyła genom szczepu stanowiącego jej punkt wyjścia, tak by każdy mógł samodzielnie spróbować powtórzyć jej eksperyment.

Usiadła i na pierwszym planie przestrzeni roboczej uruchomiła edytor tekstu, gdzie zaczęła układać treść listu, ale po krótkiej chwili zdecydowała, że jest na to zbyt wcześnie; wciąż pozostało zbyt wiele do zrobienia, by móc sformułować podstawy najbardziej nawet związłego raportu.

Sklonowała małą kolonię szczepu żywiącego się mutozą i obserwowała, jak rozwija się bez przeszkód na pożywce z czystej mutozy. Nie było w tym żadnej niespodzianki, lecz i tak należało to sprawdzić.

Następnie zrobiła to samo z czystą nutrozą i kolonia, co było oczywiste, wymarła w mgnieniu oka. Bakterie utraciły przecież oryginalny enzym rozszczepiający pierścień; pierwotne role nutrozy i mutozy, jako pożywienia i trucizny, zostały odwrócone.

Maria zamyśliła się. *A. lamberti* przystosowała się, lecz nie w sposób, jakiego ona od niej oczekiwała. Dlaczego nie odkryła sposobu, by móc rozkładać oba cukry, a jedynie zamieniła jedną zależność na drugą? Ta pierwsza strategia byłaby przecież o wiele korzystniejsza. Tak właśnie zrobiłaby prawdziwa bakteria.

Przez chwilę Maria rozważała tę kwestię – następnie wybuchnęła śmiechem. Ludzie od szesnastu lat prześcigali się w poszukiwaniach pojedynczego, przekonującego przykładu naturalnej selekcji wewnątrz Autoverse'u – a ona teraz siedziała tu sobie i zamartwiała się faktem, że to, co udało się jej uzyskać, nie jest najlepszą z możliwych adaptacji. Ewolucja była przecież przypadkowym spacerkiem po polu minowym, nie posiadała zamierzonej z góry trasy, która prowadziłaby bezpośrednio i prościutko w kierunku „perfekcji”. *A. lamberti* natknęła się na udany sposób mogący zamienić truciznę w pożywienie. To tylko zwykły pech, że następstwem czegoś takiego okazało się odwrócenie ról.

Maria przeprowadziła kilkanaście innych eksperymentów. Straciła rachubę czasu. Dopiero kiedy nastał świt, a oprogramowanie rozjaśniło znajdujące się przed nią obrazy, powstrzymując je tym samym przed rozmyciem w świetle dnia, załamała się jej koncentracja. Rozejrzała się po pomieszczeniu, uświadamiając sobie, jak jest późno.

Raz jeszcze rozpoczęła list. Po trzech próbach stworzenia pierwszego akapitu – z których wszystkie wywoływały te same odpowiedzi z Camel's Eye: *Znienawidzisz to, kiedy później przeczytasz. Zaufaj mi.* – przyznała się wreszcie przed samą sobą, że jest wyczerpana. Wyłączyła wszystko i wpełzła do łóżka.

Przez jakiś czas leżała tam w bezruchu, zakopując twarz w poduszce i czekając, by sprzed oczu zniknęły jej powidoki obrazów przedstawiających szalki Petriego i enzymy. Jeszcze pięć lat temu mogłaby spokojnie pracować przez całą noc, a następnego dnia miałyby co najwyżej popołudniowe napady ziewania. Teraz natomiast czuła się, jak gdyby przepuszczono ją przez wyżymaczkę – i zdawała sobie sprawę, że przez kilka najbliższych dni do niczego nie będzie się nadawała. *Trzydzieści jeden lat to dużo, strasznie dużo.*

Pulsowało jej w głowie, miała obolałe całe ciało. Nie dbała o to. Właśnie zwrócił się jej czas i wszystkie pieniądze, które wpakowała w Autoverse. Każda spędzona tam chwila została właśnie usprawiedliwiona.

Taaa? Przekręciła się, położyła na plecach i otworzyła oczy. *Co niby dokładnie się zmieniło?* Wciąż było to zaledwie hobby, którym sobie dogadzała, złożona gra komputerowa. Stanie się sławna w oczach siedemdziesięciu dwóch przesadnie rozdzielających włos na czworo dziwaków, podobnie jak ona uzależnionych od Autoverse'u. Ile rachunków uda się jej dzięki temu zapłacić? Ile tajfunów w związku z tym zneutralizuje?

Nakryła głowę poduszką, czując się ułomna, głupia, beznadziejna – i buntowniczo szczęśliwa – dopóki jej kończyny nie straciły czucia, nie zaschło jej w ustach, a pokój nie zaczął kołysać do snu.

5.

(Nie przekazuj żadnych braków)
(Remit not paucity)

listopad 2050

Peer przylgnął podeszwami stóp i dłonią do szyby, by móc przez chwilę odpocząć. Przechylił głowę do tyłu, by raz jeszcze objąć wzrokiem srebrną ścianę drapacza chmur, rozciągającą się nad nim w nieskończoność. Przypominające watę chmury przepływały jeszcze wyżej niż którakolwiek z części tego budynku, mimo iż sam budynek rozciągał się w nieskończoność.

Uwolnił prawą stopę, zakotwiczył ją trochę wyżej, a następnie odwrócił się i spojrzał w dół, w kierunku uporządkowanej siatki miasta, otoczonej przedmieściami, które wyglądały równie regularnie jak zaorane pola. Skrót perspektywiczny znajdujących się za nimi terenów wiejskich układał się w zielono-brązową obwódkę do czaszy Ziemi; niebiesko zamglony horyzont precyzyjnie rozdzielał na pół cały rozciągający się przed nim widok. Cechy krajobrazu, takie jak chmury, były „nieskończenie olbrzymie” i „nieskończenie odległe”, podczas gdy skończone miasto, nieważne jak majestatyczne się wydawało, kurczyło się do niewidzialności niczym podstawa wieżowca, po którym się wspinał. Odległość wszak była tu czymś więcej niż jedynie złudzeniem perspektywy. Peer zdawał sobie sprawę, że jego zbliżanie się do powierzchni ziemi mogłoby trwać tak długo, jak tylko

miałby na to ochotę, a równocześnie nawet nie zbliżyłby się do niej ani o krok. Godziny całe, dni, wieki.

Nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy rozpoczął to zejście, mimo iż wyraźnie rozumiał – w mglistej wiedzy, w mglistych wspomnieniach – zarówno swój stan ducha, w którym istniało takie rozpoczęcie, jak i taki stan, w którym wcale go nie było. Jego wspomnienia dotyczące wieżowca, podobnie jak sam widok budynku, zdawały się zbiegać w pojedynczym punkcie na widnokręgu; spoglądając wstecz, pamiętał jedynie sam akt schodzenia poprzedzielany krótkimi chwilami odpoczynku... i choć jego umysł błądził, nigdy nie stracił świadomości. Jego przeszłość zdawała się ciągnąć wstecz bez żadnych zakłóceń, w nieskończoność. Wciąż jednak mógł ją objąć pojedynczym skończonym spojrzeniem, korzystając z jakiegoś prawa mentalnej perspektywy, jakiegoś rachunku pamięci, ograniczającego sumę ciągle się zmniejszających przyczynków do jego obecnego stanu umysłu, które pochodziły z coraz to bardziej odległych chwil w przeszłości. Ale posiadał też własne mgliste wspomnienia; wspomnienia, które pochodziły jeszcze sprzed schodzenia. Nie potrafił ich połączyć z teraźniejszością, ale istniały tak czy inaczej, jak tło ożywiające całą resztę. Wiedział dokładnie, kim był i co zrobił w czasie poprzedzającym zajmowany obecnie.

Kiedy się zatrzymał, był wyczerpany, ale po kilku minutach odpoczynku poczuł się, i to dosłownie, tak nabuzowany energią i entuzjazmem jak zawsze. Dawniej, w tych mglistych czasach, podczas przygotowań, usunął z siebie wszelką potrzebę i pragnienie pożywienia, napoju, snu, seksu, towarzystwa, a nawet samej zmiany scenerii, tak przeprogramował swoją egzojaźń – wyszukane, lecz nieświadome oprogramowanie kontrolujące, które sięgało do wnętrza modelu jego mózgu i ciała, dokładnie dostrajając tam każdą ich część zgodnie z jego własnymi wymaganiami – by zapewnić

niezmiennosc tych warunków. Z przyjemnością podjął się zejścia, niczym radosny Syzyf. Schodzenie po gładkiej, lustrzanej powierzchni drapacza chmur wciąż było najczystsza z radości, jaką był sobie w stanie wyobrazić: ciepło odbijanego w jego kierunku światła słońca, ostre, chłodne podmuchy wiatru, słabo słyszalne zgrzyty stali i betonu. Adrenalina i wewnętrzny spokój. Cykl wyczerpania i perfekcyjnego powrotu do sił. Niekończący się ruch. Sięganie ku nieskończoności.

Budynek, Ziemia, niebo, jego ciało – wszystko się rozplynęło. Ogołocony do samych bodźców dźwiękowych i wizualnych Peer odkrył, że obserwuje własny Bunkier: grupkę ekranów unoszących się przed nim w czarnej próżni. Na jednym z nich znajdowała się Kate; dwuwymiarowa, czarno-biała, w bezruchu, jeśli nie liczyć poruszających się warg.

– Cholernie wysoko ustawiłeś swój próg – stwierdziła prosto. – Gdyby nie ja, usłyszałbyś o wszystkim dopiero w następnym dziesięcioleciu.

Peer odchrząknął – przez krótką chwilę zakłopotany brakiem namacalnej reakcji konwencjonalnych organów mowy – i „zerknął” na znajdujący się tuż obok niej kolejny ekran, wyświetlający wykres, który przedstawiał zależność pomiędzy najnowszą historią Bunkra a czasem rzeczywistym.

Obserwacja Bunkra – określenie „bycie w nim” byłoby przesadą – okazywała się najbardziej wydajnym pod względem obliczeniowym stanem dostępnym Kopii, nie licząc utraty świadomości. Ciało Peera nie było już symulowane; najbardziej podstawowe elementy modelu mózgu zostawały odtworzone w postaci abstrakcyjnej sieci neuronowej, zbioru wyidealizowanych bramek cyfrowych, które nawet nie miały tworzyć pozorów fizjologicznej rzeczywistości. Niezbyt często wkraczał w ten stan, ale czas Bunkra wciąż był użytecznym standardem jako podstawa do wszelkich porównań. W najlepszym przypadku – sporadycznie, gdy zapotrzebowanie spadało i mógł korzystać z czasu pojedynczego klastra

procesorów zaledwie z dwoma czy trzema innymi użytkownikami – współczynnik spowolnienia czasu Bunkra malał do około trzydziestu. A w najgorszym przypadku? Właśnie jakieś kilka minut temu doszło do najgorszego: fragment wykresu był doskonale płaski. Przez ponad dziesięć godzin czasu rzeczywistego w ogóle go nie obliczano.

– Operacja Motyl – stwierdziła Kate. – Symulacje kontroli pogody. Skurwysyny wykupili wszystko.

Ton jej głosu wskazywał, że jest wstrząśnięta i zła.

– Mała strata – spokojnie odpowiedział Peer. – Jestem Solipsystyczną Nacją, a to przekłada się na tworzenie własnego świata na określonych przez samego siebie warunkach. Nieważne, jakie ryzyko szłoby z tym w parze. Prawdziwy upływ czasu nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia. Niech dają nam zaledwie jedno przeliczenie rocznie. Co mogłoby to zmienić? Nic.

Spojrzał na kolejny z ekranów i uświadomił sobie, że spędził w modelu wieżowca zaledwie siedem subiektywnych minut. Fałszywe wspomnienia zlały się ze sobą niemalże doskonale; nigdy by nie uwierzył, że spędził tam tak mało czasu. Rzecz jasna, zaprogramowanie owych wspomnień było czasochłonne – ale nie aż tak jak nagromadzenie konwencjonalnego doświadczenia, mającego dać dokładnie ten sam efekt.

– Mylisz się. Ty nie. – zaczęła Kate.

– Niech uruchamiają na każdym klastrze procesorów pojedynczą chwilę modelu dla pojedynczej Kopii, dokładnie tego dnia, kiedy zostało to im zlecone, a następnie niech całkowicie poświęcą ten klaster innym użytkownikom. Każda z Kopii wędrowałaby pomiędzy maszynami ze spowolnieniem kilku miliardów... i nie miałoby to żadnego znaczenia. Producenci mogliby uruchamiać nas wszystkich za darmo – przekształcić to w pewien rodzaj rytuału, błogosławieństwo dla sprzętu przekazywane przez

duchy zmarłych. Moglibyśmy wtedy zlikwidować fundusze powiernicze i zupełnie przestać się zamartwiać pieniędzmi. Im tańsi staniemy się w utrzymaniu, tym mniej będziemy zagrożeni.

– To zaledwie część prawdy. Im bardziej zepchnięci na margines, tym w większym niebezpieczeństwie.

Peer starał się westchnąć; dźwięk, który udało mu się wydobyć, był wystarczająco przekonujący, ale brak związanych z tym doznań cielesnych wywoływał bardzo nieprzyjemne uczucie.

– Czy jest jakikolwiek powód, by trwać w trybie awaryjnym? Czy istnieją jakieś decyzje, które wymagają natychmiastowego podjęcia? Jakież rakiety wystrzelone w kierunku. – Sprawdził na ekranie. – Dallas? – Dallas?!! Amerykański dolar musiał poważnie stracić na wartości względem jena.

Kate nic nie odpowiedziała, więc Peer spojrział na ikonki ciała i pomieszczenia, a następnie aktywował je siłą woli. Jego pozbawiona ciała świadomość oraz unoszące się w powietrzu ekrany Bunkra przybrały ciało młodego mężczyzny, bosego, w niebieskich dżinsach i podkoszulku, który siedział w pozbawionym okien pomieszczeniu kontrolnym, przypominającym centrum operacyjne średniej wielkości biurowca.

Fizjologiczny stan tego ciała był bezpośrednią kontynuacją ostatnich chwil spędzonych na ścianie drapacza, tak więc uczucie było boskie: rozluźnione mięśnie kończyn, pobudzenie. Peer zapisał sobie ten stan, by móc później do niego powrócić, kiedy tylko przyjdzie mu na to ochota. Błagalnie spojrział na Kate, która ustąpiła i przyłączyła się do niego, znikając z ekranów i pojawiając się na stojącym obok niego krześle.

– Jestem Solipsystyczną Nacją – stwierdziła. – wszystko, co dzieje się na zewnątrz, nie dotyczy mnie w najmniejszym nawet stopniu... ale wciąż potrzebujemy pewnych gwarancji, pewnych minimalnych standardów.

– Co więc zamierzasz teraz zrobić? – zaśmiał się Peer. – Zacząć lobbować? Spędzać swój czas na wnoszeniu petycji do Brukseli i Genewy? „Prawa człowieka” dotyczą wyłącznie tych, którzy chcą się zabawiać w bycie ludźmi. Ja wiem, kim jestem. Nie jestem człowiekiem. – wepchnął zaciśniętą dłoń do wnętrza klatki piersiowej – dłoń bez trudu przeszła przez koszulę, skórę i żebra – a następnie wydarł sobie serce. Poczł rozdzieranie własnego ciała, jak również następstwa tego czynu, ale choć wszystkie aspekty bólu były „realistyczne”, wcześniej zaprogramowana bariera utrzymywała je w izolacji wewnątrz jego mózgu, jako percepcję pozbawioną wszelkich emocjonalnych, a nawet metabolicznych, konsekwencji. Jego serce nieprzerwanie biło mu w dłoni, jak gdyby nic się nie stało. Krew przepływała bezpośrednio pomiędzy postrzępionymi końcami każdej z przerwanych arterii, nie zważając na „rozdzielającą je odległość”.

– Tylko mrugnij okiem – powiedziała Kate – a minie dziesięć godzin. Żadna tam katastrofa – ale do czego może prowadzić? Do ogłoszenia stanu wyjątkowego? Nacjonalizacji całej mocy obliczeniowej Tokio na potrzeby kontroli pogody?

– Tokio?

– Kilka modeli wykazuje tajfuny cieplarniane, mające w przeciągu najbliższych trzydziestu lat zbliżyć się do wysp Japonii.

– Pieprzyć Tokio. Jesteśmy w Dallas.

– Już nie. – wskazała wyświetlacz stanu. Wahania kursu w pogoni za najtańszym QIPS przerzuciły ich z powrotem ponad Pacyfikiem. – Nie, żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie. Podobne plany powstają również dla Zatoki Meksykańskiej.

Peer odłożył swe serce na podłogę, wzruszył ramionami, a następnie zaczął grzebać wewnątrz jamy klatki piersiowej w poszukiwaniu kolejnych

organów. Wreszcie zdecydował się na garść płuc. Wyszarpiana różowa tkanka nie przestawała się kurczyć i rozkurczać w synchronizacji z jego oddechem, gdyż funkcjonalnie wciąż znajdowała się wewnątrz klatki piersiowej.

– Poszukiwanie bezpieczeństwa może doprowadzić do tego, że skończysz jako zakładniczka świata, który pozostawiłaś za sobą. Jesteś Solipsystyczną Nacją, prawda?

Kate zmierzyła wzrokiem ranę, która nie krwawiła, i stwierdziła cicho: – To, że jestem Solipsystyczną Nacją, nie oznacza, że mam ochotę umierać z powodu głupoty. Rozkładasz swe ciało na części i wydaje ci się, że udowadniasz tym samym własną niezniszczalność? Programujesz kilka wspomnień z wymuszoną perspektywą i wydaje ci się, że żyłeś już wiecznie? Nie chcę taniego złudzenia nieśmiertelności. Chcę czegoś prawdziwego.

Peer zmarszczył brwi i przyjrzał się uważnie jej obecnemu wyborowi ciała. Wciąż była to „Kate”, chociaż w najbardziej drastycznej z wariacji na ten temat, z jaką miał kiedykolwiek do czynienia. Krótkowłosa, z przesywającymi szarymi oczami, szczuplejsza niż do tej pory, o ostro zarysowanych kościach, ubrana prosto, w luźno dopasowane biele. Wyglądała ascetycznie, funkcjonalnie, i zdawała się zdeterminowana.

– Mam interesujące wiadomości – powiedziała prześmiewczo-zdawkowo, jak gdyby zmieniała temat. – Pojawił się pewien człowiek, gość z zewnątrz, który zgłasza się do najbogatszych Kopii i sprzedaje im za nedorzecznie niską sumkę pierwszorzędną nieruchomości dla drugiej wersji.

– Za ile?

– Dwa miliony euro.

– Co? Za miesiąc?

- Nie. Na zawsze.
- To jakiś przekręt – prychnął Peer.
- W świecie zewnętrznym skontaktował się z programistami, projektantami i architektami, zlecając im, jak i płacąc za wykonywaną pracę, której wprowadzenie w życie wymagać będzie przynajmniej wykorzystania kilkudziesięciu klastrów procesorów.
- Dobre posunięcie. W rzeczy samej może uda mu się przekonać kilku śliniących się starych przyków, że jest w stanie dostarczyć, co obiecuje. Wątpię jednak, aby zbyt wielu się na to nabrało. Któż miałby bowiem zamiar płacić, nie widząc na własne oczy działającego online sprzętu i nie wykonując na nim testów wydajności? Jak ma zamiar sfałszować coś takiego? Może im przedstawić symulacje lśniących maszyn, ale jeżeli nie będą one prawdziwe, to tamci nie złapią się na haczyk. Koniec przekrętu.
- Sanderson zapłacił. Repetto podobnie. Ostatnio podobno rozmawiał z Riemannem.
- Nie wierzę w ani jedno twoje słowo. Wszyscy z nich posiadają własny sprzęt. Dlaczego mieliby zawracać sobie tym głowę?
- Wszyscy z nich są na świeczniku i nie znikają z pierwszych stron gazet. Powszechnie wiadomo, że posiadają własny sprzęt, który, kiedy tylko zrobi się nieciekawie, może zostać skonfiskowany. Ten człowiek natomiast nazywa się Paul Durham i jest nikim. Co oczywiste, pełni tu rolę pośrednika kogoś zupełnie innego, ale kimkolwiek by była tamta osoba, to Durham zachowuje się tak, jak gdyby miał dostęp do większej mocy obliczeniowej niż całe Fujitsu. I to za około jedną tysięczną ich ceny. A nic z tej mocy nie jest dostępne na otwartym rynku. Nikt oficjalnie nie ma nawet pojęcia, że ona istnieje.
- Nieoficjalnie też nie. Ponieważ nie istnieje. Dwa miliony euro!
- Sanderson zapłacił. Repetto podobnie.

– Tak twierdzą twoje źródła.

– Durham ma skądś pieniądze. Rozmawiałam osobiście z Malcolmem Carterem. Durham zlecił mu stworzenie miasta o powierzchni tysięcy kilometrów kwadratowych, w którym wszystko ma działać aktywnie. Wszystkie szczegóły architektoniczne mają być na poziomie zbliżonym aż do ostrości wzroku, a nawet i jeszcze lepszym. Pseudoautonomiczne tłumy – setki tysięcy ludzi. Ogrody zoologiczne i parki z dzikimi zwierzętami, wszystko to z wykorzystaniem najnowszych algorytmów behawioralnych. Wodospad o niespotykanych na Ziemi rozmiarach.

Peer wyszarpnął z siebie zwój jelit i zabawiając się nimi, owinał je sobie wokół szyi.

– Sama mogłabyś mieć podobne miasto wyłącznie dla siebie, jeśli naprawdę byś tego zapragnęła. Jeśli miałabyś ochotę na życie w spowolnieniu. Dlaczego interesujesz się tym oszustem? Nawet jeżeli jest szczerzy w tym, co robi, to nie stać cię na ustaloną przez niego cenę. Uświadom to sobie, utknęłaś tutaj, w tych slumsach, razem ze mną – a cała ta sprawa nie ma dla ciebie najmniejszego znaczenia.

Peer oddał się szybkiemu, miłemu wspomnieniu ich ostatniego zbliżenia. Nałożył je na obecnie odbierany obraz, więc miał teraz przed oczami obie Kate, a ta nowa, szczupła i szarooka, zdawała się mu przyglądać, jak leży na podłodze, sapiąc w namacalnym wspomnieniu jej wcześniejszego ciała – mimo iż tak naprawdę wciąż tylko widziała go siedzącego na krześle i nieznacznie się uśmiechającego.

Wszelka pamięć jest kradzieżą, napisał Daniel Lebesgue. Peer poczuł nieoczekiwane ukłucie pojawiającego się po seksie poczucia winy. Ale dlaczego niby miałby czuć się winny? To było jedynie perfekcyjne wspomnienie, nic ponadto.

– Nie stać mnie na cenę Durhama – odpowiedziała mu Kate – ale mogę sobie pozwolić na żadaną przez Cartera.

Zdanie to na moment zbiło go z tropu, ale już po chwili jego twarz wykrzywił grymas pełnego podziwu.

– Mówisz poważnie?

– Tak. – Rzeczowo pokiwała głową. – Rozmyślałam już nad tym od jakiegoś czasu, ale po tym, jak zostałam wyzerowana na dziesięć godzin.

– A czy masz pewność, że Carter mówi poważnie? Skąd wiesz, że w rzeczywistości ma cokolwiek do zaoferowania?

Zawahła się.

– Sama korzystałam z jego usług, kiedy wciąż jeszcze byłam za zewnątrz. Spędzałam wtedy jako gość mnóstwo czasu w VR i to on wykonał dla mnie niektóre z moich ulubionych miejsc: plażę pokrytą śniegiem, wiejski domek, do którego cię kiedyś zabrałam, jak również kilka innych środowisk. Był jedną z osób, z którymi wcześniej przedyskutowałam swoją decyzję o wprowadzeniu się tu na stałe. – Peer przyjrzał się jej z niepokojem, gdyż rzadko mówiła o przeszłości, co wyśmienicie mu pasowało, i Kate litościwie wróciła do sedna: – z całym tym spowolnieniem, filtrami, maskami, trudno jest kogokolwiek ocenić... ale nie wydaje mi się, by zmienił się aż tak bardzo. Wciąż mu ufam.

Peer wolno pokiwał głową, bezmyślnie przesuając jelitami tam i z powrotem po swoim ramieniu.

– Ale pytanie brzmi, jak bardzo ufa mu Durham? Jak dokładnie przeczesze swoje miasto w poszukiwaniu pasażerów na gapę?

– Carter jest przekonany, że zdoła mnie ukryć. Posiadane przez niego oprogramowanie może rozbić mój model na drobne fragmenty, które następnie ukryje głęboko wewnątrz algorytmów opisujących miasto – w postaci kilku miliardów trywialnych naddatków i niedociągnięć.

– Niedociągnięcia można zlikwidować przez optymalizację. Jeżeli Durham.

– Carter nie jest głupi – niecierpliwie przerwała mu Kate. – wie, w jaki sposób działają urządzenia optymalizujące, i wie też, jak powstrzymać je przed ingerencją w to, co robi.

– W porządku. Ale... kiedy już tam będziesz, jakie opcje komunikacyjne będziesz miała do dyspozycji?

– Znikome. Jedynie ograniczoną możliwość, by podsłuchać wszystko, na dostęp do czego zdecydują się legalni mieszkańcy miasta – a skoro jedynym celem, dla którego powstaje to miejsce, jest utrzymanie go w głębokiej tajemnicy, nie może być tego zbyt wiele. Z tego, co powiedział mi Carter, odnoszę wrażenie, że planują już na starcie zawlec tam do środka wszystko, czego będą później mogli potrzebować, a następnie spalą za sobą wszelkie mosty.

Peer odczekał chwilę, by wszystko to w pełni do niego dotarło, ale zdecydował się nie zadać oczywistego pytania, ani też nie okazać po sobie, że w ogóle przyszło mu ono do głowy.

– Co w takim razie zamierzasz wziąć ze sobą?

– Wszelkie obecnie używane przeze mnie oprogramowanie i środowiska, co znów nie stanowi aż tak wielkiej ilości danych w porównaniu z moją osobą. A kiedy już znajdę się w środku, będę miała możliwość odczytu wszelkich publicznych udogodnień należących do miasta: wszelkich zawartych tam informacji, rozrywki, środowisk powszechnego użytku. Będę w stanie przespacerować się główną ulicą miasta – niewidoczna i niedotykalna – przyglądając się bilionerom. Ale moja obecność niczego nie zakłóci – jedynie spowolni całość o nic nieznaczący ułamek – tak że nawet najbardziej rygorystyczne weryfikacje

powinny przepuścić kompletny już pakiet jako wolny od wszelkich wątpliwych dodatków.

– W jakim tempie będziesz działała?

Kate prychnęła.

– Powinnam odmówić odpowiedzi na to pytanie. To ty jesteś tu mistrzem w jednym przeliczeniu rocznie.

– To tylko zwykła ciekawość.

– To zależy, ile QIPS zostanie przyznane miastu. – Zawahała się. – Carter nie ma żadnych przekonujących dowodów, ale uważa za bardzo prawdopodobne, że mocodawcy Durhama mają w zanadrzu jakiś nowy rodzaj sprzętu o wysokiej mocy.

– Przestań – zajęczał Peer. – Cały ten interes już jest wystarczająco podejrzany; więc nie zaczynaj mi tu jeszcze wspominać o słynnym mitycznym przełomie. Dlaczego ludzie uważają, że ktokolwiek miałby utrzymywać coś takiego w tajemnicy? Czy też, że ktokolwiek w ogóle mógłby chcieć tak postąpić?

– Na dłuższą metę mogą tego nie chcieć. Ale najlepszym sposobem wykorzystania takiej technologii może się okazać właśnie sprzedaż pierwszego procesora nowej generacji najbogatszym Kopiom – zanim jeszcze trafi on na wolny rynek, załamując tym samym ceny QIPS.

– Po co w takim razie w ogóle wyruszać na gapę? – zaśmiał się Peer. – Jeżeli dojdzie do tego, o czym mówisz, nie będą istniały żadne powody, by obawiać się kontroli pogody.

– Ponieważ taki przełom może nigdy nie nastąpić. Jedynym obecnie pewnikiem jest fakt, że kilka spośród najbogatszych, a równocześnie najlepiej poinformowanych Kopii zdecydowało, że warto się znaleźć w tym... sanktuarium. A ja mam szansę, żeby się tam z nimi zabrać.

Peer milczał przez chwilę. Wreszcie zapytał: – Co w takim razie? Przenosisz się? Klonujesz?

– Klonuję.

Z łatwością mógł ukryć widoczną ulgę, ale tego nie zrobił.

– To dobrze – stwierdził. – Tęskniłbym za tobą.

– Ja też. Dlatego chcę, żebyś wyruszył tam ze mną.

– Chcesz, żebym...?

– Carter twierdzi – Kate nachyliła się w jego kierunku – że i dla ciebie znajdzie się tam miejsce – wraz z całym twoim bagażem – zaledwie za pół ceny. Sklonuj się i ruszaj ze mną. Nie chcę cię stracić. Żadna z moich wersji tego nie chce.

Peer poczuł, jak ogarnia go fala podniecenia i strachu. Zarejestrował to uczucie, a następnie powiedział: – Nie wiem. Ja nigdy.

– Druga wersja, uruchomiona na najlepiej strzeżonym sprzęcie na planecie. To nie jest poddanie się zewnętrznemu światu, jest natomiast uzyskaniem odrobiny prawdziwej niezależności. Wreszcie.

– Niezależności??? A co, jeśli te Kopie znudzą się stworzonym przez Cartera miastem i zdecydują się je zniszczyć albo przehandlować na coś zupełnie innego?

– To niemożliwe. – Kate pozostała niewzruszona. – Zresztą nawet publiczna sieć nie oferuje ci żadnych gwarancji. A w ten sposób przynajmniej zwiększasz szanse, że jedna z twoich wersji przetrwa.

Peer starał się to sobie wyobrazić.

– Pasażer na gapę. Bez żadnych możliwości komunikacji. Tylko my i oprogramowanie, które zabierzemy ze sobą.

– Jesteś Solipsystyczną Nacją czy nie?

– Wiesz, że tak, ale... jeszcze nigdy nie uruchamiałem drugiej wersji. Nie wiem, jak będę Się z tym czuł, już po rozszczepieniu.

– Jak KTO będzie się z tym czuł?

Kate schyliła się i podniosła jego serce.

– Posiadanie drugiej wersji nie sprawi ci najmniejszego kłopotu. – Skupiła na nim spojrzenie swych nowych, szarych oczu. – Nasze obecne spowolnienie wynosi sześćdziesiąt siedem. Carter dostarczy Durhamowi gotowe miasto za sześć rzeczywistych miesięcy od chwili obecnej. Ale kto wie, kiedy Operacja Motyl po raz kolejny wyłączy nas na amen? Nie masz więc zbyt wiele czasu do namysłu.

Peer wciąż pokazywał Kate swoje siedzące na krześle ciało, rozmyślające nad tym, co mu powiedziała, ale tak naprawdę wstał i przeszedł na drugi koniec pokoju, by uniknąć w ten sposób jej groźnego spojrzenia.

Kim jestem? Czy tego właśnie chcę?

Nie potrafił się skoncentrować. Na jednym z ekranów kontrolnych wywołał ręcznie menu, szereg kilkunastu identycznych obrazów przedstawiających dziewiętnastowieczny anatomiczny szkic mózgu poprzedzielany na obszary podpisane różnymi emocjami i umiejętnościami. Każda z ikonek odpowiadała pakietowi mentalnych parametrów: były ujęciami poprzednich stanów jego własnego umysłu bądź czysto syntetycznymi kombinacjami.

Wybrał ikonkę podpisaną *JASNOŚĆ UMYŚLU*.

Żyjąc jako Kopia w czasie dwunastu krótkich lat, które minęły w prawdziwym świecie, starał się zbadać każdą możliwość, odkryć każdą konsekwencję tego, czym się stał. Przetransformował swe otoczenie, swe ciało, osobowość, percepcję, ale doświadczającym był zawsze on sam. Sztuczki, które wykonywał na swojej pamięci, tylko dodawały; nigdy niczego nie odejmowały, nie wymazywały – i nieważne, przez jakie zmiany przechodził, koniec końców zawsze tylko jedna jedyna osoba brała za

wszystko pełną odpowiedzialność, zbierała w całość wszystkie fragmenty. Istniał tylko jeden świadek, który to wszystko jednoczył.

Prawda była taka, że sama myśl, by wreszcie poświęcić tę jedność, wywoływała w nim mdłości przerażenia. Była to ostatnia pozostałość złudzeń dotyczących człowieczeństwa. Ostatnie wielkie kłamstwo.

Daniel Lebesgue, twórca Solipsystycznej Nacji, napisał kiedyś: „Moim celem jest zebranie wszystkiego, co można czcić jako kwintesencję człowieczeństwa... i starcie tego w proch”.

Powrócił do siedzącego ciała i powiedział krótko: – Zrobię to.

Kate uśmiechnęła się, uniosła do ust jego bijące serce, a następnie pocałowała je długo i namiętnie.

6.

(Rwij, łącz, tnij,
człowieku–zabaweczko)
(Rip, tie, cut toy man)

czerwiec 2045

Paul przebudził się, nie czując żadnej dezorientacji. Ubrał się i wrzucił coś na ząb, starając się być optymistycznie nastawionym do całego świata. Zademonstrował swoją chęć współpracy; teraz nadszedł więc czas, by poprosić o coś w zamian. Wszedł do pracowni, włączył terminal, a następnie wybrał na nim swój własny numer. Dżin odpowiedział natychmiast.

– Chciałbym porozmawiać z Elizabeth – powiedział Paul.

Pisk. – To niemożliwe.

– Niemożliwe? Dlaczego po prostu nie zapytasz jej o to?

Pisk. – Nie mogę tego zrobić. Nie ma nawet pojęcia o twoim istnieniu.

Paul wpatrywał się w niego zimnym wzrokiem.

– Nie okłamuj mnie, bo to zwykła strata czasu. W chwili, gdy uzyskałbym wreszcie Kopię, której udało się przeżyć, miałem jej wszystko wyjaśnić.

Pisk. – Tak nam się wydawało – powiedział oschle dżin, a zdanie to zachwiało pewnością Paula.

– Chcesz mi powiedzieć, że kiedy wreszcie spełniły się twoje najskrytsze marzenia, ty nawet nie wspomniałeś o tym jedynej kobiecie, którą...?

Pisk. Twarz Durhama skamieniała. – Naprawdę nie życzę sobie takich dyskusji. Proszę. Możemy kontynuować nasz eksperyment?

Paul otworzył usta, by zaprotestować... i odkrył, że nie ma nic do powiedzenia. Wszelki gniew i zazdrość nieoczekiwanie zamieniły się w... zażenowanie. Przypominało to uczucie, jakiego mógłby doznawać, powróciwszy do zmysłów po śnie na jawie, złożonej fantazji dotyczącej związku z kochanką innego mężczyzny. Paul i Elizabeth. Elizabeth i Paul. To, co działo się między nimi, wcale nie powinno go interesować. Nieważne, co sugerowały mu jego własne wspomnienia, tamto życie już do niego nie należało.

– Pewnie – rzucił krótko. – Zaczynamy z eksperymentem. Czas płynie nieubłaganie. Musiało ci stuknąć czterdzieści pięć lat... kiedy to? Przedwczoraj? Wielu udanych powrotów.

Pisk. – Dzięki, ale nie masz racji. Kiedy spałeś, użyłem kilku skrótów: wyłączyłem część modelu, a oszukałem w przypadku pozostałej większości. Mamy dopiero czwarty lipca. Spałeś sześć godzin, podczas gdy w realnym świecie minęło dziesięć. Myślę, że to całkiem niezły wynik.

Paul był wściekły.

– Nie miałeś prawa tak zrobić!

Pisk. Westchnienie Durhama. – Bądź praktyczny. Zapytaj sam siebie, co zrobiłbyś na moim miejscu.

– To wcale nie jest śmieszne!

Pisk. – Spałeś, pozbawiony części ciała. W niefizjologicznym tempie usunąłem ci z krwi kilka toksyn. – Dżin wydawał się autentycznie zaintrygowany. – To pestka w porównaniu z przeprowadzanymi przez nas

eksperymentami. Dlaczego miałyby cię to niepokoić? Przebudziłeś się dokładnie w takim samym stanie, w jakim byś się przebudził, gdybyś spał w normalny sposób.

Paul powstrzymał się. Nie miał teraz ochoty wyjaśniać, że to, iż ktoś sięga w luki w jego wszechświecie i uwalnia go w czasie snu od niepotrzebnych organów, wywołuje w nim uczucie bezbronności. Im mniej tamten sukinkot wiedział o niepewnościach dręczących Kopię, tym lepiej, bo tylko by je wykorzystywał.

– Niepokoi mnie to dlatego – rozpoczął – że jeśli zamierzasz interweniować w zupełnie przypadkowy sposób, eksperymenty stają się bezwartościowe. Precyzyjne, kontrolowane zmiany – dokładnie o nie nam tutaj chodzi. Musisz mi obiecać, że nigdy więcej tego nie zrobisz.

Pisk. – To ty ciągle mi się żalisz, że marnujemy nasze środki. Ktoś musi pamiętać o oszczędzaniu naszych coraz bardziej się kurczących funduszy.

– Chcesz, żebym dalej współpracował? Czy też może chcesz zacząć wszystko zupełnie od nowa?

Pisk. – w porządku, nie musisz mi grozić – odpowiedział łagodnie dżin.
– Masz moje słowo: nigdy więcej interwencji *ad hoc*.

– Dziękuję.

Oszczędzanie naszych coraz bardziej się kurczących funduszy? Paul usilnie starał się nie myśleć o pieniądzach. Co też zrobiłby dżin, gdyby nie mógł sobie dłużej pozwolić, by go uruchamiać – o ile Paul nie zdecydowałby się na natychmiastowe katapultowanie, kiedy tylko eksperymenty dobiegłyby końca? Oczywiście, że zachowałby w pamięci komputera obraz modelu, dopóki nie zdołałby zebrać koniecznej gotówki, by móc go ponownie uruchomić. Później założyłby fundusz powierniczy, który musiałby na początku zarabiać tylko tyle, by umożliwić mu przynajmniej dalsze działanie na pół gwizdka: pozwalać trzymać rękę na

pulsie wydarzeń zewnętrznego świata, zapobiegać nadmiernemu szokowi kulturowemu... dopóki technologia nie potaniałaby na tyle, by mógł żyć nieprzerwanie.

Oczywiście, że wszystkie te pocieszające plany stworzył mężczyzna posiadający dwie przyszłości. *Czy naprawdę miałby ochotę trzymać uruchomioną starą Kopię, skoro mógłby oszczędzić pieniądze na wykonanie swojego skanu na łożu śmierci i „własną” nieśmiertelność?*

Pisk. – Możemy już zabrać się do pracy?

– Po to właśnie tu jestem.

Tym razem przez cały czas trwania eksperymentu model miał być opisywany za pomocą standardowej rozdzielczości czasowej wynoszącej jedną milisekundę, miał się natomiast zmieniać porządek obliczania stanów.

Pisk. – Eksperyment drugi, próba numer jeden. Odwrócona kolejność.

– Raz. Dwa. Trzy – odliczał Paul.

Odwrócona kolejność. Po początkowym skoku w przyszłość wędrował teraz wstecz poprzez czas rzeczywisty. Byłoby miłym smaczkiem, gdyby był w stanie obserwować jakiś zewnętrzny obraz na terminalu, te oklepane frazesy–obrazy dotyczące entropii, takie jak roztrzaskiwany wazon, ze świadomością, że to on, a nie obserwowana scena, jest „przewijany od końca”... ale zdawał sobie sprawę, że to niewykonalne (nie wspominając już o fakcie, że zepsułoby cały eksperyment, zdradzając różnice pomiędzy podmiotem eksperymentu a Kopią kontrolną). W czasie rzeczywistym pierwszą obliczaną rzeczą był model jego mózgu dla czasu końcowego, zawierający wspomnienia wszystkiego, co „wydarzyło się” w czasie „poprzedzających” go dziesięciu sekund. Takie wspomnienia nie mogłyby zawierać tego, jak obserwuje składający się z kawałków w całość prawdziwy rozbity wazon, skoro sam wazon nie byłby nawet jeszcze rozbity. Sztuczka mogłaby zostać wykonana przy użyciu symulacji bądź

nagrania wideo obrazującego prawdziwe zdarzenie, ale to nie byłoby to samo.

– Osiem. Dziewięć. Dziesięć.

Kolejny nieuchwytny skok w przyszłość i dżin pojawił się ponownie.

Pisk. – Próba numer dwa. Nieparzyście ponumerowane stany, następnie stany parzyste.

Patrząc z zewnątrz, oznaczało to, że odliczy do dziesięciu, przeskakując co drugą chwilę czasu modelu... a następnie zapomni, że tak zrobił, i zacznie liczyć ponownie, wracając i wypełniając luki.

A z jego własnego punktu widzenia? Kiedy liczył – tylko jeden raz – świat zewnętrzny, mimo iż niewidzialny dla niego, przeskakiwał pomiędzy dwoma oddzielnymi regionami czasu, poszatkowanymi w siedemnastomilisekundowe kawałki, które następnie zostawały ze sobą przeplecione.

Tak więc... kto tu miał rację? Paul przemyślał sobie to pytanie, w pewnym stopniu na poważnie. Być może oba te opisy były częściowo słuszne. Mimo wszystko teoria relatywizmu obalała czas absolutny. Wszyscy mieli prawo do własnych ram odniesienia; przecinając głęboką przestrzeń kosmiczną z prędkością zbliżoną do prędkości światła, czy też ślizgając się po horyzoncie zdarzeń czarnej dziury. Dlaczego Kopia nie miałyby doświadczać czasu w równie uświęcony sposób, w jaki doświadczał go każdy kosmonauta?

Taka analogia nie była jednak pozbawiona wad. Transformacje relatywistyczne były gładkie – może i radykalne, lecz zawsze zachowywały ciągłość. Czasoprzestrzeń jednego z obserwatorów mogłaby zostać rozciągnięta i zdeformowana w oczach innego, ale nie mogła zostać pocięta niczym bochen chleba, a następnie przetasowana jak talia kart.

– Co dziesiąty stan, w dziesięciu układach.

Paul odliczał – i przez wzgląd na dyskusję starał się bronić własnej perspektywy, wyobrażać sobie znajdujący się na zewnątrz świat jako rzeczywiście krążący przez fragmenty czasu wyrwane z odrębnych okresów. Problemem było to, że... ten rzekomo dygoczący wszechświat zawierał w sobie komputer, który obliczał cały ten model, infrastrukturę, od której zależała cała reszta. Jeżeli jego chronologiczne uporządkowanie zostało rozdarte na strzępy, to co trzymało Paula w jednym kawałku, umożliwiając mu tym samym rozważanie tej kwestii?

– Co dwudziesty stan, w dwudziestu układach.

Dziewiętnaście epizodów amnezji, dziewiętnaście nowych początków.

(O ile oczywiście to nie on był Kopią kontrolną).

– Każdy setny stan, w stu układach.

Utracił jakiegokolwiek realne poczucie tego, co się działo. Jedynie odliczał.

– Pseudolosowe ułożenie stanów.

– Raz. Dwa. Trzy.

Teraz stał się... pyłem. Dla obserwatora z zewnątrz te dziesięć sekund zostało zmielone do dziesięciu tysięcy niepołączonych ze sobą chwil, rozproszonych w czasie rzeczywistym, podczas gdy w czasie modelu porównywalny los stał się udziałem świata zewnętrznego. Wciąż jednak wzorzec jego świadomości pozostał doskonale nienaruszony: jakoś odnajdywał samego siebie i „samodzielnie składał” z porzrzuconych fragmentów. Niczym układanka został rozłożony na części, ale cała ta sekcja i przetasowania były dla niego w pełni przejrzyste... w jakiś sposób, na określonych przez niego samego warunkach, fragmenty pozostały połączone.

– Osiem. Dziewięć. Dziesięć.

Pisk. – Pocisz się.

– Obaj?

Pisk. Śmiech dzina. – A jak ci się wydaje?

– Wyświadcz mi małą przysługę – poprosił Paul. – Już skończyliśmy eksperyment. Wyłącz jednego z nas. Nieważne którego, kontrolę czy podmiot.

Pisk. – Zrobione.

– Teraz nie ma więc potrzeby, żeby cokolwiek ukrywać, prawda? Uruchom na mnie raz jeszcze efekt pseudolosowości – i zostań online. Tyle tylko, że tym razem, to ty policz do dziesięciu.

Pisk. Durham potrząsnął głową. – Paul, nie mogę tego zrobić. Sam się nad tym zastanów: nie możesz być obliczany niesekwencyjnie, jeśli nie są znane przeszłe doznania.

Oczywiście. Znów problem rozbitego wazonu w całej okazałości.

– W takim razie nagraj się i użyj nagrania – odpowiedział.

Dzin zdawał się raczej rozbawiony żądaniem, ale przystał na nie, a nawet tak zwolnił nagranie, by trwało dokładnie dziesięć sekund czasu modelu. Paul bacznie obserwował rozmazane usta i szczęki, wsłuchując się uważnie w dźwięk białego szumu.

Pisk. – Zadowolony?

– Poprzestawiałeś mnie, a nie nagranie?

Pisk. – Oczywiście. Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem.

– Taaa? w takim razie zrób to raz jeszcze.

Durham wykrzywił twarz, ale zrobił, co mu kazano.

– A teraz – powiedział Paul – poprzestawiaj NAGRANIE.

Wszystko wyglądało dokładnie tak samo. Co było oczywiste.

– Jeszcze raz.

Pisk. – Do czego ma to niby zmierzać?

– Po prostu to zrób.

Paul obserwował, a włosy zjeżyły mu się na karku; był przekonany, że znalazł się na granicy... czego? Ostatecznego zrozumienia „oczywistego” faktu, że najbliższe permutacje w związkach pomiędzy czasem modelu a czasem rzeczywistym byłyby nie do wychwycenia dla odizolowanej Kopii? Czegoś, czego był niemal pewien od dwudziestu lat, lecz doświadczanie z pierwszej ręki dosłownych przetasowań własnego mózgu – i to absolutnie bez żadnego efektu – było znacznie bardziej prowokujące niż wszelkie abstrakcyjne zrozumienie.

– Kiedy przejdziemy do następnego etapu? – zapytał.

Pisk. – Skąd nagle w tobie taka gorliwość?

– Nic się nie zmieniło. Chcę po prostu to odbębnić i mieć już za sobą.

Pisk. – właściwe uszeregowanie wszelkich urządzeń wymaga pewnych delikatnych negocjacji. Oprogramowania sieciowego zajmującego się przydziałem procesorów nie zaprojektowano w ten sposób, by zaspokajało kaprysy dotyczące ich położenia geograficznego. To trochę tak, jakbym wszedł do banku i poprosił o depozyt pewnej sumy pieniędzy... w ściśle określonym miejscu, w pamięci konkretnego komputera. Mówiąc wprost – ludzie uważają, że mam nie po kolei w głowie.

Paul poczuł natychmiastowe ukłucie empatii, wspominając własne przecucia dotyczące tych trudności. Była to empatia na krawędzi identyfikacji. Stłamsił to w sobie. Obaj byli obecnie nieodwracalnie różnymi osobami, posiadającymi własne odrębne problemy i różne cele, a najgłębszym, co mógłby teraz zrobić, byłoby zapomnienie o tym fakcie.

Pisk. – Aby oszczędzić ci nudy, mogę cię czasowo zawiesić, do czasu sfinalizowania wszelkich przygotowań – o ile właśnie tego chcesz.

– Cóż za łaskawość. Ale raczej pozostanę świadomy. Mam mnóstwo spraw do przemyślenia.

7.

(Nie przekazuj żadnych braków)
(Remit not paucity)

listopad 2050

- Dwanaście do osiemnastu miesięcy? Są pewni?
- Cóż mogę powiedzieć? – odparła sucho Francesca Deluca. – wymodelowali to sobie.
- To mnóstwo czasu. – Maria robiła, co w jej mocy, by zabrzmieć spokojnie. – Zeskanuję cię. Zbiorę potrzebne pieniądze. Mogę sprzedać dom, pożyczyć od Adena.
- Francesca uśmiechnęła się, ale potrząsnęła głową.
- Nie, skarbie.
- Odkąd Maria po raz ostatni tak naprawdę się jej przyjrzała, odkąd po raz ostatni świadomie oszacowała jej wygląd, odrobinę posiwiały jej włosy, ale nie było widać po jej matce żadnych oczywistych oznak choroby.
- Po co miałabyś to robić? Nawet gdybym tego chciała – a nie chcę – jaki jest sens wykonywania skanu, którego nigdy się nie uruchomi?
- Nieprawda. Zostanie uruchomiony. Moc obliczeniowa potanieje. Wszyscy na to liczą. Tysiące ludzi posiada skany, które tylko czekają na taką chwilę.
- Ile z zahibernowanych ciał kiedykolwiek ożywiono?
- To wcale nie jest to samo.

– Ile?

– Fizycznie – żadnego. Ale niektóre zostały zeskanowane.

– I okazały się niezdolne do życia. Wszystkie z tych interesujących – gwiazdy, dyktatorzy – mają uszkodzone mózgi, a na reszcie nikomu nie zależy.

– Wykonanie skanu w niczym nie przypomina hibernowania ciała. Nigdy nie staniesz się niezdolna do życia.

– Nie, ale nigdy też nie stanę się warta przywrócenia do życia.

Maria wpatrywała się w nią ze złością.

– Ja przywrócę cię do życia. Czy też może wątpisz, że kiedyś zdobędę dość pieniędzy?

– Może i zdobędziesz – odparła Francesca. – Ale ja nie mam zamiaru dać się zeskanować. Zapomnij więc o całej sprawie.

Maria zgarbiła się na sofie, nie mogąc znaleźć sobie miejsca, nie wiedząc, co począć z rękoma. Do pokoju wpadały promienie słońca, obscenicznie jaskrawe, odsłaniające każdą drobinę nitki na dywanie, tak że wymagało to od niej prawdziwego wysiłku woli, by nie wstać i nie zasłonić żaluzji. *Dlaczego Francesca nie przekazała jej tego przez telefon? Wtedy wszystko byłoby z tysiąc razy łatwiejsze.*

– W porządku – odpowiedziała. – Nie zamierzasz się poddać skanowi. Ktoś na świecie na pewno produkuje nanomaszyny zwalczające raka wątroby. Nawet jeżeli są one jedynie w stadium eksperymentalnym.

– Nie dla moich komórek. Ten onkogen jest nietypowy i nikt nie ma pewności co do ich markerów.

– Więc co? Mogą je odkryć, prawda? Mogą zbadać te komórki, zidentyfikować markery i zmodyfikować istniejące już nanomaszyny. Wszelkie potrzebne im informacje znajdują się w twoim ciele. – Maria

wyobraziła sobie dziurawiące ścianę komórkową zmutowane białka odpowiedzialne za przerzuty, podświetlone złowieszczym żółtym kolorem.

– Jestem przekonana, że byłoby to możliwe przy odpowiedniej ilości czasu, pieniędzy i doświadczenia. – stwierdziła Francesca. – Ale tak się składa, że nikt nie planuje tego w przeciągu najbliższych osiemnastu miesięcy.

Maria zaczęła drzeć. Nadchodziło to falami. Nie wydała żadnego odgłosu. Po prostu siedziała i czekała, aż samo przeminie.

– Muszą istnieć jakieś leki – powiedziała wreszcie.

Francesca pokiwała głową.

– Zażywam leki mające spowolnić wzrost pierwotnego guza i ograniczyć przerzuty. Przeszczep nie ma najmniejszego sensu, gdyż w chwili obecnej mam już za dużo guzów wtórnych. Faktyczna niewydolność wątroby jest najmniejszym z moich zmartwień. Są pewne działające ogólnie środki cytotoksyczne, które mogłabym zażywać, no i mogę się poddać radioterapii, ale nie wydaje mi się, by płynące z nich korzyści warte były efektów ubocznych.

– Chcesz, żebym zamieszkała z tobą?

– Nie.

– Nie sprawi mi to żadnego kłopotu. Sama wiesz, że mogę pracować z każdego miejsca.

– Nie ma takiej potrzeby. Nie zamierzam być inwalidką.

Maria przymknęła oczy. Nie potrafiła sobie wyobrazić, by miała przeżywać to, co obecnie, jeszcze przez najbliższą godzinę, a co dopiero przez cały kolejny rok. Kiedy trzy lata temu jej ojciec zmarł na atak serca, obiecała sobie, że do sześćdziesiątych urodzin matki zbierze pieniądze konieczne na wykonanie jej skanu. Nawet się nie zbliżyła do zamierzonej

kwoty. *Spartaczyłam. Zmarnowałam kupę czasu. A teraz jest już niemal za późno.*

– Być może znajdę jakąś pracę w Seulu – pomyślała na głos.

– Wydawało mi się, że zdecydowałam się jednak nie jechać.

Maria spojrzała na nią, nie rozumiejąc.

– Dlaczego nie chcesz zostać zeskanowana?! Czego się obawiasz? Ochroniłabym cię, zrobiła wszystko, o co byś poprosiła. Gdybyś chciała, uruchomiłabym cię dopiero po zlikwidowaniu spowolnienia. Gdybyś zechciała przebudzić się w fizycznym ciele – organicznym ciele – poczekalabym. Francesca uśmiechnęła się.

– Wiem, że tak byś zrobiła, skarbie. Ale nie o to tu chodzi.

– Więc o co?

– Nie chcę się o to kłócić.

Maria była zdesperowana.

– Ja też nie chcę się kłócić. Ale czy nie możesz mi tego wyjaśnić? Proszę?

Francesca ustąpiła.

– Posłuchaj, miałam trzydzieści trzy lata, gdy wykonano pierwszą Kopię. Ty byłaś wtedy pięcioletnim dzieckiem i dorastałaś z tą świadomością, ale dla mnie to wciąż jest... zbyt dziwne. Wciąż jest czymś, co robią bogaci ekscentrycy, podobnie jak swego czasu zamrażali swe ciała. Dla mnie wydawanie setek tysięcy dolarów po to tylko, by po śmierci być imitowanym przez komputer, jest po prostu... farsą. Nie należę do ekscentrycznych milionerek, nie chcę wydawać własnych ani twoich pieniędzy na stwarzanie pewnego rodzaju... gadającego pomnika stawianego mojemu ego. Wciąż mam poczucie stosowności. – Spojrzała na Marię błagalnie. – Czy to już nie ma żadnego znaczenia?

– Nie byłabyś imitowana. Byłabyś sobą.

– I tak, i nie.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Zawsze mi powtarzałaś, że wierzysz.

– I nadal wierzę, że Kopie są obdarzone inteligencją. Nigdy jednak nie twierdziłam, że są – czy też nie są – „dokładnie tą samą osobą” co ta, na podstawie której je stworzono. Nie ma tu ani właściwych, ani błędnych odpowiedzi: to kwestia semantyki, nie prawdy.

Chodzi o to, że w chwili obecnej mam własne poczucie tego, kim jestem... gdzie leżą moje granice... a nie zawiera się w tym moja Kopia, działająca kiedyś, w bliżej nieokreślonej przyszłości. Nie potrafisz tego zrozumieć? To, że zostanę zeskanowana, nie sprawi, że poczuję się jakoś lepiej w obliczu śmierci. Cokolwiek sądziłaby na ten temat moja Kopia, gdyby tylko kiedykolwiek ją uruchomiono.

– Przemawia przez ciebie jedynie upór – stwierdziła Maria ze złością. – To niemal równie głupie jak... stwierdzenie w wieku dwudziestu lat: „Nie potrafię sobie wyobrazić samej siebie w wieku lat pięćdziesięciu, bo tak stara kobieta z pewnością nie byłaby mną”, a następnie popełnienie samobójstwa, ponieważ nie ma się nic do stracenia za wyjątkiem tej starej kobiety, a ona nie leży w obrębie twoich „granic”.

– Zdaje mi się, że nie chciałaś się kłócić.

Maria odwróciła wzrok.

– Nigdy tak ze mną nie rozmawiałaś. To ty mi zawsze powtarzałaś, że Kopie muszą być traktowane dokładnie tak jak ludzie. Gdyby tylko ta „religia” nie zrobiła ci prania mózgu.

– Kościół Boga, Który Nic Nie Robi, nie posiada żadnego zdania na temat Kopii.

– Nie posiada zdania na żaden temat.

– Właśnie. Trudno go więc obarczać winą za to, że nie mam zamiaru poddawać się skanowi, czyż nie?

Maria poczuła, jak robi się jej niedobrze. Niemal przez cały rok powstrzymywała się nawet przed zasygnalizowaniem tego tematu. Była zadziwiona i przerażona, ale z trudem starała się uszanować wybór matki – teraz natomiast widziała, jak bardzo to wszystko jest szalone, jak bardzo nieodpowiedzialne pod każdym względem. *Nie możesz tak po prostu tkwić i przyglądać się, jak komuś, kogo kochasz, komuś, kto przekazał ci własne zrozumienie otaczającego cię świata, robić wodę z mózgu.*

– To ich wina – stwierdziła – ponieważ podkopują twój osąd. Nakarmili cię taką ilością bredni, że nie potrafisz już myśleć logicznie.

W spojrzeniu matki dostrzegła jedynie dezaprobatę i poczuła wyrzuty sumienia. – *Jak możesz dla niej jeszcze wszystko pogarszać? Jak w ogóle możesz zaczynać ją atakować, skoro właśnie ci powiedziała, że umiera? –* ale nie miała zamiaru się teraz wycofać, pójść na łatwiznę, być „ostoją”.

– „Bóg nic nie robi” – zaczęła cytować – „ponieważ Bóg jest powodem, dla którego wszystko jest dokładnie takie, jakie jest”? To powinno sprawić, że wszyscy poczują się zespoleni z całym wszechświatem, tak?

Francesca potrząsnęła głową.

– Zespoleni? Nie. To tylko kwestia usunięcia – raz i na zawsze – starych wymysłów, takich jak boża interwencja czy też potrzeba jakiegoś rodzaju dowodu, lub nawet przekonań, koniecznych, by móc uwierzyć.

– Czego w takim razie potrzebujesz? – zapytała Maria. – Ja nie wierzę, czego mi więc brakuje?

– Wiary?

– I miłości do tautologii.

– Zostaw tautologię w spokoju. Lepiej opierać religię na tautologii niż na bajeczkach.

– Ale to jest gorsze od tautologii. To... arbitralne przededefiniowanie słów. Niczym coś z Lewisa Carrolla. Albo George’a Orwella. „Bóg jest powodem

wszystkiego... jakikolwiek byłby ten powód”. Tak więc wszystko, co każda rozsądna osoba nazywa prawami fizyki, ty zdecydowałaś się określać mianem B-Ó-G. wyłącznie z takiego powodu, że słowo to niesie ze sobą wszelkie historyczne rezonanse, wszelkie rodzaje wprowadzających w błąd konotacji. Upierasz się, że odcinasz się zupełnie od dawnych religii, dlaczego więc używasz ich terminologii?

– My nie zaprzeczamy historii świata – odpowiedziała Francesca. – Uwalniamy się od przeszłości na wiele sposobów, lecz równocześnie przyznajemy się do naszych korzeni. „Bóg” jest pojęciem używanym przez ludzi od tysiącleci. Sam fakt, że udoskonaliliśmy tę ideę poza prymitywne zabobony i pobożne spełnianie życzeń, nie oznacza, że nie jesteśmy częścią tej samej tradycji.

– Ale ty nie udoskoniłaś idei, ty pozbawiłaś ją sensu! Całkiem zresztą słusznie, z czego najwyraźniej nie zdajesz sobie sprawy. Obdarłaś ją ze wszystkich oczywistych głupot, całego antropomorfizmu, cudów i wysłuchiwanym modlitw, ale nie dostrzegłaś, że kiedy już tego dokonałaś, nie pozostało ci absolutnie nic, co musiałoby ciągle nosić nazwę religii. Fizyka nie jest teologią. Etyka podobnie. Po co udawać, że tak jest?

– Czy ty tego nie widzisz? – zapytała Francesca. – Ludzie rozmawiają o Bogu jedynie z takiego prostego powodu, że wciąż tego chcą. Istnieje w człowieku głęboko zakorzeniona potrzeba, by wciąż używać tego wyrazu, tego pojęcia, by je szlifować, a nie odrzucać, choć nie oznacza już tego samego co pięć tysięcy lat temu.

– A ty doskonale zdajesz sobie sprawę, skąd pochodzi taka potrzeba! Nie ma nic wspólnego z jakąkolwiek prawdziwą boską istotą, jest zaledwie produktem kultury i neurobiologii – kilku wypadków na drodze ewolucji i historii.

– Oczywiście, że tak. To przecież ludzka skłonność, czyż nie?

– Dlaczego więc temu ulegasz?

Francesca zaśmiała się.

– Dlaczego mówić o uleganiu cemukolwiek? Impuls religijny nie jest jakimś rodzajem... obcego wirusa umysłu. W swej najczystszej postaci, obdarty ze wszelkich treści, nie jest produktem prania mózgu. Jest częścią tego, czym jestem.

Maria ukryła twarz w dłoniach.

– Tak? Kiedy tak mówisz, wcale nie brzmisz jak matka, którą znałam do tej pory.

– Czy nigdy – odpowiedziała Francesca – nie chciałaś podziękować Bogu za rzeczy, które ci się udawały? Czy nigdy, kiedy jej potrzebowałaś, nie chciałaś poprosić Boga o siłę?

– Nie.

– Cóż, a ja owszem. Nawet kiedy zdawałam sobie sprawę, że Bóg nic nie robi. A skoro to Bóg jest powodem wszystkiego, w takim razie zawiera też w sobie potrzebę używania słowa Bóg. Tak więc, ilekroć zyskuję trochę siły, pocieszenia czy poczucia sensu wynikających z tej potrzeby, wtedy to właśnie Bóg jest źródłem owej siły, pocieszenia czy sensu.

A skoro Bóg – mimo iż nic nie robi – pomaga mi również zaakceptować to, co ma się ze mną stać, dlaczego miałoby cię to smucić?

W pociągu, już w drodze do domu, Maria usiadła obok mniej więcej siedmioletniego chłopca, który przez całą drogę drgał nerwowo do dźwięków słyszalnych tylko dla niego rytmów indukowanego nerwowo PMV – Uczestniczącego Wideo Muzycznego. Indukcję nerwową opracowano jako sposób leczenia epilepsji, ale wyglądało na to, że jej obecnym najczęstszym zastosowaniem stało się wywoływanie dokładnie tych symptomów, którym z założenia miała zapobiegać. Spoglądając na

chłopca z ukosa, Maria dostrzegła, jak za lustrzankami latają mu gałki oczne.

Kiedy szok spowodowany wiadomościami odrobinę się rozmył, zaczęła odbierać wszystko o wiele bardziej wyraźnie. Wszystko tak naprawdę sprowadzało się tu jedynie do pieniędzy, nie było kwestią religii. *Matka chce zostać męczennikiem, aby mnie ocalić przed wydaniem chociażby jednego centa. Całą resztę stanowi racjonalizacja. Musiała przejść od swoich rodziców całe multum archaicznych bredni dotyczących cnoty polegającej na niebyciu „ciężarem”, niezrzucaniu zbyt wielkiego balastu na kolejne pokolenie, „nierujnowaniu im najlepszych lat ich życia”.*

Odebrała swój rower ze skrytki na Central Station i jechała teraz powoli do domu w niewielkim ruchu ulicznym panującym w niedzielny wieczór, wciąż czując się wyczerpana i roztrzęsiona, lecz równocześnie, po chwili głębszych przemyśleń, troszeczkę bardziej pewna siebie. Dwanaście do osiemnastu miesięcy? Mogłaby zebrać pieniądze w przeciągu niecałego roku. Znajdzie jakiś sposób. Pokaże matce, że potrafi udźwignąć aż taki ciężar, a kiedy już to zrobi, Francesca będzie mogła przestać zmyślać wymówki.

Po powrocie do domu postawiła warzywa na gazie, a następnie weszła na piętro i sprawdziła skrzynkę pocztową. W katalogu „Śmieci” znajdowało się sześć wiadomości, cztery pod „Autoverse”, żadnej natomiast w katalogu „Nudne, ale lukratywne”. Od czasu publikacji w „Autoverse Review” skontaktował się z nią niemal każdy z subskrybentów czasopisma, przesyłając gratulacje, prośby o więcej informacji czy oferty współpracy, a nawet pojawiło się kilka wrogich wiadomości od jakichś dziwaków, pełnych niezrozumienia i żalu. Jej sukces z *A. lamberti* miał też swoje pięć minut w odrobinę mniej wyspecjalizowanym periodyku „Cellular Automaton World”. Wszystko to było osobliwie rozczarowujące, lecz w

pewien sposób była z tego zadowolona, gdyż pozwalało jej odbierać wszelkie wydarzenia z zachowaniem właściwych proporcji.

Wykonując zamaszty ruch dłonią tuż przed reagującym na dotyk ekranem, skasowała wszystkie śmieci, a następnie siedziała przez chwilę, wpatrując się w ikonki wiadomości dotyczących Autoverse'u i rozważając, czy nie powinna zrobić z nimi dokładnie tego samego. *Muszę się zebrać do kupy. Skoncentrować na zarabianiu pieniędzy. Przestać marnować czas na to gównno.*

Uruchomiła pierwszą z wiadomości. Nastolatka z Kansas City poskarżyła się, że nie potrafi powtórzyć wyników Marii, po czym przeszła do opisu własnej wymęczonej wersji eksperymentu. Maria po obejrzeniu zaledwie dwudziestu sekund zatrzymała i wykasowała wiadomość. Do tej pory musiała chyba odpisać – i to ze szczegółami – na kilkanaście podobnych e-maili, a całe posiadane przez nią poczucie obowiązku wobec „autoversowej społeczności” jakoś w czasie tego procesu ulotniło się bez śladu.

Uruchomiła drugą z wiadomości i poczuła, jak na parterze coś się przypala. Nagle przypomniała sobie, że obsługujące kuchenkę układy nie działają już od zeszłego piątku i wszystkiego należy doglądać osobiście; nie mogła nawet zdalnie wyłączyć kuchennych podgrzewaczy. Pogłosiła dźwięk na terminalu i ruszyła na dół w kierunku kuchni.

Szpinak stał się poczerniałą masą. Cisnęła rondelkiem na drugi koniec wąskiego pomieszczenia. Odbił się, upadając niemal z powrotem u jej stóp. Podniosła go i zaczęła nim tłuc o ścianę tuż przy kuchence, dopóki płytki nie zaczęły pękać i odpadać na podłogę. Demolowanie mieszkania było o wiele bardziej satysfakcjonujące, niż to sobie wyobrażała. Odbierała je jako rozdzieranie szat, wyrywanie sobie włosów, samookaleczanie. Waliła rondelkiem o ścianę bez wytchnienia, dopóki zupełnie nie straciła tchu, nie

ogarnęły jej zawroty głowy, ciało nie oblało się potem. Jej twarz nabrała rumieńców z powodu dziwnego ciepła, którego nie poczuła od czasów dziecięcych napadów złości. Matka dotykała wtedy jej policzka wierzchem dłoni, przecierając ściekające po twarzy łzy złości. Jej chłodna skóra, obrączka. „Ćśśś. Popatrz tylko na siebie. Cała jesteś rozgrzana!”.

Po chwili, kiedy się już uspokoiła, zauważyła, że uruchomiony na piętrze terminal nadal bez przerwy odtwarza wiadomość, gdyż najwyraźniej nadawca musiał ją tak zaprogramować, by powtarzała się w nieskończoność, dopóki ona nie potwierdzi odbioru. Usiadła na podłodze i zaczęła słuchać:

Nazywam się Paul Durham. Zapoznałem się z twoim artykułem w „Autoverse Review” i jestem pod wielkim wrażeniem tego, czego udało ci się dokonać z A. Lamberti – a jeśli tylko uważasz, że mogłabyś być zainteresowana ewentualnym sfinansowaniem przez kogoś twoich dalszych badań, oddzwoń pod mój numer, a będziemy mogli to sobie wspólnie przedyskutować.

Musiała wysłuchać tego nagrania jeszcze trzy razy, by się upewnić, że właściwie zrozumiała jego przekaz. *Ewentualne sfinansowanie przez kogoś twoich dalszych badań.* Wyrażenie sformułowane w ten sposób zdawało się być rozmyślnie tajemnicze i dwuznaczne, ale koniec końców mogło oznaczać tylko jedno.

Jakiś idiota oferował jej pracę.



Kiedy Durham zaproponował jej osobiste spotkanie, była zbyt zaskoczona, by zrobić coś innego, jak tylko wyrazić na nie zgodę. Powiedział jej, że mieszka w północnym Sydney, i zaproponował spotkanie następnego ranka w centrum, w Market Street Cafe. Maria, niezdolna wymyślić na poczekaniu jakiejś przekonującej wymówki, pokiwała tylko głową, wdzięczna, że odbywa rozmowę przy użyciu filtra wymazującego zarówno z jej twarzy, jak i tonu głosu wszelkie oznaki niepokoju. W przypadku większości kontraktów dotyczących oprogramowania nie było potrzeby odbywania żadnej rozmowy o pracę, nawet takiej przeprowadzanej przez telefon. Sam proces przekazywania zleceń był zazwyczaj w pełni zautomatyzowany, oparty jedynie na przedłożeniu ofert i sprawdzeniu przez składającego ofertę historii realizacji umów przez zleceniobiorcę. Maria nie odbyła podobnej osobistej rozmowy, odkąd jeszcze w czasie studiów złożyła podanie o pracę w charakterze sprzątaczkii w niepełnym wymiarze godzin.

Dopiero po odłożeniu słuchawki uświadomiła sobie, że wciąż nie ma najmniejszego pojęcia, czego tak naprawdę Durham może od niej chcieć. Prawdziwy autoversowy fanatyk mógłby, co nie było wcale wykluczone, rozstać się z własnymi pieniędzmi dla samego przywileju współpracy, być może płacąc rachunki za czas spędzany na komputerze i licząc na współdzielenie sławy przyszłych wyników. Trudno było jednak wymyślić jakiegokolwiek inne wytłumaczenie.

Przez pół nocy leżała w łóżku i nie mogła odpłynąć w sen, rozmyślając nad krótką rozmową, którą odbyła z Durhamem, zastanawiając się, czy nie przeoczyła czegoś rażąco oczywistego i czy to wszystko nie jest przypadkiem jakąś mistyfikacją. Tuż przed drugą wstała i wykonała pospieszne przeszukiwanie artykułów znajdujących się w bazie danych „Autoverse Review”, a następnie w bazach kilku innych periodyków

zajmujących się automatami komórkowymi. W żadnej z nich nie odnalazła nawet pojedynczego artykułu podpisanego przez jakiegokolwiek Durhama.

Okolo trzeciej rano zrezygnowala z roztrzasania tej kwestii i zdoiala zmusic sie do snu. Sniala, ze wciaz nie spi, oszolomiona wiadomoscia o chorobie matki. A nastepnie, kiedy zdala juz sobie sprawe z tego, ze jedynie jej sie to przyśniło, sklęła sie ze zloscia, bo taki dowód miłości był tylko iluzją.

8.

(Nie przekazuj żadnych braków)
(Remit not paucity)

listopad 2050

Aby wrócić z biura do domu, Thomas użył windy. W prawdziwym życiu podróż ta była sześciominutową przejażdżką S-Bahn, ale po niemal czterech subiektywnych miesiącach stopniowo przyzwyczał się do takiego skrótu. Dzisiaj rozpoczął podróż, nawet się nad tym nie zastanawiając; podziwiając dębową boazerię wnętrza windy, usypiany ledwie słyszalnym poszumem silnika – lecz nagle, w połowie drogi, bez żadnego konkretnego powodu, dopadły go chwilowe zawroty głowy, jakby ta elegancka trumna runęła właśnie w dół szybu windy.

Zaraz po zmartwychwstaniu nieustannie zamartwiał się, które aspekty własnej przeszłości powinien ciągle naśladować przez wzgląd na własne zdrowie psychiczne, a z których zrezygnować, by być uczciwym. Okno z widokiem na miasto zdawało się wystarczająco niewinne, ale jeśli chodziło o poruszanie się pieszo i wycieczki przez scenerie sztucznych tłumów, te uderzały go jako groteskowe, a gdy kilka razy ich spróbował, okazały się dla niego boleśnie niepokojące. Zbyt przypominały prawdziwe życie oraz snute przez niego marzenia, by pewnego dnia móc po raz kolejny znaleźć się pomiędzy prawdziwymi ludźmi. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że z czasem uodporniłby się na takie złudzenia, a nie miał na

to najmniejszej ochoty. Nie chciał, by kiedy wreszcie zamieszka we wnętrzu teleobecnościowego robota, równie żywego jak utraczone przez niego ciało, pojedzie prawdziwym pociągiem i przejdzie się po prawdziwej ulicy, radość płynąca z tego doświadczenia była przymglona latami perfekcyjnej imitacji.

Nie miał najmniejszej ochoty oszukiwać samego siebie, lecz poza odmową naśladowania własnego cielesnego życia aż do punktu parodii, trudno było mu zdefiniować, co tak dokładnie to oznacza. Sprzeciwił się perspektywie, by najbliższe drzwi zawsze magicznie otwierały się na wybrane przez niego miejsce przeznaczenia, i nie przejawiał również najmniejszej ochoty na takie rozwiązanie, by móc się teleportować dzięki pstryknięciu palcami. Przyjęcie do wiadomości – i wykorzystywanie – nijak nieograniczonej plastyczności wirtualnej rzeczywistości mogło się okazać najbardziej „szczerą” rzeczą, którą mógłby zrobić... ale Thomas potrzebował świata ze ściśle określoną strukturą, a nie takiego niby wyrwanego wprost ze snu, którego konfiguracja ulegała nieustannym zmianom zgodnie z najmniejszym jego kaprysem.

Wreszcie znalazł kompromis. Skonstruował posiłkową geografię – czy też architekturę – prywatnej wersji Frankfurtu. Alternatywną topologię całego miasta, w której wszystkie budynki, pomiędzy którymi się przemieszczał, traktował, jakby poukładano je jeden na drugim, pozwalając w ten sposób połączyć je wszystkie ze sobą pojedynczym szybem windy. Jego dom „na przedmieściach” zaczynał się szesnaście pięter „nad” jego miejskim biurem, a między nimi znajdowały się wszelkie sale konferencyjne, restauracje, galerie i muzea. Kiedy już zdecydował się na taką konfigurację, uznawał ją od tej chwili za nienaruszalną – a że widok rozciągający się z każdego miejsca, do którego przybywał, rażąco

zaprzeczał całej tej zależności... cóż, z takim stopniem paradoksu dało się żyć.

Thomas wyszedł z windy w holu wejściowym znajdującym się na parterze własnego domu. Dwupiętrowy budynek, postawiony na skromnych dziesięciu hektarach ogrodu, należał wyłącznie do niego, podobnie jak w przypadku jego oryginału w świecie rzeczywistym w okresie pomiędzy rozwodem a rozwinięciem się nieuleczalnej choroby, nim zespół medyczny na stałe wprowadził się do środka. Początkowo posiadał roboty sprząające, które sunęły bezcelowo przez korytarze, jak i roboty ogrodowe, których zadaniem była praca przy rabatkach kwiatowych. Traktował je wszystkie jako fragment wewnętrznej architektury domu, podobnie jak rury odpływu, siatki systemu klimatyzacji i niezliczoną ilość innych, „niekoniecznych” domowych dodatków. Już po pierwszym tygodniu pozbył się robotów. Rury pozostały.

Zawroty głowy minęły, ale kiedy wszedł do biblioteki, nalał sobie z dwóch wykonanych z rżniętego szkła karafek pokrzepiającej mieszanki Pewności Siebie i Optymizmu. Za pomocą jednego tylko słowa mógł przywołać przed siebie pełen panel kontroli nastroju – urządzenie, które zawsze przywodziło mu na myśl stół mikserski znajdujący się w studiu nagrań – i tak długo dopasowywać na nim parametry własnego stanu umysłu, póki nie osiągnąłby punktu, w którym nie życzyłby sobie dalszej zmiany ustawień... ale jakoś cała ta naga technologiczna metafora odrzucała go od tego pomysłu. „Środki” zmieniające nastrój mogły precyzyjnie funkcjonować w tym świecie bez żadnych efektów ubocznych, co nie było osiągalne w przypadku rzeczywistych środków chemicznych – farmakologiczna dokładność była możliwa, lecz nie obowiązkowa – a za bardziej naturalnie odbierał przełknięcie dla kurażu łyku „alkoholi” niż

dokonywanie dostrajania na unoszącym się w powietrzu zespole przesuwanych potencjometrów.

Nawet jeżeli efekt końcowy obu czynności był dokładnie ten sam.

Kiedy wypita przez niego mieszanka zaczęła działać, Thomas rozsiadł się wygodnie w fotelu – stopniowe działanie środka było tu jedynie jedną z opcji wyboru, tak więc przyjemne ciepło powoli rozchodziło mu się z żołądka, nim jeszcze mózg został delikatnie zmanipulowany – i zaczął się starać nadać sens spotkaniu z Paulem Durhamem.

Musisz mi pozwolić pokazać sobie, czym dokładnie jesteś.

Tuż obok fotela znajdował się terminal. Thomas nacisnął odpowiedni przycisk i na ekranie pojawił się jeden z jego osobistych sekretarzy, Hans Löhr.

– Znajdź mi wszystko, co tylko jesteś w stanie na temat mojego gościa, dobrze? – poprosił zdawkowo Thomas.

– Tak jest, proszę pana – natychmiast odpowiedział mu Löhr.

Thomas miał sześciu asystentów, którzy pracując na zmiany, byli dla niego dostępni przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Wszyscy z nich byli ludźmi z krwi i kości, lecz mieli tak podrasowane mózgi, że byli w stanie przełączać swe mentalne procesy tam i z powrotem pomiędzy normalnym tempem a dowolnie wybranym tempem spowolnienia. Thomas trzymał ich na odległość, komunikując się z nimi jedynie za pomocą terminalu. Co prawda rozróżnienie pomiędzy człowiekiem obecnym w biurze a takim, który byłby „zaledwie obrazem” pojawiającym się na ekranie komputera nie miało wielkiego sensu, ale w praktyce można było uprzeć się przy jednym sposobie komunikacji. Czasem myślał o swoich pracownikach, jak gdyby pracowali dla niego znajdując się w Monachium czy w Berlinie. Byli „wystarczająco daleko”, by „wyjaśniało” to fakt, że nigdy nie spotykał ich osobiście, a równocześnie „wystarczająco blisko”, by

nadawało to pewien metaforyczny sens ich umiejętnościom działania jako pośrednicy pomiędzy nim a światem zewnętrznym. Nigdy nie zawracał sobie głowy sprawdzaniem, gdzie naprawdę się znajdują, ot tak, na wypadek gdyby zdobyta w ten sposób wiedza zaprzeczała wyrobionemu sobie przez niego wygodnemu mentalnemu wyobrażeniu.

Westchnął i po raz kolejny łyknął PS&O. Było to dla niego pewnego rodzaju aktem balansowania, spacerem po linii. Bo Kopia tak czy inaczej mogła postradać zmysły. Przesadne dbanie o prawdę mogło doprowadzić do patologicznej obsesji dotyczącej infrastruktury – algorytmów i procesorów optycznych, całej „oszukańczej” maszynerii kryjącej się tuż pod każdą z powierzchni. Natomiast zbyt ograniczone przykładanie wagi do podobnych spraw mogło doprowadzić do stanu, w którym stopniowo poddawałeś się błogiej fantazji, że życie toczy się jak za dawnych czasów, a wszystkiego, co przeczyło takiemu złudzeniu zwykłej, fizycznej egzystencji, najzwyczajniej w świecie unikałeś lub starałeś się to jakoś uzasadnić.

Czy taka właśnie była prawdziwa intencja Durhama? Chciał go wpędzić w szaleństwo?

Nim Thomas dopuścił do spotkania z Durhamem, zarządził zwyczajowe powierzchowne sprawdzenie gościa, które odkryło tylko tyle, że mężczyzna pracował na etacie jako sprzedawca w Gryphon Financial Products, średnio rentownej angielsko-australijskiej firmie, i nie posiadał na swoim koncie żadnych kryminalnych wykroczeń. Złożone środki ostrożności nie były tu wcale konieczne, gdyż goście z zewnątrz nie mogli wyrządzić mu najmniejszej krzywdy. Konsultanci zajmujący się dla Thomasa VR zapewniali go, że nic poza grzebaniem *in situ* w samym sprzęcie nie mogłoby zniszczyć systemu ani mu zaszkodzić. Żaden banalny sygnał napływający z zewnątrz światłowodem nie byłby w stanie spenetrować

warstw ochronnych oprogramowania. Siejących zniszczenie gości z zewnątrz, wprowadzających wirusy dzięki diabelsko wymyślnym, modulowanym binarnie pstryknięciom palcami, należało włożyć pomiędzy bajki. (I to dosłownie; Thomas napatoczył się swego czasu na coś podobnego w jednym z odcinków *Rodziny Unclear*).

– Nie mam zamiaru cię okłamywać – stwierdził Durham w czasie rozmowy. – Przez pewien czas byłem w szpitalu psychiatrycznym. Dziesięć lat. Cierpiałem na urojenia. Dziwaczne, złożone urojenia. I, jak odbieram to teraz, byłem wtedy poważnie chory. Teraz mogę się temu przyjrzeć i to zrozumieć.

Ale dokładnie w tym samym czasie mogę się temu przyjrzeć i przypomnieć sobie, co też – jak byłem przekonany – działo się podczas mojego szaleństwa... i choć ani na moment nie przestaję uznawać, że byłem wtedy psychicznie chory, te wspomnienia są wciąż w moich oczach bardzo przekonujące.

Thomasowi ścierpła skóra. Uniósł szklankę... a następnie ją odłożył. Zdawał sobie sprawę, że jeżeli nadal będzie pił, to nic z tego, co usłyszał od tego mężczyzny, nawet w najmniejszym stopniu nie wyprowadzi go z równowagi, ale z drugiej strony nie wypił jeszcze tyle, by być absolutnie pewnym, że tego właśnie chce.

– Jeżeli nie jesteś gotów do samodzielnego przeprowadzenia zaproponowanego przeze mnie eksperymentu, to przynajmniej przemyśl sobie, co on ze sobą niesie. Wyobraź sobie, że zmodyfikowałeś sposób, w jaki jesteś obliczany – i wyobraź sobie, jakie są tego możliwe konsekwencje. Eksperyment myślowy – czy wymagam zbyt wiele? w pewnym sensie sam wykonałem zaledwie coś takiego.

Zadzwęczał terminal i Thomas odebrał połączenie.

– Mam już wstępną wersję raportu dotyczącego Paula Durhama – powiedział Löhr. – Chce pan, żebym go przeczytał?

Thomas potrząsnął głową.

– Sam go przejrzę.

Przeleciał wzrokiem przez plik, skupiając się na pierwszoplanowych szczegółach. Paul Kingsley Durham. Urodzony w Sydney, 6 czerwca 2000 roku. Rodzice: Elizabeth Anne Maddox i John Arthur Durham. W latach 1996–2032 współwłaściciele delikatesów w Concord na przedmieściach Sydney. Po przejściu na emeryturę zamieszkali w Mackay, Queensland. Obecnie oboje nie żyją, zmarli z przyczyn naturalnych.

Edukacja w państwowej szkole średniej. 2017: otrzymał świadectwo ukończenia szkoły z ogólnym wynikiem w trzecim percentylu; najlepsze oceny z fizyki i matematyki. 2018: ukończył pierwszy rok nauk ścisłych na Sydney University, zdał wszystkie egzaminy, lecz mimo to przerwał naukę. 2019–2023: podróżował po Tajlandii, Birmie, Indiach i Nepalu. 2024: powrócił do Australii, gdzie zdiagnozowano u niego organiczny zespół urojeniowy, prawdopodobnie wrodzony... stan częściowo kontrolowany za pomocą leków. Szereg dorywczych prac fizycznych do maja 2029 roku, kiedy to stan się pogarsza. W styczniu 2031 przyznano mu rentę inwalidzką. 4 września 2035 powierzony opiece oddziału psychiatrycznego szpitala w Blacktown.

11 listopada 2045 wykonano korygującą nanochirurgię na hipokampie i przedczołowej korze mózgowej... która, jak twierdzono, zakończyła się pełnym sukcesem.

Thomas przełączył się na szczegóły drugiego planu, by wypełnić dziesięcioletnią lukę w życiorysie, ale nie odnalazł tam niczego poza listą leków, przeszczepów nerwowych i wektorów terapii genowej, które w tym okresie zostały wstrzyknięte do czaszki Durhama, nie przynosząc jednak

żadnej widocznej poprawy. Często było tu zaznaczane, że terapie, które w praktyce nie zadziałały, zostały wcześniej przetestowane na układach częściowych modeli mózgu. Thomas zastanawiał się, czy powiedziano o tym Durhamowi – i zastanawiał się, co też, w odczuciu tamtego, miało miejsce, gdy ewaluowano jakiś lek na piętnastu oddzielnych modelach różnych obszarów jego mózgu, które następnie, zebrane razem, dawały cały organ.

2046–2048: studiuje finanse i zarządzanie na Macquarie University.
2049: kończy studia z wyróżnieniem i pierwszą lokatą na roku i natychmiast zostaje zatrudniony przez Gryphon na pozycji sprzedawcy–stażysty. Od 17 stycznia 2050 pracuje w dziale sztucznej inteligencji Gryphonu.

Co przekładało się na sprzedaż zabezpieczeń pod najprzeróżniejszymi przykrywkami Kopiom, które obawiały się, że ich aktywa mogą im zostać wydarte. Opis wykonywanej przez Durhama pracy z pewnością obejmował długie godziny spędzane w VR jako gość z zewnątrz, ale niezupełnie już rozciągał się na takie zagadnienia, jak ujawnianie szczegółów własnej choroby psychicznej, sugerowanie klientom metafizycznych eksperymentów myślowych, czy też, marnowanie czasu na Kopie, które już na pierwszy rzut oka wydawały się o wiele za dobrze zabezpieczone, by mogły potrzebować usług Gryphonu.

Thomas odsunął się od terminalu. To było niemal zbyt proste: Durham wystrychnął na dudka lekarzy, by ci uwierzyli w jego wyleczenie, a następnie, z typowo paranoidalną pomysłowością i nieustępliwością, zaczął zapewniać sobie pozycję pozwalającą mu na spotkanie Kopii, by dzielić się z nimi Wielką Prawdą, która została mu objawiona... i równoczesne starania, by w tym czasie wycisnąć z nich odrobinę pieniędzy.

Gdyby Thomas skontaktował się teraz z Gryphonem i opowiedział im, co też wyprawia ich szalony sprzedawca, Durham z pewnością straciłby pracę i najprawdopodobniej po raz drugi wylądował w szpitalu psychiatrycznym, oczekując kolejnego podejścia do nanochirurgii. Durham prawdopodobnie nikomu nie czynił szkody... ale z pewnością najlepszym z możliwych rozwiązań byłoby zapewnienie mu właściwego leczenia.

Pewna siebie, optymistycznie nastawiona osoba bez zwłoki wykonałaby taką rozmowę telefoniczną. Thomas spojrział na płyn znajdujący się w jego szklance, ale zdecydował się jeszcze przez chwilę powstrzymać przed zatopieniem wszelkich pozostałych możliwości.

– Rozumiem – powiedział Durham w czasie rozmowy – że wszystko, co – jak jestem przekonany – przeżyłem, było „spowodowane” moją chorobą. Jak również zdaję sobie sprawę, że nie istnieje żaden prosty sposób, by móc cię przekonać, że obecnie nie jestem niespełna rozumu. Ale nawet gdyby właśnie tak było, to dlaczego miałyby to w twoich oczach dewaluować zadane przed chwilą pytanie?

Większość ludzi z krwi i kości żyje i umiera, nie wiedząc, czy też nie dbając o to, kim są. Drwiąc sobie z samego pomysłu, że mogłoby to mieć jakiegokolwiek znaczenie. Ale ty nie jesteś z krwi i kości. Ty nie możesz sobie pozwolić na luksus ignorancji.

Thomas wstał i przeszedł do umieszczonego nad kominkiem lustra. Powierzchnie jego wygląd wciąż w przeważającej mierze był oparty na finalnym skanie. Posiadał te same niesforne, gęste białe włosy, tę samą obwisłą, pocętkowaną i przezroczystą skórę osiemdziesięcioletka. Miał jednak postawę młodego człowieka, model skonstruowano bowiem na podstawie dogłębnie odmłodzonego wewnętrznie pliku skanu, zmniejszając o sześćdziesiąt lat zdegenerowanie każdego stawu, mięśnia, żyły czy arterii. Zastanawiał się, czy nie jest jedynie kwestią czasu, nim próżność

dojdzie w nim wreszcie do głosu i zrobi to samo ze swoim wyglądem zewnętrznym. Wielu spośród jego biznesowych współpracowników stopniowo stawało się coraz młodszymi, lecz kilkoro skoczyło naraz o dwadzieścia, trzydzieści, a nawet pięćdziesiąt lat wstecz, a niektórzy wręcz całkowicie zmienili swój wygląd. Co było bardziej uczciwe? Wyglądać jak osiemdziesięcioletnia osoba z krwi i kości (którą nie był), czy też może wyglądać tak, jak chciałby wyglądać... jak wolałby wyglądać... gdyby tylko miał wybór. A przecież wybór należał właśnie do niego.

Zamknął oczy i przyłożył koniuszki palców do policzka, badając nimi zniszczoną skórę. Skoro był przekonany, że te ruiny ciała go definiują, to tak właśnie było. A gdyby nauczył się akceptować swoje nowe, młode ciało, wtedy prawdą dla tego ciała byłoby to samo. A wciąż nie potrafił otrząsnąć się z wrażenia, że zewnętrzne odmłodzenie pociągałoby za sobą jedynie skorumpowanie młodzieńczej „maski”... podczas gdy jego „prawdziwa twarz” wciąż nieprzerwanie istniałaby gdzieś i tam nieustannie się starzała. Dorian Gray w swej najczystszej postaci, głupia moralistyczna opowiadka nafaszerowana „wiecznymi” prawdami, które dawno już uległy dezaktualizacji.

Samo poczucie, że jest zdrowy i pełen wigoru, wolny od artretyzmu, bólów, skurczów i dreszczy, pozbawiony dolegliwości związanych z krótkim oddechem, które wciąż pamiętał wyjątkowo wyraźnie, było przejmujące. Cokolwiek więcej wydawało mu się zbyt proste, zbyt arbitralne. Każda Kopia w przeciągu jednej chwili mogła stać się hollywoodzkim Adonisem... i każda Kopia mogła równocześnie prześcignąć lecący pocisk, unieść budynek i ruszyć z posad bryłę jakiegokolwiek świata.

Thomas otworzył oczy, wyciągnął dłoń i dotknął powierzchni lustra, świadom, że unika podjęcia decyzji. Jedno bowiem wciąż go niepokoiło.

Dlaczego Durham wybrał właśnie jego? Człowiek ten może i miał urojenia, lecz równocześnie był inteligentny i racjonalny. Dlaczego ze wszystkich Kopii, których niepewność mógłby starać się wykorzystać, wybrał właśnie jego: Kopię z układem, którego nie dało się podważyć, z bezpiecznym sprzętem i świetnie zarządzanym funduszem powierniczym? Dlaczego wybrał sobie za cel kogoś, kto teoretycznie nie miał się absolutnie czego obawiać?

Thomas poczuł, jak po raz kolejny opanowują go zawroty głowy. *Minęło już sześćdziesiąt pięć lat.* W żadnej z przedstawionych w gazetach historii, w żadnym raporcie policyjnym, nie wypłynęło jego nazwisko. Żadne przeszukiwania baz danych, nieważne jak bardzo złożone, nie mogły połączyć go z Anną. Nikt z obecnie żyjących nie miał prawa wiedzieć, co zrobił, a już na pewno nie pięćdziesięcioletni były pacjent szpitala psychiatrycznego znajdującego się na drugim krańcu świata.

Skoro nawet osoba, która dokonała tej zbrodni, dawno już nie żyła. A sam Thomas dopilnował, by poddano ją kremacji.

Czy poważnie rozważał możliwość, że oferta Durhama dotycząca sanktuarium jest jakimś enigmatycznym eufemizmem, mającym na celu wyciągnięcie na światło dzienne pewnych spraw z jego przeszłości? Szantażem?

Nie. To było niedorzeczne.

Dlaczego więc nie wykonać kilku rozmów telefonicznych i nie dopilnować, by właściwie zajęto się tym człowiekiem? Dlaczego nie zapłacić mu za operację u najlepszego szwajcarskiego neurochirurga, który z wyprzedzeniem zweryfikowałaby całą procedurę na najbardziej wyrafinowanym zestawie częściowych modeli mózgu...?

Czyżby rzeczywiście brał pod uwagę możliwość, że Durham mówi prawdę? Że jest w stanie uruchomić drugą Kopię w miejscu niedostępnym

dla nikogo? I to nawet za miliard lat?

Terminal zadzwieczał.

– Tak? – powiedział Thomas.

Obowiązki przejął już od Löhra Heidrich; czasem wydawało się Thomasowi, że ich zmiany następują po sobie tak szybko, aż przyprawiało go to o zawroty głowy.

– Za pięć minut ma pan spotkanie zarządu Geistbank, proszę pana.

– Dziękuję. Zaraz tam będę.

Thomas sprawdził swój wygląd w lustrze.

– Uczesz mnie – powiedział, a jego włosy stały się znośnie zaczesane, cera nabrała barw, a oczy przejaśniały; pewne mięśnie twarzy zostały rozluźnione, inne napięte. Jego garnitur nie wymagał żadnych poprawek, gdyż – podobnie jak w prawdziwym życiu – należał do tych, które nie ulegały mięciu.

Niemal się zaśmiał, ale jego świeżo wymodelowany wyraz twarzy zniechęcał do takich gestów. *Praktyczność, uczciwość, spokój ducha i obłąd.* Przypominało to spacer po linie. Patrząc na to z jednej strony, miał dziewięćdziesiąt lat, z innej, osiemdziesiąt pięć i pół – a wciąż nie wiedział, jak żyć.

Podniósł Pewność Siebie & Optymizm i wychodząc z pokoju, wylał ją na dywan.

9.

(Rwij, łącz, tnij,
człowieku–zabaweczko)
(Rip, tie, cut toy man)

czerwiec 2045

Paul zszedł po schodach i kilkakrotnie okrążył kwartał, nie oczekując niczego więcej, jak tylko tego, że chociażby na chwilę zapomni o swoich problemach. Był zmęczony, bo każdą spędzaną na jawie chwilę przeznaczał na rozważania tego, czym się stał. Otaczające budynek ulice były wystarczająco znajome, by nie pozwolić mu się samemu oszukiwać, lecz przynajmniej pozwalały mu przyjmować siebie za pewnik.

Trudno było oddzielić fakty od plotek, ale dotarło do niego, że nawet gigantycznie bogaci ludzie pragną życia w stosunkowo przyziemnych środowiskach, przedkładając realizm ponad fantazje dotyczące władzy. Kilka modeli psychotyków – przynajmniej zgodnie z doniesieniami – ustawiło się jako dyktatorzy zamieszkujący bogate pałace, gdzie natychmiastowo spełniano ich najmniejsze nawet zachcianki, ale większość Kopii dążyła do iluzji kontynuacji dawnego życia. Jeżeli desperacko chciałeś przekonać samego siebie, że wciąż jesteś tą samą osobą, którą sugerują twoje wspomnienia, wtedy najgorszą z możliwych rzeczy było

taplanie się w wirtualnej antyczości (ze wszelkimi współczesnymi wygodami), udając, że jesteś Kleopatramą czy Ramzesem II.

Paul nie wierzył, że „jest” własnym oryginałem. Zdawał sobie sprawę, że jest jedynie chmurą nie tak jednoznacznych danych. Niczym więcej. Cudem było już to, że w ogóle był w stanie uwierzyć we własne istnienie.

Z czego więc czerpał swe poczucie tożsamości?

Z ciągłości. Spójności. Ponieważ jego myśli podążały za sobą w logicznym porządku.

Ale skąd pochodziła ta logika?

W przypadku człowieka, czy też funkcjonującej w zwyczajny sposób Kopii, fizyka mózgu, czy też komputera, dawała tyle, że stan umysłu w każdej dowolnej chwili wpływał bezpośrednio na stan w chwili bezpośrednio po niej następującej. Ciągłość była tu najzwyczajniej kwestią przyczyny i skutku, bowiem to, co myślałeś w chwili A, wpływało na to, co myślałeś w chwili B, co z kolei wpływało na myśli w chwili C.

Ale kiedy taki subiektywny czas został poprzestawiany, przepływ przyczyny i skutku wewnątrz komputera nie nosił żadnych śladów związku z przepływem doświadczenia – jak więc mógł być podstawową częścią całego procesu? Kiedy program wyrzucał z siebie jego życie jako DBCEA, ale ono wciąż było odbierane dokładnie jak ABCDE. wtedy z pewnością wzorzec był wszystkim, a przyczyna i skutek nie miały tu najmniejszego znaczenia. Całe doświadczenie mogło równie dobrze powstawać zupełnie przypadkowo.

Załóżmy celowo uszkodzony komputer, tkwiący gdzieś przez tysiąc albo i więcej lat, przeskakujący ze stanu do stanu w ruchu uzależnionym jedynie od elektrycznych zakłóceń. Czy może on ucieleśniać w sobie świadomość?

W czasie rzeczywistym odpowiedź brzmiała: prawdopodobnie nie, gdyż prawdopodobieństwo jakiegokolwiek rodzaju spójności pojawiającej się w

sposób przypadkowy było zbyt znikome. Jednakże czas rzeczywisty był jedynie jedną z możliwych ram odniesienia. Co z pozostałymi? Jeżeli stany, przez które przechodziła taka maszyna, mogły zostać poprzestawiane w czasie w sposób arbitralny, kto mógłby stwierdzić, jaki rodzaj złożonego porządku może wyłonić się z takiego chaosu?

Paul powstrzymał na chwilę swoje rozważania. Czy to było głupie? Równie absurdalne jak upieranie się, że jeśli wpuści się stado małą do pokoju pełnego maszyn do pisania, naprawdę wystukają one pełne dzieła Szekspira, tyle tylko, że ustawią w nich litery w odrobinę innym porządku niż w oryginale? Tak niedorzeczne jak twierdzenie, że wystarczająco wielki kamień kryje w sobie *Dawida Michała Anioła*? A każdy magazyn wypełniony farbami i płótnami zawiera kompletne dzieła Rembrandta i Picassa? Nie tyle w ukrytej formie, czekające na jakiegoś zdolnego fałszerza, który by je fizycznie poprzestawiał, ile wyłącznie na podstawie potencjalnego przededefiniowania koordynat czasoprzestrzeni.

Jeżeli chodziło o posąg czy obraz, to tak, było to żartem. Gdzie znajdował się bowiem obserwator będący w stanie dostrzec farbę na płótnie, widzący odpowiednio zarysowaną w powietrzu kamienną figurę?

Jakkolwiek, jeżeli wzór, o którym mowa, nie był izolowanym obiektem, lecz niezależnym światem, z jednym przynajmniej obserwatorem łączącym ze sobą OD WEWNĄTRZ wszystkie punkty składowe w spójną całość.

Nie było najmniejszej wątpliwości, że to możliwe. Sam tego dokonał. W ostatniej próbie drugiego eksperymentu złożył się wraz z własnym otoczeniem – i to bez żadnego wysiłku – z pyłu przypadkowo porzucanych chwil, z czegoś, co w czasie rzeczywistym było pozornym białym szumem. Wprawdzie to, co zrobił komputer, zostało wymyślone i miało zagwarantowany fakt zawierania jego myśli i percepcji zakodowanych w pozornie bezcelowych kalkulacjach – ale biorąc pod

uwagę wystarczająco wielki zbiór prawdziwie losowych liczb, nie było żadnego powodu, by wierzyć, że nie mogłyby one zawierać, zupełnie przypadkowo, jakichś ukrytych wzorów, tak złożonych i spójnych jak te, które były jego własnym fundamentem.

A czy te wzory, niezależnie od tego, jak bardzo poprzestawiane w czasie rzeczywistym, nie byłyby świadome samych siebie, podobnie jak miało to miejsce w jego przypadku, i nie składały – jak on – w spójną całość własnego subiektywnego świata?

Paul wrócił do mieszkania, walcząc z zawrotami głowy i poczuciem nierzeczywistości. Tyle jeśli chodziło o nadzieję, że uda mu się na chwilę zapomnieć. Czuł się obecnie bardziej niż kiedykolwiek do tej pory naładowany prawdą dotyczącą własnej dziwacznej natury.

Czy wciąż chciał się stąd katapultować? Nie. Nie! Jak mógłby powiedzieć, że z radością obudziłby się i zapomniał o sobie samym – obudziłby się, by „odzyskać” swe własne życie – skoro zaczął właśnie dostrzegać odpowiedzi na pytania, których jego oryginał nigdy nawet nie odważył się zadać?

10.

(Nie przekazuj żadnych braków)
(Remit not paucity)

listopad 2050

Maria przybyła do kawiarni piętnaście minut przed czasem i odkryła, że Durham już tam na nią czeka, siedząc przy stoliku w pobliżu wejścia. Była zdziwiona, lecz przyjęła to z ulgą, gdyż brała pod uwagę długie oczekiwanie na niego, a w zaistniałej sytuacji nie miała ani chwili na to, aby się zdenerwować. Durham zauważył ją, kiedy wchodziła do środka. Podali sobie dłonie, wymienili uprzejmości, a następnie za pomocą dotykowych menu znajdujących się na stolikach zamówili kawę. Osobiste spotkanie twarzą w twarz z tym człowiekiem wcale nie zaprzeczyło wyrobionemu w czasie rozmowy telefonicznej wyobrażeniu: był w średnim wieku, cichy, konserwatywnie ubrany; jakoś nie do końca przypominał archetypowy obraz osoby uzależnionej od Autoverse'u.

– Zawsze mi się wydawało – zagała rozmowę – że jestem jedynym subskrybentem „Autoverse Review” w Sydney. Kilkakrotne kontaktowałam się z Ianem Summersem z Hobart, ale nigdy nie zdawałam sobie sprawy, że mam kogoś prawie pod samym nosem.

– Nie było powodu, byś o mnie słyszała – odparł przepaszająco Durham. – Obawiam się, że zawsze ograniczałem się jedynie do lektury artykułów; nigdy niczego nie wniosłem ani nie brałem udziału w żadnych

konferencjach. Tak właściwie to osobiście nie działałam w przestrzeni Autoverse'u. Nie mam na to czasu. Ani też potrzebnych umiejętności, mówiąc całkiem szczerze.

Maria przyjęła do wiadomości jego słowa, starając się nie okazywać zbyt dużego zdumienia. To było tak, jak gdyby ktoś przyznał się, że zgłębia szachy, ale nigdy w życiu nie rozegrał chociażby jednej partii.

– Lecz bardzo uważnie śledziłem postępy w tej dziedzinie i z pewnością jestem w stanie docenić to, czego udało ci się dokonać z *A. lamberti*. Być może nawet bardziej niż niektórzy z podobnych ci praktyków. Myślę, że dostrzegam to raczej w szerszym kontekście.

- Masz na myśli... automaty komórkowe w ogólnym rozumieniu.
- Automaty komórkowe, sztuczne życie.
- To twoje główne zainteresowania?
- Tak.

Ale nie działasz aktywnie? Maria starała się wyobrazić sobie tego mężczyznę jako mecenasa sceny zajmującej się sztucznym życiem, wspaniałomyślnie sponsorującego obiecujących młodych praktyków. Takiego Lorenzo Wspaniałego [(Wawrzyniec) (1449–1492) jeden z przedstawicieli Medyceuszy, rodu kupiecko–bankierskiego rządzącego Florencją; znany głównie z działalności jako mecenas sztuki, między innymi takich artystów jak Leonardo da Vinci czy Michał Anioł] dla Botticellich i Michałów Aniołów teorii automatów komórkowych.

To nie trzymało się kupy. Nawet jeśli sam pomysł nie był wewnętrznie niedorzeczny, ten człowiek po prostu nie sprawiał najmniejszego wrażenia kogoś, kto dysponuje aż takim bogactwem.

Pojawiła się kawa. Durham chciał zapłacić za obie, ale po proteście Marii bez dyskusji pozwolił jej zapłacić za siebie, co sprawiło, że poczuła

się bardziej swobodnie. A kiedy robot-wózek odsuwał się od ich stolika, przeszła wprost do sedna sprawy.

– Stwierdziłeś, że jesteś zainteresowany fundowaniem dalszych badań, na których oparłam wyniki z *A. lamberti*. Masz jakiś konkretny kierunek...?

– Tak. Mam na myśli coś bardzo specyficznego. – Zawahał się. – wciąż jednak nie mam pojęcia, jak najlepiej mógłbym ci to przedstawić. Ale chcę, żebyś mi pomogła... coś udowodnić. Chcę, byś stworzyła ziarno dla biosfery.

Nie odpowiedziała. Właściwie nie miała nawet pewności, czy dobrze zrozumiała jego słowa. *Ziarno dla biosfery* było wyrażeniem pochodzącym z żargonu związanego z terraformowaniem planet, gdzie w ten sposób mówiło się o wszelkich gatunkach roślinnych i zwierzęcych wymaganych do tego, by zamienić sterylną, lecz teoretycznie zdatną do zamieszkania planetę w miejsce, które byłoby stabilne ekologicznie. Nigdy do tej pory nie spotkała się z tym terminem w żadnym innym kontekście.

– Chcę, byś zaprojektowała prebiotyczne środowisko – kontynuował swą wypowiedź Durham – powierzchnię planetarną, jeżeli tylko chcesz myśleć o tym w ten sposób – wraz z pojedynczym prostym organizmem, który według ciebie zdoła z upływem czasu ewoluować w szereg różnorodnych gatunków i zapełnić tym samym wszelkie potencjalnie istniejące tam nisze ekologiczne.

– Środowisko? Więc... chcesz krajobrazu w wirtualnej rzeczywistości? – Maria starała się nie okazywać rozczarowania. Czy naprawdę na poważnie oczekiwała, że ten człowiek zapłaci jej za pracę w Autoverse? – z mikroskopijnym pierwotnym życiem? Pewien rodzaj... prekambryjskiego parku rozrywki, gdzie użytkownicy będą mogli się skurczyć do rozmiarów najprostszycy glonów i badać swych najwcześniejszych przodków? – wbrew całemu swemu obrzydzeniu względem połączonej z różnych

kawałków patchworkowej VR Maria zauważyła, że sam pomysł niemalże ją nakręca. O ile Durham oferowałby jej możliwość nadzoru nad całym projektem – jak i fundusze potrzebne do wykonania koniecznej pracy – było to o tysiąc razy bardziej interesujące niż wszelkie wykonywane przez nią do tej pory nudne kontrakty w VR. I o wiele bardziej lukratywne.

– Nie, proszę – Durham rozwiązał jej myśli – zapomnij o wirtualnej rzeczywistości. Chcę, byś zaprojektowała organizm właśnie w Autoverse, wraz z koniecznym dla niego środowiskiem życia, który posiadałby właściwości, jakie właśnie ci opisałem. I zapomnij o prekambryjskich glonach. Nie oczekuję odtworzenia pierwotnego życia na naszej planecie, przełożenia go na autoversową chemię – o ile coś takiego byłoby kiedykolwiek możliwe. Chcę jedynie, byś stworzyła pewien układ dysponujący... podobnym potencjałem.

Maria była już całkowicie zbita z tropu.

– Kiedy wspomniałeś o planetarnej powierzchni, wydawało mi się, że masz na myśli pełnowymiarowy wirtualny krajobraz – jakieś kilkadziesiąt kilometrów kwadratowych. Ale skoro mówisz o Autoverse, to... chodzi chyba raczej o szczelinę w kamieniu leżącym na dnie morskim, czy coś takiego? Coś mgliście odpowiadającego mikrośrodkom wczesnej Ziemi? Coś odrobinę bardziej „naturalnego” niż szalka hodowlana wypełniona dwoma różnymi cukrami?

– Przepraszam – odparł. – Nie wyrażam się wystarczająco jasno. Oczywiście, że będziesz musiała wypróbować organizm ziarna w szeregu mikrośrodkom, gdyż jest to jedyną drogą pozwalającą ci określić z pewnym przekonaniem, czy w ogóle mógłby on przetrwać, mutować, przystosować się... rozwijać. Ale kiedy już to ustalisz, chcę, byś nakreśliła mi pełen obraz. Scharakteryzowała mi pełne środowisko planetarne, którego podtrzymanie byłoby możliwe w Autoverse i w którym ziarno

mogłoby z dużym prawdopodobieństwem ewoluować w wyższe formy życia.

Maria zawahała się. Zaczynała się zastanawiać, czy Durham ma jakiegokolwiek pojęcie dotyczące skali, w jakiej toczą się rzeczy w Autoverse.

– Co dokładnie masz na myśli, mówiąc „środowisko planetarne”?

– Cokolwiek tylko uznasz tu za rozsądne. Powiedzmy – trzydzieści milionów kilometrów kwadratowych? – Zaśmiał się. – Tylko nie padnij mi tutaj na atak serca. Wcale nie oczekuję, że wymodelujesz całość, i to atom po atomie. Zdaję sobie sprawę, że wszelkie komputery znajdujące się obecnie na Ziemi nie podołałyby niczemu więcej jak tylko pozostałej po pływach kałuży. Chcę po prostu, byś opisała podstawowe właściwości takiego środowiska. Można to zrobić w kilku terabajtach, a prawdopodobnie nawet wystarczy do tego jeszcze mniejsza ilość danych. Wiele nie trzeba na ogólne podsumowanie całej topografii, a nie ma znaczenia, jaki dokładnie kształt będzie miała każda góra, dolina czy plaża. Wszystkim, czego potrzebuję, jest opis statystyczny, kilka istotnych wymiarów fraktalnych. Meteorologia i geochemia – z braku lepszego słowa – będą odrobinę bardziej złożone. Ale wydaje mi się, że już rozumiesz, do czego zmierzam. Możesz streścić wszystko, co ma jakiegokolwiek znaczenie w przypadku takiej prebiotycznej planety, używając stosunkowo niewielkiej ilości danych. Nie oczekuję, że przekażesz mi gigantyczną autoversową siatkę, zawierającą każdy pojedynczy atom w każdym pojedynczym ziarnku piasku.

– Nie, oczywiście, że nie – odparła Maria; z minuty na minutę stawało się to coraz bardziej osobliwe. – Ale... po co specyfikować całą „planetę” – w jakiegokolwiek formie?

– Rozmiar środowiska, czy też różnice w klimacie i ukształtowaniu terenu są ważnymi czynnikami. Szczegóły takie jak te będą miały wpływ na szereg powstających tam w izolacji różnorodnych gatunków, które następnie będą migrować i wzajemnie ze sobą oddziaływać. A z pewnością coś takiego miało wpływ podczas ziemskiej ewolucji. Tak więc mogą okazać się decydujące lub nie, lecz trudno mówić, by były nieistotne.

– To prawda – stwierdziła ostrożnie – ale nikt nigdy nie będzie w stanie uruchomić tak ogromnego systemu w Autoverse, jaki więc sens w tym, aby go opisywać? Tutaj, na Ziemi, system rzeczywiście jest tak wielki i jesteśmy na niego skazani. Jedynym sposobem wytłumaczenia wszelkich skamielin oraz obecnego rozkładu gatunków jest przyjrzenie się wszystkiemu w skali planetarnej. Migracja miała tutaj miejsce i trzeba ją brać pod uwagę. Ale... w Autoverse coś takiego nigdy się nie wydarzyło i nigdy nie wydarzy. Podobne do tych efekty zawsze pozostaną całkowicie hipotetyczne.

– Hipotetyczne? – zapytał Durham. – Absolutnie tak. Ale nie oznacza to wcale, że nie można rozważyć wyników, nie można ich sobie wyobrazić i przedyskutować. Pomyśl o całym projekcie jako o... pomocy w eksperymencie myślowym. Jako o szkicu dowodu.

– Dowodu na co?

– Że autoversowe życie mogłoby – przynajmniej teoretycznie – być równie bogate i złożone jak ziemskie.

– Nie potrafię tego udowodnić. – Maria potrząsnęła głową. – Modelowanie ewolucji kilku tysięcy pokoleń bakterii w kilku mikrośrodkach.

Durham wykonał uspokajający ruch dłonią.

– Tym się nie martw. Nie mam żadnych nierealistycznych oczekiwań. Powiedziałem „szkic dowodu”, ale być może nawet i to było zbyt wielkim

słowem, chcę jedynie... sugestywnych poszlak. Chcę najlepszego projektu, najlepszej osadzonej w Autoverse recepty na świat, jaką tylko jesteś w stanie stworzyć, która mogłaby ewentualnie rozwinąć tam w środku złożone życie. Zestawu wyników dotyczących krótkoterminowej genetyki ewolucyjnej organizmu ziarna wraz z zarysem środowiska, w którym ten organizm mógłby, zachowując wszelkie pozory prawdopodobieństwa, ewoluować w wyższe formy życia. Przyznaję ci rację, niemożliwe jest uruchomienie świata o planetarnej wielkości. Ale nie ma powodu, by nie rozważyć, jak taki świat mógłby wyglądać, by nie odpowiedzieć na tyle pytań, na ile tylko jesteśmy w stanie, czy też nie stworzyć pełnego scenariusza, tak konkretnego, jak to tylko możliwe. Chcę, byś stworzyła pewien pakiet, tak dokładny, tak szczegółowy, że gdyby ktoś ci go przekazał i gdybyś nie miała o niczym zielonego pojęcia, wystarczyłoby... nie do udowodnienia, lecz do przekonania, że w Autoverse może powstać prawdziwie biologiczna różnorodność.

Maria zaśmiała się.

– Osobiście jestem co do tego zupełnie przekonana już teraz. Ja po prostu wątpię, że kiedykolwiek mógłby na to powstać jakiś niepodważalny dowód.

– Wyobraź sobie w takim razie, że chodzi o przekonanie kogoś nastawionego bardziej sceptycznie.

– Kogo dokładnie masz na myśli? Calvina i jego popleczników?

– Przyjmijmy, że tak.

Maria nieoczekiwanie zaczęła się zastanawiać, czy Durham nie jest mimo wszystko kimś, kogo powinna była znać; kimś, kto publikował w innych dziedzinach zajmujących się sztucznym życiem – z jakiego bowiem innego powodu miałyby okazywać zainteresowanie dla podobnej debaty? Powinna była przeszukać bazy danych o wiele bardziej rozległe.

– Tak więc, ogólnie rzecz biorąc – zaczęła – chcesz zaprezentować najbardziej przekonujący z możliwych przykładów, że podobne do Autoverse’u systemy deterministyczne mogą generować równie złożoną biologię jak ta, która istnieje w otaczającym nas świecie; że wszystkie subtelności otaczającej nas fizyki i kwantowej nieokreśloności nie są wcale najważniejsze... i aby uporać się z obiekcjami dotyczącymi tego, że złożona biologia może jedynie powstawać w złożonych środowiskach, potrzebujesz opisu odpowiedniej „planety”, która mogłaby zaistnieć w Autoverse, nie zważając na tę drobną sprzętową niedogodność, że urządzenia, na których moglibyśmy ją uruchomić, z pewnością nigdy nie zostaną zbudowane.

– Dokładnie.

Maria zawahała się. Nie chciała mu wybijać z głowy całego projektu, ale nie bardzo mogła się go podjąć, jeśli nie posiadała jasno przedstawionych celów.

– Ale co to naprawdę doda do moich wyników z *A. lamberti*?

– Z jednej strony – niewiele – przyznał Durham. – Tak jak sama powiedziałaś, dowód może się nigdy nie pojawić. Selekcja naturalna to jednak mimo wszystko selekcja naturalna, a ty wykazałaś, że coś takiego może się pojawić i w Autoverse; być może już tyle powinno nam wystarczyć. Ale czy nie uważasz, że starannie zaprojektowany eksperyment myślowy w planetarnej skali jest odrobinę bardziej... sugestywny niż wszelkie – nieważne, ile by ich było – rzeczywiste eksperymenty w szalkach Petriego? Przestań lekceważyć konieczność odwoływania się do ludzkiej wyobraźni. Ty być może już teraz jesteś w stanie dostrzec wszelkie konsekwencje własnej pracy. Ale inni ludzie potrzebują, aby ktoś im je przeliterował, i to dokładnie, litera po literze.

Maria nie mogła się z tym nie zgodzić. Tyle że... ktoś przydzielał granty na badania naukowe, opierając się jedynie na tym, że coś jest

„sugestywne”?

– Więc... który uniwersytet...?

– Nie jestem akademikiem – uciął krótko. – To moje własne zainteresowania. Hobby, podobnie jak w twoim przypadku. Na co dzień zarabiam na życie oferując ubezpieczenia.

– Ale jak uzyskasz potrzebne fundusze bez...?

– Płacę za to z własnej kieszeni. – Zaśmiał się. – Nie martw się, mogę sobie na to pozwolić. Jeżeli tylko mi uwierzysz, nie braknie ci pieniędzy, co do tego już teraz mogę cię zapewnić. I zdaję sobie również sprawę, że nie co dzień przytrafia się, by amator zlecał tego typu zadania. Ale jak już powiedziałem, nie pracuję w Autoverse, a na nauczanie się samemu tego, o co proszę ciebie, zmarnowałbym jakieś pięć lat. Daję ci wolną rękę, jeśli chodzi o późniejszą publikację wszelkich wyników pod własnym nazwiskiem; wszystko, o co proszę, to jedynie przypis potwierdzający moje finansowe wsparcie.

Maria nie miała pojęcia, co odpowiedzieć. *Lorenzo Sprzedawca Ubezpieczeń?* Prywatny obywatel – który nie był nawet uzależniony od Autoverse’u – zaoferował jej sfinansowanie badań dotyczących oprogramowania, które było najbardziej abstrakcyjnym z wyobrażalnych: nie tyle symulacji nieistniejącego świata, ile „przygotowania” symulacji, która nigdy nawet nie miała zostać uruchomiona. Raczej nie mogłaby gardzić kimś, kto wyrzucał swe ciężko zarobione pieniądze w błoto „bezcelowych” badań w Autoverse, ale wszystko, co doprowadziło ją do punktu, w którym obecnie tkwiła, obracało się wokół doświadczeń zbieranych z pierwszej ręki. Nieważne, ile intelektualnej przyjemności jej to dawało, prawdziwa obsesja, prawdziwe uzależnienie było kwestią nałożenia rękawic i sięgnięcia w symulowaną przestrzeń.

Durham podał jej chip ROM.

– Masz tutaj trochę moich szczegółowych notatek, w tym kilka pomysłów, ale nie czuj się w żaden sposób zobowiązana do trzymania się ich kurczowo. Wymagam tego, co według ciebie posiada największe prawdopodobieństwo zadziałania, nie musi jednak być najbliższe mojemu z góry ustalonemu zadaniu... i mam jeszcze, rzecz jasna, kontrakt. Przekaż go do przejrzenia swemu prawnemu systemowi eksperckiemu. Jestem zupełnie elastyczny, jeśli tylko nie będziesz zadowolona z któregoś z punktów.

– Dziękuję.

Durham wstał.

– Przepraszam, że musimy już kończyć, ale niestety zaraz mam kolejne spotkanie. Proszę, zapoznaj się z tymi notatkami i dokładnie je sobie przemyśl. Zadzwoń, kiedy już podejmiesz decyzję.

Kiedy wyszedł, Maria została przez chwilę przy stoliku, wpatrując się w trzymany w dłoni czarny epoksydowy prostokąt i starając się doszukać sensu w tym, co właśnie się wydarzyło.

Babbage zaprojektował maszynę analityczną, nie mając najmniejszych nawet perspektyw, że zostanie ona zbudowana za jego życia. Entuzjaści podróży w kosmos już od lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku szczegółowo projektowali, aż po najmniejszą śrubkę czy nit, pojazdy mające służyć do podróży międzyplanetarnych. Orędownicy teorii terraformowania nieprzerwanie masowo wyrzucali z siebie prace dotyczące wykonalności swych planów, które, co było mało prawdopodobne, miałyby zostać podjęte w przeciągu najbliższych stu czy nawet więcej lat. Dlaczego? Właśnie jako pomoce w eksperymentach myślowych. Jako szkice dowodu.

A skoro Durham, który sam nigdy nawet nie pracował w Autoverse, miał nieskończenie bardziej imponującą niż ona sama wizję

długoterminowych możliwości czegoś takiego, być może znaczyło to tylko tyle, że ona zawsze znajdowała się zbyt blisko, była nadmiernie ogarnięta żmudnymi przyziemnymi sprawami, by zauważać to, co dane było dostrzec jemu.

Z takim wyjątkiem, że w tym przypadku nie było mowy o żadnych długoterminowych możliwościach. Komputer, na którym można byłoby uruchomić autowersowy świat, byłby o wiele większy niż sama modelowana przez niego planeta. Jeśli takie urządzenie miałoby zostać kiedykolwiek zbudowane, nieważne, w jak odległej przyszłości, musiałyby wtedy istnieć o wiele lepsze powody, aby je zbudować, niż ten, który właśnie przed chwilą usłyszała. To nie był przypadek wizjonera, który urodził się o pokolenie czy dwa przed swoim czasem. Autowersowa ekologia była pojęciem zupełnie teoretycznym i takim miała już na zawsze pozostać. Ten projekt był eksperymentem myślowym w najczystszyim tego słowa znaczeniu.

To było zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Wymarzony kontrakt dla kogoś uzależnionego od Autoverse'u. Ale – nie licząc jakichś bezsensownych, podyktowanych przez kaprys mistyfikacji – dlaczego niby Durham miałby ją okłamywać?

Maria schowała chip do kieszeni i wyszła z kawiarni, nie potrafiąc się jeszcze zdecydować, czy powinna podejść do tego sceptycznie, pesymistycznie, czy też być może powinna być pijana szczęściem – i poczuciem winy. Poczuciem winy, ponieważ Durham, o ile tylko mówił poważnie, o ile naprawdę szczerze planował zapłacić jej najprawdziwszymi pieniędzmi za wykonanie wspianiałego, bezsensownego zadania, musiał mieć odrobinę nie po kolei w głowie. Jeśli miała podjąć się tej pracy i czerpać z niej zyski, oznaczało to wykorzystanie jego dziwaczного szaleństwa.



Niechętnie wpuściła Adena do środka. Zazwyczaj spotykali się u niego albo na neutralnym gruncie, ale dzisiaj akurat odwiedzał jakiegoś znajomego w pobliżu jej mieszkania, a ona nie była w stanie wymyślić żadnej wymówki pozwalającej nie wpuścić go do środka. Kątem oka złapała za jego plecami fragment czerwonego, bezchmurnego zachodu słońca, a otwarte drzwi wpuściły do środka gorący zapach zmierzchu wraz z pomrukiem wieczornego ruchu drogowego. Po siedmiu godzinach, które spędziła zamknięta we własnym pokoju, zgłębiając notatki Durhama dotyczące jego autowersowego Ogrodu Eden, znajdująca się na zewnątrz ulica wydawała się jej obca, niemalże szokująca, obciążona przepaścią dwóch miliardów lat pomiędzy ziemskim odpowiednikiem chwili pierwotnej płodności a jej obecnie widocznymi konsekwencjami.

Poprowadziła Adena wzdłuż holu wejściowego, a gdy opierał swój rower o schody, włączyła światło w salonie. Kiedy była sama, dom doskonale zaspokajał jej potrzeby; wystarczyła jednak dodatkowa osoba, a już sprawiał wrażenie zatłoczonego.

– Słyszałem o twojej matce – powiedział Aden, kiedy już do niej podszedł.

– Skąd? Kto ci powiedział?

– Joe zna jedną z twoich kuzynek z Newcastle. Angela? Tak ma na imię? Stał z założonymi ramionami, opierając się bokiem o framugę drzwi.

– Skoro już tu jesteś, to może byś wszedł do środka? – zapytała go Maria.

– Przepraszam – odpowiedział. – Mogę ci jakoś pomóc?

Potrząsnęła głową. Planowała zapytać, ile mógłby jej pożyczyć na skan, ale nie potrafiła teraz podjąć tego tematu; jeszcze nie w tym momencie.

Zapytałby niewinnie, czy Francesca jest stuprocentowo pewna, że chce się poddać skanowi, i wtedy wszystko zamieniłoby się w kłótnię dotyczącą prawa jej matki do wyboru naturalnej śmierci. Jak gdyby istniał jakikolwiek inny wybór, skoro i tak nie dysponowała funduszami koniecznymi do wykonania skanu.

– Widziałam się z nią wczoraj – odpowiedziała. – Znosi to dosyć dobrze. Ale nie chcę teraz o tym mówić.

Aden pokiwał głową, a następnie oderwał się od framugi drzwi i podszedł do niej. Przez chwilę się całowali, co na swój sposób było pocieszające, ale Aden wkrótce miał erekcję, a Maria nie była w nastroju na seks. Nawet w najlepszym okresie ich znajomości potrzeba było dobrowolnego zawieszenia własnej niewiary, świadomej decyzji, by zapomnieć o tym, że to biologiczny zegar kieruje jej emocjami – a w chwili obecnej wciąż miała w głowie zamęt wywołany sugestią Durhama, by wbudować do *A. lamberti* swego rodzaju uśpioną diploidalność, skłonność do „pomyłkowego” stworzenia dodatkowej kopii chromosomów, które następnie mogłyby utorować drogę seksualnej reprodukcji wraz ze wszystkimi wynikającymi z niej ewolucyjnymi zaletami.

Aden wyswobodził się i przeszedł, by usiąść w jednym z foteli.

– Wydaje mi się – zaczęła Maria – że wreszcie mam jakąś pracę... o ile to wszystko mi się załedwie nie przyśniło.

– Wspaniale! Dla kogo będziesz pracować?

Opisała mu swoje spotkanie z Durhamem. Prowizję, ziarno.

– Tak więc nie masz nawet pojęcia, co będzie z tego miał – stwierdził Aden. – z takim wyjątkiem, że częściowo udowodni jakieś niejasne intelektualne zagadnienie dotyczące ewolucji? – Zaśmiał się z niedowierzaniem. – W jaki sposób będzie można określić, że twoje

„niepełne dowody” są wystarczające? Co, jeśli wasze zdania na ten temat będą się różnić?

– Kontrakt stworzono całkowicie na moją korzyść. Facet wpłaca pieniądze na fundusz powierniczy, nim nawet zabiorę się do pracy. Wszystko, czego ode mnie wymaga, to autentyczny wysiłek, by ukończyć cały projekt w przeciągu sześciu miesięcy – a jeśli tylko powstaną jakiegokolwiek różnice zdań, jest prawnie zobligowany do zaakceptowania decyzji niezależnego sędziego, która określi, co składa się na „autentyczny wysiłek”. Wynajęty przeze mnie system ekspercki dał temu kontraktowi najwyższą z możliwych ocen.

Aden wciąż miał dość sceptyczne zdanie na ten temat.

– Powinnaś zasięgnąć drugiej opinii; w połowie przypadków te systemy nawet nie zgadzają się z samymi sobą, nie wspominając już o ich przewidywaniach dotyczących tego, co mogłoby się wydarzyć w sądzie. Tak czy inaczej, jeżeli wszystko pójdzie gładko, to co będziesz z tego miała?

– Trzydzieści tysięcy dolarów. Zupełnie nieźle jak na sześciomiesięczną pracę. Plus czas obliczeniowy, aż do pułapu kolejnych trzydziestu tysięcy, opłacany bezpośrednio z jego rachunku.

– Taaa? Jak on może sobie na to pozwolić?

– Jest sprzedawcą ubezpieczeń. Jeżeli jest dobry, to może zarabiać, no nie wiem... dwieście tysięcy rocznie?

– Co po odliczeniu podatku daje nam sto dwadzieścia tysięcy. A tobie za to głównie chce płacić sześćdziesiąt?!

– Tak. Masz z tym jakiś problem? Jakoś nie do końca chyba wpędzi go to w ubóstwo. A o ile się orientuję, on może zarabiać nawet i dwa razy tyle. Nie wspominając już o oszczędnościach, inwestycjach... unikach podatkowych. Jego osobiste finanse nie interesują mnie nawet w

najmniejszym stopniu. Kiedy pieniądze wpłyną już na fundusz powierniczy, może sobie nawet zbankrutować – nic mnie to nie obchodzi. A ja i tak, o ile tylko ukończę pracę, dostanę swoje honorarium. W moich oczach to wystarczająco dobry układ. Aden potrząsnął głową.

– Naprawdę nie widzę powodu, dla którego uważa, że jest to tego warte. Bóg jeden wie, ile tysięcy Kopii istnieje już teraz – Kopii, które, czego może jeszcze nie zauważyłaś, kierują połową największych światowych korporacji – podczas gdy facet chce wydać sześćdziesiąt tysięcy dolarów, by udowodnić, że sztuczne życie może się rozwinąć w coś więcej niż bakterię?

Maria zajęczała.

– Już to kiedyś przerabialiśmy. Autoverse nie jest wirtualną rzeczywistością. Kopie nie są ludzkim odpowiednikiem *A. lamberti*. Są oszustwem, działającym według niezbornych reguł. Robią, co do nich należy, i to całkiem wydajnie, ale nie istnieje w tym żadna... fundamentalna logika. Każda część ich ciała podlega innym zestawom zebranych *ad hoc* zasad, w porządku, byłoby szaleństwem starać się modelować całe ludzkie ciało na poziomie molekularnym, ale jeśli interesuje cię, w jaki sposób fundamentalna fizyka wpływa na biologię, to Kopie są nieistotne, ponieważ nie posiadają owej fundamentalnej fizyki. Zachowanie neuronów Kopii nie wynika z żadnych głębokich praw, a jest jedynie kwestią kilku „zasad dla neuronów”, opartych bezpośrednio na tym, co nam wiadomo o neuronach w ludzkim ciele. Ale ciało ludzkie, którego zachowanie jest konsekwencją praw fizyki, działa na miliardach molekuł. W przypadku Kopii oszukujemy przez wzgląd na wydajność. Nie istnieją tam żadne molekuły, żadne prawa fizyki; najzwyczajniej wprowadzamy ręcznie efekt całościowy – biologię.

– A to uraża w jakiś sposób twoją estetyczną wrażliwość?

– To nie o to chodzi. Kopie posiadają swoje miejsce i kiedy nadejdzie mój czas, już raczej wolałabym zostać programowym mieszkańcem niż umrzeć. Wszystko, co chcę ci powiedzieć, to że są one bezużyteczne, jeśli chodzi o wyjaśnienia, jaki rodzaj fizyki jest w stanie podtrzymać który rodzaj życia.

– Paląca kwestia naszych czasów.

– Być może i nie – odpowiedziała bez emocji, mimo iż czuła, jak na jej twarz wypływa rumieniec złości. – Tak się tylko złożyło, że mnie to interesuje... i Paul Durham zdaje się myśleć podobnie. Może to zbyt abstrakcyjne, by mówić o tym jako o nauce. Może praca w Autoverse nie jest niczym innym jak tylko czystą matematyką. Bądź filozofią. Albo sztuką. Lecz nie wydaje mi się, byś sam miał jakiegokolwiek wątpliwości dotyczące spędzenia roku w Seulu na ćwiczeniach własnej bezużytecznej formy sztuki na koszt koreańskich podatników.

– To prywatny uniwersytet.

– W takim razie na koszt koreańskich studentów.

– Nigdy nie twierdziłem, że jest coś nie tak w podjęciu przez ciebie tej pracy. Ja po prostu nie chcę widzieć, jak zostajesz na lodzie, jeśli ten facet okaże się kłamcą.

– Co właściwie mógłby osiągnąć kłamstwem?

– Nie wiem, ale wciąż nie widzę, co mógłby zyskać, mówiąc prawdę. – wzruszył ramionami. – Skoro jednak jesteś szczęśliwa, to i ja czuję się dokładnie tak samo. Być może wszystko będzie w porządku. Zresztą to zupełnie zrozumiałe, biorąc pod uwagę fakt, jak ci się obecnie układa. Nie możesz sobie pozwolić, by zbyt wybrzydzać.

Wybrzydzać? Maria zaczęła się śmiać. Dyskusowanie tego tematu na narzuconych przez Adena warunkach było głupotą. Durham nie wodził jej za nos, nie marnował jej czasu; mówił absolutnie poważnie, co potwierdziły

sporządzone przez niego notatki. Trzysta stron – miesiące pracy. Doprowadził swój plan tak daleko, jak tylko był w stanie bez przyswojenia sobie zawilóści samego Autoverse'u.

I może wciąż nie rozumiała jego motywów, ale z drugiej strony mogło też nie istnieć nic, co należałoby „zrozumieć”. Kiedy pograżała się w jego notatkach, nie znajdowała tam żadnej tajemnicy. Plan Durhama był... tak naturalny, tak oczywisty. Był celem samym w sobie, niewymagającym żadnych ponurych wyjaśnień zakorzenionych w świecie akademickiej chwały i materialnego zysku.

– Co cię tak śmieszy? – zapytał Aden.

– Nieważne.

Poprawił się na krześle i dziwnie na nią spojrział.

– Cóż, przynajmniej obecnie nie będziesz zmuszona, by spędzać swój czas w Seulu wyłącznie w pogoni za pracą. To byłoby dołujące.

– Nie zamierzam jechać.

– Chyba żartujesz.

Pokręciła przecząco głową.

– W czym widzisz problem? Możesz się za to zabrać, będąc wszędzie, prawda?

– Prawdopodobnie. Tak. Ja tylko.

Maria poczuła ukłucie niepewności. Aden wydawał się autentycznie zraniony. Postawił sprawę jasno – o ile tylko zostałyby do tego zmuszony, pojechałby bez niej – ale to było zrozumiałe. Praca kompozytora–rezydenta była dla niego wymarzonym zajęciem, a ona nie posiadała tu, na miejscu, niczego, co dałoby się z tym porównać. Nie miała nic do stracenia, towarzysząc mu w tej wyprawie. Mógł zająć swoje stanowisko o wiele bardziej dyplomatycznie, zamiast sprawiać, że poczuła się jak jeden z jego opcjonalnych bagaży podróży, ale to żaden dowód, że chciał ją

zniechęcić, ani też żadna niewyobrażalna zbrodnia. Czasem brakowało mu po prostu taktu. Z tym dało się żyć.

– Co z tobą nie tak? Spodobałoby ci się w Seulu. Sama wiesz, że taka jest prawda.

– Za bardzo by mi się spodobało – odparła. – Rozpraszałoby mnie tam zbyt wiele rzeczy. Ten projekt będzie bardzo ciężką pracą, najcięższą, jaką wykonywałam kiedykolwiek do tej pory, i jeśli nie będę mogła mu poświęcić całej swej uwagi, okaże się niewykonalny. – Rozpoczęła to jako wymyśloną na poczekaniu wymówkę, ale taka była prawda. Miała sześć miesięcy, jeśli nie na stworzenie świata, to przynajmniej na naszkicowanie jego ogólnego zarysu, więc jeśli nie będzie żyła, spała i oddychała tym projektem, to nigdy nie zdoła go powołać do życia.

– To niedorzeczne! – parsknął Aden. – Nawet nie musisz napisać działającego programu. Sama mówiłaś, że musisz tylko wykonać rozsądny wysiłek i że cokolwiek mu przekażesz, i tak będzie wystarczająco dobre. Co takiego może ci powiedzieć? „Przepraszam, ale nie wydaje mi się, by ten śluzowiec kiedykolwiek miał wynaleźć koło?”.

– Doprowadzenie tego do końca tak jak należy jest dla mnie bardzo ważne.

Aden nic nie odpowiedział.

– Dlaczego po prostu nie powiesz mi wprost, że chcesz zostać w domu z powodu swojej matki? – zapytał jednak po chwili.

Maria była wstrząśnięta.

– Bo to nieprawda.

Spojrzał na nią ze złością.

– Wiesz, zamierzałem zaproponować, że zostanę z tobą w Sydney. Ale ty nie chciałaś nawet o tym rozmawiać.

– To właśnie przyszedłeś mi powiedzieć? – Maria podchwyciła temat. – Że jeśli zamierzam tu pozostać z powodu Franceski, ty porzucisz pracę w Seulu?

– Tak – powiedział takim tonem, jak gdyby od samego początku powinno to być dla niej oczywiste. – Ona umiera. Czy wydaje ci się, że mógłbym odejść i zostawić cię, byś sama się z tym zmagala? Aż za takiego gnoja mnie uważasz?

Ona nie umiera – zostanie zeskanowana.

Ale nie powiedziała tego na głos.

– Matce jest wszystko jedno, czy zostanę, czy pojedę. Zaproponowałam jej, że z nią zamieszkam, ale nie chce nawet słyszeć o tym, by ktokolwiek się nią opiekował. Nie wspominając już o tym, bym robiła to ja.

– W takim razie jedź ze mną do Seulu.

– Tak właściwie, po co? Bo będziesz miał wyrzuty sumienia, że mnie tu zostawiłeś? Do tego się to wszystko sprowadza, prawda? Do twojego spokoju sumienia.

– W porządku. Pierdolę to. Zostań sobie tutaj – rzucił po chwili przemyśleń nad tym, co mu powiedziała.

Wstał i wyszedł z pokoju. Maria nadśluchiwała, jak gmera przy rowerze, następnie otwiera sobie drzwi wejściowe, i wreszcie, jak te zatrząskują się za nim.

Posprzątała w kuchni, sprawdziła zamki, wyłączyła światła. Następnie weszła na piętro i położyła się w łóżku, pozostawiając pokój w ciemności i starając się sobie wyobrazić najbardziej prawdopodobny przebieg wydarzeń najbliższych kilku tygodni. Przed wyjazdem Aden zadzwoni do niej, starając się jakoś to wszystko poukładać, ale już teraz potrafiła sobie wyobrazić, jak łatwo przyjdzie jej zerwać z nim całkowicie. Dotarła właśnie do etapu, w którym coś takiego wydawało jej się najbardziej

oczywistą rzeczą, jaką należało teraz zrobić. Nie była wkurzona, ani też nie czuła ulgi – jedynie spokój. Zawsze tak się czuła w podobnych przypadkach: palenie za sobą mostów, odstręczanie ludzi. Upraszczenie własnego życia.

Zauważyła, że po tym, jak przeglądała ROM Durhama, pozostawiła włączony terminal. Ekran był wygaszony i powinien być całkowicie czarny, ale kiedy jej oczy przyzwyczyły się do ciemności, zauważyła, jak jaśniej delikatną poświatą szarości. Raz na jakiś czas pojawiał się na nim krótkotrwały, przypadkowy rozbłysk. Punktik na ekranie, piksel pobudzony promieniowaniem tła, uderzony promieniowaniem kosmicznym. Obserwowała rozbłyski niczym powolny deszcz spadający na okno do zupełnie innego świata.

Wreszcie udało jej się zasnąć.

11.

(Nie przekazuj żadnych braków)
(Remit not paucity)

styczeń 2051

Malcolm Carter zaprezentował się im jako wysoki, dobrze zbudowany i żwawo wyglądający mężczyzna w górnych granicach średniego wieku, a skoro w rzeczywistości miał pięćdziesiąt osiem lat, więc to ciało z łatwością mogło zostać bezpośrednio oparte na prawdziwym. Peer przypominał sobie fotografie Cartera z wczesnych lat trzydziestych, kiedy to tamten zyskał sobie rozgłos jako jeden z pierwszych architektów-programistów, którzy skoncentrowali się na potrzebach Kopii, a nie na dostarczaniu usług ich ludzkim gościom, używającym wirtualnych środowisk jedynie celem pracy bądź rozrywki. Jakkolwiek skończyło się na tym, że również i goście zaczęli go zatrudniać – ci, którzy podobnie jak Kate już niedługo mieli wejść na stałe do środka. Kate obracała się wówczas w podobnych kręgach, młoda komputerowa artystka wyrwana z zadupia Oregonu i przygarnięta przez towarzystwo z pierwszych stron gazet San Francisco, mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Carter wybył z małej, tworzącej oprogramowanie firmy w Arizonie. Peer nie miał pewności, czy w ogóle rozpoznaje mężczyznę z tych dawnych gazetowych fotografii, ale patrząc na to z drugiej strony, nikt nie trwał przy własnym wyglądzie z lat trzydziestych, o ile tylko mógł temu jakoś zaradzić.

Carter uściśnął dłoń Peera i kiwnął głową w kierunku Kate. Peer zastanawiał się, tak z ciekawości, a nie z zazdrości, czy może w ich prywatnej, odmiennej wersji tego spotkania przywitani się o wiele czulej niż w tej, której sam obecnie doświadczał. Znajdowali się w przestrzennej recepcji, której ściany i wysoki sufit zostały przyozdobione motywem rzędów koncentrycznych kręgów uformowanych w kremowym tynku, a płytki na podłodze miały kształt czarno-białych rombów. Był to publicznie dostępny adres VR Cartera. Każdy bez wyjątku mógł wybrać ten numer i „przybyć tutaj”. Miejsce jednak mnożyło odrębne wersje dla kolejnych rozmówców, tak więc Peer i Kate musieli podjąć odpowiednie kroki, by przybyć tu wspólnie, nie było jednak żadnego ryzyka, że przypadkowo wpadną na kogokolwiek z bogatej klienteli Cartera czy Durhama.

– Mam nadzieję – rozpoczął Carter – że nie macie nic przeciwko temu, żebyśmy załatwili to szybko, więc od razu przejdę do rzeczy. Nie cierpię używania induktorów dłużej niż dwadzieścia cztery godziny bez przerwy.

– Wspaniale, że w ogóle znalazłeś czas, by się z nami spotkać – odpowiedział Peer i przeklął się w duchu; rozważał właśnie zapłacenie temu facetowi znacznej części swojego majątku, jak również złożenie w jego rękach losu autonomicznej wersji własnej świadomości. Miał prawo do tej audiencji. Biorąc jednak pod uwagę sześćdziesięciokrotne spowolnienie.

Carter – o ile rzeczywiście to był Carter, a nie zaledwie jego przekonująca maska – wskazał na drzwi, które znajdowały się na drugim końcu pomieszczenia.

– Gdybyście chcieli się później udać na wycieczkę, tam znajduje się z grubsza wykonany szkic miasta. Jeżeli tylko zajdzie taka potrzeba, poproście o przewodnika. Ale, jak mi się wydaje, samo miasto nie jest teraz waszym największym zmartwieniem. Tym, co tak naprawdę chcecie ode

mnie usłyszeć, jest odpowiedź na pytanie, czy potrafię wkomponować was bezpiecznie w jego luki?

Peer spojrział przelotnie na Kate, która dalej nie odezwała się ani słowem. Była już przekonana; to wszystko działało się po to, by przekonać i jego.

Carter wskazał dłonią w kierunku środka pomieszczenia.

– Widzicie tę fontannę? – i pojawiła się tam: marmurowa, szeroka na dziesięć metrów, w kształcie tortu weselnego. Na szczycie znajdował się uskrzydłony cherubinek siłujący się z wężem. Całość ukazana została tak, jak należy. Woda opadała kaskadami z tryskającej rany w szyi cherubinka.

– Jest obliczana przy wykorzystaniu redundancji w szkicu miasta – opowiadał dalej Carter. – Potrafię wydzielić te wyniki, ponieważ wiem dokładnie, gdzie należy ich szukać, ale nikt inny nie miałby nawet najmniejszych szans, aby je wychwycić.

Peer podszedł do fontanny. Kiedy się do niej zbliżał, zauważył, że mgielka wody jest bezcielesna, a kiedy zanurzył dłoń w zbierającej się u podstawy wodzie, nie poczuł nic; ruch, który wykonywał palcami, nie zakłócił skłębionej powierzchni. Szpiegowali jedynie obliczenia, nie oddziaływali z nimi; fontanna była zamkniętym systemem.

– W waszym przypadku oczywiście nikt nie będzie musiał poznać wyników – stwierdził Carter. – z wyjątkiem was, ale wy przecież będziecie je znali, bo sami nimi będziecie.

– Nie ja. Mój klon – odpowiedział niemal bez namysłu Peer.

– Jak tam sobie życzysz. – Carter zaklaskał w dłonie i tuż nad powierzchnią fontanny pojawiła się wielokolorowa trójwymiarowa siatka. – Oto schemat przedstawiający część oprogramowania, które uruchamia szkic miasta. Każdy sześcian przedstawia pojedynczy proces. Te krótkie impulsy kolorowego światła to przepływające pomiędzy nimi pakiety danych.

Nie ma tu nic tak prymitywnego jak podzbiór procesów poświęconych wyłącznie fontannie. Każdy indywidualny proces – i każdy indywidualny pakiet danych – jest związany z pewnym aspektem miasta. Ale tu i ówdzie ma miejsce kilka odrobinę nieefektywnych obliczeń, a niektóre ze „zbytecznych” części tych informacji są wymieniane. – Na nielicznych sześcianach pojawiły się kropki niebieskiego koloru, w podobnym kolorze zajaśniały również niektóre z danych. – Jedną z najbanalniejszych sztuczek jest tu użycie wektora, gdy konieczny do obliczeń jest jedynie jego kierunek, a długość wektora nie ma najmniejszego znaczenia. Absolutnie rozsądna operacja wykonana na takim wektorze, całkowicie usprawiedliwiona we własnym kontekście, przypadkowo wykonuje pewne działania na jego długości. Ale to tylko jedna z technik; a istnieją ich dziesiątki. – Zaklaskał w dłonie po raz kolejny, a wszystko z wyjątkiem niebieskich podświetleń rozplynęło się. Diagramy uległy przekształceniu, rozproszone procesy zeszyły w zwartą siatkę. – Cała rzecz polega na tym, że fontanna jest przeliczana wraz z miastem, żadna część oprogramowania otwarcie nie kradnie czasu na procesy pasożytnicze. Każda linijka wszelkich uruchomionych programów ma sens, jeśli chodzi o obliczanie miasta.

– A co, jeżeli Durham przepuści twój kod przez urządzenie optymalizujące, które przeskaluje wszystkie niepotrzebne wektory i przytnie wszelkie nieefektywności? – dopytywał się Peer.

Carter potrząsnął głową.

– Nie wierzę, żeby w ogóle grzebał przy kodzie, ale gdyby nawet do tego doszło, to urządzenia optymalizujące będą w stanie jedynie prześledzić wszystko do pewnego stopnia. W pełnej wersji miasta wyniki waszych obliczeń będą porzucane tak rozlegle, że żadnemu programowi nie starczyłoby miesiąca, by móc wydedukować, czy określone dane nie są tak

naprawdę gdzieś potrzebne, czy na pewno nie mają żadnego znaczenia dla prawowitych mieszkańców miasta. – wyszczerzył zęby. – Optymalizacja czegokolwiek związanego z Kopiami to bardzo delikatne zadanie. Musiałeś słyszeć o miliardrze–odludku, który chciał działać tak szybko, jak to tylko było możliwe, mimo iż nigdy nawet nie kontaktował się ze światem zewnętrznym. Tak więc załadował swój własny kod do urządzenia optymalizującego. Po rocznej analizie urządzenie orzekło: *TEN PROGRAM NIC NIE PRODUKUJE NA WYJŚCIU* i wyrzuciło z siebie zoptymalizowaną wersję. Taką, która dokładnie nic nie robiła.

Peer zaśmiał się, mimo że już wcześniej słyszał ten żart.

– Faktem jest – kontynuował Carter – że miasto jest tak złożone, tak wiele się w nim dzieje, że nawet gdyby wszystko pozostawiono przypadkowi, to nie byłbym zaskoczony, gdyby zachodziło tu sporo całkiem złożonych, absolutnie niezamierzonych wtórnych obliczeń. Co prawda nigdy nie starałem się ich wyszukać, gdyż coś takiego wykorzystywałoby zbyt wiele czasu pracy procesora. Ale to samo odnosi się do każdego, kto by was poszukiwał. To nie tylko kwestia praktyczności. Po co ktokolwiek miałby wydawać miliony dolarów na skanowanie w poszukiwaniu czegoś, co nie szkodzi nawet w najmniejszym stopniu?

Peer spojrzał sceptycznie na niebieski schemat. Carter wyjaśniał, jak gdyby wiedział, o czym mówi, ale kilka przekonujących wyglądających grafik niczego nie udowadniało.

Carter jakby czytał w jego myślach.

– Jeśli masz jakiegokolwiek wątpliwości, rzuć okiem na używane przeze mnie oprogramowanie. – w powietrzu przez Peerem pojawiła się olbrzymia, gruba księga. – To modyfikuje program A tak, by ukradkiem wykonywał program B, zakładając oczywiście, że A jest wystarczająco bardziej złożony algorytmicznie niż B. Co dokładnie to oznacza, znajdziesz w dodatku

technicznym. Wypróbuj to sobie, przedstaw swojemu ulubionemu systemowi eksperckiemu... zweryfikuj, jak ci się żywnie podoba.

Peer schwycił księgę, ścisnął ją do wielkości karty kredytowej, a następnie wsunął do tylnej kieszeni dżinsów.

– Nie widzę powodu, dla którego nie miałbyś rzeczywiście być w stanie wykonać wszystkiego, o czym tu opowiadasz: wprowadzić nas na gapę do wnętrza miasta, ukryć przed przeszukiwaniami, a następnie ochraniać przed optymalizacją. Ale... dlaczego? Co będziesz z tego miał? Cena, której od nas żądasz, jest niczym w porównaniu z tym, co musisz dostawać od Durhama. Po co podejmować aż takie ryzyko? A może z zasady obrabiasz wszystkich swoich klientów?

Carter zdecydował się wyglądać na rozbawionego, a nie urażonego.

– Praktyka dorabiania sobie na boku przy projekcie konstrukcyjnym ma długą i uświęconą tradycję. A jest tym bardziej poważana, im mniej naraża na szwank potrzeby klienta. W tym przypadku wiąże się z tym również kwestia dokonania pewnego finezyjnego programowania, warta wykonania dla samej siebie. W kwestii pieniędzy żądam od was wystarczająco, by pokryło to moje koszty. – Tylko przez wzgląd na Peera wymienił spojrzenie z Kate, gdyż Peer inaczej by tego nie dostrzegł. – Lecz koniec końców sprowadza się to do tego, że składam ci tę ofertę jako przysługę. Skoro więc uważasz, że zamierzam cię oszukać, masz wolną rękę, by powiedzieć „nie”.

– A jeżeli to Durham oszukuje swoich klientów? – Peer zmienił taktykę. – Ty jedynie pozbawiasz ich kilku QIPS, ale co, jeżeli on postanowił wcale nie uruchamiać miasta, a jedynie rozpułnąć się jak kamfora z pieniędzmi klientów? Czy widziałeś przynajmniej sprzęt, którym on dysponuje? Używałeś go?

– Nie. Ale on nigdy nie twierdził – przynajmniej bezpośrednio – że posiada własny sprzęt. Historyjka, którą mi sprzedał, mówiła o mieście

uruchomionym w sieci publicznej. To oczywiste brednie. Kopie, które łożą na jego projekt, nawet przez chwilę nie uwierzyłyby w takie rozwiązanie. Było to więc jedynie uprzejmym sposobem przekazania mi, że sprzęt, którym dysponuje, wcale nie należy do moich zmartwień. A co do podejrzenia, że mógłby zniknąć razem z pieniędzmi, to z tego, co mogę wydedukować na temat przyływu jego gotówki, będzie mówił o wielkim szczęściu, jeżeli na całym projekcie wyjdzie na zero. Co pozwala mi przypuszczać, że prawdziwymi finansami zajmuje się ktoś zupełnie inny. Sam Durham jedynie znajduje się na świeczniku, podczas gdy prawdziwy właściciel sprzętu zapłaci mu za wszelki kłopot, kiedy już cała sprawa dobiegnie końca.

– Właściciel? Czego? Hipotetycznej „przełomowej maszyny”, której jak dotąd nikt nie widział na oczy?

– Skoro przekonał do zapłaty Sandersona i Repetto, możesz mieć pewność, że przedstawił im coś, czym nie raczył się ze mną podzielić.

Peer już miał zaprotestować, ale wyraz twarzy Cartera mówił bardzo wyraźnie: *Bierz albo spadaj. Wierz, w cokolwiek tam sobie życzysz. Ja już wystarczająco wiele zrobiłem dla mojej byłej kochanki, a tak naprawdę to wali mnie, czy zdołałem cię przekonać, czy nie.*

Carter przeprosił, mówiąc, że muszą już kończyć. Kiedy się odwrócił i szedł przez pomieszczenie, jego kroki odbijały się echem w przepastnej przestrzeni, a Peer nie mógł uwierzyć, że po to, by dotrzeć do drzwi wyjściowych, tamten straci najbliższe piętnaście minut czasu rzeczywistego. Musi być niezbyt zajęтым człowiekiem, skoro robi coś takiego. Z drugiej strony, najprawdopodobniej w tym samym czasie, kiedy z nimi rozmawiał, przeprowadzał dwa lub nawet trzy inne spotkania z Kopiami, pojawiając się i znikając w czasie tych rozmów i pozostawiając

na swoim miejscu maskę, mającą się zajmować animacją jego twarzy podczas tych nieobecności.

– Co takiego w najgorszym razie może się nam przytrafić? – zapytała Kate. – Jeżeli Durham myśli tylko o przekręcie, jeżeli całe miasto jest mistyfikacją, co niby mamy do stracenia? QIPS i tak jest wszystkim, co możemy kupić za nasze pieniądze, a to ty jesteś osobą przekonaną, że nawet najwolniejsze tempo naszego działania nie ma najmniejszego znaczenia.

Peer wykrzywił twarz, uśmiechając się krzywo i wciąż wpatrując się w użyte przez Cartera drzwi, zaskoczony faktem, że nie potrafi jakoś oderwać od nich oczu, chociaż nie miały one dla niego żadnego znaczenia.

– Połowa uroku – stwierdził – opiera się na tym, że wykradniemy sobie darmową przejażdżkę. Bądź też, że przekupimy Cartera, by to dla nas zrobił. Nie widzę zbytniej... godności w podróżowaniu na gapę statkiem, który zmierza donikąd.

– Zawsze możesz wybrać sobie taką opcję, by nie zwracać uwagi na ten drobny szczegół.

– Nie chcę tego robić. Wcale nie udaję, że jestem człowiekiem, ale wciąż posiadam pewien... rdzeń osobowości... i nie potrzebuję spokoju umysłu. Spokój to odpowiednik śmierci.

– Na drapaczu.

– Na drapaczu pozbywam się wszystkiego, co może mnie rozpraszać. Ale tego typu zachowania ograniczam wyłącznie do tamtego kontekstu. Kiedy wyłaniam się stamtąd, wciąż posiadam jakieś cele. Wciąż posiadam jakieś potrzeby. – Odwrócił się do niej, wyciągnął dłoń i pogładził palcami po policzku. – Ty mogłaś zdecydować, by nie przykładać wagi do spraw bezpieczeństwa. Czy też, by nie zamartwiać się kursem QIPS, kontrolą pogody, polityką przeliczeń. Mogłaś zdecydować się na wybór takiej opcji,

by wszystkie nadchodzące ze świata zewnętrznego pogrożki odbierać jako pompatyczne. Wtedy wcale nie potrzebowałybyś, czy też nie chciałybyś, w ogóle starać się temu zaradzić.

Kate pozostawiła dotykane przez niego ciało na swoim miejscu, lecz cofnęła się o krok do kolejnego, dokładnie takiego samego. Peer zwiesił rękę wzdłuż tułowia.

– Kiedy będę już częścią miasta milionerów – powiedziała – szczęśliwie będę mogła sobie zapomnieć o świecie zewnętrznym. Ale dopiero wtedy, kiedy już poświęcę wszelkie moje oszczędności i znajomości, aby się ocalić.

– Chcesz powiedzieć, że to wystarczy, by cię usatysfakcjonować, czy że zamierzasz podjąć świadomą decyzję, by tak się stało?

Uśmiechnęła się enigmatycznie, a Peer świadomie podjął decyzję, by wzruszyć się tym widokiem.

– Jeszcze nie wiem – odparła. – Poczekasz trochę, a sam się przekonasz.

Peer nie odpowiedział. Uświadomił sobie, że wbrew wszelkim własnym wątpliwościom, niemal bez wątpienia podąży za nią. I to nie tylko z powodu dreszczu związanego ze stworzeniem drugiej wersji samego siebie, nie tylko z powodu podkopania ostatniego antropomorficznego złudzenia, które mu pozostało. Prawda była taka, że chciał z nią być. Ze wszystkimi jej wersjami. Gdyby się wycofał, a ona poszłaby dalej, wtedy sama świadomość, że zrezygnował z możliwości posiadania towarzyszącej jej wersji, doprowadziłaby go do szaleństwa. Nie miał pewności, czy jest to kwestią chciwości czy uczucia, zazdrości czy lojalności, ale wiedział, że musi być częścią wszystkiego, czego miała tam doświadczyć.

Było to niepokojącym objawieniem. Peer zarejestrował również ujęcie tego stanu ducha.

Kate wskazała na drzwi prowadzące do szkicu miasta.

– Po co zawracać sobie tym głowę? – zapytał Peer. – Będziemy mieć wystarczająco wiele czasu na odkrywanie prawdziwego miejsca.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Nie chcesz zaspokoić swojej ciekawości? Teraz – i na wieki, dla tego, którego pozostawisz po tej stronie?

Przemyślał to sobie, po chwili przecząco potrząsnął głową.

– Jeden z klonów zobaczy ukończone miasto. Drugi nie. Obaj będą posiadali tę samą przeszłość, kiedy nawet nie słyszeli o tym miejscu. Klon, który pozostanie na zewnątrz, ten, który nigdy nie widział miasta, będzie się starał sobie wyobrazić, jak ono wygląda. Klon znajdujący się wewnątrz będzie uruchamiał najprzeróżniejsze środowiska i czasem w ogóle nie będzie myślał o samym mieście. A kiedy już będzie to robił, czasem będzie je błędnie pamiętał. A czasem będzie śnił o szaleńczo odkształconej wersji tego, co zobaczył.

Definiuję wszystkie te chwile jako część mnie. Tak więc cóż w tym takiego ciekawego?

– Uwielbiam te twoje doktrynerskie zapędy – odpowiedziała mu Kate. Zbliżyła się o krok i pocałowała go, lecz kiedy sięgnął, aby ją objąć, wysunęła się do kolejnego ciała, tak że obejmował jedynie martwy balast. – A teraz się zamknij i chodźmy się tam rozejrzeć.



Peer wątpił, by kiedykolwiek miał poznać powody własnej śmierci. Żadne męczące introspekcje, znużające wideopocztówkowe przesłuchania byłych przyjaciół ani nawet wykonana przez system ekspercki analiza finalnego skanu nie zbliżyły go ani o krok do prawdy. Luka czasowa była

zbyt rozległa, by dało się ją wypełnić; stracił bezpowrotnie ostatnie cztery lata cielesnego życia, a wydarzenia, które zaszły w tym okresie, bardziej zdawały się przypominać fatalną wycieczkę do świata równoległego niż zaledwie maleńki epizodzik amnezji.

Werdykt wydany przez koronera nie był rozstrzygający. Wypadki w czasie wspinaczki skałkowej należały do rzadkości, gdyż najlepsze technologie okazywały się działać niemalże bezbłędnie, lecz David Hawthorne pogardliwie trzymał się z dala od wszelkich rozpieszczających ulepszeń (w tym także od implantów czarnej skrzynki, które mogły nagrywać wszelkie czynności prowadzące do śmierci, nawet jeśli pomijały kryjące się za nimi motywy). Nie posiadał żadnego karabińczyka wypełnionego mikrochipami, mogącego wykonać ultradźwiękową tomografię powierzchni klifu i przeliczyć własną zdolność nośną, żadnych upręży wypakowanych inteligentnymi poduszkami powietrznymi, mogącymi zamortyzować jego upadek na postrzępione skały, i to nawet z wysokości sześćdziesięciu metrów, żadnego robota – partnera wspinaczki, który w przypadku urazu kręgosłupa mógłby go przenieść przez dwadzieścia kilometrów nierównego terenu i dostarczyć na oddział intensywnej terapii, jak gdyby płynął tam na chmurze morfiny.

Peer potrafił to też w pewien sposób zaakcentować. Jaki sens miało poddawanie się skanowi tylko po to, by dalej pozostawać niewolnikiem ujarzmionego szacunku dla kruchości ciała? Skoro zatriumfował nad śmiertelnością, jak mógłby nadal żyć, udając, że nic się nie zmieniło? Każdy biologiczny instynkt, każda zdroworozsądkowa myśl dotycząca natury przetrwania, zostały ogołoczone z sensu – a on sam nie był w stanie oprzeć się pokusie udratyzowania tej transformacji.

Co wcale nie było żadnym dowodem na to, że chciał umrzeć.

Ale niezależnie od tego, czy jego śmierć była stuprocentowym nieszczęśliwym wypadkiem, bezdyskusyjnym samobójstwem, czy też wynikiem jakiejś szaleńczo niebezpiecznej sztuczki, która (zupełnie przypadkiem) okazała się śmiertelna, czteroletni skan Davida Hawthorne'a przebudził się w wirtualnych slumsach, by uświadomić sobie, że na poważne rozważania poświęcane takiej perspektywie przeznaczył mniej więcej tyle samo czasu, co na te, które dotyczyły ewentualnego przebudzenia się w czyścicu. Jakiegokolwiek przekonania dopuścił do siebie w czasie tych utraconych lat, jakkolwiek wyobrażał sobie samego siebie w czasie ostatnich kilku sekund życia, gdy znajdował się na wapiennym nawisie skalnym, to do czasu ostatniego skanu zawsze myślał o wirtualnym zmartwychwstaniu jako o czymś odbywającym się w odległej przyszłości, kiedy albo będzie olśniewająco bogaty, albo koszt przeliczeń spadnie na tyle, by pieniądze okazały się praktycznie bez znaczenia.

Miał czterdzieści sześć lat, odznaczał się doskonałym stanem zdrowia; był członkiem wyższej kadry kierowniczej w Incite PLC, dwudziestej piątej pod względem wielkości firmie marketingowej w Europie, drugim po Bogu w dziale interaktywnego mailingu zindywidualizowanego. Przy odrobinie ostrożności mógł umrzeć w wieku stu pięćdziesięciu lat, by natychmiast stać się członkiem elity, być może nawet zbudziwszy się od razu w cybernetycznym ciele, będącym prawie nie do odróżnienia od prawdziwego.

Ale skoro wyłożył kasę, by móc się nie obawiać śmierci, to na pewnym poziomie musiał pomieszać sobie rodzaj abstrakcyjnej i dosłownej, nacechowanej moralnie nieśmiertelności ulubieńca losu, posiadanej przez mitycznych herosów i prawych wyznawców życia po śmierci, z wysoce specyficzną wolnorynkową wersją, na którą tak naprawdę się zdecydował.

I nieważne, jak psychologicznie pokręcone byłyby wyjaśnienia jego śmierci, od strony finansowej jej wynik był bardzo prosty. Umarł za wcześnie.

W tydzień świata rzeczywistego – kilka subiektywnych godzin – przeszedł z modelu z krwi i kości, zamieszkującego ekstrawagancki apartament zakupiony w czasie pierwszego skanu, do pozbawionej ciała świadomości obserwującej swój Bunkier. A nawet i to nie wystarczało, by móc dalej trwać przy swej roli w świecie zewnętrznym. Dla tych, którzy poddali się skanowaniu, nie była dostępna pełna opcja ubezpieczenia na życie – nie wspominając już o tych, którzy równocześnie folgowali sobie uprawianiem sportów niosących ze sobą narażenie własnego życia – a orzeczenie wydane przez koronera wykluczyło również wypłatę z jedynej możliwej, niesamowicie przepłacanej i „rozcieńczonej” zastępczej polisy, którą był w stanie pozyskać. Przy spowolnieniu wynoszącym trzydzieści – najniższy współczynnik pomiędzy Bunkrem a światem rzeczywistym, jakiego mogły mu dostarczać dochody z jego inwestycji – komunikacja ze światem zewnętrznym była co najmniej utrudniona, a produktywna praca stawała się wręcz niemożliwa. Nawet gdyby rozpoczął błyskawiczne wyzbywanie się wszelkiego odłożonego kapitału, wykupując wyłączność na użytkowanie klastra procesorów, różnica w upływie czasu tu i na zewnątrz wciąż sprawiałaby, że jego zatrudnienie okazywałoby się niemożliwe. Kopie, których fundusze powiernicze kontrolowały olbrzymie pakiety akcji, martwi szefowie wielkich korporacji, znajdujący się w nieoficjalnych radach nadzorczych, spotykających się dwa razy do roku, by podjąć bez pośpiechu trzy, może cztery decyzje – oni mogli sobie pozwolić na życie z czasowo rozszerzoną ekonomią spowolnienia. David Hawthorne zmarł, nim zdążył osiągnąć konieczną finansową masę krytyczną – nie wspominając już o osiągnięciu statusu dyrektora w stanie spoczynku, przy

którym płacono by mu tylko za nazwisko na firmowych nagłówkach korespondencyjnych.

Kiedy dotarła do niego własna sytuacja, wpadł w najczarniejszą rozpacz. Każda z kosztownych chorób prowadzących do kalectwa mogłaby ściągnąć go z komfortu wyższej klasy średniej do poziomu względnej biedy i odosobnienia, ale umieranie „biednym” miało tu dodatkowe znaczenie. W swoim doczesnym życiu radośnie akceptował ten consensus: pieniądze były najgłębszym poziomem rzeczywistości, zapisy własności – definicją prawdy. Równocześnie zaś podczas niemal każdego weekendu uciekał do schludnie przyciętego ogrodu w stylu angielskiej wsi, do rozbijania obozu pod otwartym niebem, przewietrzenia głowy od bizantyjskich fikcji otaczającego go City, przypominania sobie, jak sztuczne, jak odgórnie narzucone było to wszystko. Osobiście nigdy się nie oszukiwał, że byłby w stanie wyżyć z ziemi: „rozpłynąć” się w lesie mapowanym przez EarthSat w centymetrowej skali dwa razy dziennie, przeżywając tam dzięki mięsu chronionych gatunków, zdzierając za pomocą własnych zębów obroże służące do namierzania radiowego lisów i borsuków, ze stoickim spokojem przetrzymując wszelkie rzadkie choroby i zakażenia pasożytnicze, na które otrzymane w dzieciństwie szczepionki i zastrzyki z poliklonalnych limfocytów typu T nie gwarantowały mu odporności. Prawda była taka, że niemal z pewnością zagłodziłby się na śmierć bądź zwariował, ale nie o to tutaj przecież chodziło. Tym, co miało znaczenie, był fakt, że jego geny prawie w niczym się nie różniły od posiadanych przez jego przodków – myśliwych i zbieraczy – jakieś dziesięć tysięcy lat temu, że powietrze wciąż nadawało się do oddychania i było dostępne za darmo, że światło słoneczne wciąż padało na powierzchnię planety, wciąż napędzało łańcuchy pokarmowe i podtrzymywało klimat, w którym można było przeżyć. To nie

było fizycznie niemożliwe, nie było też biologicznym absurdem – wyobrazić sobie ŻYCIE BEZ PIENIĘDZY.

Przyglądając się ekranom własnego Bunkra, wracał myślami do tego szablonowego, choć pocieszającego zrozumienia, z zawracającym w głowie poczuciem straty – ponieważ nie leżało już w jego mocy zdystansować się, nieważne na jak krótko, od masowej halucynacji handlu jako rzeczywistości, nie było możliwe wyszarpać na siłę chociażby odrobiny nieco autoironicznego poczucia godności i niezależności, wypływającego z hipotetycznej zdolności do życia nago w lesie. Pieniądze przestały być dogodną fikcją, której można się przyglądać z odpowiednią dozą ironii, ponieważ obecnie skomputeryzowane transakcje finansowe z dochodów od jego inwestycji, napływające do sieciowego dostawcy jego QIPS, stały się fundamentem wszystkich jego myśli; wszystkiego, co dostrzegał; wszystkiego, czym się stał.

Pozbawiono go przyjaciół i ciała, a cały świat, w którym kiedyś zamieszkiwał, przekształcił się zaledwie w rozmazaną scenerię, przypominającą widok dostrzegany z pociągu ekspresowego. David Hawthorne przygotował się do katapultowania.

I to właśnie Kate go przed tym powstrzymała. Oddelegował ją z powitalną „sąsiedzka wizyta” komitet mieszkańców slumsów. Komitet, do którego przyłączyła się jedynie w nadziei, że wyłoży pieniądze na jeden z jej projektów. Działo się to, zanim jeszcze podjęła świadomą decyzję, że jej sztuka nie potrzebuje żadnej publiczności, co sprawiło, że jej ilość czasu obliczeniowego względem jakiegokolwiek innego procesu stała się zupełnie nieistotna.

Od czasu śmierci jedynym sposobem kontaktu ze światem zewnętrznym były dla niego krótkie, nagrane wiadomości od byłych przyjaciół, byłych kochanek, byłych krewnych oraz byłych współpracowników, wszystkie

wyrażające mniej więcej to samo – pożegnanie, jak gdyby wyruszył w bezpowrotną podróż do miejsca, które znajdowało się poza zasięgiem wszelkich współczesnych środków komunikacji. Pojawiła się tam również oferta kliniki, w której wykonał swój skan, dotycząca porad systemu eksperckiego zajmującego się traumą pozmartwychwstaniową, której pierwsze dziesięć minut miało być absolutnie za darmo. Kiedy więc na jego ekranie komunikacyjnym pojawiła się Kate z tempem zsynchronizowanym do jego osoby i chciała z nim rozmawiać, otworzył przed nią swe serce.

Przekonała go, by odłożył katapultowanie, dopóki nie rozważy wszystkich pozostałych możliwości. Nie musiała go zresztą przekonywać zbyt długo; już sama jej obecność niezmiernie poprawiła jego poglądy na przyszłość. Tysiące Kopii, jak mu opowiedziała, przetrwały przy tempie spowolnienia wynoszącym trzydzieści, sześćdziesiąt, a nawet i więcej, nie biorąc żadnego czynnego udziału w życiu ludzkiego społeczeństwa, nie zarabiając żadnych pieniędzy prócz tych będących biernym dochodem z funduszy powierniczych, żyjąc własną szybkością, definiując swą wartość na własnych warunkach. Co niby mógłby stracić, gdyby i on tego spróbował?

A gdyby nie potrafił zaakceptować tego rodzaju odseparowanej egzystencji? Zawsze do niego należał wybór dotyczący zawieszenia się w nadziei, że ekonomia określająca warunki jego bytu wreszcie przechyli się na jego stronę – mimo ryzyka, że przebudzi się kiedyś i odkryje, iż zrównał swą prędkość ze światem o wiele dziwniejszym, ze światem, z którym o wiele trudniej będzie mu się powiązać niż z tym, który jest mu obecnie dostępny; tym, który porusza się w tak przyspieszonym tempie.

Dla kogoś, kogo najśłodszym marzeniem było przebudzić się w ciele robota i żyć dalej, jak gdyby nic się nie stało, otaczające go slumsy były szokiem. Kate wprowadziła go do „powolnych klubów” będących

miejscem spotkań wszystkich Kopii, które tylko miały ochotę, by zsynchronizować się z tempem najwolniejszej z obecnych w środku osób. W zasięgu wzroku nie można tam było wypatrzeć żadnego miliardera. W Cabaret Andalou muzycy przyjmowali formę żywych saksofonów i gitar, piosenki były widoczne, namacalne, promieniowanie psychotropowe uderzało w publiczność z ust wokalistów, a w czasie wyjątkowo udanych nocy wystarczająco silne poczucie wspólnoty, telepatii, synergii, mogło za sprawą wspólnie wyrażonej zgody całego tłumu objąć ich, roztapiając (choć na chwilę) wszelkie osobiste bariery, zarówno mentalne, jak i te, które imitowały te fizyczne, zlewając publiczność i wykonawców w pojedynczy organizm: posiadający setkę oczu, dwieście kończyn, jedną gigantyczną sieć neuronową, która rezonowała wspomnieniami, percepcjami i emocjami wszystkich, z których się składała.

Kate pokazała mu niektóre z zakupionych przez siebie środowisk – oraz niektóre z tych, które stworzyła własnoręcznie – miejsc, gdzie mieszkała i tworzyła w samotności. Zarośnięty, przesadnie wielki ogród na tyłach małomiasteczkowego domku podczas wczesnego lata, ulepszone i zmodyfikowane wspomnienie z dzieciństwa, gdzie tworzyła trójwymiarowe rzeźby, wykorzystując w tym celu jakieś dziesięć do dziesięciotysięcznej potęgi możliwości koloru, faktury i formy. Posępna linia brzegowa pod wiecznie zagrażającymi deszczem chmurami, z niebem z ciemnej farby olejnej, które ożyło na płótnie, dokąd udawała się, kiedy chciała się wyciszyć, lecz postanawiała nie robić tego za pomocą arbitralnej decyzji.

Pomogła mu przeprojektować jego mieszkanie, zamieniając je z fotorealistycznego betonowego pudełka w system bodźców czuciowych, które mogły być tak niezmiennie, czy też tak czułe, jak tylko sobie zażyczył. Raz, nim udał się na spoczynek, owinał się całą strukturą niczym śpiworem, a ona kurczyła się i stawała coraz bardziej miękka, dopóki kuchnia nie

kołysała jego głowy, a pozostałe pomieszczenia nie pokrywały fałdami reszty jego ciała. Tak zmienił topologię mieszkania, by każde okno zaglądało przez pozostałe okna, każda ze ścian stykała się ze wszystkimi pozostałymi ścianami, a wszystko zamknęło się w sobie w każdym kierunku, skończone, lecz nieposiadające granic. Wszechświat przypominający macicę.

I to Kate zapoznała go z filozoficznymi interaktywnymi sztukami napisanymi przez Daniela Lebesgue'a, takimi jak *Obserwator*, *Zachowując zdrowe zmysły* (adaptacja *Henryka IV* Pirandella) i, oczywiście, *Solipsystyczna Nacja*. Hawthorne podjął się roli Johna Becketta, niechętniej Kopii ogarniętej obsesją, by śledzić na bieżąco wszystkie wydarzenia w świecie rzeczywistym, która na końcu sztuki dosłownie stawała się całym społeczeństwem i kulturą. Oprogramowanie sztuki nie odgrywało losu bohatera na Hawthornie, gdyż – przeznaczone zarówno dla Kopii, jak i dla gości z zewnątrz – działało na poziomie percepcji i metafor, a nie rekonstrukcji nerwowej. Idee Lebesgue'a były hipnotyczne, lecz nieprecyzyjne, i nawet on sam nigdy nie starał się wprowadzać ich w życie – przynajmniej o ile było komukolwiek wiadomo. Lebesgue zniknął z życia publicznego w 2036 roku, stał się odludkiem, katapultował, czy może zawiesił swe istnienie, tego nikt nie potrafił jasno określić. Jego uczniowie tworzyli manifesty i przepisy na wirtualne utopie. Mówiąc bardziej dosadnie, bycie „Solipsystyczną Nacją” najzwyczajniej przekładało się na nieuleganie zewnętrznemu światu.

Po trzech subiektywnych tygodniach od swojego zmartwychwstania, czyli niemal po czterech latach czasu rzeczywistego, Hawthorne na wystarczająco długo zszedł z całej tej karuzeli, by móc nadrobić zaległości w wiadomościach nadpływających ze świata zewnętrznego. Przeglądając ich skróty, nie wychwycił, by wydarzyło się tam cokolwiek szczególnie

dramatycznego bądź nieoczekiwanego. Nie było żadnych szokujących politycznych przewrotów, żadnych oszałamiających technologicznych przełomów, żadnych wojen domowych czy klęsk głodu, które byłyby poważniejsze od wcześniejszych. Nagłówki BBC tego dnia stwierdzały: Pięćset osób zginęło podczas burz w południowo-wschodniej Anglii. Federacja Europejska ograniczyła o 40% liczbę uchodźców środowiskowych. Koreańscy inwestorzy wprowadzili w życie pogroźki o embargu na obligacje rządowe Stanów Zjednoczonych w ramach trwającej wojny handlowej dotyczącej taryf biotechnologicznych, a dostawcy rozpoczęli już odłączanie prądu, wody i usług komunikacyjnych w budynkach federalnych. Jeśli jednak chodziło o najświeższe szczegóły, to wszystko wydawało się równie znajome jak niektóre firmowe płatki śniadaniowe: ta sama faktura i ten sam smak, pamiętany sprzed czterech czy nawet ośmiu lat. Gdy siedział z oczami utkwionymi w znajdującym się przed nim terminalu, dziwacznie uspokajające scenki rodzajowe wciągały go do środka, a trzy tygodnie spędzone na halucynacjach tańczących saksofonów i obrazów, w których można było mieszkać, rozplynęły się do nic nieznaczących spraw, jak gdyby nie były niczym innym, jak tylko żywym snem, bądź jakimś programem na innym kanale, któremu nie groziło pomylenie go z prawdziwymi wiadomościami.

– Zdajesz sobie sprawę – powiedziała mu wtedy Kate – że jeśli tylko tego chcesz, możesz tu siedzieć przez wieczność i oglądać wiadomości? Istnieją Kopie – nazywamy ich Świadcami – które udoskonalają się do... systemów. Nie robiących niczego poza monitorowaniem wiadomości tak dokładnie, jak tylko pozwala im na to ich własne spowolnienie. Nie posiadając ciała, nie odczuwają zmęczenia, nic nie rozprasza ich uwagi. Obserwator w czystej formie, śledzący na bieżąco rozwój historii.

– Nie chcę czegoś takiego.

Jednak nie odwrócił oczu od ekranu. Nie wiadomo dlaczego zaczął płakać, cichutko, łkając za czymś, czego nie potrafił nazwać. Nie za światem definiowanym przez systemy wiadomości, gdyż tam nigdy nie zamieszkiwał. Nie za ludźmi, którzy przesłali mu nagrane pożegnania; swego czasu byli użyteczni, lecz obecnie nic już dla niego nie znaczyli.

– Ale?

– Ale to, co znajduje się na zewnątrz, jest wciąż dla mnie tym, co prawdziwe – nawet jeżeli nie mogę się stać tego częścią. *Nie mogę być z krwi i kości. Nie mogę poczuć twardej ziemi pod stopami. Ani prawdziwych promieni słońca.* To wciąż jedyny świat, który w ostatecznym rozrachunku ma dla mnie jakiegokolwiek znaczenie. Nie mogę udawać, że nie zdaję sobie z tego sprawy. Wszystko, co znajduje się tutaj, jest po prostu piękną, nielogiczną fikcją. – *Łącznie z tobą. Łącznie ze mną.*

– Możesz to zmienić – stwierdziła prosto Kate.

– Co mogę zmienić? Wirtualna rzeczywistość to tylko wirtualna rzeczywistość. Nie mogę jej przekształcić w nic innego.

– Możesz zmienić swoją perspektywę. Zmienić swoje nastawienie. Przestać odbierać swoje obecne doświadczenia jako coś mniej prawdziwego niż rzeczywistość.

– Łatwiej powiedzieć niż zrobić.

– Wcale tak nie jest.

Wywołała panel kontrolny i pokazała mu dostępne oprogramowanie, którego mógł użyć: program, który zanalizowałby jego model mózgu, zidentyfikował w nim jego niepokoje i obawy dotyczące odwrócenia się plecami do świata, a następnie usunąłby je, jedno po drugim.

– Lobotomia w wersji „zrób to sam”.

– Nawet w najmniejszym stopniu nie można tak tego nazywać. Nie dochodzi do żadnej „fizycznej” ekstrakcji. Program, metodą prób i błędów,

koryguje wagi synaptyczne, dopóki nie odkryje najmniejszej z możliwych zmian, która osiągałaby zamierzony cel. Kilka miliardów krótkotrwałych, obdartych wersji twojego mózgu zostanie przetestowane i odrzucone w trakcie tego procesu, ale nie pozwól, by spędzało ci to sen z powiek.

– Uruchomiłaś to na sobie?

– Oczywiście. – Zaśmiała się. – Z czystej ciekawości. Ale nie odnalazłam w sobie niczego, co chciałabym zmienić. Ja podjęłam już decyzję. Nawet kiedy byłam jeszcze na zewnątrz, już wiedziałam, że tego właśnie chcę.

– Tak więc naciskam guzik i na moim miejscu siedzi zupełnie ktoś inny? Wykonany na poczekaniu, syntetycznie usatysfakcjonowany klient? Anihiluję się, ot tak, po prostu?

– To ty skoczyłeś w przepaść.

– Nie. Ja jestem tym, który tego nie zrobił.

– Nie „anihilujesz się”. Jedyne zmienisz się na tyle, na ile będziesz musiał... i wciąż będziesz się mógł nazywać David Hawthorne. Czego jeszcze mógłbyś oczekiwać? Czy kiedykolwiek zrobiłeś coś więcej?

Dyskutowali nad tym problemem przez całe godziny, rozważając szczegółowo filozoficzne i moralne zagadnienia, różnice pomiędzy „naturalną” akceptacją własnej sytuacji a narzuceniem sobie podobnej akceptacji. Jednakże, koniec końców, kiedy już podjął decyzję, ta do złudzenia przypominała mu kolejną część snu, następną nielogiczną część fikcji. W tym sensie dawny David Hawthorne pozostał wierny swym przekonaniom – nawet wtedy, kiedy już tak zmodyfikował swój mózg, by się ich pozbyć.

Kate myliła się co do jednej rzeczy. Mimo doskonałej ciągłości własnych wspomnień czuł się zmuszony, by zaznaczyć to przejście

wyborem nowego imienia, wyszarpując z próżni pojedynczą cudaczną sylabę.

„Minimalna możliwa zmiana”? Być może gdyby skończył jako mniej radykalny przedstawiciel Solipsystycznej Nacji, o wiele więcej z jego osobowości musiałoby zostać powykręcane, by w ogóle mógł zostać przekonany. Kilka zdecydowanych, odważnych cięć, zamiast tysięcy drobiazgowych okaleczeń, przycięło okrąg do kształtu kwadratu.

Jednak ta pierwsza zmiana oczyściła przedpole kolejnym – długiej serii kierunkowanych przez niego samego mutacji. Peer (z wyboru) nie miał cierpliwości do nostalgii, ani też do bycia sentymentalnym. Kiedy zgorszyła go jakakolwiek część jego osobowości, wyrwał ją sobie. Niektóre cechy (najprawdopodobniej) zniknęły na zawsze: hordy banalnych zazdrości, próżności, obaw i bezcelowych obsesji, tendencji do irracjonalnej depresji i poczucia winy. Inne pojawiały się i znikwały. Peer uzyskał, usunął i na nowo posiadał różnorakie talenty, predyspozycje nastroju i popędy, w tym pragnienie wiedzy, sztuki i fizycznego doświadczania. W kilka subiektywnych dni mógł się zamienić z ascetycznego studenta sumeryjskiej archeologii w hedonistycznego smakosza, któremu nie sprawiało przyjemności nic z wyjątkiem przygotowywania i konsumpcji przesadnie bogatych symulowanych uczt, a na koniec w zdyscyplinowanego adepta karate Shotokan.

Jego rdzeń pozostał stały. Pewne wartości, pewne emocjonalne odpowiedzi i pewne aspekty wrażliwości estetycznej bez szwanku przetrwały wszystkie te przejścia.

Podobnie jak jego wola przetrwania.

Pewnego dnia zapytał sam siebie: Czy to jądro niezmiennych rzeczy – i mniej więcej nieprzerwana nić wspomnień – wystarczy? Czy David

Hawthorne, tyle że pod innym imieniem, osiągnął nieśmiertelność, za którą zapłacił? Czy też zginął gdzieś po drodze?

Odpowiedź nie istniała. To, co jedynie mógł stwierdzić w każdej jednej chwili, brzmiało następująco – istniał ktoś, kto wiedział, czy też wierzył, że był kiedyś Davidem Hawthornem.

Tak więc Peer dokonał świadomej decyzji, by pozwolić sobie na przekonanie, że tyle wystarczy.

12.

(Rwij, łącz, tnij,
człowieku–zabaweczko)
(Rip, tie, cut toy man)

czerwiec 2045

Paul uruchomił terminal i skontaktował się ze swoją organiczną wersją. Dzin wyglądał na zmęczonego i zdawał się mieć zszargane nerwy; te wszystkie wyblagiwania i przekupstwa konieczne do przygotowania kolejnej fazy eksperymentu musiały zbierać swe żniwo. Paul czuł natomiast obecnie, bardziej niż kiedykolwiek do tej pory, że żyje; jego żołądek ścisnęło coś przypominającego strach, lecz elektryczne mrowienie skóry odbierał bardziej jako przecucie triumfu. Jego ciało miało już niedługo zostać pokaleczone, pocięte na kawałki poza wszelkie możliwości rozpoznania – a jednak wciąż zdawał sobie sprawę, że to przeżyje, nie ucierpi, nie poczuje bólu.

Pisk. – Eksperyment trzeci, próba zerowa. Dane linii odniesienia. Wszelkie przeliczenia wykonywane przez klaster procesorów numer cztery–sześć–dwa, Hitachi Supercomputer Facility, Tokio.

– Raz. Dwa. Trzy.

To miłe, że mu powiedział, gdzie się znajduje; Paul jeszcze nigdy nie był w Japonii.

– Cztery. Pięć. Sześć.

Gdy jednak patrzył na to ze swojego punktu widzenia, nic się pod tym względem nie zmieniło. To Sydney, nie Tokio, stanowiło widok za jego oknem; po co w ogóle rozróżniać zewnętrzną geografie, skoro i tak nie miała ona najmniejszego znaczenia?

– Siedem. Osiem. Dziewięć. Dziesięć.

Pisk. – Próba numer jeden. Liczba partycji modelu – pięćset sekcji, uruchamianych na pięciuset klastrach procesorów, dystrybucja globalna.

Paul odliczał. *Pięćset klastrów.* Załedwie pięć do zgrubnego modelowania świata zewnętrznego. Całą zaś resztę przypisano jego ciału, z czego większość zajmowała się mózgiem. Uniósł dłoń do oczu – a przepływ informacji gwarantujący mu kontrolę nad funkcjami motorycznymi i wzrokiem przemierzał dziesiątki tysięcy kilometrów światłowodu. Nie istniało żadne (zauważalne) opóźnienie, gdyż kiedy tylko było to konieczne, każdy jego fragment po prostu hibernował w oczekiwaniu na konieczny zwrotny napływ bodźców z całego świata.

Było to oczywiście czystym wariactwem, zarówno pod względem obliczeniowym, jak i ekonomicznym. Paul domyślał się, że kosztował obecnie przynajmniej sto razy tyle, co normalnie – niezupełnie pięćset, skoro objętość każdego z klastrów wykorzystywano załedwie częściowo – a jego współczynnik spowolnienia najprawdopodobniej zwiększył się z siedemnastu do pięćdziesięciu. Przed laty żywiono nadzieję, że poświęcenie pojedynczej Kopii setek komputerów zamiast pogarszać mogłoby wpłynąć pozytywnie na problem związany ze spowolnieniem, lecz wąskie gardło związane z przemieszczaniem się danych pomiędzy poszczególnymi klastrami procesorów powstrzymywało nawet te najbogatsze Kopie przed zredukowaniem współczynnika poniżej siedemnastu. Nie miało więc znaczenia, iloma superkomputerami dysponowałeś, gdyż rozdzielając je,

więcej czasu traciłeś na komunikację, niż udawało ci się zaoszczędzić dzięki dodatkowej mocy obliczeniowej.

Pisk. – Próba numer dwa. Tysiąc sekcji, tysiąc klastrów.

Mózg o rozmiarach planety – i oto jestem, odliczając do dziesięciu. Paul wspomniał nie mogący go opuścić – naiwny i paranoidalny – strach, że wszystkie połączone w ogólnoswiatową sieć komputery mogłyby pewnego dnia spontanicznie powołać do życia globalny superumysł; ale to właśnie, niemalże na pewno, on sam był pierwszą inteligencją o planetarnych rozmiarach, która pojawiła się na Ziemi. Trudno jednak powiedzieć, by poczuł się cyfrową Gają. Czuł się dokładnie tak samo jak zwykły człowiek siedzący w pomieszczeniu o szerokości kilku metrów.

Pisk. – Próba numer trzy. Liczba partycji modelu – pięćdziesiąt sekcji i dwadzieścia układów czasowych, wprowadzanych na tysiącu klastrów.

– Raz. Dwa. Trzy. – Paul z wysiłkiem starał się wyobrazić sobie świat zewnętrzny z własnego punktu widzenia, zawdzięczanego takiemu obliczaniu, ale było to niemal niemożliwe. Nie tylko został porzrzucony po całym globie, ale równocześnie rozległe odseparowane od siebie maszyny przeliczały w tym samym czasie poszczególne fragmenty jego subiektywnych ram czasowych. Czy odległość pomiędzy Tokio a Nowym Jorkiem stała się teraz długością jego ciała modelowatego? Czy świat skurczył się do rozmiarów jego czaszki i zupełnie zniknął z czasu, z wyjątkiem tych pięćdziesięciu komputerów, które w każdej chwili przyczyniały się do tego, co sam nazywał „teraźniejszością”?

Być może nie – jakkolwiek z punktu widzenia hipotetycznego podróżnika w przestrzeni cała planeta została w rzeczywistości zamrożona w czasie i spłaszczona jak naleśnik. Teoria relatywizmu stwierdzała, że to taki punkt widzenia jest doskonale słuszny, a nie ten należący do Paula. Teoria ta pozwalała na ciągłą deformację, lecz nie na rozcinanie z

następującym po nim ponownym łączeniem fragmentów. Dlaczego nie? Ponieważ musiała pozwalać na PRZYCZYNĘ i SKUTEK. Wpływy musiały być zlokalizowane, a podróż pomiędzy dwoma punktami odbywać ze skończoną prędkością; poszatkuj czasoprzestrzeń i przetasuj ją sobie, a przypadkowo powstała struktura musi się rozpaść.

A co, gdybyś był obserwatorem pozbawionym struktury przyczynowo-skutkowej? Byłbyś świadomym siebie wzorcem, pojawiającym się przypadkowo w zupełnie losowych drganiach generatora szumu, a twoje koordynaty czasowe tańczyłyby tam i z powrotem w wiarygodnym przyczynowo „czasie rzeczywistym”? Dlaczego miałbyś być wtedy nazywany istotą drugiej kategorii, nie posiadającą prawa do obserwacji wszechświata na swój własny sposób? w końcu, czym tak zwana przyczyna i skutek różniły się od jakiegokolwiek innego, wewnętrznie spójnego wzoru?

Pisk. – Próba numer cztery. Liczba partycji modelu – pięćdziesiąt sekcji i dwadzieścia układów czasowych; sekcje i stany losowo przydzielone do tysiąca klastrów.

– Raz. Dwa. Trzy.

Paul przerwał odliczanie, przeciągnął szeroko ramiona i powoli wstał. Rozejrzał się wokół raz jeszcze, by przyjrzeć się bliżej pomieszczeniu, w którym się znajdował, sprawdzić, czy wciąż pozostaje nietknięte, czy wciąż jest kompletne.

– To pył – wyszeptał. – Tylko pył. Ten pokój, ta chwila, zostały porzrzućane po całej planecie, rozproszone na przestrzeni pięciuset sekund albo i więcej – ale wciąż jakoś trzymają się kupy. Czy nie dostrzegasz implikacji czegoś takiego?

Dżin pojawił się ponownie na ekranie, ale Paul nie dopuścił go do głosu. Słowa wypływały z niego, nic nie mogło ich powstrzymać. Zrozumiał.

– Wyobraź sobie wszechświat całkowicie pozbawiony struktury, kształtu, połączeń. Chmurę mikroskopijnych wydarzeń przypominających fragmenty czasoprzestrzeni z tym jednym wyjątkiem, że NIE MA w nich ani czasu, ani przestrzeni. Co w takim razie charakteryzuje punkt takiej przestrzeni w jakiejś konkretnej chwili? Jedyne wartości pól cząstek elementarnych, zaledwie garstka liczb. Teraz, gdyby usunąć wszelkie wyobrażenia dotyczące pozycji, ułożenia, uporządkowania, co by ci pozostało? Chmura przypadkowych liczb.

Tak właśnie. Tyle właśnie istnieje. Kosmos nie posiada żadnego kształtu – nie istnieje coś takiego jak czas ani przestrzeń, nie istnieją żadne prawa fizyczne, żadna przyczyna i skutek.

Ale skoro będący MNA układ może wybrać się sam spośród wszelkich innych wydarzeń mających miejsce na tej planecie, dlaczego taki układ, o którym myślimy „wszechświat”, nie miałby się sam składać, sam odnaleźć, dokładnie w taki sposób? Skoro sam mogę złożyć w spójną przestrzeń, jak i czas, dane rozproszone tak rozległe, że równie dobrze mogłyby być częścią jakiejś gigantycznej chmury przypadkowych liczb – co w takim razie sprawia, że uważasz, iż sam nie robisz dokładnie tego samego?

Wyraz twarzy dzina był rozdarty pomiędzy niepokojem a irytacją.

Pisk. – Paul, do czego zmierzasz? „Czasoprzestrzeń jest wytworem wyobraźni; wszechświat nie jest tak naprawdę niczym innym jak tylko morzem niepołączonych wydarzeń”. Takie zapewnienia nie mają najmniejszego znaczenia. Możesz w nie wierzyć, o ile tylko masz na to ochotę, ale co niosą ze sobą? Co dają?

– Co dają? Dostrzegamy – zamieszkujemy – pewne ułożenie zbioru wydarzeń. Ale dlaczego takie uporządkowanie miałoby być jedyne? Nie istnieje żaden powód pozwalający wierzyć, że odkrywany przez nas wzór

jest jedynym spójnym sposobem poukładania tego pyłu. Muszą istnieć miliardy innych wszechświatów, współistniejących z nami, stworzonych z tego samego materiału, który został jedynie troszkę inaczej uporządkowany. Skoro mogę postrzegać wydarzenia oddalone od siebie o tysiące kilometrów i porozdzielane setkami sekund jako leżące tuż przy sobie i dziejące się równocześnie, to muszą istnieć światy, jak i istoty, stworzone z tego, co w naszych oczach jest punktami czasoprzestrzeni porozrzucanymi po całej galaktyce, po całym wszechświecie. Jesteśmy jednym z możliwych rozwiązań gigantycznego kosmicznego anagramu, a wiara, że jesteśmy jedynym rozwiązaniem, zakrawa na niedorzeczność.

Pisk. Durham parsknął: – Kosmiczny anagram? Gdzie pozostałe nie użyte litery? Gdyby cokolwiek z twoich twierdzeń było prawdą – i alfabetyczna przapada rzeczywiście byłaby losowa – to nie uważasz, że fakt, iż potrafiliśmy to wszystko zbudować, byłby wielce nieprawdopodobny?

Paul myślał nad tym przez chwilę.

– To nie my to zbudowaliśmy. Wszechświat jest przypadkowy na poziomie kwantowym. Patrząc na to w skali makro, wzór wydaje się doskonały; mikroskopowo jednak rozpada się do nieokreśloności. Pozostałości po tej przypadkowości przesunęliśmy na najniższy z możliwych poziomów.

Pisk. Dżin, co było wyraźnie widać, starał się zachować cierpliwość. – Paul, nie jesteśmy w stanie sprawdzić żadnego z twoich twierdzeń. Jak człowiek mógłby obserwować planetę, której części składowe byłyby rozsiane po całym wszechświecie, nie wspominając już o porozumiewaniu się z jej hipotetycznymi mieszkańcami? Twoje twierdzenia mogą posiadać pewną określoną – czysto matematyczną – słuszność: jeżeli zmielisz wszechświat w wystarczająco drobny pył, to być może mógłby on zostać poustawiany na inne sposoby, mające tyle samo sensu co oryginał. Jednak

skoro te przegrupowane światy są dla nas niedostępne, to dyskutujemy w tej chwili o aniołach poustawianych na główce od szpilki.

– Jak możesz tak mówić? Ja ZOSTAŁEM poprzestawiany! ODWIEDZIŁEM inny świat!

Pisk. – Jeśli tak było – to świat ten był sztuczny i został stworzony, a nie odkryty.

– Stworzony, odkryty... tak naprawdę nie ma to żadnej różnicy.

Pisk. – Co więc utrzymujesz? Wpływy pochodzące z tego innego świata ogarnęły komputery, zmieniając sposób przebiegu modelu?

– Oczywiście, że nie! Twój wzór nie został zakłócony; komputery wykonały dokładnie to, czego od nich oczekiwaliśmy. To w żaden sposób nie unieważnia mojego sposobu widzenia. Przestań wreszcie doszukiwać się wyjaśnień, przyczyn i skutków; istnieją tylko wzorce. Rozproszone wydarzenia, które złożyły się na moje doświadczenie, posiadają wewnętrzną logikę, równie rzeczywistą, aż po najmniejszy szczegół, jak logika dotycząca samych działań komputerów. A być może to nie komputery dostarczyły wszystko.

Pisk. – Co masz na myśli?

– Luki w pierwszym eksperymencie. Czym zostały wypełnione? z czego byłem tworzony, kiedy procesory mnie nie opisywały? Cóż, to olbrzymi wszechświat. Mnóstwo pyłu, który mógłby stać się mną pomiędzy kolejnymi opisami. Mnóstwo wydarzeń – nie mających nic wspólnego z naszymi komputerami, a być może nawet i z naszą planetą, czy też obecną epoką – z których można by skonstruować dziesięć sekund mojego doświadczenia.

Pisk. Dżin wyglądał teraz na poważnie zmartwionego. – Jesteś Kopią, która znajduje się w wirtualnym środowisku kontrolowanym przez komputer. Niczym więcej, niczym mniej. Nasze eksperymenty udowodniły,

że twoje wewnętrzne poczucie czasu i przestrzeni jest niezmiennie. Dokładnie tak, jak wcześniej zakładaliśmy – pamiętasz? Wróć na Ziemię. Twoje stany są obliczane, a twoje wspomnienia muszą być dokładnie tym, czym byłyby bez wszystkich tych manipulacji. Nie odwiedziłeś żadnych innych światów, nie zbudowałeś się własnoręcznie z fragmentów odległych galaktyk.

Paul zaśmiał się.

– Twoja głupota jest... nie z tej ziemi. Po co mnie stworzyłeś, skoro nie masz teraz nawet zamiaru wysłuchać tego, co mam ci do powiedzenia? Doznałem przebłysku prawdy leżącej u podstaw wszystkiego: czasu, przestrzeni, praw fizyki. Nie możesz tego odrzucać słowami, że to, co mi się przydarzyło, było nieuniknione.

Pisk. – Kopia kontrolna i podmiot są wciąż identyczne.

– Oczywiście, że są! O to właśnie tu chodzi! Niczym grawitacja i przyspieszenie w ogólnej teorii względności – wszystko zależy od tego, czego nie potrafisz od siebie rozróżnić. To nowa zasada równoważności, nowa symetria pomiędzy obserwatorami. Relatywizm odrzuca bezwzględny czas i przestrzeń, ale nie poszedł w tym za daleko. Musimy odrzucić bezwzględną przyczynę i skutek!

Pisk. Dżin wymamrotał przerażony: – Elizabeth mówiła, że do tego dojdzie. Powiedziała, że to tylko kwestia czasu, nim stracisz kontakt z rzeczywistością.

Paul wpatrywał się w niego, nagle wrzucony z powrotem w przyziemność.

– Elizabeth? Twierdziłeś, że nawet jej nie powiedziałeś.

Pisk. – Cóż, teraz już wie. Nie powiedziałem ci tego wcześniej, ponieważ nie wydawało mi się, że chciałbyś usłyszeć, jak zareagowała.

– Jak?

Pisk. – Nieprzespaną nocą, którą spędziliśmy na kłótni. Domagała się twojego wyłączenia. Powiedziała, że byłem niespełna rozumu, skoro w ogóle rozważałem możliwość zrobienia czegoś podobnego.

Ubodło to Paula.

– Co ona tam wie? Ignoruj ją.

Pisk. Durham uśmiechnął się przeproszająco – wyraz twarzy, który Paul natychmiast rozpoznał i zmroziło to krew w jego żyłach. – Może powinienem cię wyłączyć, by móc sobie to wszystko dokładnie przemyśleć. Elizabeth postawiła kilka ważkich kwestii etycznych. Uważam, że powinienem je ponownie z nią przedyskutować.

– Pierdol to! Nie jestem tu po to, byś mnie zatrzymywał, kiedy tylko zmienisz nastawienie do całego eksperymentu. A skoro Elizabeth chce coś powiedzieć na temat mojego życia, to powinna to do cholery przedyskutowywać raczej ze mną.

Paul dokładnie zdawał sobie sprawę, do czego to prowadzi. Jeśli zostanie zatrzymany, Durham nie uruchomi go ponownie – wróci do oryginalnego pliku skanu i zacznie raz jeszcze od samego początku, zajmując się więźniem w zupełnie inny sposób, z nadzieją, że otrzymany w efekcie obiekt będzie bardziej skory do współpracy. Być może wcale nie wykona pierwszego zestawu eksperymentów.

Tych, dzięki którym Paul wszystko zrozumiał.

Tych, które zrobiły z niego tego, kim był obecnie.

Pisk. – Potrzebuję czasu do namysłu. Obiecuję, że to tylko tymczasowe.

– Nie! Nie masz prawa!

Durham zawahał się. Paula ogarnął paraliż niewiary. Jakaś jego część odmówiła przyjęcia do wiadomości faktu, że istnieje jakiegokolwiek niebezpieczeństwo, odmówiła akceptacji, że oto może z łatwością umrzeć. Zatrzymanie by go nie zabiło, nie zraniło, nie wywarło na nim żadnego

efektu. Tym, co mogłoby go zabić, był fakt, że nie zostałby ponownie uruchomiony. Zostałby biernie unicestwiony, zignorowany z istnienia. Doświadczyłby losu, który spotkał jego własne ekskrementy. Durham sięgnął dłonią poza pole widoczne na ekranie.

13.

(Nie przekazuj żadnych braków)
(Remit not paucity)

luty 2051

– Przelicz wszystko aż do piątej epoki – rozkazała Maria – a następnie przedstaw mi wschód słońca nad Lambert. Szerokość zero, długość zero, wysokość jeden.

Odczekała, wpatrując się w pustą przestrzeń roboczą i zwalczając w sobie pokusę, by zmienić wydane już instrukcje i kazać oprogramowaniu wyświetlić każdy najmniejszy etap zadanej symulacji, co znacznie by wszystko spowolniło. Po kilku minutach pojawiła się wreszcie popękana ciemna równina zalana promieniami srebrzystego światła. Nienazwane jeszcze słońce – oślepiające i napuchnięte, zbyt białe i znajdujące się na razie zbyt nisko na nieboskłonie – zmieniło znajdujący się na horyzoncie łańcuch wygasłych wulkanów w czarne sylwetki, przypominające rząd ostrych zębów. Znajdująca się na pierwszym planie równina była szklista i niegościnna.

Maria uniosła punkt widzenia do wysokości tysiąca metrów, a następnie wysłała go przelotem w kierunku wschodnim. Teren powtarzał się. Dziwacznie symetryczne stożki martwych wulkanów były jedynym uwypukleniem popękanych równin. Ta specyficzna, szczegółowa sceneria była jedynie serią skomputeryzowanych „impresji artystycznych”,

wykonywanych na zamówienie z czysto statystycznych danych opisujących topografię planety; sama symulacja nie zajmowała się niczym tak drobiazgowym jak pojedyncze wulkany. Wycieczki po planecie byłyby rozrzutnym sposobem na odkrycie tu czegośkolwiek, lecz trudno było się oprzeć podobnej zabawie w odkrywcę, traktowaniu tego świata, jak gdyby należało pracowicie wydedukować tutejsze tajemnice z jego wyglądu... nawet jeśli prawda była wprost przeciwna. Maria niechętnie zamroziła obraz i przeszła bezpośrednio do opisujących go danych numerycznych. Atmosfera ponownie okazała się zbyt rzadka, i również tym razem aqua występowała w środowisku w ilościach zaledwie śladowych.

Cofnęła historię symulacji, sprawdzając, gdzie dokładnie doszło do jej utraty, ale obecna wersja Lambert nigdy nie posiadała żadnych większych oceanów, czap lodowych ani pary atmosferycznej. Maria dokonała niewielkiej korekty w składzie chemicznym pierwotnego obłoku pyłowo-gazowego, zwiększając w nim proporcje niebieskich i żółtych atomów, w nadziei, że ostatecznie doprowadzi to do powstania gęstszej atmosfery na Lambert. Zamiast tego spowodowała tylko tyle, że przeszło połowa „śmieci” z pasa Kuipera skondensowała się w zupełnie nową, stabilną planetę zewnętrzną. Co spowodowało, że o wiele mniej bogatych w lód komet z pasa uderzyło w powierzchnię samej Lambert, pozbawiając ją tym samym największego jak do tej pory źródła aquy – a przy okazji również większości atmosfery. Gaz uwalniany podczas erupcji wulkanicznych dostarczał nędznego substytutu, gdyż ciśnienie było o wiele za niskie, a chemia zupełnie nie taka jak powinna.

Maria zaczynała żałować, że nie trzymała ust zamkniętych na kłódkę. Sama przekonała Durhama, że warto było podjąć próby nadania Lambert właściwego astronomicznego kontekstu i geologicznej historii, które

rozcigałyby się aż do czasu narodzin tutejszego słońca. Zabrało jej to niemal całą godziną rozmowę telefoniczną.

– Jeżeli zaprezentujemy ten świat jako *fait accompli* i powiemy: „Popatrzcie, coś takiego może istnieć w Autoverse”. to wtedy oczywista odpowiedź, którą otrzymamy, będzie brzmiała: „Tak, to może istnieć, o ile umieścicie to tam ręcznie, ale nie oznacza wcale, że samodzielne ukształtowanie jest bardzo prawdopodobne”. Gdybyśmy mogli równocześnie przedstawić zakres warunków początkowych prowadzących do powstania układu planetarnego z odpowiednimi światami, przekładałoby się to na usunięcie jednego z elementów nieokreśloności, który mógłby zostać wykorzystany przeciwko nam.

Durham ostatecznie wyraził zgodę, sięgnęła więc po niedostępny na rynku program zajmujący się modelowaniem systemów planetarnych – nazwany dosyć nieodpowiedzialnie *The Laplacian Casino* [(ang.) „Kasyno Laplasjańskie”; aluzja do Pierre’a Simona de Laplace, jednego z twórców teorii prawdopodobieństwa] – i przystosowała go do chemii i fizyki Autoverse’u; nie tyle do głębokich praw autoversowego automatu komórkowego, ile do konsekwencji tych prawideł w skali makro. W większości sprowadzało się to do ścisłego określenia własności różnorodnych autoversowych molekuł: energii ich wiązań, zależności punktów topnienia i wrzenia od ciśnienia oraz innych tym podobnych właściwości. Aqua nie była tu jedynie kolejną nazwą na wodę, żółte atomy nie były identyczne z azotem, i jakkolwiek niektóre z reakcji chemicznych były jakby bezpośrednim odpowiednikiem tych zachodzących w świecie rzeczywistym, to w gigantycznej kolumnie frakcjonującej mgławicy protogwiazdy subtelne różnice we wzajemnych gęstościach i lotności mogły mieć znaczący wpływ na końcowy skład chemiczny każdej z planet.

Istniały również pewne fundamentalne różnice. Skoro Autoverse nie posiadał żadnych sił jądrowych, słońce nagrzewało się wyłącznie dzięki energii grawitacji – prędkości, którą uzyskiwały molekuly, kiedy pierwotny dyfuzyjny obłok gazowy zapadał się w sobie. W prawdziwym wszechświecie gwiazdy, które były niezdolne do zapoczątkowania reakcji fuzji jądrowej, kończyły jako zimne, krótkotrwałe brązowe karły, ale w autoversowej fizyce rozgrzewanie na skutek grawitacji mogło zasilać wystarczająco dużą gwiazdę nawet przez miliardy lat. (Jednostki czasu i przestrzeni nie miały pomiędzy obydwojma światami ścisłego przełożenia, lecz z wyjątkiem purystów robił tak niemal każdy. Kiedy średnicę czerwonych atomów przyjmowano za odpowiednią dla wodoru, a odległości w siatce przypadające na pojedynczy klik wskazówek zegara traktowano jako prędkość światła, wyłaniały się mniej lub bardziej racjonalne zależności). Podobnie, mimo iż planecie Lambert brakowałoby wewnętrznego ogrzewania pochodzącego z rozpadu znajdujących się w jej skorupie radioizotopów, ciepło powstałe podczas zapadania grawitacyjnego odbywającego się w stadium formacji byłoby wystarczające, by napędzać aktywność tektoniczną niemal tak długo, jak tylko świeciłoby tam słońce.

Bez fuzji jądrowej, która mogłaby zsyntetyzować pierwiastki, ich pochodzenie pozostawało tajemnicą, ale dogodny obłok gazowy ze śladowymi ilościami wszystkich trzydziestu dwóch „pierwiastków” – oraz właściwą masą i prędkością obrotową – musiał zostać ogólnie przyjęty za pewnik. Maria wołałaby odkryć prawdopodobne pochodzenie takiego obłoku, ale zdawała sobie sprawę, że jeśli nieprzerwanie będzie naciskać na Durhama, by ten rozszerzał warunki odniesienia, spowoduje tym jedynie tyle, że projekt nigdy nie zostanie doprowadzony do końca. Jej celem było zbadanie potencjalnej różnorodności autoversowego życia, a nie wymyślanie mu pełnej kosmologii.

Grawitacja w Autoverse była zbliżona do rzeczywistego, klasycznego newtonowskiego prawa odwrotności kwadratu, przynajmniej, jeśli chodziło o zakres warunków mających tu znaczenie, więc można było zastosować wszelkie dynamiki orbitalne prawdziwego świata. W zakresie ekstremalnych gęstości subtelna natura automatu komórkowego powodowałaby, że grawitacja znacznie różniłaby się od tej w ujęciu newtonowskim – jak również od tych w ujęciu Einsteina czy Chu – ale Maria nie miała zamiaru doprawiać przestrzeni tworzonego właśnie wszechświata czarnymi dziurami i innymi tego typu rodzynekami.

Prawdę mówiąc, grawitację uważano za równie nieistotny efekt uboczny dokonanego oryginalnie przez Lamberta wyboru praw automatów – skoro rażąco niemożliwe było uruchomienie wystarczająco dużego Autoverse'u, by miała w nim jakiegokolwiek znaczenie – a kilka osób starało się pozbyć tego nadmiaru, równocześnie pozostawiając całą resztę w nietkniętym stanie. Jednak nikomu się nie poszczęściło; ich „zracjonalizowane” wersje zawsze były zawodne, jeśli chodziło o generowanie czegoś chociażby zbliżonego do bogatej chemii oryginału. Aż wreszcie peruwiański matematyk, Ricardo Salazar, udowodnił, że nie należało sobie tym zbytnio zawracać głowy, gdyż zasady Autoverse'u były zawieszane na granicy pomiędzy dwoma radykalnie różnymi poziomami złożoności algorytmicznej i wszelkie majsterkowanie przy nich z nadzieją poprawy wydajności było z założenia skazane na klęskę. Obecność czy brak grawitacji, sam w sobie, nie miał żadnego związku z autoversową chemią, lecz korzenie ich obu w prostych prawach automatów komórkowych zdawały się być nierozwikłanie splątane ze sobą.

Maria dążyła do otrzymania pojedynczej gwiazdy otoczonej czterema planetami. Trzy małe światy, jeden gigantyczny. Świat, na którym miało wykiełkować ziarno, Lambert, miał być drugi od tutejszego słońca i

posiadać, o ile tylko byłoby to możliwe, księżyc o dosyć okazałych rozmiarach. Nieważne, czy siłą napędową ewolucji w prawdziwym świecie były obszary wodne powstałe po cofnięciu się pływu, dzięki którym doszło do wyjścia życia z morza na ląd (pomimo iż, tak czy inaczej, samo słońce powodowałoby tu niewielkie pływy), uczynienie Lambert w ogólnych zarysach tak podobną do Ziemi, jak tylko było to możliwe, nie mogło w niczym zaszkodzić, skoro sama Niebieska Planeta wciąż była jedynym przykładem, do którego można było sięgać po inspiracje. Gdy tak wiele na temat ziemskiej ewolucji wciąż pozostawało kwestią sporną, najbezpieczniejszą polityką było zajęcie się każdym z czynników, które mogły okazać się ważne. Efekty grawitacyjne pozostałych planet zostałyby zapewnione dzięki rozsądnemu układowi cykli Milankowicza: niewielkie zmiany orbitalne oraz te w drganiach osi dostarczałyby długoterminowych wariacji klimatycznych, epok lodowcowych i interglacjałów. Pas komet i innych kosmicznych śmieci dopełniałby całego obrazu, nie tylko samym dostarczeniem atmosfery we wczesnym stadium rozwoju, lecz również szansą na masowe wyginięcia gatunków w ciągu następnych miliardów lat.

Sztuczka polegała na zapewnieniu, by wszystkie z tych rzekomo poprawiających ewolucję cech współgrały z taką wersją planety Lambert, która w ogóle mogłaby na samym początku podtrzymać organizm ziarna. Maria miała w zanadrzu kilka możliwych modyfikacji w *A. lamberti*, mających ją zamienić w samowystarczalny organizm, lecz wciąż zwlekała z dokonaniem ostatecznego wyboru, chcąc sprawdzić, jaki rodzaj środowiska ostatecznie okaże się dostępny.

A to wciąż pozostawiało bez odpowiedzi kwestię, czy organizm ziarna – lub w ogóle jakiegokolwiek życie – mógłby sam z siebie powstać na powierzchni Lambert, czy też raczej miał tam on zostać narzucony ludzkimi

rękoma. Oryginalnie Max Lambert stworzył Autoverse, żywiąc nadzieję, że uda mu się zaobserwować samoreplikujące się układy molekularne – prymitywne życie – powstające z prostych mieszanin chemicznych. Autoverse miał dostarczyć kompromisu pomiędzy chemią otaczającego nas świata – trudną i kosztowną, jeśli chodziło o manipulacje i monitorowanie podczas eksperymentów w probówkach, koszmarne powolnych, jeśli chodziło o przeprowadzanie wiernych symulacji – a zwodniczymi abstrakcjami najwcześniejszego „sztucznego życia”: wirusów komputerowych, algorytmów genetycznych, samopowielających się maszyn osadzonych w prostych światach automatów komórkowych, z których wszystkie były trywialnie łatwe do obliczenia, lecz niezdolne do rzucenia większego światła na genezę biologii molekularnej świata rzeczywistego.

Lambert przez całe dziesięciolecie bezskutecznie starał się określić warunki mogące doprowadzić do spontanicznego pojawienia się życia w Autoverse. Stworzył *A. lamberti* – a sam ten projekt zajął mu dwanaście lat życia – po to tylko, by upewnić się, że cel, który sobie obrał, nie był absurdalny, by zademonstrować, że żywy organizm mógłby przynajmniej funkcjonować w Autoverse, niezależnie od tego, jak się tam znalazł. *A. lamberti* na zawsze już ściągnęła go na boczne tory badań i nigdy nie wrócił do swych oryginalnych poszukiwań.

Maria marzyła o podjęciu własnych prób dotyczących abiogenezy, ale nigdy nie uczyniła najmniejszego nawet kroku w tym kierunku. Ten rodzaj prac miał charakter otwarty; w porównaniu z nim jakiegokolwiek problemy związane z mutacją *A. lamberti* wydawały się kompletnie przejrzyste i dobrze zdefiniowane. I mimo iż w pewnym sensie trafiało to w samo sedno tego, co Durham starał się udowodnić, i tak była zadowolona, że zdecydował się na zaproponowany przez nią kompromis. Gdyby nalegał na

rozpoczęcie własnego „eksperymentu myślowego” przy zupełnie sterylnym świecie wyjściowym, niepewności dotyczące przejścia pomiędzy materią nieożywioną a najprostszym autowersowym życiem stałyby się przytłaczające dla każdego innego aspektu projektu.

Wykasowała pustynną wersję planety Lambert i powróciła do pierwotnego obłoku gazowego. Wywołała ustrojstwo pełne przesuwanych potencjometrów i zmodyfikowała na nim skład chemiczny praobloku, odbierając w proporcjach pomiędzy niebieskimi a żółtymi połowę tego, co wcześniej tam dodała. Planetologia metodą prób i błędów. Warunki początkowe dla rzeczywistych systemów gwiazdnych posiadających planety o ziemskich rozmiarach zostały szczegółowo opisane już dawno temu, ale nikt nigdy nie dokonał odpowiednika czegoś takiego dla świata Autoverse'u. Nikt nigdy nie miał ku temu żadnego powodu.

Maria poczuła dreszcz niepokoju. Za każdym razem, gdy przestawała sobie powtarzać, że światy te nigdy nie będą istniały – nawet w takim sensie, w jakim „istniała” hodowla *A. lamberti* – cały projekt doznawał przesunięcia perspektywy, odsuwał się w dal niczym jakiś miraż. Praca sama w sobie przepełniała ją radością, pod tym względem nie mogłaby wymagać czegokolwiek więcej, ale za każdym razem, gdy zmuszała się, by odnieść to wszystko nie tyle do autowersowego kontekstu, ile do świata rzeczywistego, zauważała, że stawała się roztargniona i zdezorientowana. Powody Durhama do realizacji tego projektu były o wiele bardziej kruche niż niepodważalna logika wewnętrzna samego Autoverse'u. Odsunięcie się od pracy było niczym wycofanie się znad solidnej jak gładz planety i obserwacja, jak zmienia się ona w zaledwie słabo przywiązany balonik.

Wstała i przeszła do okna. Rozsunęła zasłony. Na znajdującej się w dole ulicy nie było żywej duszy, a beton lśnił w nadržeczywistym blasku południowego słońca.

Durham nieźle jej płacił – pieniędzmi, które miały pomóc w zeskanowaniu jej matki. Co było już wystarczającym powodem, by brnąć w to dalej. Ale nawet gdyby cały projekt okazał się krańcowo bezużyteczny, to przynajmniej nikomu nie szkodził; był o niebo lepszy niż praca nad jakimś hedonistycznym kurortem w VR, czy też interaktywną gierką wojenną przeznaczoną dla psychotycznych dzieciaków. Puściła zasłonę i wróciła do biurka.

Unoszący się pośrodku przestrzeni roboczej obłok był z grubsza sferyczny, uwidoczniłoby się wbrew temu, że istniał we wszechświecie zupełnie pozbawionym gwiazd. Trochę szkoda, że nie było tam żadnych gwiazd, gdyż przekładało się to na to, że przyszli mieszkańcy Lambert będą skazani na samotność. Pozbawieni perspektyw, że w przyszłości natkną się na obce formy życia, o ile sami nie zbudują własnych komputerów, w których nie wymodelują innych układów planetarnych, innych biosfer.

– Przelicz to raz jeszcze – rozkazała. – A następnie pokaż mi kolejny wschód słońca.

Czekała.

A tym razem – z założenia w fałszywych kolorach – dysk słońca był jasnowiśniowy i znajdował się pod grubą warstwą rozciągających się po całym niebie chmur, pokrytych pomarańczowymi i fioletowymi smugami – a cały ten widok miała przed sobą powtórzony, rozciągnięty w obie strony, lśniący i odwrócony do góry nogami.

Odbijany w tafli wody.



Kiedy minęła siódma czterdzieści pięć, Maria pomyślała o wylogowaniu się i wrzuceniu czegoś na ząb. Wciąż była pobudzona, ale czuła, jak bardzo zbliżyła się do granicy, której przekroczenie sprawi, że przez najbliższe trzydzieści sześć godzin nie będzie nadawała się do niczego.

Odkryła zakres warunków początkowych dla obłoku, który raz za razem dawał początek gościnnym wersjom planety wraz ze wszystkimi wymaganymi przez nią astronomicznymi kryteriami. Było tam wszystko z wyjątkiem dużego satelity, który byłby miłym smaczkiem, ale którego obecność nie była aż tak znów nieodzowna. Jutro mogła rozpocząć kolejną fazę projektu: dostarczenie *A. lamberti* środków koniecznych do samodzielnego przeżycia w tym świecie, tak by mogła wytwarzać z niczego, jedynie za pomocą światła słonecznego, własną nutrozę. Inni pracownicy dawno już zaprojektowali najprzeróżniejsze molekuly barwników pozyskujących energię – ponieważ „dosłownemu przełożeniu” chlorofilu na Autoverse brak było odpowiednich właściwości fotochemicznych, wymyślono pewną liczbę pożytecznych analogów i teraz było to zaledwie kwestią określenia, który z nich mógłby przy najmniejszych z możliwych komplikacji zostać włączony do biochemii bakterii. Wprowadzenie fotosyntezy do Autoverse’u miało być najtrudniejszą częścią całego projektu, ale Maria czuła się wyjątkowo pewna siebie. Dokładnie przejrzała wszelkie zapiski Lamberta i zapoznała się z pełnym zakresem opracowanych przez niego technik mających na celu adaptację procesów biochemicznych do sztuczek autoversowej chemii. I nawet gdyby wybrany przez nią barwnik, jedynie z powodów praktycznych, niekoniecznie okazał się molekułą najbardziej wydajną pod tym względem, to tak długo, jak tylko organizm ziarna mógłby przetrwać i się rozmnażać, wcześniej czy później sam mógłby wpaść na jakieś lepsze rozwiązanie.

Mógłby – przynajmniej teoretycznie.

Już miała wyłączyć The Laplacian Cassino, gdy z przodu przestrzeni roboczej pojawiła się następująca wiadomość:

Juno: Statystyczna analiza czasów odpowiedzi i tempa pojawiania się błędów sugeruje, że twoje połączenie z JNS jest monitorowane. Czy chciałabyś się przełączyć na inne, silniej kodowane protokoły?

Maria potrząsnęła głową, rozbawiona. To musiał być jakiś robak w oprogramowaniu, a nie na linii. Juno było programem użyteczności publicznej (darmowym, ale wszelkie dotacje były mile widziane), który ściągnęła sobie jedynie jako gest solidarności z amerykańskim lobby broniącym prawa do prywatności. Tamtejsze prawa federalne wciąż uznawały programy służące do detekcji robaków, jak i wszelkie inne w miarę przyzwoite algorytmy kodujące za nielegalne, jeśli chodziło o ich domowy użytek – miało to zaoszczędzić FBI wszelkich niedogodności – tak więc Maria wysłała autorom Juno dotację mającą stanowić pomoc w ich walce o słuszną sprawę. Tak właściwie to zainstalowała ten program bardziej dla żartu, gdyż sam pomysł, że ktoś mógłby zadać sobie aż tyle trudu, by podsłuchiwać jej rozmowy z matką, podglądać jej nudne prace kontraktowe w VR czy też wykonywane dla zabawy wycieczki do Autoverse'u był nedorzeczny.

Wciąż jednak należało ten żart doprowadzić do końca. Uruchomiła na JNS edytor tekstu, ponieważ uruchomiony lokalnie na procesorze terminala nie pokazałby się osobie podsłuchującej łącznie światłowodowe, i napisała:

Kimkolwiek jesteś, ostrzegam: zaraz uruchomię Wymazującego Umysł Fraktalnego Bazyliszka Langforda [program-wirus infekujący swym widokiem (poprzez obraz na ekranie komputera) ludzki umysł; został wymyślony przez Davida Langforda i wykorzystany w takich utworach jak: BLIT, comp. basilisk FAQ, What Happened at Cambridge IV, czy też w

opowiadaniu, które zdobyło Hugo w 2001 roku – *Different Kinds of Darkness*], tak więc...

Dokładnie wtedy zadzwonił dzwonek u drzwi. Maria sprawdziła obraz z kamery wizjera. Przed drzwiami stała nieznajoma kobieta. Zapewne tuż po czterdziestce, ubrana konserwatywnie. Niekoniecznie najsubtelniejsza sugestia co do tego, kim jest, była wyraźnie widoczna tuż za jej plecami: niewielki dwumiejscowy samochód elektryczny Mitsubishi Avalon. Policjanci z departamentu Nowej Południowej Walii byli prawdopodobnie jedynymi ludźmi na świecie, którzy posiadali ten model, zakupiony, jeszcze zanim w czterdziestym szóstym roku zamknięto na amen fabrykę w Bankstown. Maria często zastanawiała się, dlaczego policja się nie ugięła i ostatecznie nie wmontowała do swoich rzekomo nieoznakowanych samochodów tych niebieskich mrugających lampek; w takim potwierdzeniu zaistniałej sytuacji byłoby więcej godności niż w ciągnięciu jej dalej, jak gdyby nikt nie miał o niczym zielonego pojęcia.

Przeczesała pamięć w poszukiwaniu ostatnich wykroczeń – i nie odnajdując żadnych – pospieszyła na dół.

– Maria Deluca?

– Tak.

– Detektyw sierżant Hayden, wydział komputerowych malwersacji finansowych. Chciałabym zadać pani kilka pytań, o ile tylko nie przeszkadzam.

Maria raz jeszcze przeleciała w myślach przez wszystkie swoje mroczne tajemnice i wciąż nie odnalazła tam niczego, co mogłoby ją jakoś obciążać, lecz i tak wolałaby widzieć teraz przed sobą kogoś z wydziału zabójstw, czy też kogoś zajmującego się napadami z bronią w rękę, osobę, która najzwyczajniej w świecie jedynie zapukała do niewłaściwych drzwi.

– Tak, oczywiście – odpowiedziała. – Proszę wejść. – A następnie, kiedy już odsuwała się od drzwi, aby ją przepuścić, dodała: – Och, nieomal zapomniałam, ale chyba powinnam panią zweryfikować.

Hayden z wymuszonym uśmiechem wyraźnie nieszczerego potwierdzenia pozwoliła podłączyć notepad Marii do gniazdka w swej odznace departamentu policji. Notepad zapiszczał radośnie, co oznaczało, że odznaka zna prywatny kod pasujący do obowiązującego obecnie klucza wydziału Hayden, transmitowanego w sieci publicznej.

Kiedy już usiadły w salonie, Hayden od razu przeszła do rzeczy i wyświetliła na swoim notepadzie zdjęcie.

– Zna pani może tego człowieka?

Maria odchrząknęła.

– Tak. Nazywa się Paul Durham. Ja... pracuję dla niego. Zlecił mi pewne programowanie.

Nie czuła zaskoczenia, a jedynie szarpnięcie, które sprowadziło ją z powrotem na ziemię. To oczywiste, że malwersacje finansowe były zainteresowane osobą Durhama. Cała fantazja dotycząca ostatnich trzech miesięcy miała właśnie rozsypać się w pył na jej oczach. Aden ją ostrzegał. Sama dokładnie zdawała sobie z tego sprawę. To był wymarzony kontrakt. Zbyt piękne, by mogło być prawdziwe.

Jednak już po chwili wycofała się z takiej reakcji, wściekła na samą siebie. Durham wpłacił pieniądze na jej fundusz powierniczy, prawda? w pełni pokrywał swe zobowiązania względem rachunku na JSN. Nie oszukał jej. *Zbyt piękne, by mogło być prawdziwe* było tu idiotycznym fatalizmem. Dwie dorosłe osoby umówiły się nawzajem i dotrzymywały swych obietnic, a sam fakt, że nikt z zewnątrz nie zrozumiałby ich transakcji, nie czynił jeszcze z tego przestępstwa. A biorąc pod uwagę wszystko, co dla

niej zrobił, to teraz, w tej wątpliwej sytuacji, przynajmniej zasługiwał na tyle, by stanęła po jego stronie.

– Jaki to rodzaj programowania? – zapytała ją Hayden.

Maria zrobiła wszystko, co było w jej mocy, by jak najkrócej to wyjaśnić. Hayden – nic w tym zresztą dziwnego – rozsądnie orientowała się w zagadnieniach dotyczących komputerów, a nawet miała pojęcie, czym są automaty komórkowe, jednak albo nigdy nie słyszała o Autoverse, albo też chciała usłyszeć o tym raz jeszcze od Marii.

– Tak więc jesteś przekonana, że człowiek ten zapłaci ci trzydzieści tysięcy dolarów... za pomoc w wyrażeniu jego stanowiska na czysto teoretyczne zagadnienia dotyczące sztucznego życia?

Maria starała się nie brzmieć obronnie: – Sama wydałam na prace w Autoverse dziesiątki tysięcy dolarów. W niczym nie przypomina to innego hobby; jest światem samym w sobie. Ludzie mogą mieć jakieś obsesje, pewne ekstrawagancje. W niczym nie jest to dziwniejsze od sklejanie modeli samolotów. Czy też odtwarzania potyczek z czasów wojny secesyjnej.

Hayden nie spierała się dalej na ten temat, ale nie wydawało się, by wymyślone przez Marię porównania ją przekonały.

– Czy wiedziałaś, że Paul Durham sprzedawał ubezpieczenia Kapiom?

– Wiedziałałam, że był sprzedawcą ubezpieczeń. Sam mi o tym powiedział. Ale fakt, że nie jest profesjonalnym programistą, wcale nie oznacza, że nie może.

– Wiedziałaś również, że starał się sprzedawać swym klientom udziały w pewnego rodzaju sanktuarium? Miejscu, gdzie mogliby się udać – czy też wysłać swoje klony – gdyby polityczny klimat panujący na świecie odwrócił się przeciwko nim?

Maria zamrugwała.

– Nie. Co masz na myśli, mówiąc sanktuarium? Superkomputer będący prywatną własnością? Starał się zebrać pieniądze, stworzyć konsorcjum...?

– Z pewnością zbierał pieniądze – beznamytnie odpowiedziała jej Hayden – ale wątpię, czy kiedykolwiek miał zebrać ich wystarczająco dużo, by móc sobie pozwolić na zakup koniecznego sprzętu do oferowanych przez siebie usług.

– O co więc go oskarżasz? o rozruch przedsięwzięcia, w którego powodzenie, jak mi się wydaje, zupełnie nie wierzysz?

Hayden przemilczała to pytanie.

– Rozmawiałaś z nim o tym? Musi istnieć jakieś proste wyjaśnienie tego, co usłyszałaś. Jakaś zgrzybiała Kopia mogła w niewłaściwy sposób odebrać jego akwizytorskie zachwalanie produktu za wieczny fundusz. – Zgrzybiała Kopia? Cóż, niektóre pliki skanów wykonanych w stadium postdemencyjnym mogły okazać się odporne na algorytmy napraw kojarzeniowych.

– Oczywiście, że z nim rozmawialiśmy – potwierdziła Hayden. – Odmówił współpracy. Nie będzie z nami rozmawiał na ten temat. Dlatego właśnie mamy nadzieję, że będziesz mogła nam pomóc.

Wyzywający optymizm Marii zachwiał się. Jeśli Durham nie miał nic do ukrycia, dlaczego odmówił swojej obrony?

– Nie wiem, jak mogłabym wam pomóc – odparła. – Jeżeli uważacie, że zwodzi swoich klientów, to w takim razie powinniście się zwrócić bezpośrednio do nich i z nimi porozmawiać. Potrzeba wam ich zeznań, a nie moich.

Nastąpiła chwila niezręcznej ciszy, przerwanej wreszcie stwierdzeniem Hayden: – Zeznanie Kopii nie ma żadnej wartości przed sądem; pod względem prawnym są one jedynie pewnego rodzaju oprogramowaniem komputerowym.

Maria otworzyła usta, a następnie uświadomiła sobie, że jakakolwiek wymyślona przez nią wymówka sprawiłaby tylko, że zabrzmiałyby jeszcze głupiej. Ratowała resztki godności milczącą obserwacją, że prawna pozycja Kopii jest tak groteskowa, iż żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie może brać jej pod uwagę.

Hayden kontynuowała:

– Durham mógłby zostać oskarżony o defraudację funduszy należących do egzekutorów majątków tych Kopii z powodu dostarczania ich oprogramowaniu doradczemu błędnych danych. Istnieją już takie precedensy; przypomina to opublikowanie fałszywego prospektu jakiejś firmy, co powoduje, że zautomatyzowane programy zakupu akcji wykupują jej jednostki. Ale i tu pozostaje kwestia udowodnienia czegoś takiego. Można przesłuchać Kopie jako nieformalne źródło informacji, co mogłoby skierować nasze dochodzenie na właściwe tory, ale wszystko, co one nam powiedzą, nie będzie miało żadnego znaczenia przed sądem.

Maria przypomniała sobie odcinek *Rodziny Unclear*, w którym przedstawiono podobny problem. Babette i Larry Unclear byli świadkami plądrowania kont bankowych, a obciążające przestępców dane zmaterializowały się – nie wiadomo dlaczego – jako *tableau* figur lodowych w ich podmiejskim cyberogródku, przedstawiające samych oskarżonych. Nie potrafiła sobie przypomnieć, jak dokładnie wszystko się skończyło; najprawdopodobniej dziesięcioletni Leroy zrobił coś marginalnie nielegalnego, lecz równocześnie moralnie bez zarzutu, by wykiwać złodziei, a ci zapewne sami wydali się w ręce władz.

– Nie wiem, jakiej odpowiedzi oczekujesz – odpowiedziała. – Mnie Durham nie oszukał finansowo. A o jego planie nie mam najmniejszego pojęcia.

– Ale współpracujesz z nim przy tym.

– Z pewnością nie!

– Projektujesz dla niego planetę – powiedziała oschle Hayden. – Jak ci się wydaje, po co?

Maria przez chwilę wpatrywała się w nią niewidzącym wzrokiem, wreszcie niemal wybuchnęła śmiechem.

– Przepraszam, ale chyba nie wyjaśniłam ci tego jak należy. Projektuję planetę, która „mogłaby” zaistnieć pod Autoverse, w szerokim tego słowa znaczeniu. Jest to matematyczną możliwością, lecz jest ona zbyt wielka, by można ją było uruchomić na jakimkolwiek rzeczywiście istniejącym komputerze. To nie jest jakieś tam środowisko VR.

– Dokładnie to rozumiem – ucięła ją krótko Hayden. – Co wcale nie oznacza, że klienci Durhama wychwyciliby taką istotną różnicę. Szczegóły techniczne dotyczące Autoverse’u nie do końca należą do tak zwanej wiedzy ogólnej. Prawda. Maria zawahała się. Ale.

– To wciąż nie ma sensu. Po pierwsze, ci ludzie posiadają przecież doradców, ludzi trzymających rękę na pulsie, którzy powiedzieliby im, że każdy obiecujący im autoversową planetę tak naprawdę obiecuje gruszki na wierzbie. A po co Durham miałby im oferować taką planetę – pokrytą pierwotnym szlamem – skoro mógłby im zaproponować standardowy pakiet środowisk VR, rozwiązanie tysiąc razy bardziej atrakcyjne i tysiąc razy bardziej zdatne do przełknięcia?

– Zdaje się, że oferuje im oba rozwiązania. W Stanach wynajął architekta, który ma się zająć wykonaniem części związanej z VR.

– Ale po co oba? Dlaczego nie jedynie VR? Nie można nawet upchać pojedynczej Kopii do wnętrza Autoverse’u – a jeżeli uda się to zrobić, to ona i tak zginie na miejscu. Przełożenie ludzkiej biochemii na warunki Autoverse’u zabrałoby jakieś pięćdziesiąt do sześćdziesięciu lat.

– Ci ludzie nie mieliby o tym pojęcia.

– Ale odkrycie takiego faktu zabrałoby im niecałe dziesięć sekund. Zapomnij już o doradcach – wystarczyłoby jedynie połączyć się z jakąkolwiek wyszukiwarką informacji, co w sumie kosztowałoby około pięciu dolarów. Po co więc snuć tak łatwe do przejrzania kłamstwa? Jaka jest przewaga – z punktu widzenia Kopii – planety w Autoverse nad połączonym VR?

– To ty jesteś ekspertem od Autoverse’u – Hayden pozostała niewzruszona. – Sama odpowiedz na takie pytanie.

– Nie mam pojęcia.

Maria wstała. Zaczynała się czuć klaustrofobicznie, gdyż nienawidziła przyjmowania obcych w swoim domu.

– Masz może ochotę na coś do picia? Herbatę? Kawę?

– Nie. Ale jeśli sama masz na coś ochotę.

Maria przecząco potrząsnęła głową i ponownie usiadła; przeczuwała, że gdyby tylko wyszła do kuchni, nie miałaby ochoty tu wrócić.

Nie potrafiła wymyślić żadnego powodu, dla którego Durham miałby odmawiać rozmów z policją, chyba że był zamieszany w coś wystarczająco wątpliwego, by móc przynajmniej przez to wylecieć z pracy. Pieprzyć go. Może i nie miał zamiaru jej oszukać, ale i tak ją wykiwał. Za ukończoną pracę nie dostałaby ani centa; pozostali, którym Durham był winien pieniądze, nie mieliby wpływu na jej fundusz powierniczy, gdyby jedynie zbankrutował, ale gdyby te pieniądze pochodziły z oszustwa.

Lorenzo Wspaniały. Taaa. Pewnie.

A najgorsze było to, że Hayden, biorąc pod uwagę wszystko, co wiedziała, żywiła przekonanie, że Maria jest świadomym współnikiem Durhama. A skoro on sam nie miał zamiaru przerywać milczenia, to oczyszczenie własnego imienia leżało wyłącznie w jej rękach.

Ale jak to zrobić?

Po pierwsze, musiała odkryć, na czym dokładnie polega cały przekręt i jaka w nim jest jej rola.

– Co on tak właściwie obiecuje tym Kopiom? – zapytała.

– Azyl. Miejsce, gdzie będą bezpieczni przed wszelkimi skierowanymi przeciwko nim reakcjami rzeczywistego świata, a to dlatego, że wcale nie będą tam połączeni ze światem znajdującym się na zewnątrz. Nie będą posiadać żadnych możliwości telekomunikacyjnych; niczego, co mogłoby zostać namierzone. Karmi ich długą gadką o zbliżających się wiekach ciemnych, kiedy to niedomyte masy nie zechcą już dłużej znosić wszelkiego poniewierania przez bogatych nieśmiertelnych, a diabelski socjalistyczny rząd skonfiskuje wszystkie superkomputery do kontroli pogody.

Hayden zdawała się uważać te prognozy za śmieszne. Maria powstrzymała się od oceny; tym, co miało tu znaczenie, była reakcja klientów Durhama, a z łatwością mogła sobie wyobrazić, jak Operacja Motyl wpłynęła na poczucie zagrożenia wielu Kopii.

– Tak więc wyślą tam swoje klony i zatrzasną za sobą wszelkie drzwi, ot tak, na wypadek gdyby ich oryginały nie przeżyły tych czystek. Ale co potem? Jak długo te „ciemne wieki” miałyby trwać?

– A kto je tam wie? – Hayden wzruszyła ramionami. – Setki lat? Prawdopodobnie sam Durham, albo też jakiś jego zaufany następca, kilka pokoleń później zdecyduje, czy jest już wystarczająco bezpiecznie, by można się było wysunąć z ukrycia. Obie Kopie, których zarządcy złożyli skargi, nie dosłuchały całego scenariusza do końca. Wyrzucili Durhama za drzwi, nim zdołał dotrzeć do podobnych szczegółów.

– Na pewno zwrócił się z tą propozycją również do innych.

– Oczywiście. Ale nikt więcej nie zgłosił się z tym do nas. Rozważamy jednak pewną listę nazwisk. Wszystkie z nich, niestety, są Kopiami z

zarządami zarejestrowanymi za granicą i do tej pory nie udało nam się przesłuchać żadnej z nich, gdyż wciąż staramy się o zniesienie ograniczeń jurysdykcyjnych. A kilka z nich dało nam przez swoich prawników jasno do zrozumienia, że nie mają najmniejszej ochoty na podejmowanie tego tematu – co, jak można przyjąć, oznacza, że przełknęli kłamstwa Durhama i obecnie nie chcą słyszeć o nim złego słowa.

Maria usilnie starała się to sobie wyobrazić: *Żadnych możliwości telekomunikacyjnych. Odcięci od rzeczywistości, na całą wieczność.* Kilka Kopii, tych należących do Solipsystycznej Nacji, mogłoby dostrzec pewien urok w takiej perspektywie, ale większość z nich i tak nie posiadała wystarczających funduszy, by stać się celem tak złożonego przekrętu. A nawet gdyby większość najbogatszych klientów wybranych przez Durhama cierpiała na paranoję i poważnie brała pod uwagę możliwość, że otaczający ich świat znalazł się na krawędzi i już niedługo zwróci się przeciwko nim. A co, gdyby sprawy w zewnętrznym świecie potoczyły się tak koszmarnie, że połączenia nigdy nie zostałyby przywrócone? Ludzie strzegący tego sanktuarium mogliby umrzeć, bądź też najzwyczajniej w świecie porzucić swe stanowiska. Jak ktokolwiek, z wyjątkiem tych najbardziej radykalnie separatystycznych Kopii, mógłby zaryzykować, że zostanie zostawiony na łodzi wewnątrz ukrytego komputera, zakopanego gdzieś głęboko pośród jakiejś pustyni, bez możliwości dowiedzenia się, czy zewnętrzna cywilizacja znów przypadkiem nie stała się warta powrotu? Bez środków, by móc ewentualnie zainicjować taki kontakt?

Radioizotopowe źródła energii wytrzymały tysiące lat. Wielokrotne mnożenie sprzętu, i to sprzętu najwyższej jakości, mające zwiększyć niezawodność systemu, dawałoby – przynajmniej teoretycznie – niemal równie długi okres. Dane wniesione ze sobą na samym początku stałyby się dla Kopii wszystkim, co miałoby im służyć do zapamiętania rzeczywistości.

Gdyby wszystko okazało się podróżą w jedną stronę, przypominałyby wtedy międzygwiazdnych kolonistów, niosących ze sobą w próżnię kosmosu jedynie zamrożone ujęcie całej ziemskiej cywilizacji.

Z tym tylko wyjątkiem, że tacy międzygwiazdni koloniści musieliby zaledwie stawić czoło rosnącemu opóźnieniu czasowemu docierającego do nich sygnału radiowego, a nie absolutnej ciszy. I cokolwiek pozostawialiby za sobą, mieliby przynajmniej coś, czego mogliby wypatrywać: odkrycie nowego świata.

Nowy świat – z możliwością nowego życia.

Jakie byłoby więc lepsze lekarstwo na klaustrofobię niż obietnica wciągnięcia całej planety do wnętrza takiego azylu, świata zasianego potencjałem rozwoju własnego obcego życia?

Maria nie była teraz w stanie określić, czy powinna być wściekła, czy też może jedynie pod wrażeniem planu wymyślonego przez Durhama. Jeżeli miała rację, to musiała docenić ogrom jego bezczelności. Kiedy poprosił ją o zestaw wyników mogących przekonać „sceptyków” do prospektów oferowanych przez autowersową biosferę, nie miał wcale na myśli akademików zajmujących się sztucznym życiem, lecz chciał jedynie przekonać swoich klientów, że nawet jeśli znajdą się w zupełnej izolacji, będą tam mieli wszystko, co rzeczywistość mogłaby kiedykolwiek zaoferować rasie ludzkiej, w tym również pewien rodzaj „eksploracji kosmosu” oraz możliwość kontaktu z obcymi. A byłiby to autentyczni OBCY, a nie jedynie stylowo zaprojektowane istoty z gier VR, będące zaledwie wymysłami powstałymi na bazie ludzkiej psychiki. Nie byłyby to wypieszczone, nieprzekonujące biomorfy, modele o najlepiej z możliwych dobranym fenotypie, odpowiednik platońskich ideałów w teorii Darwina. Byłyby natomiast życiem, które, tak jak prawdziwe, przeszłoby całą swą pokręconą drogę, cząsteczka po cząsteczce. Czy też – niemal całą drogę, bo

wciąż posiadałoby niezbyt zrozumiałą abiogenezę. Durham miał dość zdrowego rozsądku, by zacząć od „wykonanych ręcznie” mikrobów, gdyż w przeciwnym razie jego klienci mogliby nie uwierzyć, że powstała w ten sposób planeta mogłaby w ogóle stać się siedliskiem życia.

Maria dosyć pobieżnie wyłożyła Hayden swój pomysł.

– Musiałby przekonać Kopie, że ich uruchomienie w Autoverse byłoby o wiele szybsze niż modelowanie prawdziwej biochemii – co jest prawdą – nie będąc równocześnie zbyt specyficznym, jeżeli chodziło o rzeczywiste dane liczbowe. Ale i tak wciąż się upieram, że podjęte przez niego ryzyko było zbyt szalone. Każdy bowiem z łatwością mógłby odkryć prawdę.

Hayden przemyślała to sobie.

– A nawet gdyby tak było, czy miałoby to jakiegokolwiek znaczenie? Skoro cały sens tworzonego w ten sposób świata jest głównie psychologiczny – ma być miejscem „ucieczki”, jeśli dojdzie do najgorszego, a rzeczywistość już na zawsze stanie się niedostępna – wtedy wcale nie ma znaczenia, jak wolno będzie działał. Kiedy już porzuciliby nadzieję na powtórne ustanowienie kontaktu, spowolnienie stałoby się zupełnie nieistotne.

– Tak, ale „wolny” to nie to samo co „fizycznie niemożliwy”. Jasne, mogliby zabrać ze sobą zgrubny szkic całej planety – o wykonanie którego poprosił mnie Durham – ale nie będą posiadali nawet ułamka pamięci koniecznej, by powołać go do życia. A nawet gdyby odkryli sposób pozwalający na obejście tego problemu, to w autoversowym czasie minęłyby miliardy lat, nim mój organizm ziarna zamieniłby się w cokolwiek bardziej ekscytującego niż niebieskozielony glon. Pomnóżmy to teraz przez spowolnienie wynoszące bilion... myślę, że masz już pełen obraz.

– Wyczerpane baterie?

– Wyczerpany wszechświat.

– Wciąż jednak. – zaczęła Hayden – jeśli nie chcą sobie zbyt zawracać głowy perspektywami, że skończą zamknięci w pułapce na całą wieczność, mogą nie mieć najmniejszej nawet ochoty, by zbyt dokładnie przyglądać się temu, o czym właśnie mówisz. To twoja zasługa, że Durham będzie posiadał gruby plik robiących wrażenie szczegółów technicznych, by móc nimi wystarczająco przekonująco pomachać tamtym przed oczami, a tym samym przytępić ich strach przed klaustrofobią. Być może jedynie tego im potrzeba. A tym, co ma znaczenie, jeśli wszystko pójdzie gładko, jest konwencjonalna VR, która musi być wystarczająco dobra, by zabawić ich przez kilka wieków czasu rzeczywistego. A wtedy wszystko już pasuje do siebie doskonale.

Maria uważała, że brzmi to na razie zbyt banalnie, ale pozwoliła to sobie przemilczeć.

– A co, jeśli chodzi o sprzęt? Jak to widzisz?

– Nijak. Sprzęt nigdy nie powstanie. Durham rozplynie się w powietrzu na długo przed tym, nim będzie musiał go dostarczyć.

– Z czym niby się rozplynie? z pieniędzmi przekazanymi mu, ot tak, bez żadnych pytań? Bez żadnych gwarancji? Żadnych zabezpieczeń?

Hayden uśmiechnęła się chytrze.

– Pieniądze w większości przypadków przekazywane są na właściwe cele. Zlecił przecież stworzenie miasta w VR. Zlecił wykonanie autowersowej planety. Jest upoważniony do uszczknięcia sobie prowizji od wszystkich tych opłat, w tym nie ma żadnego przestępstwa, dopóki robi to otwarcie. Przez pierwsze kilka miesięcy wszystko będzie pedantycznie uczciwe. Później, w pewnym momencie, poprosi swoich sponsorów o opłacenie kosztów raportu konsultanckiego, powiedzmy dotyczącego badań nad odpowiednio wydajnymi konfiguracjami sprzętowymi. Ogłosi licytację.

Niektóre z ofert będą autentyczne, lecz większość spośród tych atrakcyjnych zostanie spreparowana. Później stwierdzi, że otrzymał raport, a „konsultanci” zostaną odpowiednio wynagrodzeni. I nikt go już więcej nie zobaczy.

– Tylko zgadujesz – stwierdziła Maria. – Nie masz najmniejszego pojęcia, jakie są jego plany.

– Nie znam szczegółów, ale podejrzewam, że będzie to coś w tym stylu.

Marii opadły ręce.

– Więc co teraz? Co niby mam zrobić? Zadzwoń do Durhama i powiedz mu, że cały jego misterny plan spalił na panewce?

– Zdecydowanie nie! Pracuj, jak gdyby nic się nie stało, staraj się jedynie częściej z nim kontaktować. Wynajduj jakieś powody do rozmów. Sprawdź, czy możesz zdobyć jego zaufanie. Próbuj podpytywać go na temat tego, co robi. Jego klientów. Azylu.

Maria była oburzona.

– Jakoś nie przypominam sobie, bym zgłosiła się na ochotnika na twojego donosiciela.

– Decyzja należy do ciebie – odpowiedziała jej chłodno Hayden. – Ale skoro nie chcesz z nami współpracować, niesamowicie utrudni nam to pracę.

– Istnieje różnica pomiędzy współpracą a byciem darmowym szpiegiem!

Hayden niemal się uśmiechnęła.

– Jeżeli to pieniądze są twoim największym zmartwieniem, to masz o wiele większe szanse, że jakieś dostaniesz, pomagając nam postawić Durhama przed sądem.

– Dlaczego? Co niby mam zrobić? Oskarżyć go już po tym, jak zbankrutuje, spłacając tych, których oszukał?

– Nie będziesz musiała go skarżyć. Sąd niemal na pewno przyzna ci rekompensatę jako jednej z ofiar – szczególnie, jeśli pomożesz nam sprowadzić go przed jego oblicze. Istnieje specjalny fundusz, na który spływają pieniądze z grzywien. Nie ma najmniejszego znaczenia, czy sam Durham będzie ci w stanie zapłacić.

Maria przemyślała to sobie. Prawda była taka, że wciąż śmierdziało jej to na kilometr. A miała jedynie ochotę zredukować własne straty i wycofać się z całego tego bałaganu. Chciała udawać, że nic z tego nigdy nie miało miejsca.

I co wtedy? Wrócić na kolanach po pieniądze Adena? Nadal nie miała innych propozycji pracy, więc nie mogła sobie pozwolić na spisanie na straty trzymiesięcznej harówki. Kilka tysięcy dolarów nie wystarczyłoby na przeprowadzenie skanu matki, lecz brak tych funduszy mógłby ją zmusić do sprzedaży domu o wiele wcześniej, niż zamierzała.

– A co, jeśli wzbudzę w nim podejrzenia? – zapytała. – Przecież zupełnie nagle zacznę zadawać mu te wszystkie pytania.

– Staraj się być naturalna. Każdy na twoim miejscu byłby ciekaw. Zlecona ci praca jest dosyć dziwna – on musi oczekiwać pytań. Wiem, że kontynuowałabyś pracę, opierając się jedynie na tym, co usłyszałaś od niego na samym początku, ale to wcale nie oznacza, że nie mogłaś sobie tego jakoś szczegółowo przemyśleć i nie okazało się, że kilka zagadnień wyjątkowo nie daje ci spokoju.

– W porządku, zrobię to – zdecydowała Maria. Czy zresztą miała jakikolwiek wybór? – Ale nie oczekuj, że powie mi prawdę. Już raz mnie okłamał, a teraz na pewno nie zmieni swojej wersji.

– Może i tak. Ale może cię zaskoczyć. Być może rozpaczliwie potrzebuje kogoś, komu mógłby zaufać, kogoś, przed kim mógłby się

pochwalić. Bądź też jedynie rzucić kilka mglistych wskazówek. Jeśli będziesz z nim rozmawiała, wszystko jest możliwe.

Po wyjściu Hayden Maria pozostała w salonie, zbyt poruszona, by móc zrobić coś więcej, niż tylko po raz kolejny prześledzić w myślach odbytą właśnie rozmowę. Jeszcze przed godziną była wyczerpana, lecz przepełniona poczuciem triumfu; obecnie czuła się zmęczona i głupia. „Pracuj, jak gdyby nic się nie stało!”. Sama myśl o zabieraniu się za fotosyntezę u *A. lamberti* – obecnie jedynie z powodu przymilania się wydziałowi zajmującemu się malwersacjami finansowymi – była tak dziwaczna, że aż zakręciło się jej w głowie.

Wielka szkoda, że Durham nie był z nią szczery i nie wprowadził jej w szczegóły całego przekrętu. Gdyby od samego początku zdawała sobie sprawę, że jej jedynym zadaniem ma być pomoc w wyłudzeniu od bogatych Kopii niewielkich sum pieniędzy, normalnie przeznaczanych przez nie na drobne wydatki, wtedy przynajmniej cała wykonywana przez nią praca miałaby jakiegokolwiek rzeczywiste fundamenty, których brak tak bardzo gnębił ją od samego początku.

Wreszcie wyszła na piętro, nic nawet nie jedząc. Połączenie z JSN zostało automatycznie przerwane, ale generowana lokalnie wiadomość z Juno wciąż unosiła się w przestrzeni roboczej. Kiedy Maria wykonała w kierunku terminalu mający go wyłączyć ruch dłonią, zastanowiła się, czy nie powinna była zapytać Hayden wprost: *Czy to wy podsłuchujecie moją linię telefoniczną?*

14.

(Nie przekazuj żadnych braków)
(Remit not paucity)

luty 2051

Siedząc w bibliotece, Thomas przeglądał ostateczny raport z dokonanej przez jego wyszukiwarke selekcji doniesień z ostatniego tygodnia czasu rzeczywistego. Widoczna na ekranie dziennikarka, ubrana w obszyty kożuszkim płaszcz, zwracała się do kamery, stojąc w anemicznie padającym śniegu przed budynkiem Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych, mimo iż w rzeczywistości siedziała zapewne w ciepłym studiu, obserwując, jak tworzona przez oprogramowanie marionetka naśladuje wypowiedziane przez nią słowa.

– W dniu dzisiejszym większością głosów pięć do jednego podjęto decyzję o utrzymaniu kontrowersyjnego kalifornijskiego prawa. Władze, przejmujące media pamięci komputerowej celem sprawdzenia symulacji umysłu, ciała czy osobowości podejrzanego o przestępstwo, martwego bądź żywego, nie łamią czwartej poprawki dotyczącej praw zarówno właściciela sprzętu komputerowego, jak i najbliższych mu członków rodziny. Sędzia Andrea Steiner podkreśliła, że wyrok w żaden sposób nie wpływa na status samych Kopii. Oprogramowanie, jak stwierdziła, może zostać skonfiskowane i przebadane, ale nie będzie mogło stanąć przed sądem.

Terminal przeskoczył z powrotem na ekran menu. Thomas przeciągnął ramionami ponad głową, przez chwilę przenikliwie świadom rozdźwięku pomiędzy jego kruchym wyglądem a swobodną siłą, którą odczuwa w swych kończynach. Znowu, mimo wszystko, stał się swoim młodym ja. Stał się nim cielesnie, nieważne, czy decydował się spojrzeć na siebie w jakimkolwiek lustrze. Ale takie rozmyślenia nigdzie go nie prowadziły.

Od samego początku z uwagą śledził sagę kalifornijskiego prawa. Miał nadzieję, że Sanderson i jego koledzy zdają sobie doskonale sprawę z tego, co robią; gdyby cały ich wysiłek odwrócił się przeciwko nim samym, miałyby to nieprzyjemne skutki dla wszystkich Kopii. Używany przez Thomasa model opinii publicznej wzruszał swoimi stochastycznymi ramionami i stwierdzał, że efekty wynikłe z takiego prawa mogą być dwojakie, w zależności od obecnie podejmowanych kroków – istniało też kilka innych czynników, z których większość była zbyt trudna do przewidzenia czy manipulowania.

Jasno było widać, że celem całej akcji jest zszokowanie apatycznych amerykańskich wyborców do tego stopnia, by poparli przyznanie Kopiom praw człowieka, bo w przeciwnym razie mogło je czekać porywanie i rabunek myśli, a prawdopodobnie nawet i egzekucja – w dodatku bez żadnej rozprawy. Ci zorientowani w tematyce komputerowej rozumieli, jak bezużyteczne w praktyce jest całe to prawo, ale oni i tak byli już po stronie Kopii. Natomiast jeśli chodziło o grupy demograficzne najmniej podatne na zrozumienie szczegółów technicznych, tutaj najlepsze wyniki osiągała *Rodzina Unclear* – a cały ten magazyn wypełniony dobrą wolą miał dopiero zostać w pełni wykorzystany. Thomas dostrzegał możliwości. Zmartwychwstały robotnik fabryczny Larry Unclear mógłby zostać podejrzany o morderstwo, które zostało dokonane, kiedy był już martwy. Wyobraził sobie taką oto scenę: nieporozumienie w barze prowadzi do

gorącej, widocznej wszem i wobec kłótni pomiędzy Larrym a gościnnie występującym w odcinku gwiazdorem X. Wszystko komicznie narasta do pełnowymiarowej bójki w barze. Korzystając z zamieszania, gościnnie występujący gwiazdor Y rozbija butelkę na głowie gwiazdora X, podczas gdy Larry, ze swą zdobywającą sobie życzliwość nieudolnością, kończy w śpiączce pod stołem. Nowe prawo dopilnuje, by wywleczono go z domu w środku nocy, wprost z łona rodziny, na wirtualne przesłuchanie, jakby żywcem wyrwane z Kafki, w którym jego przepełnione winą sny o odpowiedzialności zostaną uznane za rzeczywiste wspomnienia dotyczące popełnienia zbrodni; podczas gdy gość odcinka Y, wciąż prawdziwy, żywy człowiek, otrzymuje cywilizowany proces, kłamie w żywe oczy i zostaje uniewinniony. Synek Leroy mógłby to jakoś wyprowadzić na prostą, ale jak zwykle dopiero w ostatniej możliwej sekundzie.

Thomas przymknął oczy i ukrył twarz w dłoniach, co spowodowało, że większość otaczającego go pokoju przestała być obliczana. Wyobraził sobie, jak dryfuje w durhamowym morzu przypadkowych liczb, niosąc ze sobą krzesło i kawałek podłogi, jedyne obiekty o zagwarantowanej stałości – dzięki jego dotykowi.

– Nie jestem w żadnym niebezpieczeństwie – stwierdził, a pokój błyskawicznie częściowo wrócił do istnienia, subtelnie modyfikując dźwięk jego słów, by następnie znów rozpląnąć się do szumu statycznych zakłóceń.

Kto niby mógłby go oskarżyć? Nie pozostał przy życiu nikt, kogo mogłaby wzruszać śmierć Anny. Przeżył ich wszystkich.

Ale dopóki wiedza o tym, co zrobił, będzie trwać, chociażby wyłącznie w jego wnętrzu, nigdy nie będzie mógł mieć pewności, że nie wydostanie się na światło dzienne.

Miesiące po zbrodni śnił o tym, jak Anna odwiedza jego mieszkanie. Budził się wtedy zlany potem, z krzykiem na ustach, wpatrując się w

ciemność panującą w jego sypialni, wyczekując na pokazanie się Anny; wyczekując zdarcia z otaczającego go świata powłoki pozorów normalności, by odkryć dowody jego potępienia: krew, ogień, obłąd.

Po pewnym czasie budzące go koszmary powodowały, że zaczął wstawać z łóżka i chodzić nago po zatopionym w ciemności mieszkaniu, wyzywając Annę na spotkanie w panującym wokół mroku. Wręcz wymuszając to siłą woli. Po kolei wchodził do każdego pokoju w mieszkaniu, a większość z nich była tak skryta w mroku, że musiał po omacku wyszukiwać sobie w nich drogę, nieustannie wyczekując tego, by jego wyciągnięte palce nieoczekiwanie splotły się z palcami Anny.

Noc po nocy Anna zawodziła jego oczekiwania i nie pojawiała się. Lecz stopniowo sama jej nieobecność stała się przerażająca, zawracająca w głowie, lodowata. Nikt nie krył się w cieniach, mrok pozostawał obojętny. Pod powierzchnią tego świata również nic się nie ukrywało. Równie dobrze mógł zamordować setki tysięcy osób, a noc wciąż nie potrafiłaby wywołać chociażby pojedynczego widziadła, mogącego z nim stanąć twarzą w twarz.

Zastanawiał się, czy takie zrozumienie nie wpędzi go w obłąd.

Jednak nie oszalał.

Później jego sny uległy zmianie; zniknęły z nich chodzące trupy. Zamiast tego śnił, jak wchodzi na posterunek policji w Hamburgu i wyznaje tam całą prawdę.

Pogładził znajdującą się po wewnętrznej stronie prawego przedramienia bliznę, miejsce, gdzie podczas jego nieporęcznej ucieczki cegły znajdujące się na zewnątrz mieszkania Anny otarły mu skórę. Nikt, nawet Ilsa, nie zainteresował się nigdy, skąd ma bliznę; co prawda wymyślił prawdopodobnie brzmiące wyjaśnienie, lecz kłamstwo wciąż pozostało niewypowiedziane.

Zdawał sobie sprawę, że mógłby postarać się wymazać wspomnienia dotyczące zbrodni. Wyciąć je z oryginalnego pliku skanu, obecnego modelu mózgu i wszystkich innych zapasowych ujęć jego osobowości. Nie pozostały jednak żadne inne dowody. Niedorzeczne było wyobrażanie sobie, że ktoś mógłby posiadać chociażby najmniejszy powód – nie wspominając już o prawie czy możliwości – by przejąć i prześledzić obciążające go dane, ale skoro tylko ulżyłoby to jego paranoidalnym obawom, to dlaczego by nie? Dlaczego nie zneutralizować własnych niepokojów krążących wokół technicznej możliwości, że ktoś mógłby czytać z jego umysłu jak z książki – czy też chipa ROM – zamieniając tym samym metaforę, czy też niemal dosłowną prawdę, na własną korzyść? Dlaczego nie przepisać ostatniej obciążającej go wersji własnej przeszłości? Inne Kopie wykorzystywały to, czym się stały, z próżnym, sybaryckim brakiem umiaru. Dlaczego nie pofolgować sobie odrobiną spokoju ducha?

Dlaczego? Ponieważ coś takiego ograbiłoby go z jego tożsamości. Przez sześćdziesiąt pięć lat rozgrzebywania własnych myśli dotyczących tamtej nocy w Hamburgu stało się to równie niezmiennie jak grawitacja; wszystko, co zrobił od tamtej pory, kształtowały wpływy pochodzące od tego wydarzenia. Wydrzeć sobie całą tę poplątaną nić z własnej psychiki – sprawiając tym samym, że połowa posiadanych przez niego wspomnień stanie się niezrozumiała – przypominałoby zamianę własnej osoby w oniemiałego, zupełnie obcego człowieka.

Oczywiście możliwe było poradzenie sobie z wszelkim poczuciem straty czy dezorientacji, najzwyczajniej je również wycinając... ale gdzie kończyłby się cały ten proces amputacji? Kto pozostałby po czymś takim, by móc rozkoszować się niczym niezmaconą świadomością, powstałą w ten właśnie sposób? Kto spałby snem sprawiedliwego w jego własnym łóżku?

Edytowanie pamięci nie było jedyną dostępną opcją. Istniały algorytmy mogące przenieść go gładko i szybko w stan oświeconej akceptacji: zrehabilitowanego, uleczonego, w pokoju zarówno z samym sobą, jak i całą nieocenzurowaną przeszłością. Nie musiałby niczego zapominać; jego absurdałne obawy dotyczące oskarżeń z powodu czytania w jego myślach z pewnością rozpląnęłyby się wtedy wraz z wszelkimi pozostałymi nerwicami dotyczącymi winy.

Ale sam nie był gotów również na przyjęcie takiego losu – nieważne, jak błogo poczułby się po zakończonej transformacji. Nie miał pewności, czy istnieje jakakolwiek znacząca różnica pomiędzy prawdziwym odkupieniem, a zaledwie iluzją takiego odkupienia, lecz pewna część jego osobowości – mimo iż przeklinał ją jako sentymentalną i masochistyczną – sprzeciwiała się perspektywie podobnej, otrzymywanej w mgnieniu oka łaski.

Człowiek, który zamordował Annę, nie żył! On sam spalił jego ciało! Co więcej mógłby zrobić, by pozostawić za sobą niedającą mu spokoju zbrodnię?

Na „łożu śmierci”, wraz z nieustannym postępem własnej choroby, kiedy każdego ranka z zawrotami głowy igrał z możliwościami wykonania finalnego skanu, czuł pewność, że bycie świadkiem losu mającego stać się udziałem jego ciała okaże się wystarczająco dramatyczne, by oczyścić go z tej stęchłej, mechanicznej i nieustającej winy. Anna była martwa; nic nie mogło tego zmienić. Życie spędzone w całości na wyrzutach sumienia nie mogło przywrócić jej życia. Thomas nigdy nie wierzył, że „zasłużyłby sobie”, aby się od niej uwolnić – ale doszedł do przekonania, że nie pozostało nic, co sam mógłby zaoferować malutkiemu blaszanemu metronomowi, tykającemu w jego czaszce, poza ekstrawaganckim rytuałem pokuty: śmiercią samego mordercy.

Ale morderca tak naprawdę nigdy nie umarł. Ciało złożone do pieca nie było niczym innym jak tylko zrzuconą skórą. Na dwa dni przed skanem Thomas stracił zimną krew i odwołał wcześniejsze instrukcje pozwalające ciału z krwi i kości na powrót do świadomości po wykonaniu skanu.

Tak więc umierający człowiek nigdy się nie przebudził, nigdy się nie dowiedział, że spotkał śmierć. A nie istniał żaden inny, śmiertelny Thomas Riemann, który wniósłby ciężar winy do wnętrza płomieni.



Thomas spotkał Annę w dworcowej kawiarni w Hamburgu latem 1983 roku. Załatwiał w mieście sprawy ojca. Ona natomiast jechała na koncert do Berlina Zachodniego. Nick Cave and the Bad Seeds.

Kawiarnia była zatłoczona, siedzieli więc wspólnie przy jednym ze stolików. Jej wygląd nie był specjalnie uderzający. Ciemnowłosa, zielonooka, miała okrągłą, płaską twarz. Gdyby minęli się na ulicy, Thomas nigdy nie obdarzyłby jej powtórnym spojrzeniem, lecz wkrótce wywarła na nim wrażenie.

Oceniając go ponad stolikiem, przyjrzała mu się i stwierdziła: – Zabiłabym za taką koszulę. Masz dosyć kosztowne gusta. Co robisz, by sobie na nie pozwolić?

– Studiowałem – skłamał ostrożnie. – inżynierię. I to jeszcze kilka miesięcy temu. Nie miało to jednak żadnego sensu. Nic mi nie wychodziło.

– Czym w takim razie zajmujesz się obecnie?

Spojrzał na nią żałośnie.

– Mój ojciec jest właścicielem banku kupieckiego. Rozpocząłem inżynierię, starając się uwolnić od rodzinnego interesu, ale.

– Spierdoliłeś i teraz ma cię na głowie? – wcale mu nie współczuła.

– I *vice versa*.

– Jest bardzo bogaty?

– Tak.

– A ty go nienawidzisz?

– Oczywiście.

Uśmiechnęła się słodko.

– Dlaczego nie miałabym go dla ciebie porwać? Przekażesz mi wszystkie konieczne poufne informacje, a potem podzielimy się pieniędzmi z okupu, pół na pół.

– Żyjesz z porywania bankierów?

– Nie tylko.

– Myślę, że pracujesz w sklepie z płytami.

– Mylisz się.

– Więc w sklepie z używaną odzieżą.

– Coraz zimniej.

– Z kim spotykasz się w Berlinie?

– Z przyjaciółmi.

Kiedy zapowiedziano jej pociąg, poprosił ją o numer. Zapisała go na rękawie jego koszuli.

Przez kilka następnych miesięcy dzwonił do niej za każdym razem, kiedy tylko podróżował na północ. Trzy razy wymyśliła jakieś wymówki, więc niemal się poddał, ale wciąż przypominał sobie jej kpiący wyraz twarzy i wiedział, że chciałby się z nią jeszcze kiedyś zobaczyć.

Był początek listopada, gdy wreszcie powiedziała: – Jeśli masz ochotę – wpadnij. Nie robię dziś nic szczególnego.

Zamierzał ją zabrać do jakiegoś klubu, ale opiekowała się dzieckiem, zaledwie kilkunastomiesięcznym niemowlakiem.

– Nie jest moje. Opiekuję się nim dla przyjaciółki.

Oglądali telewizję, później kochali się na sofie.

– Naprawdę jesteś całkiem słodziutki – powiedziała, kiedy zsuwała się z niego.

Pocałowała go w policzek, a następnie zniknęła za drzwiami swojej sypialni, zamykając je za sobą na klucz. Thomas zasnął, oglądając jakiś stary film z Johnem Wayne'em. Była mniej więcej druga nad ranem, gdy w drzwi mieszkania załomotały dwie nastolatki z rozmazaną mascarą, którym Anna sprzedała plastikową torebkę pełną jakiegoś białego proszku.

Nie podnosząc się nawet z sofy, zapytał: – Heroina czy kokaina?

– Heroina.

– Używasz tego świństwa?

– Nie.

Przyjrzała mu się z lekkim rozbawieniem; waliło ją, czy jej uwierzył.

Po raz kolejny przebudził się o piątej trzydzieści. Anny nie było w mieszkaniu. Dziecko wciąż leżało w kołysce i płakało. Thomas zmienił mu pieluchę i nakarmił; Anna pokazała mu, gdzie znajdują się wszystkie konieczne rzeczy. Chciał wziąć prysznic, ale okazało się, że nie ma gorącej wody. Ogolił się i wyszedł, by zdążyć na spotkanie, wmawiając sobie, że Anna wkrótce wróci. Zarówno przez cały ranek, jak i w czasie lunchu czuł na swoich dłoniach kwaśny zapach skóry niemowlaka i zastanawiał się, czy uśmiechający się deweloperzy budowlani również to czują.

Zadzwoił do niej już z hotelu, kiedy poszedł zapłacić za nocleg; mimo iż wcale w nim nie spał, miał jednak świadomość, że ojciec przyjrzy się bliżej jego wydatkom. Anna była już w domu; obudził ją. Ktoś znajdujący się przy niej coś tam wymruczał, niezadowolony z powodu budzącego go telefonu. Thomas nie wspomniał o dziecku.

Następnym razem, kiedy przyjechał, było sobotnie popołudnie i tym razem nigdzie się nie spieszył. Spotkali się w Alsterpavillon, wypili tam kawę, spoglądając na wiosłujących po Binnenalster pajaców. Następnie poszli na zakupy wzdłuż promenady Jungfernstieg. Thomas płacił za wszystkie wybrane przez nią ubrania, autentyczne firmówki gotyckiego syfu, wyglądające o wiele gorzej niż najtańsze z podróbek; wyglądało na to, że tak naprawdę chyba jednak nie zależy jej na ubieraniu się tak jak on. Trzymając się za ręce, przechodzili pomiędzy sklepami, a w wejściach do najbardziej ekskluzywnych butików zatrzymywali się i całowali przez kilka minut, blokując tym samym przejście innym klientom, starającym się ich wymijać. Wreszcie wchodzili do środka i wydawali olbrzymie sumy pieniędzy.

Później, już w klubie, przy beznadziejnym, grającym na żywo zespole, którego członkowie ubierali się jak bitelsi, a wykonywali utwory z repertuaru Sex Pistols, wpadli na Martina, wysokiego, żyłatego młodzieńca o blond czuprynie, którego Anna przedstawiła jako przyjaciela. Martin był ucieleśnieniem fałszywej, klepiącej po plecach przyjacielskości i tak usilnie starał się być onieśmielający, że aż było to komiczne. Zataczając się, wszyscy razem wrócili do mieszkania Anny, gdzie siedli na podłodze i słuchali płyt. Kiedy Anna wyszła do toalety, Martin wyciągnął nóż i zagroził Thomasowi, że go zabije. Był bardzo pijany. Thomas wstał i kopnął go w twarz, łamiąc mu tym uderzeniem nos, następnie odebrał mu nóż i jęczącego wyrzucił na korytarz. Obrócił go na bok, by ten nie zadławił się własną krwią, a następnie zamknął na klucz drzwi do mieszkania.

Kiedy Anna wyszła z łazienki, Thomas opowiedział jej, co się stało. Anna wyszła na korytarz, by sprawdzić, co z Martinem, i podłożyła mu poduszkę pod głowę.

– Kiedyś widziałem w telewizji angielskiego żołnierza – powiedział, kiedy go rozbierała – który właśnie wrócił z Irlandii Północnej. Powiedział: „To było piekło, ale przynajmniej działa się naprawdę. Teraz przynajmniej uważam, że naprawdę żyłem”. – Thomas zaśmiał się smutno. – Biedny głupiec miał wszystko poprzewracane w głowie do góry nogami. Masakrowanie ludzi jest prawdziwe, a normalne życie okazuje się czymś w rodzaju snu, złudzenia? Biedny, popierdolony dzieciak.

Przeszukał jej ciało w poszukiwaniu śladów po igłach, ale nie znalazł nawet pojedynczego wkłucia.

Kiedy wracał do Frankfurtu i siedział w swoim biurze, kiedy był sam we własnym mieszkaniu lub siedział przy stole obiadowym w domu rodziców, myślał o Annie obrazami i zapachami. Te wspomnienia nigdy go nie rozpraszały; mógł kontynuować rozmowę, przeglądać rozkład spłat hipoteki, a równocześnie odtwarzać je sobie w głowie niczym jakąś muzyczną tapetę.

Ojciec dopadł go na Wielkanoc.

– Powinieneś pomyśleć o małżeństwie. Jeśli o mnie chodzi, nie robi mi to żadnej różnicy, ale niesie za sobą pewne korzyści towarzyskie, których i tak będziesz potrzebował wcześniej czy później. I pomyśl tylko, jak bardzo uszczęśliwiłoby to matkę.

– Mam dwadzieścia cztery lata – odparł mu Thomas.

– Ja w twoim wieku byłem już zaręczony.

– Może jestem pedałem. Albo mam nieuleczalną chorobę weneryczną.

– Jakoś nie widzę powodu, by którekolwiek z nich miało stanąć ci na przeszkodzie.

Thomas widywał się z Anną co drugi weekend. Kupował jej wtedy wszystko, o co go tylko poprosiła. Czasami opiekowała się dzieckiem. Chłopiec nazywał się Erik.

– Kim jest jego matka? Poznałem ją? – zapytał ją kiedyś.

– Nie chciałbyś – odpowiedziała.

Czasem się o nią martwił, obawiał się, że zostanie aresztowana, pobita przez jakichś ćpunów czy konkurencję, ale wyglądało na to, że sama jest w stanie zadbać o własne interesy. Mógł wynająć prywatnych detektywów, by odkryli tajemnicę jej życia, ochroniarzy, którzy nie spuszczałiby jej z oka, ale wiedział, że nie ma do tego prawa. Mógłby jej kupić mieszkanie, zaopatrzyć w inwestycje, ale nigdy nie zasugerowała mu czegoś podobnego i podejrzewał, że byłaby głęboko urażona, gdyby taka propozycja wyszła z jego strony. Jego prezenty były przesadnie drogie, ale zdawał sobie doskonale sprawę, że mogłaby się bez nich obejść. Wykorzystywali się nawzajem. Była, jak sam sobie wmawiał, równie niezależna jak on.

Nie powiedziała, że ją kocha. Wcale nie cierpiał, kiedy się nie widzieli, czuł jedynie przyjemne otepienie i z niecierpliwością oczekiwał kolejnego spotkania. Był zazdrosny, ale nie obsesyjnie, a ona utrzymywała wszystkich pozostałych kochanków poza zasięgiem jego wzroku i rzadko musiał w ogóle przyjmować do wiadomości fakt ich istnienia. Nigdy więcej nie zobaczył Martina.

Anna pojechała z nim do Nowego Jorku. Zasnęli tam w połowie przedstawienia na Broadwayu, bawili się na występie Pixies w Mudd Club, wspięli się schodami na sam szczyt Manhattan Chase *[jeden z 250-metrowych wysokościowców na Manhattanie, zaprojektowany przez Gordona Bunschafta i wybudowany w 1960 roku jako siedziba dla Chase Manhattan Bank]*.

Thomasowi stuknęło dwadzieścia pięć lat. Ojciec go awansował, a matka stwierdziła: – Spójrz tylko. Masz siwe włosy.

Nadeszła wiosna i Erik zniknął.

– Nie ma już jego matki. Wyprowadziła się – stwierdziła zdawkowo Anna.

Zraniło to Thomasa, gdyż uwielbiał obecność chłopca.

– Wiesz, myślałem, że może to być twoje dziecko – powiedział.

– Dlaczego? – Była wyraźnie zbита z tropu. – Przecież powiedziałam ci, że nie jest. Dlaczego miałabym kłamać?

Thomas zaczął mieć problemy ze snem. Starał się wyobrazić sobie przyszłość. Czy kiedy umrze jego ojciec, wciąż będzie się widywał z Anną raz na dwa tygodnie w Hamburgu, a ona nadal będzie handlowała heroiną, równocześnie pieprząc się z ćpunami i alfonsami? Na samą myśl o tym zrobiło mu się niedobrze. Nie dlatego, że wolałby, aby zostało po staremu, ale dlatego, że wiedział, iż tak nie będzie.

W tę sobotę w czerwcu była niemal druga rocznica ich znajomości. Po południu poszli na targ staroci, gdzie kupił jej tanią biżuterię.

– Cokolwiek ładniejszego byłoby proszeniem się o kłopoty – stwierdziła.

Zjedli coś na wynos na mieście, później poszli potańczyć. Wrócili do mieszkania Anny o drugiej trzydzieści. Tańczyli po malutkim saloniku, podtrzymując się nawzajem, bardziej z powodu zmęczenia niż alkoholu.

– Boże, jesteś piękna – powiedział. *Wyjdź za mnie.*

– Chcę cię o coś poprosić, o co nigdy do tej pory nie prosiłam – odpowiedziała. – Przez cały dzień starałam się zebrać na odwagę.

– Możesz prosić, o co tylko zechcesz.

Wyjdź za mnie.

– Mam przyjaciela, który ma mnóstwo gotówki. Prawie dwieście tysięcy marek. Potrzebuje kogoś, kto mógłby.

Thomas odsunął się od niej i uderzył mocno w twarz. Był przerażony. Nigdy dotąd jej nie uderzył, nigdy nawet nie przyszła mu do głowy taka

myśl. Anna zaczęła go bić po twarzy i klatce piersiowej, a on przez chwilę tak stał i pozwalał jej na to; wreszcie schwycił ją za nadgarstki.

Złapała oddech.

– Puść mnie.

– Przepraszam.

– Więc mnie puść.

Nie zrobił tego.

– Nie jestem maszynką służącą do prania brudnych pieniędzy twoich „przyjaciół” – stwierdził.

Popatrzyła na niego z politowaniem.

– Och, co ja takiego zrobiłam? Uraziłam twoje zasady moralne? Jedyne o coś poprosiłam. Mogłeś okazać się chociaż odrobinę przydatny. Nieważne. Mogłam się domyślić, że oczekuję zbyt wiele.

Energicznie zbliżył do niej swą twarz.

– Gdzie będziesz za dziesięć lat? w więzieniu? Na dnie Łaby?

– Pierdol się.

– Gdzie? Powiesz mi?

– Potrafię sobie wyobrazić o wiele gorsze losy – odparła. – Mogłabym skończyć, bawiąc się w szczęśliwą rodzinę z bankierem w średnim wieku.

Thomas pchnął ją na ścianę. Stopy uciekły spod niej, zanim w nią uderzyła. Kiedy padała, walnęła w nią głową.

Przykucnął przy niej, nie wierząc, że dzieje się to naprawdę. Miała szeroką ranę z tyłu głowy. Oddychała. Poklepał ją po policzkach, następnie starał się otworzyć jej oczy, lecz te wywróciły się do wnętrza czaszki. Niemal siedziała na podłodze, z rozrzuconymi szeroko nogami, głową kołyszącą się na ścianie. Wokół niej zaczęła się rozlewać kałuża krwi.

– Wymyśl coś szybko. Wymyśl coś natychmiast – powtarzał sobie.

Klęknął nad nią, tak że miał ją pomiędzy nogami; schwycił jej twarz w swoje ręce i zamknął oczy. Przyciągnął do siebie jej głowę, następnie trzasnął nią o ścianę. Pięciokrotnie. Kiedy było już po wszystkim, wciąż nie otwierając oczu, przyłożył dłoń do jej nozdrzy. Nie wyczuł oddechu.

Wycofał się znad ciała, odwrócił i otworzył oczy, następnie przeszedł po mieszkaniu, przecierając chusteczką wszystko, czego mógł dotknąć, a równocześnie unikając spojrzeń w jej kierunku. Płakał i był roztrzęsiony, ale nie potrafił myśleć o tym, dlaczego tak jest.

Krew splamiła mu ręce, koszulę, spodnie i buty. Znalazł worek na śmieci i zapakował do niego swoje ubrania, następnie zmył krew ze skóry. W centrum jego pola widzenia znajdowała się czarna plamka, ale jakoś udawało mu się działać, nie zwracając na nią uwagi. Włożył wypełniony worek na śmieci do swojej walizki i nałożył nowe ubranie: niebieskie dżinsy i czarny podkoszulek. Przeszedł przez mieszkanie, zbierając wszystkie należące do siebie rzeczy. Chciał też wziąć należący do Anny notes z adresami, ale sprawdził i okazało się, że nie zapisała tam jego namiarów. Pogrzebał w poszukiwaniu pamiątek, lecz niczego nie znalazł.

Dziesiątki ludzi widywały ich razem, miesiąc po miesiącu. Sąsiedzi Anny, jej przyjaciele. Dziesiątki ludzi widziały, jak wychodzili dziś z klubu. Nie miał pewności, ilu spośród jej przyjaciół miało pojęcie o tym, co robił i skąd pochodził. Sam nigdy nie wyjawiał im niczego z wyjątkiem imienia, na temat pozostałych szczegółów zawsze kłamał, ale to przecież Anna mogła im opowiedzieć wszystko, co tylko wiedziała.

Już wystarczająco niefortunne było to, że widywano ich razem. Nie mógł ryzykować, że w nocy, kiedy została zabita, ktoś zauważy go jeszcze w drzwiach wejściowych, gdy będzie opuszczał jej dom.

Mieszkanie znajdowało się na drugim piętrze. Okno łazienki wychodziło na zaułek. Thomas wyrzucił przez nie swoją walizkę, która wylądowała w dole z ledwo słyszalnym tąpnięciem. Pomyślał o skoku – niemal wierząc, że mógłby wylądować bez szwanku, czy też przekonując siebie, że wcale o to nie dba – ale pod wszystkimi tymi złudzeniami pozostała szara klarowność, a liczący miliardy lat motorek w jego czaszce miał tylko jeden cel: przeżyć.

Wspiął się na framugę, w przestrzeń pozostawioną przez przesuwany panel okna, z jedną stopą na zewnątrz, drugą w środku, a szyną pomiędzy nimi. Nie było tu żadnego parapetu, jedynie podwójna cegła samej ściany. Musiał się skulić, by zmieścić się w prześwicie, ale wpadł na pomysł, że może utrzymywać równowagę, dociskając lewą dłoń do zwieńczenia framugi i w ten sposób klinując swe ciało w miejscu.

Obrócił się na bok, sięgnął na zewnątrz muru ku framudze okna łazienki sąsiedniego mieszkania. Dochodził do niego dźwięk ruchu ulicznego i muzyka, która płynęła nie wiadomo skąd, ale z wnętrza tamtego mieszkania nie dochodziło żadne światło, a znajdująca się w dole alejka była pusta. Oba okna dzielił zaledwie metr przestrzeni, ale drugie było zamknięte. Z jedną ręką na każdej z krawędzi, przesunął prawą stopę na sąsiadujące okno. Następnie, trzymając się kurczowo i mając pomiędzy ramionami rozdzielającą je ścianę, przeniósł lewą stopę na sąsiednie okno. Wreszcie, zabezpieczając się, dociskając ciało prawą ręką, puścił zupełnie pierwszą framugę.

Przesuwał się po szerokim na cegłę występie, zwalczając w sobie impuls mruczenia pod nosem *Zdrowaś Mario. Módl się za nami grzesznymi.* Uświadomił sobie, że przestał łąkać. Rynna biegła niedaleko drugiej krawędzi okna. Wyobraził sobie, jak rozdziera dłonie na jej postrzępionym i pordzewiałym metalu, ale na szczęście okazała się gładka. Utrzymanie się

na miejscu, uchwycenie jej dłońmi i kolanami, wymagało od niego zaangażowania całej posiadanej energii. Kiedy dotknął stopami ziemi, nogi ugięły się pod nim i upadł. Ale nie na długo.

Przez trzy godziny ukrywał się w publicznej toalecie, wpatrując się w kąt. Panujące tu oświetlenie i płytki, którymi wyłożono pomieszczenie, równie dobrze mogłyby się znajdować w więzieniu czy domu wariatów. Poczł, że oderwał się od rzeczywistości, przeszłości. Jego czas rozpadł się na pojedyncze chwile, wstrząsy świadomości, lśniące krople rtęci, krople potu.

To nie ja. To ktoś zupełnie obcy, ktoś, kto jest jedynie przekonany, że jest mną. Wszystko jest źle, źle, źle.

Nikt mu nie przeszkodził. O szóstej rano wyszedł w światło poranka i złapał pociąg do domu.

15.

(Nie przekazuj żadnych braków)
(Remit not paucity)

kwiecień 2051

Znajdujące się w północnej części Sydney mieszkanie Durhama było malutkie i umeblowane wręcz spartańsko; w najmniejszym nawet stopniu nie pasowało do oczekiwań Marii. Widziała jedynie połączone ze sobą salon i kuchnię, ale było jasne, patrząc na nie z zewnątrz, że miejsca nie pozostawało tu na wiele więcej. Durham mieszkał na szesnastym piętrze, ale budynek ze wszystkich stron otoczony był ohydnyymi biurkami powstałymi pod koniec lat dwudziestych, potwornościami wykonanymi z niebieskiej i czerwonej namiastki marmuru; nie miał stąd żadnych kosztownych widoków na wybrzeże. Jak na kogoś, kto naciągał naiwnych milionerów – czy nawet na kogoś, kto zaledwie sprzedawał im ubezpieczenia – wydawało się, że niezbyt ma się czym pochwalić. Maria pomyślała, że było to mało prawdopodobne, by miejsce to stworzono specjalnie dla niej, by pasowało do usłyszonej wcześniej historyjki, mając jedynie za zadanie zademonstrować jego oszczędny styl życia, rzekomo umożliwiający płacenie za wykonywaną przez nią pracę z własnej kieszeni. Zaprosił ją do siebie zupełnie nieoczekiwanie; sama nigdy nie miałaby powodu, by upierać się przy spotkaniu w jego mieszkaniu.

Położyła notepad na jego porysowanym stole kuchennym i odwróciła go tak, by mógł przejrzeć wykresy.

– Oto najnowsze zestawy wyników dla dwóch najbardziej obiecujących gatunków. *A. litophila* posiada wyższe tempo mutacji przypadających na pojedyncze pokolenie, ale reprodukuje się o wiele wolniej i jest bardziej wrażliwa na zmiany klimatyczne. *A. hydrophila* natomiast jest bardziej płodna i posiada bardziej stabilny genom. Tak naprawdę to nie jest bardziej wytrzymała, a jedynie w większym stopniu chroniona przez ocean.

– Jakie masz przeczucia? – zapytał Durham.

– A ty?

– *A. litho* ewoluuje w kilka obiecujących gatunków, z których wszystkie mogą zostać wymazane jedynym poważnym kryzysem. *A. hydro* natomiast powoli gromadzi olbrzymi zapas neutralnych pod względem własnego przeżycia mutacji, a niektóre z nich okazują się później wyjątkowo przydatne na lądzie. Pierwsze kilkaset tysięcy gatunków, które wyjdą na ląd, nie przetrwa, ale nie ma to żadnego znaczenia, bo wciąż będą pojawiały się nowe. Czy też może po prostu jestem pod zbyt wielkim wpływem ziemskich uprzedzeń lądowych?

– Ludzie, których starasz się przekonać, z pewnością będą myśleli podobnie.

– Nie zaszkodzi mieć racji, będąc równocześnie przekonującym – zaśmiał się Durham. – o ile nie są to wzajemnie wykluczające się ambicje.

Maria nic nie odpowiedziała. Wzrok miała spuszczonej na ekran notepada; nie potrafiła spojrzeć mu w oczy. Rozmowę przez telefon, z użyciem filtrów, dało się jakoś przeżyć. A wykonywana przez nią praca była celem samym w sobie; zanurzona w złożonej grze autowersowej biochemii z łatwością mogła ją kontynuować, jak gdyby prawdziwy cel wykonywanej pracy nie miał żadnego znaczenia. Lecz jeśli chodziło o

zwiększenie szans na dokonanie przez Durhama zwierzeń dotyczących skrywanych przez niego tajemnic, to w tym kierunku nie zrobiła niemalże nic. Dlatego właśnie zgodziła się na to spotkanie – i dlatego musiała je wykorzystać.

Teraz, kiedy już się tu znalazła, problemem stawał się coraz bardziej ogarniający ją niepokój. Była zażenowana w tak potężnym stopniu, że ledwie mogła dyskutować o najbardziej nawet neutralnych aspektach technicznych bez równoczesnego załamывania głosu. Gdyby zaczęła wyrzucać z siebie kłamstwa dotyczące własnych nadziei, mających na celu przekonanie sceptyków z mafii sztucznego życia w którymś z najbliższych wydań „Cellular Automaton World” to najprawdopodobniej zaczęłyby wrzeszczeć. Czy też – co bardziej prawdopodobne – zwymiotowałyby na pokrytą linoleum podłogę mieszkania.

– Tak nawiasem mówiąc – stwierdził – dziś rano podpisałem wypłatę twojego honorarium. Autoryzowałem fundusz powierniczy do przelania pełnej kwoty. Praca postępuje tak dobrze, że tylko takie rozwiązanie wydało mi się słuszne.

Maria spojrzała na niego, wstrząśnięta. Wyglądało na to, że Durham mówi zupełnie szczerze, ale nie potrafiła – nie po raz pierwszy zresztą – przerwać rozważań nad tym, czy wiedział o złożonych jej przez Hayden odwiedzinach, i nad tym, co usłyszała podczas tej rozmowy. Poczowała, jak rumieniec wpływa jej na policzki. Zbyt wiele czasu spędziła używając telefonów i filtrów, co teraz nie pozwalało jej zapanować nad własną twarzą, która zawsze wszystko wyraźnie pokazywała.

– Dziękuję – odpowiedziała. – Ale czy nie obawiasz się, że mogłabym teraz odlecieć pierwszym samolotem wprost na wyspy Bahama? Wciąż jeszcze pozostało wiele do zrobienia.

– Wydaje mi się, że mogę ci zaufać.

W tych słowach nie było ani śladu ironii – lecz właściwie nie była ona konieczna.

– A skoro już jesteśmy przy kwestii zaufania. – zaczął. – Uważam, że twój telefon może być na podsłuchu. Przepraszam, powinienem powiedzieć ci o tym wcześniej.

– Skąd wiedziałeś? – zapytała, wpatrując się w niego z uwagą.

– Wiedziałeś? Masz na myśli, że rzeczywiście jest? Masz jakieś niezbite dowody?

– Nie mam pewności. Ale skąd ty...?

– Bo mój jest. Na podsłuchu. Wydaje się więc sensowne, że może to dotyczyć także twojego.

Maria była oszołomiona. Co zamierzał teraz zrobić? Ogłosić jej, że jest obserwowana przez wydział malwersacji finansowych? Gdyby teraz odkrył swą gierkę i tak właśnie powiedział, to nie wydawało jej się, że byłaby w stanie udawać chociażby przez chwilę dłużej. Musiałaby wyznaczyć, że wie, a następnie przekazać mu każdy szczegół, który usłyszała z ust Hayden.

To zaś pozbawiłoby ją całego ciśnienia. Skończyło na dobre całą farsę. Nie miała talentu do takich głupich gier, więc im szybciej oboje przestaliby się okłamywać, tym lepiej.

– A jak ci się wydaje, kto dokładnie za tym stoi? – zapytała.

Durham zamilkł na chwilę, by móc to sobie przemyśleć, jak gdyby nigdy wcześniej na poważnie nie rozważał takiego pytania.

– Jakaś jednostka zajmująca się szpiegostwem przemysłowym? Jakaś organizacja odpowiedzialna za bezpieczeństwo narodowe? Naprawdę nie jestem w stanie odpowiedzieć na twoje pytanie. Za mało wiem o środowisku wywiadowczym. Twoje domysły są równie dobre jak moje.

– Dlaczego w takim razie uważasz, że to akurat oni?

– Gdyby ktoś zajmował się rozwojem komputera, który byłby – powiedzmy – trzydzieści rzędów wielkości potężniejszy niż którykolwiek z obecnie dostępnych klastrów procesorów, to czy nie uważasz, że ludzie, o których mowa, mogliby się tym zainteresować? – odpowiedział jej pogodnie pytaniem na pytanie.

Maria niemal się zadławiła.

– Ach. Tak.

– Ale ja, rzecz jasna, nie zajmuję się czymś takim, a kiedy wreszcie sami się o tym przekonają, zostawią nas w spokoju. Tak więc absolutnie nie ma powodów do obaw.

– W porządku.

Durham wyszczerzył zęby.

– Prawdopodobnie tak uważają, bo zleciłem wykonanie planety w Autoverse. Istnieje więc szansa, że posiadam urządzenia, na których można by ją ewentualnie uruchomić. Już kilkakrotnie przetrząsnęli moje mieszkanie, ale nie mam pojęcia, co mieli nadzieję w nim znaleźć. Małą czarną skrzyneczkę, leżącą gdzieś w kącie? A może ukrytą w doniczce, gdzie bez najmniejszego szmeru łamałaby wojskowe kody, zgarniając mi małą fortunę na giełdzie? A równocześnie symulowałaby wszechświat, czy nawet dwa, ot tak, na boku, by nie zanudzić się na śmierć? Już nawet pięciolatek mógłby im powiedzieć, jak bardzo coś takiego jest niedorzeczne. Być może uważają, że odkryłem sposób na skurczenie pojedynczego procesora do atomowych rozmiarów. To chyba byłoby wystarczającym powodem.

Tyle, jeśli chodziło o koniec jego kłamstw. Nie zamierzał jej niczego ułatwiać. W porządku.

– Ten sam pięciolatek mógłby również ci powiedzieć, że ktokolwiek przeszukał twoje mieszkanie, był z wydziału malwersacji finansowych. –

Maria zmusiła się, by wypowiedzieć te słowa bez żadnych emocji.

Durham wciąż niczego po sobie nie pokazywał.

– Dlaczego tak twierdzisz?

– Ponieważ wiem, że cię obserwują. Rozmawiali ze mną. Wy tłumaczyli mi dokładnie, na czym polega twój przekręt. – Maria popatrzyła mu teraz prosto w oczy, spięta z powodu nieuchronnej konfrontacji, ale nie miała się czego wstydzić; to on od samego początku zdecydował się ją oszukiwać.

– Nie wydaje ci się, że wydział malwersacji finansowych musiałby zacząć od uzyskania nakazu rewizji, a po drugie, musiałby przeszukać mieszkanie w mojej obecności? – zapytał.

– W takim razie może wcale go nie przeszukali. Nie do tego zmierzam.

Nieznacznie pokiwał głową, jak gdyby przyznając się do niewielkiego pogwałcenia zasad etykiety.

– Nie, nie do tego. Chcesz się dowiedzieć, dlaczego cię okłamałem.

– Wiem dlaczego – odparła. – Proszę, nie traktuj mnie jak idiotki. – Jej gorycz zaskoczyła ją samą, zbyt długo musiała ją ukrywać. – Raczej nie zamierzałam stać się twoją... współpracowniczką.

Durham uniósł jedną dłoń z blatu stołu, częściowo pojednawczo, częściowo w geście zniecierpliwienia. Maria zamilkła, bardziej zdumiona spokojem, z jakim wydawał się wszystko przyjmować, niż z chęci, by dać mu szansę obrony własnej osoby.

– Skłamałem – zaczął – ponieważ nie miałem pojęcia, czy uwierzyłabyś w prawdę. Uważam, że mogłaś, ale nie miałem koniecznej pewności. Nie mogłem ryzykować. Przepraszam.

– Oczywiście, że uwierzyłabym w prawdę! Miałaby o wiele więcej sensu niż bzdury, którymi mnie karmiłeś od samego początku! Ale z drugiej strony – tak, mogę zrozumieć, dlaczego nie mogłeś ryzykować.

Durham wciąż nie okazywał najmniejszych oznak skruchy.

- Wiesz, co oferuję moim popiecznikom? Fundatorom twoich prac?
- Sanktuarium. Ukryty gdzieś komputer, będący prywatną własnością.
- To niemalże prawda. Zależnie od tego, co według ciebie oznaczają te słowa.

Maria zaśmiała się cynicznie.

– Och, tak? z którymi to słowami masz tutaj problem? „Prywatna własność”?

– Nie. „Komputer”... i „gdzieś”.

– Teraz to ty zachowujesz się dziecinnie.

Sięgnęła i podniosła swój notepad, odsunęła krzesło i wstała. Kiedy starała się wymyślić słowa, które mogłaby mu rzucić na pożegnanie, uderzyło ją, że najbardziej frustrujący ze wszystkiego jest fakt, iż sukinkot jej zapłacił! Okłamał ją, zrobił z niej współnika, ale tak naprawdę wcale nie wyrolował.

Durham spojrzał na nią spokojnie.

– Nie popełniłem żadnego przestępstwa – stwierdził. – Ci, którzy mnie popierają, dokładnie wiedzą, za co płacą. Wydział malwersacji finansowych, podobnie jak agencje wywiadowcze, wyciąga pochopne, absurdalne wnioski. Powiedziałem im całą prawdę. Zdecydowali się w nią nie uwierzyć.

Maria stała przy stole, z jedną ręką wciąż na oparciu krzesła.

– Powiedzieli mi, że odmówiłeś rozmów na ten temat.

– Cóż, to kłamstwo. Jakkolwiek to, co musiałem im powiedzieć, nie było tym, co chcieliby usłyszeć.

– A cóż takiego musiałeś im powiedzieć?

Durham przyjrzał się jej przenikliwie.

– Czy jeżeli postaram ci się to wytłumaczyć, wysłuchasz mnie? Siądziesz i posłuchasz, aż do samego końca?

– Mogę spróbować.

– Pytam, ponieważ jeżeli nie zechcesz usłyszeć całej historii, równie dobrze możesz stąd wyjść już teraz. Nie każda z Kopii przyjęła moją ofertę, ale na policję zgłosiły się tylko te, które odmówiły wysłuchania mnie do końca.

– Dlaczego aż tak bardzo ci zależy, żebym ci uwierzyła? – zapytała Maria, wyprowadzona z równowagi. – Najprawdopodobniej wyciągnąłeś już ze mnie cały potrzebny ci techniczny bełkot dotyczący Autoverse'u. Wcale nie mam większego pojęcia o twoim przekręcie niż policja, a nikt nie będzie miał powodu, by żądać ode mnie zeznań skierowanych przeciwko tobie, skoro jedynym, co mogłabym stwierdzić przed sądem, byłoby: „Detektyw Hayden powiedziała mi to. Detektyw Hayden powiedziała mi tanto”. Dlaczego więc nie dasz sobie teraz spokoju, póki jeszcze posiadasz taką przewagę?

– Ponieważ ty niczego nie rozumiesz – odpowiedział jej wprost. – A ja jestem ci winien wyjaśnienia.

Maria spojrzała w kierunku drzwi, ale nie zdjęła dłoni z oparcia krzesła. Praca może i była celem samym w sobie, ale ona wciąż była ciekawa i chciała się dowiedzieć, co tak właściwie Durham zamierza zrobić z owocem jej wysiłków.

– Jakież te niby miałam plany na dzisiejsze popołudnie? – spytała ironicznie. – Modelowanie szans przeżycia *Autobacterium hydrophila* w mgiełce morskiej wody? – Usiadła. – Zaczynaj. Cała zamieniam się w słuch.

– Jakieś sześć lat temu – zaczął swą opowieść – pewien człowiek, którego znałem, wykonał Kopię samego siebie. Kiedy ta się przebudziła, spanikowała i chciała się katapultować. Lecz oryginał sabotował oprogramowanie i okazało się to niemożliwe.

- To nielegalne.
- Wiem o tym.
- Kim był ten mężczyzna?
- Nazywał się Paul Durham.
- Ty? Byłeś oryginałem?
- Och, nie. JA BYŁEM KOPIĄ.

16.

(Człowieku–zabaweczko,
wyobraź to sobie)
(Toy man, picture it)

czerwiec 2045

Paul poczuł czyjąś dłoń zaciskającą się na jego przedramieniu. Starał się ją strząsnąć, lecz ledwie był w stanie poruszyć własną ręką, a kiedy to wreszcie zrobił, poczuł w niej potworny ból. Otworzył oczy, lecz zaraz ponownie zamknął je z bólu. Spróbował po raz kolejny. Przy piątej czy szóstej próbie zdołał dostrzec, poprzez rozmywającą wszystko jasność i łzy, czyjąś twarz. Elizabeth.

Uniosła mu filizankę do ust. Łyknął, opryskał się i zadławił, ale po chwili zdołał wmusić w siebie odrobinę wodnistego, słodkawego płynu.

– Wszystko będzie w porządku – powiedziała. – Tylko spokojnie.

– Dlaczego tu jesteś? – Zakaszła, potrząsnęła głową i od razu tego pożałował. Był poruszony do głębi, ale nie rozumiał tego, co się tu działo. Dlaczego jego oryginał kłamał – twierdząc, że chciała go wyłączyć – kiedy w rzeczywistości była tak pełna współczucia, że poddała się zmuszalnemu procesowi odwiedzin?

Leżał na czymś, co przypominało fotel dentystyczny i znajdowało się w jakimś bliżej mu nieznanym pomieszczeniu. Miał na sobie szpitalną

koszulę, w jego prawym ramieniu znajdowała się kroplówka, a w cewce moczowej – cewnik. Spojrzał i natrafił wzrokiem na hełm interfejsu, pękatą półkulę induktorów magnetycznych prądów aksonalnych, zawieszoną na wyciągu tuż nad jego głową. Pomyślał: Skonstruowanie symulacji miejsca spotkania tak, by wyglądało dokładnie jak pomieszczenie, w którym musiało przebywać jej prawdziwe ciało, wydaje się jedyną sprawiedliwą opcją. Jednak umieszczenie go na tym fotelu i przekazywanie mu wszystkich symptomów przebudzonego gościa, jego skromnym zdaniem zakrawało już na przesadę.

Poklepał fotel lewą dłonią.

– Co chcesz mi przez to przekazać? Chcesz mi dokładnie uświadomić, przez co przechodzisz? w porządku. Jestem ci wdzięczny... i miło cię widzieć. – Zadrżał z ulgi i spóźnionego szoku. – Fantastycznie, by nie skłamać. – Zaśmiał się słabo. – Bo szczerze wierzyłem, że zamierzał mnie po prostu wymazać. Facet kompletnie oszalał. Uwierz mi, rozmawiasz z jego lepszą połową.

Elizabeth przysiadła przy nim na taborecie.

– Paul – zaczęła. – Postaraj się posłuchać uważnie tego, co mam ci do powiedzenia. Stopniowo, powoli, sam zaczniesz łączyć w całość własne wspomnienia, ale to pomoże, gdy na początku usłyszysz o wszystkim ze szczegółami ode mnie. Zacznę od tego, że nie jesteś Kopią. Jesteś z krwi i kości.

Paul zakaszłał, poczuł kwaśny posmak w ustach. Durham pozwolił jej zrobić coś ohydneho, jeśli chodziło o model jego systemu trawiennego.

– Jestem z krwi i kości? Cóż to za sadystyczny żart? Czy zdajesz sobie może sprawę, jak ciężko mi było dojść do ładu z prawdą?

– To nie jest żart – stwierdziła cierpliwie. – Zdaję sobie sprawę, że jeszcze tego nie pamiętasz, ale... po tym, jak wykonałeś własny skan – ten,

który miał działać jako Kopia numer pięć – wreszcie opowiedziałeś mi, czym dokładnie się zajmujesz, a ja przekonałam cię, żebyś go nie uruchamiał – przynajmniej dopóki nie spróbujesz troszeczkę innego eksperymentu: nie postawisz się w miejscu własnej Kopii. By poznać w ten sposób, z pierwszej ręki, jak to jest być zmuszonym do przejścia przez to wszystko.

I zgodziłeś się. Wszedłeś do wirtualnego środowiska, w którym zamieszkałaby Kopia, z zablokowanymi wspomnieniami od chwili dokonania skanu, tak byś nie mógł odkryć, że jesteś tam jedynie gościem z zewnątrz.

– Ja...?

– NIE JESTEŚ KOPIĄ. Dochodzi to do ciebie? To, co zrobiłeś, to jedynie odwiedziny w środowisku własnoręcznie przygotowanym przez ciebie dla Kopii numer pięć. A teraz właśnie je opuściłeś. Wróciłeś do świata rzeczywistego.

Jej twarz nie zdradzała najmniejszego śladu kłamstwa – ale można to było usunąć za pomocą odpowiedniego oprogramowania.

– Nie wierzę ci – stwierdził. – Jak mogę być oryginałem? Rozmawiałem z nim. W co niby mam ci teraz uwierzyć? Że to on był Kopią? Taką, której tylko się wydawało, że jest oryginałem?

– Oczywiście, że nie. Trudno byłoby twierdzić, że coś takiego w ogóle oszczędzałoby Kopię, nieprawdaż? Piąty skan nigdy nie został uruchomiony. To ja kontrolowałam marionetkę odgrywającą twój „oryginał”. Oprogramowanie co prawda dostarczało charakterystyki słownej i właściwej dla ciebie mowy ciała, ale to ja pociągałam za sznurki. Nim zaczęłam, wprowadziłeś mnie pobieżnie w to, co miałam mówić i robić. Już wkrótce to wszystko sobie przypomnisz.

– Ale... eksperymenty?

– Eksperymenty odbywały się na niby. Przecież nie mogły zostać przeprowadzone na gościu z zewnątrz, na jego fizycznym mózgu, prawda?

Paul potrząsnął głową.

– Abulafia – wyszeptał.

Nie otworzyło się żadne okno interfejsu. Zamykając oczy, mocno ścisnął krawędzie fotela. Po chwili zaczął się śmiać.

– I twierdzisz, że się na to wszystko zgodziłem? Jakim masochistą musiałbym być, aby zrobić sobie coś podobnego? Tracę zmysły. Nie wiem, kim jestem.

Elizabeth ponownie schwyciła go za ramię.

– Jesteś zdezorientowany, ale to nie potrwa długo. Sam wiesz, dlaczego się zgodziłeś. Miałeś już po dziurki w nosie Kopii, które katapultowały się z twoich eksperymentów. Musiałeś zrozumieć, czego doświadczały. Spędzenie kilku dni z przekonaniem, że sam jesteś Kopia, miało ci pozwolić dokonać przełomu w twoich eksperymentach, bądź też zarzucić cały projekt. Miałeś się wreszcie wyłonić z tego wszystkiego przygotowany wewnętrznie do stworzenia Kopii, która okaże się gotowa do stawienia czoła własnemu losowi – albo też miałeś zyskać wystarczające współczucie dla ich położenia i przestać je tworzyć.

Plan był taki, że miałam opowiedzieć ci o tym wszystkim, gdy wciąż jeszcze znajdowałeś się w środku, zaraz po trzecim eksperymencie. Ale kiedy zacząłeś się dziwnie zachowywać, spanikowałam. Jedyne, co byłam w stanie wymyślić, to by grająca twój oryginał marionetka powiedziała ci, że zamierza cię zawiesić. Nie próbowałam cię wystraszyć. Nie zdawałam sobie sprawy, że aż tak źle to przyjmiesz.

Do pokoju wszedł technik, który usunął mu kroplówkę i cewnik. Paul podparł się na rękach i wyjrzał przez okna znajdujące się w wahadłowych

drzwiach sali. Na korytarzu dostrzegł kilka osób. Zawył, ile tylko miał sił w płucach; wszyscy odwrócili się i spojrzeli w jego kierunku.

– Penis może kłuć przez jakąś godzinkę lub dwie – stwierdził łagodnie technik.

Paul opadł na fotel i zwrócił się do Elizabeth: – Nie zapłaciłabyś za reagujące tłumy. Sam bym za to nie zapłacił. Wygląda, że mówisz prawdę.



Ludzie, wspaniali ludzie; tysiące nieznanomych reagujących na jego wzrok z podejrzliwością bądź zaintrygowaniem, schodzących mu z drogi na ulicy – czy też, o wiele częściej, wyraźnie i świadomie odmawiających mu tego.

Wolność miasta miała tak słodki smak. Przez cały dzień spacerował ulicami Sydney, odkrywając na nowo każdy ohydny pasaż handlowy, wszystkie śmierdzące moczem i zawalone śmieciami parki i zaułki, póki nie zaczęły go boleć stopy i nie zaczął się przeciskać w wieczornej godzinie szczytu w kierunku własnego mieszkania, by obejrzeć wiadomości w czasie rzeczywistym.

Nie było tu miejsca na żadne wątpliwości; nie znajdował się w wirtualnym środowisku. Nikt na całym świecie nie mógłby mieć powodu, by wydawać aż tak bająnskie sumy za ledwie po to, by wprowadzić go w błąd.

Kiedy Elizabeth spytała go, czy wróciły mu wspomnienia, pokiwał tylko głową i odpowiedział, że oczywiście. Nie maglowała go o szczegóły. Właściwie dopiero teraz, kiedy już wielokrotnie w myślach sam prześledził opowiedzianą przez nią historię, był w stanie wyobrazić sobie jej

poszczególne etapy: własne niepokoje po wykonaniu piątego skanu, kolejne przekładanie uruchomienia modelu, spowiedź przed Elizabeth na temat projektu, aż wreszcie podjęcie jej wyzwania, by doświadczyć na własnej skórze tego, co było udziałem Kopii.

Być może hamowane wspomnienia miały nigdy do niego nie wrócić w ponownie scalanej rzeczywistości. Cóż, sprawdził to w literaturze fachowej i istniało dwuipółprocentowe ryzyko, że tak właśnie mogło się stać, ponieważ elektronicznie cenzurowany dostęp do wspomnień mógł niekiedy na stałe osłabić połączenia neuronowe, w których zostały one zakodowane.

Posiadał nawet zestawienia z baz danych dotyczące korzystania z ich usług, które wskazywały, że już wcześniej konsultował się dokładnie z tymi samymi artykułami.

Raz jeszcze przeczytał i przejrzał doniesienia, po które sięgał, kiedy znajdował się w środku, i nie odnalazł w nich żadnych rozbieżności. Przewertował encyklopedyczne bazy danych, sprawdzając wybrane na chybił trafił fakty z historii, geografii czy astronomii, i jakkolwiek raz na jakiś czas był zaskoczony niektórymi ze szczegółów – bowiem jakoś nigdy do tej pory nie zwrócił na nie uwagi – nie istniały w nich żadne wstrząsające sprzeczności. Kontynenty nieprzerwanie trwały na swoim miejscu. Żadna gwiazda czy planeta nie rozplynęła się w powietrzu. A wyniki wszystkich wojen wciąż były niezmiennie takie, jakimi je zapamiętał.

Wszystko było spójne. Wszystko dawało się wytłumaczyć.

Wciąż jednak nie potrafił przestać rozważać losów Kopii, tej wyłączonej, która nigdy nie została ponownie uruchomiona. Zwyczajna ludzka śmierć to jedno, gdyż była doskonale sensownym procesem wplecionym w o wiele większy gobelin. Jednakże z wewnętrznego punktu widzenia Kopii, której model po prostu zatrzymano, nie istniało żadne takie

czy inne wyjaśnienie dla własnej śmierci; pojawiała się jedynie granica, na której opisujący ją wzór nieoczekiwanie dobiegał końca.

A jeśli uzyskane w czasie eksperymentów dogłębne zrozumienie było prawdziwe (nie miało znaczenia, czy te eksperymenty kiedykolwiek się wydarzyły) i jeżeli Kopia mogła złożyć się sama z pyłu rozproszonego po całym wszechświecie, a nawet wypełnić pyłem pochodzącym z przeciwnego krańca wszechświata luki we własnym istnieniu. W takim razie, dlaczego ten wzór miałby kiedykolwiek dojść do nielogicznego końca? Dlaczego dalej nie miałby się sam odnajdywać?

Czy też, dlaczego nie miałby odnaleźć jakiegoś większego wzoru, w którym mógłby się zawrzeć?

Teoria pyłu zakładała niezliczoną liczbę światów alternatywnych: miliardy równie możliwych historii ułożonych z tej samej alfabetycznej prazupy. Jedną wersję, w której Durham uruchomił Kopię numer pięć – i jedną, w której nigdy do tego nie doszło, został bowiem przekonany, by osobiście zajął w niej miejsce gościa z zewnątrz.

Ale skoro gość został doskonale oszukany i doświadczył wszystkiego, czego doświadczyłaby Kopia... to jak rozróżnić ich od siebie? Dopóki człowiek z krwi i kości nie miał sposobu na poznanie prawdy, nie było nawet sensu mówić o „dwóch różnych osobach” w „dwóch różnych światach”. Oba wzory myśli i percepcji skutecznie zlewały się w jeden.

Jeśli Kopii pozwolono by działać już po tym, kiedy odkryto przed gościem, że jest stworzony z krwi i kości, to ich ścieżki rozdzieliłyby się po raz kolejny. Ale Kopia została wyłączona. W swoim oryginalnym świecie nie miała absolutnie żadnej przyszłości, żadnego oddzielnego życia do dyspozycji.

Tak więc dwie subiektywne historie stawały się jedną. Paul był gościem wierzącym, że jest Kopią. A równocześnie naprawdę był Kopią. Wzory

złąły się ze sobą, nie pozostawiając żadnych śladów mogących świadczyć o ich połączeniu; nie mógł istnieć żaden sposób na określenie prawdziwości którejkolwiek z historii. Oba wyjaśnienia były równie trafne.

Kiedyś, kiedy przygotowywał się do skanu, miał dwie przyszłości.

Teraz – miał dwie przeszłości.



Paul przebudził się w ciemności, chwilowo zdezorientowany, by następnie wysunąć zdrętwiałe ramię spod poduszki i spojrzeć na znajdujący się na nim zegarek. Czujniki podczerwieni o małej mocy, w które była wyposażona tarcza zegarka, wyczuły jego spojrzenie i wyświetliły mu godzinę wraz z przypomnieniem: *SPOTKANIE w KLINICE LANDAUA O 7:00*. Ledwie minęła piąta, lecz wydawało mu się, że raczej nie warto ponownie zapadać w sen.

Wróciły do niego wspomnienia poprzedniej nocy. Elizabeth wreszcie stawiała mu czoło i wprost zapytała, jaką podjął decyzję. Czy teraz, skoro dowiedział się już z pierwszej ręki, z czym to się wiąże, porzuca dzieło swojego życia, czy nadal prze z nim do przodu?

Zdawało się, że jego odpowiedź sprawiła jej zawód. Nie oczekiwał, by miał ją jeszcze kiedykolwiek zobaczyć.

Jakże mógłby się poddać? Wiedział, że nigdy nie będzie mieć pewności, czy odkrył prawdę, ale wcale nie oznaczało to, że nie mógłby tego dokonać ktoś inny.

Gdyby stworzył Kopię i uruchomił ją na kilka wirtualnych dni, a następnie nieoczekiwanie zatrzymał – wtedy przynajmniej ta Kopia wiedziałaby, czy jej własny wzór doświadczeń trwa nadal.

A gdyby inny Paul Durham, w jednym z niezliczonych miliardów światów alternatywnych, mógł dostarczyć przyszłości wyłączonej Kopii – wzoru, z którym ona mogłaby się złąć w całość – wtedy być może tamten Durham z krwi i kości mógłby powtórzyć cały proces po raz kolejny.

I tak dalej, raz za razem.

I jakkolwiek miejsca połączeń zawsze byłyby niewidoczne, „wyjaśnienie” dla człowieka z krwi i kości, wierzącego, że posiada drugą przeszłość jako Kopia, z konieczności stawałoby się jeszcze bardziej „wykombinowane”, coraz mniej „przekonujące”, a teoria pyłu stawałaby się coraz bardziej nieodparta.

Paul leżał na łóżku w ciemności, czekając na wschód słońca, wpatrując się w swoją przyszłość wzdłuż wypełnionego lustrami korytarza.

Tylko jedno nie dawało mu spokoju. Mógłby przysiąc, że tuż przed przebudzeniem coś mu się śniło. Jakaś złożona bajeczka, przekazująca mu pewne głębsze zrozumienie całej obecnej sytuacji. Tylko tyle pamiętał, czy też wydawało mu się, że pamięta? Szczegóły majaczyły irytująco blisko, tuż na granicy przypomnienia.

Jednak jego sny zawsze były ulotne i nie oczekiwał, że miałyby zapamiętać cokolwiek więcej.

17.

(Nie przekazuj żadnych braków)
(Remit not paucity)

kwiecień 2051

Maria poprawiła się na krzesło, starając się przywrócić krążenie w nogach. Wtedy uświadomiła sobie, że to nie wystarczy. Wstała i przekuśtykała przez pokój, schylając się, by rozmasować skurcz w prawej łydce.

– Twierdzisz, że jesteś dwudziestym trzecim?! – powiedziała i niemal obawiała się, że zabrzmiało to zbyt sceptycznie; nie dlatego, że wierzyła, iż Durham mógłby się poczuć dotknięty, a dlatego, że nie miała całkowitej pewności, czy już teraz chciałyby pozbawiać uroku tę dziwnie zachwycającą historię. Zaledwie ślad kpiny, a służby staną otworem. – Jesteś dwudziestym trzecim Paulem Durhamem z krwi i kości, którego przeszłość zawiera wszystkie wcześniejsze wersje?

– Mogę się mylić, co do dokładnej liczby – odparł. – Mogłem policzyć ostatnią wersję więcej niż jeden raz. Skoro jestem w stanie uwierzyć w dwadzieścia trzy inkarnacje, to niektóre z nich mogą być fałszywe. Do podobnej niepewności przyczynia się sama natura urojeń, na które cierpiałem.

– Czy to „przyczynia się” nie jest przypadkiem drobnym niedopowiedzeniem?

Durham pozostał niewzruszony.

– Obecnie jestem wyleczony. Nanochirurgia zadziałała. Lekarze ogłosili, że jestem zdrowy psychicznie, a nie mam żadnych powodów, by kwestionować ich osąd. Przeskanowali mój mózg; działa bez zarzutu. Widziałem dane, sprzed i po zabiegu. Aktywność w przedczołowej korze.

– Ale czy nie zauważasz, jakie to absurdalne? Przyjmujesz do wiadomości, że cierpiełeś z powodu urojeń. Upierasz się, że obecnie jesteś zdrowy. A równocześnie twierdzisz, że tak właściwie, to te twoje urojenia wcale nie były urojeniami.

– Powiedziałem ci to już na samym początku: mój stan wszystko wyjaśnia – stwierdził cierpliwie Durham. – wierzę – ponieważ byłem umyślowo chory – że jestem dwudziestym trzecim pokoleniem Kopii innego Paula Durhama z innego świata.

– Ponieważ byłeś umyślowo chory! Koniec. Kropka.

– Nie. Ponieważ obecnie posiadam papiery potwierdzające moje zdrowie psychiczne, a logika teorii pyłu ma dla mnie tyle samo sensu, co wcześniej. A nie ma żadnej różnicy, czy moje wspomnienia są prawdziwe, fałszywe, czy równocześnie i takie, i takie.

– *Logika teorii pyłu!* – zawyła Maria. – Żadna z tego teoria. Nie można jej przetestować.

– Kto niby nie może tego zrobić?

– Nikt! To znaczy nawet przyjmując, że wszystko, w co wierzysz, jest prawdą: że „przeszedłeś przez” dwadzieścia trzy pojedyncze eksperymenty, to wciąż nie masz pojęcia, co udało ci się dzięki temu udowodnić, ani czemu zaprzeczyć! Jak sam powiedziałeś – za wszystko odpowiedzialny jest twój stan. Nigdy nie słyszałeś o brzytwie Ockhama? Kiedy masz już na coś doskonale proste wyjaśnienie, nie poszukujesz wtedy kolejnych, bardziej skomplikowanych sposobów, aby to wyjaśnić. Nie potrzeba tutaj

żadnej teorii pyłu. – w niemal pustym pomieszczeniu jej słowa rozbrzmiewały echem. – Potrzebuję odrobiny świeżego powietrza – dodała.

– Po dwudziestu trzech nie do końca jasnych wynikach tym razem już wiem, jak należy to wykonać – stwierdził stanowczo. – Kopia w połączeniu z wirtualnym środowiskiem jest patchworkiem, bałaganem. Taki system nie jest wystarczająco bogaty, wystarczająco szczegółowy, ani też wystarczająco spójny, by móc podtrzymywać się samodzielnie bez niczyjej pomocy. Gdyby tylko tak było, to cały świat VR, w którym się znajdowałem, przetrwałby po moim wyłączeniu. A coś takiego nigdy się nie stało. Zamiast tego – za każdym razem – odnajdywałem człowieka z krwi i kości, który miał powody, by wierzyć, że posiadaliśmy wspólną przeszłość. To wyjaśniało mój wzór doświadczeń o wiele lepiej niż VR, aż po ten fragment związany z utratą zmysłów.

Tym, co teraz muszę zrobić, jest stworzenie wspólnego wzoru mogącego posiadać zaledwie jedną przeszłość.

Maria kilka razy głęboko wciągnęła powietrze. To niemalże ją przerastało. Dołączące mieszkanie Durhama, jego kosmiczne wizje, nieustępliwość, mechaniczna logika, harowanie niemal bez wytchnienia, by nadać sens spadkowi pozostawionemu mu przez własną chorobę umysłową. Lekarze go wyleczyli. Był przy zdrowych zmysłach. Jedynie nie chciał się wyprzeć własnej, pełnej urojeń przeszłości, więc wymyślił sobie bezsprzecznie logiczny, kompletnie niezbity dowód, którego teraz trzymał się tak kurczowo.

A skoro naprawdę powiedział dokładnie to samo, słowo w słowo, gliniarzom, dlaczego tamci wciąż nie przerwali na niego nagonki? Powinni byli dostrzec jego zupełną nieszkodliwość i zostawić go w spokoju, pozwolić jego kretyńskim klientom własnoręcznie zadbać o siebie. Ten człowiek nie stanowił zagrożenia nawet dla samego siebie. A gdyby tylko

był w stanie ujarzmić chociażby cząstkę energii i inteligencji, którą do tej pory włożył w cały ten „projekt”, a następnie skierował ją na coś wartościowego.

– Wiesz może, czym jest konfiguracja Ogrodu Eden? – zapytał nieoczekiwanie.

Maria była zupełnie zaskoczona pytaniem i przez chwilę nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Tak, oczywiście – stwierdziła wreszcie. – Tak w teorii automatów komórkowych nazywa się stan układu, który nie może być wynikiem żadnego wcześniejszego stanu. Którego nie mógł stworzyć żaden inny układ komórek. Jeżeli chcesz konfiguracji Ogrodu Eden, to musisz od niej zacząć – i musisz umieścić ją własnoręcznie jako pierwszy ze stanów.

Durham uśmiechnął się krzywo, jak gdyby tym, co właśnie powiedziała, odstąpiła od całej toczącej się między nimi dyskusji.

– Co? – zapytała.

– Czy to nie oczywiste? Automat komórkowy nie przypomina połatanego z różnych kawałków VR; jest w każdym szczególe równie spójny, co fizyczny wszechświat. Nie istnieją tam żadne powstałe *ad hoc* zbitki praw wyższego poziomu, zaś pojedynczy zestaw praw odnosi się do każdej z komórek. Tak?

– Tak, ale.

– Tak więc, jeżeli ustawię automat komórkowy w konfiguracji Ogrodu Eden, a następnie uruchomię go na kilka bilionów tyknień zegara, po czym wyłączę... to wzór wciąż bez problemu będzie odnajdywał się w pyle – oddzielony od tej wersji mnie, oddzielony od otaczającego nas teraz świata, lecz wciąż rozwijający się dalej bez zakłóceń ze stanu wyjściowego. Stanu, którego zasady automatu nie są w stanie wytłumaczyć. Stanu, który musiał zostać skonstruowany w innym świecie – dokładnie tak, jak to pamiętam.

Do tej pory cały problem polegał na tym, że moje wspomnienia są zawsze całkowicie wytłumaczalne w ramach nowego świata. Wyłączam się jako Kopia, a następnie odnajduję w ciele z krwi i kości, mając wspomnienia osoby z krwi i kości, które prawa fizyki mogły stworzyć z poprzednich stanów mózgu tego z krwi i kości. Kolejny świat może mnie jedynie wyjaśniać jako człowieka, którego urojenia są niesamowicie nieprawdopodobne, ale nie można zaprzeczyć, że posiadam w nim pełną dodatkową historię, która nie jest dosłownie, fizycznie, niemożliwa. Tak więc, w cokolwiek wolałbym sobie uwierzyć, to i tak muszę przyznać, że wynik eksperymentu jest nadal niejednoznaczny. Wciąż mogę się mylić.

Ale w przypadku konfiguracji Ogrodu Eden automat komórkowy nie może dostarczyć „dodatkowej historii”! Bo jest to matematyczną niemożliwością! Gdybym znalazł się we wszechświecie automatów komórkowych i mógł z powrotem prześledzić moją przeszłość aż do konfiguracji Ogrodu Eden, wtedy stałoby się to jednoznacznym dowodem, że w poprzednim wcieleniu naprawdę stworzyłem zupełnie nowy wszechświat. Teoria pyłu zostałaby udowodniona. A ja dowiedziałbym się wreszcie – poza wszelką wątpliwość – czy przez cały ten czas nie byłem jedynie niespełna rozumu.

Maria poczuła się, jakby była pijana. Na pewnym poziomie zdawała sobie sprawę, że powinna przestać mu pobłażać, powinna przestać poważnie traktować jego wymysły. Na innym natomiast wydawało jej się, że skoro on tak bardzo się myli, to powinna być w stanie wykazać mu luki w jego rozumowaniu. Nie powinna nazywać go szaleńcem i odmawiać wysłuchania tego, co miał jej jeszcze do powiedzenia.

– *Znaleźć się w świecie automatów komórkowych?* – powtórzyła. – Nie masz na myśli Autoverse’u...?

– Oczywiście, że nie. Nie ma najmniejszych szans, by udało się przełożyć człowieka na autowersową biochemię.

– Co w takim razie?

– Istnieje automat komórkowy TVC. Od nazwisk Turinga, von Neumanna i Chianga. To Chiang dokończył go około 2010 roku. Jest on unowocześnioną, bardziej finezyjną wersją prac von Neumanna z lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku.

Maria niepewnie pokiwała głową. Słyszała o tym, lecz nie leżało to w kręgu jej zainteresowań. Wiedziała, że John von Neumann wraz ze swoimi studentami rozwinął dwuwymiarowy automat komórkowy, będący prostym wszechświatem, w którym mogłeś umieścić złożony układ komórek – przypominającą klocki lego „maszynę” – działającą w obu rolach: zarówno jako uniwersalny konstruktor, jak i uniwersalny komputer, z odpowiednim programem – łańcuchem komórek interpretowanym nie jako część maszynierii, lecz jako zakodowane instrukcje – komórki mogły przeprowadzać wszelkie konieczne przeliczenia i budować wszystko, czego się od nich zażądało. W tym również kolejne kopie samych siebie, które z kolei mogły tworzyć kolejne kopie, i tak dalej. Małe samoreplikujące się zabawkowe komputerki mogły bez końca rozkwitać istnieniem.

– Wersja Chianga była trójwymiarowa, tak? – dopytała.

– O wiele lepiej. Była n-wymiarowa. Cztero-, pięcio-, sześciowymiarowa, ile byś sobie tylko zażyczyła. A to przekłada się na olbrzymią ilość miejsca na dane z łatwym dostępem. W dwóch wymiarach oryginalna maszyna von Neumanna musi sięgać coraz dalej i dalej w przestrzeń, a równocześnie czekać coraz dłużej na każdy kolejny fragment danych. W sześciowymiarowym automacie TVC możesz korzystać z rosnącej w nieskończoność trójwymiarowej siatki komputerów, a każda z

nich posiada własną trójwymiarową siatkę pamięci, która również może rosnąć bez żadnych ograniczeń.

– Gdzie niby zamierzasz to wszystko upchnąć? – zapytała otepiała Maria. – Jeżeli uważasz, że przełożenie ludzkiej biochemii na prawa Autoverse'u jest trudne, to jak zamierzasz przełożyć samego siebie w sześciowymiarowy świat, który zaprojektowano tylko po to, by podtrzymywał maszyny von Neumanna?

– Wszechświat TVC jest pojedynczym, nieskończenie wielkim, rozprzestrzeniającym się klastrem procesorów. To on uruchomi moją Kopię.

– Wydawało mi się, że to wszystko miało sprowadzać się do tego, by przestać wykorzystywać Kopie!

– W środowisku VR, co pozwoli mi na interakcję z innymi poziomami TVC. Tak, będę poskładaną z różnych części Kopią, jak za każdym razem do tej pory – bo tutaj nie ma żadnej innej możliwości – ale będę również połączony z samym automatem komórkowym. Będę świadkiem jego działania, doświadczę jego praw. Obserwując go, sprawię, że stanie się częścią tego, co musi zostać wyjaśnione.

A kiedy już symulowany wszechświat TVC, działający na fizycznym komputerze, zostanie nieoczekiwanie wyłączony, najlepszym wyjaśnieniem dla tego, czego doświadczyłem, okaże się kontynuacja tego wszechświata – kontynuacja wykonana na pyle.

Maria nieomal to widziała: niezmierną sieć komputerów, nasienie porządku w morzu przypadkowego szumu, rozszerzającą się wraz z upływem czasu samą tylko siłą wewnętrznej logiki, „dobudowującą” konieczne kawałki, stwarzane z chaosu i nie-czasoprzestrzeni samym jedynie aktem definiowania czasu i przestrzeni.

Zobaczyć to oczami wyobraźni nie znaczyło jednak uwierzyć.

– Czemu zawdzięczasz tak wielką pewność? – zapytała. – Dlaczego tamten nie ma się okazać kolejnym cierpiącym na urojenia pacjentem szpitala psychiatrycznego, który jedynie uwierzył, że był – przez krótką chwilę – Kopią uruchomioną na automacie TVC, działającym na umieszczonym w innym świecie klastrze procesorów?

– To ty wspomniałaś przed chwilą o brzytwie Ockhama. Czy nie uważasz, że niezależny wszechświat jest nadal najprostszym z wyjaśnień?

– Nie. Ale jest za to chyba najbardziej dziwną rzeczą, jaką tylko mogę sobie wyobrazić.

– O wiele bardziej dziwną niż kolejna wersja tego wszechświata, która zawiera jeszcze jedną, kolejną wersję mnie, z jeszcze jednym, kolejnym zestawem dogodnych urojeń?

– Ilu z twoich klientów uwierzyło w to wszystko? Ilu uważa, że zabierzesz ich ze sobą na taką wyprawę?

– Piętnastu. A moim zdaniem kusi jeszcze kolejnego.

– Zapłacili ci?

– Jakieś dwa miliony od osoby – parsknął. – To dosyć śmieszne, jak wielkie znaczenie przypisuje temu policja. Pewne wielkie sumy pieniędzy zmieniły właścicieli – i co z tego, że z powodów o wiele bardziej złożonych niż zazwyczaj – przyjmują więc, że muszą robić coś nielegalnego. A przecież miliarderzy znani są z tego, że dokonują większych darowizn na rzecz Kościoła Boga, Który Nic Nie Robi. – Zaraz jednak dodał pośpiesznie: – Ale żaden z moich.

Maria sama miała pewne problemy z objęciem skali całego przedsięwzięcia.

– Znalazłeś piętnaście Kopii gotowych przekazać ci po dwa miliony dolarów po tym, jak usłyszeli takie brednie? Każdy, kto jest tak łatwowierny, zasługuje na stratę swoich pieniędzy.

Durham nie wziął tego do siebie.

– Gdybyś tylko była Kopia, uwierzyłybyś również i w teorię pyłu. Poczulałybyś prawdę w swoich nieistniejących kościach. Niektórzy z tych ludzi przeprowadzili te same eksperymenty, co ja – obliczając się w przypadkowo porzucanych fragmentach – lecz innym nie było to potrzebne. Oni już wiedzieli, że mogą się rozproszyć po całym rzeczywistym czasie i przestrzeni, a później wciąż się odnaleźć. Każda Kopia udowadnia sobie teorię pyłu jakiś milion razy dziennie.

Nagle Marię olśniło, że Durham mógł wymyślić to wszystko jedynie z jej powodu – równocześnie przekazując swoim klientom dokładnie to, co Hayden przyjęła za pewnik: oszukańczą, ale w najmniejszym nawet stopniu niemetafizyczną historyjkę o ukrytym superkomputerze. Ale nie potrafiła dostrzec, co też mógłby zyskać, wprowadzając ją w błąd; a zbyt wiele szczegółów nabierało obecnie zbyt wielkiego sensu. Jeśli tylko klienci zaakceptowali całą jego szaleńczą wizję, zniknął problem dotyczący przekonania ich, by uwierzyli w nieistniejący superkomputer. Czy też przynajmniej zmieniał się wtedy z kwestii dowodu w kwestię wiary.

– Tak więc obiecałeś umieścić dane każdego z twoich „sponsorów” w konfiguracji Ogrodu Eden, wraz ze wszelkim koniecznym oprogramowaniem potrzebnym do ich uruchomienia w TVC?

– To wszystko i jeszcze więcej – odpowiedział dumnie. – Olbrzymie światowe biblioteki; może nie do końca z pełnymi zbiorami, ale dziesiątki milionów plików – tekstowych, audio, wideo, interaktywnych – na każdy możliwy temat. Bazy danych, zbyt liczne, by je wymieniść, w tym również te zawierające zmapowane genomy. Oprogramowanie: systemy eksperckie, wyszukiwarki informacji, metaprogramistów. Tysiące z niedostępnych na rynku środowisk VR: pustynie, dżungle, rafy koralowe, Mars, Księżyc. Zleciłem, i to samemu Malcolmowi Carterowi, stworzenie olbrzymiego

miasta mającego pełnić funkcję centralnego miejsca spotkań: Miasta Permutacji, stolicy wszechświata TVC.

I oczywiście zawrę tam też twój wkład: ziarno obcego świata. Ludzkość wcześniej czy później odnajdzie obce życie w tym wszechświecie. Jakże moglibyśmy porzucić nadzieję na dokonanie tego w tamtym? z pewnością będziemy posiadać własnych potomków, zawdzięczanych oprogramowaniu, odtworzymy ziemskie zwierzęta, a i bez wątpienia stworzymy sobie również nowatorskie, całkowicie sztuczne istoty. Nie będziemy sami. Ale wciąż będziemy potrzebować okazji, by stanąć twarzą w twarz z obcymi. Nie wolno nam porzucić takiej możliwości. A co mogłoby być bardziej obce niż autoversowe życie?

Maria poczuła, jak cierpnie jej skóra. Logika Durhama była bez zarzutu; nieskończenie rozszerzający się wszechświat TVC – z nieustannie narastającą mocą obliczeniową, wytwarzaną z niczego, i to we wszystkich możliwych kierunkach – „stałby się” wreszcie w pewnym momencie wystarczająco wielki, by uruchomić autoversową planetę, a nawet cały zawierający ją układ planetarny. Spakowana wersja Lambert – skompresowany opis z topograficznym streszczeniem w miejscu rzeczywistych gór i rzek – z łatwością zmieściłaby się w pamięci rzeczywiście istniejącego komputera. Później Kopia Durhama mogłaby po prostu odczekać, aż sieć TVC stanie się wystarczająco wielka, albo nawet zamrozić się na chwilę, unikając w ten sposób wszelkiego nudnego wyczekiwania, by wreszcie móc wszystko rozpakować.

– Osobiście opracowałem oprogramowanie mające uruchomić na rzeczywistym komputerze pierwsze chwile wszechświata TVC – stwierdził.
– Prawdopodobnie będę w stanie dokończyć je samodzielnie. Ale prac w Autoverse nie zdołałem doprowadzić do końca bez twojej pomocy, Mario.

– Ty wciąż chcesz, żebym pracowała dla ciebie? – Zaśmiała się piskliwie. – Okłamałeś mnie. Przez ciebie złożył mi wizytę wydział malwersacji finansowych. Przyznałeś się, że byłeś umyślowo chory. Opowiadasz mi, że jesteś dwudziestą trzecią inkarnacją milionera ze świata równoległego.

– Cokolwiek byś sądziła o teorii pyłu – i cokolwiek byś myślała o moim zdrowiu psychicznym – ja potrafię ci udowodnić, że nie jestem kryminalistą. Zaręczą ci to moi sponsorzy, bowiem wszyscy oni dokładnie wiedzą, gdzie i na co idą ich pieniądze. Żaden z nich nie padł tu ofiarą oszustwa.

– Przyjmuję to do wiadomości. Jedynie.

– W takim razie przyjmij ode mnie zapłatę. Dokończ pracę. Nieważne, co powiedziała ci policja, wciąż masz wszelkie prawo, by otrzymać to honorarium, a ja mam wolną rękę, aby ci je przekazać. Nikt nie pozwie cię do sądu, nikt nie wtrąci do więzienia.

– Po prostu poczekaj chwilę. – Maria straciła zupełnie tok myśli. – Dasz mi szansę, bym mogła to sobie przemyśleć? – Czysta racjonalność Durhama zaczynała być równie wyczerpująca, jak beznamiętna retoryka jakiegoś fanatyka. A tyle gruntu usunęło się jej spod nóg w przeciągu ostatniej pół godziny, że nie miała nawet okazji, by chociażby ponownie ocenić własną sytuację: prawną, finansową... i moralną.

– Dlaczego twoi sponsorzy nie powiedzą tego wszystkiego policji? – zapytała. – Skoro mogą potwierdzić twoją wersję przede mną, to dlaczego nie przed gliniarzami? Odmawiając jakichkolwiek rozmów, jedynie podsycacie podejrzenia.

– Jakbym nie wiedział – zgodził się z nią Durham. – Gdyby tylko tak zrobili, wszystko stałoby się jakieś dziesięć razy łatwiejsze – ale niestety nadal muszę z tym żyć. Czy uważasz, że oni mogliby zaryzykować, by

prawda przedostała się do wiedzy publicznej? Istniały pewne kłopotliwe przecieki, ale na razie, dzięki rozsiewanej przez nas dezinformacji, udało się zamącić ich obraz. Kopie posiadające *de facto* kontrolę nad wartymi miliardy dolarów imperiami wolałyby raczej, by ludzie nie łączyli ich z jakimś podejrzanym sprzedawcą ubezpieczeń i jego przełomowym komputerem. Pojawiające się plotki wypalają się z sykiem z powodu braku skonkretyzowania. W porządku, niech świat się dowie, że zamierzają się sklonować, a następnie umieścić wewnątrz sztucznego wszechświata, który ma działać bez żadnego fizycznie istniejącego sprzętu. Rynki akcjonariuszy mogą się zdenerwować wystarczająco, gdy ludzie zaczną się zastanawiać, czy określona rada nadzorcza, i to w swym pełnym składzie, przypadkiem w czasie wolnym od pracy nie zaczęła się zabawiać w wirtualnego Kaligulę. Gdyby wyszło na jaw, że Kopie na stanowiskach władzy zrobiły coś, co mogłoby stanowić oznakę, że nie czują się już zobligowane do przejmowania się własnymi korporacyjnymi powinnościami, osobistym bogactwem czy nieprzerwanym istnieniem Ziemi.

Maria podeszła do okna. Było otwarte, lecz powietrze na zewnątrz stało w miejscu. Przystanęła przy siatce na owady, lecz równie dobrze mogłaby stać przy solidnej, ceglanej ścianie. Ludzie w znajdującym się nad nimi mieszkaniu wyjątkowo głośno się o coś sprzeczali; zauważyła to dopiero teraz.

Kiedy Durham skontaktował się z nią po raz pierwszy, zastanawiała się, nie do końca na poważnie, czy wykorzystałaby mężczyznę, którego własny zdrowy rozsądek porzucił na pastwę losu. Teraz nie potrafiła zignorować tych rozważań jako obłudnej obelgi w stosunku do podobnego do niej ekscentryka. To nie była kwestia sztucznego życia w wykonaniu fanatyka, który posiadał więcej pieniędzy niż zdrowego rozsądku. Były pacjent szpitala psychiatrycznego planował wydanie trzydziestu milionów dolarów,

należących zresztą do innych ludzi, by dzięki temu „udowodnić” swe zdrowie psychiczne – i poprowadzić klony tych, którzy mu uwierzyli, do cybernetycznego raju mającego przetrwać około dwudziestu sekund. Uszczknięcie swej działki z czegoś takiego przypominałoby trochę zapewnianie cateringu dla uczestników masakry w Jonestown [*miejsce w gąszczu amazońskiej dżungli w Gujanie, gdzie 18 listopada 1978 roku popełniło masowe samobójstwo na skutek wypicia płynu zawierającego cyjanek 913 członków sekty Świątynia Ludu wraz ze swoim przywódcą, wielebnym Jimem Jonesem*].

– Jeśli nie zgodzisz się na dokończenie ziarna, to kogo znajdę na twoje miejsce? – zapytał. – Nie ma nikogo, kto byłby w stanie w ogóle zrozumieć, co się z tym wiąże.

Maria spojrzała na niego ostro.

– Nie zaczynaj mi tu słać. I przestań się również oszukiwać z tym ziarnem. Poprosiłeś o pakiet przekonujących danych i to właśnie dostaniesz – o ile kiedykolwiek ukończę pracę. Jeżeli liczysz, że mieszkańcy Lambert staną na tylnych łapach i przemówią do ciebie... to nie mogę ci tego zagwarantować, nawet gdybyś uruchomił wszystko jakiś miliard razy. Powinieneś symulować biochemię świata rzeczywistego. To by przynajmniej pokazało, że inteligentne życie może zaistnieć w takim systemie. A rzekomo posiadasz wymaganą do tego moc obliczeniową.

– *A. lamberti* wydawała mi się prostsza, pewniejsza – odpowiedział jej rozsądnie. – Jakikolwiek rzeczywisty organizm – modelowany subatomowo – byłby zbyt potężnym programem, by dało się go przetestować z wyprzedzeniem na jakimkolwiek rzeczywiście istniejącym komputerze. I byłoby za późno na zmianę zdania i próby z innym podejściem, gdyby nie udało się go uruchomić i gdybym ugrzązł we wszechświecie TVC z olbrzymią liczbą książek, lecz bez pokładów fachowego doświadczenia.

Maria poczuła, jak przechodzi przez nią, głęboko w jej wnętrzu, zimny dreszcz; za każdym razem, kiedy już się jej wydawało, że pogodziła się z powagą, z jaką Durham traktuje swój obłąd, ten odpowiadał jej w sposób sprawiający, że musiała to sobie na nowo układać.

– Cóż, życie w Autoverse mogłoby okazać się równie bezużyteczne – stwierdziła. – Mogłoby posiadać *A. hydrophila* produkującą bezużyteczne mutacje, pokolenie za pokoleniem, i nic, co można zrobić, aby to naprawić.

Durham chyba chciał jej podpowiedzieć rozwiązanie, ale się powstrzymał. Maria poczuła powracający dreszcz; na początku nie rozumiała dlaczego, ale w chwilę później spojrzała na niego z taką samą furią, jak gdyby zebrał się na odwagę i poprosił ją o to wprost.

– Mnie tam nie będzie, żeby to dla ciebie naprawiać!

Durham miał przynajmniej dość przyzwoitości, by przez chwilę wyglądać na zastraszonego, lecz zamiast zaprzeczyć, że taka myśl w ogóle powstała mu w głowie, odpowiedział: – Skoro nawet nie wierzysz w teorię pyłu, to jaką sprawi ci różnicę, że w danych Ogrodu Eden znajdzie się plik twojego skanu?

– Nie chcę, by moja Kopia przebudziła się i żyła przez kilka subiektywnych sekund, doskonale zdając sobie sprawę z tego, że niedługo umrze!

– A kto powiedział cokolwiek o przebudzeniu? Uruchomienie Kopii na siatce TVC jest operacją złożoną obliczeniowo. Wciąż działając na fizycznym komputerze, nie możemy sobie pozwolić na przebudzenie więcej niż tylko jednej Kopii. Mojej Kopii. Na tyle, na ile to ciebie dotyczy, twój plik skanu nigdy nie zostanie użyty, by stworzyć Kopię; dane po prostu tam będą tkwiły, absolutnie nietknięte. A ty będziesz mogła siedzieć przy terminalu, nadzorując całą operację i upewniając się, że dotrzymuję danego słowa.

Maria była oburzona, chociaż przedostanie się przez rozwścieczającą logikę Durhama i odnalezienie celu zabrało jej chwilę.

– A ty – pewny, że kiedyś wreszcie się przebudzę – mógłbyś z radością zabrać mnie na pokład, używając podstępu?

Durham wydawał się autentycznie zbity z tropu takim oskarżeniem.

– Podstępu? Przekazałem ci wszystkie fakty i przedyskutowałem własny punkt widzenia, tak dokładnie, jak tylko byłem w stanie. To, że mi nie wierzysz, nie jest już moją winą. Czy powinienem się czuć winny tylko dlatego, że mam rację?

Maria zaczęła odpowiadać, lecz wtedy cały sens takiej dyskusji wydał się jej zbyt absurdalny, by ją kontynuować.

– Nieważne – stwierdziła. – Nie dostaniesz nawet cienia szansy, by cokolwiek poczuć, ponieważ na pewno nie przekażę ci mojego skanu.

– Decyzja należy do ciebie. – Pokiwał głową.

Maria objęła się ramionami, czując, że drży lekko. *I to ja się obawiałam, że wykorzystam jego? Jeżeli to, co robi, jest rzeczywiście zgodne z literą prawa... to kończ tę pracę i inkasuj pieniądze. Jego Kopia ma przeżyć kilka sekund przekonana, że kieruje się do nieba dla Kopii, a on doprowadzi do tego tak czy inaczej, nieważne, co zrobię. Piętnaście klonów po prostu prześpi to wszystko, jak gdyby nigdy ich nie stworzono. To w niczym nie przypomina Jonestown.*

– Zapłacę ci sześćset tysięcy dolarów – rzucił Durham.

– Wali mnie to, nawet gdybyś dawał mi sześćset milionów – powiedziała. Chciała to wykrzyknąć, lecz słowa rozmyły się w szept.

Sześćset tysięcy dolarów wystarczyłoby na ocalenie życia jej matki.

18.

(Nie przekazuj żadnych braków)
(Remit not paucity)

maj 2051

Peer miał nieodparte wrażenie, że kocha się z Kate, ale miał też co do tego pewne wątpliwości. Leżał na miękkiej, suchej trawie, którą porośnięta była niezmierna łąka, a wszystko wokół zalewało łagodne światło słońca. Włosy Kate były dłuższe niż zwykle i drażniły jego skórę za każdym razem, kiedy go całowała, ocierając się o niego z erotyczną precyzją, która chyba nie mogła być przypadkowa. Owady cykały, dochodził do niego również trzask ptaków. Peer przypominał sobie, jak pewnego razu David Hawthorne pieprzył się na podobnej do tej łące z powracającą do siebie po przebytej traumie kochanką. Wracali wtedy samochodem do Londynu z pogrzebu jej ojca w Yorkshire; wtedy wydawało im się to bardzo dobrym pomysłem. Teraz było inaczej. Nie było tu żadnych gałązek, kamyków czy nawet zwierzęcych odchodów. Ziemia wcale nie była wilgotna; nie groziły im plamy z trawy czy świąd skóry.

Sama doskonałość otaczającej go łąki nie była wystarczającym powodem do podejrzeń – przecież żadne z nich nie należało do dziwaków, którym obsesyjnie zależałoby na pozorach rzeczywistości; nie byli masochistycznymi odtwórcami irytujących szczegółów prawdziwego życia. Udany seks był tutaj również kwestią wyboru, ale Peer wciąż czuł, jak

zastanawia się nad tym, czy Kate rzeczywiście wyraziła zgodę na samo zbliżenie. Tak naprawdę nie doszło między nimi do niczego od wielu miesięcy – niezależnie od tego, ile razy wykorzystał powtórnie wspomnienia ostatniego razu – a nie mógł tu również wykluczyć takiej możliwości, że jedynie po raz kolejny zdecydował się oszukać samego siebie i uwierzyć, że wreszcie mu uległa. Jednak do tej pory nigdy nie zaszedł w tym aż tak daleko – o ile tylko było mu teraz wiadomo – ale miał niewyraźne wspomnienie dotyczące podejmowania postanowienia, że bardzo starannie zatrze wszelkie ślady, jeśli kiedyś tak zrobi.

Wyraźnie pamiętał, jak w czasie wizyty w mieście Cartera Kate zaczęła z nim flirtować, a następnie, kiedy już stali w drzwiach wyjściowych, wyciągnęła ręce w jego kierunku i zaczęła go rozbierać. Kiedy rozpinęła guziki jego koszuli, wyłączył wszelkie ograniczenia dotyczące jej dostępu do jego ciała, i zawył w szoku i rozkoszy, kiedy w czasie ich fizycznie przekonującej gry wstępnej druga, niewidzialna Kate, dwadzieścia razy większa od niego, podniosła go, zbliżyła do ust i zaczęła lizać od stóp do głów, niczym mający słabość do słodczy olbrzym, zlizujący lukier z ciastka w kształcie człowieka.

Nic z tego wszystkiego nie uderzyło go jako szczególnie nieprawdopodobne. Gdyby Kate ponownie zdecydowała się z nim kochać, to pewnie właśnie coś takiego by z nim robiła. Samo w sobie niczego to nie udowadniało. Mógł tak ułożyć swoją fantazję, by pasowała do wszystkiego, co o niej wiedział, bądź też wybrać odpowiedni scenariusz, a następnie przepisać własną „wiedzę” dotyczącą Kate, by obejmowała to, do czego obecnie dochodziło. Tak czy inaczej, w obu przypadkach, oprogramowanie mogło pozostawić trop fałszywych wspomnień: zachowujący pozory prawdopodobieństwa przeskok pomiędzy spotkaniem z Carterem – co do którego miał pewność, że rzeczywiście się wydarzyło – a tą właśnie chwilą.

Wszelkie wspomnienia dotyczące snucia planów dotyczących takiego oszustwa zostałyby czasowo zablokowane.

Kate przestała się poruszać. Potrząsnęła głową, rozpryskując kropelki potu na jego twarz i klatkę piersiową.

– Jesteś tutaj, gdzie cię widzę, czy zupełnie gdzie indziej? – zapytała.

– Właśnie miałem ci zadać dokładnie to samo pytanie.

– Ach. – Uśmiechnęła się psotnie. – W takim razie może to ciało, które w twoich nadziejach jest mną, jedynie zapytało cię pierwsze, by uspokoić twój umysł.

Na niebie, ponad jej prawym ramieniem, Peer dostrzegł zbłąkaną chmurkę, która zaczęła przybierać nowy kształt – cudacznej rzeźby parodiującej znajdujące się poniżej na trawie ciała.

– A następnie przyznać aż tyle? – zapytał.

Kate pokiwała głową i powoli zaczęła się unosić.

– Oczywiście. Dokładnie z tego samego powodu. Ile poziomów mydlenia oczu potrzeba ci, byś znudził się i powiedział: Pieprzyć, wali mnie to?

Unosiła się, dopóki niemal się z niej nie wysunął. Zamknął oczy i naruszył geometrię, zlizując pot spomiędzy jej łopatek, nie poruszając przy tym ani jednym mięśniem. Odpowiedziała, wtykając mu język jednocześnie w obie dziurki w uszach. Zaśmiał się i otworzył oczy.

Znajdująca się nad nimi chmura pociemniała. Ciało Kate otoczyło go ponownie. Drżała nieznacznie.

– Nie wydaje ci się to ironiczne? – zapytała.

– Co?

– Transludzie czerpiący przyjemność z symulowania kopii tych samych szlaków nerwowych, które w przeszłości odpowiadały za podtrzymywanie

gatunku. Ze wszystkich dostępnych możliwości tej jednej trzymamy się aż tak kurczowo.

– Nie – odpowiedział. – Nie uważam tego za ironiczne. Usunięto mi moje gruczoły ironii. Miałem do wyboru: to albo kastracja.

Uśmiechnęła się do niego.

– Kocham cię, wiesz o tym. Ale czy powiedziałabym ci coś takiego? Czy też sam byłbyś na tyle głupi, by udawać, że tak zrobiłam?

Zaczął padać ciepły, orzeźwiający deszcz.

– Wali mnie to, wali mnie to, wali mnie to – powtarzał raz za razem.



Peer usiadł na najniższym z czterech drewnianych stopni prowadzących na tylną werandę należącego do niego domostwa, raz na jakiś czas spoglądając na bose stopy i chude brązowe ramiona. *Dziesięcioletni chłopiec z farmy o zmierzchu*. Kate wykonała dla niego zarówno ciało, jak i środowisko, a on uwielbiał panujący tu spokój ducha. Nie istniała tu żadna wymyślona rodzina, więc nie musiał odgrywać żadnej roli. Miejsce było obrazem, a nie dramatem. Konkretnie miejsce, konkretna chwila, trwająca tak długo, jak długo zechciał w niej przebywać. Sceneria nie do końca była fotorealistyczna, gdyż istniały pewne zakłócenia formy, koloru i faktury powierzchni, które nie pozwalały zapomnieć, że przebywa w świecie, który powstał jako dzieło sztuki, lecz nie przy użyciu jakiś topornych technik: żadnych widocznych pociągnięć pędzla, żadnych efektów oświetleniowych w stylu Van Gogha.

Łamiąc całą tę estetykę, tuż przed nim zawisło okno interfejsu, jakiś metr ponad ziemią rozoraną przez kurze łapki. Program klonujący będący

oprogramowaniem użyteczności publicznej należał na trzymanie się złożonych sekwencji potwierdzenia, więc Peer powtarzał raz za razem: „Proszę, przeskocz do ostatniego pytania, dokładnie wiem, co robię”, ale ikonki w sądowych perukach i togach wyskakiwały przed okienko i wygłaszały solennie: – Musisz uważnie przeczytać to ostrzeżenie. Nim przejdziemy do kolejnego etapu, twój model mózgu zostanie bezpośrednio przebadany, by potwierdzić pełne zrozumienie.

Było to jakiś tysiąc razy bardziej kłopotliwe niż katapultowanie – zdawał sobie doskonale z tego sprawę, gdyż niemal to zrobił – ale z drugiej strony, katapultowanie niosło ze sobą o wiele mniej prawnych komplikacji dla znajdujących się na zewnątrz osób. Majątek Peera był kontrolowany przez egzekutora, który podpisał kontrakt zobowiązujący go do działania zgodnie „z jakimikolwiek należycie uwierzytelnionym połączeniem – zawierającym, lecz nie ograniczającym się, do wizualnych i/lub słuchowych symulacji istoty ludzkiej, która zdaje się przekazywać instrukcje czy rady”. To, co oznaczało *należycie uwierzytelnione*, obracało się wokół dziewięćdziesięćdziewięćcyfrowego kodu klucza, „zapisanego na stałe” w modelu mózgu Peera, jeszcze w czasie generowania jego Kopii z pliku skanu. Jeśli tylko zaistniałaby taka potrzeba, w jakiejś mało prawdopodobnej sytuacji awaryjnej, mógłby przywołać ten kod świadomie, ale zwykle robił to prostym aktem woli. Nagrywał pocztówkę wideo, życzył sobie, by została *należycie uwierzytelniona* – i było po wszystkim... o ile ktoś nie wykradłby jego klucza, wyrywając go bezpośrednio z pamięci komputera, w którym zawarto wszelkie dane reprezentujące jego mózg, Peer był jedynym oprogramowaniem na planecie zdolnym do rozkodowania instrukcji dla swojego egzekutora w formie porównywalnej z własnym pasującym

kluczem tamtego. To było najbardziej zbliżone do posiadanych przez niego możliwości identyfikacji prawnej.

Zgodnie z literą prawa jakikolwiek klon wykonywany z Kopii musiał otrzymać nowy klucz. Podział doczesnych dóbr pomiędzy obydwoma klonami – czy też raczej podzielenie ich na dwa portfolia dla egzekutora – leżał w gestii Kopii pierwotnej i musiał zostać dokonany jeszcze przed klonowaniem.

Peer w mękach torował sobie drogę przez proces zapewnienia programu klonującego, że naprawdę miał na myśli dokładnie to, przy czym upierał się od samego początku: klon nie będzie potrzebował własnego majątku. Będzie działał nie dlatego, że ma na to ochotę, a jedynie dlatego, że Peer tak sobie zażyczy, płacąc z własnej kieszeni za wykorzystany przez tamtego czas komputerowy. Nie planował utrzymywać go przy świadomości dłużej niż minutę lub dwie; wystarczająco, by przekonać samego siebie, że zrobił to, co należało.

Niemal żałował, że nie ma przy nim teraz Kate. Co prawda zaoferowała mu obecność, lecz odmówił. Jej poparcie byłoby miłe, lecz to, co miał do zrobienia, należało wykonać na osobności.

– To twoja ostatnia szansa, by zmienić zdanie – stwierdził wreszcie program. – Jesteś pewien, że chcesz kontynuować?

Peer zamknął oczy. *Kiedy zobaczę swój oryginał siedzący na ganku, będę wiedział, kim jestem i zaakceptuję to.*

– Tak, jestem pewny – potwierdził.

Nie poczuł żadnej zmiany. Otworzył oczy. Jego dopiero co stworzony brat-bliźniak stał w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowało się okno interfejsu, i wpatrywał się w niego szeroko otwartymi oczami. Rozpoznał chłopca jako siebie, i to nie tylko pod względem mentalnym – projekt Kate zawierał w sobie możliwość regulacji każdej części mózgu

zajmującej się obrazowaniem ciała, więc nie byłby bardziej zszokowany złapaniem swego odbicia w lustrze niż sposobem, w jaki odbierał swe stopy podczas chodzenia. Ale efektem nie było to, że przejrzał przez „przebranie” dziesięciolatka, ile że odkrył, iż myśli o klonie – i o sobie samym – jak gdyby obaj rzeczywiście byli tak młodzi. Jak mógłby zesłać to dziecko na wygnanie???

Odsunął jednak na bok tę absurdalną myśl.

– I jak?

Klon zdawał się oszołomiony.

– Ja.

– Wiesz, co chcę usłyszeć – podpowiedział mu Peer. – Jesteś gotowy? Jesteś szczęśliwy z powodu tego, co cię czeka? Czy podjąłem właściwą decyzję? Tylko ty znasz obecnie odpowiedzi na te pytania.

– Ale ja nie wiem. – Klon błagalnie popatrzył na Peera, jak gdyby oczekując naprowadzenia. – Dlaczego to robię? Przypomnij mi.

Peer był zszokowany, ale dezorientacja klonu nie była tu niczym nieoczekiwanym. Jego własny głos brzmiał zupełnie „normalnie” – dzięki nerwowym dostrojeniom – lecz klon nadal mówił jak przestraszone dziecko.

– Kate – powiedział Peer łagodnie. – Chcemy z nią być... z obiema jej wersjami.

Klon gorączkowo pokiwał głową.

– Oczywiście. – Zaśmiał się nerwowo. – i oczywiście, że jestem gotów. Wszystko w porządku. – Jego oczy przeczesywały podwórko, jak gdyby poszukiwał drogi ucieczki.

Peer poczuł, jak coś ściska go w piersi.

– Nie musisz tego ciągnąć, jeżeli nie chcesz – powiedział głosem wycutym z wszelkich emocji. – Zdajesz sobie z tego sprawę. Jeżeli to

właśnie wolałbyś zrobić, to już teraz możesz się katapultować.

Klon wyglądał teraz na jeszcze bardziej zaniepokojonego.

– Nie chcę tego! Chcę wyruszyć w podróż na gapę z Kate. – Zawahał się i dodał: – Tam będzie szczęśliwsza, bezpieczniejsza. I naprawdę chcę z nią być; chcę ją poznać z tej strony.

– Co w takim razie jest nie tak?

Klon padł na kolana w pyłe. Przez chwilę Peerowi wydawało się, że łka, ale po chwili uświadomił sobie, że wydawanym przez tamtego dźwiękiem jest śmiech.

Klon odzyskał zimną krew i odpowiedział: – Wszystko w porządku, ale jak niby oczekiwałeś, że to przyjmę? Tylko nasza dwójka, odcięta od całej reszty. Nie tyle od samego rzeczywistego świata, ile nawet od wszystkich pozostałych Kopii.

– Jeżeli poczujesz się samotny, zawsze możesz wygenerować nowych ludzi – stwierdził Peer. – Będziesz miał dostęp do oprogramowania odpowiedzialnego za ontogenezę. A nie będziesz miał żadnego powodu, by przejmować się spowolnieniem.

Klon ponownie zaczął się śmiać. Łzy ściekały mu po twarzy. Zwijając się ze śmiechu, zaczął się tarzać po ziemi. Oszołomiony Peer tylko mu się przyglądał.

– Teraz, kiedy sam staram się uzbroić w męstwo dotyczące ślubu, ty już straszysz mnie dziećmi – powiedział klon.

Nieoczekiwanie sięgnął, schwycił Peera za kostkę i ściągnął go ze stopnia. Pośladki Peera uderzyły o ziemię, przesyłając przez jego ciało falę bólu. Jego pierwszym odruchem było zamrożenie klonowi możliwości interakcji, ale powstrzymał się. Nie znajdował się w żadnym niebezpieczeństwie – a jeżeli jego bliźniak chciał wylądować na bracie–

kreatorze część swojej agresji, to mógł to wziąć na siebie. W końcu byli jak dwie krople wody.

Dwie minuty później Peer leżał z twarzą w pyłe, z rękoma unieruchomionymi za plecami. Klon klęczał na nim, bez tchu, lecz pełen triumfu.

– W porządku, wygrałeś – wydyszał Peer. – Teraz zejź ze mnie – albo podwoję swój wzrost, dołożę sobie czterdzieści kilo, wstanę i stłukę cię na kwaśne jabłko.

– Wiesz, co powinniśmy zrobić? – zapytał klon.

– Podać sobie dłonie i rozejść się.

– Rzucić monetą.

– Po co?

Klon zaśmiał się.

– A jak ci się wydaje?

– Powiedziałeś, że z przyjemnością pojedziesz.

– I tak jest. Ale ty też powinieneś czuć to samo. Proponuję więc rzucić monetą. Jeżeli wygram, to wymienimy się numerami klucza.

– To nielegalne!

– Nielegalne? – Głos klona był pełen pogardy. – Posłuchaj sam, jak Kopia Solipsystycznej Nacji odwołuje się do praw świata zewnętrznego! Bardzo łatwo da się to zrobić. Istnieje konieczne oprogramowanie. Potrzebna jest tylko twoja zgoda.

Trudno mu było mówić. Wypłuł piasek, ale jakieś ziarenko, którego nie mógł usunąć, zaklinowało mu się pomiędzy zębami. Poczuł jednak intrygującą niechęć do tego, by „oszukać” i usunąć je z ust, a podobna niechęć dotyczyła usunięcia klona z własnych pleców. Już tyle czasu minęło, odkąd musiał znosić najmniejszą choćby niewygodę, że nowość tego, co odbierał, przewyższała wszelkie niedogodności.

– Niech będzie – uległ. – Zrobię to.

A co, jeśli przegram? Ale dlaczego miałby się tym przejmować? Pięć minut temu gotów był powołać do życia klon mający pojechać na gapę. Stać się tym klonem.

Razem stworzyli monetę, gdyż był to jedyny sposób, by móc mieć pewność, że ta nie podlega żadnym ukrytym wpływom. Wywołany wspólnie edytor rzeczywistości zaproponował im gotowy, standardowy przedmiot konieczny do ich celów, który wspólnie upodobnili do monety funtowej. Fizyka rzucania prawdziwą monetą na nic by się tu nie zdała, gdyż każda Kopia mogłaby z łatwością przeliczyć i wykonać ruch kciuka prowadzący do z góry ustalonego wyniku. Rezultat miał być kontrolowany przez generator liczb losowych, znajdujący się głęboko w ukrytych warstwach systemu operacyjnego.

– Ja rzucam, ty wybierasz – rzekł Peer, dokładnie w tym samym momencie co klon. Zaśmiał się. Klon nieznacznie się uśmiechnął. Peer już miał ustąpić, ale zdecydował się poczekać. Kilka sekund później, tym razem już sam, powiedział: – w porządku – ty rzucaj.

Moneta poleciała w górę. Peer pomyślał o zamknięciu jej w jakimś większym obiekcie, niewidocznej cienkiej skorupie, która znajdowałaby się wyłącznie pod jego kontrolą, lecz długa lista atrybutów prawdziwej monety prawdopodobnie zawierała i lament wniebogłosy, jeśli prawdziwe oblicza monety zostałyby przesłonięte.

– Reszka! – wykrzyknął tuż przed uderzeniem monety o ziemię.

Obaj rzucili się na czworaki, nieomal zderzając głowami. Zbliżyła się kura. Peer odgonił ją skierowanym do tyłu kopniakiem.

Profil prezydenta Kinnocka lśnił w pyle.

Klon napotkał wzrok Peera, który robił, co mógł, by nie okazywać ulgi – bliski rozerwania więzów z własnym ciałem. Starał się odczytać cokolwiek

z wyrazu twarzy klona, jednak bezskutecznie. Wszystkim, co dostrzegł, było odbicie własnego narastającego paraliżu. Pirandello powiedział kiedyś, że niemożliwe jest, by wpatrując się w lustro poczuć jakiegokolwiek prawdziwe emocje. Peer zdecydował się przyjąć to za dobry omen. Wciąż jednak, mimo wszystko, byli jedną i tą samą osobą – i o to właśnie tu chodziło.

Klon wstał z ziemi, otrzepał kolana i łokcie. Peer wyciągnął z tylnej kieszeni dżinsów przyozdobioną hologramem kartę biblioteczną, którą następnie przekazał klonowi. Była to ikonka kopii wszystkich środowisk, wszystkich wykonanych na zamówienie narzędzi, ciał, wspomnień i innych danych zebranych od czasu zmartwychwstania.

– Nie martw się o mnie – powiedział klon. – Ani o Kate. Zaopiekujemy się sobą nawzajem. Będziemy szczęśliwi. – Kiedy to mówił, przetransformował się gładko w starsze ciało.

– *Ditto* – odparł Peer, sięgnął do góry i dotknął dłoni młodego mężczyzny. Następnie wywołał jedno z okien kontrolnych i zamroził klona, pozostawiając unieruchomione ciało na widoku jako ikonę zarejestrowanego pliku. Skurczył go do wysokości kilku centymetrów, spłaszczył do rozmiarów dwuwymiarowej pocztówki i napisał na odwrocie: *DO MALCOLMA CARTERA*.

Następnie poszedł skrajem drogi do oddalonego o kilometr jednego z umieszczonych tu przez Kate smaczków – skrzynki pocztowej z napisem *US MAIL* – gdzie wrzucił pocztówkę.

19.

(Nie przekazuj żadnych braków)
(Remit not paucity)

czerwiec 2051

– Odlicz od dziesięciu – nakazała anestezjolog.

– Dziesięć – zaczęła Maria.

Śniła o tym, jak z walizką pełną pieniędzy stanęła u drzwi Franceski. Kiedy matka prowadziła ją wzdłuż korytarza, walizka otworzyła się i wyfrunęły z niej studolarowe banknoty, które niczym konfetti wypełniły całą przestrzeń.

Francesca odwróciła się. Promieniowała zdrowiem.

– Nie powinnaś była, skarbie – powiedziała delikatnie. – Ale rozumiem. Nie możesz tego zabrać ze sobą.

– Nie możesz siebie zabrać ze sobą – zaśmiała się Maria.

W pokoju gościnnym stał jej ojciec, ubrany jak w dniu własnego ślubu, mimo iż nie tak młody, jak wtedy. Jego twarz rozpromieniła się, gdy wyciągnął ku Marii ramiona. Jego rodzice, podobnie jak rodzice Franceski, stali tuż na nim, a kiedy Maria się zbliżała, zobaczyła z lotu ptaka, że za jej dziadkami znajdują się kuzyni i ciotki, pradziadkowie i ciocie–babcie, rząd za rządem pełen krewnych i przodków, rozciągający się daleko do wnętrza domu, a wszyscy z nich śmiali się i paplali ze sobą. Pieniądze przywróciły

ich do życia. Jakże mogła być tak samolubna, by chociażby pomyśleć o odmawianiu im tak hucznego zjazdu rodzinnego?

Torowała sobie drogę przez tłum, pozdrawiając ludzi, o których nie miała nawet pojęcia, kim właściwie są. Przystojni, ciemnoocy kuzyni, siódma woda po kisielu, całowali jej dłoń i szeptali komplementy w przepięknych, lecz niezrozumiałych dialektach. Zawołowane wdowy w eleganckich czarnych sukniach stały, trzymając się za ręce ze zmartwychwstałymi mężami. Dzieci kręciły się między nogami dorosłych, garściami wykradając jedzenie, by później w biegu wpychać je sobie do ust.

Neurolog pracująca w klinice okazała się daleką krewną. Maria przyłożyła dłonie do ucha kobiety, starając się przekrzyczeć panujący wokół zgiełk: – Zostałam już zeskanowana? Czy moja Kopia cokolwiek z tego zapamięta?

Neurolog wyjaśniła, że skan zapisuje jedynie wspomnienia utrwalone na stałe w synapsach, przez które przechodziły, zaś krótkotrwała elektrochemia obecnego snu zostanie utracona na zawsze.

– Utracona dla tego, komu się nie przydarza – dodała zagadkowo.

Maria poczuła, że się budzi. Nagle ogarnęły ją obawy, że może być Kopią, i z całych sił starała się nadal trwać we śnie, jak gdyby mogła przepchać się z powrotem przez tłum, z powrotem przez całe to miejsce, i opuścić je innym wyjściem. Ale scena zaczęła się rozmywać i stawać nieprzekonująca. Mogła już poczuć ciężką obecność budzącego się ciała: bolały ją ramiona i miała napuchnięty język.

Otworzyła oczy. Była sama w radośnie przystrojonej sali rekonwalescencyjnej Kliniki Landaua. Wiedziała o tym, gdyż przywieziono ją tutaj przed podaniem anestetyków, by mogła z punktu widzenia pacjenta wszystkiemu się przyjrzeć i dokładnie przekonać, czego ma później oczekiwać. A i tak kilka sekund zabrało jej wyrwanie się z prawdy snu. *Jej*

ojciec nie żył. Podobnie dziadkowie. Nie było żadnego wielkiego zjazdu rodzinnego. Nigdy nie będzie.

A co do Kopii – jej plik skanu jeszcze nawet nie powstał, gdyż na przetworzenie pierwotnych danych tomograficznych w wysokiej rozdzielczości mapę anatomiczną potrzeba było kilku godzin. A ona wciąż mogła zmienić zdanie i nie przekazać tych wyników w ręce Durhama. To on zapłacił za skan, ale gdyby odmówiła przekazania pliku, nie mógłby nic na to poradzić.

Sala rekonwalescencyjna była miękko oświetlona i przyozdobiona pozbawionymi zapachu niebieskimi i pomarańczowymi kwiatami. Maria przymknęła oczy. Jeżeli logika Durhama miała tu jakieś znaczenie, to pierwotne dane tomograficzne mogłyby prawdopodobnie same się przetworzyć, odnaleźć własną świadomość, równie łatwo jak każda z Kopii, która została poszatkowana i uruchomiona w sposób losowy. Nie istniała potrzeba tworzenia końcowego pliku skanu.

Nie było nawet potrzeby przeprowadzania samego skanu, gdyż dokładnie takie same dane z pewnością istniały rozproszone we wszechświecie i nie było ważne, czy zostały wyrwane z jej mózgu i złożone w coś, co ona sama odbierała jako pojedyncze miejsce, czy też nie.

W rzeczywistości, jeśli Durham miał rację – jeśli wydarzenia, które jego zdaniem miały miejsce we wszechświecie TVC, mogły odnaleźć się same w pyłe – wtedy te wydarzenia wydarzyłyby się tak czy inaczej. Niezależnie od tego, co zrobiłby ktokolwiek na tym świecie. Cały projekt Ogrodu Eden byłby zbyteczny. Każda permutacja pyłu, która była zdolna sama się dostrzec, nadając sobie sens, dokładnie tak by zrobiła. A wszystkim, co osiągnęłyby Maria, odmawiając poddania się skanowi, byłoby odmówienie sobie takiej permutacji historii, która zdawała się dokładnie nakładać z tym

szczególnym życiem. Podczas gdy trzecia kobieta – w zupełnie innym świecie, kolejnej permutacji – zajęłaby jej miejsce w tej roli.

Otworzyła oczy. Właśnie przypomniała sobie, co miała zrobić zaraz po przebudzeniu. Każdy ze skanerów zaprogramowano w ten sposób, by rozpoznawał – w czasie rzeczywistym, nim jeszcze nastąpiło wszelkie żmudne przetwarzanie danych – widmo rezonansu magnetycznego czterech czy pięciu specjalnie wybranych barwników, wykorzystywanych do identyfikacji oraz właściwego ustawienia pacjenta podczas skanu. Technik wykonujący skan usłużnie pożyczył jej marker „numer trzy” i poinstruował skaner, by nie dostrzegał tego konkretnego koloru.

Wysunęła ręce spod pościeli. Na lewej dłoni wciąż miała napisane: *NIE JESTEŚ KOPIĄ.*

Polizała palce i zaczęła ścierać niepotrzebne już słowa.



Kiedy przybyła do mieszkania Durhama w północnym Sydney, było około wpół do pierwszej. Durham ustawił obok siebie dwa terminale na kuchennym stole, lecz poza tym miejsce pozostawało równie ogołoczone jak wtedy, kiedy była tu ostatnim razem.

Mimo iż nie było to, przynajmniej technicznie, konieczne, Maria nalegała, by być tu z nim podczas tego, co nazwał „rozruchem” – uruchomienia kilku początkowych chwil wszechświata TVC jako oprogramowania na zwykłym komputerze, akcji, która miała najprawdopodobniej zasiać niezależny, będący w stanie samodzielnie się podtrzymać wszechświat, mający działać tam, gdzie zaprzestanie tego wersja opierająca się na faktycznie istniejącym sprzęcie. Będąc u jego

boku, przynajmniej mogła mieć oko na naciskane przez niego klawisze, jak również na wypowiedzane słowa, i nie musiała się nieustannie zastanawiać, czy to, co jej pokazuje, jest tym, co w rzeczywistości się tam dzieje. Nie miała pojęcia, przed czym się chroni w ten sposób, lecz Durham należał do bardzo inteligentnych osób z kilkoma dziwnymi przekonaniem, a ona nie miała żadnych powodów, by być święcie przekonaną, że odsłonił przed nią pełen rozmach swoich urojeń. Jego klienci potwierdzili część opowiedzianej przez niego historii – a mieli przecież możliwości, by sprawdzić jego słowa o wiele dokładniej niż ona – ale Durham wciąż mógł ich okłamywać względem tego, co tak naprawdę działo się w jego głowie.

Chciała mu zaufać, chciała uwierzyć, że wreszcie dotarła do sedna prawdy, ale trudno było narzucić jakiegokolwiek ograniczenia temu, jak bardzo mogłaby się jeszcze mylić. Czowała, że zna go zbyt długo, by na poważnie obawiać się o swoje fizyczne bezpieczeństwo, ale wciąż istniała możliwość, że wszystko, co rzekomo wiedziała na jego temat, okaże się po raz kolejny całkowicie błędne. Gdyby podszedł do niej znad kuchennego zlewu, wywijając nożem do krajania mięsa, i spokojnie oznajmił swoje zamiary złożenia jej w ofierze Duchowi Nowego Księżyca, to nie miałaby najmniejszego prawa poczuć się zdradzona czy zaskoczona. Nie mogła oczekiwać, że sama będzie zerować na jego postępującym obłędzie, a równocześnie przyjmować za pewnik zwyczajowe parametry określające cywilizowane zachowanie.

Durham z krwi i kości był jedynie częścią całego problemu. Plan był taki, że po rozpoczęciu pracy programu symulującego komórkowy automat TVC ani ona, ani on nie będą w najmniejszym stopniu weń ingerować. Wszelkie ingerencje z zewnątrz pogwałciłyby zasady automatu – fundamentalne prawa nowego wszechświata – wystawiając tym samym na pośmiewisko całe przedsięwzięcie. Jedynie Kopia Durhama, uruchomiona

na symulowanych komputerach TVC, mogłaby działać w harmonii z tymi prawami. Zawsze mogliby skorzystać z opcji przerwania projektu, wyciągnięcia wtyczki z gniazdka, ale pod każdym innym względem pełna kontrola leżałaby w gestii Kopii.

(Oczywiście przerwanie symulacji w momencie, kiedy coś poszłoby nie tak, jak należy, nie zapobiegłoby – przynajmniej w oczach Durhama – rozprzestrzenianiu się niezależnego świata poza ich kontrolą, lecz mogłoby przynajmniej pozostawić im wystarczającą ilość niewykorzystanego czasu komputerowego do podjęcia kolejnej próby).

Skoro po uruchomieniu wszechświata mieli związane ręce, ich jedynym sposobem wpływu na to, co działo się tam, w środku, była konfiguracja Ogrodu Eden, zawierająca wszystkie programy, które miały zostać pierwotnie uruchomione na siatce TVC. Maria własnoręcznie napisała fragment tego wewnętrznego oprogramowania rozruchowego, a Durham dopisał, albo też zlecił, całą resztę, lecz osobiście sprawdziła całość i wbudowała tam pewne zabezpieczenie: wszelkie Kopie, z wyjątkiem tej Durhama, zostały zablokowane przed uruchomieniem do czasu, aż procesory TVC rozwiążą odpowiednio złożone równanie matematyczne. Maria z grubsza określiła, że wszelkie połączone moce obliczeniowe tego świata nie mogłyby rozgryźć tego problemu w mniej niż dekadę, a koszt trzydziestu milionów dolarów, minus koszty administracyjne, nawet nie zbliżyłby nikogo do odpowiedzi. Co w oczach Durhama i jego popleczników wcale nie było jakąś wielką przeszkodą, gdyż nieustannie powiększające się zasoby rozrastającego się wszechświata TVC uczyniłyby z tego problemu matematycznego wręcz banalne zadanie, rozwiązując to równanie w przeciągu tygodnia czy dwóch od chwili rozruchu. Ale dopóki taki wszechświat nie został powołany do życia – i dopóki nie dało się obejść jej testu – nie istniały najmniejsze nawet szanse na przebudzenie

drugiej Marii Deluca, ani nikogo innego. Tak wyglądała jej gwarancja, mająca na celu niedopuszczenie do powtórki z tragedii w Jonestown, tym razem w wersji wirtualnej. Miał jedynie pojawić się i zniknąć z istnienia samotny prorok.

Durham zrobił kawę rozpuszczalną. Maria rozejrzała się uważnie po spartańsko umeblowanym pomieszczeniu.

– Wiesz – powiedziała – to nie wygląda dla mnie wystarczająco dobrze. Powinniśmy tu mieć dwustu ludzi ze słuchawkami i gigantyczny ekran przysyłający całą ścianę. Podobny do tych, których używała NASA w czasie dawnych misji kosmicznych.

Durham odpowiedział jej nad piskiem gotującej się wody: – Nie martw się, w czasie jednej sekundy zużyjemy więcej mocy obliczeniowej niż NASA w przeciągu całego programu Apollo.

Moc obliczeniowa. Kolejna z rzeczy, o którą należało się martwić. Maria zalogowała się na QIPS Exchange. Kurs nieznacznie skoczył do góry, odkąd sprawdzała go po raz ostatni, ale do tej pory nie było widać żadnych oznak tego, czego najbardziej się obawiała. Gdyby do gry po raz kolejny weszła Operacja Motyl, i to akurat dzisiaj ze wszystkich możliwych terminów, Ogród Eden zostałby zamrożony i musiałby poczekać aż do czasu, kiedy kurs QIPS wróci do normalnego poziomu. Nie przysporzyłoby to żadnych, nawet najmniejszych niedogodności Durhamowi i stojącym za nim bogaczom, nawet gdyby program rozruchu został usunięty z sieci podczas uruchamiania i dokończony dopiero w kilka dni, czy nawet tygodni, później. Czas rzeczywisty był tu zupełnie nieistotnym czynnikiem. Maria potrafiła docenić tę logikę, ale myśl o opóźnieniu, czy jakichkolwiek nieoczekiwanych spowolnieniach, wciąż sprawiała, że była chora z niepokoju. Każda uzyskana przez nią opinia prawna stawiała sprawę jasno – wcale nie było prawdopodobne, by ona czy Durham mieli stanąć przed

sądem, a nawet gdyby postawiono im zarzuty, to wyrok i tak byłby wysoce nieprawdopodobny. A gdyby jednak doszło i do tego, apelacja i tak niemalże z pewnością zakończyłaby się sukcesem. Niemniej jednak każdy kolejny dzień spędzany przez nią na pracy z Durhamem, w roli jego zaufanego „wspólnika”, sprawiał, że czuła się jedynie coraz bardziej bezbronna względem najmniejszego nawet widzimisię władz. Hayden, kiedy Maria powiedziała jej, że porzuca śmiechu wartą rolę „tajnej wtyczki”, potraktowała ją lodowato. Ryzyko szykan z jej strony co prawda raczej nie zniknęłoby w chwili ukończenia całego projektu, ale ulga spowodowana jego finalizacją wciąż byłaby znacząca.

Zaczynała żałować, że dotrzymała obietnicy i nie starała się nagrać oświadczeń klientów Durhama, którzy zapewniali ją, że są w pełni poinformowanymi uczestnikami projektu. Obejrzane na publicznych terminalach wiadomości z potwierdzoną autentycznością nie były odpowiednikiem ludzkich zeznań, ale gdyby tylko posiadała je zapisane na jakimś chipie, czułaby się o wiele bezpieczniejsza. Niezależnie od prawnego statusu Kopii, nie potrafiła sobie wyobrazić, że mogłaby stanąć przed sądem, oskarżona o malwersacje finansowe, gdyby tylko była w stanie wykazać, że „ofiary zbrodni” *de facto* dokładnie wiedziały, za co płacą.

Durham postawił przed nią na stole kawę. Kiedy siadał obok, Maria wymamrotała podziękowanie.

– Żadnych wątpliwości? Jeśli chcesz, wciąż możesz się wycofać.

Nie oderwała wzroku od ekranu, na którym migotał diagram kołowy przedstawiający użytkowników korzystających obecnie z QIPS Exchange.

– Nie kuś mnie – stwierdziła, jak gdyby na poważnie rozważała zniszczenie swojej jedynej prawdziwej szansy na skan matki, po całej włożonej w to do tej pory pracy i wszystkich zszarganych nerwach, nie

mając na dodatek lepszego powodu, niż śmiechu warta mikroskopijna obawa, że ten sztuczny wszechświat rzeczywiście może rozkwitnąć w samodzielny i niezależny byt.

Znajdujący się przed Durhamem terminal zapiszczał. Maria spojrzała w kierunku ekranu, na którym pole wiadomości głosiło: *KOMUNIKACJA PRIORYTETOWA*. Odwróciła wzrok, gdy czytał tekst otrzymanej wiadomości.

– Skoro o wątpliwościach mowa, Riemann zmienił zdanie. Chce się przyłączyć.

– Cóż, powiedz mu, że się spóźnił – odpowiedziała wyraźnie poirytowanym głosem. – Powiedz mu, że jest już za późno, by przyłączyć się do naszej wycieczki. – Nie mówiła poważnie, gdyż z tego, co było jej wiadomo na temat strony finansowej projektu, nawet doprowadziwszy sprawę do końca Durham ledwie mógł wyjść na zero. Cena kolejnego biletu zupełnie odmieniłaby jego finansową sytuację.

– Wyluzuj – stwierdził. – Zapakowanie go do środka zajmie najwyżej pół godziny. A wniesiona przez niego opłata pozwoli nam pokryć o wiele więcej niż samo tylko zwiększenie ilości danych. Zdołamy przeprowadzać rozruch odrobinę dłużej.

Trwało to chwilę, nim sens wypowiedzianych przez niego słów wreszcie do niej dotarł.

– Masz zamiar wyrzucić przeszło dwa miliony euro na przedłużenie czegoś, co.

– Co „co”? – Durham się uśmiechnął. – Co i tak zadziała?

– Twoim zdaniem!

– Im dłużej będę mógł obserwować własną Kopię, jak przypatruje się wszechświatowi TVC, tym będę szczęśliwszy. Nie wiem, czego będzie potrzeba, by zakotwiczyć tam zasady automatu, ale skoro dziesięć

niepodważalnych eksperymentów brzmi nieźle, to jedenaście takich eksperymentów brzmi o niebo lepiej.

Maria odsunęła krzesło i odeszła od terminalu. Durham wystukiwał coś na swojej klawiaturze, początkowo uruchamiając programy przeliczające konfigurację Ogrodu Eden, by zawrzeć w niej dane nowego pasażera z całym jego bagażem, a następnie przelewając nieoczekiwany dopływ gotówki Riemanna wprost na rachunek projektu na JSN.

– Co z tobą nie tak? – zapytała. – Dwa miliony euro to więcej niż dwa miliony dolarów! Mógłbyś sobie za to spokojnie pożyczyć przez resztę swojego życia!

Durham nie przerwał pisania, przesyłając dokumenty Riemanna przez serię kontroli prawnych.

– Jakoś się bez nich obejść.

– Przekaż je więc na cele dobroczynne!

Durham zmarszczył brwi, lecz odpowiedział cierpliwie: – Przyjmuję, że sam Thomas Riemann co roku szczerze przekazuje fundusze na walkę z głodem i badania nad uprawami roślinnymi. Sam zdecydował się wydać własne pieniądze na miejsce w moim sanktuarium, trudno więc mówić, bym miał prawo przekazywać jego fundusze na jakikolwiek inny cel, który tobie czy mnie wydaje się być bardziej wartościowy. – Spojrzał na nią i dodał kpiarsko–poważnym tonem: – Panno Deluca, to właśnie nazywamy malwersacją finansową. Za coś takiego można trafić za kratki.

Maria była niewzruszona.

– Mogłeś sobie coś zostawić. Na życie tutaj, w tym świecie. Nie wyobrażam sobie, by którykolwiek z twoich klientów oczekiwał, że robisz to wszystko za darmo.

Durham zakończył prace przy terminalu i odwrócił się do niej.

– Nie oczekuję, że to zrozumiesz. Traktujesz cały projekt jako żart – i niech tak już zostanie. Ale nie możesz przecież oczekiwać, że i ja będę go odbierał w podobnych kategoriach.

Maria tak naprawdę nie miała pojęcia, o co jest zła. O opóźnienie rozruchu? o obrzydliwe trwonienie pieniędzy? Czy też o to, że siedzący obok niej Durham, jak zawsze do tej pory, brzmi doskonale sensownie we własnych oczach?

– Ten projekt jest żartem – stwierdziła. – Trzysta milionów ludzi na całym świecie mieszka w obozach dla uchodźców, a ty oferujesz sanktuarium ledwie szesnastu miliardom! Przed czym niby potrzebują oni ochrony? Nigdy nie wybuchnie żadna rewolucja skierowana przeciwko Kopiom! Nigdy nie zostaną wyłączeni! Wiesz równie dobrze jak ja, że będą po prostu tam sobie tkwić i przez kolejne dziesięć tysięcy lat robić się coraz bardziej obrzydliwie bogaci!

– Prawdopodobnie.

– Więc sam w takim razie jesteś oszustem, czyż nie? Nawet jeżeli twoje „sanktuarium” naprawdę zostanie powołane do życia, nawet jeżeli udowodnisz, że twoja drogocenna teoria jest słuszną, co wtedy zyskają popierający cię ludzie? Wysyłasz ich klony do odosobnionego więzienia, i tylko tyle. Równie dobrze mógłbyś ich umieścić w czarnej skrzynce na dnie szybu kopalnianego.

– To nie do końca prawda – stwierdził łagodnie. – Mówisz o Kopkach przeżywających dziesięć tysięcy lat. Co byś powiedziała na dziesięć miliardów? Sto miliardów?

Wykrzywiła twarz.

– Nic nie przetrwa tak długo. Jeszcze o tym nie słyszałeś? Ostatnio odkryto wystarczającą ilość ciemnej materii, by mieć absolutną pewność, że

wszechświat przestanie się rozszerzać mniej więcej za czterdzieści miliardów lat.

– Istotnie. Ten wszechświat nie przetrwa.

Maria sarkastycznie pokiwała głową i starała się rzucić coś bagatelizującego wypowiedziane właśnie przez niego stwierdzenie, ale słowa ugrzęzły jej w gardle.

Durham pogodnie kontynuował:

– Wszechświat TVC nie załamie się nigdy. Nigdy. Sto miliardów lat, sto bilionów lat, czas nie ma tu żadnego znaczenia, ten wszechświat zawsze będzie się rozszerzał.

– Entropia. – słabo wykrztusiła z siebie Maria.

– Nie jest tu żadnym problemem. W rzeczy samej „rozszerzanie się” nie jest właściwym słowem. Wszechświat TVC narasta niczym kryształ, a nie nadyma się jak balon. Tylko o tym pomyśl. Naciąganie zwykłej przestrzeni zwiększa entropię, gdyż wszystko staje się bardziej rozprzestrzenione, bardziej nieuporządkowane. Dobudowywanie coraz to większej liczby automatów komórkowych TVC daje jedynie coraz więcej miejsca na dane, zwiększa moc obliczeniową, powoduje zwiększenie uporządkowania. Zwykła materia uległaby wreszcie rozpadowi, ale te komputery nie zostały stworzone z materii. W zasadach automatów komórkowych nie ma ani jednego słowa, które mogłoby je powstrzymać przed wiecznym trwaniem.

Maria nie była pewna, co sobie wyobrażała od samego początku. Że wszechświat Durhama – który byłby zrobiony z tego samego „pyłu” co prawdziwy, tyle że ów „pył” byłby zaledwie inaczej poustawiany – kończyłby dokładnie w ten sam sposób? Nie mogła poświęcić tej kwestii więcej przemyśleń, ponieważ to, do czego prowadziła, było bezsensowne. Do poprzestawiania dochodziło zarówno w czasie, jak i przestrzeni; wszechświat Durhama mógłby brać jeden punkt czasoprzestrzeni z chwili

tuż przed Wielkim Krachem, po którym następowałyby kolejne, tym razem pochodzący z dziesięciu milionów lat przed naszą erą. I nawet gdyby całkowita istniejąca ilość „pyłu”, na którym można było działać, okazała się skończona, nie było żadnego powodu, by poszczególne chwile nie mogły zostać użyte ponownie w różnych kombinacjach, raz za razem. Przyszłość automatu TVC musiała być zaledwie wewnętrznie spójna, a całość nie miała by powodu, by kiedykolwiek dobiec końca.

– Obiecałeś im więc... nieśmiertelność? – zapytała.

– Oczywiście.

– Dosłowną nieśmiertelność? Przeżycie naszego wszechświata?

Durham udawał niewiniątko, ale wyraźnie było widać, jak smakuje szok będący właśnie jej udziałem.

– To właśnie przecież oznacza to słowo. Nie oznacza „umieranie po bardzo długim czasie”, a jedynie „nieumieranie, koniec, kropka”.

Maria skrzyżowała ramiona i oparła się o ścianę, starając się pozbyć uczucia, że cała tocząca się teraz dyskusja była równie nieistotna jak wszystkie halucynacje Durhama na oddziale psychiatrycznym szpitala w Blacktown. Pomyślała: *Kiedy Francesca zostanie zeskanowana, pojedę na wakacje. Jeżeli będę musiała, odwiedzę Adena w Seulu. Cokolwiek, byle tylko uciec z tego miasta, od tego człowieka.*

– Takie pomysły są wyjątkowo potężne – stwierdziła. – Pewnego dnia kogoś zranisz.

Kiedy to powiedziała, on sam wyglądał na zranionego.

– Staralem się jedynie być uczciwy – odpowiedział. – wiem, że na początku cię okłamałem – i bardzo teraz tego żałuję. Nie miałem prawa tak robić. Ale co niby mogłem zrobić z dręczącą mnie prawdą? Trzymać ją pod kluczem wewnątrz własnej głowy? Ukryć przed światem? Nie dać nikomu szansy, by mógł w nią uwierzyć lub samodzielnie ją odrzucić? – Skupił na

niej wzrok, spokojny i rozsądny jak zawsze; odwróciła oczy, kontynuował:
– Kiedy po raz pierwszy wyszedłem ze szpitala, chciałem wszystko opublikować... i starałem się. Ale nikt poważny nie był tym zainteresowany, a publikacja w periodykach zajmujących się pseudonauką byłaby jedynie przyznaniem się, że wszystko to bzdury. Cóż więc innego mi pozostało, niż poszukiwania prywatnych sponsorów?

– Rozumiem – odpowiedziała. – Zapomnij o tym. Zrobiłeś, co uważałeś za słuszne. Nie winię cię za to. – wypowiedziane komunały niemalże ją zadławiły, ale tyle tylko potrafiła wymyślić, by wreszcie zamilkł. Było jej niedobrze od tego ciągłego przypominania, że pomysły, które dla niej były zaledwie środkiem do osiągnięcia celu i od których już za osiem godzin miała się na zawsze uwolnić, dla niego były kwintesencją życia.

Przyjrzał się jej przenikliwie, jak gdyby autentycznie szukając u niej rady.

– Gdybyś wierzyła w to, co ja, czy zatrzymałabyś to tylko dla siebie? Czy mogłabyś dalej żyć własnym życiem, udając przed całym światem, że zaledwie postradałaś zmysły?

Pisk dobywający się ze znajdującego się przed nim terminala ocalił ją przed udzieleniem odpowiedzi. Konfiguracja Ogrodu Eden została właśnie przeliczona. Dane Thomasa Riemanna zostały dołączone do odpowiednika Wielkiego Wybuchu dla świata automatu komórkowego.

Durham okręcił swe krzesło, by zwrócić się do ekranu.

– Wszyscy na pokład statku głupców! – wykrzyknął radośnie.

Maria zajęła miejsce u jego boku. Sięgnęła i niezobowiązująco dotknęła jego ramienia. Nie spoglądając na nią, wyciągnął rękę i delikatnie uścisnął jej dłoń, a następnie ją odsunął.

Zgodnie z długą tradycją automatów komórkowych, program przywołujący do życia wszechświat TVC nazywał się *FIAT*. Durham

nacisnął klawisz i ikona eksplodującej gwiazdy pojawiła się na obu ekranach.

Odwrócił się do Marii.

– Czyń honory.

Już miała zaprotestować, ale doszła do wniosku, że nie warto było się o to kłócić. Część wykonanej pracy wprowadzie była jej dziełem, ale wszystko i tak było kreacją Durhama, nieważne, kto przecinał wstęgę.

Trąciła ikonkę. Ta eksplodowała niczym tani, olśniewający fajerwerk, pozostawiając na ekranie kropeczki jaśniejących na czerwono i zielono śladów.

– Bardzo badziewiarskie.

Durham wyszczerzył zęby.

– Tak myślałem, że ci się spodoba.

Dekoracyjny rozmach rozplynął się, a w jego miejscu pojawił się lśniący, niebiesko-biały sześcian: reprezentacja wszechświata TVC. Konfiguracja Ogrodu Eden zawierała miliard gotowych procesorów, po tysiącu wzdłuż każdej z krawędzi sześcianu, ale ten dokładny opis był już dawno przedawniony. Maria ledwie mogła rozróżnić pojedyncze maszyny, przypominające maleńkie kryształki. Każda drobinka zawierała sześćdziesiąt milionów komórek automatów, nie licząc szeregów pamięci, które rozciągały się w trzech dodatkowych wymiarach, ukrytych przed ich wzrokiem. Dane, które załadowali już wcześniej do większości procesorów, można było mierzyć w terabajtach: pliki skanów, biblioteki, bazy, ziarno dla Lambert, jej słońca oraz trzech ogołoconych siostrzanych planet. Wszystko zostało złożone – o ile nie na fizycznie istniejącym komputerze, skoro automat TVC był najprawdopodobniej rozdzielony pomiędzy piętnastoma czy dwudziestoma klastrami procesorów, to przynajmniej w jedną logiczną całość. Jeden wzór.

Durham tak długo zmniejszał tempo pracy wewnętrznego zegara, aż niebiesko-białe błyski zwolniły do stroboskopowych migotań, a wreszcie i te zostały zastąpione jeszcze szybszym przeskakiwaniem obu kolorów. Najbardziej wysunięte na zewnątrz procesory dobudowywały kolejne kopie samych siebie. W obserwowanym przez nich obrazie zakodowane na niebiesko były ukończonymi, działającymi procesorami, a te zakodowane na biało częściowo ukończonymi maszynami. Każda warstwa niebieskiego dobudowywała warstwę bieli, która nieoczekiwanie stawała się niebieska, i tak raz za razem. Zewnętrzna powłoka obserwowanego przez nich wszechświata pojawiała się wraz z instrukcją dobudowywania kolejnej warstwy, dokładnie takiej samej jak ona (zawierającej kopie tych samych instrukcji), by następnie oczekiwać na dalsze instrukcje, mające nadejść z centralnego węzła tego wszechświata.

Durham zbliżył to, co obserwowali, o jakieś dwieście razy i jeszcze bardziej zwolnił tempo zegara, a następnie tak zmienił reprezentację obrazu, by przedstawiał on poszczególne komórki automatów w postaci zakodowanych kolorami symboli. Procesory zostały przekształcone z niczym się niewyróżniających niebieskich i białych sześciąt w złożone, wielokolorowe, trójwymiarowe labirynty, prostoliniowe filigrany ożywiane rozbłyskami światła.

W bólach porodowych obserwowanych przez nich reprodukcji można było dostrzec, jak z każdego procesora kiełkują setki par cieniutkich czerwonych i zielonych „konstrukcyjnych drucików”. Wyrastały wprost w otaczającą je na zewnątrz pustkę, dopóki nie dochodziły do tej samej, z góry ustalonej odległości, a wtedy nieoczekiwanie obracały się ostro o sto osiemdziesiąt stopni i zaczynały wyrastać w kierunku przeciwnym. Jaśniejące złożonymi, przemieszczającymi się prążkami druciki poruszały się zygzakiem tam i z powrotem pomiędzy powierzchnią macierzystego

komputera a nieoznaczoną płaszczyzną graniczną, dopóki zupełnie nie wypełniły znajdującej się pomiędzy nimi przestrzeni, niczym jakiś dziwny elektroniczny jedwab, tkany w solidny kokon.

W zbliżeniach druciki zamieniały się w długie linie komórek oznaczonych ostrzami strzałki. Niektóre przedstawiane były w jaśniejszych barwach – te reprezentowały „zaktywowane” stany. Żarzące się paski zbudowane z kodu binarnej jasności i ciemności poruszały się wzdłuż drucika od strzałki do strzałki: to dane projektu maszyn potomnych były przenoszone z pamięci centralnej.

Przy jeszcze bardziej zwolnionym tempie proces można było prześledzić ze szczegółami. Ilekroć puls jasności docierał do końca takiego konstrukcyjnego drucika, przezroczysta „próżnia” stanu zero ulegała transformacji w komórkę „embrionalną”, przedstawianą jako niczym się niewyróżniający szary sześcian. W późniejszym czasie nadchodzące dane określały nowej komórce, czym ma się stać, a każdy impuls, czy też jego brak, przekształcał ją w odrobinę bardziej wyspecjalizowany stan przejściowy, prowadzący do ściśle określonego, wymaganego stanu końcowego. Konstrukcyjne druciki wyrastały z komputera macierzystego, używając dokładnie tej samej zasady i wydłużając się dzięki dobudowaniu na końcach.

Po wypełnieniu całego regionu, który miał zostać zajęty przez komórkę potomną, druciki pracowały do tyłu, cofając się krok po kroku, rozsnuwając zygzakowaty kokon i pozostawiając po sobie wszystko, czego tylko wymagał od nich projekt. Cały proces wyglądał groteskowo niewydajnie, bowiem o wiele więcej czasu schodziło na wydłużaniu się i wycofywaniu samych drucików niż na tworzeniu komórek maszyn potomnych, lecz pozwalało to zachować zasady automatu komórkowego najprościej, jak tylko było to możliwe.

– Jak dla mnie wszystko wygląda, jak należy – stwierdził Durham. – Możemy kontynuować?

– Pewnie.

Maria była coraz bardziej zahipnotyzowana. Zapomniała o własnej chęci, by doprowadzić to wszystko jak najszybciej do końca; zapomniała się.

– Przyspiesz – powiedziała.

Nie doszłoby do zrobienia niczego użytecznego, gdyby nieprzerwanie trzymali się prędkości pozwalającej im na śledzenie przebiegu wydarzeń na poziomie indywidualnych procesorów, nie wspominając już o poziomie indywidualnych komórek. Durham pozwolił tempu zegara wrócić do maksymalnego, na jakie mogli sobie obecnie pozwolić, a siatka ponownie się rozmazała.

W przeciwieństwie do poprzednio obserwowanego etapu, kolejny był boleśnie wolny. Durham przygotował kawę i kanapki. Wszystkie koszty ogólne związane z uruchomieniem Kopii na systemie komputerów, który sam w sobie był symulacją, dodawały jeszcze swoje trzy grosze do spowolnienia wynoszącego obecnie dwieście pięćdziesiąt. Na każdą sekundę potrzeba było przeszło czterech minut czasu rzeczywistego. Nie było nawet mowy o możliwości obustronnej komunikacji. Wszechświat TVC był hermetyczny; żadne z danych, które znalazły się tam na samym początku, nie mogły zostać zmienione, lecz wszelkie wydarzenia mające miejsce wewnątrz mogły być szpiegowane. Co godzinę mogli obserwować kolejne czternaście sekund wyczynów Kopii Durhama.

Maria sprawdziła poprawność na pozostałych poziomach, zaczynając od oprogramowania działającego bezpośrednio na siatce TVC. „Język maszynowy” komputerów TVC był równie niezrozumiały i bezsensowny jak każdej hipotetycznej maszyny Turinga, i nie miało żadnego znaczenia,

czy jest ona sześciowymiarowa czy nie, ale przy okazji był wystarczająco prosty, by móc poinstruować metaprogramistę do napisania – i późniejszego rygorystycznego zatwierdzenia – programu pozwalającego im na symulowanie odpowiedników współczesnych, konwencjonalnych komputerów. Tak więc klastry procesorów w Tokio, Dallas czy Seulu symulowały automat komórkowy zawierający sieć dziwaczych, niematerialnych komputerów, które z kolei symulowały logikę (o ile nie fizykę) samych klastrów procesorów. Od tego punktu wszystko odbywało się w dokładnie ten sam sposób, co na prawdziwych urządzeniach – tyle że o wiele wolniej.

Maria przeżuwała kanapkę z serem i sałatą, zrobioną z grubo krojonych kromek białego chleba. Było wtorkowe popołudnie. W większości przylegających mieszkań panowała cisza, a znajdująca się w dole ulica była wyludniona. Nikt, z wyjątkiem kilku pokątnych dzikich lokatorów, nie zamieszkiwał sąsiednich biurowców i w miejscach, gdzie słońce wpadało do najbliższego z budynków pod odpowiednim kątem, Maria dostrzegła suszące się ubrania, porozwieszane na sznurkach rozciągniętych między przegrodami biurowymi.

Durham włączył muzykę, dwudziestowieczną operę pod tytułem *Einstein na plaży*. Mieszkanie nie posiadało systemu audio, ale Durham wykorzystał nagranie pochodzące z biblioteki zakupionej dla Ogrodu Eden i uruchomił je jako zadanie w tle, poprzez głośniki swojego terminalu.

– Co zamierzasz zrobić, kiedy będzie po wszystkim? – zapytała go Maria.

– Doprowadzić do końca zestaw pięćdziesięciu eksperymentów – odpowiedział jej bez zastanowienia. – Rozpocząć rozpościeranie planety Lambert. Świątować przez tydzień. Przejść się główną ulicą Miasta Permutacji. Poczekać na odblokowanie twojego malutkiego mechanizmu

zegarowego. Obudzić wszystkich pasażerów w ich prywatnych, odrębnych światach i żywić nadzieję, że niektórzy z nich będą mieli ochotę, by raz na jakiś czas ze mną porozmawiać. Zacząć nadrabiać zaległości w Dostojewskim. W oryginale.

– Taaa, bardzo śmieszne. Powiedziałam „ty”, nie „on”.

– Wolałbym myśleć o nas jako o nierozdzielnych.

– Ale poważnie.

Wzruszył ramionami.

– A ty? Co zrobisz?

Maria odłożyła pusty już talerz i przeciągnęła się.

– Och... przez tydzień będę spać do południa. Leżeć w łóżku, zastanawiając się, jak dokładnie przekazać matce, że już stać nas na skan – w taki sposób, by równocześnie nie brzmiało to tak, jakbym jej mówiła, co ma robić.

– Zapomnij o tym.

– Umiera – odpowiedziała po prostu Maria. – i może się uratować, nie raniąc nikogo. Nie wykradając pożywienia z ust kolejnego pokolenia, czy też cokolwiek innego, co czyni w jej oczach ze skanowania aż tak poważną zbrodnię. Czy naprawdę uważasz – ale tak szczerze – że ona nie chce pozostać przy życiu? Czy też nie chciałaby, gdyby tylko mogła to sobie jasno przemyśleć, bez wszelkiej winy i moralizatorskich pierdół, którymi obciążęło ją jej własne pokolenie?

Durham nie zajął żadnej ze stron.

– Nie znam jej. Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie.

– Była dzieckiem w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia. Przedszkolni wychowawcy prawdopodobnie wpoili jej, że szczytem jej egzystencji będzie po śmierci rola nawozu dla lasów tropikalnych. – Maria przemyślała to sobie. – A cały urok tutaj polega na tym, że wciąż może to

zrobić. Zeskanujemy ją, a kiedy będzie po wszystkim, wrzucimy do maszyny do mięsa, i to, co zostanie, rozrzucimy nad lasem Daintree.

– Jesteś chora.

– Wkrótce będę miała pieniądze. Mogę sobie pozwolić na żarty.

Ich terminale zadźwięczały równocześnie, oznajmiając tym samym, że pierwsze czternaście sekund życia wewnątrz komputera jest gotowe do obejrzenia. Maria poczuła, jak przełknięte właśnie jedzenie twardnieje w jej żołądku w grudę niczym zaciśnięta pięść. Durham kazał programowi kontynuować.

Kopia siedziała w prostym, stylizowanym pokoju kontrolnym, otoczona unoszącymi się w powietrzu oknami interfejsów. Jedno z okien reprezentowało małą część sieci TVC. Kopia nie mogła przyjąć tego samego, co oni, wszechobecnego punktu widzenia całej sieci. Używane przez nich oprogramowanie mogło działać jedynie tuż poza granicami tamtego wszechświata. Dla Kopii nie istniała żadna prosta metoda, która okazywałaby się pomocna w odkrywaniu stanu wybranej komórki automatu. Zamiast tego posiadała system konstrukcyjnych i sensorycznych drucików (z których wszystkie zostały podłączone do wyspecjalizowanych procesorów), oplatających niewielki region w centrum sieci. Durham ochrzcił to urządzenie „Komorą”. To, co działo się głęboko wewnątrz Komory, mogło zostać wydedukowane, niebezpośrednio, z danych przepływających wzdłuż drucików czuciowych. To nie było aż tak skomplikowane jak ustalenie, co się działo podczas zderzenia cząstek w akceleratorze, w oparciu o informację zarejestrowaną przez otaczające go detektory – ale zasada działania była ta sama, podobnie jak cel. Kopia musiała przeprowadzić eksperymenty mające na celu przetestowanie jej własnych, fundamentalnych „praw fizyki” – zasad automatu TVC. A (symulowany) model komputera, który uruchamiał to środowisko, miał

(symulowane) połączenie z Komorą, niczym komputery w świecie rzeczywistym, podłączone do prawdziwego akceleratora.

– Rozpoczynam pierwszy eksperyment – powiedziała Kopia i zręcznie wystukała na klawiaturze sekwencję liter kodu. Durham przed skanem ćwiczył całą operację, dopóki nie potrafił wykonywać każdego z pięćdziesięciu eksperymentów w czasie krótszym niż dziesięć sekund, ale Maria wciąż była zaskoczona zachowaniem Kopii, która nieoczekiwanie przebudzona, odkryła, że siedzi w pokoju kontrolnym, a następnie bez jakichkolwiek wstępów, jakiejkolwiek szansy, by stopniowo przyzwycząić się do własnej tożsamości i tego, co ją czeka, miała dość przytomności umysłu, by od razu przeskoczyć do stawianych przed nią zadań. Maria zabawiała się w myślach wizją pierwszej wersji Durhama, która przebudziwszy się wewnątrz komputera, wreszcie uświadomiła sobie, że „poprzednie dwadzieścia trzy razy” w niczym nie przypominały prawdziwego doświadczenia, i przekazywała to oryginałowi w dosyć jednoznacznych słowach. Ale nie wydawało się, by istniały na to jakiegokolwiek szanse, gdyż Kopia po prostu siedziała i uderzała w klawiaturę, jak gdyby od tego zależało jej życie.

Ustawienia wszystkich eksperymentów mogły zostać zautomatyzowane. Podobnie jak i sprawdzanie wszystkich wyników. Kopia mogłaby spędzić dwie minuty, siedząc i obserwując migający na zielono napis: *WSZYSTKO JEST DOKŁADNIE TYM, CZEGO OCZEKIWAŁEŚ. NIE ZAWRACAJ SOBIE GŁOWY ŻADNYMI POGMATWANymi SZCZEGÓŁAMI.* Nie istniało coś takiego jak zestaw percepcji dla Kopii, który mógłby udowodnić, że ta zamieszkuje automat komórkowy stosujący się do zasad, na których prawdziwość liczyła. Koniec końców i tak sprowadzało się to wszystko do brzytwy Ockhama – i nadziei, że najprostszym wyjaśnieniem

dostrzegania na ekranie prawidłowych wyników jest to, iż te prawidłowe wyniki rzeczywiście się tam pojawiają.

Maria spoglądała ponad ramieniem Kopii wprost w znajdujące się przed nią okno interfejsu. Kiedy tamten Durham wpisał ostatnią literę kodu, stworzony przez niego w Komorze zbiór komórek stał się niestabilny i zaczął tworzyć nowe komórki w otaczającej go „próżni”, wyzwalając tym samym kaskadę, która wcześniej czy później uderzała w druczki sensorów. Niepokojące było to, że Kopia obserwuje obie, zarówno symulację – na określonych przez siebie warunkach – tego, co powinno mieć miejsce w Komorze, jak i, w chwilę później, rekonstrukcję „rzeczywistych” wydarzeń, stworzoną na podstawie danych pochodzących z czujników.

Obie ewidentnie pasowały do wyników symulacji zapisanej w pamięci przez oryginalnego Durhama. Kopia głośno zaklaskała w dłonie, wyraźnie zadowolona z wyników, wykrzyknęła coś niezrozumiałego, a następnie powiedziała: – Rozpoczynam dru...

Marii zaczynało kręcić się w głowie od wszystkich poziomów rzeczywistości, które udawało im się przekroczyć, ale z prawdziwą determinacją starała się wyglądać na równie zblazowaną jak zawsze.

– Co zrobiłeś? – zapytała. – Przebudziłeś go z mózgiem nafaszerowanym amfetaminami?

– Nie. Naćpał się życiem – w tym samym duchu odpowiedział jej Durham. – Gdybyś miała przed sobą tylko dwie minuty życia, to zapewne też czerpałabyś z niego przyjemność.

Odczekali, zajmując czas mniej lub bardziej przypadkowymi kontrolami oprogramowania; wyświetlając wszystko, od wzorca odpowiedzi w modelu mózgu Kopii aż po statystykę dotyczącą wydajności komputerów TVC. Intuicyjnie wydawało się, że złożona hierarchia symulacji wewnątrz symulacji jest bezbronna, niestabilna. Każdy kolejny poziom jedynie

mnożył potencjał niepowodzenia. Ale jeśli ten układ przypominał domek z kart, to był to doskonale symulowany domek z kart, perfekcyjnie zrównoważony we wszechświecie wolnym od drgań i wiatru. Maria była usatysfakcjonowana faktem, że architektura każdego z poziomów okazuje się bez skazy, jeśli tylko podtrzymujący go poziom wytrzyma. Aby doprowadzić do zawalenia całego układu, potrzeba było błędu w oprogramowaniu świata rzeczywistego. A to zdarzało się wyjątkowo sporadycznie, jakkolwiek nie można było tego wykluczyć.

Obejrzeni drugą odsłonę pracy Kopii, po której zrobili sobie przerwę na kawę. *Einstein na plaży* wciąż rozbrzmiewał wokół nich, powtarzalnie i hipnotycznie. Maria nie mogła się rozluźnić; była zbyt nakręcona kofeiną i nerwową energią. Z wielką ulgą przyjęła, że wszystko idzie gładko – nie było żadnych problemów z oprogramowaniem, nie pojawiła się Operacja Motyl ani też żadne oznaki, że którakolwiek z wersji Durhama zaczyna się względem niej dziwacznie zachowywać. Lecz równocześnie istniało coś głęboko niepokojącego, jeśli chodziło o rozwój całego przedsięwzięcia dokładnie zgodnie z planem przez kolejne sześć godzin, tak by najzwyczajniej w świecie dotrzeć wreszcie do końca. *Wtedy będzie miała pieniądze dla matki, a to wszystko usprawiedliwiło* – mimo że absolutna daremność wykonywanej przez nich pracy wciąż raz za razem uderzała ją na nowo, w przerwach pomiędzy napadami zamartwiania się takimi absurdami, jak to, czy mogła ulepszyć w jakiś sposób reakcję *A. hydrophila* na odwodnienie. Durham zezwolił jej na publikację wszystkich autoversowych prac, więc nie było to w jej przypadku kompletną stratą czasu – a wciąż jeszcze mogła je udoskonalać tak długo, jak tylko przyszłaby jej na to ochota, nim zaprezentowałyby swe wyniki sceptykom, ale już potrafiła sobie wyobrazić dziwaczny żal pojawiający się w chwili, kiedy okazałoby się, że ulepszenia pojawiły się zbyt późno, a tym samym

nie zostały włączone do „prawdziwej” planety Lambert, tej, którą właśnie wspólnie spuszczały w wielomilionowy dolarowy ściek.

– Wielka szkoda – stwierdziła – że żaden z oryginałów twoich pasażerów nie posiada ciała. Skoro już za to wszystko zapłacili, to powinni być tutaj i przyglądać się temu razem z nami.

Durham przyznał jej rację.

– Niektórzy z nich mogą być tu obecni duchem, bowiem zagwarantowałem im wszystkim ten sam wizualny dostęp do symulacji, co nam. A ich audytorzy otrzymają później zweryfikowany zapis całości jako dowód na to, że dostali wszystko, za co zapłacili. Ale masz rację. To niezbyt przypomina świętowanie. Powinniśmy wszyscy jeść teraz kawior i stukać się kieliszkami z pozostałymi.

– Pozostałymi? – Zaśmiała się urażona. – Nie jestem jedną z twoich ofiar. Jestem jedynie zaufanym współnikiem geniusza, pamiętasz? i nie jestem tu po to, by świętować. Jestem tu w celu dopilnowania, by twój sobowtór nie odpalił na styk pewnego oprogramowania, które obudzi mnie tam w środku.

Durham był rozbawiony.

– Dlaczego miałyby próbować obudzić cię tak szybko? Czy uważasz, że w przeciągu dwóch minut stanie się nieznośnie samotny?

– Nie mam zielonego pojęcia, co może zrobić i dlaczego. Na tym polega cały problem. Jest równie popierdolony co ty.

Durham nic nie odpowiedział. Maria żałowała teraz, że nie może cofnąć tych słów. Jaki był cel w drażnieniu się z nim i wyśmiewaniu go raz za razem? Czy wydawało jej się, że może wreszcie sprowadzić go na ziemię? Było to niemal kwestią dumy; nie mogła sobie pozwolić, by chociażby przez jedną sekundę nie przypominać mu, że jego pomysły wcale jej nie uwiodły. Być może i była komputerowym ćpunem i dziwakiem

zaaferowanym zagadnieniami sztucznego życia, lecz wciąż, mimo wszystko, twardo stąpała po ziemi prawdziwego świata. Jego wizja autowersowej biosfery wywarła na niej wrażenie, a wtedy wydawało jej się, że dotarł do niego prosty fakt, iż to nigdy nie mogłoby stać się czymś więcej, niż jedynie eksperymentem myślowym. Wszystkie wykonane przez niego prace na wszechświecie TVC były pomysłowe, choć zarazem krańcowo bezcelowe. Na swój sposób nawet podziwiała jego upartą odmowę poddania się zdrowemu rozsądkowi. Zaakceptowała jego urojenia takimi, jakie były.

Najzwyczajniej nie mogła znieść myśli, że Durham może żywić choćby najmniejszą nadzieję co do możliwości przekonania jej, by potraktowała „hipotezę pyłu” poważnie.



Trzy po dziesiątej skończyły się pieniądze – wszystkie z wyjątkiem odrobiny potrzebnej na opłacenie końcowego sprzątnięcia. Automaty TVC zostały wyłączone pomiędzy tyknięciami zegara, a procesory pamięci przypisane tej olbrzymiej symulacji zwolnione dla innych użytkowników; przedtem, ze względów bezpieczeństwa, jak zwykle wymazano je do zwyczajowych zer. Cała złożona struktura zniknęła w przeciągu nanosekund.

Noc zmieniała okna mieszkania w lustra. Wewnątrz opuszczonych biurów nie było widać żadnych świateł; służące do gotowania ogniska, rozpalone przez koczujących w nich ludzi, nawet jeśli wcześniej można je było dostrzec, teraz i tak dawno zostały wygaszone. Maria poczuła się wyrwana z rzeczywistości, jakby dryfowała w czasie. Przejazdka na

rowerze do północnej części Sydney przez Harbour Bridge, odbyta w pełnym świetle słońca, wydawała się jej obecnie odległym wspomnieniem, snem.

Poszczególne części Ogrodu Eden wciąż jeszcze były zapisane w pamięci masowej. Maria usunęła stamtąd własny plik skanu, dokładnie sprawdzając zapisy kontrolne dotyczące tych danych, by upewnić się, że żadne z nich nie zostały odczytane więcej razy, niż było to konieczne. Liczby się zgadzały. Nie miała co prawda żadnych gwarancji, ale fakt ten stanowił pewne pocieszenie.

Durham wykasował całą resztę.

Zostawili sobie nagrania pochodzące z oprogramowania szpiegującego i obejrzeni ostatnią krótką scenkę działań Kopii. Następnie odtworzyli całe dwuminutowe nagranie.

Maria przyglądała się temu z rosnącym poczuciem wstydu. Pojedyncze fragmenty nie wywarły na niej prawie żadnego wrażenia, ale kiedy oglądała to w jednym ciągu, Kopia przyjęła w jej oczach postawę obłąkanego przywódcy sekty, kierującego autobusem pełnym zamrożonych miliarderów wprost ku krawędzi urwiska, przyspieszając z euforią w niezachwianej i stuprocentowej pewności, że autobus wzleci w powietrze, przenosząc ich wszystkich do krainy leżącej za zachodzącym słońcem. Uchwyciła się kurczowo tej racjonalizacji: oddzielnej, ograniczonej tożsamości Kopii i jej radosnej śmierci.

Kiedy nagranie dobiegło końca w połowie kolejnego eksperymentu, Durham przymknął oczy i opuścił głowę. Załkał cicho. Maria odwróciła wzrok.

– Przepraszam – powiedział. – wprawiam cię w zakłopotanie.

Ponownie odwróciła się w jego kierunku; uśmiechnął się i pociągnął nosem. Chciała go objąć; potrzeba była częściowo siostrzana, częściowo

seksualna. Był blady i nieogolony, wyraźnie wyczerpany fizycznie, ale w jego oczach tliło się więcej życia niż kiedykolwiek do tej pory, jak gdyby spełnienie obsesji uwolniło go wreszcie zupełnie od przeszłości, tak że mógł teraz niczym nowo narodzone dziecko stanąć twarzą w twarz z otaczającym go światem.

– Szampana? – zapytał.

Maria usilnie starała się pozostać nieporuszona. Wciąż nie miała powodów, aby mu ufać.

– Pozwól, że wcześniej sprawdzę stan swego konta – stwierdziła. – Być może nie mam czego świętować.

Durham zachichotał, jak gdyby sam pomyślał, że mógłby ją oszukać, należał do niedorzecznych. Zignorowała go i użyła terminalu. Obiecane sześćset tysięcy dolarów było zdeponowane na jej koncie.

Przez chwilę wpatrywała się w znajdujące się na ekranie cyfry, otępiła z powodu dziwnej prawdy, że ten prosty wzór reprezentowanych przez nie danych, odbierany jako „bogactwo”, może wyjść w żywy, oddychający, rozkładający się świat, i powrócić do wnętrza komputera wzbogacony ponad wszelką miarę: z piętnem wszystkiego, co czyniło z jej matki człowieka.

– Jedna lampka – stwierdziła. – Przyjechałam na rowerze.



Opróżnili całą butelkę. Durham krążył po mieszkaniu, stając się coraz bardziej hiperaktywny.

– Dwadzieścia trzy Kopie! Dwadzieścia trzy życia! Wyobraź sobie, jak musi się teraz czuć mój następca! Otrzymał dowód, wie, że miał rację,

podczas gdy mnie pozostaje jedynie świadomość, że dałem mu tę szansę – a to i tak zbyt wiele jak na moje barki. – Zaszlochał raz jeszcze. Nieoczekiwanie przerwał. Odwrócił się i spojrzał na Marię błagalnie. – Sam to sobie zrobiłem, ale to i tak było szaleństwem, torturą. Czy uważasz, że kiedy zaczynałem to wszystko, zdawałem sobie sprawę, ile bólu i konsternacji mi to przyniesie? Czy uważasz, że wiedziałem, co to ze mnie zrobi? Powinienem był posłuchać Elizabeth – ale nie ma jej tutaj. Ja nie żyję. Uważasz, że żyję? Skoro Kopia nie jest człowiekiem, czym w takim razie jestem? Kasowany dwadzieścia trzy razy?

Maria starała się puszczać to wszystko mimo uszu. Nie potrafiła poczuć zwykłego współczucia – była zbyt skalana, zbyt winna – więc starała się zupełnie nic nie czuć. Durham systematycznie podążał za tym, w co wierzył, aż do ostatecznego punktu, w którym było to jeszcze możliwe. Teraz albo zostanie uleczony, albo stanie w obliczu kolejnej nanochirurgicznej operacji. Maria nie była w stanie zrobić nic, by cokolwiek w tej sprawie zmienić. Zaczęła sobie powtarzać, że pomagając mu przy projekcie – nawet nie ustępując jego pomysłom – pomagała mu w egzorcyzmach jego urojeń, ale nie o to w tym wszystkim chodziło. Zrobiła to dla pieniędzy, dla Franceski... i dla siebie samej. By zaoszczędzić sobie bólu, który spowodowałaby śmierć matki. *Jakże jej matka mogłaby teraz odmówić?* Kopie, podobnie jak pogrzeby, były dla tych, którzy pozostawali przy życiu.

Durham nieoczekiwanie zamilkł. Siadł obok niej, rozczochrany i skruszony. Była pewna, że wytrzeźwiał albo przeszedł w kolejną fazę. Było wpół do trzeciej. Opera przestała grać kilka godzin temu, w mieszkaniu panowała więc cisza.

– Gadam od rzeczy – stwierdził zwyczajnie. – Przepraszam.

Jedynym umeblowaniem pokoju z wyjątkiem stołu były dwa obrotowe krzesła, na których przesiadali cały dzień. Żadnej sofy, na której mogłaby się zdrzemnąć, a podłoga prezentowała się wyjątkowo zimno i twardo. Przemknęło jej przez myśl, by wracać do domu; mogłaby przecież pojechać pociągiem, a później, jeszcze dzisiaj, wrócić po rower.

Wstała, a następnie, prawie bez zastanowienia, nachyliła się i pocałowała go w czoło.

– Do widzenia – powiedziała.

Zanim zdążyła się wyprostować, położył jej dłoń na policzku. Miał chłodne palce. Zawahała się, po czym pocałowała go w usta – i niemal odskoczyła, zła na samą siebie. *Czuję się winna, żałuję go. Chcę mu jedynie to wynagrodzić.* Wtedy skrzyżowały się ich spojrzenia. Nie był już wcale pijany. Była pewna, że dokładnie rozumie jej uczucia – cały węzeł zmieszania i wstydu – i chce jedynie jakoś to wszystko wyprostować.

Pocałowali się raz jeszcze. To dało jej pewność.

Rozbierali się nawzajem w drodze do sypialni.

– Powiedz mi, czego chcesz i co lubisz – rzekł. – Nie robiłem tego od dłuższego czasu.

– Kiedy ostatnio?

– Jakies kilka istnień temu.

Umiejętnie posługiwał się językiem i był przy tym wytrwały w swych staraniach. Niemal doszła do orgazmu, ale nim to się stało, wszystkie odbierane przez nią doznania rozpadły się do pojedynczych wrażeń: przyjemnych, lecz pozbawionych znaczenia i odrobinę absurdalnych. Zamknęła oczy i starała się dokończyć siłą własnej woli, lecz przypominało to płacz bez powodu.

Kiedy odepchnęła go lekko od siebie, nie narzekał, nie przepraszał, ani też nie zadawał głupich pytań. Doceniła to.

Odpoczywali, a ona odkrywała jego ciało. Najprawdopodobniej był najstarszym mężczyzną, którego widziała nago... z pewnością najstarszym, którego dotykała. *Pięćdziesiąt lat*. Był... raczej luźny niż obwisły. Jego mięśnie raczej zanikały niż zmieniały się w tłuszcz. Niemal nie potrafiła sobie wyobrazić, by Aden – twardy niczym posąg dwudziestoczterolatek – kiedykolwiek miał się poddać dokładnie temu samemu procesowi. Ale bezsprzecznie do tego dojdzie. Jej własne ciało już rozpoczęło podobną przemianę.

Obróciła się, ocierając o niego, i wzięła go w usta, starając się nie dostrzegać komicznej dziwaczności tego aktu, upić się jego zapachem; używając języka i delikatnie go gryząc, aż zaczął ją błagać, by przestała. Po raz kolejny niezręcznie przestawili swe ciała, tak by leżały obok siebie. Wszedł w nią i natychmiast doszedł. Krzyknął, wyraźnie wyjąc z bólu, a nie z teatralnej rozkoszy. Zagryzł zęby i kiedy się z niej wysuwał, zrobił się biały jak kreda. Trzymała go za ramiona, dopóki nie był w stanie wyjaśnić, co się stało.

– Moje... lewe jądro doznało kurczu. To... czasem się dzieje. Przypomina ściskanie go w imadle. – Zaśmiał się i zamrugał oczami, by pozbyć się łez. Pocałowała go i przebiegła palcem wzdłuż jego pachwiny.

– To okropne. Wciąż boli?

– Tak. Nie przerywaj.

Kiedy było po wszystkim, odkryła, że nie ma ochoty go dotykać. Kiedy ich pot zasechł, jego skóra stała się wilgotna i zimna. Gdy doszła do wniosku, że zasnął, wyswobodziła się z jego objęć i przesunęła ku krawędzi łóżka.

Nie miała pojęcia, co właśnie osiągnęła. Wszystko jedynie bardziej skomplikowała? Czy może rozpoczęła kolejny etap ich pokręconej znajomości? A może po prostu, żegnając się z nim w ten sposób, jedynie

bardzo wyraźnie określiła jej koniec? Godzinka katastrofalnego seksu niczego nie rozwiązywała: Maria wciąż czuła się winna, że wzięła od niego pieniądze, „wykorzystała go”.

Co teraz zrobi, kiedy będzie się chciał z nią ponownie spotkać? Nie mogła wyobrazić sobie perspektyw spędzenia kolejnych sześciu miesięcy na wysłuchiwanie fantazji dotyczących wspaniałej przyszłości, rysującej się przed wykonanym przez nich wspólnie domowym sposobem wszechświatem. Czerpała pewną dumę z faktu, że nigdy mu nie pobrażała, nigdy chociażby przez chwilę nie udawała, że zaakceptowała jego teorię; musiała też przyznać, że jego reakcja na jej niezgodę była bardziej łagodna niż reakcja jakiegokolwiek nominalnie zdrowej psychicznie osoby, jaką w życiu spotkała. Ale i tak byłoby coś nieszczerego w próbach udawania, że istnieje między nimi przyjaźń, biorąc pod uwagę jej sceptycyzm. A gdyby tylko udało się jej pozbawić go złudzeń – najprawdopodobniej również i z tego powodu poczułaby się winna.

Długi dzień zbierał swoje żniwo, czuła to wyraźnie, gdyż wszelkie rozważania przychodziły jej z trudem. Decyzje musiały poczekać do rana.

Zapalone w kuchni światło wlewało się do środka sypialni przez uchylone drzwi, padając wprost na jej twarz. Zawołała cicho do kontrolera mieszkania, lecz nie przyniosło to żadnego efektu, więc wstała, by wyłączyć je własnoręcznie. Kiedy po omacku wracała do pokoju, usłyszała, jak Durham porusza się w łóżku. Stała w drzwiach; niespodziewanie zabrakło jej chęci, aby się do niego zbliżyć.

– Nie wiem, co sobie myślisz, ale ja tego nie zaplanowałem – odezwał się nagle.

Zaśmiała się. Co on sobie niby wyobrażał? Że ją uwiódł?

– Ja też nie. Chodziło mi wyłącznie o twoje pieniądze.

– To dobrze. Bo mnie chodziło jedynie o twoją duszę – odpowiedział.

20.

(Czy nie potrafisz
podróżować w czasie?)
(Can't you time trip?)

Nabierając sił pomiędzy kolejnymi zejściami, Peer spojrział w górę i wreszcie uświadomił sobie, co nie pasuje mu tutaj już od dłuższej chwili. Znajdujące się nad wieżowcem chmury trwały w bezruchu; nie znajdowały się zaledwie w ustalonym względem ziemi układzie, lecz były zamrożone w każdym najdrobniejszym szczególe. Najbardziej znikome niteczki na krawędziach, prawdopodobnie nieodporne na najśłabszy nawet podmuch wiatru, trwały niezakłócone przez cały czas, kiedy im się przyglądał. Kształt każdej z chmur wydawał się naturalny, bez najmniejszej skazy, ale wszelka dynamika ukryta w powyginanych wiatrem kształtach, tak nieodparta na pierwszy rzut oka, okazywała się czystą iluzją. Na niebie nic się nie zmieniało.

Przez chwilę był po prostu zauroczony tym osobliwym szczegółem. Wtedy przypomniał sobie, co spowodowało, że podjął taką decyzję.

Zniknięcie Kate. Okłamała go i wcale się nie skłonowała. Przeniosła się do miasta stworzonego przez Cartera, nie pozostawiając za sobą żadnej wersji.

Pozostawiając go – czy też jego połówkę – samego.

Samo odkrycie tego faktu wcale go nie zaniepokoiło. Kiedy znajdował się na ścianie drapacza, nic nie było w stanie tego dokonać. Przyłgął do

ściany, radośnie wracając do sił, i zaczął się zastanawiać nad tym, co uczynił, by złagodzić wywołany w ten sposób ból... z powrotem, w mglistym czasie, nim rozpoczął niekończące się zejście.

Jak zwykle ustawił środowisko – miasto, niebo, budynek – lecz zamroził chmury, zarówno po to, by wszystko uprościć, jak i po to, by służyły mu jako dogodne przypomnienie tego, co zrobił.

Następnie odpowiednio połączył ze sobą serię wskazówek dotyczących wspomnień i zmian własnego nastroju w czasie przeszło piętnastu subiektywnych minut. Za ledwie naszkicował ich postęp, niczym muzyk-amator nucący pod nosem melodyjkę do dyktafonu, a użyte przez niego oprogramowanie przeliczyło rzeczywistą sekwencję stanów umysłu. Każda chwila miała „naturalnie” następować po tej, która ją poprzedzała, a jego model mózgu nie musiał robić nic poza podążaniem za własną wewnętrzną logiką. Wykonane z wyprzedzeniem dokładne dostrojenie tej logiki oraz załadowanie właściwych wspomnień prowadziło do rozwinięcia pożądanej sekwencji mentalnych wydarzeń: z A do B do C do A.

Peer spojrzął ponad ramieniem w dół wieżowca. Powierzchnia ziemi nie zbliżyła się ani o krok. Uśmiechnął się. Już wcześniej śnił, że robi coś podobnego, ale nigdy nie odnalazł w sobie wystarczającej odwagi. Najwyraźniej utrata Kate na zawsze – w połączeniu z wiedzą, że równocześnie z nią był – musiała go wreszcie przekonać, że nic by nie zyskał, dłużej to odkładając.

Cały plan nie mógł całkowicie wypaść mu z głowy – jak przez mgłę przypominał sobie, że do tej pory już kilka razy doświadczał dokładnie tych samych objawień – ale jego krótkoterminowa pamięć została selektywnie uszkodzona, ograniczając tym samym jasność powracającej do niego fałszywej historii, a kiedy był już rozproszony, serie wolnych skojarzeń doprowadzały go dokładnie do tego samego stanu umysłu, w którym

znajdował się na początku cyklu. Jego ciało – zgodnie z każdą obserwowaną wokół wskazówką – również powracało tam, gdzie znajdowało się na samym początku. Ziemia i niebo były statyczne, a każde piętro budynku identyczne, więc i jego percepcja nie ulegała zmianie. A każdy mięsień i staw należący do niego ciała jak zwykle perfekcyjnie wracał do sił.

Peer zaśmiał się z własnej mglistej pomysłowości i ponownie rozpoczął zejście. To była bardzo wysmakowana sytuacja, niosąca zadowolenie, że koniec końców znalazł wreszcie jakiś mglisty powód, który go do niej doprowadził.

Istniał jednak pewien szczegół, którego nie potrafił uchwycić – pewien wybór, którego dokonał w owym mglistym czasie, a który, jak się zdawało, zdecydował się zupełnie ukryć przed samym sobą.

Czy zaprogramowała swą egzojaźń, by pozwoliła mu przejść przez cykl z góry ustaloną liczbę razy? ABCABCABC, po czym z wielkim hukiem następowaloby DEF, przebijające się z nieba niczym pięść Boga – czy też wijąca się nitka odchodząca od cumulusa, który wreszcie się poruszył – by położyć kres nieprzerwanej wędrówce? Bosak mógłby go oderwać od ściany budynku, a jakaś subtelna zmiana w otoczeniu mogłaby wybić jego myśli z doskonale zapętłonej orbity. Tak czy inaczej, doświadczenie jednego niezakłóconego cyklu byłoby tym samym, co doświadczenie tysiąca, jeżeli więc w ogóle istniał jakiś zegar z nastawionym budzikiem, który odmierzał mu czas, to jego następny cykl – subiektywnie – byłby tym, który rozpocznie się od sygnału budzika.

A jeżeli budzik nie istniał? Mógł wtedy pozostawić swój los w cudzych rękach. Przypadkowa wiadomość od innej Kopii, albo może jakieś wydarzenie w świecie zewnętrznym, mogłoby stać się sygnałem do uwolnienia.

Mógł też zdecydować się na absolutny solipsyzm. Zapętłony w swym cyklu, cokolwiek by się działo, dopóki jego egzekutor nie sprzeniewierzyłby całego majątku, terroryści nie wysadzili superkomputerów w powietrze, cywilizacje nie rozpadły się w proch, a słońce nie zgasło.

Zatrzymał się i potrząsnął głową, strząsając tym gestem pot zalewający mu oczy. Poczucie *déjà vu* uruchomione tą czynnością miało prawdopodobnie czysto syntetyczne korzenie; nic mu nie mówiło o tym, ile razy w rzeczywistości powtarzał ten gest. Nieoczekiwanie uderzyła go myśl, że jest wprost nie do wiary, by zrobił coś tak mało finezyjnego, jak powtarzanie całego cyklu więcej niż raz. Jego subiektywny czas został zamknięty w nawiniętej na siebie pętli; nie było potrzeby, by po ostatniej chwili miało następować uruchamianie z zewnątrz powtórzenie pierwszej. Cokolwiek się stało – zewnątrz – „potem”, cała pętla subiektywnie była bez skazy, bez widocznego miejsca połączenia, kompletna. Po obliczeniu pierwszego cyklu mógł całkowicie się wyłączyć, a różnica byłaby nie do wychwycenia.

Wiatr przybrał na sile, chłodząc mu skórę. Do tej pory Peer nigdy nie poczuł takiego wewnętrznego spokoju, ani fizycznego, ani umysłowego. Utrata Kate musiała być traumatyczna, ale zostawił to za sobą. Raz na zawsze.

Ruszył w dół.

21.

(Nie przekazuj żadnych braków)
(Remit not paucity)

czerwiec 2051

Maria przebudziła się ze snu, w którym rodziła. Położna ponaglała ją, krzycząc: „Przyj! Przyj!”. Maria wrzeszczała przez zaciśnięte zęby, lecz robiła, co jej kazano. „Dziecko” okazało się jedynie skrwawioną figurką, wyrzeźbioną w gładkim, ciemnym drewnie.

Głowa pulsowała jej bólem. Pokój był pogrążony w ciemnościach. Nim zapadła w sen, zdjęła z nadgarstka zegarek, lecz raczej nie spała długo, bo gdyby tak było, łóżko wydawałoby się jej nieznajome i na przypomnienie sobie, gdzie jest i skąd się tu wzięła, potrzebowałaby chwili czasu. Zamiast tego, wydarzenia ostatniej nocy powróciły do niej w mgnieniu oka. Dawno już było po północy, lecz wciąż jeszcze nie nastał nowy dzień.

Brak Durhama u swego boku wyczuła, nim jeszcze sięgnęła dłonią na drugi koniec łóżka, co tylko potwierdziło jej przypuszczenia. Przez chwilę leżała w bezruchu, nad słuchując. Wszystkim, co do niej docierało, był odległy dźwięk kaszlu dochodzący z sąsiedniego mieszkania. Nigdzie nie paliło się światło.

Kiedy tylko wyszła z sypialni, w nozdrza uderzył ją zapach odchodów i wymiocin, wymieszany z nutą chorej słodyczy. Wyobraziła sobie Durhama, który tak właśnie zareagował na całodniowy stres i nocne picie szampana, i

niemal odwróciła się na pięcie, by wrócić do sypialni, otworzyć tam okno i zatopić twarz w poduszce.

Drzwi do łazienki były półprzymknięte, ale ze środka nie dochodził żaden odgłos, żaden jęk, który mógłby wskazywać, że mężczyzna nadal tam jest. Zaczęły jej łzawić oczy. Nie była w stanie uwierzyć, że mogłaby przespać taki hałas.

– Paul? – zawołała. – Jesteś tam?

Nie doczekała się żadnej odpowiedzi. Lecz gdyby leżał tam nieprzytomny w kałuży wymiocin, to nie alkohol byłby powodem czegoś takiego, lecz poważna choroba. Zatrucie pokarmowe? Pchnęła drzwi, otwierając je na oścież i zapalając w środku światło.

Leżał w niszy prysznic. Szybko wycofała się z pomieszczenia, lecz jeszcze długo miała przed oczami wszystkie szczegóły tego, co zobaczyła wewnątrz łazienki. Zwoje jelit. Krwawe odchody. Wyglądało to, jakby kłęczał, a później upadł na bok. Początkowo była pewna, że dostrzegła nóż, czerwień na tle białych płytek, lecz później ogarnęły ją wątpliwości, czy w rzeczywistości nie było to jedynie plamą Rorschacha, przypadkowym kleksem krwi na podłodze.

Nogi zaczęły się pod nią uginać. Jakoś zdołała dotrzeć do jednego z krzeseł. Usiadła, było jej słabo, walczyła z własnym ciałem, by nie stracić przytomności, co do tej pory nigdy się jej jeszcze nie przytrafiło, ale przez krótką chwilę tylko tyle mogła zrobić, by pozostać przy świadomości.

Pierwszym, co poczuła, było niewątpliwie uczucie zdumienia z powodu własnej głupoty. Jak gdyby właśnie wmaszerowała, i to z szeroko otwartymi oczami, wprost w ceglany mur. Durham uwierzył, że jego Kopia uzyskała nieśmiertelność i tym samym udowodniła hipotezę pyłu. Ukończenie projektu było zwieńczeniem jedyne go celu, jaki posiadał w

życiu. Czego oczekiwała? Co niby miał zrobić, kiedy będzie już po wszystkim? Dalej sprzedawać ubezpieczenia?

To właśnie krzyki Durhama, wydawane przez zaciśnięte zęby, kształtowały jej sen.

To Durham nie przerywał parcia. Durham, który wyglądał, jak gdyby starał się rodzić.

Zadzwoniła po karetkę.

– Rozciął sobie brzuch nożem. Rana jest bardzo głęboka. Nie przyglądałam się z bliska, ale wydaje mi się, że nie żyje.

Odkryła, że do marionetki obsługującej centralkę pogotowia jest w stanie mówić spokojnie; gdyby to samo musiała powiedzieć człowiekowi, załamałaby się chyba już po pierwszym słowie.

Kiedy się rozłączyła, poczuła, jak dzwonią jej zęby, i zaczęła wydawać krótkie, rozpaczliwe odgłosy, które zdawały się pochodzić od zupełnie innej osoby. Przed przybyciem karetki i policji chciała się ubrać, ale zabrakło jej sił, żeby choć ruszyć się z miejsca, a sama myśl, by miała przejmować się faktem, że zastaną ją nago, zaczęła się jej wydawać niewiarygodnie nieistotna. Potem coś przełamało jej paraliż; wstała i zataczając się przeszła przez pokój, zbierając własne ubrania, porozrzucane po podłodze zaledwie przed kilkoma godzinami.

W końcu ubrała się całkowicie. Siadła skulona w kącie salonu i w myślach zaczęła sobie recytować litanie wymówek. *Nigdy mu nie pobrażała. Przy każdej sposobności wysuwała argumenty przeciwko jego szalonym przekonaniom. Jakże mogła go ocalić? Wycofując się z projektu? To niczego by nie zmieniło. Starając się, by wrócił do szpitala? Lekarze dawno już ogłosili jego poczytalność.*

Najgorszym, co zrobiła, było to, że stała niewzruszenie obok i pozwoliła mu wyłączyć własną Kopię.

Wciąż jednak istniała szansa.

Zerwała się na równe nogi, doskoczyła do najbliższego terminalu i po raz kolejny zalogowała się na rachunek projektu na JSN.

Ale nie odnalazła tam pliku skanu Durhama, równie metodycznie i nieodwracalnie wykasowanego, co jej własny. Zapisy kontrolne nie pokazywały niczego, co pozwalałoby stwierdzić, że dane zachowano w jakimś innym miejscu; a wręcz było wyraźnie zaznaczone, by plik ten – podobnie jak jej własny – został wyłączony z wykonywanych przez JSN automatycznych codziennych zapisów kopii zapasowych. Jedynym miejscem odtworzenia danych była konfiguracja Ogrodu Eden, a każdy najmniejszy nawet ślad ich istnienia w tym świecie został bezpowrotnie utracony.

Siedziała przy terminalu, odtwarzając plik pokazujący przeprowadzającą eksperymenty Kopię Durhama: testującą prawa swojego wszechświata, z radością dążącą do... czego? Niezapowiedzianego i niezrozumiałego unicestwienia wszystkiego, czym była, celem stworzenia podstaw do swojej nowej egzystencji?

Wszystko skończyło się trupem w łazience, który zginął z własnej ręki, w wybranym przez siebie momencie: Durham stał się ofiarą własnej niezachwianej logiki.

Maria zatopiła twarz w dłoniach. Chciała wierzyć, że obie śmierci w niczym nie są do siebie podobne. Chciała uwierzyć, że Durham przez cały czas miał rację. Czym bowiem były dla Kopii komputery JSN w Tokio czy w Seulu? Żaden wykonany wewnątrz wszechświata TVC eksperyment nie mógłby nigdy udowodnić, ani też obalić, ich istnienia. Były równie bezwartościowe – dla niego – jak nedorzeczny Bóg, Który Nic Nie Robi, dla Franceski.

Jakże więc mogły go zniszczyć? Jakże mógł być martwy?

Z zewnątrz dobiegły szybkie, ciężkie kroki, po których nastąpiło łomotanie do drzwi. Wstała i poszła otworzyć.

Chciała w to wierzyć, ale nie była w stanie.

22.

(Nie przekazuj żadnych braków)
(Remit not paucity)

czerwiec 2051

Thomas przygotowywał się, by stać się świadkiem śmierci.

To Riemann z krwi i kości zabił Annę, a nie Kopia, która otrzymała w spadku wspomnienia mordercy, i to właśnie Riemann z krwi i kości powinien otrzymać przed śmiercią możliwość rozważenia swoich czynów. Powinien mieć okazję, by zaakceptować własną winę, zaakceptować swą śmiertelność. Oraz by rozgrzeszyć swego następcę.

Ale temu nie pozwolono się wydarzyć. Lecz nawet teraz nie było jeszcze za późno. Uruchomione oprogramowanie jego klonu wciąż mogło to dla niego zrobić – będąc przekonane, że samo jest z krwi i kości. Odkrywając tym samym to, co śmiertelne ludzkie ja zrobiłoby, gdyby tylko wiedziało, że umiera.

Odszukał właściwe zdjęcie w albumie pełnym starych, wykonanych jeszcze chemicznie odbitek, zdigitalizowanych i odtworzonych wkrótce po rozpoczęciu wyniszczającej go choroby. Boże Narodzenie 1985: matka, ojciec, siostra Karin i on sam, zebrani przed domem rodzinnym, oślepieni zimowymi promieniami słońca. Karin, delikatna i nieśmiała, zmarła z powodu chłoniaka jeszcze przed końcem wieku. Jego rodzice natomiast dożyli dziewięćdziesiątki, będąc żywym dowodem na uzyskanie

nieśmiertelności wyłącznie siłą woli, lecz zmarli, nim udoskonalono technologię skanu, wyszydzając sugestie syna, by skorzystali z przechowania kriogenicznego.

– Nie mam zamiaru – wyjaśniał mu lakonicznie ojciec – robić sobie tego samego, co amerykańscy nuworysze robili własnym zwierzaczkom-pupilkom.

Znajdujący się na fotografii młody mężczyzna nie przypominał zbytnio obrazu, który pojawiał mu się w myślach, kiedy przymykał oczy i starał się usilnie sobie przypomnieć, jak wtedy wyglądał, ale ten wyraz twarzy, oscylujący pomiędzy przestachem a samozadowoleniem, wyglądał prawdziwie. Thomas sprawiał wrażenie, jak gdyby częściowo obawiał się, że aparat fotograficzny ujawni jego tajemnicę, częściowo zaś sam go wyzywał, by spróbował to zrobić.

Zachował w archiwum – w kryptach znajdujących się w Genewie i Nowym Jorku – kopie pliku skanu wykonanego na łożu śmierci, nie mając w tym żadnego innego celu, jak tylko bardzo niesprecyzowany zamiar, że gdyby cokolwiek poszło nieodwołalnie źle z jego modelem, a źródło problemu, jakiś wolno działający wirus czy subtelny błąd w oprogramowaniu, rzucił na wszystkie jego zapisy chociażby cień podejrzenia, to zaczęłyby wtedy nowe życie, a trwanie, i to nawet bez wspomnień sprzed 2045 roku, byłoby lepsze niż nic.

Kiedy już zebrał wszystkie konieczne elementy, rozpisął z wyprzedzeniem cały scenariusz i pozwolił mu się uruchomić – wcale nie przyglądając się otrzymanym wynikom. Następnie zamroził klon i w ostatnim możliwym momencie podesłał Durhamowi, nie dając sobie nawet szansy na wycofanie się, ani też – co gorsza – na podjęcie decyzji, czy przypadkiem nie spartaczył pierwszego podejścia, i ewentualne podjęcie kolejnej próby.

Teraz wreszcie był gotów, by odkryć, czego dokonał. Gotów, by przyjrzeć się *fait accompli*. Siedząc w swojej bibliotece – z szafką z alkoholem bezpiecznie zamkniętą na klucz – machnął ręką w kierunku terminalu, by ten zaczynał.

Stary mężczyzna leżący na łóżku wyglądał o wiele gorzej, niż Thomas oczekiwał. Miał zapadnięte oczy, cały był pożółkły, a głowę miał niemal łysą. (Tyle na temat szczerości względem własnego wyglądu, „minimalnych” zmian dokonywanych na swojej osobie, by móc się pokazywać publicznie). Klatka piersiowa tamtego była cała pobrużdżona bliznami, poprzecinana siateczką elektrod. Podobna siatka pokrywała mu czaszkę. Umieszczona tuż przy łóżku pompa wprowadzała jakieś środki przez wbitą do prawego ramienia igłę. Ból klonu był uśmierzany dzięki zgrubnie modelowanemu syntetycznemu opiatowi, wpływającemu do jego modelowanego krwioobiegu dokładnie w ten sam sposób, w jaki prawdziwy opiat uśmierzał ból oryginału – pomiędzy wykonaniem skanu a śmiercią, która nastąpiła w trzy dni później.

Jednak w obserwowanej obecnie powtórce narkotyk został rozpisany w ten sposób, by przejść przez nieoczekiwany spadek koncentracji – bez żadnych fizycznie wiarygodnych powodów, ale też żadne nie były wymagane. Wykres w rogu ekranu nakreślił gwałtowny spadek.

Thomas obserwował to wszystko, chory z niepokoju i rozgorączkowany nadzieją. To, wreszcie, było rytuałem, który – o czym zawsze był przekonany – mógłby pozwolić na jego uzdrowienie.

Stary człowiek, nie otwierając oczu, odzyskał świadomość. Obserwowane wykresy fal EEG nic dla Thomasa nie znaczyły, ale oprogramowanie monitorujące całą symulację podpisało to wydarzenie u dołu obrazu, po czym następowały kolejne linijki tekstu:

Niestety. Anestetyki wciąż nie zaczęły działać. Czy nie mogą chociażby raz jeden zrobić czegoś tak, jak należy? [Zniekształcona werbalizacja]. Jeszcze nie może być po skanie. Jeszcze nie mogę być Kopia. Kopia przebudzi się z trzeźwo myślącym umysłem, siedząc w bibliotece, z góry tak zmodyfikowana, by nie poczuć nawet odrobiny dezorientacji. Dlaczego mnie obudzono?

Stary mężczyzna otworzył oczy.

– Zatrzymaj! – wykrzyknął Thomas.

Spociał się i było mu niedobrze, ale nie wykonał nawet gestu, by wyzbyć się tych niepotrzebnych symptomów. *Chciał katharsis, nieprawdaż? Czy nie o to dokładnie w tym wszystkim chodziło?* Podpisy oddawały jedynie uproszczony cień doświadczeń klonu. A była dostępna o wiele bardziej przejrzysta opcja: nagranie zawierające zapisy z kluczowych szlaków nerwowych. Gdyby tylko miał na to ochotę, mógłby czytać umysł tamtego.

– Pokaż mi, co on myśli, przez co przechodzi – rozkazał.

Nic się nie stało. Zacisnął pięści i wyszeptał: – Uruchom od początku.

Znajdująca się wokół niego biblioteka rozplynęła się w powietrzu. Odkrył, oszołomiony, że leży płasko na plecach w szpitalnym łóżku, wpatrując się w sufit. Spuścił wzrok i zobaczył obok siebie baterię monitorów oraz plątaninę kabli biegnącą przez jego klatkę piersiową. Ruch oczu i głowy nie był właściwy. Zrozumiały, lecz niepokojąco niesynchronizowany z intencjami. Poczuł, jak przepełniają go obawy i dezorientacja, ale nie miał pewności, ile z tego wszystkiego jest jego własną reakcją, a ile należy do klonu. Thomas poczuł panikę i potrząsnął głową, co wystarczyło, by biblioteka, a wraz z nią ciało, wróciły do niego.

Zatrzymał odtwarzanie i rozważył to po raz kolejny.

Kiedy tylko zechciał, mógł się stamtąd wyrwać. Był jedynie obserwatorem. Nie miał się czego obawiać.

Zwalczając duszności, zamknął oczy i poddał się nagraniu.



Pijanym wzrokiem rozejrzał się po pomieszczeniu. Nie był Kopia – co do tego miał pewność. Ale miejsce, w którym się znalazł, nie było częścią Kliniki Landaua. Nie mógł się pomylić, gdyż jako posiadacz pakietu akcji VIP-a i jako ich przyszły klient zbyt wiele razy odwiedzał ich budynek. Gdyby skan został z jakiegoś powodu przełożony na późniejszy termin, Thomas powinien być z powrotem w domu, czy też w drodze do domu. No, chyba że coś poszło nie tak i wymagał opieki medycznej, której Klinika Landaua nie była mu w stanie zagwarantować.

W sali znajdował się sam. Drzwi były zamknięte.

– Sostro! – wezwał ochryłym głosem. Był zbyt słaby, by krzyczeć.

– Obecnie nikt nie jest dostępny, aby się tobą zająć. Czy mogę ci jakoś pomóc? – odpowiedział mu kontroler sali.

– Czy możesz mi powiedzieć, gdzie jestem?

– W pokoju 307 Valhalli.

– Valhalli? – wiedział, że z tym miejscem łączą go jakieś interesy, ale nie mógł sobie przypomnieć, czego dokładnie dotyczą.

– Valhalla jest zakładem profilaktyki zdrowotnej Amerykańskiego Hospicjum we Frankfurcie – pomocnie podpowiedział mu kontroler sali.

Poczuł, jak jego jelita popuszczają z przerażenia, mimo iż dawno były puste. (Thomas skulił się ze współczucia, lecz powstrzymał przed ucieczką z tego ciała). Valhalla była „przechowalnią dla mięsa”, wynajętą już po wykonaniu skanu, by zajęła się pogrążonym w śpiączce ciałem aż do chwili

śmierci, z określonym prawnie minimum medycznej uwagi, bez żadnych heroicznych wysiłków mających na celu przedłużanie mu życia.

Tak więc został zeskanowany – ale spierdolili sprawę.

Pozwolili mu się przebudzić.

Było to szokiem, ale błyskawicznie doszedł z tym do ładu. Nie było powodu do paniki. Wydostanie się stąd w przeciągu sześciu godzin i zostanie zeskanowany raz jeszcze, a wszyscy odpowiedzialni za jego obecną sytuację jeszcze szybciej wylądują na bruku. Starł się unieść do pozycji siedzącej, ale nie był w stanie skoordynować własnych ruchów, zbyt mocno kręciło mu się w głowie z powodu wciąż utrzymujących się efektów wstrzykniętego narkotyku. Padł na poduszki, złapał oddech i wymusił, by jego głos zabrzmiał spokojnie.

– Chcę rozmawiać z dyrektorem.

– Przykro mi, ale jest niedostępny.

– W takim razie z kimś najstarszym rangą z personelu, kogo jesteś w stanie tu sprowadzić.

– Obecnie nikt nie jest dostępny, aby się tobą zająć.

Pot zalał mu oczy. Grożenie procesami sądowymi rozmawiającej z nim maszynie nie miało najmniejszego sensu. Tak właściwie to... może rozważniej byłoby wcale nikomu nimi nie grozić. Takie miejsce mogłoby z łatwością odpowiedzieć na coś takiego, zwyczajnie wciągając go z powrotem w śpiączkę.

Musiał po prostu dać znać komuś na zewnątrz, jak wygląda jego sytuacja.

– Chciałbym zadzwonić – powiedział. – Czy możesz mnie połączyć z siecią?

– Nie zostałem autoryzowany do robienia czegoś takiego.

– Mogę ci podać numer rachunku skojarzonego z moim głosem i autoryzować do obarczenia mnie kosztami takiej usługi.

– Nie zostałem autoryzowany do przyjmowania twojego numeru konta.

– W takim razie... sam zadzwoń, na koszt odbiorcy. Do Rudolfa Dieterle z Dieterle, Hollingworth i Wspólnicy.

– Nie zostałem autoryzowany do wykonywania takich rozmów.

Zaśmiał się, nie wierząc, że dzieje się to naprawdę.

– Czy jesteś w ogóle fizycznie zdolny połączyć mnie z siecią?

– Nie zostałem autoryzowany do ujawniania własnej specyfikacji technicznej.

Rzucanie obelg byłoby niepotrzebną stratą oddechu. Uniósł głowę, by dokładnie przyjrzeć się otaczającemu go pomieszczeniu. Nie było tu żadnych mebli – żadnych szuflad, stołu ani nawet krzesła dla odwiedzających. Jedynie po jednej stronie łóżka stały monitory, zamocowane na wózkach z hartowanej stali. Nie dostrzegł żadnego terminalu czy jakiegokolwiek innego urządzenia służącego do komunikacji. Nie było nawet zwykłej, wmontowanej w ścianę słuchawki audio.

Dotykem zbadał znajdującą się tuż poniżej zgięcia łokcia igłę. Ściśle przylegający, bezszwowy gumowy rękaw, szeroki na kilka centymetrów, przykrywał miejsce wkłucia. Wydawało się, że przez całą wieczność wpychał paznokcie pod jego krawędź, a kiedy wreszcie dopiął swego, nic mu to nie dało. Rękaw był zbyt opięty, by można go było ściągnąć w dół ramienia, a zbyt elastyczny, by dało się go zrolować jak rękaw koszuli. *Jak się to ściągało?* Chwycił za łapacz kropel, utrzymywany w miejscu przez rękaw, ale nie wydawało mu się, by ten ustąpił. Drugi koniec przewodu zniknął w urządzeniu pompującym leki.

(Thomas zaczął się zastanawiać, czy ta niedająca się usunąć igła, w połączeniu z kontrolerem sali jak gdyby wyrwanym z Kafki, nie wzbudzała

podejrzeń klonu, ale sama możliwość, że jakieś przyszło ja wybudziłoby raz jeszcze własny plik skanu, wydawała się zbyt pokręconym wyjaśnieniem, by mogła przyjść do głowy podczas podobnego kryzysu).

Będzie musiał zabrać ze sobą pompę. Było to niedogodnością, ale skoro i tak zamierzał w poszukiwaniu terminalu przemaszerować przez cały budynek owinięty jedynie prześcieradłem, trudno byłoby oczekiwać, że mógłby wyglądać jeszcze bardziej podejrzanie.

Zaczął odklejać elektrody z klatki piersiowej, lecz nieoczekiwanie poczuł eksplozję paraliżującego ciepła, które zaczęło rozlewać się w jego prawym ramieniu. Pompa zapiszczała dwukrotnie. Odwrócił się i zauważył, że pośrodku pudła zajaśniała jasnozielona dioda, światełko, którego wcześniej tam nie było.

Nim zdążył zareagować, fala paraliżu rozlała się z ramienia. Co jednak mógłby na to poradzić? Zacisnąć przewód? Starął się stoczyć z łóżka, ale jeśli nawet jego ciało zareagowało, to wcale tego nie poczuł.

Jego zamknięte powieki załopotwały. Z wysiłkiem starał się zachować przytomność, i udało mu się. (Napisany skrypt gwarantował klonowi kilka minut jasności umysłu, nie mającej nic wspólnego z prawdziwymi farmakologicznymi skutkami działania opiatu).

Jego EEG musiało być zapisane w pamięci jakiegoś komputera. Ktoś powinien wkrótce zostać powiadomiony o tym, że się przebudził. I ten ktoś zrozumiałby, że jedyną ludzką rzeczą będzie ocucenie go.

Ale kogoś przecież musiano powiadomić już w chwili, kiedy się przebudził.

Bardziej prawdopodobnym rozwiązaniem było to, że pozostawią go tutaj, by umarł.

(Thomas poczuł się źle. To było sadystyczne, szalone. Z drugiej jednak strony, było za późno na przesadną wrażliwość. Wszystko, czego obecnie

doświadcział, miało już miejsce dawno temu).

Jego ciało było sparaliżowane, ale mózg zachował krystaliczną klarowność. Bez jakiegokolwiek rozmazania spowodowanego wewnętrznymi rozterkami jego strach zdawał się czystszy, ostrzejszy niż cokolwiek, czego doświadcział kiedykolwiek do tej pory.

Starał się wyłowić znajome, pocieszające prawdy: Kopia będzie trwała dalej, żyjąc dla niego. Przeznaczeniem ciała było rozpaść się w proch; zaakceptował to już dawno temu. Śmierć była nieodwracalnym zanikiem osobowości, a to, czego obecnie doświadcział, nie było śmiercią, lecz jedynie zrzućciem skóry. Nie miał się czego obawiać.

Chyba że mylił się w temacie śmierci. I w każdym innym.

Leżał sparaliżowany w ciemności. Żałując, że nie może zasnąć, a równocześnie przerażony, że mógłby to zrobić. Życzył sobie czegokolwiek, co oderwałoby jego myśli od toru, którym obecnie podążały. Obawiając się zmarnowania ostatnich cennych chwil życia, obawiając się, że nie jest przygotowany.

Przygotowany? Co też niby miało to znaczyć? Umieranie nie wymagało żadnych przygotowań. Nie przedstawiał na łożu śmierci żadnych usprawiedliwień skierowanych do Boga; Boga, w którego przestał wierzyć w wieku dwunastu lat. I nie miał teraz zamiaru odrzucić na bok siedemdziesięciu lat wolności i zdrowego rozsądku, powracając do dziecięcej wiary. *Zbliź się do Królestwa Niebieskiego jako dziecko, inaczej nigdy nie zostaniesz tam wpuszczony [mowa o tym niemal u wszystkich Ewangelistów – Mateusza (18:3), Marka (10:15) i Łukasza (18:17)]?* Dokładnie to zdanie pozwoliło mu przejrzeć prymitywne mechanizmy zasadzki. To, jak można je tłumaczyć, było zbyt oczywiste (nawet jak dla dziecka): *Te bzdury obrażałyby inteligencję każdego dorosłego człowieka – ale i tak je przełknij, inaczej będziesz płonąć na wieki.*

Wciąż jednak się obawiał. Haczyki weszły zbyt głęboko.

Co ironiczne, wreszcie powrócił do zmysłów i porzucił całą zwariowaną hipotezę, że mógł wybudzić się celowo. By skonfrontować się z własną śmiertelnością! By oczyścić swą Kopię z winy! Cóż to byłby za żaloszny, gówniany żart. A teraz człowiek, który miał zostać rzekomo obdarzony takim bezsensownym gestem, nie miał się nawet nigdy dowiedzieć, że tak czy inaczej, wydarzyło się to zupełnie przypadkowo.

Czerń w jego czaszce zdawała się otwierać, niewidoczny widok rozprzestrzeniający się na niewidoczne aleje. Jakikolwiek poczucie, że przebywa w łóżku w hospicjum i jest po prostu sparaliżowany, pozbawiony wzroku, rozplynęło się; stał zagubiony na równinie pochłoniętej przez ciemności.

Zresztą, co właściwie mógłby przekazać Kopii? Żaloszną prawdę? *Umieram w strachu. Zabiłem Annę, nie mając ku temu żadnego innego powodu jak tylko własny egoizm i tchórzostwo, a teraz – wbrew wszystkiemu – wciąż obawiam się, że jednak może istnieć życie po śmierci. Bóg. Sąd Ostateczny. Cofnąłem się wystarczająco daleko, by zacząć rozważać, czy każdy z dziecinnych przesądów, jakie kiedykolwiek żywiłem, nie miałby jednak okazać się prawdą, ale nie cofnąłem się wystarczająco, by wzbudzić w sobie możliwość skruchy.*

Czy też jakieś mające mi przynieść ulgę kłamstwo? *Umieram w pokoju, odnalazłem wybaczenie, ułożyłem do snu wszystkie moje demony. I jesteś teraz wolny, możesz żyć własnym życiem. Grzechy ojców nie zostaną przeniesione na synów.*

Czy coś takiego mogło zadziałać? Jakoś pomóc? Czy istniała formułka tak szaleńcza jak cała abrakadabra spowiedzi, równie płynna jak słowa wypowiedziane na łożu śmierci umęczonej duszy znajdującej hollywoodzkie odkupienie?

Poczuł, jak porusza się w ciemności, a nie żadnym tunelem w kierunku światła. W ogóle nie było tu światła. To były majaki na środkach odurzających, a nie halucynacje związane ze zbliżaniem się do śmierci. Od tej wszak dzieliły go godziny, a może dni. Do tego czasu z pewnością ponownie zapadnie w śpiączkę. Jedno drobne miłosierdzie.

Czekał. Nie doznawał żadnych objawień, żadnego zrozumienia sytuacji, nie uderzały w niego żadne gromy oślepiającej wiary. Otaczała go jedynie absolutna ciemność, niepewność i strach.



Jeszcze długo po zakończeniu nagrania Thomas siedział w bezruchu przed terminalem.

Klon miał rację – rytuał był bezcelowy, błędny. On zaś jest i na zawsze pozostanie mordercą. Nic nie było w stanie sprawić, by postrzegał samego siebie jako niewinne dziecko oprogramowania martwego Thomasa Riemanna, które niesprawiedliwie zostało obciążone winą zabójcy. Nie, dopóki całkowicie się nie przedefiniuje: nie przedyktuje swych wspomnień, nie przepisze własnej osobowości. Nie wyrzeźbi swojego umysłu w kogoś zupełnie nowego. Innymi słowy: nie umrze.

Taki był jedyny dostępny mu wybór. Musiał żyć z tym, czym się stał w całej rozciągłości. Albo też stworzyć kolejną osobę, która przejęłaby zaledwie część tego, kim był.

Zaśmiał się ze złością i potrząsnął głową.

– Nie przecisnę się przez żadne ucho igielne. To ja zabiłem Annę. Zabiłem ją. Oto, kim jestem.

Sięgnął ku definiującej go bliźnie i pogładził ją, jak gdyby była swego rodzaju talizmanem. Posiedział jeszcze przez chwilę, przeżywając po raz kolejny tamtą noc w Hamburgu i płacząc ze wstydu spowodowanego tym, co zrobił. Następnie otworzył szafkę z alkoholami, by uczynić się pewnym siebie i optymistycznym. Rytuał był bezcelowy, ale skoro nie dawał niczego innego, to przynajmniej pozbawiał go złudzeń, że mogło być inaczej.

Po jakimś czasie pomyślał o klonie. Odpływającym w narkozę. Cierpiącym zgrubnie modelowaną ekstrapolację choroby, która zabiła oryginał, by wreszcie, w chwili symulowanej śmierci, przyjąć nowe ciało, młode i zdrowe, o twarzy wyrwanej wprost z fotografii zrobionej w święta Bożego Narodzenia 1985 roku.

Zmartwychwstanie – chwilowe. Zwykła formalność. Skrypt zamroził młodego mordercę, nawet go nie budząc.

A co potem?

Thomas posunął się już za daleko, aby go to dręczyło. Zrobił już to, co musiał zrobić przez wzgląd na rytuał. Przekazał klon w ręce Durhama, by zagwarantować mu – podobnie jak temu z krwi i kości, za jakiego tamten się uważał – odległą szansę kolejnego życia, w niepoznawalnym świecie znajdującym się poza śmiercią.

I nawet gdyby wszystko okazało się błędem, to i tak nie było teraz sposobu, aby to cofnąć.

CZEŚĆ DRUGA

MIASTO PERMUTACJI

23.

Maria przebudziła się z pozbawionego marzeń sennych snu spokojna i trzeźwo myśląca. Otworzyła oczy i rozejrzała się wokół. Zarówno łóżko, jak i sam pokój nie należały do znajomych; były przestronne i luksusowe. Wszystko wydawało się jej nienaturalnie nieskazitelne, nietknięte ludzkim zamieszkiwaniem, przypominało bardzo drogi pokój hotelowy. Była zaintrygowana, ale nie zaniepokojona; wyjaśnienie zdawało się być tuż, tuż, na granicy wydostania się na światło dzienne. Miała na sobie koszulę nocną, którą widziała po raz pierwszy.

Nieoczekiwanie przypomniała sobie Klinikę Landaua. Pogaduszki z technikami. Pożyczanie markera. To, jak oprowadzano ją po salach służących do rekonwalescencji. Panią anestezyjolog, która kazała jej odliczać.

Wyciągnęła ręce spod kołdry. Na lewej dłoni nie miała żadnego napisu; wykonana przez nią uspokajająca wiadomość zniknęła. Poczowała, jak krew odpływa jej z twarzy.

Zanim jeszcze zdążyła to sobie przemyśleć, do pomieszczenia wszedł Durham. Przez chwilę była zbyt zszokowana, by wydać z siebie jakikolwiek dźwięk – wreszcie wrzasnęła na niego: – Coś ty mi zrobił? Jestem Kopia, tak? Uruchomiłeś Kopię!

Uwięzioną w przeprowadzającym rozruch oprogramowaniu, z dwiema minutami życia przed sobą?

– Tak, jesteś Kopia – odpowiedział jej spokojnie.

– Jak? Jak to zrobiłeś? Jak mogłam pozwolić, by do tego doszło? – wpatrywała się w niego, rozpaczliwie oczekując odpowiedzi, bardziej niż

czymkolwiek innym rozwścieczona samą myślą, że oboje mogą rozpląnąć się w powietrzu, nim usłyszy jego wyjaśnienia, nim zrozumie, jak udało mu się przełamać jej złożone zabezpieczenia. Ale Durham jedynie stał w drzwiach, skąd otumaniony przyglądał się jej z zakłopotaniem – jak gdyby oczekiwał podobnej reakcji, ale teraz, gdy wreszcie naprawdę do niej doszło, nie potrafił w nią uwierzyć.

– To nie rozruch, prawda? – stwierdziła wreszcie. – Jest dużo później. Jesteś kolejną wersją. Wykradłeś mnie i uruchamiasz już po wszystkim.

– Nie wykradłem cię. – Zawahał się i dodał ostrożnie: – Jak mi się wydaje, dokładnie zdajesz sobie sprawę z tego, gdzie się znajdujesz. Sam przeżywałem katusze, podejmując decyzję dotyczącą twego przebudzenia – ale musiałem to zrobić. Obecnie dzieje się tu zbyt wiele rzeczy, których z pewnością nie chciałabyś przegapić; chciałabyś stać się ich częścią. Nie mogłem ci pozwolić tego przespać. To byłoby niewybaczalne.

Maria puściła mimo uszu wszystko, co jej powiedział.

– Zachowałeś po rozruchu mój plik skanu. I jakoś udało ci się go skopiować.

– Nie. Jedynym miejscem, gdzie trafił twój plik, była konfiguracja Ogrodu Eden. Tak, jak wspólnie to uzgodniliśmy. A w tej chwili znajdujesz się w Mieście Permutacji, istniejącym we wszechświecie TVC – znanym obecnie powszechnie jako Elizjum – działającym wyłącznie zgodnie z własnymi prawami.

Maria powoli usiadła na łóżku, przysuwając kolana do klatki piersiowej, próbując zaakceptować sytuację bez wpadania w panikę, bez załamывania się. Durham był obłąkany, nieprzewidywalny. Niebezpieczny. Czy jeszcze tego nie rozumiała? W prawdziwym świecie mogłaby pewnie skrócić mu kark, gdyby tylko została do tego zmuszona w obronie własnej – ale skoro to on kontrolował otaczające ją środowisko, była bezsilna; mógłby ją

zgwałcić, torturować, zrobić, na co tylko przyszłaby mu ochota. Sam pomyślał, że mógłby ją zaatakować, wciąż wydawał się jej niedorzeczny, ale nie mogła zakładać, że sposób, w jaki traktował ją w przeszłości, ma obecnie jakiegokolwiek znaczenie. Był kłamcą i porywaczem. Wcale go nie znała, nawet w najmniejszym stopniu.

Jednakże zachowywał się teraz równie cywilizowanie jak kiedykolwiek do tej pory, wydawał się zdeterminowany, by podtrzymać całą szaradę. Obawiała się wypróbowania otoczki jego gościnności, ale zmusiła się, by powiedzieć wyzutym z emocji głosem: – Chcę użyć terminalu.

Durham wykonał ruch dłonią w kierunku przestrzeni znajdującej się nad jej łóżkiem, gdzie pojawił się ekran. Jej serce przestało bić; uświadomiła sobie, że wciąż trzyma się kurczowo słabej nadziei, iż jednak może być człowiekiem z krwi i kości. To wciąż jeszcze było możliwe. Sam Durham przecież został swego czasu poddany wymazaniu pamięci i tak ogłupiony, że uważał się za Kopię, podczas gdy jedynie był gościem. Bądź też przynajmniej upierał się, że miało to miejsce w innym świecie.

Wypróbowała kilka numerów, rozpoczynając od telefonu do Franceski, kończąc na Adenie. Terminal za każdym razem ogłaszał, że numery nie istnieją. Nie potrafiła się zmusić do wykręcenia własnego numeru. Durham przez cały czas obserwował ją w milczeniu. Wydawał się uchwycony pomiędzy autentycznym współczuciem a pewnego rodzaju kliniczną fascynacją – jak gdyby sama próba wykonania kilku rozmów telefonicznych rzucała cień wątpliwości na JEJ zdrowie psychiczne; jak gdyby obecnie oddawała się jakiemuś osobliwemu, psychotycznemu zachowaniu zasługującemu na bliższe oględziny, podobnemu do zagładania za lustro w poszukiwaniu widocznego w nim obiektu, czy prowadzeniu rozmowy z programem w telewizorze, czy też wykonywaniu rozmów telefonicznych za pomocą telefonu zabawki.

Maria ze złością odepchnęła unoszące się w powietrzu urządzenie; poruszało się z łatwością, ale zatrzymało się od razu, kiedy je puściła. Połatana z najprzeróżniejszych kawałków VR wraz ze swoją dogodną fizyką zdawała się dopełniać czary goryczy.

– Czy wydaje ci się, że jestem głupia? – zapytała. – Co też miałyby mi udowodniać taka atrapa terminalu?

– Nic. Dlaczego więc nie zastosujesz własnych kryteriów? – odpowiedział. – Komputer centralny. – Na terminalu zabłysło menu wypełnione mrowiem ikon, podpisane *CENTRUM OBLICZENIOWE MIASTA PERMUTACJI*. – Ostatnio niezbyt wiele osób korzysta z tego interfejsu; to oryginalna wersja, zaprojektowana jeszcze przed rozruchem. Ale da ci dostęp do takiej mocy obliczeniowej jak najnowsze bezpośrednio osobiste łącza.

Wyświetlił Marii plik tekstowy, który rozpoznała natychmiast. Był to napisany przez nią program rozwiązujący gigantyczny, umyślnie trudny układ równań diofantycznych. To, co ten program podawał na wyjściu, było kluczem, mającym – jak wspólnie to ustalili – odblokować już po rozruchu dostęp Durhama do pozostałych Kopii.

Uruchomił program, a ten natychmiast wyrzucił z siebie wyniki: ekran wypełnił się liczbami, z których najkrótsza miała co najmniej dwadzieścia cyfr. Wykonanie podobnych obliczeń na jakimkolwiek istniejącym w rzeczywistości komputerze zabrałoby całe lata.

Na Marii nie wywarło to najmniejszego wrażenia.

– Uruchamiając program, mogłeś nas zamrozić, tak by wydawało mi się, że czas w ogóle nie płynie. Równie dobrze mogłeś z wyprzedzeniem wygenerować wyniki. – wskazała na terminal. – Jestem przekonana, że wszystko fabrykujesz: że wcale nie komunikujesz się z autentycznym

systemem operacyjnym i tak naprawdę wcale nie uruchamiasz mojego programu.

– Daję ci wolną rękę, możesz pozamieniać parametry równania i spróbować raz jeszcze.

Zrobiła, jak jej powiedział. Zmodyfikowany program „działał” równie szybko, wyrzucając z siebie kolejny zestaw wyników. Zaśmiała się kwaśno.

– Co mam teraz z tym zrobić? Sprawdzić wszystkie w pamięci? Mogłeś mi wpakować na ekran byle bzdury, a nie byłabym w stanie dostrzec najmniejszej różnicy. Nawet gdybym napisała kolejny program, którego zadaniem byłoby sprawdzenie uzyskiwanych wyników, ty w podobny sposób mógłbyś zafałszować i jego działanie. Kontrolujesz całe środowisko, czyż nie? Tak więc niczemu nie mogę zaufać. Cokolwiek bym zrobiła, by sprawdzić twe zapewnienia, ty możesz interweniować i sprawić, by wszystko zadziało po twojej myśli. Po to właśnie od samego początku chciałeś mojego skanu? By móc mnie tu trzymać pod kluczem i zarzucać kłamstwami – by wreszcie móc komuś „udowodnić” swe szalone pomysły?

– Teraz zachowujesz się paranoidalnie.

– Ja? To ty jesteś ekspertem w te klocki.

Rozejrzała się po luksusowej więziennej celi. Czerwone aksamitne zasłony falowały w lekkim podmuchu wiatru. Wysunęła się z łóżka i zupełnie ignorując Durhama, przeszła przez pokój; im bardziej się z nim kłóciła, tym trudniej było jej obawiać się go fizycznie. Wybrał sobie taką właśnie formę tortur i trzymał się jej kurczowo.

Rozciągający się widok z okna pokazał jej las połyskliwych wieżowców – nie ulegało wątpliwości, że bezbłędnie przedstawionych zgodnie z wszelkimi prawami optyki, lecz wciąż zbyt gładkich i lśniących, by mogły być prawdziwe... niczym scenografia z filmu ekspresjonistycznego, powstałego w latach dwudziestych dziewiętnastego wieku. Widziała szkice;

to istotnie było Miasto Permutacji – nieważne, na jakim sprzęcie obecnie działało. Spojrzała w dół. Znajdowali się mniej więcej na siedemdziesiątym, osiemdziesiątym piętrze budynku, leżąca w dole ulica była więc niewidoczna, ale tuż pod oknem, jakieś dziesięć metrów na prawo, rozciągał się pasaż łączący ich budynek z pobliskim wieżowcem i mogła tam dostrzec kilku marionetkowych obywateli, którzy rozmawiając ze sobą w parach lub trójkach, zmierzali w kierunku własnych urojonych celów. Wszystko sprawiało bardzo kosztowne wrażenie – ale spowolnienie mogło kupić mnóstwo subiektywnej mocy obliczeniowej, o ile tylko zależało ci na takiej właśnie wymianie. Ile czasu upłynęło w świecie zewnętrznym? Lata? Dekady?

Czy zdołała tam ocalić Francescę?

– Uważasz, że zawładnąłem należącym do ciebie plikiem skanu i uruchomiłem całe to miasto jedynie dla przyjemności płynącej z wprowadzenia cię w błąd? – zapytał.

– To najprostsze z wyjaśnień.

– To niedorzeczne i sama zdajesz sobie z tego sprawę. Przykro mi. Wiem, że musi to być dla ciebie bolesne. Ale ja nie zrobiłem tego ot, tak sobie. Minęło siedem tysięcy lat; miałem mnóstwo czasu, żeby to sobie przemyśleć.

Odwróciła się błyskawicznie, by stanąć z nim twarzą w twarz.

– Przestań mnie okłamywać!

Unióś ręce w geście skruchy – i niecierpliwości.

– Mario... jesteś we wszechświecie TVC. Rozruch zadziałał, tym samym udowadniając hipotezę pyłu. To stało się faktem i lepiej się z tym pogódź, ponieważ jesteś teraz częścią społeczeństwa, które żyje z taką świadomością już od tysiącleci.

I zdaję sobie sprawę ze złożenia ci obietnicy, że przebudzę cię jedynie w takim przypadku, gdy planeta Lambert zawiedzie – i kiedy twoja praca nad ziarnem biosfery stanie się nieunikniona. W porządku, złamałem dane słowo. Ale... złożyłem ci niewłaściwie sformułowaną przysięgę. Lambert nie zawiodła; jej rozwój przekroczył nasze najśmielsze oczekiwania. Jakże mógłbym więc pozwolić ci przespać to wszystko?

W powietrzu, tuż obok niej, pojawiło się okno interfejsu, przedstawiające częściowo oświetloną niebiesko–białą planetę.

– Nie oczekuję, że kontynenty będą wyglądały znajomo. Włożyliśmy w Autoverse mnóstwo środków. To, co w przypadku większości tutejszych mieszkańców trwało siedem tysięcy lat, przekłada się na trzy miliardy dla Lambert.

– Marnujesz tylko swój czas – powiedziała stanowczo Maria. – Nic, co mógłbyś mi pokazać, nie zmieni tego, co myślę. – Lecz oczarowana wpatrywała się w planetę, podczas gdy Durham coraz bardziej zbliżał do jej powierzchni znajdujący się na ekranie widok.

Przebili się przez warstwę chmur w pobliżu wschodniego wybrzeża olbrzymiej górzystej wyspy, będącej częścią rozciągającego się wzdłuż równika archipelagu. Goła powierzchnia szczytów skał miała tu barwę ochry, co nie było kolorem żadnego z zawartych w oryginalnym projekcie minerałów, lecz z czasem geochemia mogła przecież wyskoczyć z czymś nowym. Roślinna wegetacja, pokrywająca niemal każdy pozostały skrawek lądu aż do samej linii brzegu, miała niebieskozielone odcienie. Wraz z obniżaniem ich punktu obserwacji powierzchnia planety coraz bardziej odsłaniała się przed nimi, lecz Maria dostrzegła tam jedynie jakieś „trawy” i „krzaczkę”, a nic chociażby odrobinę podobnego do ziemskiego drzewa.

Durham skierował obraz na łąkę leżącą niedaleko wybrzeża – jakieś kilkaset metrów, jeśli wierzyć widocznej u dołu ekranu skali,

nieoczekiwanie potwierdzonej przez obserwacje. To, co z początku wyglądało na chmurę unoszonego na wietrze pyłu – być może jakichś nasion? – okazało się rojem lśniących czarnych „insektów”. Durham zamroził obraz, a następnie przybliżył jedną z tych istot.

Zgodnie z ziemską definicją nie można jej było nazywać owadem: posiadała cztery, a nie sześć odnóży oraz ciało, które wyraźnie było podzielone na pięć segmentów: głowę, kolejne sekcje z przyłączonymi odnóżami przednimi, skrzydłami i odnóżami tylnymi oraz odwłok. Durham wykonał ruch dłonią, odwracając znajdującą się na ekranie istotę. Miała spłaszczoną, lecz niezupełnie płaską głowę, a na niej dwoje olbrzymich oczu – o ile tylko były to oczy: lśniące niebieskawe dyski, w których nie można było dostrzec żadnej wewnętrznej struktury. Resztę głowy pokrywały delikatne włoski, rosnące w złożonym, symetrycznym wzorze, przypominającym Marii tatuaże na twarzach Maorysów. Czyżby to były czujniki odbierające drgania powietrza? A może zapach?

– Wszystko to bardzo ładne, ale zapomniałeś o otworze gębowym – stwierdziła.

– Umieszczają pożywienie we wgłębieniu znajdującym się bezpośrednio pod skrzydłami. – Odwrócił ciało istoty, aby jej to pokazać. – Tam przylega ono do widocznych tu szczecinek i dzięki wydzielanym enzymom zostaje rozłożone. Wydawałoby się, że powinno wypaść, ale nie dochodzi do czegoś takiego – przynajmniej dopóki trawienie nie zostanie zakończone, a wszystkie składniki odżywcze wchłonięte, bo dopiero wtedy białka znajdujące się na szczecinkach zmieniają swój kształt, wyłączając przyleganie. Cały ich żołądek jest zaledwie kropelką, zwisającą – o, tutaj – na otwartym powietrzu.

– Mogłeś wymyślić coś bardziej przekonującego.

– Właśnie – zaśmiał się Durham.

Pojedyncza para skrzydeł była przezroczyście brązowa i wyglądała na zrobioną z cieniutkiej warstewki tej samej substancji, co egzoszkielet insekta. Wszystkie cztery odnóża posiadały po jednym stawie, a zakończone były strukturami przypominającymi pióra. Segment odwłoku miał brązowo–czarne plamki niczym tarcza strzelnicza, z takim wyjątkiem, że w centrum nie było niczego; ciemna rurka wyłaniała się spod krawędzi, zwężając do ostrego niczym igła zakończenia.

– Lambertianie posiadają diploidalne chromosomy, lecz tylko jedną płęć. Każde dwa osobniki mogą wtłoczyć swe DNA, jeden po drugim, do wnętrza komórki pewnego tutejszego gatunku roślinnego; ich geny przejmują wtedy kontrolę nad tą komórką i zamieniają ją w coś będącego skrzyżowaniem pomiędzy cystą a jajeczkiem. Zazwyczaj wybierają specyficzne miejsce na łądygach określonych gatunków krzewów. Nie mam pojęcia, czy można to nazwać pasożytnictwem – czy może jedynie budowaniem gniazd na poziomie molekularnym. Roślina odżywia embrion i przeżywa ten proces w doskonałym zdrowiu – a kiedy wykluwa się młode, odwzajemnia jej tę przysługę, rozsiewając nasiona. Przed miliardami lat ich przodkowie przejęli pewne mechanizmy kontrolne od wirusów roślinnych. Można tu się dopatrzeć wielu podobnych wymian genetycznych; tutejsze „królestwa” są o wiele bardziej zbliżone do siebie pod względem biochemicznym niż miało to miejsce na Ziemi.

Maria odwróciła się od ekranu. Najgłupsze w tym wszystkim było to, że miała ochotę zadawać kolejne pytania, dopraszać się szczegółów.

– Co teraz? – zapytała. – Zbliżysz jeszcze bardziej i pokażesz mi szczegółową strukturę anatomiczną, komórki tej istoty, białka, atomy, aż wreszcie dojdiesz do komórek Autoverse’u – i będzie to miało mnie przekonać, że cała planeta znajduje się w Autoverse? Ponownie uruchomisz to coś, żeby sobie polatało – a ja będę miała przyjąć, że żaden istniejący

rzeczywiście komputer nigdy nie mógłby uruchomić tak złożonego organizmu, modelowanego aż tak szczegółowo? Jak gdybym była w stanie osobiście zweryfikować fakt, że każde machnięcie skrzydłami tego czegoś jest odpowiednikiem rzekomo prawidłowej sekwencji kilku bilionów stanów automatów komórkowych. To w niczym nie różni się od przedstawionych przed chwilą przez ciebie rozwiązań równania. Niczego nie udowadnia.

Durham wolno pokiwał głową.

– W porządku. A co, gdybym ci pokazał jakieś inne gatunki? Bądź też pełną historię ewolucyjną? Dowody palingenetyczne? Mamy tu zapisaną w pamięci każdą kolejną mutację, jaka pojawiła się od początku tego świata. Chcesz możesz nad nimi zasiąść i sprawdzić, czy wyglądają na autentyczne?

– Nie. Chcę jedynie działającego terminalu. Chcę, byś pozwolił mi się skontaktować z moim oryginałem. Chcę z nią porozmawiać – a być może, jakoś we dwie, wspólnie, będziemy w stanie zdecydować, co mam zrobić, kiedy już wydostanę się z tego pierdolonego wariatkowa na swój osobisty rachunek na JSN.

Durham wydawał się poruszony – i przez krótką chwilę uwierzyła, że być może wreszcie udało się jej go przekonać. Ale odpowiedział: – Obudziłem cię, bo miałem ku temu powód. Wkrótce zamierzamy dokonać pierwszego kontaktu z Lambertianami. Mogło do tego dojść już wcześniej – ale istniały pewne komplikacje, pewne polityczne opóźnienia.

Teraz była już całkiem skołowana.

– Skontaktować z Lambertianami? Co masz na myśli?

Wskazał insekta, unieruchomionego na ekranie ze skierowaną w ich stronę częścią spodnią z narządami rozrodczymi.

– To nie jest jakiś tam pierwszy lepszy gatunek wybrany na chybił trafił. To szczyt autowersowego życia. Są rozumni, świadomi własnego istnienia, wysoce inteligentni. Nie posiadają prawie żadnej technologii – ale ich układ nerwowy jest jakieś dziesięć razy bardziej złożony od ludzkiego i w niektórych zadaniach mogą posunąć się o wiele dalej niż my, wykonując pewien rodzaj równoległych obliczeń w rojach. Posiadają chemię, fizykę i astronomię. Wiedzą o istnieniu trzydziestu dwóch pierwiastków – jakkolwiek jeszcze nie odkryli leżących pod nimi zasad automatów komórkowych. Modelują praoblók. Są istotami rozumnymi i chcą się dowiedzieć, skąd pochodzą.

Maria wykonała przed ekranem obrotowy ruch dłonią, dzięki czemu w polu widzenia raz jeszcze pojawiła się głowa Lambertianina. Zaczynała podejrzewać, że Durham w rzeczywistości wierzy w każde wypowiedane przez siebie słowo, a w takim wypadku jest szansa, że być może – przynajmniej osobiście – nie wymyślił sobie tych obcych. Być może to jakaś inna jego wersja – oryginał z krwi i kości? – oszukiwała ich oboje. Jeżeli taki był powód, to sprzeczała się z niewłaściwą osobą – ale cóż innego mogła zrobić? Zacząć wykrzykiwać do niebios błagania o uwolnienie?

– Dziesięć razy bardziej złożony od ludzkiego mózgu? – zapytała, oszołomiona.

– Ich neurony nie używają do przewodzenia potencjału czynnościowego błon komórkowych, a przewodzących polimerów. Same komórki są porównywalnego rozmiaru co ludzkie – ale każdy z aksonów i dendrytów przewodzi równocześnie impulsy wielokrotne. – Durham przesunął ich punkt widzenia za oko Lambertianina, by pokazać jej, co ma na myśli. Neuron w nerwie optycznym, któremu przyjrzeni się bliżej, składał się z tysięcy cząsteczek, niczym splecione w skomplikowany sposób liny, które

biegły przez całą długość komórki. Na drugim końcu każdy z polimerów łączył się z pewnego rodzaju pęcherzykiem, wąski molekularny przewód stawał się mały w porównaniu z niewielką kieszenią błony komórkowej ściśniętej od zewnątrz. – istnieją tu niemal trzy tysiące różnych neuroprzekaźników; wszystkie z nich są białkami zbudowanymi z trzech podjednostek, z czternastoma możliwościami dla każdej z nich. Odrobinę przypominają ludzkie przeciwciała, jeśli chodzi o sposób generowania szerokiego spektrum kształtów, i łączą się ze swoimi receptorami równie selektywnie jak przeciwciało z antygenem; każda z synaps posiada trzy tysiące kanałów biochemicznej centraliki, które nawet w najmniejszym stopniu nie zachodzą na siebie. Tak wyglądają molekularne podstawy lambertiańskiego myślenia. – Dodał kwaśno: – Co znacznie przewyższa to, co sami posiadamy: nasze molekularne podstawy. My wciąż używamy starych patchworkowych modeli ludzkiego ciała – rozwiniętych i zmodyfikowanych w zależności od gustu, wciąż jednak opartych na tych samych założeniach, co pierwsza mówiąca Kopia Johna Vinesa. Powstał długoterminowy projekt mający na celu przekazanie ludziom możliwości generowania ich na poziomie atomowym, ale nie mówiąc już o politycznych komplikacjach, nawet entuzjaści tego projektu wciąż znajdują inne, o wiele bardziej naglące zajęcia.

Durham przesunął punkt obserwacji tak, że ten przeniknął ścianę komórki, a następnie obrócił go z powrotem, skierowując w stronę zakończenia neuronu. Zmienił układ kolorów z atomowego na cząsteczkowy, by podświetlić poszczególne neuroprzekaźniki odrębnymi odcieniami. Następnie ponownie uruchomił obraz.

Kilka szarych pęcherzyków o lipidowych błonach skurczyło się i stanęło otworem, wyrzucając z siebie powódź jaskrawo kolorowych drobinek. Te, przetaczając się wzburzoną falą przez ich punkt obserwacji, okazały się

złożonymi, nieregularnymi globulkami o oszałamiającej różnorodności form. Durham przekreślił ich punkt widzenia z powrotem do przodu i skierował na drugi koniec synapsy. Wreszcie Maria mogła rozróżnić zakodowane kolorami receptory, osadzone w ścianach komórek odbierających sygnały z neuronów: długie łańcuchowe molekuly łączące się z gęsto pofalowanymi pierścieniami, posiadające na odsłoniętej powierzchni guzowate wgłębienia.

Przez kilka minut wspólnie obserwowali, jak tysiące źle dobranych neuroprzekaźników odbijają się od jednego z receptorów; wreszcie znudzony tym Durham poprosił oprogramowanie, by przedstawiło im taki, który pasuje. Obraz rozmył się na sekundę, po czym powrócił do oryginalnej prędkości dokładnie w chwili, gdy molekula o właściwym kształcie natrafiała na swój cel. Uderzyła w receptor i została zablokowana w miejscu; Durham w odpowiednim momencie zanurzył ich punkt widzenia wewnątrz błony komórkowej, by pokazać, jak zanurzona sekcja ogonowa receptora w odpowiedzi zmienia konfigurację.

– To zadziała jako katalizator aktywujący wtórny neuroprzekaźnik, ten, który dostarczy energię do właściwego polimeru – wytłumaczył. – No, chyba że będzie tam już związany inhibitor, blokujący mu dostęp. – Raz jeszcze przemówił do oprogramowania, które zaczęło przedstawiać każdą z opisanych przez niego możliwości.

Maria oszołomiona potrząsnęła głową.

– Powiedz mi prawdę – kto tym dyryguje? Trzy tysiące neuroprzekaźników, trzy tysiące receptorów, trzy tysiące wtórnych przekaźników? Bez wątpienia możesz mi pokazać indywidualne struktury każdego z nich – i bez wątpienia będą się one zachowywać dokładnie tak, jaki mi to właśnie opisałeś. Samo tylko napisanie oprogramowania mającego naśladować coś tak złożonego byłoby niewyobrażalną pracą.

Komu to zleciłeś? Na pewno nie istnieje zbyt wiele osób będących w stanie się tego podjąć.

– Zleciłem to tobie – odpowiedział delikatnie. – Nie mogłaś o tym zapomnieć. Ziarno dla biosfery? Demonstracja mająca na celu przedstawienie, że życie w Autoverse może być równie różnorodne i równie złożone jak ziemskie?

– Nie. Przejście z *A. hydrophila* do czegoś takiego potrzebowałyby.

– Miliardów lat autoversowego czasu? Mocy obliczeniowej przewyższającej o rzędy wielkości zasoby dostępne na Ziemi w dwudziestym pierwszym wieku? Tego właśnie potrzebowała planeta Lambert – i to otrzymała.

Maria cofała się od ekranu, dopóki za plecami miała już tylko ścianę; wtedy osunęła się po niej, tuż przy zasłoniętym czerwoną zasłoną oknie, i usiadła na wyłożonej pluszem podłodze. Zatopiła twarz w dłoniach i starała się wolno oddychać. Poczowała się, jakby pogrzebano ją żywcem.

Uwierzyła mu? Właściwie nie miało to znaczenia. Cokolwiek by zrobiła, on nieustannie zarzucałby ją podobnymi do tych „dowodami”, pasującymi do jego twierdzeń. A niezależnie od tego, czy okłamywał ją z premedytacją, czy nie – oraz tego, czy sam został oszukany przez zupełnie inną wersję samego siebie, czy też może mimo wszystko „hipoteza pyłu” okazała się słuszna – i tak nigdy nie zamierzał wypuścić jej z powrotem do prawdziwego świata. Psychotyczny kłamca, współofiara, czy może spokojny dostawca prawdy... tak czy owak uwolnienie jej nie leżało w jego gestii.

Jej oryginał wciąż istniał na zewnątrz – posiadając pieniądze mające ocalić Francescę. Taki przecież był cel całej tej szalonej rozgrywki, zapłata za ryzykowanie własnej duszy. Gdyby tylko potrafiła to zapamiętać i

trzymać się tego kurczowo, być może udałoby się jej pozostać przy zdrowych zmysłach.

Durham kontynuował – nieświadom jej rozterek, bądź też pragnąc ją litościwie dobić.

– Któż byłby w stanie coś takiego zbudować? – zapytał. – Sama bardzo dobrze zdajesz sobie sprawę, ile lat zajęło Maksowi Lambertowi przełożenie rzeczywistej bakterii. Czy szczerze wierzysz, że znalazłem kogoś, kto mógłby stworzyć funkcjonalnego – nowatorskiego – pseudoinsekta z niczego... nie wspominając już o tym, by ten zupełnie przy okazji okazał się inteligentny?

W porządku: nie możesz osobiście sprawdzić, czy zachowanie w skali makro odpowiada zasadom Autoverse'u. Ale możesz przestudiować wszelkie szlaki biochemiczne, prześledzić ich historię z powrotem do gatunków przodków. Możesz obserwować rozwój embrionu, komórka po komórce – to, jak podąża zgodnie z gradientem hormonów kontroli, różnicując się w listki zarodkowe, formując organy.

Cała planeta jest dla nas niczym otwarta księga: możesz przyjrzeć się bliżej wszystkiemu, czemu tylko zechcesz. Przyjrzeć się temu dogłębnie na dowolnie wybranej skali, począwszy od wirusa, a kończąc na pełnym ekosystemie, od aktywacji cząsteczki pigmentu siatkówki aż po cykle geochemiczne.

Obecnie na Lambert żyje około sześciuset dziewięćdziesięciu milionów gatunków. Wszystkie stosują się do praw Autoverse'u. Wszystkie, co zostało udowodnione, pochodzą od pojedynczego organizmu istniejącego trzy miliardy lat temu – którego charakterystykę, jak mi się zdaje, znasz na pamięć. Czy naprawdę uważasz, że ktokolwiek mógłby to wszystko zaprojektować?

Maria spojrzała na niego ze złością.

– Nie. Oczywiście, że to ewoluowało, gdyż musiało ewoluować. Możesz się teraz zamknąć – wygrałeś – wierzę ci. Ale dlaczego musiałeś mnie przebudzić? Postradam tu zmysły.

Durham kucnął tuż przy niej i położył dłoń na jej ramieniu. Zaczęła łkać bez łez, starając się rozłożyć własne zagubienie na części pierwsze, takie, które mogłaby próbować zrozumieć. *Francesca odeszła. Podobnie Aden. Wszyscy jej przyjaciele. Wszyscy ludzie, których kiedykolwiek spotkała: zarówno osobiście, jak i w sieci. Wszyscy ludzie, o których kiedykolwiek usłyszała: muzycy i pisarze, filozofowie i gwiazdy filmowe, politycy i seryjni mordercy.* Nie byli nawet martwi; ich życie nie leżało w jej przeszłości, w pełni i zrozumiale. Byli rozproszeni wokół niej niczym pył: bez znaczenia, bez jakiegokolwiek połączenia z jej osobą.

Wszystko, co kiedykolwiek wiedziała, zostało zredukowane do losowo generowanego szumu.

Durham się zawahał, a następnie niezręcznie ją objął. Chciała zrobić mu krzywdę, ale zamiast tego przyłgnęła do niego i płakała, zagryzając zęby, zaciskając pięści, wstrząsana wściekłością i smutkiem.

– Wcale nie postradasz zmysłów – stwierdził. – Tutaj możesz żyć, jak tylko sobie tego zażyczysz. Siedem tysięcy lat nic tu nie znaczy; nie utraciliśmy naszej dawnej kultury – wciąż posiadamy wszystkie biblioteki, archiwa, bazy danych. A istnieją również tysiące ludzi, którzy chcieliby się z tobą spotkać; ludzi, którzy szanują cię za to, czego dokonałaś. Jesteś mitem, bohaterem Elizjum, śpiącym osiemnastym założycielem. Wyprawimy wielkie uroczystości, by uczcić twoje przebudzenie.

Odepchnęła go.

– Nie chcę tego. Nie mam najmniejszej ochoty na nic, o czym mówisz.

– W porządku. Decyzja należy do ciebie.

Zamknęła oczy i skuliła się przy ścianie. Wiedziała, że musi wyglądać jak rozdrażniony dzieciak, ale miała to gdzieś.

– Do ciebie należało ostatnie słowo – stwierdziła gwałtownie. – Ty śmiałeś się ostatni. Przywróciłeś mnie do życia tylko po to, by rzucić mi prosto w twarz dowód własnych drogocennych przekonań. A teraz chcę wrócić do mojego snu. Na wieczność. Chcę, żeby wszystko, co mnie otacza, zniknęło.

Durham milczał przez chwilę.

– Możesz to zrobić, jeśli właśnie tego naprawdę pragniesz – odpowiedział jej wreszcie. – Kiedy już pokażę ci, co odziedziczyłaś i jak to kontrolować, będziesz miała możliwości, by odizolować się od reszty Elizjum. Jeżeli zdecydujesz się na sen, nikt nigdy nie będzie w stanie cię obudzić.

Ale czy nie chcesz być tam, na powierzchni Lambert, podczas pierwszego kontaktu z cywilizacją, która właśnie tobie zawdzięcza swoje istnienie?

24.

(Miasto Rutyny) (Rut City)

Peer znajdował się w swoim warsztacie, gdzie wykonywał na obrabiarce nogę stołową, gdy wpadła mu w oko najnowsza wiadomość od Kate:

Musisz to zobaczyć. Proszę! Spotkajmy się w Mieście.

Odwrócił wzrok.

Pracował na swoim ulubionym materiale – sośnie cukrowej [*sosna Lamberta (Pinus lambertiana) najwyższy spośród wszystkich gatunków sosny i jeden z najbardziej masywnych; występuje na obszarach górskich zachodniego wybrzeża Ameryki Północnej*]. Własnoręcznie stworzył sobie całą plantację, korzystając z bibliotek genowych i map komórek roślinnych, modelując aż po poziom atomowy pojedyncze przykłady każdego typu komórek, by później zawrzeć ich podstawowe właściwości w zasadach, na których uruchomienie mógł sobie pozwolić po miliard razy dla dziesiątek tysięcy drzew. Teoretycznie mógłby właściwie stworzyć całą plantację z pojedynczych atomów – a wykonanie tak postawionego zadania byłoby o wiele bardziej finezyjne – lecz spowolnienie własnej osoby do ram czasowych, w których drzewa rosłyby wystarczająco szybko, by zaspokajać jego potrzeby, oznaczałoby pozostawienie Kate daleko w tyle.

Wyłączył tokarkę i po raz kolejny przeczytał wiadomość zapisaną na plakacie przyczepionym do znajdującej się w warsztacie tablicy ogłoszeń (jedynej części tego środowiska, do której Kate miała zapewniony

bezpośredni dostęp, gdy zajęty był pracą). Plakat wyglądał zupełnie zwyczajnie, z takim tylko wyjątkiem, że wzrok przyciągała skłonność liter do podskakiwania w górę, gdy przekraczały obwodowe pole widzenia.

– Jest mi tu dobrze – wymamrotał. – wcale mnie nie interesuje, co wyprawiają w Mieście.

Warsztat połączony był z magazynem wypełnionym nogami stołowymi – do tej pory znalazło się w nim sto sześćdziesiąt dwa tysiące trzysta dwadzieścia dziewięć sztuk – i Peer nie potrafił sobie wyobrazić niczego bardziej satysfakcjonującego niż osiągnięcie granicy dwustu tysięcy, mimo iż zdawał sobie doskonale sprawę, że najprawdopodobniej zmieni zdanie i porzuci tę pracę, nim osiągnie tak wyczekiwaną liczbę, bowiem jego egzojaźń narzucała mu nowe powołania w przypadkowo wybranych odstępach czasu, lecz i tak, statystycznie rzecz biorąc, kolejna zmiana miała już pewne opóźnienie. Nim podjął się stolarki, z pasją pochłaniał najróżniejsze teksty dotyczące matematyki wyższej, siedząc w bibliotece głównej, gdzie uruchamiał wszelkie dostępne w sieci oprogramowanie samouczków, by następnie własnoręcznie dodawać do nich nowe, ważne wyniki na temat teorii grup, bynajmniej nie zaniepokojony faktem, że żaden z elizyjskich matematyków nigdy nie zapozna się z wykonaną przez niego pracą. Jeszcze wcześniej stworzył przeszło trzysta oper komicznych z librettami po włosku, francusku i angielsku. Większość z nich wystawił nawet na scenie, używając do tego marionetkowych wykonawców i podobnej im publiczności. Jeszcze wcześniej przez sześćdziesiąt siedem lat cierpliwie studiował strukturę i biochemię ludzkiego mózgu, a pod koniec tego czasu, ku swej wielkiej satysfakcji, w pełni zrozumiał naturę procesu świadomości. Każde z jego zajęć – kiedy trwało – było całkowicie pochłaniające i satysfakcjonujące. Kiedyś nawet interesował się Elizyjczykami.

Ale wszystko to było już melodią przeszłości. Teraz wolał myśleć o nogach stołowych.

Wciąż jednak interesował się Kate. I wybrał to jako jeden z niewielu pewników. Ostatnio jednak ją zaniedbywał – nie widzieli się niemal od dekady.

Z zadumą rozejrzał się po warsztacie. Jego wzrok padł na leżący w kącie stos świeżego drewna, jedynie umacniając go wewnątrz w podjętym postanowieniu. Wzywała go przyjemność płynąca z używania tokarki, lecz miłość oznaczała konieczność dokonywania poświęceń.

Zdjął fartuch, przeciągnął ramiona i runął do tyłu, wprost w niebo, które rozciągało się nad Miastem.

Kate przyłączyła się do niego, gdy wciąż jeszcze spadał. Runęła na niego niczym jastrzęb, pojawiając się znikąd i chwytając go za rękę, którą niemal wyrwała ze stawu.

– Mimo wszystko wciąż żyjesz – wykrzyczała ponad szumem wiatru. – Zaczynałam się zastanawiać, czy przypadkiem się nie wyłączyłeś. Bądź też, czy zupełnie nie zapomniałeś już o mnie i nie wyruszyłeś w poszukiwaniu nowego życia. – Powiedziała to sarkastycznie, lecz można było wyczuć w jej głosie nutę autentycznej ulgi. Dekada wciąż mogła się wyjątkowo dłużyć, o ile tylko na to pozwalałeś.

– Wiesz przecież, jaki jestem zajęty – odpowiedział cicho, lecz słyszalnie. – A kiedy pracuję nad czymś.

– Pracujesz? – zaśmiała się szyderczo. – Tak to nazywasz? Czerpanie przyjemności z czegoś, co zanutłoby na śmierć najgłupszego nawet robota w fabryce? – Miała długie, kruczoczarne włosy, które smagały ją po twarzy, szarpane niby przypadkowymi porywami wiatru, lecz zawsze zasłaniając dokładnie tyle, by ukryć wyraz jej twarzy.

– Wciąż jesteś. – wiatr zatopił jego słowa, więc Kate uruchomiła niefizyczne zrozumienie. Wykrzyknął: – wciąż jesteś rzeźbiarką, prawda? Powinnaś to zrozumieć. Drewno, jego ziarno, faktura.

– Rozumiem, że potrzebujesz protezy, zainteresowań, które pomogą ci zabić czas, ale powinieneś przy okazji postarać się bardziej starannie ustalać swoje parametry.

– Dlaczego? – Zmusiła go do podniesienia głosu, co sprawiło, że miał ochotę się pokłócić; siłą woli wymusił na swojej egojaźni zignorowanie tego faktu i już spokojnie wykrzyczał: – Co kilka dekad, losowo, podejmuję się nowych, jak najbardziej przypadkowo wybranych celów. To doskonałe. Jak mógłbym to jeszcze bardziej udoskonalić? Nie jestem skazany na wieczność spędzaną na wykonywaniu tej samej czynności, możesz uważać, że marnuję swój czas, ale to kwestia zaledwie pięćdziesięciu czy stu lat. Jakież ma to znaczenie na dłuższą metę?

– Wciąż mógłbyś być bardziej wybredny.

– Co dokładnie masz na myśli? Mam się zajmować czymś użytecznym społecznie? Pracą na rzecz ofiar głodu? Niesieniem psychologicznej pomocy śmiertelnie chorym? A może masz na myśli jakieś wyzwania intelektualne? Odkrywanie fundamentalnych praw tego wszechświata? Cóż, muszę przyznać, że zasady TVC jakoś ostatnio zupełnie umknęły mojej uwagi, a przypomnienie ich sobie może mi pewnie zabrać jakieś pięć sekund. Poszukiwanie Boga? O, to już odrobinę trudniejsze zadanie: Paul Durham nigdy nie odpowiada na moje telefony. Odkrywanie samego siebie...?

– Nie musisz się otwierać na każdy absurd, jaki ci przyjdzie do głowy.

– Ograniczając zakres dostępnych mi możliwości, powtórzyłbym się niemal od razu. A skoro twoim zdaniem etap, przez który obecnie

przechodzę, jest aż tak bardzo nie do zniesienia, to zawsze możesz sprawić, by zniknął: sama możesz się zamrozić, dopóki nie przejdzie w kolejny.

Kate pozostała nieporuszona.

– Twoje ramy czasowe nie są jedynymi, którymi muszę się zajmować!

– Elizyjczycy nigdzie nie odejdą. – Nie dodał, że doskonale zdaje sobie sprawę, iż do tej pory już kilkakrotnie się zamrażała. Za każdym razem pozostawała w tym stanie o kilka lat dłużej niż poprzednio.

Odwróciła twarz w jego kierunku, rozsuwając włosy, by pokazać jedno złowrogo spoglądające na niego oko.

– Zdajesz sobie sprawę, że sam się oszukujesz. Wcześniej czy później i tak się powtórzysz. Nieważne, jak desperacko się przeprogramujesz, w końcu i tak wykonasz pełen cykl i odkryjesz, że już wcześniej to przerabiałeś.

Peer zaśmiał się pobłaźliwie.

– My z pewnością przerabialiśmy już wcześniej to, co teraz – zawołał – i sama wiesz, że to, co powiedziałaś, nie jest prawdą. Zawsze istnieje możliwość stworzenia czegoś zupełnie nowego: nowatorskiej formy sztuki, nowego obszaru nauki. Nowej estetyki, nowej obsesji.

Spadanie u jej boku w chłodnym późnopołudniowym powietrzu było ekscytujące, lecz już zaczynało mu brakować zapachu trocin.

Kate unieruchomiła i wyciszyła otaczające ich powietrze, mimo iż wciąż nieustannie w nim spadali. Puściła jego dłoń i powiedziała: – Wiem, że już to wszystko przerabialiśmy. Pamiętam, co powiedziałeś mi ostatnim razem: jeżeli dojdzie do najgorszego z możliwych, przez pierwsze sto lat mogę kontemplować cyfrę jeden. Przez kolejne sto lat mogę kontemplować cyfrę dwa. I tak dalej, w nieskończoność. Kiedy tylko liczby staną się zbyt wielkie, by móc je pomieścić w swej głowie, wtedy zawsze mogę poszerzyć

swój umysł. QED. Nigdy nie braknie ci nowych i ekscytujących zainteresowań.

– Gdzie też podziało się twoje poczucie humoru? – zapytał ją delikatnie.
– Jest to zaledwie prostym dowodem, że najgorszy z możliwych scenariuszy wciąż pozostaje nieskończony. Nigdy nawet nie zasugerowałem, że w rzeczywistości planuję coś takiego.

– Ale równie dobrze możesz tak zrobić. – Teraz, gdy wreszcie nic nie przysłańało jej twarzy, wydawało mu się, że jest bardziej niepokieszona niż zła – z wyboru, choć niekoniecznie nieszczerze. – Dlaczego wszystko musi być dla ciebie takie... satysfakcjonujące? Dlaczego nie możesz tego jakoś rozróżniać? Dlaczego nie możesz sobie pozwolić, by to, co robisz, cię znudziło – po to, by następnie ruszyć dalej? I wrócić do tego ponownie, jeśli tylko poczujesz w sobie taką potrzebę.

– Jak dla mnie, brzmi to strasznie osobliwie. Jakoś tak... ludzko.

– W ich przypadku to się sprawdzało. Przynajmniej czasami.

– Tak. I jestem równie przekonany, że czasem sprawdza się w twoim. Dryfujesz tam i z powrotem pomiędzy własną sztuką a oglądaniem wielkich elizyjskich oper mydlanych. A gdzieś pośrodku upychasz sobie dekadę lub dwie bezcelowej depresji. Przez większość czasu nie jesteś usatysfakcjonowana, a to, że na to pozwalasz, jest twoim świadomym wyborem, równie arbitralnym i podjętym z równą premedytacją jak wszystko, co sam sobie narzucam. Jeżeli taką właśnie wybrałaś drogę życia, to nie mam zamiaru tego zmieniać. Ale nie powinnaś oczekiwać, że i ja zacznę żyć na twoją modłę.

Nie odpowiedziała. Po chwili otaczająca ich bańka unieruchomionego powietrza pękła, a panującą ciszę po raz kolejny zagłuszył ryk wiatru.

Czasem zastanawiał się, czy Kate kiedykolwiek tak naprawdę dojdzie do ładu z szokiem, który przyniosło jej odkrycie prawdy, że podróż na gapę

zagwarantowała im nie tyle kilkaset lat życia w sanktuarium dla miliarderów, ile spadek w otchłań nieśmiertelności. Kopia, która przekonała Davida Hawthorne'a, by odwrócił się plecami do świata fizycznego; osoba, która jeszcze przed własną śmiercią z pasją oddała się filozofii Solipsystycznej Nacji; kobieta, która nie potrzebowała modyfikacji mózgu ani innych złożonych środków, by móc zaakceptować swą inkarnację w postaci oprogramowania. Obecnie z roku na rok zachowywała się coraz bardziej, jak gdyby aspirowała do bycia człowiekiem z krwi i kości, czy też raczej, jak gdyby aspirowała do bycia Elizyjczykiem. A nie istniała żadna potrzeba, aby tak robić. Ich malutki plasterek nieskończoności był równie nieskończony jak cała reszta; w efekcie nie było niczego, co nie leżałoby w jej zasięgu, a było dostępne Elizyjczykom.

Z malutkim wyjątkiem: nie mogła się znaleźć w ich tłumie jak równy z równym, a tego, jak się wydawało, właśnie najbardziej pożyła.

To prawda, że Elizyjczycy z premedytacją wyruszyli do tego świata, by osiągnąć logiczny punkt końcowy wszystkiego, co, jak zawsze wierzyła, było dążeniem Kopii – podczas gdy sama zabrała się z nimi jedynie przez przypadek. Ich świat byłby „zawsze” (porównując pojedynczą elizyjską chwilę do ich elizyjskiej chwili) większy i szybszy niż jej własny. Tak więc „naturalnie” – według archaicznych ludzkich wartości, których nie miała dość zdrowego rozsądku sobie wymazać – chciała być częścią tej właściwej, toczącej się tutaj rozgrywki. Lecz w oczach Peera to wciąż wyglądało absurdalnie: całe jej życie własnym życiem z nienawiścią do tamtych, skoro równocześnie mogła wygenerować – a nawet uruchomić – swoje własne, równie złożone społeczeństwo, o równie wielkiej populacji, i odwrócić się do Elizyjczyków plecami, dokładnie tak samo, jak oni odwrócili się do starej Ziemi.

Takiego właśnie dokonała wyboru. Peer przeszedł nad tym do porządku dziennego, wraz z pozostałymi różnicami zdań, które czasem pojawiały się między nimi. Skoro mieli wspólnie spędzić całą wieczność, wierzył, że – wcześniej czy później – sami rozwiążą własne problemy, o ile tylko mogły one zostać jakoś rozwiązane. Wciąż jeszcze mieli na to mnóstwo czasu. I w ich przypadku już zawsze tak miało być.

Określił się i spojrzął na rozciągające się w dole Miasto – czy też na osobliwą rekurencyjną mapę Miasta, która musiała im wystarczyć, skoro zostali zagrzebani w ścianach i fundamentach prawdziwego miejsca. Ukryte pasożytnicze oprogramowanie Malcolma Cartera nie było ślepe na swego gospodarza, więc mogli szpiegować wszystko, co miało miejsce na wyższych poziomach odtwarzającego ich ukradkiem oprogramowania, mimo iż nie mieli najmniejszego nawet wpływu na to, co się tam działo. Mogli wychwytywać fragmenty częściowych nagrań aktywności w prawdziwym Mieście i odtwarzać je sobie w ograniczonych, skopiowanych środowiskach. Trochę tak, jakby... byli szeroko rozdzielonymi literami w tekście *Ulissesa*, które układały się w „Peer i Kate przeczytali: *Leopold Bloom przechadzał się ulicami Dublina*”. Tyle że nie w tak drastycznym skrócie.

Co oczywiste, widok z powietrza wciąż zapierał dech w piersiach i Peer musiał przyznać, że prawdopodobnie wcale nie dałoby się odróżnić go od prawdziwego. Kiedy się tak zniżali, tuż nad oceanem zachodziło słońce, a znajdujące się na wschodzie wodospady Ulama jaśniały niczym warstwa bursztynu wstawiona w granitową ścianę Mount Vine. U podnóża gór tuzin srebrnych igieł i obsydianowych słupów, fantastycznych wież strażniczych, łąpał światło i rozpraszał je pomiędzy sobą. Peer podążył wzdłuż rzeki, poprzez bujne tropikalne lasy i ciemne trawiaste równiny, aż do samego Miasta.

Budynki na przedmieściach były niskie i rozłożyste, bliżej centrum stając się stopniowo wyższe i węższe; ich profil przyjmował krzywiznę, w której pobrzmiwał echem kształt Mount Vine. Im bardziej zbliżali się do centrum, tym więcej pojawiało się również przezroczystych pasaży, łączących wieżowce na każdym poziomie, a były one tak zbite i pokrzyżowane, że miało się wrażenie, iż każdy z budynków został bezpośrednio połączony ze wszystkimi pozostałymi. Nie było to oczywiście prawdą, lecz przecucie, że może tak być, wciąż nieodparcie się narzucało.

Ulice i łączniki budynków wypełniały tłumy, które pełniły tu ściśle dekoracyjne funkcje: bezmózgie marionetki stosujące się do najprostszycy zasad, lecz równocześnie wyglądające na zabiegane z takim poczuciem celu jak każdy prawdziwy ludzki tłum. Może i było to dziwacznym przybraniem Miasta, ale wcale nie bardziej osobliwym niż sama obecność tu ulic i budynków. Większość Elizyjczyków i tak jedynie z rzadka odwiedzała to miejsce, ale kiedy po raz ostatni Peer się tym zainteresował, kilkuset z nich – głównie należących do trzeciego pokolenia – zamieszkało tu na stałe: przyjmując wszystkie szczegóły tutejszej architektury i geografii jako stałe parametry, zaprzysięgając nienaruszalność tutejszych euklidesowych odległości. Inni – głównie ci z pierwszego pokolenia – byli przerażeni zachowaniem tej sekty. Ciekawe, że „powrót do pierwowzoru” stanowił największe tabu w kręgach najstarszych Elizyjczyków, którzy byli tak konserwatywni w większości pozostałych tematów. Być może obawiali się, że zaczną tęsknić za dawnym domem.

– Ratusz – rzuciła Kate.

Podążył za nią, spadając poprzez ciemniejące niebo. Miasto zawsze pachniało dla niego tak słodko; słodko, a jednak straszliwie sztucznie, niczym właśnie rozpakowana elektroniczna zabawka, wyrwana wprost z dzieciństwa Davida Hawthorne’a, wykonana wyłącznie z mikroczipów i

plastiku. Kierowali się spiralą, okrążając centralną złotą wieżę, najwyższą w Mieście; wijąc sobie drogę pomiędzy łączącymi się z nią przezroczystymi pasażami. Bawiąc się w Piotrusia Pana i Dzwoneczka. Peer już dawno temu przestał się spierać z Kate na temat wybieranych przez nią złożonych tras wkraczania do odtwarzanej rekonstrukcji wydarzeń; podglądała Miasto przez dziurkę od klucza ze swojego własnego czasu i całkowicie kontrolowała ich dostęp do niego. Mógł albo zacięcie walczyć z jej zasadami, albo też trzymać się od nich z daleka. A znalazł się tu tylko po to, aby ją zadowolić.

Wylądowali na wyłożonym kocimi łbami placu przed głównym wejściem do Ratusza. Peer z zaskoczeniem rozpoznał jedną z fontann jako powiększoną wersję demonstracji Malcolma Cartera, której tamten użył, gdy prezentował algorytmiczną sztukę mającą posłużyć do wprowadzenia ich do wnętrza oprogramowania Miasta: cherubinek siłujący się z węzłem. Musiał widzieć ją już wcześniej, gdyż setki razy znajdował się dokładnie w tym miejscu, co teraz, ale nawet jeśli tak było, musiało mu to wypaść z głowy. Termin przeglądu jego pamięci miał wkrótce minąć, a dawno już nie zwiększał rozmiaru właściwych sieci, najprawdopodobniej obecnie bliskich punktu nasycenia. Zwykle dodanie nowych neuronów spowolniłoby tempo przywoływania danych – względem innych funkcji mózgu – co sprawiłoby, że niektóre z trybów myślenia zdawałyby się przypominać pływanie w melasie; konieczna była więc cała chmara dodatkowych dostrojzeń, mających na celu zadbanie o właściwe dogranie czasowe. Elizyjczycy stworzyli oprogramowanie mające zautomatyzować ten proces, ale Peerowi nie podobały się efekty osiągnęte dzięki krążącym między nimi (a dzięki temu dostępnym również i jemu) wersjom, więc stworzył własny program, nad którym musiał jeszcze trochę popracować, gdyż wciąż stawały temu na drodze nogi stołowe i inne podobne rzeczy.

Plac nie był opustoszały, lecz otaczający ich ludzie przypominali zaledwie przechadzające się w pobliżu marionetki. Ci, do których należało Miasto, znajdowali się już wewnątrz Ratusza, podobnie jak oprogramowanie Kate, które szpiegowało prawdziwe Miasto, by móc je następnie zrekonstruować na ich potrzeby, biorąc na siebie większą część ciężaru obliczania wyglądu otoczenia, które oficjalnie nie było w tej chwili obserwowalne. Peer schwycił dłoń Kate. Pozwoliła mu na to, mimo iż sprawiła, że jej skóra stała się zimna w dotyku niczym marmur. Tak wkroczyli do środka.

Przepastne pomieszczenie było jedynie częściowo wypełnione ludźmi, gdyż na spotkanie przybyło jakieś osiem tysięcy Elizyjczyków. Peer zapewnił sobie krótki widok na tłum z lotu ptaka. Różnorodność pod względem mód dotyczących ubioru – czy też jego braku – jak i mód dotyczących rodzaju ciała była widoczna i z pewnością rozdzielająca pokolenia, lecz większość z obecnych zdecydowała się przedstawić w mniej lub bardziej tradycyjnym ludzkim kształcie. Wyjątki rzucały się w oczy. Jedna z klik czwartego pokolenia przedstawiła się w postaci zmodyfikowanych maszyn Babbage’a, a ponieważ cała ta sala nie pomieściłaby nawet jednego z tych urządzeń we właściwych proporcjach, poszczególne fragmenty mechanizmu wysuwały się z jakichś ukrytych wymiarów na przydzielone im wewnątrz Ratusza miejsce. To samo dotyczyło tych, którzy przybyli tutaj jako „chińskie pokoje Searle’a”: olbrzymie grupy pojedynczych ludzi (czy też automatów w kształcie człowieka), z których każdy wykonywał kilka prostych zadań, a którzy wspólnie składali się na pojedynczy działający komputer. Znajdujące się na sali „części składowe” miały rozmazane ramiona niczym bogini Kali, przekazując zaszyfrowane znaki niewidocznym współpracownikom tak

szybko, że zdawały się zlewać w statyczne ujęcia wielokrotnych ekspozycji.

Peer nie miał najmniejszego pojęcia, jak oba typy układów zbierają dźwięk i obraz z otoczenia, by móc je dostarczać zupełnie normalnym Elizyjczykom, których (prawdopodobnie) symulowały te nieporęczne komputery, jako efekt końcowy wszystkich widocznych tu wirujących trybików i szaleńczych ruchów rąk. Czy tamci doświadczali czegokolwiek innego, niż gdyby najzwyczajniej w świecie pokazali się tutaj w standardowym modelu fizjologicznym?

Nie licząc wszelkich pretensjonalnych przebrań, tu i ówdzie rzucały się w oczy ciała zwierzęce, które mogły, ale wcale nie musiały odzwierciedlać prawdziwych modeli zamieszkujących je osób. Bycie lwem, a nawet wężem, mogło okazać się bardzo wygodne, o ile tylko odpowiednio zaadaptowałeś do takiej zmiany swój mózg. Sam Peer przez pewien czas zamieszkiwał w ciałach zwierzęcych, zarówno mitycznych, jak i tych istniejących w rzeczywistości, a każde z nich sprawiało mu wiele przyjemności, lecz kiedy okres ten dobiegł końca, odkrył, że wystarczą nieznaczne modyfikacje nerwowe, by forma człowieka stała się niemal równie zadowalająca jak każda inna. Najwyraźniej bardziej eleganckim rozwiązaniem było czuć się wygodnie w fizjologii przodków. I najwyraźniej większość Elizyjczyków w zupełności podzielała ten pogląd.

Osiem tysięcy było typową frekwencją na podobnych spotkaniach, lecz Peer nie potrafił określić, jakiemu ułmkowi całkowitej populacji może to odpowiadać. Nawet nie licząc Callasa, Shawa i Riemanna – trzech spośród założycieli, którzy pozostawali we własnych, prywatnych światach, skąd nigdy się z nikim nie kontaktowali – mogły istnieć setki, a nawet tysiące członków społeczności, pochodzące z późniejszych pokoleń, którzy

zdecydowali się na pozostawanie poza właściwym rdzeniem społeczności, nie oznajmiając nawet własnego istnienia.

Nieustannie rozszerzający się sześcian Elizjum już na samym początku został podzielony na dwadzieścia cztery rozrastające się w nieskończoność ukośne piramidy: po jednej dla każdego z osiemnastu założycieli i ich potomstwa, a sześć na potrzeby wspólnych przedsięwzięć (takich jak chociażby samo Miasto Permutacji, lecz głównie dla zaspokojenia potrzeb obliczeniowych planety Lambert). Większość Elizyjczyków – czy też przynajmniej większość spośród tych używających Miasta – zdecydowała się na synchronizację do panującego tu obiektywnego tempa upływu czasu. Czas standardowy nieustannie przyspieszał względem czasu bezwzględnego, odmierzanego tykaniem zegara automatów komórkowych TVC, tak więc, by móc za nim nadążyć, każdy Elizyjczyk potrzebował nieustannego zwiększania przydziału procesorów; lecz Elizjum samo w sobie rozrastało się o wiele szybciej, dając każdemu dosyć pokaźną nadwyżkę mocy obliczeniowej.

Terytorium każdego z założycieli było autonomiczne, podzielone na jego warunkach. Obecnie każde z nich mogłoby utrzymywać żyjącą w czasie standardowym populację liczącą kilka bilionów osób. Lecz Peer podejrzewał, że większość z procesorów i tak pozostaje bezczynna, a od czasu do czasu wyobrażał sobie nawet, jak to pewien Elizyjczyk z piątego pokolenia, zagłębiając się w historię Miasta, doznaje osobliwego przecucia względem Malcolma Cartera i przekonuje jednego z założycieli, by ten dostarczył mu niewykorzystywanej mocy obliczeniowej swej niemal pustej piramidy po to, by przeskanować Miasto w poszukiwaniu pasażerów na gapę. Wszelkie pomysłowe kamuflaże Cartera, jak i całe nieprawdopodobieństwo odnalezienia atomu w kopie siana, które miało być ich gwarancją na pozostanie nie wykrytymi, przy tak szczegółowych

badaniach nie byłoby nic warte, a kiedy już ich obecność została odkryta, Elizyjczycy z łatwością mogliby ich ekshumować, przyjmując, że okazaliby się wystarczająco hojni, by zrobić to dla pary drobnych złodziejasków.

Kate upierała się, że na dłuższą metę jest to nieuniknione. Peer nie dbał zbyt o to, czy zostaną odkryci, czy stanie się wręcz przeciwnie; tym, co tak naprawdę miało dla niego znaczenie, było to, że infrastruktura obliczeniowa Miasta również nieustannie się rozszerza, umożliwiając podołanie zarówno wzrastającej populacji tego wszechświata, jak i nieustannie rosnącemu zapotrzebowaniu elizyjskiego czasu standardowego. A dopóki coś takiego miało miejsce, jego własna drobna frakcja pochodząca z tego źródła również miała nieustannie wzrastać. Nieśmiertelność nie miałaby żadnego sensu, gdyby został uwięziony w „maszynie” o skończonej liczbie możliwych stanów, wtedy bowiem w skończonym czasie wyczerpałby listę wszystkich możliwych czynności, którymi mógłby zajmować sobie czas. Jedyne istniejąca tu obietnica wiecznego przyrostu nadawała sens wiecznemu życiu.

Kate dokładnie wyliczyła moment wkroczenia do odtwarzanego nagrania z wnętrza Ratusza. Kiedy zajmowali znajdujące się na tyłach sali miejsca, na podest wchodził właśnie sam Paul Durham.

– Dziękuję wam, że zgromadziliście się tutaj – rozpoczął. – Zwołałem to spotkanie, by przedyskutować bardzo ważną propozycję dotyczącą Lambert.

– Mogłem dalej robić nogi stołowe – jęknął Peer – a ty wytargałaś mnie tutaj na jakiś *Atak zabójczych pszczoł* tysiąc dziewięćdziesiąt trzy.

– Zawsze możesz zdecydować się na wybranie opcji czerpania przyjemności z tego, że się tutaj znalazłeś – odpowiedziała. – Nie ma najmniejszego powodu, by czuć niezadowolenie.

Peer zamilkł, a Durham, który został zamrożony przez jego przerywnik, kontynuował: – Jak większość z was zapewne zdaje sobie sprawę, Lambertianie dokonują ostatnio nieustannego postępu w naukowym podejściu do własnej kosmologii. Kilka grup teoretyków zaproponowało modele obłoku pyłowo–gazowego koniecznego dla stworzenia ich układu planetarnego – modele, które są bardzo bliskie prawdy. Mimo iż żaden podobny proces nigdy w dosłownym tego słowa znaczeniu nie miał miejsca w Autoverse, a był jedynie prowizorycznie symulowany przed uruchomieniem ich świata jako pomoc przy projektowaniu przekonującego gotowego układu, Lambertianie coraz bardziej zbliżają się do parametrów owej symulacji.

Wskazał na znajdujący się za jego plecami gigantyczny ekran, na którym pojawił się obraz: kilka tysięcy przypominających insekty Lambertian, kłębiących się w powietrzu ponad wybujałymi niebiesko–zielonymi łąkami.

Peer poczuł ukłucie zawodu. Wyrażenie *naukowe podejście do własnej kosmologii* brzmiało, jak gdyby mieli do czynienia z owocami technologicznie wyrafinowanej kultury, ale w tym, co mogli obecnie obserwować, nie dostrzegł żadnych widocznych artefaktów: żadnych budynków, urządzeń czy nawet najprostszyc narzędzi. Zamroził obraz i przybliżył sobie jego fragment. Same istoty wyglądały dla niego dokładnie tak samo jak kilkaset tysięcy lat wcześniej, kiedy obserwował mieszkańców Lambert, starając się określić, który z gatunków posiada największy potencjał do zapoczątkowania cywilizacji na planecie. Ich podzielone na segmenty, chitynowe ciała wciąż były nagie i niczym nieokryte. Czego niby oczekiwał? Insektów w fartuchach laboratoryjnych? Nie – ale wciąż trudno było mu zaakceptować, że dokonany przez nich przeskok na płaszczyźnie inteligencji nie pozostawia żadnych śladów w ich wyglądzie czy otoczeniu.

– Na widocznym tu nagraniu komunikują między sobą – kontynuował Durham – jedną z wersji takiej teorii, aktywnie demonstrując opisujące ją matematyczne obliczenia. Przypomina to wysyłanie przez jedną grupę naukowców modelu komputerowego kolejnej grupie – z tym że Lambertianie nie posiadają sztucznych komputerów. Jeśli taniec wygląda na prawidłowy, zostaje podjęty przez drugą grupę, a jeżeli i tamci podtrzymują go wystarczająco długo, to przyswoją sobie jego wzór: Będą go w stanie zapamiętać bez żadnej potrzeby kontynuacji wykonywania.

– Wrócisz ze mną do pracowni, by wytańczyć tam ze mną kosmologiczne modele? – wyszeptał, ale Kate zignorowała jego słowa.

– Dominująca teoria wykorzystuje ich dokładną wiedzę dotyczącą autowersowej chemii i fizyki i zawiera szczegółowe zestawienie składu chemicznego ich praobloku. I nie ruszą się już ani o krok do przodu. Do tej pory nie sformułowali żadnej hipotezy mogącej wytłumaczyć, w jaki sposób akurat ten określony przez nich obłok miałby tam powstać; żadnego wyjaśnienia, co do jego pochodzenia i wzajemnych zależności w zawartości określonych pierwiastków. A wyjaśnienie takie nie może istnieć, podobnie jak żadna rozsądna wcześniejsza historia, gdyż sam Autoverse nie dostarcza takowej. Żadnego Wielkiego Wybuchu. Teoria względności nie ma tu najmniejszego zastosowania, ich czas i przestrzeń są płaskie, a wszechświat wcale się nie rozszerza. Żadne pierwiastki nie powstały w gwiazdach: nie istnieją siły jądrowe ani fuzja, a gwiazdy „płoną” samą grawitacją. Ich słońce jest jedyną gwiazdą tego wszechświata.

Tak więc ich kosmolodzy są właśnie o krok od Wpadnięcia na nieprzekraczalną barierę – co prawda nie z własnej winy. Dominic Repetto zasugerował, że teraz właśnie nadszedł najwłaściwszy moment, by dokonać pierwszego kontaktu z Lambertianami. By ogłosić im naszą obecność. By

wyjaśnić im pochodzenie ich świata. By ostrożnie rozpocząć powściągliwą wymianę kulturową.

Niewyraźny pomruk przetoczył się po sali. Peer odwrócił się do Kate: – Tylko tyle? Czy to już całe nowiny, których nie mogłem przegapić?

Kate wpatrywała się w niego z politowaniem.

– Rozważają właśnie pierwszy kontakt z obcą rasą. Czy naprawdę chcesz przejść przez to wszystko niczym lunatyk?

– Pierwszy kontakt? – zaśmiał się Peer. – Obserwowali te insekty w mikroskopijnych szczegółach, kiedy były jeszcze jednokomórkowymi glonami. W chwili obecnej wiemy o nich wszystko: znamy ich biologię, język, kulturę. Wszystko to można znaleźć w bibliotece głównej. Ci „obcy” ewoluowali dla nas na szkiełku mikroskopowym. Nie kryją przed nami w zanadrzu żadnych niespodzianek.

– Z jednym wyjątkiem: jak zareagują na nasz widok.

– Nasz? Na NASZ widok nikt nie reaguje.

Kate obdarzyła go spojrzeniem, które mogło zabić.

– Jak zareagują na widok Elizyjczyków.

Peer przemyślał to sobie.

– Ktoś musi znać odpowiedź i na to pytanie. Ktoś musiał stworzyć model reakcji lambertiańskiego „społeczeństwa” na wiadomość, że prawdopodobnie nie są niczym innym jak tylko eksperymentem dotyczącym sztucznego życia.

Elizyjczyk prezentujący się jako wysoki, szczupły mężczyzna wchodził właśnie na podest. Durham przedstawił go jako Dominica Repetto. Peer dawno temu przestał śledzić historię namnażających się tutejszych dynastii, ale ten człowiek musiał być w nich niedawnym nabytkiem; a już z pewnością Peer nie przypominał sobie żadnego Repetto, który byłby

zaangażowany w badania Autoverse'u, kiedy on sam jeszcze przejawiał ku temu pasję.

Repetto zwrócił się do zebranych na sali osób.

– Wierzę, że Lambertianie posiadają obecnie konieczne ramy pojęciowe, by zrozumieć nasze istnienie i nadać sens naszej roli w ich własnej kosmologii. To prawda, że brak im sztucznych komputerów, ale cały ich język idei oparty jest na reprezentacji otaczającego ich świata w formie modeli numerycznych. Te modele oryginalnie były wariacjami dotyczącymi kilku genetycznie zakodowanych tematów – map terenu pokazujących źródła pożywienia, algorytmów mających przewidywać zachowanie drapieżników – ale współczesny Lambertianin wyewoluował zdolność do generowania i testowania zupełnie nowych klas modeli w sposób, który w jego przypadku jest równie wrodzony jak kiedyś umiejętności językowe w przypadku najwcześniejszych ludzi. Grupa Lambertian potrafi „mówić” i „osądzać” matematyczny opis dynamiki populacji w stadach roztoczy hodowanych przez nich jako pożywienie z taką łatwością, z jaką ludzie przed rozruchem naszego świata mogli konstruować czy rozumieć proste zdania.

Nie wolno nam ich oceniać według naszych antropomorficznych kryteriów; ludzkie przełomy technologiczne nijak nie przekładają się na prawa ich świata. Lambertianie wydedukowali przeważającą część autoversowej chemii i fizyki samą tylko obserwacją otaczającego ich naturalnego świata, z bardzo niewielką liczbą kontrolowanych eksperymentów. Wygenerowali pojęciowe odpowiedniki temperatury i ciśnienia, energii i entropii – bez ognia, metalurgii czy nawet koła... nie wspominając nawet o silniku parowym. Wyznaczyli punkty topnienia i wrzenia większości pierwiastków, nawet nie uzyskując ich wcześniej w czystej postaci. Brak jakiegokolwiek technologii sprawia jedynie, że ich

osiągnięcia intelektualne są bardziej zdumiewające. To tak, jak gdyby starożytni Grecy opisali punkt wrzenia azotu bądź Egipcjanie przewidzieli chemiczne, właściwości chloru.

Peer uśmiechnął się do siebie cynicznie; założyciele zawsze uwielbiali słuchać, jak wspomniano o dawnych ziemskich czasach, a jeszcze lepiej, jeśli odniesienia dotyczyły rzeczy dziejących się na długo przed ich urodzeniem.

Repetto przerwał; stał się zauważalnie wyższy, a jego młodzieńcze cechy nabrały subtelności, stały się bardziej dojrzałe. Większość Elizyjczyków nie traktowała takiej zmiany jako manipulacji – przynajmniej nie w większym stopniu niż zmian w postawie czy tonie głosu.

– Większość z was zapewne jest świadoma rezolucji podjętej podczas zebrania 5 stycznia 3052 roku – powiedział z namaszczeniem Repetto – która zakazuje nam kontaktu z Lambertianami, dopóki tamci nie skonstruują własnych komputerów i nie przeprowadzą na nich odpowiednich symulacji – eksperymentów ze sztucznym życiem – równie wyrafinowanych jak sam Autoverse. Zostało to wtedy uznane za najbezpieczniejsze kryterium, ale, jak obecnie jestem przekonany, okazało się niewłaściwie sformułowane i zupełnie nieodpowiednie.

Lambertianie poszukują odpowiedzi na pytania dotyczące własnego pochodzenia. Wiemy, że takich odpowiedzi nie da się odkryć wewnątrz Autoverse'u, ale wierzę, że Lambertianie są dość biegli intelektualnie, by zrozumieć szerszą prawdę. To na nas ciąży odpowiedzialność przedstawienia im jej. Proponuję, aby to zebranie anulowało tamtą rezolucję z 3052 roku i autoryzowało zespół uczonych zajmujących się Autoverse'em do wkroczenia na powierzchnię planety Lambert i – w kulturowo wrażliwy sposób – poinformowania Lambertian o ich historii i szerszym kontekście ich istnienia.

Gwar dyskusji przybrał na sile. Peer, wbrew samemu sobie, poczuł szcążkowe zainteresowanie. W świecie, w którym nie istniała śmierć ani jakiegokolwiek niedobory, polityka przyjmowała najprzeróżniejsze formy. Każdy z założycieli, który nie zgadzałby się ze sposobem, w jaki zajmowano się Lambert, miałyby całkowicie wolną rękę, by skopiować Autoverse na własnym terytorium, a później zrobić z własną, prywatną wersją, na co tylko przyszłaby mu ochota. Odwrotnie proporcjonalnie do łatwości wykonania takiego ruchu, każda z frakcji miałyby tutaj dosyć rzadką szansę, by zademonstrować własne „wpływy” i zwiększyć „prestizż”, przekonując zebranych na sali Elizyjczyków do podtrzymania zakazu dotyczącego kontaktu z Lambertianami, a równocześnie nie prowokując przeciwników do sklonowania całego Autoverse’u i brnięcia na ślepo do przodu. Wielu z tych, którzy pochodzili z pierwszej generacji, z własnych powodów wciąż przykładało do tego typu rzeczy znaczną wagę.

Elaine Sanderson uniosła się z miejsca, oślepiając jasnoniebieską garsonką i ciałem, które wspólnie obwieszczały wszem i wobec: „1972–2045 AD i dumna z tego faktu” (nawet jeżeli nosiła jedno i drugie jedynie na oficjalne okazje). Peer pozwolił sobie na sekundę podróży w czasie: będąc jeszcze nastolatkiem, David Hawthorne widział w telewizji Sanderson z krwi i kości podczas uroczystości zaprzysiężenia jej na prokuratora generalnego Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej – narodu, którego składowe części podczas składania tej przysięgi w sporej części mogły się pokrywać ze sporą częścią Elizyjczyków dokładnie w tej chwili.

– Dziękuję, panie Repetto – zaczęła Sanderson – za przedstawienie nam swojego punktu widzenia w tej jakże ważnej sprawie. Bardzo niefortunnie się składa, że zaledwie garstka z nas ma czas, by być na bieżąco z dokonywanym przez Lambertian postępowaniem. Mimo iż przeszli oni bez

naszych wyraźnych interwencji długą drogę od jednokomórkowej formy życia do ich obecnego, wysoce wyrefinowanego stanu, ostatecznie są pod naszą opieką i mamy obowiązek traktować tę odpowiedzialność z najwyższą powagą.

Wciąż przypominam sobie nasze najwcześniejsze plany dotyczące postępowania z Autoverse'em: by z premedytacją ukryć przed nimi szczegóły życia na Lambert, obserwować i czekać, niby z wielkiej odległości, dopóki mieszkańcy nie wyślą sond w kierunku innych światów własnego układu gwiazdowego, by przybyć tam wtedy jako „odkrywczy” w „statkach kosmicznych”, z trudem uczący się języka i obyczajów tych „obcych” istot, a być może nawet posunąć się tak daleko i tak poważnie powiększyć sam Autoverse, by mógł on zawrzeć w sobie niewidocznie odległą gwiazdę, będącą naszym „światem rodzimym”, z którego to niby mielibyśmy do nich przybyć. Imitując hipotetyczną misję międzyplanetarną, którą dawno temu zostawiliśmy za sobą. To wszystko oraz inne tego typu dziwaczne szarady.

Na całe szczęście już dawno temu zarzuciliśmy te dziecięce pomysły. Nie będzie żadnej fałszywej „misji odkrycia planety”, żadnych kłamstw względem Lambertian ani względem nas samych.

Pewną cechą wszystkich wczesnych, budzących obecnie śmiech planów, o której nie powinniśmy zapominać, jest mimo wszystko to, że zawsze zamierzaliśmy spotkać się z Lambertianami jak równy z równym. Jako goście z odległego świata, poszerzający ich wizję kosmosu, a niejako obalający ją i nicujący. Zbliżyliśmy się do nich jako bracia dowodzący swego punktu widzenia, a nie jako bogowie odkrywający przed nimi boską prawdę.

Proszę więc, by zebrani rozważyli teraz, czy te dwa wzajemnie chwalebne cele – bycie szczerym i pokornym – nie mogłyby zostać

połączone. Jeśli Lambertianie znajdują się obecnie na krawędzi kryzysu dotyczącego zrozumienia własnego pochodzenia, jakież to protekcyjny instynkt zmusza nas do wdarcia się tam do środka i dostarczania im natychmiastowego rozwiązania? Panie Repetto, opowiedział nam pan, jak to Lambertianie wywnioskowali już właściwości pierwiastków chemicznych – pierwiastków, które pozostają tajemnicze i niedostrzegalne, ukazując się jedynie w złożonych zjawiskach otaczającego ich środowiska naturalnego. Jasno widać, że Lambertianie posiadają dar dotyczący odkrywania zarówno ukrytych wzorów, jak i wyjaśnień. W takim razie, ile jeszcze wieków może im zająć odkrycie prawd kryjących się za ich własną kosmologią?

Proponuję odłożenie kontaktu, dopóki hipoteza naszego istnienia nie zaistnieje pomiędzy nimi w sposób naturalny i nie zostanie przez nich dokładnie przebadana. Dopóki sami nie zdecydują, co dokładnie możemy dla nich oznaczać, i nie przedyskutują, tak jak czynimy to obecnie my, w jaki sposób najlepiej mogą z nami postępować.

Gdyby obcy pojawili się na Ziemi w chwili, gdy ludzie po raz pierwszy spojrzeli w niebo i doznali kryzysu zrozumienia otaczającego ich wszechświata, zostaliby okrzyknięci bogami. Gdyby przybyli w dwudziestym pierwszym wieku, kiedy ludzkość przewidywała już ich istnienie i od dekad rozważała sposoby przeprowadzenia takiego kontaktu, wtedy zostaliby zaakceptowani jako równi ludziom; bardziej doświadczeni, posiadający większe umiejętności, większą wiedzę, ale ostatecznie nie byłiby niczym innym, jak tylko oczekiwanym przez ludzkość fragmentem prawidłowo zachowującego się i dobrze rozumiałego wszechświata.

Wierzę, że powinniśmy poczekać na odpowiednik takiej właśnie chwili w lambertiańskiej historii: kiedy to, oczekując pojawienia się dowodu naszego istnienia, zaczną się niecierpliwić. Kiedy nasza ciągła nieobecność

stanie się dla nich o wiele trudniejsza do wyjaśnienia niż nasze przybycie. Kiedy zaczną podejrzewać, że podsłuchujemy każdą z przeprowadzanych przez nich rozmów toczonych na nasz temat; wtedy bowiem pozostanie w ukryciu stałoby się wyjątkowo nieszczerze. Aż do takiej chwili jesteśmy im winni możliwość odkrycia na własną rękę tak wielu odpowiedzi, jak to tylko możliwe.

Sanderson wróciła na swoje miejsce. Grupy zebranej na sali publiczności przesadnie zaczęły bić jej brawo. Peer bez pośpiechu stworzył sobie rozkład tych odpowiedzi na sali i skorelował je z wyglądem: jak się wydawało, Sanderson odniosła wielki sukces w trzecim pokoleniu głównego nurtu, ale osobnicy ci mieli opinię radośnie nieszczerych.

– Czy nie chciałbyś się włączyć do dyskusji? – zapytała go Kate, częściowo sarkastycznie, częściowo rozczulając się nad nim.

– Nie – odpowiedział jej pogodnie. – Ale jeśli sama posiadasz jakieś wyraziste poglądy w tej kwestii, to sugerowałbym ci skopiowanie całego Autoverse'u i osobisty kontakt z Lambertianami – bądź też pozostawienie ich w niezakłóconej niczym ignorancji. Cokolwiek tam sobie wybierzesz.

– Wiesz przecież, że nie posiadam wystarczającej ilości miejsca, by móc tego dokonać.

– A ty zdajesz sobie doskonale sprawę, że nie ma to najmniejszego znaczenia. W bibliotece głównej istnieje kopia oryginalnego ziarna biosfery, cały jego skompresowany opis. Możesz je sobie skopiować i zamrozić się, dopóki wreszcie nie posiadasz wystarczającej ilości miejsca, by móc je rozpakować. Wszystko tam jest deterministyczne – każdy Lambertianin zamacha dla ciebie swoimi małutkimi skrzydełkami dokładnie tak samo, jak zamachał dla Elizyjczyków. Aż do samej chwili kontaktu.

– A ty szczerze wierzysz, że Miasto aż tak bardzo urośnie? Że za miliard lat czasu standardowego nie pozbędą się go i nie stworzą w jego miejsce czegoś zupełnie nowego?

– Nie mam zielonego pojęcia. Ale zawsze istnieje jeszcze jedna możliwość: możesz uruchomić zupełnie nowy wszechświat TVC i stworzyć tam sobie tyle miejsca, ile ci tylko potrzeba. Jeśli tylko tego właśnie chcesz, udam się tam wraz z tobą. – A kiedy to mówił, dokładnie tak myślał; podążyłby za nią wszędzie. Wystarczyłoby tylko, by wypowiedziała słowo.

Ale Kate odwróciła wzrok. Pragnął zagwarantować jej szczęście, lecz wybór należał do niej: jeżeli chciała wierzyć, że stoi w zimnie i deszczu na zewnątrz – czy też raczej jest wmurowana w ściany Miasta – obserwując, jak Elizyjczycy delektują się rzeczywistością, to nie mógł nic zrobić, aby to zmienić.

Trzystu siedmiu mówców przewinęło się przez podest; stu sześćdziesięciu dwóch poparło Repetto, stu czterdziestu – Sanderson. Pięciu – nadzwyczajnie niski odsetek całości – głądziło, nie opowiadając się za żadną opcją. A Peer przez cały ten czas rozmyślał o dźwięku wydawanym przez papier ścierny szorujący o drewno.

Kiedy wreszcie doszło do głosowania – po jednym głosie na każdego z obecnych, bez możliwości dokonywanego w ostatniej chwili klonowania – Sanderson wygrała dziesięcioprocentową większością głosów. Weszła na podest i przemówiła krótko, dziękując głosującym za ich decyzję. Peer podejrzewał, że do tej pory wielu Elizyjczyków po cichutku wymknęło się już ze znajdujących się tutaj ciał i podążyło własnymi ścieżkami.

Dominic Repetto również powiedział kilka słów, wyraźnie zawiedziony, lecz z godnością przyjmując swą porażkę. To Paul Durham – najprawdopodobniej jego mentor i sponsor – pokazał odrobinę tępy i pustawy wyraz modelu ciała, którego mięśnie twarzy były niezbyt starannie

skojarzone z modelem mózgu. Durham – ze swoją dziwną historią krótkich epizodów jako Kopia w różnych permutacjach – chyba nigdy tak naprawdę nie nadgonił istniejących jeszcze przed rozruchem najnowszych technik, nie wspominając już o najbardziej zaawansowanych elizyjskich nowinkach na tym polu, i kiedy miał coś do ukrycia, zawsze było to oczywiste i łatwe do odczytania. Źle przyjął właśnie podjętą decyzję.

– To byłoby na tyle – stwierdziła chłodno Kate. – wypełniłeś swój obywatelski obowiązek. Teraz możesz odejść.

Oczy Peera stały się wielkie i brązowe.

– Wróć ze mną do warsztatu. Możemy się kochać w trocinach. Albo po prostu posiedzieć i porozmawiać. Być szczęśliwi, bez żadnego konkretnego powodu. Nie byłoby tam tak źle.

Kate potrząsnęła głową i rozplynęła się w powietrzu. Peer poczuł ukłucie zawodu, ale nie na długo.

Żeby to zrobić, mieli przed sobą całą wieczność.

25.

Thomas kuczał we framudze okna łazienki, z jedną nogą na zewnątrz mieszkania Anny. Zdawał sobie sprawę, że tym razem krawędzie cegieł będą ostrzejsze niż żyletki. Przeszedł do okna sąsiedniego mieszkania, powtarzając dokładnie znane już ruchy, pomimo iż jego dłonie i ramiona krwawiły obficie. Owady wypełzały mu z ran, roiły się wzdłuż ramion i twarzy, wchodziły mu do ust. Zadławił się i zwymiotował, lecz nawet się nie zachwiał.

W dół po rynnie. Ze znajdującego się w dole zaułka wrócił na górę, do mieszkania. Kiedy szedł po schodach, u jego boku pojawiła się Anna. Zatańczyli raz jeszcze. Znów się pokłócili. Po raz kolejny zaczęli szamotać.

– Wymyśl coś szybko. Wymyśl coś natychmiast.

Klęknął nad nią, tak że miał ją pomiędzy nogami, a wtedy schwycił jej twarz w swoje ręce i zamknął oczy. Przyciągnął do siebie jej głowę, następnie trzasnął nią o ścianę. Pięciokrotnie. Kiedy było już po wszystkim, wciąż nie otwierając oczu, przyłożył dłoń do jej nozdrzy. Nie wyczuł oddechu.

Znajdował się teraz w swoim frankfurckim mieszkaniu. Było już miesiąc po morderstwie. Śnił. Anna stała tuż przy jego łóżku. Sięgnął spod nakrycia w ciemność, wciąż nie otwierając oczu. Schwyciła go za dłoń i zamknęła ją w swojej. Drugą dłonią delikatnie gładziła bliznę na jego przedramieniu. Następnie bez żadnego wysiłku wepchnęła palec w jego kruchą skórę przez rozkładające się ciało. Zaczął się rzucać w pościeli, lecz nie pozwoliła mu się wyswobodzić. Wbijała palce głębiej, dopóki nie ścisnęła go za gołą kość. Kiedy złamała mu kość łokciową i promieniową, zwinął się z bólu i

nieoczekiwanie miał wytrysk. W pojedynczym strumieniu pozbył się wszystkiego, co tylko skrywało się w jego zniszczonym ciele: ciemnej zakrzepłej krwi, larw, ropy, ekskrementów.

Znajdował się w swojej podmiejskiej posiadłości. Siedział nago na podłodze, sam zaskoczony tym faktem, tuż przy końcu korytarza. Przesunął prawą dłoń i uświadomił sobie, że ściska w niej nóż do warzyw. Dokładnie pamiętał dlaczego.

Na brzuchu miał siedem blizn, siedem wciąż dających się odczytać cyfr, odwróconych do góry nogami, więc spoglądając na nie, odczytał je bez problemu: 1053901. Zabrał się za ponowne wycinanie pierwszej szóstki.

Nie wierzył zegarom. Kłamały. I choć każde wykonywane przez niego na własnej skórze nacięcie z czasem perfekcyjnie się zasklepiało, przez długi czas wydawało mu się, że jest w stanie poprawiać te numery, nim zupełnie znikną. Nie miał pojęcia, co niby miałyby mierzyć z wyjątkiem własnego nieustannego wzrostu, ale najwyraźniej stały się jakimś wyimaginowanym wskaźnikiem zdrowych zmysłów.

Wyciął ponownie ostatnią cyfrę, tym razem jako dwa, a następnie polizał palce i przetaił nimi zbierającą się tam krew. Ta początkowo jeszcze powoli wyciekała, ale po pięciu, sześciu przetarciach przestała się już zbierać w świeżej ranie, która stała się jedynie czerwienią na bladym tle skóry. Kilka razy wymówił widoczną liczbę.

– Milion pięćdziesiąt trzy tysiące dziewięćset dwa.

Podniósł się na nogi i przeszedł wzdłuż korytarza. Jego ciało znało jedynie wyryty na sobie czas; nigdy nie poczuł się głodny, zmęczony ani nawet brudny – mógł spać albo i nie spać, jeść albo i nie jeść, myć się albo i nie myć; nie niosło to ze sobą żadnej dostrzegalnej różnicy. Ani jego włosy, ani paznokcie nie rosły. Jego twarz nigdy się nie starzała.

Zatrzymał się tuż przed drzwiami prowadzącymi do biblioteki. Był święcie przekonany, że sam metodycznie potargał na strzępy, i to już kilkakrotnie, wszystkie znajdujące się tam tomy, ale ilekroć tam wracał, całe dokonane przez niego dzieło zniszczenia okazywało się uprzątnięte, a potargane książki w jakiś niepojęty sposób wymienione na nowe podczas jego nieobecności.

Wszedł do pomieszczenia. Spojrzał w kierunku znajdującego się w kącie terminalu, obiektu jego największej nienawiści, gdyż nigdy nie był w stanie go zniszczyć – rozbić, rozłupać, wygiąć czy chociażby jedynie zadrapać jakiegokolwiek fragmentu jego widocznej formy. Nieważne, niezniszczalny czy nie, i tak nigdy nie działał.

Wędrował pomiędzy półkami, ale i tak przeczytał już każdą ze znajdujących się na nich książek i to po kilkanaście, a czasem nawet i więcej razy. Wszystkie straciły dla niego wszelkie znaczenie. Biblioteka była przyzwoicie zaopatrzona, przestudiował więc święte księgi niemal każdej wiary; ta garstka, którą przy odrobinie *licentia poetica* można było uważać za opisującą jego obecną sytuację, nie oferowała żadnych przykładowych rozwiązań mogących ją zmienić. W odległej przeszłości przeszedł setki gorączkowych nawróceń; perorował nawiedzony do każdego z wymyślonych przez człowieka bóstw. Jeśli jednak kiedykolwiek natknął się na takie, które naprawdę istniało i było odpowiedzialne za jego potępienie, to i tak jego błagania nie zostały wysłuchane.

Jedyną rzeczą, jakiej nigdy nie oczekiwał po śmierci, była niepewność. Początkowo bardzo go to martwiło: fakt, że zostanie wrzucony do piekła, nie mogąc nawet raz, chociażby przelotem, spojrzeć na niebo, którego widok miałby z niego szydzić, podobnie jak zadowolone z siebie twarze wiernych w drodze do góry, stwierdzające: „a nie mówiłem, że tak będzie?” – nie wspominając już o ceremonialnym sądzie, kiedy to Bóg jego

dzieciństwa, w każdym doktrynalnym zapewnieniu, w które Thomas kiedykolwiek zwątpił, zostałyby ogłoszone prawdą absolutną, a każda z teologicznych debat zostałyby – raz na zawsze – rozstrzygnięta.

Ale odkąd tylko zdecydował się uczynić swój obecny stan wiecznym i nieodwracalnym, właściwie nie miało najmniejszego znaczenia, jak naprawdę nazywa się Bóg, który jest za to odpowiedzialny.

Thomas usiadł po turecku na podłodze i starał się oczyścić swój umysł.

– Wymyśl coś szybko. Wymyśl coś natychmiast. Anna leżała tuż przed nim. Krwawiła i była nieprzytomna. Czas zwolnił. Niemożliwe zdawało się, by stanął twarzą w twarz z chwilą, do której się zbliżał; niemożliwe, by miał przechodzić przez nią po raz kolejny – ale ruszył w jej kierunku i wiedział, że odwrócenie się od niej nie leży w jego mocy.

Zrozumiał wreszcie, że wszystkie nawiedzające go wizje własnego rozkładu i okaleczeń są zaledwie złożonym wyrazem nienawiści do własnej osoby. Kiedy jego ciało było oddzierane od kości, służyło to jedynie rozpraszeniu własnej uwagi – czemuś, co niemalże przynosiło ulgę. Jego cierpienie nie rzucało żadnego nowego światła na jego zbrodnię; zatapiało jedynie myśli w anestetycznej mgiele. Było fantazją dotyczącą możliwości; fantazją dotyczącą kary.

Ale nie było w tym żadnego balsamu fałszywego bólu, żadnych pozorów, że te barokowe tortury zadziałają, wykonując tym samym jakąś alchemię sprawiedliwości. Klęknął nad Anną i nie potrafił zapłakać, nie potrafił się wzdrygnąć, nie potrafił oślepnąć tak, by nie docierał do niego w pełni rozmiar tego, co sam zrobił.

Mógł zadzwonić po karetkę. Mógł ocalić jej życie. Nie potrzeba było do tego zbyt wiele siły, zbyt wiele odwagi, czy też znowu aż tak wiele miłości; sam nie potrafił sobie wyobrazić, jak człowiek mógłby nie posiadać

wystarczającej ilości każdego z nich i wciąż jeszcze chodzić po powierzchni Ziemi.

Lecz sam nie posiadał. I chodził.

Przyciągnął do siebie jej głowę, a następnie uderzył nią o ścianę.

26.

Po tygodniu, który spędziła jako gość Durhama, Maria wyruszyła na poszukiwanie własnego lokum. Jej złość ustąpiła wraz z odpłynięciem piątej czy szóstej fali niewiary, podobnie jak otępienie spowodowane szokiem. Lecz wciąż czuła się niemalże sparaliżowana osobliwością prawd, które została zmuszona zaakceptować: jej uchodźstwo ze wszechświata zamieszkanego przez ludzkość z krwi i kości, niemożliwe istnienie Elizjum, inteligentne życie wewnątrz Autoverse'u. Nie potrafiła zacząć nadawać temu wszystkiemu sensu, dopóki nie posiadała ustalonego punktu zaczepienia.

Przed wykonaniem skanu odmówiła spakowania bagażu mającego towarzyszyć skanowi w kolejnym życiu, gdyż jakiegokolwiek ustępstwo w kwestii potrzeb Kopii, która – jak sama była przekonana – nigdy i tak nie miała zostać uruchomiona, świadczyłoby w jej odczuciu o pobłażliwości wobec Durhama. Nie posiadała więc żadnych środowisk, żadnych mebli, ubrań, fotografii, pamiątek ani też żadnych innych zeskanowanych pamiątek po dawnym życiu. Żadnego duplikatu jej wąskiego domu, by mogła w nim poczuć się jak u siebie. Mogła zaaranżować jego rekonstrukcję z pamięci, szczególnie po szczególe – czy też po prostu pozwolić oprogramowaniu architektonicznemu na wyrwanie doskonałej imitacji wprost z jej mózgu – ale nie czuła się na siłach, by poradzić sobie z emocjonalnymi sprzecznościami: porywem dawnego świata, skazą oszustwa dokonywanego na samej sobie. Zamiast tego zdecydowała się wybrać jeden z gotowych apartamentów w samym Mieście.

Durham zapewnił ją, że nikt nie będzie miał jej za złe używania publicznych zasobów.

– Oczywiście, że możesz równie dobrze skopiować Miasto na własnym terytorium i uruchomić tam prywatną wersję całkowicie na własny koszt, co zdławi w zarodku wszelkie dyskusje. Miasto jest jedynym środowiskiem w całym Elizjum zbliżonym do bycia „miejscem” w dawnym tego słowa znaczeniu. Każdy może się przechadzać jego ulicami, każdy może w nim zamieszkać, ale nikt nie może przekształcać linii jego budynków na tle nieba tylko dlatego, że taką ma właśnie zachciankę. Zmiana kolorystyki tutejszych znaków drogowych wymagałaby o wiele bardziej porywczej debaty niż te, które zwykle toczyły się, gdy przeciętna rada dzielnicy chciała przesunąć granice jej stref.

Tak więc Miasto Permutacji zaoferowało jej obłudną, komunalnie usankcjonowaną, quasi–obiektywną obecność za darmo, podczas gdy model jej ciała działał na procesorach na jej własnym terytorium, a oba te systemy, dzięki wymianie danych, dawały sobie radę z przekazywaniem jej doświadczenia spaceru po ulicach, wchodzenia do wysokich i lśniących metalicznych budynków oraz odkrywania pustych apartamentów, mogących nawet wciąż śmierdzieć farbą. Przebywanie w pojedynkę powodowało u niej pewien niepokój, więc Durham wyruszył wraz z nią, jak zawsze pełen troski i żalu. Jego żal wydawał się do pewnego stopnia szczery, gdyż nie pozostawał on obojętny na zadany jej ból, ale pod tym wszystkim kryło się wyraźne oczekiwanie, że – wcześniej czy później – Maria w pełni wybaczy mu swoje przebudzenie.

– Jakie to uczucie mieć siedem tysięcy lat? – zapytała.

– To zależy.

– Od czego?

– Od tego, jak sama zechcesz to odbierać.

Znalazła sobie mieszkanie w północno–zachodniej ćwiartce, w połowie drogi pomiędzy centralną wieżą a linią graniczną Miasta. Z sypialni mogła na wschodzie dostrzec góry, lśniący wodospad oraz odległą plamkę lasu. Były oczywiście dostępne bardziej atrakcyjne widoki, ale ten akurat wydawał się jej odpowiedni; cokolwiek bardziej spektakularnego powodowałoby, że czułaby się jeszcze mniej pewnie.

Durham pokazał jej, jak ubiegać się o status rezydenta apartamentu: wystarczył krótki dialog przeprowadzony z oprogramowaniem mieszkania.

– Jesteś jedynym Elizyjczykiem w tym wieżowcu, więc możesz zaprogramować całe otoczenie zgodnie ze swoimi życzeniami – stwierdził.

– A co, jeżeli tego nie zrobię?

– Zadziała z góry ustalone zachowanie: tłumy będą schodzić ci z drogi.

– A co z innymi Elizyjczykami? Czy jestem aż taką nowinką, że przybędą tu, aby mnie zobaczyć?

Przemyślał to sobie przez chwilę.

– Nie robiliśmy żadnej tajemnicy z twojego przebudzenia – ale większość tutejszych mieszkańców jest dosyć cierpliwa. Wątpię, by ktokolwiek był aż na tyle niewychowany, by zaczepiać cię na ulicy. Twój numer telefonu pozostanie zastrzeżony, dopóki sama nie zdecydujesz inaczej, a mieszkanie jest obecnie całkowicie pod twoją osobistą kontrolą, równie bezpieczne jak każde prywatne środowisko. Oprogramowanie działa w sposób jednoznaczny: włamanie i wkroczenie do środka jest matematyczną niemożnością.

Pozostawił ją, by mogła się zadomowić. Przechadzała się po pokojach, starając się w nich zamieszkać, uznać za należące do siebie. Zmusiła się do spaceru pobliskimi uliczkami, starając się poczuć swobodnie. Apartament w stylu art deco, wieże wprost z filmów Fritza Langa, ulice wypełnione tłumami statystów, wszystko to napełniało ją obawami – ale kiedy tak

zastanawiała się nad tym, uświadamiała sobie, że nie mogłaby pójść nigdzie indziej. Kiedy starała się wyobrazić sobie własne „terytorium”, jej osobisty kawałeczek Elizjum, wydawało jej się to równie zniechęcające i niewykonalne, jak gdyby otrzymała w spadku jedną dwudziestą czwartą wszechświata galaktyk i próżni. To, że ten nowy był w przeważającej części niedostrzegalny i zbudowany z siatki samoreplikujących się komputerów, które z kolei składały się z komórek automatów komórkowych – a te znów nie były niczym innym jak tylko sekwencjami cyfr, jakkolwiek banalne wydawało się narzucanie im kolorów i szeregowanie w staranne siatki – to wszystko sprawiało tylko, że myśl o zagubieniu się w tym bezmiarze Maria odbierała jako nieskończenie bardziej obcą. Już wystarczająco niefortunne było to, że jej prawdziwe ciało stało się wzorem obliczeń rezonujących w małych fragmentach skądinąd głuchej krystalicznej piramidy, która rozciągała się w przestrzeni odpowiadającej tysiącom lat świetlnych wszechświata TVC. Sama myśl o zanurzeniu zmysłów w fałszywym świecie, który tak naprawdę był jedynie kolejnym zakątkiem tej samej struktury – wycofaniu się zupełnie w mrok olbrzymiej, pozbawionej powietrza krypty, gdzie poddałaby się osobistym halucynacjom – sprawiało, że opanowywała ją chorobliwa panika.

Nawet jeśli Miasto było równie nierzeczywiste, to przynajmniej było jedyną halucynacją, którą dzieliła z innymi Elizyjczykami – a zakotwiczona dzięki temu konsensusowi, odkryła w sobie odwagę, by przyrzeć się bliżej leżącemu pod tym wszystkim niedostrzegalnemu światu z bezpiecznej – jakkolwiek złudnej – odległości. Siedziała w swoim mieszkaniu i studiowała mapy Elizjum. Na największej z możliwych skali większość sześcianów niczym się nie wyróżniała: pozostałe siedemnaście piramid należących do założycieli było prywatną własnością, a jej własna była w całości nieużywana. Publicznie dostępne obszary mogły zostać

pokolorowane w zależności od działającego na nich oprogramowania – procesy mogły zostać zidentyfikowane, a przepływ danych dokładnie prześledzony – ale nawet wtedy większość z nich i tak była jednokolorowa: pięć z sześciu publicznie dostępnych piramid zostało przeznaczonych na potrzeby Autoverse'u, wykonując na wszystkich swoich procesorach ten sam prosty program, implementujący zasady automatów komórkowych Autoverse'u – całkowicie różne od zasad TVC. Słabo widoczna metalowa siateczka została narzucona na ten region niczym sieć cieniutkich drucików zanurzonych w nieznannej substancji, mających określać jej właściwości. To właśnie było oprogramowanie szpiegujące Lambert – zupełnie inny i osobny program niż sam Autoverse, a tym samym niepodlegający żadnemu z przyjętych w nim praw. Maria własnoręcznie napisała jego oryginalną wersję, jakkolwiek nigdy nie miała okazji, by przetestować ją w skali planetarnej. Pokolenia elizyjskich akademików zajmujących się Autoverse'em poszerzyły i tak udoskonaliły jej wersję, że ta zagłębiała obecnie przez kwadryliony nieistniejących szczelin w przestrzeni, porównując, interpretując i podsumowując wszystko, co tylko tam wychwycała. Rezultaty płynęły – wzdłuż kanału, przedstawianego jako jaśniejący niczym rozpalone do białości srebro (od gęstości przepływających w nim danych) – wprost do centralnego węzła Elizjum i znajdującej się tam biblioteki głównej.

Sam węzeł był oślepiającym wielościanem, grupą baz danych otoczonych strukturami komunikacyjnymi sortującymi rwący strumień informacji wpływających do i wypływających z poszczególnych piramid. Przez to miejsce przepływała każda z transakcji dokonywanych pomiędzy Elizyjczykami z różnych klanów; począwszy od rozmów telefonicznych po uściski dłoni, od seksu po wszelkie złożone postludzkie stosunki intymne, które wymyślili w przeciągu ostatnich siedmiu tysięcy lat. Jednak taka

mapa niczego przed nią nie odkrywała. Nawet przy największym z możliwych powiększeń i najwolniejszym odtwarzaniu przepływające pakiety danych były odbierane za ledwie jako bezkształtne punkty świetlne, pozostawiając swą zawartość bezpiecznie anonimową.

Drugi pod względem jasności przepływ danych łączył węzeł z samym Miastem i odsłaniał się jako subtelny labirynt algorytmów przylegających ściśle do jednej ze ścian szóstej publicznie dostępnej piramidy. Z autowersowym oprogramowaniem tuż za granicą, przedstawionym w kolorze nocnego granatu nieba, Miasto wyglądało jak zatłoczone, oświetlone neonami wesołe miasteczko na krawędzi olbrzymiej pustyni, na końcu błyszczącej autostrady. Maria zbliżyła i obserwowała, jak pakiety danych odpowiedzialne za samą obserwowalną mapę wypływają strumieniami z węzła.

Nie istniały żadne bezpośrednie odpowiedniki, punkt za punkt, pomiędzy tym, co teraz obserwowała, a Miastem, które odbierały jej zmysły. Tłumy fałszywych pieszych, porzrucane po całej obserwowalnej metropolii, można było tutaj odnaleźć w postaci zbitego zbioru malutkich mrugających bryłek w pastelowych odcieniach, opisanych jako *ZACHOWANIE STADNE* i *WSZECHSTRONNY TROPIZM*. Lokalizacja i inne atrybuty pojedynczych istot zostały zakodowane w zbyt małej strukturze danych, by można ją było dostrzec bez znacznego powiększenia. Apartament Marii był tu równie mikroskopijny, lecz był równocześnie produktem o wiele szerzej porzrucanych części składowych, tak różnych jak *OPTYKA POWIERZCHNI*, *DYNAMIKA POWIETRZA*, *PROMIENIOWANIE CIEPLNE* czy *FAKTURA DYWANU*.

Mogłaby obserwować również własne ciało w postaci podobnego diagramu funkcjonalnych modułów, ale zdecydowała się jeszcze z tym poczekać.

W zupełności wystarczyła jej jedna wiwisekcja na raz.

Rozpoczęła przeglądanie wszelkich dostępnych jej źródeł informacji o Elizjum – sieci danych, które przedstawiały się w ten sposób – i wychodziła dwa razy dziennie z apartamentu na samotny spacer po Mieście; oswajając się z dwiema przestrzeniami analogicznymi do tych znanych jej w przeszłości.

Przejrzała po łebkach dostępne jej biblioteki, niezupełnie w przypadkowy sposób, przerzucając Homera i Joyce'a, wpatrując się w Rembrandta, Picassa i Moore'a, odtwarzając fragmenty Chopina i Liszta, oglądając sceny z Bergmana i Bunuela. Podrywając ciężar jądra ludzkiej cywilizacji, którą tutejsi mieszkańcy sprowadzili ze sobą do środka.

Zrobiła to bez wysiłku. *Dublińczycy* stali się obecnie równie fantastyczni jak *Iliada*. *Guernica* nigdy tak naprawdę nie miała miejsca, a gdyby nawet miała, elizyjski punkt widzenia był niemożliwy do uchwycenia przez któregokolwiek z artystów. *Siódma pieczęć* była szaloną, bezsensowną bajeczką. *Dyskretny urok burżuazji* był wszystkim, co pozostało.

Podjęcie decyzji o wykonaniu na sobie jakichkolwiek zmian okazało się zbyt trudne, więc zgodnie z prawami ludzkiej fizjologii jadała, spała i wydalala. Istniały tysiące sposobów, by wyczarować do istnienia pożywienie ze smakowitych posiłków w kulinarnych bazach danych, które dosłownie wydostawały się z ekranu terminala wraz z oszczędzającą czas opcją sytości, pojawiającą się po naciśnięciu odpowiedniego przycisku wraz z przyjemnym posmakiem w ustach, kiedy było już po wszystkim, lecz dawne rytuały głośno i wyraźnie domagały się przywrócenia, więc wychodziła z domu i kupowała potrzebne składniki od marionetkowych sprzedawców w przepełnionych zapachami delikatesach, a następnie gotowała z nich posiłki, zazwyczaj bardzo nieumiejętnie, i stawała się coraz

bardziej osobliwie zmęczona obserwowaniem niedoskonałego działania chemii, jak gdyby sama podświadomie wykonywała trudną symulację.

Przez trzy noce z rzędu śniło jej się, że wróciła do starego świata, gdzie odbywała niczym nie wyróżniające się rozmowy z rodzicami, przyjaciółmi ze szkoły, innymi osobami uzależnionymi od Autoverse'u, byłymi kochankami. Niezależnie od otaczającej scenerii powietrze zawsze było naładowane jaśniejącą nachalną autentycznością. Budziła się z tych snów sparaliżowana stratą, czepiając się paznokciami umykających pewników, wierząc – przez sekundę, czy nawet pięć – że Durham jedynie nafaszerował ją narkotykami, zahipnotyzował, tak wyprał jej mózg, by śniła o Elizjum, i że za każdym razem, kiedy tutaj wydawało jej się, że „śpi”, tak naprawdę budziła się w ziemskim życiu, które nigdy się nie skończyło.

Ale wtedy mgła w jej głowie się rozwiewała i Maria zdawała sobie sprawę, że prawda jest inna.

Po raz pierwszy śniła o Mieście. Znajdowała się na Piętnastej Alei, kiedy marionetki zaczęły ją błagać, by traktowała je jako w pełni świadome.

– Przeszliśmy przecież test Turinga, prawda? Czy obcy w tłumie jest ktoś mniej niż człowiekiem tylko dlatego, że nie możesz doświadczać jego wewnętrznego życia?

Czepiali się jej ubrań niczym żebracy. Rozkazywała im, by przestali być nedorzeczni.

– Jak możecie się skarżyć? Nie rozumiecie? Obaliliśmy niesprawiedliwość – mówiła.

Mężczyzna w czarnym, nieskazitelnym garniturze popatrzył na nią ostro i wymamrotał: – Zawsze będziecie mieć biedaków.

Ale mylił się.

I śniła też o samym Elizjum. Wiła sobie drogę poprzez siatkę TVC w lukach pomiędzy procesorami, zmieniona w pojedynczy, niezależny wzór

komórek, niczym najstarsze, najbardziej prymitywne formy sztucznego życia; nie zakłócając niczego, lecz wszystko obserwując – we wszystkich sześciu wymiarach i ani jednym mniej. Obudziła się, kiedy uświadomiła sobie, jakie to wszystko jest absurdalne: wszechświat TVC nie był zalany jakimś odpowiednikiem światła, rozprzestrzeniającym informację o każdej z komórek hen, w każdą stronę. Bycie osadzonym w siatce oznaczało jedynie bycie ślepych na jej zawartość; sięganie i pracowite sondowanie wszystkiego, co leżało przed tobą – i czasem niszczenie tego – było jednak jedynym sposobem, aby cokolwiek tu odkryć.

Późnymi popołudniami, w złotym świetle zatapiającym jej sypialnię, wpadającym do środka przez okno po tysiącu przypadkowych, skalkulowanych odbić pomiędzy wieżowcami, zazwyczaj płakała. Wszystko zdawało się jej nieodpowiednie, przypadkowe, patetyczne, nieetyczne. Nie chciała „opłakiwać” rasy ludzkiej, ale nie miała pojęcia, jak powinna odbierać jej nieobecność. Odmawiała sobie wizji świata jako dawno martwego – jak gdyby jej elizyjskie milenia snu pchnęły ją naprzód w nieokreśloną ziemską przyszłość – więc z wielkim trudem starała się wiązać z czasem, który zapamiętała, podążać w myślach za życiem własnego sobowtóra. Wyobrażała sobie pogodzenie się z Adenem; to nie było niemożliwe. Wyobrażała go sobie jako bardzo żywego, równie niedojrzałego, samolubnego i upartego jak zawsze do tej pory. Snuła najbardziej przyziemne fantazje, wymyślając kompletnie niczym się nie wyróżniające chwile, jakie wspólnie przeżywali, i niemiłosiernie wyrywając niczym chwasty wszystko, co wydawało się jej zbyt optymistyczne i przez to nierealne. Nie była zainteresowana wymyślaniem perfekcyjnego życia dla drugiej Marii; chciała jedynie odgadnąć nieznaną prawdę.

Ale musiała trzymać się kurczowo myśli, że ocalała Francescę. Cokolwiek innego byłoby nie do zniesienia.

Starła się myśleć o sobie jako o emigrantce, która przepłynęła ocean, nim jeszcze wynaleziono transport powietrzny, jeszcze przed nastaniem ery telegrafów. Ludzie pozostawiali wtedy za sobą wszystko i żyli dalej. Prosperowali. Rozkwitali. Ich życie nie ulegało zniszczeniu; przyjmowali nieznanne, które ich wzbogacało, przeobrażało.

Nieznane? Żyła w stworzonym sztucznie, matematycznym obiekcie, który sama pomogła skonstruować Durhamowi dla kilkunastu miliarderów. Elizjum było wszechświatem zrobionym na zamówienie. Nie zawierało żadnych ukrytych cudów, żadnych zagubionych plemion.

Ale za to zawierało Autoverse.

Im dłużej nad tym myślała, tym bardziej wydawało jej się, że to planeta Lambert jest kluczem do jej zdrowych zmysłów. Nawet po trzech miliardach lat ewolucji była jedyną rzeczą w Elizjum, która łączyła ją z dawnym życiem – prowadząc w przeszłość, wprost do nocy, gdy była świadkiem trawienia mutozy przez *A. lamberti*. Ta nić pozostała nieprzerwana: organizm ziarna, *A. hydrophila*, wszystko pochodziło z tej samej szpulki. A nawet jeżeli wtedy Autoverse był jedynie krańcowym sposobem folgowania samej sobie, wysublimowaną intelektualną gierką w świecie, w którym roiło się od problemów, to jej obecna sytuacja była wprost przeciwna: Autoverse był domem dla setek milionów form życia, rozkwitającą cywilizacją, kulturą, która zbliżyła się do krawędzi naukowej rewolucji. We wszechświecie opartym na widzimisię, wygodzie i ułudzie wydawał się jedynym twardym gruntem, jaki jej pozostał.

I mimo iż nie cierpiała na żadne urojenia, że osobiście „stworzyła” Lambertian – szkicując wczesną historię ich planety, zlepiając do kupy ich przodków, adaptując na ich potrzeby dokonane przez kogoś innego

przełożenie ziemskiej bakterii, raczej nie mogła sobie przypisywać stworzenia ich złożonego systemu nerwowego oraz sposobu trawienia na otwartym powietrzu, nie wspominając już o ich świadomości własnego istnienia – nie potrafiła po prostu umyć rąk od ich losu. Nigdy nie wierzyła, że ta planeta mogłaby zostać wprowadzona w życie, ale – tak czy inaczej – pomogła tego dokonać.

Jakaś jej część wciąż nie chciała robić niczego innego, jak tylko wściekać się z powodu przebudzenia i płakać nad tym, co utraciła. Przyjęcie do wiadomości istnienia Autoverse'u wydawało się jej obrazą pamięci o dawnej Ziemi – i znakiem, że zaakceptowała sposób, w jaki została potraktowana przez Durhama. Ale odwrócenie się tyłem do jedynej rzeczy, która mogła nadać znaczenie jej nowemu życiu, i to jedynie na złość Durhamowi, tylko po to, by zadać kłam podawanym przez niego powodom jej przebudzenia, zaczęła odbierać jako perwersję na krawędzi szaleństwa. Istniały inne sposoby, by pokazać mu jasno i wyraźnie, że wcale mu nie wybaczyła.

Mieszkanie – na początku nieprzekonująco wielkie, niemal nie nadające się do mieszkania – z czasem zatraciło całą swą obcość. Dziesiątego ranka obudziła się, wreszcie oczekując dokładnie takiego widoku jak ten, który zastała; o ile nie pogodzona z własną sytuacją, to przynajmniej wcale nie zaskoczona widokiem miejsca, w którym się znalazła.

Zadzwoniła do Durhama i powiedziała:

– Chcę się przyłączyć do ekspedycji.



Grupa Kontaktowa zajmowała całe piętro wieżowca w południowo-wschodnim kwadrancie miasta. Maria, która nie korzystała z teleportacji, pokonała drogę pieszo, przechodząc łączącymi budynki pasażami i zupełnie nie zwracając uwagi na marionetki. Podziwiała widoki. Ten sposób był o wiele szybszy niż podróż rozciągającymi się w dole ulicami. Stopniowo pokonywała swój lęk wysokości. Mosty nie rozpadały się tutaj z powodu nieoczekiwanych wibracji. Pleksiglasowe rurki nie spadały na ziemię, rozrzucając po chodnikach martwe ciała. Nie miało żadnego znaczenia, czy Malcolm Carter wiedział cokolwiek na temat inżynierii budowlanej. Miasto nie dokonywało żadnego żmudnego modelowania naprężeń i obciążeń tylko po to, by odkryć, czy jakiegokolwiek pojedyncze części składowe mogłyby zawieść jedynie przez wzgląd na realizm. Wszystko było doskonale bezpieczne na mocy odgórnego rozporządzenia.

Durham oczekiwał ją w foyer budynku. Kiedy weszli do środka, przedstawił ją Dominicowi Repetto i Alise Zemansky, pozostałym liderom projektu. Maria nie miała najmniejszego pojęcia, czego oczekiwać po jej pierwszym kontakcie z najnowszym pokoleniem Elizyjczyków, ale przedstawili się jej jako schludnie wyglądający ludzie, dobrze po trzydziestce, ubrani w rzeczy, które spokojnie mogliby nosić w jakimkolwiek dwudziestopierwszowiecznym biurze w Sydney. Czyżby zrobili to z szacunku dla niej? Miała nadzieję, że nie – o ile nie było to akceptowalną rzeczą, wymaganą w ich subkulturze, by każdemu pokazywać się w innej postaci, specjalnie zaprojektowanej tak, by rozmówca mógł poczuć się swobodnie. Szczerze mówiąc, Repetto był tak uderzająco przystojny, że niemal odrzuciła ją myśl, iż on sam, czy też któryś z jego rodziców, z premedytacją wybrał taką właśnie twarz. Ale cóż obecnie oznaczały dawne kodeksy próżności, pochodzące z ery chirurgii plastycznej i inżynierii genetycznej? Zemansky wywarła na niej równie

wielkie wrażenie, z pocętkowanymi na czarno fioletowymi oczami i najeżonymi blond włosami. Durham – przynajmniej w jej oczach – pozostał w niemal niezmienionej formie, znanej jej jeszcze z 2050 roku. Maria zaczęła się zastanawiać, jak sama może wyglądać w oczach młodych Elizyjczyków. Prawdopodobnie jak ktoś, kto został niedawno ekshumowany.

Repetto raz za razem potrząsał jej dłoń.

– To naprawdę wielki, wielki zaszczyt, że mogę cię spotkać. Nie potrafię wyrazić, jak bardzo zainspirowałaś nas wszystkich. – Jego twarz promieniała; wydawał się mówić szczerze. Maria poczuła, jak rumieniec wpływa jej na policzki, i starała się wyobrazić sobie siebie w podobnej sytuacji, wymieniając uścisk dłoni z... kim? Maksem Lambertem? Johnem von Neumannem? Alanem Turingiem? Charlesem Babbage'em? Adą Lovelace? Zdawała sobie sprawę, że w porównaniu z takimi pionierami właściwie nie zrobiła niczego – ale przez siedem tysięcy lat mogli upiększać jej reputację. A przez trzy miliardy lat jej praca mogła przynieść owoce.

Piętro zostało podzielone na poprzedzielane przegrodami stanowiska, lecz wyglądało na to, że w pobliżu nie ma nikogo. Durham zauważył, jak Maria spogląda w kierunku przegród, i oznajmił tajemniczo: – Są też inni pracownicy, ale pojawiają się i znikają. Zemanski poprowadziła ich w kierunku małej salki konferencyjnej.

– Możemy się przenieść do reprezentacji planety Lambert w VR, jeśli tylko zechcesz – powiedziała do Marii. – Ale powinnam cię ostrzec, że może to być dezorientujące: stajesz się wizualnie zanurzona, a równocześnie nieuchwytna, przechodzisz przez tamtejszą roślinność i tym podobne. A poruszanie się z prędkością konieczną do śledzenia Lambertian

może wywołać chorobę lokomocyjną. Oczywiście, istnieją odpowiednie zmiany nerwowe mające zapobiegać obu problemom.

Maria nie była jeszcze gotowa, by rozpocząć wprowadzanie zmian we własnym mózgu – ani też, by postawić stopę na powierzchni obcej planety.

– Obserwowanie wszystkiego na ekranach brzmi o wiele łatwiej – stwierdziła. – Jakoś byłabym bardziej zadowolona, gdybyśmy to zrobili w ten właśnie sposób. Nie macie nic przeciwko?

Zemansky chyba przyjęła to z ulgą.

Repetto stanął przy końcu stołu i zwrócił się do całej trójki, mimo iż Maria doskonale wiedziała, że mówi wszystko wyłącznie z jej powodu.

– Tak wiele wydarzyło się ostatnio na Lambert, że spowolniliśmy ją aż do prędkości porównywalnej z naszym czasem standardowym, by móc na bieżąco obserwować rozwój sytuacji. – Eliptyczna mapa powierzchni planety pojawiła się na ścianie za jego plecami. – Ostatnio dziesiątki niezależnych zespołów chemików rozpoczęły tam poszukiwania prostszego, bardziej zunifikowanego modelu tłumaczącego ich obecną teorię atomową. – Na mapie pojawiły się porozrzucane po całej powierzchni markery. – Minęło trzysta lat, odkąd standardowy model – trzydzieści dwa atomy posiadające regularny rozkład masy, wartościowości i wzajemne pokrewieństwo – został powszechnie zaakceptowany. Lambertiański odpowiednik układu okresowego Mendelejewa. – Uśmiechnął się krótko do Marii, jak gdyby pochodziła z tej samej epoki co Mendelejew, czy też po prostu dlatego, że był dumny z własnej złożonej wiedzy dotyczącej historii nauki, która nie była już prawdziwa. – wtedy atomy zostały zaakceptowane jako fundamentalne jednostki: nie posiadające struktury wewnętrznej, nierozdzielne, nie wymagające żadnych głębszych wyjaśnień. W czasie ostatnich dwudziestu lat pogląd ten zaczął się wreszcie załamywać.

Maria już była zdezorientowana. Na podstawie pospiesznej lektury dokonanej w przeciągu ostatnich kilku dni zdawała sobie sprawę, że Lambertianie jedynie modyfikują ustaloną teorię, kiedy odkrywają jakieś nowe zjawisko, którego dana teoria nie potrafi wyjaśnić. Repetto musiał zauważyć wyraz jej twarzy, ponieważ przerwał na chwilę, wyczekując.

– Autoversowe atomy SA nierozdzielne – stwierdziła z przekonaniem. – Nie istnieją żadne komponenty, które mógłbyś w nich wydzielić, żadne mniejsze stabilne jednostki. Zderz je ze sobą z jakąkolwiek wybraną przez siebie energią, a one po prostu odbiją się od siebie – a przecież Lambertianie nie mają możliwości, by w ogóle zderzać je ze sobą. Tak więc... z pewnością nie doświadczają niczego, czego obecna teoria nie byłaby w stanie im doskonale wyjaśnić.

– Z pewnością niczego w najbliższym otoczeniu. Ale problemem jest kosmologia. Udoskonalali modele dotyczące historii własnego układu słonecznego, a obecnie poszukują wyjaśnień dla składu chemicznego pierwotnego obłoku pyłowo-gazowego.

– Zaakceptowali trzydzieści dwa atomy oraz ich właściwości w takiej postaci, w jakiej je dostali – ale nie mogą się zmusić do zrobienia tego samego z arbitralnymi zawartościami każdego z nich w praobloku?

– Dokładnie tak. Trudno jednoznacznie wytłumaczyć ich motywację, ale posiadają bardzo precyzyjną estetykę, która dyktuje im, co mogą zaakceptować jako teorię – a w ich przypadku zaprzeczenie czemuś takiemu jest niemal fizyczną niemożliwością. Jeśli starają się wytańczyć teorię, a ta nie rezonuje z ich systemem nerwowym, by potwierdzić swą prostotę, taniec rozpada się. – Pomyślał przez chwilę, a następnie wskazał znajdujący się za jego plecami ekran, na którym pojawił się rój Lambertian. – Oto przykład tego, o czym mówię. Miał miejsce już jakiś czas temu. Widzisz tu zespół astronomów – wszyscy są w pełni świadomi ruchów

planet po niebie względem słońca – testujących teorię przyjmującą, że planeta Lambert tkwi nieruchomo, wszystko inne krąży zaś wokół niej po orbitach.

Maria z uwagą obserwowała istoty. Z wielką trudnością byłaby w stanie rozróżnić rytmy w ich złożonych, wzajemnie zapętłonych ruchach, ale kiedy rój zaczął się rozpraszać, załamanie porządku było wyraźnie zauważalne.

– A teraz przyjrzyj się wersji heliocentrycznej, która nastąpiła w kilka lat później.

Taniec ponownie był zbyt złożony, by można go było zanalizować, chociaż z każdą chwilą zdawał się bardziej harmoniczny, a po chwili stał się niemalże hipnotyczny. Czarne kropki przesuwały się tu i tam na tle białego nieba, pozostawiając ślady na jej siatkówkach. Znajdująca się pod Lambertianami wszechobecna trawiasta równina zdawała się dziwnym tłem do snucia teorii astronomicznych. Lambertianie najwidoczniej zaakceptowali własne położenie – w którym największą wywieraną przez nich kontrolę nad własnym środowiskiem reprezentowała hodowla roztoczy – jak gdyby stanowiło to utopię porównywalną z całkowitą i nieograniczoną wolnością w Elizjum. Wciąż jednak stawiali czoło drapieżcom. Wielu nadal umierało młodo z powodu chorób. Jedzenia jednak zawsze było pod dostatkiem, gdyż wymodelowali własne cykle populacyjne i nauczyli się tłumić ich wahania jeszcze w bardzo wczesnym stadium. I nieważne, czy byli miłośnikami natury, czy nie, nie istniały u nich żadne „ideologiczne” przepychanki dotyczące „kontroli narodzin”. Kiedy model został już rozpropagowany, społeczności porzrzucane po całej planecie podejmowały te same środki. Lambertiańska różnorodność kulturowa była ograniczona; zdeterminowana genetycznie część zachowania była o wiele większa niż w przypadku człowieka – młode

rodziły się samowystarczalne, ze znacznie mniejszą plastycznością nerwową niż ludzki niemowlak – i istniała u nich też stosunkowo mniejsza różnorodność w odpowiedzialnych za to genach.

Teoria heliocentryczna była akceptowalna; taniec pozostał spójny. Repetto odtworzył scenę, tym razem z „tłumaczeniem” w małym okienku, które wskazywało pozycje planet przedstawiane w każdej chwili tańca. Maria wciąż nie mogła rozgryźć zależności – Lambertianie z pewnością nie latali sobie wokół w powietrzu w prostym odpowiedniku hipotetycznych orbit, ale zsynchronizowane rytmy planet i insektoidalnych astronomów zdawały się spletać gdzieś w jej korze wzrokowej, uruchamiając jakiś detektor wzoru, który nie był w stanie ustalić, co dokładnie wynika z tych dziwnych podobieństw.

– Tak więc teoria Ptolemeusza padła z powodu niewłaściwej gramatyki, oczywistego nonsensu – zaczęła. – Dwaplust bezdobry. I dotarli do Kopernika w przeciągu kilku zaledwie lat? To robi wrażenie. Ile zabrało im dotarcie do wniosków Keplera, albo Newtona?

– Właśnie widziałś Newtona – odpowiedziała jej gładko Zemansky. – Teoria grawitacji – prawa ruchu – wszystko było częścią wykonywanego wtedy modelu; Lambertianie nigdy nie wyraziliby kształtu orbit, nie zawierając w tym samym tańcu powodu ich istnienia.

Maria poczuła, jak jeżą się jej włosy na karku.

– Jeżeli to był Newton, to co było wcześniej?

– Nic. To był pierwszy udany model astronomiczny. Kulminacja około dekady prób i błędów różnych zespołów porzucanych po całej planecie.

– Ale musieli coś mieć. Prymitywne mity. O poustawianych na sobie żółwiach. O bogach Słońca w rydwanach.

Zemansky zaśmiała się.

– Oczywiście nie posiadali żadnych żółwi ani rydwanów, lecz nie pojawiły się także żadne inne naiwne kosmologie. Ich najwcześniejszy język wyrósł z tego, co mogli łatwo zaobserwować i wymodelować – ekologicznych współzależności, dynamiki populacyjnej. Kiedy kosmologia była poza ich zasięgiem, nawet nie starali się do niej zbliżyć; ten temat po prostu nie istniał.

– Żadnych mitów dotyczących powstania ich świata?

– Nie. Dla Lambertian wiara w jakikolwiek rodzaj „mitu”, jakikolwiek rodzaj nieokreślonych, nie dających się przetestować pseudowyjaśnień, przypominałaby, cierpienie halucynacji, widzenie miraży, słyszenie głosów. Uczyniłoby to z nich osobników całkowicie dysfunkcyjnych.

Maria chrząknęła.

– Zastanawiam się, jak w takim razie zareagują na nasz widok.

– Obecnie temat stwórców jest im zupełnie obcy – odpowiedział jej Durham. – Nie potrzebują żadnej hipotezy. Rozumieją ewolucję: mutacje, selekcję naturalną – zasugerowali nawet, że istnieje pewien rodzaj makromolekularnych genów. Ale pochodzenie ich życia pozostaje pytaniem otwartym, zbyt trudnym, by się za nie obecnie zabierać, a prawdopodobnie miną jeszcze stulecia, nim uświadomią sobie, że ich najdawniejszy przodek został zasiany „ręcznie”. O ile w rzeczy samej istnieją jakiegokolwiek dowody na to – jakikolwiek logiczny powód, dla którego *A. hydrophila* nie miałaby powstać w jakiejś wydumanej przez nich prebiotycznej historii.

Ale do tego nie dojdzie. Sądzę, że po kilku dekadach spędzonych na waleniu głową o ścianę problemu praobłoku wreszcie odgadną, co jest grane. Pomysł, którego czas dopiero nadejdzie, przetoczy się przez całą planetę w przeciągu kilku miesięcy, jakkolwiek dziwaczne może się to wydawać; te istoty nie są tradycjonalistami. A kiedy już teoria, że ich świat został ZROBIONY, narodzi się w odpowiednim naukowym kontekście, nie

wpędzi ich to w żaden obłąd. Wszystko, co chciała ci powiedzieć Alisa, sprowadza się do tego, że ten rodzaj prymitywnych przesądów, w które wierzyli pierwotni ludzie, nie miałyby żadnego sensu w oczach pierwotnych Lambertian.

– Tak więc – zaczęła Maria – nim rozpoczniemy wpychanie się łokciami na ich świat, przerywając to, co robią, ogłaszając, kim dokładnie jesteście, poczekamy, aż temat „stwórców” wyłoni się z nicości?

– Dokładnie – odparł Durham. – Mamy zgodę na dokonanie kontaktu, kiedy już sami z siebie zaczną podejrzewać nasze istnienie – i ani chwili wcześniej. – Zaśmiał się i dodał z wyraźną satysfakcją: – Co osiągnęliśmy dzięki temu, że żądaliśmy o wiele więcej.

Maria wciąż czuła się niezbyt pewnie, ale nie chciała powstrzymać tego, co miało nadejść, zajmując swój umysł zmaganiem z subtelnościami lambertiańskiej kultury.

– W porządku – stwierdziła. – Kosmologia jest tu wyzwalczem, ale oni szukają głębszego wyjaśnienia własnej chemii. Czy w tym im się jakoś poszczęściło?

Repetto ponownie wywołał na ekran mapę Lambert; markery pokazujące lokalizację zespołów teoretyków zostały zastąpione małymi histogramami umieszczonymi dokładnie w tych samych miejscach.

– Oto czasy tańców, które zostały podtrzymane dla różnych subatomowych modeli rozpatrywanych w przeciągu ostatnich pięciu lat. Kilka teorii wygląda na obiecujące, coraz bardziej ulepszone za każdym kolejnym przejściem; pozostałe grupy otrzymują zupełnie przypadkowe wyniki. Nikt do tej pory nie uzyskał niczego, co byliby w stanie przekazać sobie na znaczne odległości; ich tańce są zbyt krótkotrwałe, by mogły zostać zapamiętane przez zespoły posłańców.

Maria poczuła, jak po raz kolejny cierpie jej skóra. *Fałszywe wiadomości umierają po drodze*. W tej wydajności, tej nie zważającej na nic pogoni za prawdą było coś wywołującego dreszcze. Czy też może było to jedynie kwestią zranionej dumy: traktowanie okupionych najwyższym wysiłkiem intelektualnych osiągnięć ludzkości jako czegoś niemal oczywistego nie było najmilszą cechą, jaką mógłby posiadać obcy gatunek.

– Tak więc – zaczęła niepewnie – żaden z zespołów nie znalazł się na krawędzi odkrycia prawdy?

Repetto pokręcił głową.

– Jeszcze nie. Ale biorąc pod uwagę jakiegokolwiek kryteria, zasady Autoverse’u są najprostszym wyjaśnieniem dla trzydziestu dwóch atomów.

– Najprostszym z naszego punktu widzenia. W środowisku lambertiańskim nie istnieje nic, co mogłoby spowodować, by zaczęli myśleć w kategoriach automatów komórkowych.

– Jak również w ich otoczeniu nie istniało nic, co mogłoby spowodować, żeby zaczęli myśleć w kategoriach atomów – dopowiedziała Zemansky.

– Cóż, nie, ale i starożytni Grecy pomyśleli o atomach, choć nie doszli do mechaniki kwantowej.

Maria nie potrafiła sobie wyobrazić ludzi w czasach przed rewolucją przemysłową, którzy wymyśliliby automaty komórkowe chociażby jako abstrakcję matematyczną, nie wspominając już o przeskoku do hipotezy, że wszechświat, w którym żyją, mógłby okazać się jednym z takich automatów. Kosmologie oparte na mechanizmach zegarowych nadeszły dopiero z wymyśleniem zegarów, a kosmologie komputerowe pojawiły się, kiedy już ludzie stworzyli pierwszy fizycznie istniejący komputer.

Jednakże ludzka historia najwidoczniej nawet w najmniejszym stopniu nie była przewodnikiem dla lambertiańskiej nauki. Oni już posiadli własny

newtonowski, „zegarowy” model planetarny. Nie potrzebowali żadnych artefaktów, które miałyby wskazywać im drogę.

– A ta „estetyka” rządząca akceptowalnymi teoriami? – spytała. – Czy zdołaliście rozgryźć i opisać zaangażowane w nią struktury nerwowe? Potraficie odtworzyć jej kryteria?

– Tak – odparł Repetto. – i chyba doskonale wiem, o co teraz zapytasz.

– Opracowaliście własną wersję możliwych lambertiańskich teorii dotyczących automatów komórkowych? I przetestowaliście je pod względem lambertiańskiej estetyki?

Skromnie przechylił głowę.

– Tak. Nie modelujemy oczywiście całego mózgu, gdyż byłoby to wielce nieetyczne, ale potrafimy uruchomić symulacje próbnych tańców przy użyciu nieświadomych lambertiańskich modeli nerwowych.

Modelować Lambertian modelujących Autoverse.

– I jak wam idzie?

Repetto zawahał się.

– Otrzymane przez nas wyniki nie są na razie rozstrzygające. Żadna z teorii stworzonych przeze mnie nie zadziałała, ale to bardzo trudne zagadnienie. Trudno mieć pewność, że stawiam hipotezę dokładnie w taki sam sposób, jak zrobiłby to Lambertianin, bądź też, czy naprawdę właściwie uchwyciłem w nieświadomym modelu wszelkie podteksty konkretnego zachowania.

– Ale to wcale nie wygląda obiecująco?

– Nie jest rozstrzygające.

Maria przemyślała to sobie.

– Zasady Autoverse’u same w sobie nie wyjaśnią wzajemnej zawartości pierwiastków – a to jest głównym problemem, który oni właśnie starają się rozwikłać. Co więc się stanie, jeśli nie wpadną na pomysł automatów

komórkowych i wymyślą sobie zupełnie nową teorię: coś, co sprowadzi ich na manowce, a jednocześnie będzie pasowało do wszelkich posiadanych przez nich danych? Wiem, że do tej pory odkryli wszystkie pozostałe zagadnienia dotyczące ich świata o wiele bardziej gładko, niż stało się to kiedykolwiek udziałem ludzi, ale nie czyni to z nich nieomylnych. A skoro wcale nie mają tradycji poddawania się w obliczu trudnych pytań i uciekania się do dzieła stwórcy, to być może połączą w całość coś, co wyjaśni zarówno obłok pierwotny, jak i chemiczne właściwości pierwiastków – nie zbliżając się przy tym ani o krok do prawdy. To nie jest niemożliwe, prawda?

Zapanowała niezręczna cisza. Maria zastanowiła się, czy samą sugestią, że kryteria, od których zależy kontakt, mogłyby nigdy nie zostać spełnione, nie popełniła jakiegoś ogromnego *faux pas*, ale pewnie trudno byłoby powiedzieć tym ludziom cokolwiek, czego nie rozważali już wielokrotnie.

– Nie, to nie jest niemożliwe – odpowiedział jej prosto Durham. – Musimy więc po prostu poczekać i sprawdzić, dokąd doprowadzi ich lambertiańska logika.

27.

(Miasto Rutyny) (Rut City)

Peer wyczuł nadchodzącą zamianę i wyłączył tokarkę. Bezradnie rozejrzał się po warsztacie, przeskakując wzrokiem z jednego przedmiotu na drugi, a bez żadnego z nich nie potrafił wyobrazić sobie dalszego życia: szlifierka taśmowa, półka wypełniona ostrzami do tokarki, puszki oleju, blaszanki z lakierem. Sama sterta świeżo pociętego drewna. Porzucenie tych rzeczy – czy też jeszcze gorzej, porzucenie własnej do nich miłości – wydawało mu się, nie przymierzając, czymś w rodzaju definicji zagłady.

Po chwili zaczął dostrzegać sytuację w zupełnie innym świetle. Poczuł, jak sam cofa się o krok od swego życia jako stolarz do większego porządku – czy też nieporządku – rzeczy: przypadkowego przeskakiwania od pozoru do pozoru, gwarantującego jego egzystencji tak różnorodne znaczenia. Poczucie straty zaczęło mu umykać; jego entuzjazm do wszystkiego, czemu się oddawał z pełnym zaangażowaniem przez ostatnie siedemdziesiąt sześć lat, wyparował niczym sen. Sama faza, którą za sobą pozostawiał, ani go nie odrzucała, ani nie dezorientowała, ale też nie miał żadnej, chociażby najmniejszej ochoty, by ją wydłużać czy powtarzać.

Jego narzędzia, ubrania, sam warsztat pracy – wszystko rozplynęło mu się przed oczami, pozostawiając po sobie bezkształtną szarą równinę, rozciągającą się w nieskończoność pod oślepiająco niebieskim niebem, nieposiadającym słońca, lecz promieniującym światłem. Czekał cierpliwie, by odkryć nowe powołanie, wspominając ostatnie przejście, i myślał: *Te*

krótkie chwile pomiędzy przejściami są życiem samym w sobie. Wyobraził sobie, jak podejmuje ten sam tok myśli i rozwija go odrobinę już przy następnym przejściu.

Wtem pusta przestrzeń zaczęła rozrastać się wokół niego w przestronne pomieszczenie, rozciągające się we wszystkich kierunkach na setki metrów, wypełnione niezliczonymi rzędami żółtych drewnianych szuflad z okazami. Części wysokiego sufitu z pokrytymi kurzem świetlikami zeszły się nad jego głowę, dopełniając tym samym otaczającej go scenerii. Zamrugął, zdezorientowany mrokiem. Miał na sobie grube czarne spodnie i kamizelkę nałożoną na białą, wykrochmaloną koszulę. Jego egzojaźń wybrała obsesję, która byłaby bez znaczenia w świecie zaawansowanych komputerów. Wyzaczyła mu rolę wiktoriańskiego przyrodnika.

Szuflady, o czym doskonale wiedział, były wypełnione żukami. Setkami tysięcy żuków. Miał teraz wolną rękę, by nie robić ze swoim czasem nic innego, jak tylko je studiować, szkicować, zaopatrywać w komentarze, klasyfikować: okaz po okazie, gatunek po gatunku, dekada po dekadzie. Perspektywy były tak kojące, że przejęty radością niemal zemdlał.

Kiedy zbliżył się do najbliższego zestawu szuflad, gdzie czekał już na niego pusty notatnik i ołówek, zawahał się i spróbował nadać sens temu, co czuł. Wiedział, dlaczego jest tutaj szczęśliwy: jego egzojaźń po raz kolejny zmodyfikowała jego mózg w taki sposób, w jaki sam ją do tego zaprogramował. Jakiego jeszcze sensu chciał się w tym doszukać?

Rozejrzał się po zatęchłym pomieszczeniu, starając się ustalić źródło własnego niezadowolenia. Wszystko było perfekcyjne, dokładnie na miejscu tu i teraz, ale jego przeszłość wciąż przy nim trwała: szara równina przejścia, dekady spędzone przy tokarce, czas spędzony z Kate, jego poprzednie obsesje. Dawno już martwy David Hawthorne, niepokonany, czepiający się kurczowo skalnej ściany. Żadna z tych rzeczy nawet w

najmniejszym stopniu nie była powiązana z jego obecnym zainteresowaniem, obecnym otoczeniem, lecz dotyczące ich szczegóły wciąż unosiły się na granicy jego myśli: niepotrzebne, rozprasające uwagę anachronizmy.

Był ubrany odpowiednio do pracy, którą miał wykonywać – dlaczego więc nie dopełnić iluzji? Grzebał już wcześniej przy własnych fałszywych wspomnieniach. Dlaczego nie miałby skonstruować wirtualnej przeszłości, „wyjaśniającej” zarówno jego obecną sytuację, jak i sam entuzjazm dotyczący postawionego przed nim zadania, w realiach pasujących do otoczenia? Dlaczego nie stworzyć sobie osoby, która nie posiadałaby najmniejszego nawet wspomnienia dotyczącego Peera; która z niewysłowioną radością mogłaby się rzucić na tę bezcenną kolekcję żuków niczym pies spuszczonego ze smyczy?

Otworzył okno do egzojaźni i wspólnie zaczęli wymyślać biografię dla takiego entomologa.



Peer wpatrywał się tępych wzrokiem w mrugającą elektryczną lampę stojącą w rogu pokoju. Po chwili przemaszerował do niej i przeczytał nagryzoloną odręcznie notatkę, która leżała pod nią na stole.

POROZMAWIAJ ZE MNĄ. COŚ JEST NIE TAK.

Zawahał się, wreszcie otworzył drzwi znajdujące się niedaleko lampy. Kate weszła do środka. Była niesamowicie blada.

– Spędziłam połowę życia, starając się z tobą skontaktować – zaczęła. – Kiedy to się skończy? – Jej głos był wyzuty z emocji, jak gdyby chciała być

zła, ale zupełnie nie miała na to siły. Peer uniósł dłoń do jej policzka, lecz odepchnęła ją na bok.

– Jaki masz problem? – zapytał.

– Problem? Nie było cię przez cztery tygodnie.

Cztery tygodnie? Peer niemal się zaśmiał, ale wyglądała na tak roztrzęsioną, że się powstrzymał.

– Wiesz, czasem zapominam się w tym, co robię – rzekł. – To dla mnie ważne. I przykro mi, jeżeli się o mnie martwiłaś.

– Zaginąłeś – przerwała mu. – wcale nie powiedziałam, że „nie odpowiadałeś na moje wezwania”. Środowisko, w którym się teraz znajdujemy, oraz jego właściciel w ogóle nie istniały.

– Dlaczego tak uważasz?

– Oprogramowanie komunikacyjne przekazało mi, że żaden z procesów nie przyjmował danych adresowanych do twojego osobistego węzła. System cię zgubił.

Peer był zaskoczony. Od samego początku nie ufał Malcolmowi Carterowi, ale sama możliwość, że po tylu latach mogłyby się pojawić jakieś większe problemy związane z infrastrukturą, którą tamten utkał specjalnie dla nich w Mieście, wydawała mu się wyjątkowo mało prawdopodobna.

– Być może jedynie zgubił mój ślad – odpowiedział. – Na jak długo?

– Dwadzieścia dziewięć dni.

– Czy doszło już do tego kiedykolwiek wcześniej?

Kate zaśmiała się gorzko.

– Nie. A co, wydaje ci się, że zatrzymałabym taką informację dla siebie? Do tej pory nigdy nie natknęłam się na żadną podstawową wadę oprogramowania. A istnieją też przecież automatyczne rejestry, które potwierdzą ci moją informację. To wydarzyło się po raz pierwszy.

Peer podrapał się w szyję, tuż pod nakrochmalonym kołnierzykiem. Oderwanie go od pracy wywołało u niego dezorientację; nie potrafił sobie przypomnieć, co robił, nim mrugająca lampa przykuła jego uwagę. Jego pamięć ewidentnie wymagała konserwacji.

– To niepokojące – zaczął – ale nie wiem, co moglibyśmy zrobić poza uruchomieniem programów diagnostycznych i próbą identyfikacji problemu.

– Już je uruchomiłam, kiedy to się działo.

– I?

– I z pewnością z oprogramowaniem komunikacyjnym wszystko było w porządku. Ale diagnostyki nie wykrywały żadnego z systemów związanych z funkcjonowaniem twojej osoby.

– To niemożliwe.

– Zawiesiłeś się?

– Oczywiście, że nie. A to i tak niczego by nie wyjaśniało: nawet gdybym tak zrobił, odpowiedzialne za mnie systemy pozostałyby aktywne.

– Co w takim razie robiłeś?

Peer rozejrzał się po pokoju, spoglądając w kierunku miejsca, w którym stał wcześniej. Na jednym z biurków leżała szuflada wypełniona okazami, a nieopodal niej gruby notatnik. Peer podszedł do biurka. Kate podążyła tuż za nim.

– Zdaje się, że rysowałem żuki – stwierdził.

Zdążył zużyć jakieś sto stron notatnika. Na ostatniej z nich znajdował się niedokończony szkic jednego z okazów. Peer był pewien, że nigdy dotąd go nie widział.

Kate podniosła notatnik i przez chwilę wpatrywała się w szkic. Następnie przerzuciła kilka wcześniejszych stron.

– Po co ci ten pseudonim? – spytała. – Czy twoje ubranie nie jest już wystarczająco symboliczne?

– Jaki pseudonim?

Uniosła przed nim notatnik i wskazała podpis.

– Sir William Baxter, FRS [*ang. Fellow of the Royal Society*] Członek Królewskiej Akademii Nauk].

Peer oparł się o biurko i gorączkowo grzebał w pamięci. Zapewne zabawiał się w jakąś pamięciową gierkę, tyle było oczywiste, ale z pewnością tak przecież ustawiłby sobie wszystkie parametry, by na samym końcu móc zrozumieć, co właściwie się wydarzyło, prawda? Kiedy Kate skontaktowała się z nim, przełamując tym samym zaklęcie, pod którego wpływem się znajdował, jego egzojażń powinna była mu zagwarantować pełne wyjaśnienie całej sytuacji. W głowie wywołał zapisy: zarejestrowały jego ostatnie przejście i nic dalej. Cokolwiek zrobił od tamtej pory, nie pozostał po tym nawet najmniejszy ślad.

– To nazwisko nic mi nie mówi – odparł niewyraźnie i cicho.

A co jeszcze dziwniejsze, myśl o spędzeniu dwudziestu dziewięciu dni na szkicowaniu żuków zmroziła go od środka. Wszelka pasja, którą mógłby darzyć taksonomię owadów, rozmyła się wraz ze wszystkimi dotyczącymi jej wspomnieniami, jak gdyby cały pakiet należał do kogoś zupełnie innego; kogoś, kto teraz zabrał swoje zabawki i odszedł.

28.

Kiedy Miasto powoli odciskało się w jej umyśle – każdy oślepiający zachód słońca pozostawiał złoty powidok wypalony w jej nieistniejących siatkówkach, a każda odbyta podróż ryła mapy nieistniejących ulic w jej nieistniejących synapsach – Maria czuła, jak stopniowo oddala się od wspomnień dotyczących dawnego świata. Szczegóły były równie wyraziste jak do tej pory, ale jej przeszła historia traciła swą moc, swe znaczenie. Kiedy już porzuciła myśl, by opłakiwać ludzi, którzy nie umarli – i którzy jej nie utracili – pozostała jej tylko nostalgia, a nawet i ona była pełna sprzeczności.

Brakowało jej pomieszczeń, przestrzeni, zapachów. Czasem było to tak bolesne, że aż komiczne. Leżała, nie mogąc zasnąć, i rozmyślała o zrujnowanych, porzuconych budynkach przy Pyrmont, bądź też o smrodzie tekturowych pudełek ze sztucznym popcornem, który unosił się z salonów VR przy George Street. I doskonale zdawała sobie sprawę, że mogłaby zrekonstruować swój dawny dom, wraz z całym jego otoczeniem, resztą Sydney, a nawet o wiele więcej, i to z taką liczbą szczegółów, jakiej by sobie tylko zażyczyła; wiedziała, że mogłaby w ten sposób rozprawić się – i to niemalże od ręki – z całym idiotycznym bólem odczuwanym z powodu amputowanej przeszłości. Dokładne zrozumienie, jak daleko mogłaby się w tym posunąć, wystarczało jej z nawiązką do pozbycia się wszelkiej chęci podjęcia chociażby najmniejszego kroku w tym kierunku.

Lecz sam wybór, by nie podejmować żadnego wysiłku mającego ulżyć ukłuciom tęsknoty za dawnym życiem, zdawał się oznaczać utratę prawa do jakichkolwiek emocji. Jak mogła twierdzić, że tęskni za czymś, co z taką

łatwością mogłaby znów osiąść – a równocześnie wciąż sobie tego odmawiać?

Tak więc starała się odłożyć przeszłość na bok. Studiowała pilnie Lambertian, przygotowując się do chwili, kiedy kontakt z nimi zostanie dozwolony. Starła się wejść w rolę legendarnego osiemnastego założyciela, przebudzonego po tysiącletnich snu, by móc dzielić chwilę triumfu z mieszkańcami Elizjum, kiedy ci wreszcie staną twarzą w twarz z obcą cywilizacją.

Lambertiańskie społeczności, wbrew niektórym podobieństwom do społeczności ziemskich insektów, były o wiele bardziej złożone i o wiele mniej hierarchiczne niż kopce mrówek czy roje pszczół. Na przykład wszyscy Lambertianie byli równie płodni; nie istniała wśród nich żadna królowa, żadne robotnice, żadne trutnie. Jaja były składane wewnątrz roślin znajdujących się na granicy lokalnego terytorium, a po wykluciu młode zazwyczaj migrowały setki kilometrów, by stać się członkami odległych społeczności. Tam przyłączały się do zespołów i uczyły swych specjalności – zarządzania grupą, obrony przeciw drapieżnikom czy modelowania formacji układu planetarnego. Taka specjalizacja zazwyczaj trwała przez całe życie, ale czasami – jeśli zaistniała taka potrzeba – członkowie zespołów zmieniali profesję.

Lambertiańskie zachowanie grupy miało długą ewolucyjną historię i pozostawało siłą napędową rozwoju kulturowego, ponieważ pojedynczy Lambertianie byli fizycznie niezdolni do wynalezienia, przetestowania czy nawet przekazania dalej modeli, za pomocą których wyrażali najbardziej złożone myśli. Pojedynczy Lambertianin podczas udziału w udanym tańcu mógł się dowiedzieć wystarczająco wiele o „dyskutowanym” modelu, by umożliwiło mu to wymianę ról z jakimkolwiek innym w czasie kolejnego wykonywania tego samego tańca, ale nigdy nie byłby w stanie rozważyć w

samotności tego, co niosą ze sobą otrzymane tam wyniki. Język tańca przypominał ludzkie pismo, formalną logikę, zapis matematyczny i obliczenia, a wszystko to było tam połączone w jedno – lecz podstawowe umiejętności Lambertian były wrodzone, nie kulturowe. I odnosiło to olbrzymi sukces – i tak współgrało z pozostałymi aspektami ich społecznego zachowania, że Lambertianie nigdy nie mieli powodów, by rozwijać inną, niezależną alternatywę.

Pojedynczy osobnicy byli jednak dalecy od niemyślących części składowych. Byli w pełni świadomi własnych osobniczych kwalifikacji i podejmowanych wysiłków; grupy pełniły wiele ról, ale nie tworzyły „wspólnego umysłu”. Język dźwięków, ruchów i zapachów, używany przez poszczególnych przedstawicieli, było o wiele prostsze niż grupowy język ich tańca, lecz wciąż mógł wyrazić większość pojęć, które przekazywali między sobą ludzie jeszcze przed wynalezieniem pisma: zamiary, przeszłe doświadczenia, życie pozostałych osobników.

I poszczególni Lambertianie mówili o śmierci pojedynczych jednostek. Zdawali sobie sprawę, że kiedyś umrą.

Maria przegrzebała dostępną jej literaturę, poszukując jakichkolwiek wskazówek w kwestii tego, jak Lambertianie odbierają własną śmiertelność. Truchła pozostawiano tam, gdzie padły; nie istniał żaden rytuał mający oznaczać kres czyjegoś życia, żadne dowody na istnienie czegokolwiek choćby odrobinę przypominającego smutek. U Lambertian nie było żadnych wyraźnych odpowiedników poszczególnych ludzkich emocji – nawet fizycznego bólu. Kiedy Lambertianin został zraniony, był wtedy dogłębnie świadom tego faktu i podejmował kroki mające na celu zminimalizowanie szkód dla swojej osoby, ale było to kwestią dochodzenia do głosu specyficznych instynktownych reakcji, a nie szeroko rozrzuconych biochemicznych zmian związanych z właściwymi ludzimi zmianami

nastroju. Lambertiański system nerwowy był „bardziej zamknięty” od ludzkiego; nie istniało w nim żadne zalewanie obszarów mózgu wielkimi dawkami wydzielanych wewnętrznie stymulantów czy depresantów. Wszystko działało się wewnątrz szczelnie zamkniętych synaps.

Żadnego smutku. Ani śladu bólu. Żadnego szczęścia? Maria wycofała się z tego pytania. Lambertianie posiadali własne spektrum myśli i zachowań; jakiegokolwiek próby przełożenia ich na ludzkie odpowiedniki byłyby równie fałszywe jak same kolory autoversowych atomów.

Im więcej się uczyła, tym bardziej rola, którą odegrała w powołaniu Lambertian do życia, zdawała się tracić na znaczeniu, aż rozpływała się jej jako zupełnie nic nieznacząca. Delikatne dostrajanie ich jednokomórkowego przodka, kiedy to robiła, wydawało się kwestią najwyższej wagi – choćby z takiego powodu, że miało przekonać sceptyków do tego, iż życie może rozkwiąć w Autoverse. Teraz – mimo iż kilka z jej biochemicznych sztuczek przetrwało ponad trzy miliardy lat ewolucji – trudno byłoby przypisywać jakiegokolwiek znaczenie dokonany przez siebie wyborom. Nawet biorąc pod uwagę fakt, że cała tutejsza biosfera mogłaby zostać przeobrażona nie do poznania, gdyby tylko Maria wybrała jakiś inny kształt pojedynczego enzymu u *A. hydrophila*, nie potrafiła myśleć o Lambertianach jako o istotach uzależnionych od tego, co robiła. Podjęte przez nią decyzje kontrolowały to, czego była świadkiem na ekranie komputera, i tylko tyle; gdyby dokonała innych wyborów, obserwowałyby teraz zupełnie inną biosferę, zupełnie inną cywilizację – ale nie potrafiła uwierzyć, że sami, bez niej, nie zdołaliby dojść do dokładnie takiej samej formy życia jak ta, którą obecnie obserwowała. Z pewnością odkryliby jakiś sposób na to, by złożyć się z pyłu.

Jeśli jednak była to prawda – jeśli wewnętrzna logika ich doświadczeń była wystarczająca, by powołać ich do życia – nie było powodu, by

wierzyć, że kiedyś będą musieli wywnioskować, iż ich wszechświat wymagał obecności stwórcy.

Starła się pogodzić to narastające przekonanie z optymizmem Grupy Kontaktowej. Oni studiowali Lambertian od tysięcy lat – kim więc była, by wątpić w ich doświadczenie? Wtedy jednak dotarło do niej, że Durham i jego współpracownicy mogli podjąć decyzję o udawanej satysfakcji w związku z narzuconymi im politycznymi restrykcjami, dopóki nie poznają jej osobistego zdania na ten temat. Dopóki niezależnie nie dojdzie do tych samych wniosków, co oni? Durham mógł się domyślać, że opierałaby się jego naciskom, by stanąć po ich stronie; o wiele bardziej dyplomatyczne byłoby pozostawienie jej, by samodzielnie ukształtowała własną opinię – nawet przy zastosowaniu subtelnej manipulacji.

A może jej obecne myśli były przejawem czystej paranoi?

Po pięciu dniach studiowania Lambertian, śledzenia historii ich coraz to bardziej udanych prób wyjaśnienia otaczającego ich świata, i pięciu nocach, podczas których starała się przekonać, że wkrótce się poddadzą i rozpoznają własny status jako sztuczne życie, nie potrafiła dłużej powstrzymać narastających w jej głowie sprzeczności. Zadzwoiła do Durhama.

Była trzecia w nocy, ale musiał znajdować się poza Miastem; czas standardowy ustalał tu wewnętrzny upływ czasu, ale nie dzienny cykl, tak więc za jego plecami znajdowało się pomieszczenie zalane oślepiającym światłem słońca.

– Wydaje mi się, że chciałabym teraz usłyszeć prawdę – zaczęła bez ogródek. – Dlaczego mnie przebudziłeś?

Pytanie chyba wcale go nie zaskoczyło, ale odpowiedział na nie ostrożnie.

– A jak ci się zdaje?

– Potrzebujesz mojego poparcia dla wcześniejszej ekspedycji na Lambert. Chcesz, żebym zadeklarowała – z całym wątpliwym autorytetem „matki” Lambertian – że całe wyczekiwanie na moment, aż wreszcie wpadną na pomysł dotyczący naszego istnienia, nie ma nawet najmniejszego sensu. Ponieważ wiemy oboje, że nigdy do tego nie dojdzie, dopóki nie zobaczą nas na własne oczy.

– Masz rację, jeżeli chodzi o Lambertian – odpowiedział – ale zapomnij o polityce. Przebudziłem cię, ponieważ twoje terytorium graniczy z obszarem, na którym działa Autoverse. Chcę, żebyś mi je udostępniła, bym mógł stamtąd przebić się do Lambert. – Przypominał dziecko, uroczyście wyznające jakieś dziecięce grzeszki. – Dostęp przez węzeł centralny jest ściśle kontrolowany i widoczny dla każdego. W szóstej publicznej piramidce istnieje multum nieużywanej przestrzeni, więc mógłbym spróbować dostać się również stamtąd – ale i to mogłoby być widoczne. Twoje terytorium jest natomiast własnością prywatną.

Maria poczuła falę złości. Nie była w stanie uwierzyć, że kiedykolwiek mogła przełknąć usłyszane od niego zapewnienia, iż obudził ją wyłącznie dlatego, by mogła dzielić z nim chwałę pierwszego kontaktu – a to, że została przez niego wykorzystana, nie było znowu jakimś wielkim szokiem; przypominało jedynie odrobinę dawne czasy, lecz już sam fakt, że została przywrócona do życia nie z powodu doświadczenia, nie z powodu statusu, ale tylko dlatego, by mógł przekopać sobie tunel z jej przydomowego ogródka.

– Dlaczego musisz włamywać się do Autoverse’u? – spytała go gorzko. – Toczy się tu może jakiś wyścig, o którym nikt nie raczył mnie nawet poinformować? Znudzeni nieśmiertelni współzawodniczą ze sobą, który pierwszy dokona nieautoryzowanego kontaktu z Lambertianami? Czyżbyście zamienili ksenobiologię w nową dyscyplinę olimpijską?

– To zupełnie nie tak.

– Nie? W takim razie jak? Umieram z ciekawości. – Maria starała się wyczytać coś z jego twarzy. Pozwolił sobie, by przedstawić się jako odrobinę zawstydzony, lecz równocześnie wyglądał na nieugięte zdeterminowanego, jak gdyby rzeczywiście wierzył, że nie pozostawiono mu żadnego innego wyboru.

Wreszcie nieoczekiwanie to do niej dotarło.

– Uważasz, że Elizjum jest w jakiś sposób zagrożone ze strony Autoverse'u?

– Tak.

– Rozumiem. Więc przebudziłeś mnie na czas, by móc podzielić się ze mną niebezpieczeństwem? Jakże miło z twojej strony.

– Mario, przepraszam. Gdyby tylko istniał jakiś inny sposób, pozwoliłbym ci spać po wieczność.

Równocześnie zaczęła się śmiać i drzeć. Durham przytknął dłoń do ekranu; wciąż była na niego zła, lecz pozwoliła mu sięgnąć przez ekran z jego oświetlonego słońcem pokoju i położyć jego dłoń na własnej.

– Dlaczego musisz działać potajemnie? – zapytała. – Nie możesz przekonać pozostałych, by zgodzili się na wyłączenie Autoverse'u? Muszą zdawać sobie sprawę, że nie zaszkodzą tym samym Lambertianom; ich świat po prostu odnajdzie się w pyłe i pójdzie własną drogą, jak samo Elizjum. Nie trzeba tu rozważać żadnej kwestii mordu na planetarną skalę. W porządku, oznaczałoby to stratę dla naukowców zajmujących się Autoverse'em, ale ilu ich może być? Co też Lambert oznacza dla przeciętnego Elizyjczyka? Jest jedynie kolejnym rodzajem rozrywki.

– Już próbowałem ją wyłączyć. Mam autoryzację do ustalania jej tempa względem czasu standardowego, mogę więc również czasowo zamrozić cały Autoverse, gdybym tylko dostrzegł potrzebę, by zatamować przepływ

informacji, co pozwoliłoby nam nadgonić zaległości w ich błyskawicznym rozwoju sytuacji.

– I co się stało? Zmusili cię do ponownego uruchomienia?

– Nie. Nigdy nie zdołałem go zamrozić. Tego nie da się już zrobić. Tempo upływu ich czasu nie może zostać spowolnione poniżej pewnego określonego progu, a dalej oprogramowanie zupełnie ignoruje moje instrukcje. Moje działania nie dają żadnych efektów.

Maria poczuła, jak od podstawy jej kręgosłupa rozchodzi się przenikliwy chłód.

– Jak to „ignoruje”? To niemożliwe.

– Byłoby niemożliwe, gdyby wszystko działało jak należy – najwyraźniej jednak coś nawaliło. Pytanie tylko: na jakim poziomie? Nie jestem w stanie uwierzyć, że oprogramowanie kontrolne po tak długim czasie nieoczekiwanie odkrywa przed nami jakiegoś ukrytego w sobie robaka. Jeśli nie odpowiada w sposób, w jaki je zaprojektowano, oznacza to, że procesory, na których funkcjonuje, nie zachowują się właściwie. Tak więc, albo zostały w jakiś sposób uszkodzone, albo to sam automat komórkowy uległ zmianie. Sądzę, że obecnie zasady TVC są naruszane – bądź też podporządkowywane czemuś większemu.

– Masz jakieś niepodważalne dowody?

– Nie. Powtórzyłem dawne eksperymenty testujące, które przeprowadziliśmy podczas rozruchu, i wciąż działają – gdziekolwiek je przeprowadzam – ale nie mogę nawet poinstruować procesorów, na których funkcjonuje Autoverse, by się zdiagnozowały, nie wspominając już o wysondowaniu, co ma miejsce na ich najniższych poziomach. Nie mam nawet pojęcia, czy problem jest ograniczony do zamkniętego obszaru, czy też powoli się rozprzestrzenia, a może jest obecny już wszędzie, tyle że jego skutki są zbyt subtelne, by dało się je dostrzec. Jak wiesz, jedynym

sposobem przetestowania zasad jest użycie specjalnego aparatu. Co więc mam zrobić? Rozmontować połowę procesorów w Elizjum i stworzyć w ich miejsce komorę testującą? A nawet gdybym potrafił udowodnić, że doszło do złamania zasad, to jak niby miałyby to w czymkolwiek pomóc?

– Ktoś jeszcze o tym wie?

– Jedynie Repetto i Zemansky. Gdyby przedostało się to do wiadomości publicznej, nie mam pojęcia, do czego mogłoby doprowadzić.

Maria była wściekła.

– Na jakiej podstawie rościsz sobie prawo, by trzymać to tylko dla siebie? Niektórzy mogą wpaść w panikę, ale czego niby się obawiasz? Wyjścia ludzi na ulice? Plądrowania? Im więcej osób dowie się o problemie, tym bardziej prawdopodobne, że ktoś wreszcie wpadnie na jakieś rozwiązanie.

– Być może. Ale być może sam fakt, że więcej osób będzie o tym wiedziało, wszystko pogorszy.

Maria w milczeniu przyjęła to do wiadomości. Wpadające przez okno terminalu światło słońca rzucało wokół niej promieniste cienie; pokój przypominał średniowieczny drzeworyt przedstawiający alchemika odkrywającego kamień filozoficzny.

– Wiesz, dlaczego na samym początku zamiast fizyki świata rzeczywistego wybrałem właśnie Autoverse? – zapytał.

– Mniejsza liczba koniecznych obliczeń. Łatwiej zasiać w nim życie. Moja genialna praca z *A. lamberti*.

– Brak reakcji jądrowych. Żadnych wyjaśnień dotyczących pochodzenia pierwiastków. Pomyślałem sobie tak: w zupełnie nieprawdopodobnym przypadku, gdyby planeta jednak wydała inteligentne życie, oni wciąż byłiby w stanie zrozumieć własne istnienie na naszych warunkach. Wszystko to wydawało się wtedy tak odległe i nieprawdopodobne. Nigdy

nie przyszło mi nawet do głowy, że mogą nie odkryć praw, które w naszych oczach są niepodważalnymi prawami, i jakoś zdołają obejść cały ten problem.

– Na razie nie zdecydowali się na żadną z teorii. Wciąż jeszcze mogą wpaść na model automatu komórkowego – łącznie z potrzebą ich stwórcy.

– Mogą. Ale co, kiedy do tego nie dojdzie?

Marii zaschło w gardle. Paraliżujące abstrakcje traciły swą hipotetyczną moc; zaczynała odbierać siebie aż nazbyt prawdziwie, jako zbyt materialną, zbyt wrażliwą na wszelkie ciosy. I trafiło to we właściwy moment – dokładnie w chwili, w której wreszcie przyjęła do wiadomości iluzję posiadania stałego ciała z krwi i kości, fundamenty tego wszechświata zdawały się szykować do zmiany w ruchome piaski.

– Ty mi to powiedz – odparła. – Mam dosyć odgadywania tego, co dzieje się w twojej głowie.

– Nie możemy ich wyłączyć. Co moim zdaniem udowadnia, że już mają wpływ na Elizjum. Jeśli z powodzeniem wyjaśniają własne pochodzenie w sposób zaprzeczający regułom Autoverse'u, mogą wypaczać zasady TVC. Być może jedynie na obszarze, na którym funkcjonuje Autoverse, a być może wszędzie. A jeżeli zasady TVC zostaną wyrwane spod naszych stóp.

Maria sprzeciwiła się jego słowom.

– To jest... niczym stwierdzenie, że środowisko VR może podmieniać prawa fizyki prawdziwego świata tylko dlatego, by zagwarantować sobie wewnętrzną spójność. Nawet przy tysiącach Kopii, które zostały umieszczone przez ludzi w środowiskach VR na dawnej Ziemi, nigdy nie doszło do czegoś podobnego.

– Nie – ale który świat jest bardziej prawdziwy: Elizjum czy Autoverse?

– Durham zaśmiał się bez cienia goryczy. – wciąż jesteśmy Kopiami połączonymi z różnych nieprzystających części, większość z nas w swoich

prywatnych, wymyślonych krainach. Nasze ciała są wykonanymi *ad hoc* przybliżeniami. Nasze miasta – niezniszczalną tapetą. „Prawa fizyki” wszystkich środowisk w Elizjum zaprzeczają sobie nawzajem – i sobie samym – jakiś miliard razy dziennie. Koniec końców, tak, wszystko działa tu na procesorach TVC, wszystko jest spójne z zasadami TVC, ale poziom za poziomem zostają odcięte, stają się niewidoczne dla pozostałych, stają się nieważne.

Wszystko, co dzieje się na powierzchni Lambert, jest ściśle powiązane z pojedynczym zestawem praw fizycznych, mających jednolite zastosowanie w całej przestrzeni, bez wyjątków. I trwa to już trzy miliardy lat. My możemy już nie pamiętać, jakie są najgłębsze prawa, ale każde wydarzenie, którego doświadczają Lambertianie, jest częścią większej, spójnej całości. Jeżeli istnieje jakikolwiek konflikt pomiędzy dwiema wersjami rzeczywistości, nie możemy po prostu liczyć na to, że nasza własna wersja okaże się obowiązująca.

Maria nie miała podstaw do twierdzenia, że patchworkowa VR wytrzymuje porównanie z głęboką logiką Autoverse’u.

– W takim razie z pewnością najbezpieczniejszą rzeczą byłoby zapewnienie, że nie ma żadnego konfliktu – stwierdziła. – Zaprzestanie obserwacji Autoverse’u. Porzucenie wszelkich planów dotyczących nawiązania kontaktu. Odizolowanie od siebie obu wyjaśnień. Powstrzymanie ich przed zderzeniem.

– Nie. My już się zderzyliśmy – powiedział płasko Durham. – Z jakiegoż innego powodu nie jesteśmy w stanie ich wyłączyć?

– Nie wiem. – Maria odwróciła wzrok. – Jeśli dojdzie do najgorszego, to czy nie możemy zacząć wszystkiego od nowa? Skonstruować nowej konfiguracji Ogrodu Eden? Uruchomić się ponownie? Tym razem bez Autoverse’u?

– Jeśli zostaniemy do tego zmuszeni – dodał. – Jeśli uznamy, że możemy zaufać, iż wszechświat TVC zrobi wszystko, do czego został zaprogramowany – bez żadnych zmian w rozruchu, które paskudziłyby nam to, czy też wręcz przekazywały dalej zmodyfikowane prawa, przed którymi uciekamy.

Maria wyjrzała na rozciągające się za oknem Miasto. Budynki nie rozpadały się na jej oczach, iluzja wciąż trwała.

– Jeśli nie możemy temu zaufać, to co nam pozostało? – zapytała.

– Nic – odpowiedział jej ponuro. – Jeżeli nie mamy w tej chwili pojęcia, na jakiej zasadzie działa otaczający nas wszechświat, jesteśmy bezsilni.

Wyswobodziła dłoń z jego uścisku.

– Co więc chcesz zrobić? Uważasz, że jeśli otrzymasz dostęp do większego obszaru Autoverse’u niż kanały danych wychodzące z węzła centralnego, możesz sprawić, by zasady TVC znów miały zastosowanie? Jedna ściana piramidy, wrzeszcząca: „Przestańcie!” do sąsiadujących z nią procesorów, ma niby nieść ze sobą większą wagę niż zwykły łańcuch wydawanych przez ciebie komend?

– Nie. Ale warto spróbować. Mimo iż nie wierzę, by miało to zadziałać.

– W takim razie... co?

Rozgorączkowany Durham nachylił się nad ekranem.

– Musimy z powrotem przeciągnąć te prawa na naszą stronę. Musimy wejść do Autoverse’u i przekonać Lambertian, by zaakceptowali nasze wyjaśnienia dotyczące ich własnej historii – zanim jeszcze ustalą własną, dokładnie sprecyzowaną wersję alternatywną. Musimy ich przekonać, że to my ich stworzyliśmy... zanim przestanie to być prawdą.

29.

Thomas siedział w ogrodzie, obserwując, jak roboty doglądają rabatek z kwiatami. Ich srebrne kończyny błyskały w promieniach słońca, kiedy sięgały pomiędzy oślepiająco białymi kwiatami. Każdy ruch był precyzyjny, ekonomiczny; nie było w nich żadnego wahania, ani chociażby krótkiej chwili odpoczynku. Robiły, co do nich należało, i przechodziły do kolejnego zadania.

Kiedy już odeszły, siedział i czekał. Trawa była miękka, niebo bezchmurne, powietrze nieruchome. Nie pozwolił się temu oszukać. Istniały już wcześniej dokładnie takie same chwile: niemal zbliżone do stanu spokoju. Nic jednak nie znaczyły, niczego nie zapowiadały, niczego nie zmieniały. Zawsze i tak pojawiała się kolejna wizja rozkładu, kolejny koszmar okaleczeń. Kolejny powrót do Hamburga.

Podrapał się po gładkiej skórze brzucha; ostatni wycięty tam numer zagoił się już dawno temu. Od tego czasu ciął swoje ciało w tysiącu miejsc, podciął sobie nadgarstki i gardło, przedziurawił płuca, rozciął udo wzdłuż tętnicy udowej. Czy też tak mu się tylko wydawało, gdyż później na jego ciele nie pozostały żadne dowody mające świadczyć o samookaleczeniach.

Bezruch panujący w ogrodzie zaczął go niepokoić. W otaczającej go scenerii istniała pewna pustka, której nie potrafił przeniknąć, jak gdyby wpatrywał się w zupełnie niezrozumiały diagram, bądź też abstrakcyjne malowidło, których nie potrafił do końca rozłożyć na części składowe. Kiedy spojrzał ponad trawnikiem, napływające do niego kolory i faktury nieoczekiwanie całkowicie rozproszyły się w nic nieznaczące plamki światła. Nic się nie poruszało, nic nie zmieniało, ale jego umiejętności

dotyczące interpretacji układu cieni i barw rozplynęły się zupełnie; ogród przestał istnieć.

Przerażony, sięgnął na oślep ku znajdującej się na przedramieniu bliźnie. Efekt był natychmiastowy, gdy tylko zetknął z nią palce: otaczający go świat powrócił w pełni na swoje miejsce. Przez chwilę siedział sztywno, oczekując, chcąc się przekonać, co się teraz stanie, ale plamka ciemnej zieleni w kątku oka nadal pozostawała cieniem rzucanym przez fontannę, a rozciągający się nad nim niebieski bezmiar wciąż pozostawał niebem.

Zwinął się w kłębek na trawie, gładząc martwą skórę i zawodząc do samego siebie. Wierzył, że pewnego razu zupełnie wyciął sobie tę bliznę. Zrobiona wtedy rana zaleczyła się bez najmniejszego śladu, lecz oryginalna, ledwie widoczna biała linia pojawiła się ponownie, kiedy było już po wszystkim, dokładnie w tym samym miejscu, co poprzednio. Tylko to obecnie określało jego tożsamość. Jego twarz, gdy poszukiwał jej w znajdujących się w domu lustrach, była nierozpoznawalna. Jego imię stało się nic nieznaczącym zlepkiem dźwięków. Ale kiedy tylko zaczął tracić poczucie własnej tożsamości, wystarczyło dotknąć tej blizny i już przypominał sobie o wszystkim, co go definiowało. Zamknął oczy.

Tańczył z Anną po jej mieszkaniu. Było od niej czuć alkohol, pot i perfumy. Był gotów poprosić ją o rękę; czuł, jak ta chwila zbliża się nieubłaganie, i niemal dusił się strachem i nadzieją.

– Boże, jesteś piękna – powiedział.

Poukładaj moje życie. Bez ciebie jestem niczym: fragmentami czasu, fragmentami słów, fragmentami uczuć. Nadaj mi sens. Uczyń te fragmenty całością.

– Chcę cię o coś poprosić, o co nigdy do tej pory nie prosiłam – odpowiedziała. – Przez cały dzień starałam się zebrać na odwagę.

– Możesz prosić, o co tylko zechcesz.

Pozwól mi się zrozumieć. Pozwól poukładać w jedną całość i utrzymać w ten sposób. Pozwól mi pomóc się wyrazić.

– Mam przyjaciela, który ma mnóstwo gotówki – powiedziała. – Prawie dwieście tysięcy marek. Potrzebuje kogoś, kto mógłby.

Thomas odsunął się od niej i uderzył mocno w twarz. Czuł się zdradzony; zraniony i wyśmiany. Anna zaczęła go bić po twarzy i klatce piersiowej, a on przez chwilę tak stał i pozwalał jej na to; wreszcie schwycił ją za nadgarstki.

Złapała oddech.

– Puść mnie.

– Przepraszam.

– Więc mnie puść.

Nie zrobił tego.

– Nie jestem maszynką służącą do prania brudnych pieniędzy twoich „przyjaciół” – stwierdził.

Popatrzyła na niego z politowaniem.

– Och, co ja takiego zrobiłam? Uraziłam twoje zasady moralne? Jedyne o coś poprosiłam. Mogłeś okazać się chociaż odrobinę przydatny. Nieważne. Mogłam się domyślać, że oczekuję zbyt wiele.

Energicznie zbliżył do niej swą twarz.

– Gdzie będziesz za dziesięć lat? W więzieniu? Na dnie Łaby?

– Pierdol się.

– Gdzie? Powiesz mi?

– Potrafię sobie wyobrazić o wiele gorsze losy – odparła. – Mogłabym skończyć, bawiąc się w szczęśliwą rodzinę z bankierem w średnim wieku.

Thomas pchnął ją na ścianę. Stopy uciekły spod niej, nim w nią uderzyła. Kiedy padała, walnęła w nią głową.

Przykucnęła przy niej, nie wierząc, że dzieje się to naprawdę. Miała ranę z tyłu głowy. Oddychała. Poklepał ją po policzkach, następnie starał się otworzyć jej oczy, lecz te wywróciły się do wnętrza czaszki. Niemal siedziała na podłodze, z rozrzuconymi szeroko nogami, głową kołyszącą się na ścianie. Wokół niej zaczęła się rozlewać kałuża krwi.

– Wymyśl coś szybko. Wymyśl coś natychmiast – powtarzał sobie.

Czas zwolnił. Każdy szczegół pokoju niemal krzykiem domagał się jego uwagi. Światło rzucane przez pojedynczą słabą żarówkę u sufitu stało się niemal oślepiające; wszystkie krawędzie każdego z cieni stały się ostre niczym żyłki. Thomas poruszył się na trawniku i poczuł trawę ocierającą się o jego ciało. *Potrzeba było tak niewiele siły wewnętrznej, tak niewiele odwagi, zaledwie odrobinę miłości.* To wcale nie było niewyobrażalne.

Twarcz Anny wypalała mu oczy, tak słodka i potworna. Jeszcze nigdy się tak nie bał. Zdawał sobie sprawę, że jeśli nie uda mu się jej zabić, stanie się niczym; nie pozostało w nim nic więcej. Tylko jej śmierć nadawała sens temu, czym się stał; wstyd i szaleństwo były wszystkim, co w nim pozostało. Wiara, że ocalił jej życie, byłaby zapomnieniem o sobie na zawsze. Śmiercią.

Zmusił się, by nieruchomo leżeć na trawie, a fale paraliżu przepływały przez jego ciało.

Trzęsąc się, zadzwonił po karetkę. Zadziwił go ton własnego głosu, gdyż zdawał się spokojny, jak gdyby nad wszystkim panował. Potem ukląkł obok Anny i wsunął dłoń pod jej głowę. Ciepła krew spływała mu po ramieniu, wpływała pod rękaw koszuli. *Jeśli Anna przeżyje, on być może nie pójdzie do więzienia – lecz skandal i tak zniszczy go całkowicie.* Przeklął się i zbliżył ucho do jej ust. Wciąż oddychała. *Ojciec go wydziedziczy.* Wpatrywał się pustym wzrokiem w swoją przyszłość i gładził Annę po policzku.

Na schodach usłyszał pielęgniarzy z karetki. Drzwi były zamknięte, musiał więc wstać, by wpuścić ich do środka. Bezradnie stał z boku, kiedy badali ciało, które następnie przenieśli na nosze. Gdy wyszli z mieszkania, ruszył w ślad za nimi. Jeden z mężczyzn zmierzył go zimnym wzrokiem, kiedy wykręcali nosze na podeście schodów.

– Dopłacamy dziewczynkom ekstra, by móc im przyłożyć, co?

Thomas niewinnie potrząsnął głową.

– To nie tak, jak wygląda.

Niechętnie pozwolili mu pojechać z nimi z tyłu karetki. Słyszał, jak kierowca zawiadamia policję. Trzymał dłoń Anny, siedząc z utkwionym w nią wzrokiem. Jej palce były lodowate, twarz wręcz kredowobiała. Karetka wykręciła; wyciągnął wolną dłoń, by złapać równowagę.

– Wyjdzie z tego? – spytał, nie podnosząc wzroku.

– Nic nie można powiedzieć, dopóki jej nie prześwietlimy.

– To był wypadek. Tańczyliśmy. Poślizgnęła się.

– Cokolwiek tylko mówisz, koleś.

Pędzili ulicami miasta, tkając drogę we wszechświecie neonów i reflektorów, wszystkiego, co zostało unieruchomione wyciem ich syreny. Thomas nie spuszczał z Anny wzroku. Ścisnął kurczowo jej dłoń i całym swoim ja życzył sobie, by przeżyła, opierając się jednak impulsowi modlitwy w tej intencji.

30.

Liderzy Grupy Kontaktowej zebrali się w mieszkaniu Marii. Ledwie zdążyli zająć miejsca, gdy Durham powiedział: – Jak mi się wydaje, zanim zaczniemy cokolwiek robić, powinniśmy się przenieść na moje terytorium, które – o ile ma to jeszcze jakiegokolwiek znaczenie – leży po drugiej stronie węzła względem Autoverse’u. Jeżeli fizyczna odległość wciąż cokolwiek oznacza, powinniśmy przynajmniej spróbować odtwarzać nasze modele w jakimś godnym zaufania miejscu.

Maria poczuła, jak robi się jej niedobrze. Samo Miasto znajdowało się tuż przy Autoverse: wesołe miasteczko na krawędzi pustyni. Ale żaden z Elizyjczyków nie był obliczany w tej publicznie dostępnej przestrzeni; dotyczyło to jedynie budynków i marionetkowych tłumów.

– Sześciu innych założycieli posiada piramidy przylegające do Autoverse’u – zaczęła. – Skoro uważasz, że istnieje możliwość przedostawania się jakichś efektów poprzez tę granicę, czy nie mógłbyś w takim razie znaleźć jakiegoś pretekstu, by sprawić, że przenieśliby stamtąd swych ludzi najdalej, jak to tylko możliwe? Wcale nie musisz im wyklądać kawy na ławę – możesz nie powiedzieć nic, co mogłoby zwiększyć niebezpieczeństwo.

– Miałem już wystarczająco dużo kłopotów – odpowiedział jej zmęczonym głosem – próbując przekonać trzydziestu siedmiu oddanych Autoverse’owi naukowców, by zajęli się jakimiś innymi projektami i zeszedli nam z drogi. Gdybym jeszcze zaczął teraz sugerować Elaine Sanderson, Angelo Repetto i Tetsuo Tsukamoto, by przearanżowali geometrię własnych zasobów obliczeniowych, oni w przeciągu dziesięciu sekund

sprawdziliby dogłębnie cały Autoverse, starając się odkryć, co dokładnie tam się dzieje. A kolejne z tych trzech piramid zajmują pustelnicy, którzy nie pokazali się nam na oczy od chwili rozruchu, tak więc nawet gdybyśmy bardzo tego chcieli, to nie jesteśmy w stanie ich ostrzec. Najlepszym dostępnym nam rozwiązaniem pozostaje rozprawienie się z tym problemem tak szybko – i równocześnie tak dyskretnie – jak to tylko możliwe.

Maria spojrzała na Dominica Repetto, który najwyraźniej zrezygnował i utrzymywał swą rodzinę w stanie absolutnej niewiedzy.

– Ale czuję się przez to jak jakiś tchórz – zauważyła. – Umykam na przeciwną stronę wszechświata, równocześnie szturchając tutaj za pomocą zdalnego sterowania gniazdo szerszeni.

– Nie powinno ci to spędzać snu z powiek – odpowiedział jej oschle Repetto. – Na tyle, na ile wiemy, geometria TVC może nie mieć najmniejszego znaczenia. Samo logiczne połączenie pomiędzy nami a Autoverse'em może nas narazić na większe niebezpieczeństwo niż najbliższe nawet fizyczne sąsiedztwo.

Maria wciąż wykonywała wszystko manualnie, używając „stałego” terminalu, więc nie unosiły się przed nią w powietrzu żadne okna interfejsów, nie posiadała ani jednego telepatycznego łącza ze swoją egzozajnią. Zemansky pokazała jej, jak uruchomić mało znany program narzędziowy, którego zadaniem było przeniesienie jej wprost z własnego terytorium na należące do Durhama. W czasach dawnej Ziemi mniej zamożne Kopie błyskawicznie przeskakiwały z jednego kontynentu na drugi, w poszukiwaniu najtańszego QIPS, lecz w Elizjum – przynajmniej do tej pory – nigdy nie było powodu, by ktokolwiek przemieszczał się w ten właśnie sposób. Kiedy nacisnęła „OK” w odpowiedzi na ostatnie z pytań wyświetlanych na terminalu, jej obrazowany model został zatrzymany, rozłożony na części składowe, a następnie przepuszczony

przez węzeł centralny do wnętrza piramidy Durhama – bez wątpienia przechodząc po drodze przez miliard skrupulatnych procedur weryfikacyjnych, ale nikt nie miał najmniejszego pojęcia, ile obecnie są warte najbardziej nawet rygorystyczne procedury sprawdzania błędów, skoro zostały zakwestionowane najgłębsze z zasad, na których polegały.

Jako kulminacyjny punkt całego przedsięwzięcia Durham skopiował cały apartament Marii i przeskoczyli – nieuchwytnie – do jego zduplikowanej wersji. Maria wyjrzała przez okno.

– Skopiowałeś też całutkie Miasto?

– Nie. Patrzysz na oryginał. Wkleiłem autentyczny widok.

Zemansky stworzyła na ścianie salonu serię okien interfejsu; jedno z nich przedstawiało region, na którym funkcjonował Autoverse, dając widok jakby na wprost z piramidy Marii na przylegającą doń trójkątną ścianę. Na wierzchu mapy przedstawiającej oprogramowanie – program odpowiedzialny za autoversowe automaty komórkowe był w kolorze nocnego nieba, delikatnie pożyłkowany srebrnymi nitkami oprogramowania szpiegującego – nałożyła schemat lambertiańskiego układu planetarnego, w którym orbity zostały dziwacznie poszatutowane i poprzesławiane, by wpasować je w pięć przylegających do siebie piramid. Modelowana przestrzeń była – w swoich własnych kategoriach – stosunkowo cienkim dyskiem, posiadającym jedynie kilkaset tysięcy kilometrów grubości, lecz rozciągającym się jakieś pięćdziesiąt procent poza orbitę najbardziej zewnętrznej z planet. Większość przestrzeni była pusta – czy też wypełniona jedynie światłem płynącym z tamtejszego słońca – ale nie było tu mowy o żadnych skrótach; każdy kilometr sześcienny, choćby i niczym się niewyróżniający, modelowano aż do poziomu autoversowych komórek. Rozrzutność ta zapierała dech w piersiach. Maria ledwie mogła patrzeć na tę mapę i nie starać się rozważać technik dokonywania przybliżeń dla

obliczeń dotyczących owej niemalże próżni. Kiedy wymusiła na sobie, by przestać i zaakceptować to w obecnej formie, uświadomiła sobie, że nigdy dotąd nie pojęła w pełni skali Elizjum. Wędrowała po lambertiańskiej biosferze, z poziomu planetarnego aż po molekularny, ale było to niczym w porównaniu z całkowitą liczbą subatomowych obliczeń dokonywanych w całym układzie planetarnym.

Durham dotknął jej ramienia.

– Będę potrzebował twojej autoryzacji.

Podeszła z nim do terminalu, specjalnie stworzonego do jego celów w rogu pokoju, gdzie wystukała cyfry kodu osadzone w pliku jej skanu jeszcze na dawnej Ziemi. Dziewięćdziesiąt dziewięć cyfr przepełnęło z jej palców bez żadnego wysiłku, jak gdyby ćwiczyła całą sekwencję tysiące razy. Kod, który gwarantowałby dostęp do jej byłych ziemskich aktywów, tutaj odblokowywał procesory należącej do niej piramidy.

– Teraz to już naprawdę stałam się twoim współnikiem – stwierdziła bezpretensjonalnie. – Kto pójdzie do więzienia, jeżeli popełnisz przestępstwo, używając mojej tożsamości?

– Nie mamy tu więzień.

– Co więc mogą nam zrobić pozostali Elizyjczycy, kiedy już odkryją nasze nieczne występki?

– Zapewne wyrazić nam odpowiednią wdzięczność.

Zemansky zbliżyła mapę, by uwidocznic pojedyncze procesory TVC leżące wzdłuż obserwowanej granicy, a następnie jeszcze bardziej powiększyła ten widok, odsłaniając ich złożoną strukturę wewnętrzną. Przypominało to przedstawiony w fałszywych kolorach schemat szeregu trójwymiarowych mikroobwodów, lecz było zbyt prostoliniowe, zbyt doskonałe, by mogło być mikrografem jakiegoś prawdziwego obiektu. Obserwowana obecnie mapa była w przeważającym stopniu

domniemaniem: symulacją przeprowadzaną w oparciu o ograniczoną liczbę danych, które napływały z samej siatki. Istniały przekonujące powody, dla których „powinno tak być”, ale nie było żadnych niepodważalnych dowodów na to, że cokolwiek z tego, co obecnie widzieli, w rzeczywistości tam było.

Zemansky manipulowała przy obrazowaniu, dopóki nie zaglądali w sam środek cieniutkiej warstwy przezroczystych komórek „o wartości zerowej”, oddzielających region Autoverse’u od terytorium należącego do Marii, co pokazało po raz pierwszy jej własne procesory. U góry ekranu znajdował się rząd małych szkiców całości, pozwalających na orientację przestrzenną, więc wiedzieli, że patrzą wprost w kierunku odległego węzła centralnego. Wszystkie procesory miały identyczną strukturę, ale te znajdujące się w Autoverse kipiały wręcz od przepływu strumieni informacji zakodowanych w aktywowanych stanach, podczas gdy jej własne pozostawały niemalże beczynne. Lecz wtedy Durham podłączył jej terytorium do uruchomionego przez siebie oprogramowania i fala danych, której zadaniem było przeprogramowanie należących do niej procesorów, wypłynęła z węzła, przypominając swym wyglądem ujęcie monolitu z *2001: Odyseja kosmiczna*. Rzeczywista fala przeszłaby w przeciągu pikosekund czasu standardowego, ale mapa była na tyle inteligentna, by pokazać im to wydarzenie w zwolnionym tempie.

Przeprogramowane procesory zadrgały danymi i zaczęły wypuszczać konstrukcyjne druciki. Każdy procesor w siatce TVC był zarówno maszyną von Neumanna, jak i maszyną Turinga – zarówno uniwersalnym konstruktorem, jak i uniwersalnym komputerem. Jedynym zadaniem konstrukcyjnym, jakie wykonały do tej pory, był jednokrotny akt samoreplikacji, wciąż jednak zachowały wszelki potencjał konieczny do zbudowania czegokolwiek zgodnie z otrzymanym projektem.

Konstrukcyjne druciki sięgnęły z regionu Marii przez rozdzielającą przestrzeń i dotknęły powierzchni procesorów Autoverse'u. Maria wstrzymała oddech, niemal oczekując, że zobaczy jakąś reakcję obronną, kontratak. Durham z wyprzedzeniem przeanalizował możliwości: jeśli zasady TVC nie zostały podważone, „wojna” pomiędzy tymi maszynkami wkrótce osiągnęłaby stan wiecznego pata; mogłyby się mierzyć przez wieki, anihilując nawzajem własne „bronie” w takim samym tempie, w jakim te byłyby wytwarzane, ale żadna ze strategii nie mogłaby przełamać osiąganego w ten sposób martwego punktu.

Jeśli jednak miałyby się okazać, że zasady TVC są już nieaktualne, nie istniał żaden sposób, by przewidzieć ewentualny wynik.

Nie było jednak widać żadnego kontrataku. Konstrukcyjne druciki wycofały się, pozostawiając za sobą w luce pomiędzy piramidami łączy danych. Skoro mapa przedstawiała te połączenia jako nienaruszone, oprogramowanie musiało otrzymywać jakieś dowody wskazujące, że w rzeczywistości naprawdę działają: procesory Autoverse'u przynajmniej reagowały we właściwy sposób na proste testy integralności połączeń.

– Cóż, chociaż tyle – stwierdził Durham. – Nie zdołali nas zupełnie odciąć od siebie.

– Mówisz to tak – powiedział Repetto, wykrzywiając twarz – jak gdyby Lambertianie przejęli kontrolę nad procesorami. Jak gdyby to oni decydowali o tym, co się tu dzieje. A oni nawet nie zdają sobie sprawy z istnienia takiego poziomu ich świata.

– Oczywiście, że nie – odpowiedział Durham, nie odrywając wzroku od ekranu. – Lecz wciąż traktuję to, co robimy, jako podchody do... świadomego przeciwnika. Anioły stróże Lambertian: świadome wszystkich poziomów, lecz zazdrośnie broniące wersji rzeczywistości tych, których

chronią. – Dostrzegł strapione spojrzenie Marii i uśmiechnął się do niej: – Tylko żartuję.

Maria przyglądała się, jak Durham i Zemansky wykonują serie testów mających zweryfikować, czy naprawdę podłączyli się do obserwowanego regionu Autoverse'u. Niby wszystko się zgadzało – ale z drugiej strony, wszystkie te testy działałyby również wtedy, gdyby przeprowadzali je przez autoryzowane łącze znajdujące się w węźle centralnym. Budzące podejrzenia procesory działały tu zaledwie jako posłańcy, przekazując dane wzdłuż gigantycznej pętli i potwierdzając, że wciąż mogą się ze sobą porozumiewać; że podstawowa struktura sieci wciąż nie uległa rozpadowi, wciąż istniała.

– Teraz postaramy się zatrzymać ich zegar – oznajmił Durham.

Nacisnął kilka przycisków, a Maria obserwowała, jak jego rozkazy błyskawicznie przebiegają wzdłuż łącza. Pomyślała: *Być może to w węźle coś się popsuło. Być może cały ten kryzys okaże się niczym innym jak tylko malutkim, konkretnie zlokalizowanym robakiem. Całkowicie wytłumaczalnym. Łatwym do naprawienia.*

– Nie mamy szczęścia – stwierdził ponuro Durham. – Postaram się zmniejszyć tempo zegara.

Ale i tym razem wydane przez niego polecenie zostało zignorowane.

Wreszcie jednak udało mu się zwiększyć o pięćdziesiąt procent tempo upływu czasu wewnątrz Autoverse'u, a następnie zwalniać je małymi kroczkami, dopóki nie wrócił do wartości wyjściowej.

– Jaki to ma sens? – zapytała tępo Maria. – Możemy ich przyspieszać, jak nam się żywnie spodoba, nie przekraczając przy tym ograniczeń narzucanych przez naszą zdolność do generowania potrzebnej w tym celu mocy obliczeniowej, ale jeżeli tylko postaramy się je spowolnić, uderzamy w nieprzekraczalną barierę. To po prostu jest... przewrotne.

– Pomyśl o tym z autoversowego punktu widzenia – odparła Zemansky.
– Spowolnienie Autoverse’u to przyspieszenie Elizjum; to tak, jak gdyby istniała pewna granica tego, jak szybko to oni mogą nas uruchamiać; granica dostępnej im mocy obliczeniowej, którą mogą nam poświęcać.

– Co sugerujesz? – zapytała Maria, blednąc. – Że obecnie to Elizjum jest programem komputerowym funkcjonującym gdzieś w Autoverse?

– Nie. Ale istnieje tu pewna symetria. Zasada względności. Elizjum zostało wyobrażone jako ustalone ramy odniesienia, kryterium rzeczywistości – w porównaniu z nim Autoverse mógł być odbierany jedynie jako banalna symulacyjka. Prawda jednak okazała się bardziej subtelna: nie istnieją żadne ściśle ustalone punkty, żadne nienaruszalne obiekty, żadne prawa absolutne. – Mówiąc to, Zemansky nie zdradzała najmniejszych oznak strachu, a jedynie uśmiechała się uszczęśliwiona, jak gdyby oczarowana całym prezentowanym przez siebie pomysłem. Maria pragnęła się dowiedzieć, czy tamta jedynie ukrywa własne emocje, czy też może rzeczywiście w obliczu detronizacji zamieszkiwanego przez siebie świata świadomie wybrała sobie taki stan spokoju wewnętrznego.

– Symetrie stworzono po to, aby je łamać – stwierdził bez emocji Durham. – A my ciągle mamy pewną przewagę – wciąż wiemy o wiele więcej o Elizjum – jak i o samym Autoverse – niż Lambertianie. Nie ma najmniejszego powodu, dla którego nasza wersja prawdy nie miałaby mieć dla nich tyle samo sensu, ile posiada w naszych oczach. Wszystko, co musimy zrobić, to nadać ich pomysłom właściwy kontekst.

Repetto stworzył zespół marionetkowych Lambertian, ochrzczonych przez niego Rzecznikiem. Był to rój malutkich robotów przypominających Lambertian, zdolnych do funkcjonowania w Autoverse, mimo iż w pełni kontrolowanych przez sygnały pochodzące z zewnątrz. Stworzył również dla całej czwórki Grupy Kontaktowej „roboty teleobecnościowe” o

ludzkich kształtach. Z Rzecznikiem w roli tłumacza, mieli się „ujawnić” przed Lambertianami, a następnie rozpocząć żmudny proces nawiązywania kontaktu.

Musieli jeszcze tylko sprawdzić, czy Autoverse pozwoli im wkroczyć do środka.

Zemansky wyświetliła wybrany przez nich wcześniej punkt wkroczenia: opustoszały obszar trawiastej równiny na jednej z równikowych wysp planety. Grupa naukowców z niedalekiej społeczności już od jakiegoś czasu była pod obserwacją Repetto, gdyż zakres eksplorowanych przez nią pomysłów był o wiele szerszy niż w większości pozostałych zespołów, a Repetto był przekonany, że istnieje szansa, iż będą otwarci na elizyjskie teorie.

– Czas wreszcie spróbować wejść do wody – stwierdził Durham.

W drugim oknie skopiował scenerię łąki, a następnie zbliżał ją w zawrotnym tempie, aż mgiełka obranego punktu w powietrzu stała się wirującymi cząsteczkami, a wreszcie pojedynczymi autoversowymi komórkami. Próżnia pomiędzy molekułami była przedstawiana jako przezroczysta, lecz ledwo widoczne linie rysowały siatkę.

– Jeden czerwony atom – rzekł. – Jeden malutki cud. Czy proszę o zbyt wiele?

Maria przyglądała się, jak rozkazy przepływają strumieniem przez mapę prezentującą TVC: instrukcje do pojedynczego procesora, by ten przepisał dane reprezentujące ten mikroskopijny fragment Autoverse’u.

Nic się jednak nie stało. Próżnia wciąż pozostała próżnią.

Durham zaklął pod nosem. Maria odwróciła się do okna. Rozciągające się za nim Miasto wciąż trwało: Elizjum nie rozpływało się niczym niewiarygodny sen. Lecz poczuła, jak oblewa ją pot, jak jej własne ciało zaciąga ją na krawędź paniki. Nigdy nie przyjęła do wiadomości stwierdzeń

Durhama, że podzielenie się wiedzą z pozostałymi Elizyjczykami niesie za sobą niebezpieczeństwo, ale w tej chwili chciała wybiec z tego pokoju i ukryć twarz przed dowodami, by nie dodawać już więcej do ciężaru własnej niewiary.

Durham spróbował ponownie, ale Autoverse trzymał się kurczowo własnych praw. Czerwone atomy nie mogły się tam pojawić spontanicznie nie wiadomo skąd, gdyż pogwałciłoby to zasady automatów komórkowych. I choć te zasady kiedyś nie były niczym innym jak tylko kilkoma linijkami programu komputerowego, który zawsze można było zatrzymać i przepisać, przerwać i skasować, podporządkować prawom wyższego rzędu, to coś takiego najwyraźniej przestało być prawdą. Zemansky miała rację: nie istniała już sztywna hierarchia określająca, co jest rzeczywistością, a co symulacją. Łańcuch przyczynowo–skutkowy stał się pętlą – czy też węzłem o bliżej nieokreślonej topologii.

– W porządku. Czas na Plan B – stwierdził beznamiętnie Durham. Odwrócił się w kierunku Marii. – Pamiętasz nasze dyskusje dotyczące zamknięcia przestrzeni należącej do Autoverse’u? Uczynienie go skończonym, lecz równocześnie nieposiadającym granic, jak powierzchnia czterowymiarowego torusa?

– Tak. Ale był za mały. – Taka nagła zmiana tematu całkowicie ją zdezorientowała, ale z radością przywitała ten temat jako odwrócenie uwagi od tego, co działo się właśnie na ekranie: rozmowa o dawnych czasach odrobinę ją uspokajała. – Światło słońca musiałyby w ciągu kilku godzin okrążyć cały wszechświat i wpadać z powrotem do środka układu: Lambert stałaby się wtedy o wiele za gorąca na o wiele za długo. Wypróbowałam wszelkie rodzaje sztuczek mających zmienić równowagę cieplną – ale nic, co posiadałoby przynajmniej pozory prawdopodobieństwa, tak naprawdę nie zadziało. Pozostawiłam więc granicę. Światło słoneczne i wiatr

słoneczny znikają na niej, usuwane z całego modelu. A wszystko, co wpadało do środka. – Przerwała nieoczekiwanie. Już wiedziała, czego Durham zamierza spróbować.

– To, co wpadało do środka – dokończył za nią – to zimne promieniowanie ciepłe i niewielki strumień atomów, przypominający przypadkowy napływ gazu wypełniającego przestrzeń międzygwiazdną. Rozsądne warunki graniczne – lepsze niż magiczne umieszczenie systemu w próżni doskonałej. Ale nie ma w tym żadnej bezwzględnej logiki, żadnego poziomu w autoversowym modelu, opisującego, co tak dokładnie powinno wpływać z tym strumieniem do środka. Tam może się znaleźć cokolwiek.

Wywołał obraz krawędzi świata Autoverse'u. Atomy wpadające do środka były tam taką rzadkością, że musiał wysłać Maxwell's Demon, by ten wyszukał im chociażby pojedynczy ich przykład. Oprogramowanie odpowiedzialne za fabrykowanie obecności przekonującego medium międzygwiazdznego tworzyło atomy w cienkiej warstwie komórek, „tuż” przy samej granicy z Autoverse'em. Ta warstwa nie podlegała autoversowym zasadom – inaczej atomy nigdy nie mogłyby tam powstawać – ale jej zawartość wpływała na sąsiadujące z nią autoversowe komórki w zwykły sposób, pozwalając małym huraganom atomów wpadać do środka przez tę granicę.

Durham wysłał do podprocesu kierującego tworzeniem atomów prostą komendę – instrukcję zaprojektowaną tak, by złała się z napływem przypadkowych żądań, które ten podproces już otrzymywał: wtrącić czerwony atom w ściśle określonym miejscu, ze ściśle określoną prędkością.

Zadziało. Atom pojawił się. Został wyczarowany w warstwie granicznej, a następnie wsunął się do obszaru właściwego Autoverse'u,

dokładnie tak, jak zażądali.

Durham wysłał sekwencję tysięcy podobnych rozkazów. I za pierwszym atomem podążyły tysiące kolejnych, poruszając się z identycznymi wektorami prędkości. „Przypadkowy przepływ” przestał być przypadkowy.

Elizjum wywierało wpływ na Autoverse. Włamali się do środka.

Repetto wydał okrzyk radości. Zemansky uśmiechnęła się enigmatycznie. Maria poczuła się jeszcze gorzej niż do tej pory. Miała nadzieję, że Autoverse okaże się leżeć poza ich zasięgiem – a wtedy, na zasadzie symetrii, Elizjum okaże się równie odporne na obce wpływy pochodzące z Autoverse’u. I oba światy, nawet jeśli wzajemnie sprzeczne, mogłyby nadal istnieć i podążać własnymi, oddzielnymi torami.

– Jak to ma nam niby pomóc? – spytała. – Nawet jeśli użyjemy tego programu do wprowadzenia marionetek w głęboki kosmos tamtego świata, jak uda nam się je bezpiecznie sprowadzić na powierzchnię planety? I jak macie zamiar kontrolować ich zachowanie, kiedy już się tam znajdą? Wciąż nie jesteśmy w stanie sięgnąć do środka, by nimi manipulować – byłoby to pogwałceniem zasad Autoverse’u.

Durham dokładnie wszystko sobie przemyślał.

– Po pierwsze – umieścimy je na pokładzie statku kosmicznego i dopiero wtedy wrzucimy to wszystko do środka. Po drugie – sprawimy, by kontrola odbywała się drogą radiową i będziemy przesyłać sygnał z krawędzi modelu. O ile tylko przekonamy to oprogramowanie, by stworzyło i wysłało do środka statek kosmiczny, z pewnością uda nam się wpłynąć na oprogramowanie zajmujące się zimnym promieniowaniem kosmicznym, by wysłało do wnętrza wiązkę masera.

– Zamierzasz siedzieć sobie tutaj i projektować statek kosmiczny, który mógłby zadziałać tam w środku?

– Nie muszę tego robić, gdyż on jest już gotowy. Jeden ze starszych planów kontaktu zakładał maskaradę Elizyjczyków jako „obcych” pochodzących z innej części wszechświata Autoverse’u, co miało na celu oszczędzenie Lambertianom zbyt wielkiego szoku kulturowego. Mieliśmy im wtedy przekazać, że istnieją miliardy innych gwiazd, jedynie ukrytych przed ich wzrokiem, przysłoniętych obłokami pyłu. Cały pomysł był oczywiście wysoce niemoralny i został zarzucony tysiące lat temu – na długo przed tym, nim powstali znani nam obecnie rozumni Lambertianie – ale wszelkie prace dotyczące strony technicznej zostały wtedy zakończone, a następnie zapisane w pliku. Wszystkie te wyniki wciąż znajdują się w bibliotece głównej. I w jakąś godzinę powinniśmy złożyć wszelkie konieczne części składowe w działającą ekspedycję.

Brzmiało to może i dziwacznie, ale Maria nie potrafiła dostrzec żadnych słabych stron takiego planu, przynajmniej jeżeli chodziło o ogólne zasady dotyczące jego wykonania.

– Tak więc. – zaczęła niepewnie – mimo wszystko przemierzamy przestrzeń kosmiczną, by spotkać obcych?

– Na to wygląda.

– *Przemierzamy przestrzeń kosmiczną, by spotkać obcych* – Repetto powtórzył jej słowa. – Dawno temu musieliście mieć pełno najprzedziwniejszych pomysłów. Czasami niemal żałuję, że mnie tam nie było.



Maria poddała się wreszcie i nauczyła obsługi panelu kontrolnego za pomocą umysłu, by w ten sposób móc się przełączać pomiędzy swym

elizyjskim ciałem a należącym do niej teleobecnościowym robotem, który znajdował się w *Autoverse*. Przeciągnęła ramionami robota i rozejrzała się po błyszczącej kabinie *Ambasadora*. Leżała w mającym uchronić ją przed nadmiernym przyspieszeniem fotelu, a tuż obok niej leżeli trzej pozostali członkowie załogi. Zgodnie z planem lotu robot znajdował się obecnie niemal w stanie nieważkości, lecz zdecydowała się odfiltrowywać wszelkie efekty anormalnej grawitacji, zarówno wysokiej, jak i znikomej. Robot doskonale wiedział, jak się poruszać w każdych warunkach zgodnie z jej życzeniami, więc absurdem byłoby zadawanie sobie choroby grawitacyjnej tylko przez wzgląd na „realizm”. Mimo wszystko przecież nie znajdowała się na obszarze *Autoverse*'u – nie stała się robotem. Jej pełen model ludzkiego ciała wciąż działał w *Elizjum*, a robot był podłączony do tego modelu w sposób w zasadzie niewiele się różniący od łącza indukcyjnej nerwowej pomiędzy ciałem z krwi i kości gościa w środowisku VR a jego programową marionetką.

Mentalnie przełączyła się i wróciła do sklonowanego mieszkania. Durham, Repetto i Zemansky siedzieli w fotelach, wpatrując się przed siebie pustym wzrokiem; tak naprawdę niewiele się teraz różnili od markerów miejsca. Wróciła na pokład *Ambasadora*, ale w rogu pola widzenia otworzyła i pozostawiła sobie malutkie okienko, przedstawiające widok pochodzący z jej elizyjskich oczu na wnętrze tamtego pomieszczenia. Skoro jedynie uruchamiała marionetkę w *Autoverse*, to chciała mieć stuprocentową pewność co do tego, gdzie znajduje się jej „prawdziwe” ciało. Wiedza, że stało się nieobserwowalnym i bezdusznym manekinem, jak gdyby zdjętym wprost z wystawy sklepowej, który w jej imieniu siedział sobie na krześle, dziwnym trafem jakoś jej nie wystarczała.

Leżąc w fotelu, wpatrywała się w umieszczony wysoko na przeciwnej ścianie kabiny stały ekran, pokazujący ich przewidywalną trajektorię, gdy

spadali z wielką szybkością wąską spiralą w kierunku powierzchni planety. Wprowadzili statek poprzez granicę w najbliższym z możliwych miejsc, jakieś sto pięćdziesiąt tysięcy kilometrów nad płaszczyzną orbitalną planety Lambert, z dogodną prędkością wyjściową, by na dotarcie do miejsca przeznaczenia i lądowanie nie potrzeba było za wiele paliwa.

– Nie wiecie przypadkiem, czy tamci konstruktorzy zadali sobie trud wypróbowania w tym czymś prawdziwego lądowania? – zapytała Maria, a kiedy to mówiła, zupełnie normalnie odbierała części własnego ciała odpowiedzialne za wydawanie głosu, gdziekolwiek się one obecnie znajdowały, lecz sam tembr odbierany przez należące do robota uszy brzmiał dziwacznie. Sztuczki, którym poddawano model jej mózgu, mające na celu edytowanie wzrastającego współczynnika opóźnienia czasowego pomiędzy intencjami a czynami robota, nie mieściły się wręcz w głowie.

– Wszystko zostało sprawdzone – odpowiedział jej Durham. – Podczas lotów ćwiczebnych odtworzyli cały prebiotyczny system planetarny. Jedyne różnica polega na tym, że dawniej nie potrafiono zmaterializować statku bezpośrednio w próżni, gdziekolwiek przyszłoby im na to ochota, ani też w bezpośredni sposób kontrolować marionetkowej załogi.

Gwałcąc zasady Autoverse'u, gdziekolwiek się dało. Te słowa budziły jej niepokój: pozbawiony życia Autoverse ze wszelkimi subatomowymi szczegółami był zaledwie symulacją; to obecność Lambertian czyniła tu całą różnicę.

Drugi z ekranów pokazywał im samą planetę, obraz z kamery znajdującej się na zewnątrz kadłuba. Widok nie różnił się od tego, który tysiące razy pokazywało im oprogramowanie szpiegujące. Mimo iż sama kamera, tak jak i oczy robota, była przedmiotem wyłącznie autoversowej fizyki, to kiedy już obraz był przekazywany do jej nieautoversowego mózgu, wykorzystywano tam zwyczajowe konwencje fałszywych kolorów.

Maria wpatrywała się w biało–niebieski dysk, rosnący jej przed oczami, i czuła, jak coś ściska ją coraz bardziej w klatce piersiowej. Swobodny spadek ze złudzeniem posiadania wagi. Równoczesne lądowanie i pozostawanie nieruchomym.

– Dlaczego mamy od razu pokazywać się Lambertianom? – zapytała. – Dlaczego nie wysłać przodem Rzecznika, by ten przygotował nam grunt i upewnił co do ich gotowości na spotkanie? Tam w dole nie ma żadnych zwierząt, które byłyby większe od osy, a już na pewno nie ma takich, które posiadałyby wewnętrzny szkielet i chodziły na tylnych nogach. Stuosiemdziesięciocentymetrowe humanoidalne roboty będą zapewne przypominać im coś żywcem wyrwanego wprost z najgorszych koszmarów.

– Nowe bodźce ich nie paraliżują – odpowiedział Repetto. – Nie będą zszokowani. Ale z pewnością przyciągniemy ich uwagę.

– Przybyliśmy tutaj, by przedstawić się im jako stwórcy ich wszechświata – dodał Durham. – Nie ma więc sensu zbytnio się z tym czaić.

Uderzyli w górne warstwy atmosfery nad półkulą nocnej strony. Zarówno ziemia, jak i ocean były ogarnięte niemal perfekcyjną czernią: nie było widać najśłabszego nawet promienia światła księżyca, gwiazd, ani też żadnego sztucznego oświetlenia. Statek zaczął drżeć. Panele instrumentów znajdujące się w kabinie buczały, a tarcza jednego z ekranów pękła ze słyszalnym trzaskiem. Wreszcie kontakt radiowy został zakłócony przez stożek zjonizowanego gazu, tworzący się wokół kadłuba, i nie mieli innego wyjścia, jak tylko wrócić do apartamentu, by przeczekać tam na siedząco najgorszą część lądowania. Maria wpatrywała się w złote wieże Miasta, rozważając moc ich majestatycznej, obserwowalnej niezniszczalności wobec bezspornej logiki sponiewierania, którego właśnie doświadczała na statku.

Wrócili akurat na ostatnie kilka sekund lądowania, już po wypuszczeniu spadochronów. Samo uderzenie o ziemię wydawało się stosunkowo gładkie, choć mogło to być jedynie zasługą utulenia ich ciał przez filtry grawitacyjne. Opuścili grawitacyjne fotele i odczekali na ochłodzenie kadłuba. Kamery pokazywały, jak otaczająca statek trawa czernieje, lecz zgodnie z prognozami ogień wygasł niemal natychmiast.

Repetto wyjął Rzecznika z szafki. Otworzył kanister pełen robocików–insektów i wytrząsnął je w powietrze. Maria wzdrygnęła się, gdy rój przez kilka sekund latał po kabinie bez ładu i składu, nim wreszcie zebrał się w spójną formację w jednym z rogów pomieszczenia.

Durham otworzył drzwi zewnętrznej śluzy powietrznej, a po chwili także wewnętrznej. Mimo iż roboty nie potrzebowały obecności jakiegokolwiek pneумы, projektanci *Ambasadora* musieli rozważyć możliwość przeniesienia zasad ludzkiej biochemii do *Autoverse*'u, by w rzeczywistości stworzyć „obcych” mogących spotkać się z Lambertianami jako równy z równym, zamiast zabawiać się najprzeróżniejszymi, złożonymi maskami.

Wyszli na wypaloną ziemię. Na zewnątrz panował wczesny ranek. Maria zamrugała, porażona światłem słonecznym i jasnością nieba. Ciepło padające na skórę jej robota dochodziło do niej bez żadnych przeszkód. Niebiesko–zielona łąka rozciągała się przed nią aż po horyzont. Odeszła od statku – rozłożystego, ściętego u góry ceramicznego stożka z białą osłoną ciepłą przyciemnioną nieregularnymi smugami dymu – a za statkiem pojawiły się w jej polu widzenia położone na południu góry. Bujna roślinność tłoczyła się po stokach, lecz rdzawoczerwone szczyty były ogołoczone.

Powietrze wypełniał chór słabo słyszalnych cykotów i brzęczeń. Spojrzała na rój Rzecznika, lecz ten niemal bezgłośnie unosił się w powietrzu w pobliżu Repetto, podczas gdy dochodzące do niej dźwięki

napływały z każdej strony. Rozpoznała niektóre z odgłosów, gdyż wysłuchiwała kilku z tutejszych nierozumnych gatunków podczas szybkiej wycieczki wzdłuż ścieżki ewolucyjnej, która doprowadziła do powstania obecnej zdolności komunikacyjnej Lambertian. W żadnym z odgłosów nie było nic szczególnie egzotycznego; równie dobrze mogłaby nadśłuchiwać cykad, pszczoł, os czy komarów. Gdy jednak ze wschodu nadleciał lekki wietrzyk, przynosząc ze sobą coś, co system węchowy aparatu robota rozpoznał jako zapach słonej wody, ten skromny zlepek doznał nieoczekiwanie tak przejął Marię, że zdawało jej się, iż jeszcze chwila, a nogi się pod nią ugną. Nie doszło jednak do tego, skoro bowiem nie dokonała żadnej rozmyślnej próby omdlenia, jej robot po prostu trwał pewnie niczym pomnik.

– Nigdy do tej pory nie byłaś na powierzchni Lambert, prawda? – zapytał Durham, podchodząc do niej.

– Jak niby miałam to zrobić? – Zmarszczyła brwi.

– Biernie. Większość uczonych zajmujących się Autoverse'em tak właśnie zrobiła. – Maria przypomniała sobie, jak podczas pierwszego spotkania z Grupą Kontaktową Zemansky zaproponowała jej reprezentację planety w VR. Durham schylił się i zerwał pęk traw, które następnie rozrzucił wokół siebie. – Ale czegoś takiego nie byliśmy w stanie zrobić nigdy dotąd.

– Alleluja, bogowie wylądowali. Co też zamierzasz zrobić, gdy poproszą cię o cud? Jako demonstrację wszechmocy wyrwiesz kilka liści?

Wzruszył ramionami.

– Zawsze możemy im pokazać nasz statek.

– Nie są głupi. Statek niczego nie udowadnia. Dlaczego mieliby uwierzyć, że to my uruchamiamy Autoverse, skoro nawet nie potrafimy pogwałcić rządzących nim praw?

– Kosmologia. Pierwotny obłok pyłowo–gazowy. Dogodna zawartość wszystkich pierwiastków. – Nie zdołała powstrzymać sceptycznego spojrzenia. – Po czyjej stoisz stronie? – zapytał. – Sama zaprojektowałaś ten praoblók! To ty naszkicowałaś oryginalną topografię planety, na której obecnie stoimy! Ty stworzyłaś przodka całej lambertiańskiej biosfery! A wszystko, czego od ciebie teraz chcę, sprowadza się do tego, byś opowiedziała im o tym. To prawda i muszą przyjąć ją do wiadomości.

Maria rozejrzała się wokół, nie znajdując słów. Wyraźniej niż kiedykolwiek do tej pory wydawało jej się, że otaczający ją świat wcale nie jest jej stworzeniem; istniał zgodnie z samodzielnie określonymi warunkami.

– Czy nie przypomina to stwierdzenia, że twój oryginał z krwi i kości nie był niczym więcej jak tylko szaleńcem, który posiadał dziwne urojenia? – zapytała. – i że wszelkie inne, lepsze wyjaśnienia swego istnienia, jakie sobie wymyślił, musiały być błędne?

– Elizjum jest zagrożone – odpowiedział jej wreszcie po chwili milczenia. – Co niby według ciebie powinniśmy teraz zrobić? Przełożyć się na zasady autowersowej biochemii i przybyć, by tutaj zamieszkać?

– Widziałam już gorsze miejsca.

– Tutejsze słońce zamarznie w przeciągu miliarda lat. A ja obiecałem tym ludziom nieśmiertelność.

– Jesteście gotowi? – zawołał do nich Repetto. – właśnie wypatrzyłem niedaleko stąd zespół naukowców. Jakies trzy kilometry na zachód.

Maria była przez chwilę zbita z tropu, dopóki nie przypomniała sobie, że wciąż mają dostęp do danych uzyskiwanych przez oprogramowanie szpiegujące. Nadal przecież znajdowali się na zewnątrz, jedynie zaglądając do środka Autoverse'u.

– Dziesięć sekund – odkrzyknął mu Durham i ponownie zwrócił się do niej: – Chcesz się stać częścią tego projektu czy nie? Musimy to zrobić zgodnie z moim planem, a ty masz taki wybór, że albo możesz się z tym pogodzić, albo wycofać.

Maria miała odpowiedzieć mu ze złością, że nie ma żadnego prawa, by stawiać jej teraz jakiekolwiek warunki, kiedy wpadło jej w oko unoszące się na skraju pola widzenia malutkie okienko przedstawiające pokój, w którym tak naprawdę siedzieli.

Elizjum jest zagrożone. Setki tysięcy ludzi. Lambertianie jakoś przeżyją szok wywołany poznaniem własnej „prawdziwej” kosmologii; nie było natomiast pewne, czy Elizjum przetrwa wynalezienie jej alternatywnej wersji.

– Masz rację – odparła. – Musimy to zrobić. Chodźmy więc rozgłaszać dobrą nowinę.



Zespół naukowców unosił się ponad łąką w swobodnej formacji. Maria wyobrażała sobie jak Lambertianie ich atakują, lecz ci, jak się zdawało, wcale nie dostrzegali ich obecności. Zatrzymali się jakieś dwadzieścia metrów od roju, a Rzecznik ruszył do przodu.

– Widzicie teraz taniec oznaczający, że mamy im coś do zakomunikowania – tłumaczył Repetto.

Rzecznik zatrzymał się w zbitej pionowej płaszczyźnie, a pojedyncze robociki poczęły tkać wokół siebie wzajemnie szczepione ósemki. Lambertianie odpowiedzieli natychmiast, ustawiając się w podobnej płaszczyźnie. Maria spojrzała przelotnie w kierunku Repetto. Miał twarz

rozpromienioną niczym dziesięciolatek, którego zrobione domowym sposobem radio krótkofalowe zaczęło właśnie emitować obiecujące trzaski.

– Wygląda, jakby zupełnie nas ignorowali. – wyszeptała. – Czy wydaje im się, że rozmawiają z prawdziwymi Lambertianami? Czy też może wychwycili różnicę?

– Trudno powiedzieć. Ale na razie jako grupa reagują właściwie.

– Jeżeli robot przywitałby się z tobą w twoim ojczystym języku, to byś mu nie odpowiedziała? – zapytała Zemansky.

Repetto przytaknął.

– A instynkt w ich przypadku leży o wiele głębiej. Nie wydaje mi się, by potrafili... dyskryminować. Nawet gdyby wychwycili różnicę, to wcześniej czy później i tak chcieliby ją zrozumieć, lecz pierwszeństwo należałoby do odebrania wiadomości. I do jej oceny.

Rzecznik zaczął układać się w powietrzu w coraz to bardziej złożone układy. Maria nie mogła wychwycić w tym zbyt wielkiego sensu, ale wyraźnie było widać, że Lambertianie zaczynają próbować naśladować te zmiany. Było w tym wszystko: cały pakiet kosmologiczny przygotowany przez Repetto i Durhama, wszystko w jednym. Wyjaśnienie dla pierwotnego obłoku i wszystkich głębszych zasad będących podstawą autowersowej chemii: automat komórkowy, stworzony wraz z obłokiem jakieś pięć miliardów lat temu. Dwa miliardy lat planetarnej formacji, która tak naprawdę nigdy nie miała miejsca, w chwili obecnej wydawały się niewinnym kłamstwem, gdyż o podobnych pokręconych szczegółach można było wspomnieć już później, o ile tylko podstawowa idea zostanie zaakceptowana.

– Niewłaściwie wiadomości zazwyczaj nie są przekazywane zbyt długo – stwierdził Durham. – Być może sam fakt, że Rzecznik najwyraźniej nie

jest zespołem pochodzącym z najbliższej społeczności, doda odrobinę wiarygodności naszej teorii.

Nikt nie odpowiedział. Zemansky uśmiechała się promiennie. Maria przyglądała się latającym rojom, zahipnotyzowana ich widokiem. W tej chwili Lambertianie niemal doskonale naśladowali Rzecznika, ale udawadniało to tylko tyle, że „przeczytali” wiadomość. Nie oznaczało jeszcze wcale, że w nią uwierzyli.

Maria odwróciła wzrok, wciąż jednak miała przed oczami czarne kropki na tle nieba. Trwanie wrażenia wzrokowego było w Elizjum, w modelu jej mózgu. Pamiętała brak satysfakcji, który odczuwała będąc w dawnym, prawdziwym świecie, kiedy ścisnęła autoversową molekułę za pomocą uzbrojonych w rękawice dłoni. Czy naprawdę choć trochę się zbliżyła do sedna zrozumienia prawdziwego Autoverse’u?

– Zadają pytanie – wyjaśniał Repetto. – Dopraszają się... wyjaśnię. – Maria odwróciła się z powrotem do roju. Lambertianie przerwali odzwierciedlanie ruchów Rzecznika, a rój zaczął się przekształcać w coś przypominającego czarny, unoszący się w powietrzu, falujący dywan. – Chcą „reszty wiadomości” – pozostałej części teorii. Domagają się opisu wszechświata, w którym stworzono automaty komórkowe.

Durham pokiwał głową. Wyglądał na oszołomionego, lecz równocześnie szczęśliwego.

– Odpowiedz im. Podaj zasady TVC.

– Jesteś pewien? – Repetto był wyraźnie zaskoczony. – Tego nie było w planie.

– A co niby możemy teraz zrobić? Powiedzieć im, żeby nie wtykali nosa w cudze sprawy?

– Przetłumaczę zasady. Dajcie mi pięć sekund. Rzecznik rozpoczął kolejny taniec. Falujący dywan rozproszył się, a następnie zaczął

naśladować jego ruchy.

– To lepsze, niż ośmielaliśmy się pokładać nadzieję – powiedział Durham odwracając się do Marii. – W ten sposób oni podeprą naszą teorię. Nie przestaną kwestionować naszej wersji. Pomogą nam ją potwierdzić.

– Jeszcze jej nie zaakceptowali – odpowiedziała Zemansky. – To, co powiedzieli, oznaczało tylko tyle, że pierwsza przekazana im część nie miała najmniejszego sensu bez dodatkowych wyjaśnień. Mogą teraz zapytać o fizykę świata rzeczywistego.

Durham przymknął oczy, wciąż nie przestając się uśmiechać.

– Pozwólmy im o to zapytać – stwierdził cichutko. – Jeśli zajdzie taka potrzeba, wyjaśnimy im wszystko aż do Wielkiego Wybuchu.

– Nie wydaje mi się, by nasza teoria wytrzymała – stwierdził osłupiały Repetto.

Durham spojrział szybko w kierunku roju.

– Daj im szansę. Zaledwie ją wypróbowali.

– Masz rację. Ale już przesyłają nam... jej obalenie.

Przyjęty przez rój nowy wzór był wyraźny i prosty: sfera pokryta falami przypominającymi przebiegające pomiędzy biegunami kręgi równoleżników.

– Oprogramowanie nie potrafi zinterpretować tej odpowiedzi – stwierdził Repetto. – Zamierzam przeprowadzić ponownie szacowanie starych danych; być może odnajdziemy w nich jakieś przypadki podobnego tańca, który został już wcześniej zaobserwowany, lecz pojawiał się zbyt rzadko, by potraktować go jako statystycznie istotny.

– Być może popełniliśmy jakiś błąd gramatyczny – stwierdziła Maria. – Spieprzyliśmy coś w składni, dlatego śmieją się nam prosto w twarz, nie zadając sobie nawet trudu przemyślenia wiadomości.

– Nie do końca – odpowiedział Repetto. Zmarszczył czoło, jakby usiłował wyobrazić sobie coś wyjątkowo trudnego. Rzecznik zaczął powtarzać sferyczny układ. Maria poczuła rozlewający się w jej elizyjskich wnętrznościach chłód.

– Co ty wyprawiasz? – zapytał ostro Durham.

– To oznaka grzeczności – odparł Repetto. – Pokazuję tylko, że przyjmujemy do wiadomości ich przekaz.

– To znaczy, co dokładnie?

– Może nie chcesz tego usłyszeć.

– Sam to sobie odkryję, jeśli mnie do tego zmusisz.

Durham zrobił krok w kierunku Repetto, będący bardziej gestem zniecierpliwienia niż groźby. Chmara malutkich, niebieskich, przypominających komary owadów wyfrunęła z trawy, głośno bzycząc.

Repetto spojrział na Zemansky. Przeskoczyło pomiędzy nimi coś elektrycznego. Maria była zdezorientowana: ewidentnie byli kochankami, a nigdy do tej pory tego nie wychwyciła. Ale zapewne do teraz podobne sygnały przechodziły innymi kanałami, poza jej polem widzenia. Dopiero teraz.

– Odpowiadają nam, że zasady TVC są fałszywe – powtórzył Repetto – ponieważ system, który działałby zgodnie z takimi zasadami, trwałby przez wieczność. Odrzucają wszystko, co im przekazaliśmy, ponieważ prowadzi do czegoś, co uznają za absurd.

– To ty opowiadasz mi tutaj jakieś absurdalne rzeczy – odpowiedział mu Durham, uśmiechając się krzywo. – Od tysiącleci posiadają matematykę pozaskończoną.

– Jako środek formalny, narzędzie, pośredni krok w pewnych obliczeniach. Żaden z ich modeli nie prowadzi do nieskończonych wyników. Większość z ich zespołów nigdy nie posunęłaby się do tego, by

starać się przekazać model zawierający coś podobnego. Dlatego właśnie otrzymana przez nas odpowiedź aż tak bardzo różni się od wszystkiego, co mogliśmy zaobserwować do tej pory.

Durham milczał przez chwilę; wreszcie stwierdził zdecydowanie: – Potrzebujemy czasu na podjęcie decyzji, co powinniśmy zrobić z tym fantem. Wrócimy, przestudujemy historię nieskończoności w kulturze lambertiańskiej, znajdziemy sposób na obejście problemu, dopiero wtedy przylecimy tu ponownie.

Marię rozproszyło coś jaśniejącego; coś, co zaczęło pulsować na krawędzi jej pola widzenia. Odwróciła głowę, ale czymkolwiek to było, wydawało się latać wokół niej z tą samą prędkością, z jaką ona starała się to uchwycić. Wtedy uświadomiła sobie, że jest to okno na Elizjum, któremu zupełnie przestała poświęcać uwagę, wypełniając je obrazem niczym ślepa plamkę. Teraz starała się na nim skupić, ale nie bardzo mogła zrozumieć sens tego, co tam widziała. Scentrowała i powiększyła obraz.

Za oknem jej apartamentu przelatywały złote wieże Miasta Permutacji. Krzyknęła ze zdumieniem i podniosła ręce, starając się gestem zwrócić na to uwagę pozostałych. Budynki nie tylko się oddalały; one miękły, topniały, deformowały się! Padła na kolana, rozdarta pomiędzy pragnieniem, by wrócić do swego dawnego ciała po to, by je ochronić, a strachem przed tym, co mogłoby się stać, gdyby tak zrobiła. Wbiła jedną dłoń w lambertiańską ziemię, którą wciąż odbierała jako prawdziwą, stałą, solidną, godną zaufania.

Durham schwycił ją za ramię.

– Wracamy. Uspokój się. To tylko obraz – nie jesteśmy częścią Miasta.

Pokiwała głową i przygotowała się wewnętrznie, zwalczając w sobie instynktowne przekonanie co do pochodzenia niebezpieczeństwa i kierunku, w którym powinna uciekać. Sklonowany apartament wyglądał

równie solidnie jak zawsze... a jakkolwiek było, jego rozpad sam w sobie nie mógłby uczynić jej żadnej szkody. Ciało, którego musiała bronić, było niedostrzegalne; było modelem funkcjonującym na dalekim krańcu terytorium Durhama. Wcale nie byłaby bezpieczniejsza udając, że znajduje się na Lambert, niż gdyby udawała, że znajduje się w skopiowanym apartamencie.

Wróciła.

Cała czwórka stanęła przy oknie, nie potrafiąc wykrztusić ani słowa, a Miasto gwałtownie i bez żadnego dźwięku... implodowało. Budynki przemykały za oknem, porzucając krawędzie i wszelkie opisujące je szczegóły; dążąc do punktu centralnego. Za tym wszystkim podążały przedmieścia. Pola i parki płynęły w kierunku złotej sfery, która była wszystkim, co pozostało z tysięcy wieżowców. Lasy tropikalne przemknęły w szmaragdowozielonej smudze. Następnie wszystko ogarnęła ciemność, bowiem tłoczące się wzgórza zakryły ich widok skalną ścianą.

Maria odwróciła się do Durhama.

– Ludzie, którzy tam byli?

– Wszyscy opuścili to miejsce. Zszokowani, lecz nie zranieni. Nikogo tam nie było – w oprogramowaniu – nikt nie był tam bardziej niż my. – Był wstrząśnięty, ale wydawał się święcie przekonany co do prawdziwości swych słów.

– A co z założycielami w przylegających terytoriach?

– Ostrzegę ich. Każdy może tu do nas przyjść, przenieść się. U mnie będziemy bezpieczni. Siatka TVC nieustannie rośnie; możemy się wciąż odsuwać i odsuwać od tego, co tam się dzieje, równocześnie planując nasz kolejny krok.

– Siatka TVC się rozpada – stwierdziła zdecydowanie Zemansky. – Jedyne sposoby na zapewnienie sobie bezpieczeństwa to zacząć wszystko

raz jeszcze od samego początku. Zapakować się do nowej konfiguracji Ogrodu Eden i ponownie uruchomić Elizjum.

– O ile tylko jest to wciąż możliwe – stwierdził Repetto. – O ile nieskończone wciąż pozostaje możliwe. – Urodzony we wszechświecie bez granic i śmierci, teraz wydawał się sparaliżowany werdyktem wydanym przez Lambertian.

W oddali pojawiła się czerwona łuna, przypominająca olbrzymią sferę rzucającego blask rumowiska. Kiedy Maria ją obserwowała, ta rozjaśniła się, a następnie rozpadła na świetlne wzory połączone delikatnymi srebrnymi niteczkami. Neonowy labirynt. Wesołe miasteczko widziane w nocy z lotu ptaka. Kolory nie były właściwe, ale obserwowanych kształtów nie dało się z niczym pomylić: to była mapa oprogramowania Miasta. Brakowało na niej jedynie autostrady, łączy danych biegnącego z węzła.

Zanim Maria mogła cokolwiek powiedzieć, wzór zaczął się dalej przekształcać. Oślepiające malutkie kropeczki światła pojawiły się w wyraźnie przypadkowym układzie podzbioru procesów, a następnie zeszły ze sobą, tłocząc się w gęsto połączonym rdzeniu. Wokół nich, w symetrycznej konfiguracji, uformowała się ciemniejsza skorupa pozostałego oprogramowania. System wyglądał na zamknięty, kompletny.

Obserwowali, jak niknie w dali.

I nikt ani słowem nie zakłócił panującej wokół ciszy.

31.

Peer odwrócił się i spojrzął za siebie. Kate stanęła nieruchomo pośrodku pasażu, całkowicie wyzuta z energii. Ukryła twarz w dłoniach, a następnie padła na kolana.

– Odeszli, tak? – zapytała płasko. – Musieli nas odkryć, i tak właśnie wygląda ich kara. Pozostawili działające Miasto, ale sami je porzucili.

– Nie mamy co do tego pewności.

Niecierpliwie potrząsnęła głową.

– Będą musieli wykonać kolejną wersję – pozbawioną wszelkich zanieczyszczeń – tylko dla własnego użytku. I nigdy już ich nie zobaczymy.

Trójka wyjściowo ubranych marionetek zbliżyła się do nich i przeszła na wylot przez Kate, cały czas nieprzerwanie uśmiechając się i rozmawiając ze sobą.

Peer podszedł do niej i usiadł tuż obok po turecku. Już wcześniej wysłał sondy, których zadaniem było wyśledzenie jakiegokolwiek śladu Elizyjczyków, nie przyniosło to jednak żadnych rezultatów, a Kate nalegała na piesze przeczesanie rekonstrukcji Miasta, jak gdyby ich własne oczy mogły jakimś magicznym sposobem odkryć oznaki obecności, które umknęły uwagi oprogramowania.

– Istnieją tysiące innych wyjaśnień – powiedział łagodnie. – Ktoś mógł... no nie wiem... stworzyć nowe środowisko, tak zdumiewające, że wszyscy wyruszyliby, aby je odkrywać. Mody przetaczają się przez Elizjum niczym zarazy – lecz tutaj przecież znajduje się ich miejsce spotkań, ich centrum zarządzania, jedyny stały grunt pod nogami. Kiedyś muszą tu wrócić.

Kate odsłoniła twarz i spojrzała na niego jak na naiwniaka.

– Jaka niby moda skusiłaby wszystkich bez wyjątku do opuszczenia Miasta i to w przeciągu kilku sekund? I gdzie mieliby usłyszeć o tym wspaniałym dziele sztuki, do którego musieli ruszyć z tak wielkim pośpiechem, by je odkryć? Monitoruję wszystkie sieci publiczne; ostatnio nie pojawiło się tam nic szczególnego, co mogłoby doprowadzić do takiego exodusu. Ale gdyby odkryli nas – gdyby tylko wiedzieli, że ich podsłuchiwalismy – wtedy nie użyliby publicznych kanałów do ogłoszenia tego faktu, prawda?

Peer nie pojmował, dlaczego nie mieliby tak zrobić: gdyby odkryli obecność pasażerów na gapę, zdaliby sobie równocześnie sprawę, że możliwość wywierania jakiegokolwiek wpływu na samo Miasto, nie wspominając już o jego mieszkańcach, nie leży w ich zasięgu. Nie było najmniejszego powodu organizowania potajemnej ewakuacji. Miał już wystarczająco wiele trudności, by uwierzyć, że ktokolwiek chciałby ukarać dwoje nieszkodliwych gapowiczów – a jeszcze trudniejszym wydawało mu się zaakceptowanie faktu, że zostaliby „skazani na wygnanie” bez wcześniejszego przeciągnięcia ich przez wszelkie złożone rytuały sprawiedliwości – bądź chociażby publicznego natarcia uszu za ich zbrodnię jeszcze przed formalnym wyrokiem. Elizyjczycy nigdy nie marnowali okazji, kiedy mogli chociaż przez chwilę być odrobinę teatralni; szybka i cicha kara po prostu nie była w ich stylu.

– A co, jeżeli łącze danych do węzła centralnego zostało przerwane nieumyślnie. – zaczął.

– Do tej pory naprawiliby taką usterkę. – Kate nadal traktowała jego hipotezy lekceważąco.

– Być może. Zależałoby to od natury problemu. – Zawahał się. – Te cztery tygodnie, kiedy zniknąłem. Wciąż nie mamy pojęcia, czy zostałem wtedy odcięty od ciebie z powodu jakiegoś błędu w programie opisującym

nasz poziom rzeczywistości, czy też problem leżał o wiele głębiej. Jeżeli istnieją jakieś usterki w samym Mieście, jedna z nich mogłaby uszkodzić łącza z resztą Elizjum. A zlokalizowanie takiego problemu mogłoby zająć trochę czasu. Skoro samo ujawnienie swej obecności zajęło mu siedem tysięcy lat, może być praktycznie nie do naprawienia.

– Bardzo łatwo można sprawdzić, czy masz rację – odpowiedziała wreszcie Kate po chwili milczenia. – Zwiększ nasze spowolnienie – i zwiększaj je coraz bardziej – a sprawdzimy w ten sposób, co się dzieje. Zaprogramuj nasze egzojaźnie, by przerwały to wszystko i przełączyły nas z powrotem do normalnego tempa upływu czasu, o ile tylko pokaże się chociażby najmniejszy ślad Elizyjczyków. Ale jeśli do tego nie dojdzie, niech wciąż nieprzerwanie prą w przyszłość, dopóki oboje nie dojdziemy do wniosku, że czekaliśmy już wystarczająco długo.

Peer był zaskoczony. Spodobał mu się ten pomysł, ale zdawało mu się, że Kate wolałaby raczej przedłużać własną niepewność. Nie do końca był pewien, czy jest to dobry, czy zły znak. Czyżby chciała raz na zawsze oddzielić się od Elizyjczyków? Porzucić wszelkie resztki nadziei, że powrócą tak szybko, jak to tylko możliwe? Czy też jej propozycja była jedynie dowodem na rozpaczliwe pragnienie ich powrotu?

– Jesteś pewna, że chcesz to zrobić? – zapytał.

– Tak. Pomożesz mi to zaprogramować? Jesteś ekspertem w te klocki.

– Tu i teraz?

– A dlaczego nie? Skoro właściwie jedyną korzyścią, jaką mamy z tego odnieść, jest zaoszczędzenie sobie oczekiwania.

Peer otworzył przed sobą w powietrzu panel kontrolny i wspólnie przy nim zasiedli, tworząc najprostszą maszynę czasu.

Kate nacisnęła przycisk.

Spowolnienie wynoszące sto. Marionetki używające pasażu przyspieszyły do smug, które wreszcie rozmazały się i zniknęły. *Spowolnienie dziesięć tysięcy.* Noc i dzień przetaczały się nad ich głowami, by po chwili stać się błyskami, wreszcie migotaniami – *spowolnienie jednego miliona* – wtedy zlały się ze sobą. Peer spojrzął na niebo i obserwował, jak zakreślany przez słońce łuk przesuwa się na nieboskłonie w górę i w dół podczas pozornych pór roku Miasta, coraz to szybciej, dopóki nie rozmazał się w matowo jaśniejącą obręcz. *Spowolnienie jednego miliarda.* To, co obecnie obserwowali, było absolutnie statyczne. Nie istniały żadne sztuczne długoterminowe cykle astronomiczne, które zostałyby zaprogramowane w tutejszym wirtualnym niebie. Wokół nich nie powstawały żadne nowe budynki, żadne również nie zamieniały się w ruinę. Puste, niezniszczalne Miasto nie mogło zrobić nic innego, jak tylko się powtarzać: istnieć, istnieć, istnieć. *Spowolnienie jednego biliona.*

Peer odwrócił się do Kate, która siedziała w wyczekującej pozie, z uniesioną głową, odwróconym wzrokiem, jak gdyby czegoś nadśluchiwała. Głosu elizyjskiej hiperinteligencji, punktu końcowego miliardów lat własnoręcznie kierowanej mutacji, sięgającego, by objąć całą siatkę TVC? Odkrywającego przed nimi ich przeznaczenie? Osądzającego, wybaczącego, by wreszcie wypuścić ich na wolność?

– Wydaje mi się, że wygrałaś zakład – stwierdził prosto. – Nie mają zamiaru powrócić.

Spojrzał na panel kontrolny i poczuł zawroty głowy; minęło właśnie przeszło sto bilionów lat czasu standardowego. Ale skoro Elizyjczycy zerwali wszystkie łączące ich z nimi więzy, czas standardowy nie miał obecnie najmniejszego znaczenia. Peer sięgnął dłonią, by wyłączyć przyspieszenie, lecz Kate schwyciła go za nadgarstek.

– Po co zawracać sobie tym głowę? – zapytała cichutko. – Pozwól mu rosnąć przez wieki. Teraz stało się zaledwie liczbą.

– Tak. – Nachylił się nad nią i pocałował w czoło.

– Jedna instrukcja na wiek. Jedna na millenium. I nie ma żadnej różnicy. Wreszcie jest tak, jak chciałeś przez całe swoje życie.

Kołysał Kate w ramionach, a elizyjskie eony przelatowały wokół nich. Poglądził ją po włosach, równocześnie uważnie obserwując panel kontrolny. Jedynie jedna z liczb nieustannie wzrastała; wszystko z wyjątkiem dziwnej fikcji licznika upływu czasu standardowego pozostawało niezmiennie.

Niezależnione od przyrostu populacji mieszkańców, Miasto pozostawało niezmiennie pod każdym względem. A oznaczało to z kolei, że cała infrastruktura, którą Carter wplótł dla nich w oprogramowanie Miasta, również przestała się rozszerzać. Symulowany „komputer”, na którym działali, złożony z porzrzucanych niedoskonałości w tkaninie Miasta, stał się obecnie skończoną „maszyną” o skończonej liczbie możliwych stanów.

Znów stali się śmiertelni.

To było dziwne uczucie. Peer rozejrzał się wokół po opustoszałym pasażu, by wreszcie opuścić wzrok na kołysaną w ramionach kobietę, mając uczucie, że przebudził się z bardzo długiego snu – lecz kiedy przeszukał swe wnętrze w poszukiwaniu chociażby cienia własnego prawdziwego życia, którego mógłby się schwycić, nie odnalazł niczego. David Hawthorne był martwym nieznanym. Kopia, która odkrywała z Kate „powolne kluby”, była równie odległa jak stolarz, matematyk, twórca librett operowych.

Kim jestem?

Nie przeszkadzając Kate, otworzył sobie ekran pokryty setkami identycznych, anatomicznych szkiców mózgu; jego własne menu

mentalnych parametrów. Nacisnął ikonkę oznaczoną *JASNOŚĆ UMYŚŁU*.

Wygenerował sobie tysiące arbitralnych powodów, by żyć. Forsując swą życiową filozofię niemal tak daleko, jak tylko się dało. Ale pozostał jeszcze jeden ostatni kroczek, który musiał zostać teraz wykonany.

– Opuścimy to miejsce – zaproponował. – Uruchomimy swój własny wszechświat. To właśnie powinniśmy byli zrobić już na samym początku.

Kate jęknęła z rozpaczy.

– Jak ja będę żyła bez Elizyjczyków? Nie potrafię żyć tak jak ty: modyfikując swój mózg, narzucając sobie szczęście. Nie potrafię tego zrobić.

– Nie będziesz musiała.

– Minęło siedem tysięcy lat. Chcę się znów znaleźć pomiędzy ludźmi.

– W takim razie tak się stanie.

– Stworzymy ich sobie? – zapytała, spoglądając na niego z nadzieją. – Uruchomimy oprogramowanie odpowiedzialne za ontogenezę? Staniemy się Adamem i Ewą nowego świata, naszego własnego świata?

– Nie – odpowiedział. – To ja się nimi stanę. Tysiącem, milionem. Czegokolwiek sobie zażyczysz. Stanę się Solipsystyczną Nacją.

Kate wyrwała się z jego objęć.

– „Staniesz się”? Co przez to rozumiesz? Nie musisz stawać się całym społeczeństwem. Możesz je stworzyć wraz ze mną, a następnie rozsiać się wygodnie i obserwować jego rozwój.

Peer przecząco potrząsnął głową.

– A czym byłem do tej pory? Niekończącą się serią ludzi, z których każdy czuł się szczęśliwy z osobistych powodów. Połączonych ze sobą cieniutką nitką wspomnień. Dlaczego trzymać ich porzrzucanych w

czasie? Dlaczego mam wciąż żyć, udając, że istnieje jakaś „prawdziwa” osoba, której udaje się przetrwać te wszystkie arbitralne zmiany?

– Pamiętasz siebie. Wierzysz, że jesteś pojedynczą osobą. Dlaczego wciąż nazywasz to pozorami? To prawda.

– Ale ja już w to nie wierzę. Każda stworzona przeze mnie osoba wprawdzie wciąż czuje się tą urojoną istotą nazywaną „ja”, ale nie jest to prawdziwą częścią jej tożsamości. Jest odwróceniem uwagi, źródłem zamętu. Nie ma powodów, by robić to dalej, czy też sprawiać, że oddzielni ludzie następują po sobie w czasie jeden po drugim. Pozwólmy im żyć wspólnie, spotykać się ze sobą, dotrzymywać ci towarzystwa.

Schwyciła go za ramiona i spojrzała mu prosto w oczy.

– Nie możesz stać się Solipsystyczną Nacją. To nonsens. Retoryka rodem z bardzo starej sztuki. Wszystkim, co by to oznaczało, jest... śmierć. Ludzie stworzeni przez oprogramowanie, kiedy ty umrzesz, nie będą tobą w żaden sposób.

– Będą szczęśliwi, czyż nie? Od czasu do czasu? Z własnych najbardziej dziwnych powodów?

– Tak. Ale...

– Tym zaledwie teraz jestem. Tylko tym. Tylko to mnie definiuje. Tak więc, kiedy oni będą szczęśliwi, będą mną.

32.

– Siedemnasty skończony. Został jeszcze jeden.

Durham tak przeregulował swoją egzozjaźń, by móc spokojnie i kompetentnie przeprowadzić ewakuację. Maria, która sama wciąż nie dokonała na swojej osobie żadnych modyfikacji, obserwowała go z niewysłowioną ulgą, gdy wreszcie spakował Irene Shaw wraz z jej siedmiusetmilionowym potomstwem i czterema planetami najprzeróżniejszych środowisk do wciąż rozrastającego się Ogrodu Eden. Skompresowane ujęcie całej cywilizacji spłynęło wzdłuż ścieżki danych, którą Durham specjalnie stworzył, by obejść niepewny węzeł. Dane podążały kilkunastoma niezależnymi drogami i były weryfikowane raz za razem na każdym najmniejszym kroku, dopóki nie przekroczyły granicy obszaru, gdzie tworzono nowe Elizjum.

Do tej pory nie pojawił się najmniejszy nawet ślad mogący świadczyć, że rozkład siatki rozprzestrzenia się szerzej, ale zwołane zebranie mieszkańców Miasta dało Durhamowi zaledwie sześć godzin czasu standardowego na złożenie i uruchomienie nowego ziarna. Maria była zdumiona samym faktem, że to właśnie jego wyznaczono do tego zadania, szczególnie biorąc pod uwagę jego potajemną wizytę na Lambert, która okazała się katalizatorem całej obecnej katastrofy (pozostawili jedynie nieświadome oprogramowanie dozorujące działania Durhama, które w razie niepowodzenia miało przejąć jego obowiązki), ale to on wciąż był człowiekiem, który stworzył i uruchomił Elizjum, i najwyraźniej w nim właśnie pokładano największe nadzieje, że uda mu się ochronić ich przed

rozpadającym się wszechświatem, tak jak swego czasu ocalił założycieli przed upadkiem legendarnej Ziemi.

Dwoje spośród trzech założycieli–pustelników – Irene Shaw i Pedro Callas – odpowiedzieli na sygnały awaryjne wysłane z węzła centralnego do wnętrza ich piramid. Wbrew tysiącleciom milczenia, nie odcięli całkowicie własnych światów od informacji nadchodzącej z pozostałych części Elizjum.

Wyglądało jednak na to, że Thomas Riemann tak właśnie uczynił.

Maria spojrzała na zegar umieszczony w oknie interfejsu. Zostało im czternaście minut.

Durham jeszcze kilka godzin temu uruchomił program, którego zadaniem było włamanie się do piramidy Riemanna. Udało mu się stworzyć nowe łącza z procesorami, ale bez osobistego kodu dostępu Riemanna jakiegokolwiek instrukcje wprowadzane tam przez niego były ignorowane, a zamek czasowy uruchamiany przy wykonaniu każdej niepoprawnej próby w czasie skanowania dziewięćdziesięciodziewięciocyfrowej kombinacji czynił to podejście wysoce niepraktycznym. Tak więc Durham poinstruował metaprogramistę, by ten stworzył „maszynę” TVC, która odizolowałaby i zanalizowała jeden z procesorów Riemanna, by móc przestudiować zawartość jego pamięci i stamtąd, z potężnie zakodowanych testów znajdujących się w jego wnętrzu, wydedukować ów kod dostępu.

– Dokładnie to samo mogłeś przecież zrobić w przypadku mojej piramidy, prawda? I pozwolić mi spać? – zapytała Maria ostro, kiedy program zbliżał się coraz bardziej do ostatecznego wyniku.

– A skąd niby miałem to zrobić? – Durham potrząsnął głową, nawet nie spoglądając w jej kierunku. – Nie miałem dostępu do granicy twojego terytorium. Teraz jest to możliwe wyłącznie dlatego, że wszyscy pozostali założyciele zagwarantowali mi *carte blanche*.

– Jak mi się wydaje – o ile tylko byś się do tego odpowiednio przyłożył – też mogłeś się jakoś przekopać do środka.

– Być może i mogłem to zrobić – przyznał wreszcie po chwili milczenia.
– Ale chciałem, byś zobaczyła Lambert. Szczerze wierzyłem, że nie mam prawa pozwolić ci przespać pierwszego kontaktu.

Przetrzęsała głowę w poszukiwaniu odpowiednio gorzkiej riposty. Wreszcie poddała się i odpowiedziała zmęczonym głosem: – Nie miałeś najmniejszego prawa, aby mnie budzić, ale i tak jestem zadowolona, że zobaczyłam Lambertian.

– Jestem w środku – stwierdził program zajmujący się łamaniem kodu Riemanna.

Nie było czasu na dobre obyczaje, na wyjaśnianie kryzysu i usprawiedliwianie toczącej się właśnie ewakuacji. Durham wydał sekwencję komend mających zmrozić odbywające się w piramidzie procesy, zanalizować je, wydzielić wszelkie istotne dane, a następnie dopakować to wszystko do nowej konfiguracji Ogrodu Eden. Riemann i jego potomstwo nigdy nie będą musieli poznać prawdy.

Oprogramowanie Riemanna miało jednak swoje własne pomysły na ten temat. Potwierdziło kod dostępu, lecz odmówiło wstrzymania procesów.

Maria odwróciła się na bok. Zbierało jej się na wymioty. *Ilu ludzi znajdowało się tam w środku? Tysiące? Miliony?* Nie było sposobu, by poznać odpowiedź na to pytanie. Co się stanie, kiedy obejmą ich zmiany, które toczyły siatkę? Czy zamieszkałe przez nich światy implodują i rozplyną się w nicość, podobnie jak stało się to z nieożywionym Miastem?

Kiedy znów była w stanie spojrzeć na ekran, Durham ze spokojem zmienił podejście do problemu.

– Staram się przełamać narzuconą od środka blokadę komunikacyjną – wytłumaczył. – Sprawdzić, czy wewnątrz mogę się przedostać na

jakikolwiek poziom, na którym mógłbym przynajmniej z kimś porozmawiać. Być może sami, ze środka, będą w stanie to bardziej kontrolować. My nie jesteśmy w stanie zatrzymać ich oprogramowania i zapakować ich *en masse*, ale być może mogą zrobić to sami.

– Masz jedenaście minut.

– Zdaję sobie z tego doskonale sprawę. – Zawahał się. – Jeżeli będzie trzeba, zostanę tu dłużej i uruchomię tych ludzi osobno. Nie wydaje mi się, by przykładali wielką wagę do faktu, czy funkcjonują w tym samym wszechświecie co reszta Elizjum.

– „Zostanę tu dłużej”? Masz na myśli to, że skłonujesz się i uruchomisz jedną z wersji z nami?

– Nie. Zemansky zebrała setki ludzi mających weryfikować rozruch od środka. Moja obecność nie jest tam konieczna.

Maria poczuła, jak ogarnia ją przerażenie.

– Ale... po co masz tu zostawać? Po co ryzykować?

– Nie rozszczępię się po raz kolejny – odpowiedział spokojnie, odwracając się do niej. – Już miałem tego wystarczająco wiele we wszystkich dwudziestu czterech przeszłościach. Teraz chcę pojedynczego życia. Jednej przeszłości. Pojedynczego wyjaśnienia. Nawet jeżeli ma to oznaczać mój własny koniec.

Uruchomiony przez niego program zapiszczał triumfalnie i wyświetlił wiadomość: *Odnalazłem port danych konieczny do zapewnienia fizycznego kontaktu z jednym z wewnętrznych środowisk. Wydaje się nienaruszony.*

– Wyślij tam kilka tysięcy robotów, niech przeczeszą to miejsce w poszukiwaniu oznak życia – zaproponowała Maria.

Durham już starał się to zrobić. Zmarszczył jednak czoło.

– Nie mamy coś szczęścia. Ale zastanawiam się, czy. Stworzył drzwi, kilka metrów na prawo. Zdawały się prowadzić do udekorowanego z

przepychem korytarza.

– Masz siedem minut – stwierdziła, znów czując nadchodzącą falę mdłości. – Port zapewne nie działa; skoro roboty nie mogą się zmaterializować, to.

Durham wstał i przeszedł przez drzwi. Po chwili zaczął biec. Maria spoglądała za nim. *Ale przecież nie było „tam” żadnego szczególnego niebezpieczeństwa, żadnego dodatkowego ryzyka. Oprogramowanie, na którym funkcjonował ich model, było równie bezpieczne niezależnie od tego, gdzie pozornie znajdowały się ich ciała.*

Dogoniła go, kiedy dotarł do bogato zdobionych kręconych schodów. Znajdowali się na piętrze czegoś, co wyglądało na wielki dwupiętrowy dom. Poklepał ją po ramieniu.

– Dzięki. Spróbuj na dole, ja przeschukam piętro.

Maria żałowała, że nie wyłączyła wszelkich ograniczeń związanych z ludzkim metabolizmem, ale obecnie była zbyt podekscytowana, by starać się odkryć, jak można było tego dokonać; zbyt zalana adrenaliną, by zrobić cokolwiek innego, niż tylko biec przez korytarze i wrzeszczeć: „Jest tu kto?!”.

Na końcu jednego z korytarzy wypadła przez drzwi i znalazła się w ogrodzie.

Rozpaczliwie rozejrzała się wokół. Tereny przylegające do domu okazały się przeogromne i na pierwszy rzut oka zupełnie opustoszałe. Stała, starając się złapać oddech i nasłuchując jakichkolwiek oznak życia. Zdołała wyłapać dochodzące z oddali ćwierkanie ptaków, ale nic więcej.

Wtedy dostrzegła leżący w trawie, tuż przy rabatce pełnej tulipanów, biały kształt.

– Tutaj! – zawołała ile sił w płucach i ruszyła w kierunku kształtu.

Ten okazał się młodym mężczyzną, zupełnie nagim, rozciągniętym na trawniku, z głową złożoną na rękach. Usłyszała za sobą brzęk tłuczonego szkła, a następnie głuchy łomot o ziemię; odwróciła się i zobaczyła, jak Durham podnosi się na nogi i kuśtykając rusza w jej kierunku.

Uklękła przy nieznanym i uderzając go po policzkach, starała się dobudzić. Dotarł do niej Durham, blady, wyraźnie pozbawiony sztucznego spokoju.

– Wydaje mi się, że skręciłem kostkę – stwierdził po prostu. – A równie dobrze mogłem sobie skręcić kark. Nie ryzykuj. Coś dziwnego dzieje się tutaj z naszą fizjologią; nie potrafię już narzucać nam ustawień naszego świata.

Maria schwyciła mężczyznę za ramiona i potrząsnęła nim bez pardonu, nie przyniosło to jednak żadnego efektu.

– To beznadziejne!

Durham odciągnął ją od ciała.

– Ja go dobudzę. Ty wracaj.

Maria starała się wywołać za pomocą umysłu panel kontrolny mający ją przenieść w mgnieniu oka z powrotem. Nic się jednak nie stało.

– Nie potrafię się połączyć z moją egzojaźnią. Nie potrafię się przedostać.

– W takim razie użyj drzwi. Biegiem!

Zawahała się. Nie miała jednak najmniejszego zamiaru podążyć za Durhamem ścieżką męczeństwa. Odwróciła się i pobiegła sprintem w kierunku domu. Wbiegała po dwa schody naraz, starając się o niczym nie myśleć; wreszcie pobiegła wzdłuż korytarza. Drzwi prowadzące do pomieszczenia, z którego kontrolowali przebieg ewakuacji, wciąż tam były, a przynajmniej wciąż je widziała. Kiedy biegła w ich kierunku, oczami

wyobraźni widziała, jak wpada w niewidoczną barierę, lecz kiedy dotarła do framugi, przekroczyła ją bez najmniejszego problemu.

Zegar w oknie interfejsu wskazywał, że do rozruchu pozostało dwadzieścia sekund.

Kiedy nalegała, by pozwolił jej ze sobą zostać, Durham wymusił na niej stworzenie programu, który w mgnieniu oka dopakuje jej osobę do nowego Ogrodu Eden. Ikona tego programu – trójwymiarowa Alicja wkraczającą w płaską ilustrację z książki – była wyraźnie widoczna, wyświetlana w rogu ekranu.

Sięgnęła do niej, a następnie spojrzała przelotnie w kierunku rozciągającego się za drzwiami świata Riemanna.

Korytarz cofał się powoli. Oddalał, odsuwał niczym budynki w Mieście.
– Durham! Ty idioto! To imploduje! – wykrzyknęła.

Ręka jej zadrżała. Pałce musnęły ikonkę przedstawiającą Alicję. Lekko, bez siły koniecznej do wyrażenia zgody na uruchomienie programu.

Do rozruchu pozostało pięć sekund.

Mogła się sklonować. Wysłać jedną wersję razem z resztą Elizjum, a drugą, by ostrzec Durhama.

Tyle tylko, że nie miała pojęcia, jak tego dokonać. Ani też czasu, aby się tego nauczyć.

Dwie sekundy.

Jedna.

Zwinęła dłoń w pięść tuż obok ikonki i zawyła. Mapa przedstawiająca gigantyczny sześcian zamigotała na niebiesko–biało: nowa siatka poczęła narastać, a wysunięte najbardziej na zewnątrz procesory zaczęły się namnażać. Wciąż było to częścią Elizjum, gdyż nowa siatka była symulowana przez procesory należące do starej, ale Maria zdawała sobie

sprawę, że oprogramowanie dozorujące nie da jej już teraz kolejnej szansy. Nie pozwoli zatrzymać rozruchu, by później rozpocząć go na nowo.

Znów spojrzała za siebie przez znajdujące się tam drzwi. Korytarz wciąż odsuwał się gładko do tyłu, kilka centymetrów na sekundę. Jak daleko jeszcze mógł się cofnąć, nim drzwi uderzą o ścianę, zupełnie odcinając Durhamowi drogę ucieczki?

Klnąc na czym świat stoi, ruszyła w kierunku drzwi i wsunęła przez nie dłoń. Niewidzialna granica pomiędzy środowiskami wciąż pozwalała jej przechodzić na drugą stronę. Przykucnęła tuż przy krawędzi i sięgnęła, by dotknąć znajdującej się po drugiej stronie podłogi. Jej dłoń napotkała odsuwający się dywan.

Drżąc ze strachu, Maria wstała i przekroczyła próg. Na moment przystanąła, by spojrzeć za drzwi. Korytarz kończył się ślepo, dwanaście, może piętnaście metrów dalej w kierunku, w którym zmierzały drzwi. Miała najwyżej cztery, może pięć minut.

Durham wciąż znajdował się w ogrodzie, nieustannie starając się docucić mężczyznę. Spojrzał na nią ze złością.

– Co ty tutaj robisz?

Złapała oddech.

– Spóźniłam się na rozruch. A to środowisko... się oddziela. Tak jak Miasto. Musisz wracać.

Durham odwrócił się z powrotem do nieznanego.

– Wygląda mi na odmłodzonego Thomasa Riemanna, ale równie dobrze może być którymś z jego potomków. Jednym z setek. Jednym z miliona. Nie mam najmniejszego pojęcia.

– Miliona? Gdzie? Wygląda, jakby żył tutaj samotnie, a nie ma nawet śladu innych środowisk. Odkryłeś przecież zaledwie pojedynczy port komunikacyjny, czyż nie?

– Nie mamy pojęcia, co to może oznaczać. Jedyne sposoby, aby się przekonać, czy mamy rację, to obudzić go i zapytać o to bezpośrednio. A ja nie jestem w stanie tego zrobić.

– A co, jeżeli po prostu... wyniesiemy go stąd? Wiem, wiem: nie mamy żadnego powodu, by sądzić, że zrobienie czegoś takiego miałoby przenieść jego model w bezpieczniejsze miejsce, ale skoro to środowisko wpłynęło na nasze własne modele i zmusiło je do przestrzegania ludzkiej fizjologii, to być może wszelka łącząca się z tym logika już dawno została naruszona.

– A co, jeżeli istnieją tu inni? Nie mogę ich porzucić!

– Nie mamy na to czasu! Co możesz dla nich zrobić, gdy zostaniesz tu uwięziony? Nic, jeśli ten świat zostanie zniszczony. A jeżeli jakoś uda mu się przetrwać, to przetrwa i bez twojej pomocy.

Durham skrzywił się, słysząc te słowa, ale niechętnie przyznał jej rację, kiwając głową.

– Ruszajmy – powiedziała zdecydowanie. – Jesteś teraz kaleką, więc to ja poniosę naszą Śpiącą Królową.

Schyliła się, starając się unieść Riemanna, zarzucić go sobie na ramiona – nieważne, czy miał na imię Thomas, czy zupełnie inaczej. To wydawało się takim banałem, kiedy człowiek przyglądał się, jak robili to strażacy. Durham, który zatrzymał się, by popatrzeć, wrócił i pomógł jej. Kiedy już stanęła na nogach, poruszanie się nie sprawiało jej większych trudności. Przynajmniej przez pierwsze kilka metrów.

Durham kuśtykał u jej boku. Początkowo obrzucała go przekleństwami, starając się nieszczercze przekonać, by zostawił ją w tyle. Wtedy jednak poddała się i przyjęła absurdalność ich trudnego położenia.

– Nigdy nie myślałam – zaczęła, zadyszana i zaczerwieniona z wysiłku – że będę świadkiem... dezintegracji wszechświata, równocześnie niosąc na ramionach nagiego bankiera. – Zawahała się. – Czy nie wydaje ci się, że

gdybyśmy tylko zamknęli oczy i stwierdzili, że nie wierzymy w schody, to wtedy, być może...

Weszła na nie, niemal zginając się wpół pod ciężarem niesionym na plecach, rozpaczliwie pragnąc go odłożyć i odpocząć chociażby przez krótką chwilkę, pewna jednak, że gdyby tylko to zrobiła, z pewnością by się im nie udało.

Kiedy dotarli do korytarza, drzwi wciąż były tam widoczne i wciąż nieustannie się oddalały.

– Pobiegnij i... powstrzymaj je przed zamknięciem – rzuciła.

– W jaki sposób?

– Nie mam pojęcia. Idź i stań w prześwicie.

Durham wyglądał na niezdecydowanego, ale pokuśtykał w kierunku drzwi i dotarł do nich na długo przed nią. Przeszedł przez nie, następnie odwrócił się i stanął w rozkroku we framudze, wyciągając dłoń w jej kierunku, gotów wciągnąć ją do środka niczym pasażera do odjeżdżającego ze stacji pociągu. Widziała oczami wyobraźni, jak jego przepołowione ciało pada, po jednym krwawym, drgającym konwulsyjnie ochłapie do każdego ze światów.

– Mam nadzieję, że sukinsyn był wielkim filantropem – wydyszała. – Lepiej nawet, gdyby był pierdolonym świętym.

Spojrzała obok drzwi. Martwy koniec korytarza znajdował się w odległości zaledwie kilku centymetrów. Durham musiał to odczytać z wyrazu jej twarzy, cofnął się bowiem do środka pomieszczenia kontrolnego. Drzwi dotknęły ściany, a następnie zniknęły. Maria zawyła z frustracji, upuszczając Riemanna na pokrytą dywanem podłogę.

Podbiegła do ściany i zaczęła w nią tłuc pięściami. Po chwili padła przy niej na kolana. *Teraz przyjdzie jej tutaj umrzeć, wewnątrz zapadającej się fantazji zupełnie obcego człowieka.* Przycisnęła twarz do chłodnej farby

ściany. *Istniała inna Maria, tam, w starym świecie – i cokolwiek się tutaj wydarzyło, tamtej przynajmniej udało się ocalić matkę. Jeśli ten szalony sen kiedyś dobiegnie końca, wraz z nim skończy się wszystko.*

Ktoś położył jej dłoń na ramieniu. Odwróciła się w szoku, napinając mięśnie szyi. Nad nią stał Durham.

– Tędy. Musimy to obejść. Pospiesz się.

Sam podniósł Riemanna – podczas pobytu w Elizjum musiał naprawić sobie kostkę i bez wątpienia również dodał sobie trochę siły – i poprowadził Marię kawałeczek z powrotem wzdłuż korytarza, a następnie poprzez olbrzymią bibliotekę do wnętrza znajdującego się na jej końcu składziku. Na przeciwległej ścianie, oddalone zaledwie o kilka metrów, znajdowały się kolejne drzwi. Durham spróbował przejść przez nie, trzymając Riemanna głową do przodu.

Gdy głowa Riemanna zniknęła, przecinając płaszczyznę drzwi, Durham krzyknął wstrząśnięty i wycofał się; ścięta głowa wróciła na swoje miejsce. Maria dogoniła ich, kiedy Durham odwrócił się i starał się wejść przez drzwi tyłem, wciągając za sobą Riemanna. I po raz kolejny każdy fragment ciała tamtego, który przechodził przez płaszczyznę framugi, zdawał się znikać, a kiedy jego pachy, pod którymi Durham go przytrzymał, również tam zniknęły, reszta ciała uderzyła w podłogę. Maria zajrzała za drzwi i zobaczyła całe ciało Riemanna, leżące w progu.

Nie byli go w stanie ocalić. Ten świat może i pozwalał im wchodzić i wychodzić ze środka, kiedy tylko przyszła im na to ochota, ale dla samego Riemanna otworzone przez nich wyjście okazywało się jedynie pustą, drewnianą ramą.

Cofnęła się i przeszła do Elizjum nad leżącym w progu ciałem. Kiedy drzwi się cofały, ramiona Riemanna pojawiły się znowu w zasięgu ich wzroku. Durham, łkając z frustracji, sięgnął przez nie i przeciągnął

śpiącego mężczyznę o kolejny metr, a wtedy jego niewidoczna głowa musiała uderzyć o niewidzialną ścianę i nie można go było już bardziej przesunąć.

Durham wycofał się do Elizjum dokładnie wtedy, gdy drzwi stały się nieprzezroczyste. W chwilę później zobaczyli zewnętrzną ścianę domu. Implozja – czy też separacja – przyspieszyła, gdy drzwi przeleciały ponad ogrodem, po czym wszystko spowiła ciemność, niczym znajdujący się w szklanym przycisku do papieru model, odlatujący w głęboki kosmos.

Maria przyglądała się, jak banieczka światła zanika, a kształt w jej środku rozpływa się i przekształca w coś zupełnie nowego; był jednak zbyt daleko, by można było rozszyfrować, w co się zamienia. Czy Riemann był teraz martwy? Czy też jedynie znalazł się poza ich zasięgiem?

– Nic nie rozumiem – stwierdziła Maria – ale cokolwiek Lambertianie nam robią, nie jest to przypadkowy rozkład. To nie tylko niszczenie zasad TVC. Ten świat trzymał się kupy. Jak gdyby jego własna logika przejęła kontrolę nad elizyjską. Jak gdyby nie potrzebował nas już.

– Nie wierzę w coś takiego – beznamiętnym głosem odpowiedział jej Durham. Klęknął przy drzwiach, przygnieciony własną porażką.

Maria dotknęła jego ramienia. Strząsnął jej dłoń.

– Lepiej się pospiesz i uruchom – dodał wreszcie po krótkiej pauzie. – Inni Elizyjczycy zostali usunięci z ziarna, ale cała reszta – cała konieczna infrastruktura – wciąż powinna tam być. Użyj jej.

– Sama?

– Zrób sobie dzieci, jeśli masz ochotę. To łatwe, gdyż wszelkie programy narzędziowe znajdują się w bibliotece głównej.

– I co wtedy? Ty zrobisz to samo?

– Nie. – Spojrzał na nią i powiedział posepnie: – Ja mam już dosyć. Żyłem dwadzieścia pięć razy. Wydawało mi się, że wreszcie odkryłem

twardy grunt pod stopami, ale teraz on właśnie rozsypuje mi się w urojenia i sprzeczności. Zabiję się, nim to wszystko się rozpadnie. Umrę tak, jak sam będę tego chciał, nie pozostawiając nic, co dałoby się wyjaśnić w kolejnej permutacji.

Maria nie wiedziała, co mu odpowiedzieć. Podeszła do okna interfejsu, by sprawdzić, co wciąż jeszcze funkcjonuje.

– Oprogramowanie szpiegujące Autoverse właśnie przestało działać – stwierdziła po chwili – a cały węzeł wygasł, lecz w bibliotece głównej wciąż istnieje kopia podsumowania dokonanego przez ciebie w ostatniej chwili na potrzeby ziarna. – Przeszukała systemy analizy i translacji stworzone przez Repetto.

Durham podszedł do niej i stanął u jej boku. Wskazał na podświetloną ikonkę, stylizowany obrazek roju Lambertian.

– Uruchom to – powiedział po prostu.

Wspólnie zapoznali się z wyświetloną analizą. Grupa Lambertian odkryła układ równań pola, które nie miały nic wspólnego z autoversowymi automatami komórkowymi, ale posiadały trzydzieści dwa stabilne rozwiązania. Po jednym dla każdego rodzaju atomów ich świata. W dostatecznie wysokich temperaturach dokładnie te same równania przewidywały spontaniczną generację materii – dokładnie we właściwych proporcjach, by wyjaśnić istnienie obłoku pierwotnego.

Taniec został odebrany jako prawidłowy. Teoria zyskiwała coraz szersze poparcie.

Maria była rozdarta pomiędzy rozżaleniem a dumą.

– Bardzo inteligentne. Ale jak też wyjaśnią cztery humanoidalne roboty porzucone przez nas na łące?

Durham wydawał się ponuro rozbawiony.

– Przybyły przecież w statku kosmicznym, nieprawdaż? Obcy musieli je wysłać jako emisariuszy Muszą więc również istnieć inne gwiazdy, zasłonięte przed nimi odpowiednim obłokiem pyłowym.

– A niby dlaczego ci obcy mieliby opowiadać Lambertianom o automatach komórkowych TVC?

– Być może sami w nie wierzyli. Być może odkryli zasady Autoverse'u, ale skoro nie byli w stanie wyjaśnić pochodzenia pierwiastków, zdecydowali się osadzić wszystko w o wiele większym systemie, kolejnym automacie komórkowym, łącznie z nieśmiertelnymi istotami, które miały niby stworzyć Autoverse, praobłok i całą resztę. Ale Lambertianie wszystko to dla nich wyjaśnili: nie ma potrzeby snuć tak pokręconych hipotez.

– A teraz Autoverse złuszcza nas niczym martwą skórę. Maria spojrzała na lambertiańskie równania pola; były o wiele bardziej złożone niż zasady Autoverse'u, ale posiadały własną, osobliwą finezję. Nigdy by ich sama nie wymyśliła; co do tego była pewna.

– To nie tylko kwestia Lambertian, którzy swoją teorią zaprzeczają naszemu istnieniu – stwierdziła. – Cała potrzeba istnienia stwórcy została właśnie starta w proch. Wszechświat ze świadomymi istotami bądź odnajduje się w pyle... bądź nie. Albo sam nadaje sobie sens na swoich własnych warunkach, jako niezależna całość, albo w ogóle go nie ma. Nigdy nie mogą się tam pojawić – i nigdy się nie pojawią – żadni bogowie.

Wyświetliła mapę Elizjum. Ciemna plama oznaczająca procesory, które przestały już odpowiadać na ich rozkazy, rozciągała się w sześciu publicznych piramidach i połączyła większość terytoriów należących do Riemanna, Callas, Shaw, Sandersona, Repetto i Tsukamoto. Maria zbliżyła obraz krawędzi ciemności; wyraźnie było widać, jak ta wciąż się rozrasta.

– Chodź ze mną! – poprosiła, odwracając się do Durhama.

– Nie. Co niby zostało mi do zrobienia? Mam po raz kolejny runąć w otchłań paranoi? Obudzić się, roztrzęsając, czy naprawdę nie jestem niczym innym jak tylko zdyskredytowanym mitem o przybyszach z kosmosu, którzy przybyli na Lambert?

– Możesz dotrzymywać mi towarzystwa – odpowiedziała ze złością. – Utrzymywać mnie przy zdrowych zmysłach. Po wszystkim, co mi zrobiłeś, chociaż tyle jesteś mi winien.

Durham był nieporuszony.

– Nie potrzebujesz mnie do tego. Znajdziesz sobie o wiele lepsze sposoby.

Odwróciła się ponownie do mapy, przez chwilę nie myśląc o niczym, z umysłem ogarniętym paniką, by następnie wskazać dłonią rozszerzającą się próżnię.

– Zasady TVC rozpadają się. Lambertianie niszczą Elizjum. Ale co kontroluje cały ten proces? Muszą istnieć jakieś głębsze zasady rządzące zderzeniem tych dwóch teorii. Zasady decydujące o tym, które wyjaśnienie ma sens, a które musi zniknąć. Możemy je odszukać. Możemy postarać się nadać sens temu, co się tu stało.

– Wciąż dalej i dalej? – odpowiedział jej sardonicznie. – w poszukiwaniu wyższego porządku?

Maria była bliska najczarniejszej z rozpaczy. Był jej jedynym połączeniem ze starym światem. Bez niego, jej wspomnienia utraciłyby wszelkie znaczenie.

– Proszę! Możemy się o to kłócić już w nowym Elizjum. Ale teraz nie mamy na to czasu.

– Przykro mi, Mario – potrząsnął głową ze smutkiem – ale nie mogę z tobą pójść. Mam siedem tysięcy lat. Wszystko, co z wielkim trudem

staralem się stworzyć, legło właśnie w gruzach. Wszelkie moje pewniki wyparowały. Wiesz, jakie to uczucie?

Maria napotkała jego wzrok i starała się zrozumieć; starała się ocenić głębię jego zmęczenia. Czy sama mogłaby nie ustępować przez równie długi czas jak on? Być może dla każdego nadchodził taki moment, kiedy nie pozostawała żadna perspektywa na przyszłość, żaden inny wybór z wyjątkiem śmierci. Być może Lambertianie mieli rację, być może „nieskończoność” nie miała żadnego znaczenia, a „nieśmiertelność” była zaledwie złudzeniem, do którego nie powinien aspirować żaden człowiek.

Żaden człowiek.

Maria ze złością odwróciła się do niego.

– Czy wiem, jakie to uczucie? Takie, jakim tylko zechcesz je sobie odbierać. Czy nie tak mi kiedyś powiedziałaś? Masz możliwości, by dokładnie wybrać sobie to, kim jesteś. Już nie pętają cię dawne ludzkie ograniczenia. Jeżeli nie chcesz, by przygniatał cię ciężar własnych przeszłości, wtedy nie pozwalasz mu na to! Jeżeli naprawdę chcesz umrzeć, nie jestem w stanie cię przed tym powstrzymać, ale nie opowiadaj mi tutaj, że nie masz wyboru.

Przez chwilę Durham wyglądał na porażonego, jak gdyby wszystkim, co zrobiła, było dołożenie kolejnego ciężaru do jego rozpacz, ale potem coś z jej tyradę przebiło się do jego świadomości.

– Ty naprawdę kogoś potrzebujesz, prawda? – zapytał łagodnie. – Kogoś, kto pamięta dawny świat?

– Tak. – Zamrugła, powstrzymując łzy.

Wyraz twarzy Durhama nieoczekiwanie zamarł, jak gdyby odłączył się od swojego ciała. Czyżby zostawił ją tutaj samą? Maria niemal uwolniła się z jego uchwytu, ale wtedy jego twarz, wyglądająca jak wykonana z wosku, nieoczekiwanie ponownie ożyła.

– Pójdę z tobą – stwierdził.

– Co...?

Uśmiech rozpromienił jego twarz; wyglądał niczym jakiś półgłówek, niczym dziecko.

– Dokonałem kilku poprawek mojego stanu mentalnego. I akceptuję twoje zaproszenie. Wciąż dalej i dalej.

Maria nie była w stanie wykrztusić ani słowa; kręciło jej się w głowie od ulgi. Objęła go, a on odwzajemnił jej uścisk. Zrobił to dla niej? Przekształcił się, przebudował wewnątrz.

Nie było czasu do stracenia. Ruszyła w kierunku panelu kontrolnego i w pośpiechu zaczęła przygotowywać rozruch. Durham przyglądał się temu z uśmiechem; zdawał się oczarowany mrugającym ekranem, jak gdyby widział go po raz pierwszy w życiu.

Maria znieruchomiała w pół ruchu. Skoro się przebudował, odkrył na nowo, ile w takim razie pozostało w nim z człowieka, którego kiedyś znała? Czy zagwarantował sobie transludzką odporność i wyleczył się z najczarniejszej rozpacz? Czy też może umarł w ciszy, poza zasięgiem jej wzroku, i dał początek towarzyszowi jej drogi, dziecku oprogramowania, które zaledwie posiadało wspomnienia swojego ojca?

Gdzie leżała linia rozdzielająca te dwie opcje? Granica pomiędzy transformacją tak wielką, że zamieniała tęsknotę za śmiercią w dziecięce zdumienie, a samą śmiercią i przekazywaniem dalej komuś zupełnie innemu wszelkich radości i brzemion, których nie mógł już dłużej nosić na własnych barkach?

Poszukała na jego twarzy odpowiedzi na te pytania, ale niczego nie była w stanie z niej wyczytać.

– Musisz mi powiedzieć, co dokładnie zrobiłeś – stwierdziła. – Muszę to zrozumieć.

– Opowiem ci o tym. W następnym życiu – obiecał.

EPILOG

(Nie przekazuj żadnych braków)

(Remit not paucity)

listopad 2052

Maria złożyła trzy wieńce na końcu ślepej uliczki, opierając je o ścianę, na której znajdowało się wywołujące złudzenie malowidło. Nie było dziś rocznicy żadnej śmierci, ale kładła tutaj kwiaty, ilekroć przyszła jej na to ochota. Nie miała żadnych grobów, o które musiałaby dbać, gdyż oboje rodzice zostali poddani kremacji. Podobnie jak Paul Durham.

Powoli wycofywała się spod ściany, przyglądając się, jak narysowany na niej ogród, z korynckimi kolumnami i gajami oliwnymi, nieomal ożywa. Kiedy dotarła do miejsca, w którym perspektywa wyimaginowanej alejki zlewała się z tą należącą do ulicy, ktoś zawołał ją po imieniu.

– Maria?

Odwróciła się błyskawicznie. Tuż za nią stał Stephen Chew, jeden z członków ochotniczej brygady remontowej. Stał obok ciągniętego na małym wózku młota pneumatycznego. Maria przywitała się z nim i podniosła swoją łopatę. Główny odpływ ścieków na Pymont Bridge Road wylał po raz kolejny.

Stephen przez krótką chwilę podziwiał malowidło.

– Piękne, nieprawdaż? Czy nie chciałabyś móc wprost stąd wkroczyć do tamtego świata?

Nie odpowiedziała. W milczeniu ruszyli ulicą.

Po chwili od panującego wokół fetoru zaczęły jej łzawić oczy.